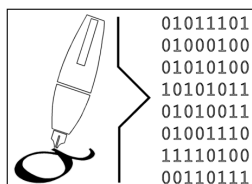


MERCEDES LACKEY

CENA MAGII

Trzeci tom z cyklu
„Trylogia Ostatniego Maga Heroldów”

Tłumaczyła: Magdalena Polaszewska-Nicke



Tytuł oryginału:

MAGIC'S PRICE

Data wydania polskiego: 1996 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1991 r.

*Dla Russella Galena
Judith Louvis i Sally Paduch
oraz wszystkich, którzy marzą
o przywdzianiu Bieli.*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Po plecach spływał Vanyelowi pot i lekko bolała go noga w kostce — wcale jej nie skręcił, poślizgnąwszy się na drewnianej podłodze sali na samym początku pojedynku, a mimo to po piątej wymianie ciosów wciąż jeszcze mu dokuczała. To jego słaby punkt i lepiej, by miał to na uwadze, ponieważ równie pewne jak słońce na niebie jest to, że przeciwnik wręcz wypatruje podobnych oznak jego słabości.

Vanyel obserwował oczy swego przeciwnika, spoglądające nań z ciemnego wnętrza hełmu. „Uważaj na jego oczy” — pamiętał, że Jervis zwykł to stale powtarzać. „Oczy powiedzą ci to, czego nie powiedzą ci ręce.” Więc przyglądał się tym na wpół ukrytym oczom i próbował zasłonić całe ciało brzeszczotem swego miecza.

Oczy ostrzegły go, zwężyły się i łypnęły szybko w lewo, zanim jeszcze Tantras się poruszył. Vanyel był gotów do przyjęcia ataku.

Doświadczenie podpowiedziało mu, na moment przed skrzyżowaniem się ich mieczy, że będzie to ostatnia wymiana ciosów. Zrobił wypad w kierunku Tantrasa, zamiast się cofnąć, czego naturalnie ten się spodziewał, nawiązał walkę, zablokował miecz przeciwnika i rozbroił go, a wszystko to w mgnieniu oka.

Gdy miecz ćwiczebny stuknął o podłogę, Tantras potrząsnął pustą już dłonią i zaklął.

— Ubodło cię to, co? — powiedział Vanyel. Wyprostował się i ściągnął z głowy opaskę przytrzymującą włosy wpadające mu do oczu i pozwolił im opaść na czoło wilgotnymi pasemkami. — Przepraszam. Nie miałem zamiaru tak się rozpędzać. Ale nie jesteś w formie, Tran.

— Nie przypuszczam, abyś przyjął na moje usprawiedliwienie to, że się starzeję? — spytał Tantras z nadzieją i zdjawszy rękawice, przyglądał się swym poharatanym palcom.

Vanyel parsknął.

— Nie ma mowy. Breda jest w takim wieku, że mogłaby być moją matką, a i tak regularnie przegania mnie po całej sali. Jesteś w fatalnej formie.

Herold zdjął hełm i uśmiechnął się ponuro.

— Masz rację. Stanowisko herolda kasztelana oznacza może wysoki status, ale nie przysparza okazji do ćwiczeń.

— Potrenuj z moim bratankiem, Medrenem — odparł Vanyel. — Jeśli ci się zdaje, że ja jestem szybki, to powinieneś zobaczyć jego. To pomogłoby ci podtrzymać formę. — Mówiąc to, rozpiął kaftan i rzucił go pod ścianę, na stertę ekwipunku czekającego na czyszczenie.

— I tak zrobię. — Tantras nieco wolniej oswobadzał się ze swej, cięższej zresztą, zbroi. — Bogowie wiedzą, że pewnego dnia mogą stanąć przed koniecznością zmierzenia się z kimś, kto będzie posługiwał się tym twoim wariackim stylem, więc lepiej będzie, jeśli już teraz przyzwyczaję się do tego, że ty raz bijesz, raz się ścigasz.

— Taki jestem, do szpiku kości. — Vanyel odłożył na stelaż swój ćwiczebny miecz i skierował się do wyjścia. — Dzięki za trening, Tran. Potrzebowałem czegoś takiego po dzisiejszym ranku.

Kiedy otworzył drzwi, na spoconej skórze poczuł falę chłodu — to było wspańiałe uczucie. Tak przyjemne, że nieskory do powrotu do pałacu, owiany świeżym, ostrym powietrzem poranka, postanowił wrócić do swego pokoju okrężną drogą. Taką, która pozwoli mu nie zbliżać się do ludzi, i która, może choć na moment, zajmie go, odsuwając na bok myśli, podobnie jak podziałał trening z Tantrasem.

Skierował się ku ścieżkom wiodącym do ogrodów pałacowych.

Donośna ptasia pieśń ulatywała spiralą dźwięku ku pustemu niebu. Vanyel pozwolił swym myślom odpłynąć, wsłuchując się w szczebiotliwe trele i stopniowo zrzucając z siebie każdą ważką troskę, aż w końcu jego umysł był już równie pusty jak powietrze nad jego głową. . .

Van, zbudź się! Masz przemoczone stopy! — W głosie myślowy Yfandes znać było rozdrażnienie. — *Zmarzniesz. Przeziębisz się.*

Mag heroldów Vanyel zamrugał powiekami i popatrzył na zroszoną trawę zaniedbanego ogrodu. Nie mógł wprawdzie zobaczyć swych stóp ukrytych w długich, obumarłych źdźbłach trawy, ale teraz, gdy Yfandes przywołała go znów do rzeczywistości, poczuł je. Przyszedł tutaj w swych miękkich zamszowych butach, które wcale nie były przeznaczone do wychodzenia na dwór; idealnie nadawały się do treningu z Tranem, ale teraz. . .

Nie ma co, są zupełnie zniszczone — rzuciła cierpko Yfandes.

Tak bardzo przypominała teraz jego ciotkę, maga heroldów Savil, że Van musiał się uśmiechnąć.

— To nie pierwsza para butów, które doprowadzam do ruiny, moja droga — odparł łagodnie. Jego stopy były bardzo zmoczone. I bardzo zimne. Tydzień temu nie byłoby tu jeszcze rosy tylko szron. Ale teraz wiosna była już w drodze: pod martwymi zeszłorocznymi źdźbłami zieleniła się świeża trawa, każdą gałązkę obsypywały rozwijające się młode listki, a kilka najwcześniej przylatujących śpiewających ptaków dokonało już inwazji na ogród. Vanyel przypatrywał się i przy-

słuchiwał dwóm z nich, o żółtych brzuskach, samcom — rywalom przybierającym bojową posturę w pojedynku na melodie.

I pewnie nie jest to wcale ostatnia część garderoby, jaką spotyka taki los — rzekła zrezygnowana. — Przebyłeś długą drogę odkąd wybrałam ciebie jako tamtego próżnego pięknisia.

— Tamten mały, próżny piękniś, którego wybrałaś, o tej porze jeszcze byłby w łóżku. — Ziewnął. — Moim zdaniem był pod tym względem o wiele rozsądniejszy. Ta pora dnia z pewnością nie jest dla ludzi.

Słońce ledwie wzniosło się nad horyzont i większość mieszkańców pałacu wciąż jeszcze spała snem wyczerpanych, jeśli nie sprawiedliwych. Na wpół dziki ogród był jedynym zakątkiem, którego od wschodniej strony nie zasłaniały budynki i mury. Lekki, przejrzysty słoneczny blask rozlewał się tu, połyskując na każdym delikatnym listku i źdźble trawy. Według tradycji ścieżka ta, wraz z całym labiryntem żywopłotów i altanek, miała być ogrodem królowej — co było przyczyną obecnego zapuszczenia tego miejsca. Teraz Valdemar nie miał już królowej, a towarzyska życia króla, połączona z nim więzią życia, miała pilniejsze zajęcia aniżeli doglądanie ogródków, z których jedyny pożytek był taki, że dostarczały uciechy ludzkim oczom.

Jakiś staruszek — sądząc po jego zabrudzonym ziemią fartuchu, ogrodnik — wyłonił się z pobliskich drzwi pałacu i kuśtykał ścieżką w stronę Vanyela. Herold usunął się, ustępując mu drogi i witając przyjaznym skinieniem głowy. Tamten jednak zupełnie go zignorował i wyminął, mamrocząc coś pod nosem.

Kierował się najwyraźniej do stojącej nie opodal, obrośniętej różowym winem szopy. Na moment zniknął w jej wnętrzu, ale zaraz pokazał się z motyką w dłoni, aby od razu przystąpić do obrabiania najbliższej rabaty. Był tak obojętny na obecność Vanyela, że ten równie dobrze mógłby być duchem.

Vanyel przyglądał mu się jeszcze przez chwilę, a potem odwrócił się i wolno powędrował w stronę pałacu.

— Czy przyszło ci kiedyś do głowy, kochana — zagadnął puste powietrze — że i ty, i ja, i cały pałac moglibyśmy zniknąć w ciągu jednej nocy, a ludzie tacy jak ten staruszek nawet by za nami nie zatęsknili?

Ale nie deptalibyśmy już jego kwiatów — odparła Yfandes. — *To był niedobry ranek, prawda.* — Było to zdanie twierdzące, nie pytanie. Yfandes nie opuszczała swego miejsca w umyśle Vanyela przez cały czas trwania sesji Osobistej Rady.

— Jak dotąd jeden z najgorszych poranków dla Randiego. Dlatego próbowałem rozładować frustrację w treningu z Tranem. — Vanyel kopnął bogu ducha winny chwast, wyrastający pomiędzy kamieniami na ścieżce. — A dziś po południu Randi musi się zająć kilkoma ważnymi sprawami. Oficjalne audiencje, jedno spotkanie z ambasadorami. Ja nie mogę go zastąpić. Nalegają na widzenie z królem. Czasem żałuję, że muszę zachowywać się taktownie, bo z chęcią chwyciłbym tych dyplomatów za te ich łby i rąbnął porządnie jednym o drugi. Tashir — niech

bogowie błogosławią jego szczere serce — poradził sobie ze swymi sprawami nieco lepiej.

Pojawił się jeszcze jeden ogrodnik i obrzucił mijającego go Vanyela dziwnym spojrzeniem. Van zdusił w sobie chęć przywołania go i wytłumaczenia się. „Musi być nowy; wkrótce się dowie o heroldach rozmawiających z powietrzem.”

A co zrobił Tashir ze swymi posłami? Rozmawiałam z Darveną Ariela, kiedy byłeś nimi zajęty. Wiesz, nadal nie mogą uwierzyć, że twój brat, Mekeal, spłodził dziecko obdarzone wrażliwością, która pozwoliła mu zostać Wybranym.

— Ja też. Wniosek z tego, że rodziną rządzi chyba zupełny brak logiki. A co do Tashira, jego posłowie otrzymali rozkaz uznania mnie za człowieka przemawiającego w imieniu króla. . . — wyjaśnił Vanyel. — Są kłopoty z terytorium nad Jeziorom Evendim, które Tashir zaanektował. Ci ludzie z Krainy Jezior są bardzo przewrażliwieni, a audiencja u kogokolwiek poniżej samego króla będzie w ich oczach niewybaczalnym afrontem.

A gdzie znalazłeś ten smaczny kąsek?

— Ostatniej nocy. Po tym, jak ty doszedł do wniosku, że ten ogier z północy ma przepiękny. . .

Nos — skwapliwie przerwała mu Yfandes. — Miał śliczny nos. A ty i Josh zanudzaliście mnie na śmierć swymi relacjami o zasobach skarbcza.

— Biedny Josh.

To były szczere słowa. „Zajmuje swe stanowisko od niespełna roku, a próbuje pracować za dwudziestu. Do tego z całego serca marzy o tym, by znów być czymś pomocnikiem. Niestety Tran o jego obowiązkach wie mniej niż on sam.”

Nie czuje się dobrze w roli kasztelana.

— Nie da się zaprzeczyć, kochana. Jest młody i nerwowy, więc chciał, aby ktoś przejrzał jego rachunki, zanim przedłoży je Radzie. — Vanyel westchnął. — Bogowie wiedzą, że Randi nie jest w stanie tego zrobić. Będzie miał szczęście, jeśli uda mu się skończyć to dziś popołudniu.

Esten mu pomoże. On zrobiłby dla Randiego wszystko.

— Wiem o tym, Yfandes, ale zdolność Towarzysza do współodczuwania bólu i zapas sił, jakich może użyczyć swemu Wybranemu, już nie wystarczają. Czas, abyśmy wszyscy przyznali się, że o tym wiemy. Choroba Randiego jest cięższa od dolegliwości, które umiemy leczyć. . . — Vanyel wzięty głęboki oddech, by uspokoić kłębiące się w nim uczucia. — . . . i możemy jedynie krzepić się nadzieją, że znajdziemy sposób, aby ulżyć mu w cierpieniu, na tyle by mógł normalnie funkcjonować. A jeśli nie, to trzeba ufać, że w niedługim czasie uda nam się wyuczyć Trevena.

To znaczy wyuczyć Trevena na czas. — Posepnie dorzuciła Yfandes. — Bo ten umyka nam prędko. To potworne, Van. My nie możemy nic zrobić, uzdrowiciele nie mogą nic zrobić. . . Randal gaśnie z każdą chwilą a żadne z nas nic na to nie może poradzić!

— Możemy tylko patrzeć — odparł Vanyel z goryczą. — Z każdym dniem Randal czuje się coraz gorzej, a my nie tylko nie potrafimy tego zatrzymać; my nawet nie wiemy, dlaczego tak się dzieje! Są wprawdzie przypadłości, których uzdrowiciele nie potrafią wyleczyć, ale my przecież nie wiemy, jaka choroba zabija Randiego. . . Czy jest dziedziczna? Czy Treven też może ją mieć? U Randiego nie ujawniała się, dopóki nie dożył połowy trzeciej dziesiątki swych lat, a Trev jest ledwie siedemnastolatkiem. Za dziesięć, piętnaście lat możemy znaleźć się w sytuacji podobnej do tej, w której jesteśmy teraz.

Natrętne myśli wciąż czały się w zakamarkach jego umysłu. „Dobrze, że Jisa nie stoi w kolejce do sukcesji tronu, bo ludzie i w stosunku do niej zadawaliby sobie takie pytania. Jak miałbym im wówczas wytłumaczyć, dlaczego nie grozi jej niebezpieczeństwo, nie ściągając przy tym na nas jeszcze większych kłopotów, których wszak żadne z nas sobie nie życzy? A już szczególnie ona. Wystarczy, że ma się piętnaście lat i jest się córką króla. Być zmuszoną do zajmowania się całą resztą. . . dzięki łasce boskiej potrafię zaoszczędzić jej przynajmniej części związanych z tym zgryzot.”

Szedł nie odrywając oczu od zarośniętej ścieżki, tak głęboko pogrążony w rozmyślaniach, że Yfandes taktownie wycofała się z rozmowy. Czasami myśli dotykały takich spraw, że nawet Towarzysz nie lubił ich podsłuchiwać.

Vanyel szedł powoli przez zapuszczony ogród. Wybrał krętą dróżkę, która miała go zaprowadzić do drzwi pałacowych. Stapał z przesadną ostrożnością, odsuwając moment powrotu w mury budynku najdalej, jak tylko mógł. Mimo to nękające go troski ścigały go wszędzie.

— Wujku Vanyelu? — zawołał za nim zdyszany dziewczęcy głos. W tym znajomym głosie Vanyel usłyszał ból i stłumione łzy. Odwrócił się, rozwarł ramiona, a Jisa wpadła wprost w jego objęcia.

Nie powiedziała nic; nie musiała. Wiedział, co ją tu sprowadziło: te same zmartwienia, które jego zawiodły w zapomniany labirynt opuszczonego ogrodu. Cały poranek spędziła z matką i ojcem nie opodal Vanyela, dokładając wszelkich starań, by ulżyć w bólu Randalowi i dodać sił Shavri.

Van gładził długie, rozpuszczone włosy Jisy, pozwalając jej wypłakać się na swym ramieniu. Nie wiedział, że szła za nim. . .

W normalnych okolicznościach zaniepokoiłoby go to. Ale nie wtedy, gdy chodziło o Jisę. Jisa świetnie się osłaniała; tak świetnie, że umiała nawet stać się niedostrzegalna dla jego przenikliwych zmysłów. Zapewniało jej to nie byle jaką ochronę — bo skoro potrafiła ukryć swą obecność przed nim, mogła również ukryć się przed wrogami.

Vanyel był powiązany z każdym żyjącym heroldem i umiał wyczuć ich wszystkich, kiedy tylko chciał, lecz Jisa nie była heroldem i nigdy nie wiedział, gdzie jest, chyba że celowo jej „szukał”.

Jisa nie została jeszcze wybrana, co Vanyel uznawał za dobrą wróżbę. We-

dług niego wcale nie było takiej potrzeby. Jako osoba posiadająca dar empatii, Jisa pobierała już pełne wykształcenie uzdrowiciela, a Van oraz jego ciotka, Savil, udzielali jej nauk dokładnie takich, jakie należały się świeżo wybranemu kandydatowi na herolda. Ludzie dziwili się, dlaczego dziecko dwojga heroldów nie zostało jeszcze wybrane, za to Towarzysze w Przystani kochały ją i traktowały tak, jakby była jedną z nich. Ten fakt tym bardziej zastanawiał. Vanyel należał do nielicznych, którzy wiedzieli, w czym tkwi przyczyna. Jisa nie została jeszcze wybrana, gdyż jej Towarzyszem miał być Taver. Taver zaś był Towarzyszem osobistego herolda króla — jej matki, Shavri. Jisa i Taver mieli więc połączyć się dopiero po śmierci Shavri.

A do tego nikomu się nie spieszyło.

Żadne z nich — ani Randal, ani Shavri, ani Vanyel — nie było jeszcze gotowe na wyjawienie Kręgowi Heroldów powodu, dla którego Shavri nie została dotąd wybrana. Jisa wiedziała — Vanyel jej powiedział — lecz rzadko poruszała ten temat, a Van nie prowokował jej do tego. To dziecko miało dość trosk, z którymi musiało sobie radzić.

„Mieć dar empatii i żyć pod jednym dachem z umierającym ojcem. . .”

To co innego niż wiedzieć, że ktoś, kogo kochasz, ma umrzeć. Dzielić cierpienie Randalą, tak jak było to udziałem Jisy, musiało dorównywać najcięższym torturom.

Nic dziwnego, że przybiegła do Vanyela, aby wypłakać się na jego ramieniu. Dziwić się można było jedynie, że nie robiła tego częściej.

Gładząc jej splątane, kruczoczarne włosy, przesłał do jej umysłu cieniutką nitkę myśli. Nie zrobił tego dla pocieszenia; w tej sytuacji nie istniała żadna pociecha. Chciał tylko dać jej znać, że nie jest sama.

Wiem, kochanie. Wiem. Dałbym sobie odebrać wzrok aby tylko ci ulżyć.

Jisa zwróciła ku niemu swą zalaną łzami twarz.

Czasami wydaje mi się, że dłużej tego nie zniosę; zabiję kogoś albo oszaleję. Ale nie ma kogo zabić, a popadanie w szaleństwo i tak niczego nie zmienia.

Obiema dłońmi odgarnął włosy z jej twarzy, ujął ją pod brodę i zajrzał w piwne oczy.

Jak na mój gust jesteś aż nadto praktyczna. Wątpię, czy którekolwiek z rozwiązań branych przez ciebie pod uwagę chociaż na moment pozwoliłoby mi usiedzieć na miejscu. — Udał, że pogrąża się w zadumie. — Przypuszczam, że z tego wszystkiego zdecydowałbym się popaść w obłąd. Zabijanie łączy się ze zbyt wielkim zamieszaniem, jeśli człowiek chce to zrobić w sposób satysfakcjonujący. Jak spralbył potem krew z moich białych szat?

Jisa, rozbawiona, zachichotała z cicha. Vanyel odpowiedział jej uśmiechem i chusteczką wyciągniętą zza mankietu rękawa otarł z łez jej oczy i policzki.

Poradzisz sobie, tak jak zwykle, najdroższa moja. I co jakiś czas zbierzesz swoje smutki i przyjdiesz z nimi do mnie albo do Trevena, gdy nie będziesz już mogła

unieść tego ciężaru na swych własnych barkach.

Jisa pociągnęła nosem i potarła go wierzchem dłoni. Vanyel odciągnął jej rękę od twarzy i marszcząc brwi z udanym zagniewaniem, zgromił ją wzrokiem, po czym podał jej chusteczkę.

Przestań, malutka. Sto razy ci mówiłem, żebyś nie chodziła bez chusteczki. Co pomyślał ludzie, widząc królewską córę wycierającą nos w rękaw?

Pewnie, że jest dzikuską — westchnęła Jisa, przyjmując chusteczkę.

Przysięgam, że każę twoim pokojówkom obszyć wszystkie rękawy twoich sukienek szorstkimi, srebrnymi taśmami, żebyś nie używała ich do tego, do czego nie służą. — Jeszcze raz zmarszczył brwi i uśmiechnął się.

Czyż nie byłby to uroczy obrazek? Obszywać srebrną taśmą moje rzeczy, to tak, jak ozdabiać koronką derki dla koni. — Jisa ubierała się zwyczajnie, prosto jak nowicjusz, chyba że matka wymusiła na niej włożenie czegoś bardziej wyszukanego. Teraz na przykład miała na sobie zwykłą, brązową tunikę i długie, samodzielne bryczesy, które nie razłyby na nogach drobnego dzierżawcy ziemskiego po drugiej stronie granicy karsyckiej.

Oj, Jiso, Jiso — wzdychał Vanyel. Jej oczy zajaśniały, a ukryty w ich głębi figlarny uśmiech przydał urody jej ślicznej, pociągłej twarzy. Niekiedy Vanyel podejrzewał, że Jisa ubiera się tak pospolicie tylko po to, aby go troszkę podrażnić. — *Każda inna dziewczynka, w twoim wieku i na twoim miejscu miałaby szafę pełną pięknych ubrań. Pokojówki mojej matki ubierają się lepiej niż ty!*

Rozmowa z Jisa w myślomowie była łatwiejsza aniżeli mówienie na głos. Jisa potrafiła używać myślomowy od szóstego roku życia i był to dla niej naturalny sposób porozumiewania się. Z drugiej jednak strony, trudno było coś przed nią ukryć...

W taki sposób nikt się nigdy nie domyśli, że jesteś moim ojcem, prawda? — odrzekła zadziornie. — *Może nawet powinieneś być mi za to wdzięczny, tatusiu-strojnisiu.*

Vanyel pociągnął ją za loczek.

Uważaj na swe maniery, dziewczeczko. Niegrzecznych docinków nastucham się dość od Yfandes. Twoich mi nie trzeba. Lepiej ci już?

Jisa przetarła prawe oko wierzchem dłoni, lekceważąc trzymaną w niej chusteczkę.

Troszkę — wyznała.

Więc idź rozejrzeć się za Trevenem. Pewnie już cię szuka. — Van zachłysnął się zduszonym śmiechem. Każdy, kto ich znał, wiedział, że tych dwoje nie rozstawało się ze sobą od chwili, gdy Treven po raz pierwszy postawił stopę na terenie pałacu. Radowało to większość członków dworu i Kręgu — z wyjątkiem młodych dworek, pielęgnujących w swych sercach namiętność do przystojnego, młodego herolda. Treven był bowiem chłopcem o mocnej budowie ciała, istną jasnowłosą kopią swego dalekiego kuzyna, Tantrasa, ze wszystkimi jego defektami — któ-

rych wszak nie było wiele — idealnie wygładzonymi. Połowa dwórek włożyła się za nim w stanie ciągłego zauroczenia.

Ale on należał do Jisy, całkowicie i bez reszty. Jego lojalność była niepodważalna i nikt spośród obdarzonych darami nie wątpił w jego miłość do niej.

Niekiedy martwiło to Vanyela, nie z powodu siły ich wzajemnej fascynacji, lecz dlatego, że istniało prawdopodobieństwo, iż Treven będzie kiedyś zmuszony zawrzeć małżeństwo dla zawiązania sojuszu z którymś z sąsiadów, tak samo jak musiała zrobić jego babka, królowa Elspeth.

To zawsze będzie małżeństwo jedynie z nazwy. Tego Vanyel był pewny. W przypadku Trevena zachodziły okoliczności, których jego matka i kuzynka nigdy nie musiały brać pod uwagę. Elspeth nie posiadała daru myślowy, zaś u Randiego umiejętność ta rozwinęła się w nikłym stopniu. Tylko herold władający tym zmysłem mógł wiedzieć, jak dla osoby obdarzonej niezwykle silnym darem myślowy, takiej jak Trev, nieprzyjemne może być kochanie się z osobą o nieprzystępnym umyśle i, co gorsza, zupełnie nieznaną. Prawdopodobnie przestraszona, nieszczęśliwą nieznaną.

„Ktoś mógłby się zastanawiać, jak król z darem myślowy w ogóle może nie być cnotliwy...”

Jednakowoż władcy Valdemaru wypełniali swe obowiązki dawniej i najprawdopodobniej dalej będą je wypełniać. I Trev pewnie też będzie musiał. O tak, to jest przynębiające, lecz takie jest życie. Heroldowie czynili już wiele rzeczy, które nie zawsze były po ich myśli. Jeśli już o tym mowa, to dla dobra Valdemaru Vanyel zdecydowałby się dzielić łóżko z kim- bądź czymkolwiek.

W gruncie rzeczy zrobił już kiedyś coś w tym rodzaju i nie było to przeżycie do końca przykre. Z biedną, drogą Shavri Van spłodził Jisę, gdy okazało się, że Randal jest bezpłodny; zrobił to, mimo iż zarówno wówczas, jak i obecnie, skłonny był zwracać się zdecydowanie ku własnej płci...

Podobnych jemu nazywano teraz *shayn* — od określenia wziętego z języka Tayledras, choć ledwie garstka ludzi w całym Valdemarze znała pochodzenie tego słowa. Mimo że Van otwarcie deklарował się jako *shayn*, jednak dał Shavri dziecko, ponieważ Randi nie mógł tego zrobić, zaś ona rozpaczliwie tego pragnęła. Dla Randiego ważny był spokój i równowaga psychiczna jego towarzyski życia, a serce Shavri rozdzierała tęsknota za potomstwem.

Ponadto jej ciąża położyła kres wszystkim plotkom, jakoby Randal był niezdolny do spłodzenia potomka, a to z kolei podtrzymało możliwości zawarcia przezeń małżeństwa zapewniającego sojusz z innym królestwem; przynajmniej do czasu kiedy jego choroba nie nasiliła się do tego stopnia, że nie sposób było już dłużej ją ukrywać.

Jednak ze względu na to, że Randal musiał pozostawić sobie otwartą furtkę do zawarcia politycznego małżeństwa — a Shavri przejmowała grozą nawet myśl o tym, że kiedyś miałyby rządzić — nigdy nie poślubił swej towarzyski, z którą

łączyły go więzy życia. Zatem w momencie, gdy stało się jasne, że jest śmiertelnie chory, a Towarzysze z „niewiadomych przyczyn” nie zdradzali zamiaru wybrania Jisy, zaczęto badać poboczne linie rodu Randała w poszukiwaniu następcy tronu.

Treven okazał się jedynym kandydatem: został wybrany dwa lata wcześniej i posiadał dar myślowy, równie silny jak Vanyel. Rozumiał zasady sprawowania władzy — przynajmniej w stopniu, w jakim odnosiły się one do przygranicznych majątków jego rodziców — gdyż od dziewiątego roku życia pełnił rolę prawej ręki swego ojca.

Jisa pokochała go od chwili, kiedy tylko przekroczył próg pałacu. Osobisty króla nie miał obowiązku zakochiwać się w swym władcy, jednak zdaniem Vanyela było to pomocne. . .

„Tyle że wtedy wszystko okrutnie się komplikuje.”

Ona nie jest już dzieckiem — przypomniała mu Yfandes. Vanyel przypatrzył się Jisie nieco uważniej i ujrzał ciało młodej kobiety, poprzedniego roku jeszcze tak mato kobiece.

Nie sprzedajmy faktów — zbył swego Towarzysza, uciekając od tematu.

Jisa popatrzyła nań swymi aż nadto mądrymi oczami.

Trev czeka na mnie; to on mnie do siebie przysłał. Czasem sam wie prędzej ode mnie, czego mi potrzeba.

Vanyel wypuścił ją i cofnął się o krok.

Myślisz, że jestem ci jeszcze potrzebny?

Jisa potrząsnęła głową i odrzuciła włosy na plecy.

Nie, już mi lepiej. Nie wiem, jak to robisz, ojczu. Jak udaje ci się być takim silnym za nas wszystkich. Teraz już pójdę, ale jeśli będziesz mnie potrzebował. . .

Vanyel potrząsnął głową, a Jisa uśmiechnęła się blado, po czym odwróciła się i odeszła przez zarośnięte rabaty, wybierając najkrótszą drogę, tę, z której on przed chwilą zrezygnował.

Przemoczy buty. Ale nic sobie z tego nie robi.

Jaki ojciec, taka córka — parsknęła Yfandes.

Ucisz się, szkapo — odciął się Van.

Jego myśli pobiegły za córką. „To, co łączy ją i Trevena, to więź życia. Jestem pewny. Ona zawsze wie, co on robi, a, on wie, co czuje i myśli ona. . . Pod pewnym względem to nic złego. Gdy umrze Randi, Jisa będzie potrzebowała wsparcia emocjonalnego, a Shavri z pewnością nie będzie mogła jej tym służyć. Sama będzie cierpieć zbyt mocno, aby pomóc Jisie — zakładając, że w ogóle przeżyje choć jedną miarkę świecy bez niego. . .”

„Ale problemy. . . ach, bogowie na niebie i ziemi! Czy ona dorosła już do zrozumienia, do czego będzie zmuszony Trev. . . że dobro Valdemaru może mieć — i będzie miało — pierwszeństwo przed jej szczęściem? Jak ma to zrozumieć piętnastolatka? Szczególnie gdy jej serce i duszę łączą z nim więzy tak głębokie?”

„A jednak była dość duża, aby zrozumieć to, co dotyczyło mnie. . .”

O, jakże doskonale Vanyel to pamiętał...

„... warunki wykluczenia będą następujące...”

— Wujku Vanyelu?

Vanyel uniósł wzrok znad projektu nowego traktatu z Hardorn. Miał dziwne przeczucie, że pomiędzy licznymi paragrafami i ustępami tego dokumentu coś się kryło, coś, co mogłoby przysporzyć Valdemarowi wielu kłopotów. Nie tylko on odnosił takie wrażenie. Zaniepokojony był również kasztelan, a z chwilą przekroczenia progu pokoju, w którym znajdowało się to pismo, podobnych odczuć nabierali wszyscy heroldowie posiadający dar przewidywania.

Tak więc Vanyel przesiadywał do późna w nocy, szukając ukrytej pułapki, usiłując wykryć problem i wprowadzić poprawki, zanim przeczucie stanie się rzeczywistością.

Wziął ten przeklęty papier do swej sypialni, gdzie mógł przestudiować go w spokoju. Minęła już pora, kiedy nawet najwięksi pośród dworzan miłośnicy rozrywek kładli się do snu, a Jisa powinna być w łóżku już od dawna. Mimo wszystko jednak jego córka stała teraz przed nim, otulona szlafrokiem o trzy numery za dużym, z jedną stopą za, a drugą przed progiem.

— Jisa? — zapytał, spoglądając na nią ze zdziwieniem i usiłując przestać myśleć o mętliku warunków i klauzul traktatu. — Jiso, dlaczego jeszcze nie śpisz?

— Chodzi o papę — powiedziała wprost. Przeszła próg i stanęła w świetle. Miała zaczerwienione i podkrążone oczy. — Nie mogę nic zrobić, i spać też nie.

Vanyel wyciągnął ku niej ramiona, a ona podeszła do niego, wpadając w jego objęcia niczym wycieńczony ptaszek do swego gniazda.

Wujku Van... — Od razu musnęła jego umysł wiązką swego myślodotyku, a on poczuł, jak wszystko w jego głowie burzy się pod wiązką jej myśli, które słała teraz ku niemu. — *Wujku Vanyelu, nie chodzi tylko o papę. Mam pytanie. Nie wiem, czy ci się to spodoba, czy nie, ale muszę ci je zadać, bo... muszę znać odpowiedź.*

Vanyel odgarnął jej włosy z czoła.

Nigdy cię nie okłamałem i nie zbyłem byle wymówką, kochana — odparł. — *Nawet wtedy gdy zadawałaś nieprzyjemne pytania. Słucham.*

Jisa wzięła głęboki oddech i strząsnęła z ramion jego ręce.

Papa nie jest moim prawdziwym ojcem, prawda? Ty nim jesteś.

Uderzenie magicznej błyskawicy byłoby dla niego mniejszym wstrząsem.

Ja... Tak... ale... — odpowiedział bez zastanowienia.

Jisa zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła do niego, nie mówiąc nic, za to promieniując uczuciem ulgi. Ulgi... i osobliwej, stłumionej radości. Vanyel zamrugał i niepewnie musnął jej umysł:

Kochanie? Czy...

Cieszę się — odpowiedziała. I otworzyła przed nim swe myśli. Vanyel ujrzał jej obawy... że i ona zachoruje, jak Randal. Zobaczył jej zagubienie w pewnych sprawach, o których usłyszała przez przypadek, gdy mówiła o nich jej matka... Zagubienie w dziwacznych, wymijających wyjaśnieniach, których udzieliła córce. Zobaczył przygnębienie, ogarniające ją, gdy czuła, że nie mówi się jej prawdy. I dezorientację, gdy starała się zgłębić sprawy, które zamieniały się w tajemnicę. I miłość, jaką go darzyła. Miłość, którą mogła mu teraz swobodnie ofiarować, jak podarek.

Być może właśnie ta ostatnia rzecz była dla niego największą niespodzianką.

Nie masz nic przeciwko temu? — zapytał z niedowierzaniem. Jak wiele dorastających dzieci, Jisa była ostatnio trochę przewrażliwiona przebywając w jego otoczeniu. Vanyel uznał, iż dzieje się tak dlatego, bo dziewczynka nie czuje się swobodnie w jego towarzystwie — i rozumiał to. Jisa wiedziała, że był *shayn* i co to oznacza, na tyle przynajmniej, aby rozumieć, że na swych najbliższych towarzyszy wybierał mężczyzn. Zarówno on, jak i jej rodzice, uznali, że nie ma sensu tego przed nią ukrywać; zawsze była rozwinięta nad swój wiek, czego dowodem była ta mała niespodzianka.

Naprawdę nie masz nic przeciwko temu? — powtórzył oszołomiony.

— A dlaczego miałabym mieć? — zapytała Jisa na głos i uściśniła go jeszcze mocniej. — Tylko... powiedz mi, dlaczego. Dlaczego papa nie jest moim ojcem... i dlaczego ty?

Wy tłumaczył jej więc, najprościej i najjaśniej jak tylko potrafił. Miała wówczas zaledwie dwanaście lat, ale chłonęła jego słowa ze zrozumieniem osóbką znacznie starszej.

I wprowadziła go tym w zdumienie.

W końcu poszła do łóżka, a on wrócił do pracy nad traktatem, zadziwiony i dumny zarazem, że córka podziwia go tak bardzo...

I kocha go tak bardzo.

I nadal go kochała, i ufała mu; niekiedy nawet bardziej niż swym „rodzicom”. Bez wątpienia jemu zwierzała się częściej niż Shavri.

Vanyel potrząsnął lekko głową i ruszył przed siebie brukowaną ścieżką, która w końcu miała go zaprowadzić do wyjścia z ogrodu. „Biedna Jisa. Shavri opiera się na niej, jak gdyby była już dorosła — polega na niej w tylu sprawach, że wydaje się to wręcz niesprawiedliwe. Ale z drugiej strony, może powinienem zażdrościć tej małej psotce. Ja wciąż jeszcze nie umiem nakłonić swoich rodziców, aby myśleli o mnie jako o człowieku dorosłym.”

Ścieżka skończyła się aż nazbyt szybko. W płątaniu gałęzi, żywopłotu i pnączy kryły się wyszczerbione, zielone drzewiczki. Vanyel otworzył je i wszedł do mrocznego korytarza apartamentów królowej.

Tutejsze pokoje były równie zaniedbane jak ogród: ciemne, zastawione zakurzonymi meblami, z nikłym duszkiem fiołkowych perfum Elspeth, wciąż wiszącym w powietrzu. Shavri nigdy nie czuła się tutaj dobrze, a Randal uznał (po wielu rozmowach) za posunięcie dyplomatyczne pozostawienie tych komnat pustych, na znak, że mogą przyjąć królową.

Trudno było wyegzekwować od Randala tę decyzję. Bo choć Shavri była jednocześnie osobistą króla i jego towarzyszką życia, jego doradcy — pośród nich Vanyel — zdołali przekonać go, iż powinien przynajmniej robić wrażenie wolnego, aby w razie potrzeby zawrzeć odpowiedni sojusz i przypieczętować go małżeństwem.

Shavri dostrzegła tę potrzebę, ale Randi bardzo się burzył, nawet złościł. Po wielu godzinach kłótni jednak nie mógł zaprzeczyć, że jeżeli będzie dążył wyłącznie do swego zadowolenia, nie przysłuży się tym Valdemarowi. Niedługo tę samą prawdę będzie musiał poznać Treven.

Na szczęście, Shavri — cudowna, cicha Shavri — poparła ich ze wszystkich sił, jakie zebrać mogło w sobie jej smukłe ciało. A było to poparcie znaczne, gdyż Shavri była nie tylko heroldem, lecz także bardzo silną uzdrowicielką. Magowie heroldów należeli do rzadkości, a zanim Taver wybrał Shavri, Valdemar nigdy nie widział herolda uzdrowiciela. Van miał nadzieję, że już nigdy nie zajdzie potrzeba, aby musiało się to powtórzyć.

Spacerował teraz przez komnaty poprzedniej królowej z uczuciem, że coś zakłóca. Tam, gdzie rozsunęły się zasłony, w promieniach słońca widać było zawieszony w powietrzu pyłki kurzu. Oprócz wspomnianej już nutki perfum nie wyczuwało się tu niczyjej obecności — Vanyel czuł, że przeszkadza raczej samym pokojom aniżeli czemukolwiek, co je zamieszkuje. Było w pałacu kilka miejsc takich jak to; miejsc, w których zdawało się, że ściany żyją. . .

Taver wybrał Shavri po śmierci Lansira — na krótko przed śmiercią samej Elspeth. Heroldowie byli zdezorientowani: nie mieli pojęcia, dlaczego uzdrowiciel został Wybranym, choć większość z nich doszła do wniosku, że zadecydowało o tym szczęście najwłaściwszej kandydatki lub też fakt, iż Shavri i Randalą łączyła więź życia. Dopiero później, gdy Shavri, pomimo wszelkich wysiłków, nie mogła zajść w ciążę, sama zaczęła podejrzewać, iż powodem, dla którego Taver wybrał właśnie ją, mogła być choroba Randiego.

Lecz o tym, że jej podejrzenie było słuszne, wszyscy dowiedzieli się dopiero dużo, dużo później.

Począwszy od tamtej chwili Shavri nie pozwoliłaby się zaciągnąć do ołtarza i skłonić do poślubienia Randala nawet siłą. Jeżeli było coś, czego nie chciała za nic w świecie, była to odpowiedzialność związana ze sprawowaniem władzy.

Vanyel otworzył jedno skrzydło masywnych drzwi prowadzących do głównego korytarza i zatrzasnął je za sobą. Jego obowiązki ciążyły mu niczym przyciężki płaszcz. Wyprostował plecy i ramiona, a potem ruszył, stąpając po kamiennej po-

sadzce hallu i kierując się do swych własnych komnat w Skrzydle Heroldów.

Shavri była — jeśli już zachować wierność prawdzie — absolutnie nie przygotowana do sprawowania rządów. „Powinniśmy się cieszyć, że nie chce, by jej przyznano status małżonki” — rozmyślał Vanyel, odpowiadając skinieniem głowy na powitanie jakiegoś dworzanina — rannego ptaszka, już wystrojonego w pstrokaty, suto zdobiony dworski strój. — Ze względu na nią, i ze względu na Jisę, myślę, że podjęła właściwą decyzję. Wiem, że nie chciała, aby zmuszano Jisę do statusu spadkobierczyni, a to był jedyny sposób, by ją od tego uchronić. Nie może wszak mieć pewności, że Jisa nie zostanie wybrana, jeśli Towarzysze uznają to za niezbędne. Gdyby zaś została wybrana i była dzieckiem z prawego łóża. . .”

„Lecz w świetle prawa Jisa jest bękartem i fakt, że nie została jeszcze wybrana, zabezpiecza ją podwójnie”.

Kamienna posadzka przeszła w drewnianą, „stary pałac” w nowy. Vanyel przebiegł myślami plany na ten dzień: najpierw audiencja posłów Tashira, później sesja Osobistej Rady, a potem Kręgu Heroldów. W końcu audiencja Randala, który ma przyjąć posłów z Krainy Jezior. Shavri, rzecz jasna, będzie tam również — Randi potrzebuje jej daru i jej sił. A ona oddaje mu je bez reszty, co nie pozostawia jej ani czasu, ani energii na spełnianie jakichkolwiek innych obowiązków osobistego króla. Ale to nie ma znaczenia — przejął je Vanyel. Zresztą nawet, gdyby miała w sobie jeszcze trochę sił, i tak nie posiadała umiejętności potrzebnych do wykonywania tego rodzaju zadań. . .

Shavri radziła sobie wprost beznadziejnie — skonstatowała cierpko Yfandes. — *Całkowitej porażki nie poniosła jedynie dlatego, że wspieraliście ją, ty i Taver, podpowiadając, co ma robić i mówić.*

Vanyel zatrzymał się, aby zamienić parę słów z jedną z pomocnic Josha, dziewczyną o poważnej twarzy pełniącą obowiązki starszego pazia. Ale jego myśli ślizgały się tylko po tym, co do niej mówił.

Yfandes, to nie jest miłe z twojej strony.

Może. Ale to prawda. Jediną rzeczą, do której wykazywała jakiegokolwiek uzdolnienie, było dyrygowanie Randim i zdolność uświadomienia sobie, że do tej pracy jej umiejętności nie wystarczają. Gdyby Shavri zgodziła się na ślub z Randalem, znalazłaby się na drugim miejscu w kolejce do tronu, wyprzedzając nawet Jisę.

Vanyel chciałby obalić jej zarzuty, ale nie potrafił. Shavri nie była urodzoną władczynią; nawet heroldem jest o tyle tylko, że ma Tavera. Większość pracy wykonywał za nią Vanyel, od pełnienia roli ambasadora ze wszystkimi plenipotentjami, aż po przygotowywanie ustaw oraz podpisywanie decyzji o wprowadzaniu ich w życie. Sprawował kilka funkcji: począwszy od pierwszego herolda Kręgu, przez stanowisko pierwszego radnego, aż po obowiązki północnego strażnika Wielkiej Sieci. Zastępował nawet Randala podczas jego nieobecności.

A teraz jest tak prawie zawsze — ze smutkiem zauważyła Yfandes.

Van, pomimo rozkojarzenia, otrzymał odpowiedź na swe pytanie. Dziewczyna

podczas rozmowy obciągała nerwowo tunikę, z wyraźną niecierpliwością oczekując możliwości oddalenia się.

Mamy problem. Czy wyczułaś u Jisy to samo co ja? — zapytał Vanyel, spieszonym krokiem kierując się do swego pokoju. Stopy zaczynały go boleć z zimna, a wilgotna skóra butów obcierała mu kostki.

Masz na myśli prawdziwą przyczynę tego, że przybiegła wyplakać się na twym ramieniu? Tę, o której nie chce mówić? To było zbyt mętne wrażenie, żebym mogła cokolwiek z niego wyczytać.

Zbliżając się do swego pokoju, Vanyel wyczuł w nim czyjaś obecność; był to ktoś znajomy, ale nie herold, więc nie trudził się dalszym dociekaniem, kim jest ta osoba.

Shavri — pomyślał posepnie. — Wszystko przez, to, co Jisa przejmuję od swojej matki. Jisa wie, że Randi jest skazany na śmierć. Nie potrafi sobie poradzić ze świadomością, że Shavri z każdą chwilą coraz głębiej pogrąża się w rozpacz. Jest przerażona, że pozostanie sama. Jisa lęka się, że kiedy odejdzie Randi, Shavri pójdzie za nim.

Poczuł, jak Yfandes ze zdumienia podrywa głowę,

Przecież ona jest uzdrowicielką! — zawołała. — *Nie może... nie zrobiłaby tego...*

Nie licz na to, moja droga — odparł Vanyel, jedną ręką chwytając już klamkę. — *Nawet ja nie potrafię przewidzieć, co ona zrobi. Nie sądzę, żeby z premedytacją popełniła samobójstwo... ale jest przecież uzdrowicielką. Wie o funkcjach ciała wystarczająco dużo, ażeby zabić się, zwyczajnie odmawiając sobie chęci do życia. Właśnie tego obawia się Jisa: że jej matka po prostu zgaśnie. A najgorsze jest to, że moim zdaniem ma rację.*

Pchnął drzwi do swego apartamentu; było tam mnóstwo światła, przestrzeni, i niewiele więcej. Zaledwie łóżko, niski kwadratowy stolik, kilka puf na podłodze, szafa na ubrania i sofa.

Na niej siedział właśnie jego gość... Pomimo trosk Vanyel poczuł, jak jego usta układają się do szczerzego uśmiechu.

— Medren! — wykrzyknął, gdy cherlawy szatyn, młody kandydat na barda, wstał i nachylił się nad stolikiem, by uścisnąć Vanyela.

— O Panie i Pani, mój bratanku, wydaje mi się, że z każdym tygodniem jesteś wyższy! Przykro mi, że nie mogłem przyjść na twój recital, ale...

Medren odrzucił włosy, zakrywające jego ciepłe brązowe oczy i uśmiechnął się.

— Co tam, to nie pierwszy i nie ostatni mój występ. W każdym razie nie dlatego się tu zjawilem.

— Nie? — Vanyel usadowił się w swym ulubionym fotelu i zaintrygowany uniósł brwi. — A zatem, cóż cię tu sprowadza?

Medren z powrotem zajął swe miejsce, pochylając się nad stolikiem. Jego oczy spotkały się z oczami Vanyela.

— Coś o wiele ważniejszego niż jakiś tam głupi recital. Van, chyba mam coś, co może pomóc królowi.

ROZDZIAŁ DRUGI

Vanyel zamknął za sobą drzwi i balansując, z jedną ręką wciąż na klamce, zaczął zdejmować but.

— Co konkretnie masz na myśli? — zapytał, badając stan buta i dochodząc do wniosku, że mimo wszystko obuwie przetrwa zamoczenie. — Wybacz mój sceptycyzm, Medrenie, ale w ciągu ostatnich pięciu lat słyszałem to zdanie dziesiątki razy, a i tak nikt nic nie pomógł. Nie wątpię w twoje dobre intencje. . .

Medren przysiadł na krześle pod oknem. Nie tylko jego twarz, ale całe ciało zdradzało napięcie, w jakim się znajdował. Zastony załopotwały, szarpnięte gwałtownym podmuchem wiatru, okrywając jego ramię. Medren odrzucił je z grymasem zniecierpliwienia.

— Dlatego właśnie tak długo zwlekałem. Naprawdę myślałem o tym przez jakiś czas, zanim zdecydowałem się z tobą porozmawiać — wyznał Medren z przejęciem. — Przyjeżdżali tu wszyscy możliwi uzdrowiciele, zielarze i tak zwani medycy z całego królestwa. Nie chciałem przychodzić do ciebie dopóty, dopóki nie będę miał pewności, że jestem jedyną osobą przekonaną, że mamy już lekarstwo.

Vanyel zdjął drugi but i zmierzył bratanka podejrzliwym wzrokiem. Nigdy dotąd nie widział, aby Medren dawał się ponosić jakimkolwiek skrajnym emocjom. . . Jednak zdarzało się już wielokrotnie, że jakaś nowa kuracja wydawała się obiecywać wiele, a nie przynosiła nic. . . Było mało prawdopodobne, aby osąd Medrena okazał się trafniejszy od osądu kogokolwiek innego.

Chociaż. . . Zawsze istniała jakaś szansa. Nie było cienia wątpliwości, że w osobie Medrena Van ma przed sobą racjonalnie myślącego dorosłego człowieka, a nie nadwrażliwego chłopca. Przez lata, które minęły od chwili, gdy Vanyel posłał go do Kolegium Bardów, Medren bardzo urósł i choć nie nabrał wiele ciała, nie ulegało wątpliwości, że jest w całej pełni mężczyzną. W gruncie rzeczy wyglądał jak chudsza wersja swego ojca, brata Vanyela, Mekeala. Odróżniał go od niego zaledwie jeden drobny szczegół — łagodne, sarnie oczy jego matki, Melenny.

„Tylko patrzeć, a będzie gotów do zakończenia stażu wędrowca — uprzytomnił sobie nagle Vanyel. — Może nawet niedługo przyjdzie czas na pasowanie go

na pełnego barda. Wielkie nieba, on musi mieć już ze dwadzieścia lat!”

Zasłony znów załopotaly i Medren ponownie odepchnął je od siebie.

— Wiesz, że nie przychodziłbym do ciebie z jakąś błahostką. Nie jestem głupcem, a poza tym muszę myśleć o swoich sprawach. Do osiągnięcia statusu barda brakuje mi wykonania zaledwie jednego dzieła. — Zamilkł, dostarczając Vanyelowi potwierdzenia obserwacji z takim zdumieniem poczynionych przed momentem. W końcu Medren niespokojnie przecesał palcami swe długie włosy. — Nie mogę rozpocząć kariery z reputacją chłopaka uganiającego się za złotą rybką. Poprosiłem Bredę o sprawdzenie tego i otrzymałem potwierdzenie. Wygląda na to, że mój kolega z pokoju, Stefen, jest obdarzony samorodnym talentem. Potrafi swym śpiewem uśmierzać ból.

Zanim Medren skończył mówić, Vanyel był już przy łóżku. Teraz usiadł na nim raptownie i wbił wzrok w swego młodego bratanka.

— Co potrafi?

— Swym śpiewem uśmierza ból. — Medren wzruszył ramionami, a jego czerwono-brązowa tunika naciągnęła mu się na ramionach. — Nie wiemy jak, wiemy tylko, że to robi. Odkryłem to, gdy przechodziłem paskudną malarię i miałem głowę jak balon.

Vanyel skrzywił się ze współczuciem. Jemu samemu też swego czasu przytrafiła się ta choroba i dobrze znał beznadziejny ból głowy i łamanie w kościach, jakie się z nią wiąże.

— Stef nie wiedział, że jestem w pokoju; wszedł i zaczął ćwiczyć. Już otwierałem usta, żeby go wygonić, bo jego śpiewy były ostatnią rzeczą, jakiej mi było trzeba, ale po pierwszych kilku dźwiękach nie czułem bólu głowy. Prawdę mówiąc, zasnąłem. — Medren pochylił się do przodu i chcąc powiedzieć Vanyelowi wszystko na raz, jał wylewać z siebie potok słów. — Obudziłem się, gdy skończył. Odkładał właśnie cytrę, a mój ból głowy zaczął powracać. Zanim odszedł, udało mi się coś wybełkotać i spróbowaliśmy jeszcze raz. Niech mnie kule biją, jeśli znów nie zasnąłem.

— To akurat mogły spowodować te wstrętne ziółka, do których uzdrowiciele zdają się przywiązywać taką wagę — przypomniał mu Vanyel. — Mnie one usypiają. . .

— Usypiają, pewnie, ale nie pomagają na ból głowy. Poza tym, myśleliśmy już o tym. Jak tylko wyzdrowiałem, porozumiałem się z Bredą, a ona zgodziła się odegrać rolę królika doświadczalnego przy następnym ataku migreny i na nią to też podziałało. — Wziął głęboki oddech i patrzył na Vanyela z wyczekiwaniem.

— Naprawdę? — Pomimo całego sceptycyzmu, Vanyel był pod dużym wrażeniem. Breda, jako osoba z darem barda, niełatwo ulegała złudzeniom, wytworzonym choćby przez najsilniejszy dar. Poza tym, o ile było mu wiadomo, tylko niebezpieczny napar ze śnieci pszenicznej był w stanie uśmierzyć ból podczas jej ataków migreny.

Medren rozłożył ręce.

— A niech mnie, jeśli wiem, jak on to robi, Van. Ale Stef zawsze wie, jak przynajmniej raz na tydzień zaskoczyć czymś całe Bardicum. Ma ledwie osiemnaście lat i tylko patrzeć, jak zostanie bardem. Wspominałeś kiedyś, jak bardzo Randal nie znosi tych wszystkich środków przeciwbólowych, bo od nich szumi mu w głowie. . .

— Ale nie jest w stanie wytrzymać bez nich dłużej niż pół godziny. Tak, pamiętam. — Vanyel rzucił w kąt swe sponiewierane buty i siedząc na łóżku, pochylił się krzyżując ramiona. — Rozumiem, że twoim zdaniem możemy tym Stefanem zastąpić lekarstwa? Nie wiem, czy to zda egzamin, Medrenie. Randi nie znosi leków, ponieważ pod ich wpływem w ogóle nie może się skoncentrować. Jakże on ma jednocześnie coś robić i słuchać twego przyjaciela?

Medren znów odrzucił z ramienia zasłonę, wstał i nie spuszczając oczu z Vanyela jął przechadzać się gorączkowo.

— W tym leży cała wspaniałość tego daru. Samorodny talent zdaje się działać na człowieka bez względu na to, czy słucha go świadomie, czy nie! Słowo daję, Van, przemyślałem to. . . Jeśli działał, kiedy Breda i ja spaliśmy, to będzie działał w każdych okolicznościach.

Vanyel podniósł się z wolna. Samorodny talent Stefena może nic nie pomóc. . . Jednak, jest jakaś szansa. Warto ją wykorzystać i wypróbować ten sposób. . .

Odkąd uzdrowiciele przyznali, że są w kropce, chwyтали się wszystkiego. Gorące źródła, kąpiele błotne, diety oparte na najróżniejszych składnikach, od liści i świeżych ziaren do surowego mięsa. Nie było żadnych oznak poprawy, tylko coraz bardziej nasilający się ból i postępujące osłabienie. W ostatnim roku nic nie uśmierzało cierpienia Randala, nawet na moment. Nic, z wyjątkiem otumaniających, odrętwiających leków, których Randi szczerze nienawidził.

— Chodźmy porozmawiać z Bredą — niespodziewanie zdecydował Vanyel, nurkując pod łóżko w poszukiwaniu swych butów przeznaczonych do chodzenia po dworze. Uniósłszy wzrok, napotkał dumny uśmiech Medrena. — Tylko się zaniechaj — ostrzegł go. — Wiem, że jesteś pewny swego, ale może się okazać, że to nic więcej tylko zdolność współodczuwania bólu, a choroba Randiego posunęła się za daleko, żeby coś takiego mogło pomóc. — Wstał, trzymając w rękach buty, które zaraz naciągnął na wilgotne skarpetki. — Ale, jak sam zauważyłeś, warto spróbować. Sam Astera wie, że chwytałyśmy się już dziwniejszych sposobów.

Mimo dłuższych nóg Vanyela i jego wielkich kroków, Medren bez trudu dostrzymywał tempa swemu wujowi. Wszak dopiero co odbył staż wędrowca, podczas którego na piechotę przemierzał dziką Północ, gdzie wsie oddalone są od siebie o tygodnie drogi. „Na szczęście był to również najkrótszy staż wędrowca

w całej historii Kolegium — pomyślał z ironią, przypominając sobie swe obolałe stopy i noce, które spędził, na wpeł skostniały z zimna, w swym malutkim namiociku. — A to jeszcze nie była zima! Trzy miesiące w tej dziczy dostarczyły mi materiału na setkę pieśni. Chociaż na razie połowa z nich opowiada wyłącznie o biedakach zamarzających na śmierć. . .”

Medren obserwował wuja kątem oka, usiłując odgadnąć jego uczucia. Nie potrafił jednak rozszyfrować, co ten naprawdę myśli. Pod tym względem, jak i pod wieloma innymi, Vanyel nie zmienił się przez ostatnich kilka lat, nawet jeśli różnił się teraz nieco od tamtego wujka Vanyela, którego Medren spotkał po raz pierwszy.

„Zrobił się bardziej wyciszony, bardziej skupiony. O sobie nie rozmawia już z nikim, nawet z Savil. — Medren ściągnął brwi. — Wujek Van nie robi nic dobrego, izolując się od innych w taki sposób.”

Twarz Vanyela była z gatunku kościstych i ascetycznych twarzy, które starzeją się ładnie, bez żadnych zmarszczek, z wyjątkiem miejsc wokół oczu i wyrzeźbionej troskami, trwałej linii między brwiami. Jego ongiś czarne włosy teraz gęsto poprzetykały srebrne pasemka, choć nie z powodu wieku, a skutkiem korzystania z magicznych — jak nazywali je Vanyel i jego ciotka, Savil — ognisk. Ze skomplikowanych objaśnień Vanyela Medren zdołał pojąć, że owe ogniska skupiały w sobie węzły energii magicznej i że piekielnie trudno jest sobie z nimi radzić.

Z jakichś niewiadomych przyczyn te srebrzysto-czarne włosy, w połączeniu z nie starzejącą się twarzą oraz ciałem, które mogłoby stać się obiektem zazdrości niejednego rówieśnika Medrena, czyniły powierzchowność Vanyela nieco mylącą. Nawet tym, którzy go dobrze znali, trudno było zaliczyć Vanyela do jakiegokolwiek kategorii wiekowej.

Jeśli dodać oczy o barwie wypolerowanego srebra — oczy zdające się przeżywać człowieka na wylot — otrzymuje się wizerunek najbardziej znacznego herolda noszącego Biel. . .

Medren znów zmarszczył brwi. „I najbardziej nieprzystępnego.”

Domyślił się, że Vanyel celowo uczył się panować nad swą twarzą, w ten sam sposób, jak czynili to bardowie. Zapewne z podobnych przyczyn. Nawet drgnienie powieki nie zdradzało jego uczuć w ostatnich latach. Medren, który znał go tak, jak każda inna osoba z jego najbliższego otoczenia, nigdy nie wiedział, co chodziło Vanyelowi po głowie.

Vanyel był piękny niczym posąg, wyrzeźbiony ręką mistrza w bryle najprzedniejszego alabastru. A przez to swoje absolutne opanowanie stawał się równie niedostępny i zimny jak posąg.

„I tego właśnie sobie życzy — westchnął Medren. — Tak przynajmniej mówi. „Nie mogę sobie pozwolić na jeńców — powiada. — Nie wolno mi pozwolić nikomu zbliżyć się do mnie, aby nie można było wykorzystać tej osoby przeciwko mnie.” Nie chce nawet, by ludzie wiedzieli, że on i ja jesteśmy zaprzyjaźnieni. . .

i spokrewnieni. Jego zdaniem to naraża mnie na ewentualne ataki. . . ”

Istotnie, kłopoty pojawiły się już raz, przy końcu całej hecy z Tashirem. O tym, jak blisko otarli się wówczas o prawdziwe nieszczęście, Medren dowiedział się dużo później, w trzecim roku swego pobytu w Bardicum. Teraz wiedział już, że poniekąd Vanyel ma absolutną słuszość twierdząc, iż nie może sobie pozwalać na bliskie związki emocjonalne. Gdyby był tą marmurową statua, którą tak przypominał, jego izolacja z pewnością mogłaby mu wyjść na dobre.

Tyle że on tą statua nie był. Był żywą istotą, która za nic się nie przyzna do swej rozpaczliwej samotności.

„A niech to diabli porwą, to wszystko. Jeżeli nie znajdzie sobie kogoś, poza Savil, z kim będzie mógł przynajmniej porozmawiać, to pewnego pięknego dnia oszaleje. Pomaga wszystkim utrzymać się przy zdrowych zmysłach, ale do kogo sam może pójść?”

„Do nikogo, ot co. — Medren zacisnął zęby. — Tak, tak, zajmij się tym, wuju. Jeśli oprzesz się Stefenowi, będzie to oznaczało, że możesz kandydować do Orderu Świętego Tiera Niepokalanego.”

Wyszli z pałacu i żwirową ścieżką podążyli w stronę wolno stojącego budynku Kolegium Bardów, trzypiętrowego gmachu z szarego kamienia. Pierwsze piętro Bardicum zajmowały sale lekcyjne, drugie — pokoje nauczających tutaj bardów, a trzecie — terminatorów oraz wędrowców oczekujących na rychły awans na mistrzów. Tych ostatnich było obecnie tylko dwóch: Medren i Stefen. Może kto inny sprzeciwiłby się, gdyby zakwaterowano go w jednym pokoju ze Stefenem, gdyż chłopiec był *shayn* i nie robił z tego tajemnicy — ale do Medrena to było niepodobne.

„Gdy się ma za wuja Vanyela. . . — pomyślał Medren, z pełnym tolerancji rozbawieniem. — Nie żeby Stef w czymkolwiek przypominał Vanyela. Jeśli wujaszek jest godny Orderu Świętego Tiera, to Stef w sam raz nadaje się do odznaczenia Orderem Braciszków Nieustannie Folgujących! Nic dziwnego, że pisze takie dobre pieśni miłosne; nie da się zaprzeczyć, że nazbierał już sporo doświadczeń!”

Minęła ich jedna z uczennic, odziana w brązową tunikę, objuczona czterema czy pięcioma instrumentami. Medren i Vanyel ustąpili na moment ze ścieżki, by ją przepuścić. Na widok Vanyela oczy dziewczyny rozszerzyły się, przełknęła ślinę i wymijając ich wykonała nieznaczny gest, oddając salut. Van nie zauważył tego, ale Medren tak. Mrugnął do dziewczyny i odpowiedział na jej powitanie.

Stef został jego współlokatorem już dawno, gdy był jeszcze uczniem. „To dopiero była przygoda! Nie wiem już, który wydawał mi się dziwniejszy: Stef, który właśnie tu przyjechał, czy Stef, który właśnie uświadomił sobie, kim jest. — Medren potrząsnął głową. — O, jakie ze mnie było wiejskie niewiniątko!”

Stef przybył do Kolegium jako podopieczny barda Lynnell. Miał niespełna dziesięć lat i był śmiertelnie przerażony. Nie miał zielonego pojęcia, co się wokół niego dzieje, ani też dlaczego obca kobieta porwała go z rogu ulicy i zabrała ze so-

bą. Lynnell nie odznaczała się nadzwyczajną umiejętnością postępowania z dziećmi i nie zawracała sobie głowy wyjaśnianiem czegokolwiek małemu Stefenowi. To zadanie pozostawiono Medrenowi, jedynemu w owym czasie uczniowi, który nie miał współlokatora.

„Na samym wstępie musiałem mu wytłumaczyć, że to nie dom publiczny. Myślał, że Lynn to zwykła rajfurka.”

Lynnell usłyszała, jak chłopiec śpiewał na rogu ulicy, przyciągając tłumy, choć na dobranie akompaniowała mu tylko jakaś niewprawna baba. I mimo iż bard Lynn nie miała talentu do opiekowania się dziećmi, to jednak posiadała znaczny dar i biegle się nim posługiwała. Dar Stefena rozpoznała już po pierwszych dźwiękach, które doszły jej uszu. Wiedziała, co się stanie, jeżeli dziecko zostanie dłużej bez opieki — przytrafi mu się jakiś wypadek, sprzedadzą go jakiemuś rozpustnikowi, a jakkolwiek nie wyleczona do końca choroba może pozbawić go głosu na całe życie; istniały setki prawdopodobnych zakończeń

tej historii, a zaledwie kilka z nich można by uznać za szczęśliwe.

Tak było do chwili, kiedy na jego drodze stanęła Lynn. „Jest coś takiego w Lynn, iż zawsze gna do celu z takim pędem, że większość ludzi zostaje w tyle z rozdziawionymi ustami”.

Lynn najpierw zebrała wszystkie możliwe informacje, by upewnić się, że stara baba akompaniująca wówczas Stefenowi nie jest jego matką ani żadną krewną. To wystarczyło, by mogła czuć się czysta w świetle prawa. Gdy tylko to ustaliła, odwołała się do swego immunitetu barda i najzwyczajniej w świecie porwała chłopca.

„A potem zrzuciła go na moją głowę. — Medren uśmiechnął się. — Cieszę się, że to zrobiła. Mógł mnie wpędzić w tarapaty, ale najogólniej rzecz ujmując, sam był raczej wesołym kłopotem.”

Zdaniem niektórych, skłonność Stefena do jego własnej płci była skutkiem jakichś przejść z tamtą paskudną jędzą, które mogły być tak odrażające, że chłopiec starał się wymazać je z pamięci. Medren osobiście uważał, że to niezbyt prawdopodobne. Jak udało mu się ustalić, tamta kobieta nawet nie dotknęła Stefena, jeśli nie liczyć wymierzonego od czasu do czasu klapsa.

„Z tego, co mówił Stef — kiedy tylko nie był podchmielony — wynikało, że tamta baba wiedziała, czemu zawdzięcza swój zarobek. Nie była okrutna, a po prostu ordynarna i niezbyt bystra. Dopóki jej mały ptaszek śpiewał, nie miała zamiaru go krzywdzić.”

Medren otworzył przed swym wujem drzwi Kolegium i wszedł do środka zaraz za nim.

Najbardziej Stef ucierpiał z powodu zaniedbania, zarówno fizycznego, jak i emocjonalnego. Temu ostatniemu jednak ochoczo zaradziły kobiety w Kolegium — żadna z nich nie potrafiła się oprzeć wygłodzonemu dziecku o wielkich oczach.

Stefen szybko odzyskał dobry nastrój, skoro tylko odkrył, że zainteresowanie

jego osobą jest szczerze, i dowiedział się, że będzie mógł korzystać z umiarkowanych przecież luksusów Kolegium Bardów.

„Luksusów w postaci zapewnionego na każdą noc dachu nad głową, prawdziwego łóżka i tego, że mógł jeść, kiedy tylko przyszła mu ochota — rozmyślał Medren, podążając wąziutką klatką schodową za Vanyelem na drugie piętro budynku. — Biedaczysko. Jego opiekunka na pewno nie wydawała pieniędzy na porządny wikt. Może na narkotyki. Bogowie wiedzą, jaka Stefena ogarnia wściekłość, gdy tylko przyłapie kogoś na igraniu z nimi.”

Pokoje Bredy znajdowały się zaraz przy schodach. Według opowieści krążących po Kolegium Breda wybrała właśnie ten apartament tylko po to, by móc upokarzać uczniów, których łapała tutaj, gdy po cichu wślizgiwali się do budynku późną nocą.

Prawda jednak wyglądała tak, że Breda postanowiła zająć te pokoje, ponieważ będąc bardem, była zarazem empatą i chirurgiem. Nim odkryto jej dar, pobierała nauki z zakresu zielarstwa. Uczniowie Bardicum natomiast mieli skłonność do pakowania się w najróżniejsze tarapaty, z niepokojącą wręcz częstotliwością. Czasem kończyło się na podbitym oku, niekiedy na czymś dużo gorszym. Odkąd więc Breda zamieszkała tutaj jako nauczycielka, jej pomniejsze talenty przyniosły pomoc niejednemu niesfornemu uczniowi.

Jak każda kobieta w pałacu, i ona polubiła Stefena. Gdy tylko skończył trzynaście lat, jego preferencje seksualne ustaliły się. Mimo wątłej budowy ciała brał udział w bójkach częściej niż reszta młodych uczniów. Bredzie zaś tyle razy przyszło zszywać rany Stefena, że pewnego razu oświadczyła nawet, iż rozważa możliwość poproszenia uzdrowicieli, aby przydzielili go jednemu ze swych uczniów jako przypadek nadający się do nieprzerwanych studiów.

Vanyel zatrzymał się przed podniszczonymi drewnianymi drzwiami i zapukał cicho.

— Proszę — odpowiedziała Breda, głosem wciąż jeszcze dźwięcznym i mocniejszym chyba od pałacowych fundamentów. Vanyel pchnął drzwi i obaj weszli w mroczny chłód jej apartamentu.

Medren często podejrzewał, że Breda ma w sobie coś z sowy. Nigdy bowiem nie budziła się przed południem, spać kładła się zawsze o nieludzkiej wręcz porze u progu brzasku. Przez cały czas, bez względu na porę dnia czy nocy, miała w swym pokoju zasunięte zasłony. Sową naturalnie mogła być co najwyżej w połowie, cierpiąca przecież na okrutne bóle głowy, podczas których nawet najniklejsze światło wywoływało katusze. Wchodząc do jej komnat, człowiek odnosił jednak wrażenie, że zagłębia się w jaskinię.

Medren powiódł dookoła badawczym spojrzeniem, usiłując z mroku wyłowić postać Bredy. Mrugał powiekami, dopóki jego oczy nie przywykły do braku światła. Wtem usłyszał chichot — dźwięczny i gardłowy.

— Przy oknie. Wyobraź sobie, że czasami nawet czytam.

Medren uprzytomnił sobie, że to, co pierwotnie wziął za puste krzesło, zajęte było w rzeczywistości przez Bredę. Zmylił go cień rzucany przez wysokie oparcie.

— Witaj, Van — ciągnęła spokojnie starsza pani. — Przyszedłeś sprawdzić, czy warto dać wiarę opowieściom tego łobuziaka, twego bratanka, hm?

— Mniej więcej — odparł Vanyel i znalazłszy sobie wolne krzesło, usiadł. — Musisz przyznać, że większość pogłosek o lekach, które dotąd udało się nam wytropić, okazywały się...

Medren po omacku wyszukał krzesło dla siebie, a na jego twarzy pojawił się grymas, gdy nogi mebla zgrzytnęły nieprzyjemnie o podłogę. Wreszcie opadł na twarde, drewniane siedzenie.

— To smutne, ale prawdziwe — przyznała Breda. — Muszę ci powiedzieć, że sama byłam nastawiona do tego zdecydowanie sceptycznie. Gdy czuję się dobrze, naprawdę trudno mnie oszukać, ale kiedy mam atak, nie myślę o niczym, poza własnym cierpieniem. Za to ten mały poradził sobie z bólem. Nie mam pojęcia jak, ale dość, że to zrobił.

— Wnoszę z tego, że popierasz ten mały eksperyment? — Medrenowi zdało się, że w słowach Vanyela wyczuł ulgę, ale nie miał pewności.

Nieznaczny ruch na krześle zasygnalizował coś, co mogło być wzruszeniem ramionami.

— Co mamy do stracenia? Chłopiec nie może nikomu wyrządzić krzywdy swoim samorodnym talentem. Zatem najgorszą rzeczą, jaka może się nam przytrafić, jest to, że jeden z naszych najlepszych wędrowców zapewni królowi kojący podkład muzyczny podczas audyencji. I tak Randal będzie musiał mieć wówczas przy sobie kogoś z darem, kto zadba o dobry nastrój ambasadorów. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby był to Stefen. Chłopak jest wprost niewiarygodnie dobry; wyjątkowo zręczny, do tego stopnia, że nawet najbardziej uzdolnieni bardowie nie zauważają, jak ich uspokaja.

— Rzeczywiście, nic nie stoi na przeszkodzie — zgodził się Vanyel. — Szczególnie, jeśli jest aż tak dobry. Czy będzie mógł robić obydwie rzeczy na raz?

— Czy ty potrafisz jednocześnie rozmawiać z Yfandes w myślomowie i rzucać zaklęcie? — odrzekła Breda.

— Jeśli znam to zaklęcie dostatecznie dobrze... — Vanyel zamyślił się. — Sam nie wiem. On nie ma wielkiego doświadczenia, prawda? Medren mówił mi, że jest jeszcze wędrowcem.

— Może i nie ma doświadczenia, ale to niezwykle chłopiec — odparła Breda z przekąsem. — Powinieneś zwracać nieco więcej uwagi na to, co się dzieje pod twoim nosem, Van. Od paru lat większość rozmów w Kolegium dotyczy jego osoby. Dlatego zatrzymaliśmy go tutaj na jego staż wędrowca, zamiast wysłać go w drogę. Van, ten chłopiec ma nie tylko dwa, ale wszystkie trzy talenty barda. Posiada umiejętność gry, a także bardzo twórczy talent do kompozycji. Trzy

spośród jego ballad już są w powszechnym repertuarze, a przecież nie zakończył jeszcze stażu.

Vanyel odchrząknął.

— Zatem dostałem reprimendę — powiedział wesołym głosem. — No cóż, dajmy temu Stefanowi szansę. Chcesz sama mu o tym powiedzieć, czy ja mam to zrobić?

Breda zaśmiała się.

— Ty. Właśnie chwilę przed waszym przyjściem usadowiłam się tak wygodnie. Dla osoby w moim wieku schody to rzecz odstrasżająca.

Vanyel wstał, a Medren pośpieszył, by do niego dołączyć.

— Jesteś po prostu leniwa, ot co — zażartował łagodnie. — Gdybyś tylko chciała, mogłabyś zakasować swą wytrzymałością w tańcu, bitce i picciu ludzi liczących sobie połowę twych lat.

— Mogłabym — odparła równie żartobliwym tonem Breda, gdy Vanyel odwracał się do wyjścia. — Ale w tej chwili akurat nie chcę. Daj mi znać, co zdziałał nasz sposób, chłopcze.

Medren poczuł między łopatkami dłoń popychającą go do drzwi i na korytarz.

— Co do tego — rzucił Vanyel przez ramię, zamykając za sobą drzwi — dopilnuję, aby ktoś cię o tym poinformował... w końcu przyszłego tygodnia.

Zza drzwi dobiegło ich przytłumione, soczyste przekleństwo. Medren nie wiedział, że Breda знаła to powiedzenie... i choć ze względów anatomicznych rzecz była niemożliwa do spełnienia, bez wątpienia interesujący byłby widok Bredy stawiającej wuja Vanyela w takim położeniu...

Powierzchność Stefana, to znaczy Stefena, była dla Vanyela nie lada niespodzianką. Herold spodziewał się zobaczyć kogoś zupełnie innego — chłopca w rodzaju Medrena, może troszkę mniej przystojnego, odrobinę wyższego. Kiedyś bowiem nabrał mglistego przekonania, iż ludzie obdarzeni niezwykłymi umiejętnościami wyglądają zazwyczaj zupełnie przeciętnie.

Ale Stefan bardzo odbiegał od przeciętnej...

Van trzymał się w tyle, gdy wchodzili do pokoju, który Medren dzielił z chłopcem; kierowało nim przecucie, że Stefan może czuć się nieswój w jego obecności. Stef akurat wychodził. Medren zatrzymał go w drzwiach, a potem, gdy jął tłumaczyć mu, czego od niego oczekuje, Vanyel został w alkwie. Dzięki temu miał sposobność przyrzczyć się muzykowi ukradkiem, kiedy ten był nieświadomy badawczych spojrzeń herolda.

Na pierwszy rzut oka chłopiec wydał się Vanyelowi raczej wąty. Stefan był rzeczywiście dość szczupły i gdyby urodził się dziewczynką, zapewne mówiono by o niej „delikatna”. Był nieco niższy od Vanyela, lecz równie smukły. Wszystko to jednak przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie, odkąd tylko Vanyel spostrzegł,

że wygląd Stefena jest równie mylący jak jego własny. Stefen był kościsty, owszem, tyle że jego kości oplatały mięśnie, twarde jak postronki.

„Nie chciałbym stawać z nim do otwartej walki na ulicy — stwierdził Vanyel, na wpół przymkniętymi oczami taksując chłopca. — Coś mi mówi, że to on by wygrał.”

Ciemnokasztanowe włosy okalały pociągłą twarz chłopca; twarz, która w pierwszej chwili zdawała się składać z pary przepaścistych piwnych oczu, wystających kości policzkowych i najbardziej zaciętego podbródka, jaki Vanyel kiedykolwiek widział.

„Wygląda niczym obłąkany anioł, jak tamten malunek w Wielkiej Świątyni Ducha Prawdy. Ten sam, który tak skutecznie przekonał mnie, że zasób wiedzy ponad miarę doprowadza człowieka do szaleństwa. . .”

Vanyel z uwagą obserwował Stefena słuchającego, co mówi Medren o swych planach. Raz czy dwa chłopiec potakująco skinął głową i kilka pasemek jego falujących włosów opadło mu na oczy. Nie zwracając na to szczególnej uwagi, odgarnął je, pozostając skupiony na słowach kolegi.

Był spięty, to rozumiałe. Vanyel ucieszył się, że został na uboczu. Chłopiec i tak znajdował się pod presją i nie potrzebował dodatkowego stresu związanego z obecnością herolda. Vanyel miał świadomość lęku, jaki wzbudzał w większości ludzi, z którymi miał do czynienia — ogrodnik spotkany rankiem stanowił wyjątek. Większość osób reagowała podobnie jak uczennica Bardicum spotkana po drodze tutaj: zdjął ją taki strach, pomieszany z uwielbieniem, że próbowała się uklonić, chociaż obydwie ręce miała zajęte, a dobre obyczaje od niej tego nie wymagały. Heroldowie nie mieli być traktowani jak osoby „specjalne”. Poza Kręgiem i Radą ich ranga nie miała znaczenia.

Zasady te jednak nie odnosiły się do maga heroldów, Vanyela Ashkevron.

„No cóż, nie jest tak ani tutaj, ani tam” — zamyślił się, obserwując uważnie młodego barda-wędrowca.

Yfandes, co myślisz o tym małym?

Poczuł, jak Yfandes spogląda na chłopca jego oczami, a potem rozpoznał jej aprobate, nim jeszcze zdążyła ją wyrazić.

On mi się podoba, Van. Odda ci wszystko co ma, bez reszty. Posiada potężny dar barda i rzeczywiście ma też drugi dar, niemal równie silny — coś w rodzaju umiejętności uzdrawiania umysłów, ale bardzo szczególnego rodzaju. Więcej nie potrafię powiedzieć, dopóki nie zobaczę, jak działa.

Po raz pierwszy tego dnia Vanyel pozwolił swej nadziei rozpaść się odrobinę większym płomyczkiem.

Więc myślisz, że to może poskutkować?

Wiem tyle co ty — odparła Yfandes. — Ale chłopiec ma w sobie coś niezwykłego, a ty byłbyś głupcem nie umożliwiając mu zrobienia z tego użytku.

Van zamrugnął powiekami.

No cóż, w tej chwili mogę mu jedynie zapewnić to, że będę trzymał się z dala. Nie chcę, aby się spłoszył na widok wielkiego maga heroldów Vanyela, znanego jako Zmora Demonów, który spada wprost na niego niczym na zdobycz.

Rzeczywiście, wielkiego maga heroldów — parsknęła Yfandes. — Zdaje się, że pewien mój znajomy niedługo pęknie z dumy.

Medren otworzył drzwi i skinął na Stefena, by wszedł do pokoju. Potem przez ramię obejrzał się na Vanyela, a ten odpowiedział mu skinieniem. Chłopiec radził sobie wprost znakomicie. Vanyel nie widział powodu, dla którego miałby ingerować, dopóki Stefan nie znajdzie się w Sali Tronowej tuż przed rozpoczęciem audyencji. Odwrócił się więc i poszedł w kierunku schodów.

Pęknię z dumy, tak? — zagadnął schodząc. — Czyż to nie interesujące? Myślałem sobie właśnie, że dużo wody upłynęło od naszej ostatniej przejażdżki po torze wydolnościowym dla zaawansowanych. A czyje to przechwałki słyszałem o czasach, kiedy pokonywałaś tor dłuższą trasą?

Gdyby Yfandes była człowiekiem, jej mowa ze zdenerwowania niechybnie zamieniłaby się w bełkot.

Van! To było bardzo dawno temu! O tej porze dnia na trasie będzie pełno uczniów. Będę wyglądała przy nich jak wór starych gnatów!

Vanyel zachichotał i jedną ręką pchnął drzwi.

A kto mi powiedział, że mógłby wdeptać tych uczniaków w piach?

Vanyel nie wiedział, że Yfandes znała przekleństwo, które teraz usłyszał. Ciekaw był, czy nauczyła się go od Bredy.

Stefen opadł ciężko na jedyne w pokoju wygodne krzesło i wbił wzrok w wybarwioną plamę na otynkowanej ścianie.

„Przecież tego właśnie chciałem, prawda? Dlatego dałem się namówić do wypróbowania tego triku na Bredzie. Kiedyś swoim śpiewem „leczyłem” kaca starej Berty i miałem pewność, że mogę równie dobrze zaradzić dolegliwościom Medrena i Bredy. A w zamian dostać to, czego mi trzeba — bo dobrze wiem, że Medren ma znajomości na Wielkim Dworze. Wiedziałem, że on pomoże mi sprawdzić, czy mogę jakoś pomóc królowi. To jedyny sposób, jaki mi przychodził do głowy, na zjednanie sobie przychylności Dworu, i to sposób uczciwy. Przecież wiem, że mogę pomóc królowi Randalowi. To, co mogę dla niego zrobić będzie służyło mu lepiej, niż tykanie tej olbrzymiej ilości leków. To będzie uczciwa wymiana. Więc dlaczego jestem tym wszystkim tak bardzo podenerwowany?”

Nie mógł znieść beczynnego siedzenia. Sięgnął odruchowo po cytrę, zaopatrzoną w nowe struny i nastrojoną, którą postawił wcześniej obok krzesła. Był to jeden z jego pierwszych uczniowskich instrumentów — podniszczony i sfatygowany, stary przyjaciel. Przeciągnął palcami po strunach, wykonując palcówki, które każdy bard, zdrów czy niezdrów, słońce czy deszcz, ćwiczył co dnia.

Stef od dawna wiedział o swym ukrytym talencie kojenia bólu śpiewem. Tamta starucha, która zajmowała się nim, odkąd tylko pamiętał, przymuszała go do wykorzystywania jego muzyki do wszelkich możliwych, praktycznych celów. Zwykle albo musiał uwalniać ją od bóleści, albo znosić jej nie przewidywalne zmiany nastroju i ufać, że uda mu się umknąć z zasięgu jej rąk, gdy będzie cierpiała po wesołej nocy.

Stara Berta nie była jego matką. Nie przypominał sobie nikogo, kto mógłby nią być. Zawsze była tylko Berta. Wspomnienia tamtego czasu były wciąż żywe, zabarwione głodem fizycznym i uczuciowym. Berta ucząca go żebrać, nim jeszcze umiał chodzić. Berta obkładająca go symulowanymi ranami z ciasta mącznego i krowiej krwi, żeby wyglądał na chorego. Berta podwijająca mu jedną nogę, aby musiał kuśtykać, podpierając się kulami. Pamiętał godziny spędzone u jej boku na rogach ulic, kiedy uczył się płakać na zawołanie.

Potem przyszedł dzień, w którym jeden z żebraków przyniósł metalowy gwizdek, a Stef wysokim, czystym sopranem zaczął śpiewać jakąś piosenkę. Gdy skończył, ich trójkę otaczał tłum ludzi, rzucających do popękanej drewnianej miseczki Berty więcej miedziaków, niż Stef widział w całym swym życiu.

„Uniosłem oczy i zobaczyłem wyraz jej twarzy. Wiedziałem, że już nigdy więcej nie będę musiał kuśtykać o kulach.”

Zamknął oczy i przebiegł palcami przez kolejny zestaw palcówek. „Berta przyniosła wtedy ze straganu na jarmarku prawdziwą gorącą kolację. Świeże jedzenie, nie zestarzałe, nie okruchy i odpadki. A w nocy spaliśmy na sienniku, pod kocem, który kupiła od szmaciarza. To był najlepszy dzień w moim życiu.”

I nie powtórzył się przez długi czas, bo gdy Berta znalazła takie stałe źródło zarobku, zaraz powróciła do swych dawnych uciech, które kiedyś uczyniły z niej żebraczkę. Do alkoholu, i narkotyku zwanego „marzonko”.

„Przepijała i traciła na narkotyki każdego zarobionego przez nas miedziaka. Ale przynajmniej nie musiałem spędzać połowy każdej nocy na wyswobodzaniu się z klamer, którymi kiedyś pętała mi nogi — pomyślał i grając, zmusił mięśnie swych ramion do odprężenia. Wszystko układało się troszkę lepiej. Mogłem leczyć jej bóle głowy po przepiciu — na tyle przynajmniej, abyśmy mogli wyjść na ulicę każdego ranka. Byłem głodny, ale nie tak głodny, jak wówczas, gdy żyliśmy tylko z żebraniny. Im bardziej się zaprawiała, tym łatwiej było uszczknąć jednego czy dwa miedziaki, a gdy pogrążała się w swoich majakach, mogłem się wyslizgnąć i kupić sobie coś do jedzenia. Ale ciągle się zastanawiałem, kiedy zadrze z tym, co jej sprzedawał narkotyki; jak długo to potrwa, nim jej głód tak się nasili, że w końcu mnie sprzeda, jak sprzedała własne dzieci. — Jego dłonie na strunach zadrzały od mimowolnego dreszczu. — Tamtej nocy, kiedy porwała mnie Lynn, nie miałem wątpliwości, że tak właśnie się stało.”

Było już późno. Berta, chrapiąc, zapadła właśnie w swe zapomnienie, a Stef z kilkoma miedziakami w zaciśniętej dłoni wymknął się przez szparę między luź-

nymi deskami z wynajętego przez nich pokoju. Miał zamiar pobiec prosto do karczmy „Zgiełk”. Wiedział, że tam będzie mógł za te dwa miedziaki kupić sobie miskę zupy i tyle chleba, ile zdoła zjeść. Ale ktoś na niego czekał. Wysoka kobieta, z łagodnym uśmiechem, odziana w szkarłat.

Gdy tylko skręcił za róg, chwyciła go za ramię. Okazało się, że jest z nią dwóch umundurowanych gwardzistów. Groza tamtej chwili odcisnęła się w jego pamięci piętnem jej słów: „Chodź ze mną, chłopcze. Teraz należysz do Valdemaru”.

Nie miał najmniejszego pojęcia, o co jej chodziło. Nie wiedział, że „Valdemar” był nazwą królestwa, w którym żył. Nie wiedział nawet, że żyje w królestwie! Znał tylko to jedno miasto i nigdy nie wyszedł za jego mury. Był przekonany, że „Valdemar” to jakiś człowiek i że Berta go sprzedała albo w jakiś sposób przehandlowała.

„Byłem struchlały ze strachu — zbyt przerażony, aby się sprzeciwić, zbyt sparaliżowany, aby się odezwać. Nie przestawałem łamać sobie głowy, kim jest ten „Valdemar”, i czy to kobieta, czy mężczyzna. — Uśmiechnął się do swych wspomnień. — Biedna Lynn. Gdy w końcu zrozumiała, jak sobie wytłumaczyłem powód, dla którego mogła mnie kupić, spiekła takiego raka, że była czerwona jak jej własna tunika.”

Lynn robiła, co mogła, starając się przekonać go, że się myli, ale on wcale jej nie wierzył. Naprawdę nie wierzył w nic, co się z nim dzieje, dopóki nie upłynęły dwa tygodnie od momentu, kiedy przywieziono go do Kolegium, przebadano i potwierdzono, że posiada dary.

„Medren mnie przekonał. Niech bogowie błogosławią Brede za to, że nas zakwaterowała razem. On był prawdziwym wiejskim chłopakiem, ja zwykłym gruboskórnym ulicznikiem, a jednak jakoś udało nam się przebrnąć razem przez to wszystko. Nie zazdrościł mi nawet, kiedy się dowiedział, że mam wszystkie trzy dary, i to dużo silniejsze niż jego.”

Aby zapewnić sobie wstęp do Kolegium Bardów w roli kandydata na barda, a nie zwykłego minstrela, trzeba wykazać się przynajmniej dwoma talentami, spośród trzech ogólnie znanych jako „dary bardów”. Pierwszy z nich był najbardziej powszechny: umiejętność komponowania muzyki, zwana często „darem twórczym”; drugi stanowił wyjątkową kombinację zdolności składających się na „dar muzykalności”. Trzeci dar zaś był bliższy darowi uzdrawiania czy któremuś z darów heroldów, a nazywał się najzwyczajniej „dar bardów”.

Wydawało się, iż dar ten ma jakiś związek z empatią, bowiem osoba urodzona z nim miała zdolność manipulowania nastrojami widowni przy pomocy muzyki. Niektórzy legendarni bardowie dzięki swym pieśniom umieli ponoć zapanować nad słuchaczami bez reszty.

Stef posiadał wszystkie trzy dary, tak jak podejrzewała Lynn. Medren, który aż do przyjazdu Stefena był prawdziwym gwiazdorem wśród uczniów Kolegium,

również miał wszystkie te dary, choć nie dorównywały one siłą darom Stefena.

Na przykład dar twórczy. Medren otwarcie przyznawał, że skomponowanie czegokolwiek bardziej skomplikowanego niż prosta ballada jest dla niego rzeczą równie niemożliwą do wykonania, jak chodzenie po wodzie. Co do daru muzykalności — niewielu mistrzów bardów potrafiłoby dorównać Stefanowi w zręczności gry na ulubionych przez niego instrumentach. Prawdę mówiąc, zaledwie kilku umiało grać na tak wielu, jak on, instrumentach. Choć zdecydowanie preferował dwunastostrunową cytrę, Stef grał właściwie na każdym istniejącym instrumencie strunowym i perkusyjnym, a nawet na kilku instrumentach dętych, takich jak dudy.

Największe jednak wrażenie robił dar bardów Stefena. Jeszcze zanim udowodnił, że umie przenikać pomiędzy słuchacza a jego ból, sam mistrz bardów zachwycał się siłą jego daru. Choć nie był wtedy odpowiednio wykształcony, Stef potrafił z łatwością skupić uwagę widowni, składającej się z ponad dwudziestu osób; a gdy się przyłożył do swego występu, słuchacze głuchli i ślepli na wszystko, z wyjątkiem jego muzyki.

„Każdy byłby zazdrosny, ale nie Medren. On mi tylko współczuł, że byłem taki osamotniony. — Stefan uśmiechnął się i z ostatniej palcówki ułożył kołysankę. — Taki byłem, łabędziałko pośród kurczaków, a on zamiast próbować zadziobać mnie na śmierć, jak zrobiłby każdy na jego miejscu, uznał, że potrzebuje obrońcy. Bez niego życie byłoby dużo cięższe. Uchronił mnie przed zrobieniem sobie wielu wrogów. . .”

Stefen dopiero po dłuższym czasie dowiedział się, że wielu spośród chłopców, którzy wykazali się najbardziej jadowitymi językami i początkowo wykluczyli go — jako obcego — ze swych kręgów, byli dziećmi arystokratów, zarówno utytułowanych, jak i nie zajmujących żadnych ważnych stanowisk. Gdy Stef próbował dobrać się do któregoś z nich w otwartej walce w swoim stylu „bij — zabij”, przyniesionym z ulicy, Medren zawsze powstrzymywał go przed utratą zimnej krwi.

„Pomógł mi zmusić ich, aby mnie przynajmniej zaakceptowali. Mogą mi się jeszcze przydać. W każdym razie na pewno nie mogę pozwolić na to, aby któryś z nich żywił do mnie urazę. — Westchnął i odstawił na stojak swój instrument — To moja jedyna nadzieja: przychylność dworu. Jak to dobrze, że Medren uchronił mnie od zaprzepaszczenia jej, zanim w ogóle mogłem zacząć na nią liczyć. Lepiej być bardem niż żebrakiem, ale to bardzo ryzykowny zawód, w którym nigdy nie ma się prawdziwego poczucia bezpieczeństwa. Uzdrowiciel zawsze może liczyć na opiekę świątyni, gdy coś mu się przytrafi, a kiedy herold odnosi rany albo choruje — a, na Niebiosa, większość przypadków kończy się śmiercią — zawsze czeka na niego gotowe miejsce tutaj, w pałacu. Bard może polegać tylko na sobie. Jeśli straci głos lub władzę w rękach. . .”

Prawda, jakkolwiek gorzka, była taka, że Stefan brał swój rodowód z ulicy i jeśli coś mu się stanie, właśnie na ulicy najprawdopodobniej skończy, chyba że

zawczasu zapewni sobie bezpieczną przyszłość.

W przeciwnym razie...

„Nie. — Wstał i przez moment patrzył przez okno na pałac, źródło wszelkiej nadziei. — Nie. Dokonam tego. Sam wywalczę swoje szczęście. Przysięgam, że już tam nie wrócę. Nie skończę tak jak Berta.”

Jeszcze przez chwilę spoglądał na pałac, po czym wziął do ręki futerał kryjący jego dobrą cytrę, wyprostował ramiona i skierował się do drzwi.

„Na razie ”Valdemar,, mnie potrzebuje, mimo wszystko. Służę ”Valdemarowi,, i obaj dostajemy to, czego nam trzeba. — Skinął głową, a potem zamknął za sobą drzwi. — To wystarczy.”

ROZDZIAŁ TRZECI

— Nic ci nie będzie? — zapytał Vanyel półszeptem i zaraz w następnej sekundzie pomyślał wściekły: „Jasne, że nie, ty głupcze”. Król był błądliwy jak płótno, niemal przezroczysty, jego usta i oczy okalały na stałe wyżłobione bólem cieniutki zmarszczki. W innych okolicznościach Vanyel kazałby mu zaraz iść do łóżka. Przejście do Sali Audiencyjnej kosztowało go tyle trudu, że kropelki potu pokrywały mu całe czoło. Vanyel nie musiał wysilać nadto swego zmysłu empatii, aby zrozumieć, ile bólu przysparzały królowi jego stawy. Vanyel oddałby całe lata swego życia, gdyby tylko mógł kupić za nie królowi kilka chwil wytchnienia od tej męczarni. Nie dał jednak tego po sobie poznać, gdy sadzał poblądłe widmo, które było królem Randallem, na wyściełany, bezpieczny azyl jego tronu.

— Nic mi nie będzie — odparł Randal, zdobywając się na wymuszony uśmiech. — Doprawdy, Van, zanadto się martwisz. — Nie mógł powstrzymać ciężkiego sapnięcia spowodowanego bólem, gdy poślizgnąwszy się lekko, uderzył ramieniem o oparcie tronu.

Vanyel przeklął swą nieporadność. Nie mógł ścisnąć zbyt mocno wątych ramion Randal, ratując go przed upadkiem i opuszczając ostrożnie na tron. „Następny siniak rozmiaru mojej dłoni; nie trzeba mu kolejnych dziesięciu takich po moich palcach”.

— Doprawdy, Van — powtórzył Randal z ewidentnie sztuczną wesołością, siedząc już najwygodniej, jak tylko było to możliwe. — Za bardzo się martwisz.

Vanyel odstał od niego na krok, gotów udzielić każdej pomocy. Wyczuwał jednakże podatność króla na rozdrażnienie spowodowaną przez jego słabość i bezradność. „Nie trzeba mu przypominać, że niewiele już może zrobić.”

Wtem uwagę Randal przyciągnął cichy odgłos otwierania i zamykania bocznych drzwi komnaty. Kiedy przekreślił lekko głowę, by zobaczyć kto to, Stefen wszedł akurat do Sali Audiencyjnej, postawił sobie stołek i jął usadawiać się nie opodal tronu.

— Czy to nowy bard? — zapytał Randal z zainteresowaniem większym aniżeli to, jakie okazywał innym sprawom tego dnia. — Nie pamiętam, abym widział kiedyś na dworze tego młodzieńca, a już na pewno nie przypominam sobie tej czupryny! Wygląda jak las w ogniu zachodzącego słońca.

Yfandes, mam mu powiedzieć?

Nie — dobiegła go natychmiastowa odpowiedź. — Rozniecanie jego nadziei byłoby okrutne. Stefen albo mu pomoże, albo nie. A jeśli nie, lepiej będzie, jak król zwyczajnie zaczerpnie z jego muzyki jak największą radość.

Vanyel westchnął. Yfandes potrafiła wykazać się najchłodniejszym pragmatyzmem w najniezwykleszych nawet chwilach.

— Breda go przysłała — odpowiedział wymijająco Van. — Powiada, że jest bardzo dobry i możesz mieć z niego pożytek przy tej zgrai twardogłowych.

— Utalentowany, hm? — Randal zdawał się autentycznie zainteresowany.

— Nadzwyczajnie, według Bredy. — Vanyel odchrząknął. — Przypuszczam, że wiatr jej podszeptał coś na temat tej grupki z Krainy Jezior i przysłała go specjalnie. Rozumiem więc, że skupi się na czymś uspokajającym.

Randal wybuchnął zduszonym śmiechem.

— Breda to bardzo mądra kobieta. Przypomnij mi, abym jej podziękował.

W tej właśnie chwili przybyła delegacja z Krainy Jezior. Posłowie odziani w jasne szaty stali przy drzwiach zbitą grupką, oczekując, aż kasztelan ich zaanonsuje. Vanyel wycofał się na swe miejsce za tronem, po lewej ręce Randala, tymczasem Shavri usiadła, jako osobisty króla, po jego prawicy.

„Proszę — Vanyel posłał w ich stronę niemą prośbę — pozwólcie mu przetrwać tę audiencję.”

Shavri skinęła na Stefena, a gdy ten zaczął grać, delegacja uformowała kolejkę posuwającą się w stronę tronu,

Stefen przezwyciężył w sobie gwałtowną chęć wlepienia oczu w króla i zamiast tego skoncentrował się na strojeniu swego instrumentu. Każde krótkie spojrzenie, które rzucał raz po raz ukradkiem w stronę Randala, ukazywało przed nim coraz bardziej odpychające widoki. Tylko cieniutka, złota opaska przytrzymująca z tyłu głowy liche włosy, oraz respekt, jaki każdy okazywał temu, a nie innemu człowiekowi, upewniały Stefena, że mężczyzna na — a raczej w — tronie to król Valdemaru. Na podium stało jeszcze dwoje innych heroldów, po obu stronach tronu: smągła kobieta oraz mężczyzna, którego Stefen nie widział, ponieważ kobieta go zasłaniała. Każde z nich jednakże miało daleko bardziej królewską prezencję od Randala.

Stefen naturalnie wcześniej wiedział o chorobie Randala — przestała ona być sekretem na długo przed jego przyjazdem do Przystani. Nie wiedział jednakże, jak zaawansowany jest stan króla; w końcu kandydaci na bardów, czy nawet stażyci-wędrowcy, bardzo rzadko zdobywali status pozwalający im na dołączenie do dworu — w szczególności bękarty, takie jak Medren, albo ulicznicy jak on sam. Bardowie natomiast nigdy nie plotkowali na temat króla, przynajmniej wtedy, gdy jakieś nie pożądane słówko mogłoby dotrzeć do uszu któregoś z uczniów.

Poza tym Stefen nie wierzył nawet w jedną czwartą tego, co zwykli opowiadać przyszłym bardom mieszczańskie lub inni uczniowie pochodzący z arystokratycznych rodzin. Nie ulegało wątpliwości, iż choroba króla jest bardzo poważna. Stefen wyobrażał sobie, że Randal będzie wyglądał na schorowanego, że ujrzy go wychudzonego i bladego. Nigdy jednak nie przyszło mu do głowy, że król może być umierający.

Randal wyglądał jak widmo: bezbarwne włosy, ciało kościotrupa, trupia cera. Gdyby Stefen natknął się na niego w ciemnym zaułku, momentalnie uwierzyłby w każdą opowieść o duchach straszących w pałacu. To, że król miał na sobie Biel heroldów, zdało się na nic; szaty tylko podkreślały jego bladość.

Stefen był wstrząśnięty. Dotąd nie potrafiłby sobie nawet wyobrazić, że stan króla może być aż tak poważny. Dotąd zdawało się to wręcz niemożliwe; królowie nie mogli przecież umierać, jak zwykli śmiertelnicy. Gdy królowie zachorują, uzdrowiciele mają podejmować wszelkie najbardziej heroiczne starania, by ich wyleczyć. Ból nie może odciskać się na życiu królów takim piętnem, ażeby każdy ruch musiał być wykonany z wahaniem i drżeniem.

Królowie mają czynić cuda.

„Tylko ten tego nie może. Ten nie jest w stanie rozkazać swemu ciału, aby pozostawiło go w spokoju...”

Ten człowiek miał w sobie jakiś heroizm: siedział na tronie, chociaż bez dwóch zdań jego miejsce było w łóżku; wypełniał swe obowiązki pomimo tego, że bardzo cierpiał. Stefen chciał coś dla niego zrobić, obronić go. Po raz pierwszy w życiu zapragnął komuś pomóc tylko dlatego, że osoba ta potrzebowała pomocy.

Na moment ogarnęła go dezorientacja.

„Coś przecież będę z tego miał — przypomniał sobie. — Zainteresowanie dworu. Może nawet przychylność króla, jeśli tylko dobrze się spiszę. No, Stefen, wiesz, o co toczy się gra; uspokój się i zrób swoje. Skoro król potrzebuje twojej pomocy, to tym bardziej będzie ci wdzięczny, gdy ją dostanie.”

Przy drzwiach zapanowało poruszenie, po czym pojedyncze osoby jęły odrywać się od grupki i zbliżać do tronu. Stefen w oczekiwaniu na polecenia, spojrzął na trójkę na podium. Ciemnowłosa kobieta o zasmuconych oczach skinęła ku niemu znacząco.

Przyjmując to za sygnał, Stefen zaczął grać, rozkładając swą moc dokładnie według wcześniejszych instrukcji. Największa jej część płynęła do króla Randala, pozostała energia otoczyła zbliżających się właśnie delegatów, uśmierzając ich lęki i podejrzenia (a byli wielce podejrzliwi), co Stefen bez trudu wyczytał z ich zachowania. Aczkolwiek bardowie nie posiadali daru myśloczucia, to jednak dzięki nauce czytania gestów i wyrazów twarzy, jaką pobierali w Kolegium, nieraz sprawiali wrażenie, jak gdyby było wręcz odwrotnie. W tej chwili Stefen miał absolutną pewność, że cała gromadka posłów myśli sobie, iż Randal rozgrywa z nimi jakąś polityczną grę, z wyrachowaniem obrażając ich tym, że muszą czekać na

swą audiencję.

„Spójrzcie tylko, durnie — pomyślał, sam zaskoczony swą złością na nich. — Widzicie, przez co on przechodzi? Nie opóźniał wcale spotkania z wami, ten człowiek jest w agonii. Każdą chwilę spędzoną z wami przypląca cierpieniem.”

Stef spróbował choć część tych uczuć wpleść w swą muzykę. Poskutkowało. Zobaczył, jak nieufność opuszcza kamienne, zacięte twarze członków delegacji, jak na ich obliczach maluje się dezorientacja, a w końcu nieśmiałe zawstydzenie.

Pozwolił sobie przez moment napawać się swym triumfem, po czym uwagę skierował znów na króla. W gruncie rzeczy nie miał pojęcia, jakich oznak poprawy samopoczucia Randal miał się spodziewać. Wiedział tylko, że zdoła przynieść królowi coś w rodzaju ulgi — tego był całkiem pewny. Lecz jaka to będzie ulga... Czy objawi się jakimś zewnętrznym znakiem...

Najbardziej zaskoczyła go reakcja nieznanym kobiecie. Ta bowiem, ze zdumioną i pełną niedowierzania miną, ścisnęła ramię drugiego herolda. Randal najzwyczajniej w świecie wyglądał... dobrze, coraz lepiej. Wyprostował się, w ułożeniu jego głowy i ramion było więcej czujności, poruszał się z większą swobodą niż wcześniej.

Wtedy Stef na mgnienie oka ujrzał jego twarz.

Breda była odmieniona, gdy jego dar uspił jej ból podczas migreny. Medren odżył, gdy ustąpiła dokuczliwość jego gorączki. Lecz tamte reakcje w porównaniu z ulgą, jaką znać było teraz po Randalu... No cóż, nie było porównania.

Dopiero w tej chwili Stefen uzmysłowił sobie, jak ciężkie musiało być życie króla z jego cierpieniem, nieodłącznym towarzyszem, w dzień i w nocy, bez nadziei na ustanie bólu.

Nie mógł znieść myśli o zakończeniu tej chwili ulgi, nie po tym, co zobaczył. Toteż choć audyencja dobiegła końca, Stef grał dalej, pogrążając się w transie. Nie istniało dla niego nic poza muzyką i przepływającą przez niego energią, w całości skierowaną teraz na Randal. Cichy, cyniczny głosik odzywający się gdzieś w zakamarkach jego głowy nie mógł się temu nadziwić; zastanawiał się, dlaczego ten człowiek robi na Stefenie aż tak silne wrażenie, dlaczego Stef daje z siebie tak wiele, choć przecież nikt nie obiecywał mu nagrody.

Chłopiec nie zważał jednak na te myśli. Być może godzinę wcześniej byłby się nad nimi zatrzymał dłużej, lecz teraz, zamiast rozsądne i racjonalne, wydały mu się małostkowe i niedobre. Poza tym i tak nic się nie liczyło. Liczyła się tylko muzyka i miejsca, których dotykała.

Stefen czuł w sobie już tylko przepływ melodii, wolny od wszelkich myśli. To był świat, dla którego żył, odkąd tylko go odkrył — malutki wszechświat utkany z muzyki. Tutaj było jego miejsce i nic nie mogło go tu osiągnąć — ani głód, ani ból, ani samotność. Zamknął oczy i pozwolił muzyce ponieść się głębiej w ten świat, głębiej, aniżeli dotarł kiedykolwiek wcześniej.

Naraz coś musnęło jego błędzące myśli. Uczucie czyjeś bliskości wkradło się

tam, gdzie nikt dotąd nie wtargnął. „Co to?” — zdumiał się, a jego palce potknęły się na strunach. To nieznaczne wahanie rozwiało nastrój, w którym się zatopił. Nagle poczuł ból, rzeczywisty ból, a nie echo cierpienia Randal'a. Palce miał obolałe i rozognione — grał już o wiele dłużej, niż powinien. . .

Istotnie, gdy powoli otworzył oczy i zgiął palce, oddzierając je niemal od strun, popatrzył na swą drugą dłoń na gryfie. Jej zaczerwieniona i trochę spuchnięta skóra zdradzała, że pod zgrubieniem zrobiły się już pęcherze.

„To dopiero będzie ból.” Ale to nie ta myśl o tym wyrwała go z transu. Otóż obok niego ktoś stanął, dość blisko, aby rozproszyć jego skupienie, choć nie na tyle, by zawisnąć wprost nad nim.

Stefen poczuł, że oblewa się rumieńcem; dlaczego, tego nie wiedział. Nie był zakłopotany, może raczej zmieszany, Uniósł wzrok znad swej okaleczonej dłoni i popatrzył, kóż to obok niego stoi.

Gdy zatraciwszy się w swej muzyce, wszedł w trans, Sala Audiencyjna była niemal pusta — teraz tłum ludzi wypełniał ją po brzegi. Ale z transu wybiła go jedna, jedyna osoba: drugi herold, ten, którego Stef nie mógł wcześniej dojrzeć, bo zasłaniała go kobieta stojąca przy tronie. Stefen znał go dobrze, wiedział dokładnie, kim jest. Długie, srebrzyste włosy, twarz, do której wzdychała każda kobieta na dworze, srebrzyste oczy, które zdawały się patrzeć prosto w serce — tego herolda nie można było pomylić z żadnym innym. Oto stał przy nim mag heroldów, Vanyel Ashkevron, Zmora Demonów, zwany też Panem Ognia albo Łowcą Cieni. Miał ze sto różnych imion, a opowieści i ballad o nim krążyło dwa razy tyle; był chyba najczęściej opiewanym w pieśniach żyjącym heroldem.

Stefen znał każdą z tych legend i wiedział o Vanyelu rzeczy, jakich nie znajdziesz w pieśniach. Przede wszystkim zaś wiedział, że Vanyel ma ustaloną reputację samotnego wilka i że od lat trzyma się z dala od ludzi, którzy nie byli heroldami, a nawet ci, których nazywał „przyjaciółmi” byli z nim w gruncie rzeczy niewiele bliżej aniżeli przygodni znajomi.

Nie miewał kochanków — odkąd Stef trafił do Kolegium, ani razu nie słyszał plotek na ten temat. „Więc z chęci upolowania go, panie zaczęły wyteżać swój spryt, a każda czyniła to z nadzieją, że właśnie ona stanie się tą, w której Vanyel znajdzie upodobanie, że to właśnie jej uda się roztopić bryłę lodu, w której się skrył.”

Gdyby wszystko to nie było aż tak śmieszne, Stef pewnie by ich nawet żałował. Wszystkie te damy skazane były bowiem na fiasko, a ich zaloty, wzdychania i nadzieje nigdy nie miały zostać spełnione. Stef wiedział to, czego one nie wiedziały — nie wiedziały dlatego, iż Vanyel żył tak, jak gdyby złożył śluby czystości. Kilkoro starszych heroldów, którzy znali go jeszcze z młodych lat, nieskorych było do plotek. Niemniej jednak, dzięki Medrenowi, Stef wiedział, że Vanyel, jak on sam, jest *shay'a'chern*. I że jego samotność nie bierze bynajmniej swego źródła w braku zdolności do odczuwania pożądania.

Samotność ta, według Medrena, brała się z lęku. Był to lęk przed tym, że bliskość Vanyela mogłaby narazić jego potencjalnych partnerów na niebezpieczeństwo. Lęk przed tym, że ci, na których mu zależało, mogliby kiedyś zostać wykorzystani przeciwko niemu.

Przeszłość zdawała się w pewien sposób potwierdzać te obawy. Jeśli chodzi o życie uczuciowe, szczęście Vanyelowi raczej nie sprzyjało. . .

„Zwłaszcza z Tylendelem.”

Stef wiedział wszystko o Tylendelu, pewnym kandydacie na herolda, o którym nigdy się nie mówiło — przynajmniej nie mówiło się chętnie. Wspominano jego Towarzysza, lecz unikano wypowiedzania jego imienia. Mówiono: „Gala wyparła się swego Wybranego.”

„Jak gdyby osobom wypowiadającym jego imię, groziło splamienie się jego błędem.”

Niewiele pieśni opowiadało o tamtych wydarzeniach i niewielu ludzi skłonnych było rozmawiać o zmarłym uczniu, pomimo że akt wyrzeczenia się Tylendela przez jego Towarzysza dał początek potędze Vanyela.

Ludzie wiedzieli, że herold Vanyel był najbliższym przyjacielem Tylendela — niektórzy pamiętali nawet, że kochankiem. Jednak Stefen odnosił wrażenie, jak gdyby pomimo tego chcieli zapomnieć o istnieniu Tylendela.

Przerażało go to jako przejaw swego rodzaju niesprawiedliwości. Wszak tamta tragedia bezpośrednio zdecydowała o tym, że Vanyel stał się najbardziej szanowanym i najpotężniejszym magiem heroldów Kręgu, a z informacji, jakie zdołał zebrać Stefen, wynikało iż Tyndel nie był przy zdrowych zmysłach, gdy dążąc do zemsty, położył na szali, wszystko inne. Towarzysze o tym wiedziały: to one pociągnęły dla niego za sznur Dzwonu Śmierci. Dzięki temu zaś pochowano go ze wszystkimi honorami, mimo że Gala się go wyparła. Wszystko to mówiło Stefanowi, że ktoś jeszcze, nie tylko Vanyel, uważał Tyndela za godnego Bieli, którą zasłużenie otrzymałby, gdyby tylko nie posunął się za daleko.

Stefen był jedną z niewielu osób spoza Kręgu Heroldów, które wiedziały, że potępiony Tyndel był pierwszym kochankiem Vanyela i — według Medrena — jego jedyną miłością, dodatkowo umacniającą ich więź życia.

„A Medren dobrze się w tym orientuje, bo przecież Vanyel to jego wuj” — pomyślał Stefen, wpatrując się głupawo w srebrzyste oczy nad sobą. Nigdy wcześniej nie był tak blisko sławnego maga heroldów, choć w cichości serca zawsze czcił Vanyela i marzył o nim od. . . no cóż, od wielu lat.

Medren zaproponował mu kiedyś, że przedstawi ich sobie, Stefen jednak nigdy nie potrafił zebrać dość odwagi, by się na to zdecydować. Oczywiście, Medren był przyjacielem Stefena i ulubionym bratankiem Vanyela, ale herold wydawał się Stefanowi kimś tak odległym, jak gwiazda oglądana oczami zebrzącego dziecka.

Nic nie przeszkadzało mu jednak marzyć. We wszystkich marzeniach Stefen

wyobrażał sobie, że zrobi coś wspianiałego: być może napisze balladę, która wy-ciśnie łyzy z oczu każdego, kto ją usłyszy; albo wypełni jakiś bliżej nieokreślony, lecz niezmiernie ważny obowiązek wobec korony. Oczami wyobraźni widział, jak prezentują go na dworze, a potem oficjalnie przedstawiają heroldowi Vanyelowi. Układał sobie w głowie setki dowcipnych powiedzonek, mających wywołać śmiech herolda, lub zabawić go tylko. W dalszych marzeniach Stefena Vanyel zaczynał szukać jego towarzystwa, a w końcu zabiegał o jego względy. Ponieważ, dzięki ploteczkom Medrena, Stefan miał pełną świadomość, że zanim mag heroldów dał się pochłonać obowiązkom osobistego króla — i zanim uznał, że jego romanse mogłyby ściągać niebezpieczeństwo na otaczających go ludzi — Vanyel bynajmniej nie żył w celibacie.

I oto nadszedł ten moment: mag heroldów Vanyel stał w zasięgu jego ręki, spoglądając nań z wdzięcznością i zainteresowaniem. Teraz nadszedł czas, aby powiedzieć lub zrobić coś błyskotliwego. . .

Muzyka zająknęła się, milknąc drżącą nutą, a Stef wciąż wpatrywał się w swego idola, niezdolny wydusić z siebie choćby jedno słowo, ani mądre, ani niemądre.

Vanyel odwróciwszy się odszedł na podium, za to Stefan poczuł, że uszy pieką go ze złości.

„Miałem szansę. Miałem. Powinienem być coś powiedzieć, cokolwiek, psia-kość! Dlaczego nie umiałem z siebie nic wydusić? Och, bogowie, jak mogłem zrobić z siebie takiego idiotę z rozdziawioną gębą?” .

Król rozmawiał właśnie z kimś w Zieleni uzdrowicieli. Wyglądało to na coś więcej aniżeli widzenie czy audiencja; chociaż sądząc po tym, jak tych dwoje pochylało się ku sobie, i po intensywności ich skupienia, nie sposób było wątpić, że to ważna wymiana zdań. Podczas gdy Stefan siedział oniemiały, ubliżając sobie za tak głupie zachowanie, mag heroldów przerwał ożywioną naradę, szeptem wtrącając jakąś uwagę.

Oboje, Randal oraz jego uzdrowicielka, zwrócili głowy w jego stronę i Stefan nagle poczuł, że na niego kierują się wszystkie oczy w Sali Audiencyjnej. Poczuł gorąco zalewające mu twarz, niezbity dowód na to, że się rumieni. Chciał odwrócić wzrok, ukryć swe zakłopotanie, ale nie miał śmiałości. Wiedział, że gdyby to zrobił, wyszedłby na dziecko i głupca jeszcze większego, aniżeli zrobił z siebie dotąd. Zamiast tego uniósł nieco brodę i taktownie zignorował wszystkich obecnych, zatrzymując oczy na królu.

Randal uśmiechnął się — to był niespodziewany uśmiech, lecz Stefan z nieśmiałością go odwzajemnił. Łatwo było puszyć się w otoczeniu swych rówieśników, ale skupiając na sobie uwagę z jednej strony Vanyela, a z drugiej króla, Stef powoli zaczynał tracić rezon.

Toczył ze sobą prawdziwą walkę, by za wszelką cenę powstrzymać się od spuszczenia oczu. Król uśmiechnął się jeszcze szerzej i zaraz odwrócił głowę. Wtedy powiedział coś do Vanyela, ale za cicho, żeby Stef mógł usłyszeć.

Nagle ludzie zaczęli opuszczać komnatę. . .

Stefen zdumiał się. „Audiencja chyba skończona.” W trakcie krzątaniny wokół podnoszenia króla z tronu i stawiania go na nogi, wszyscy zdali się zapomnieć o istnieniu Stefena. Chłopiec wziął głęboki oddech i zaczął się pakować. Czuł ulgę, nie będąc już w centrum zainteresowania, lecz było mu troszkę przykro. Przecież dopiero co, dla Randala zdarł sobie palce do krwi — będzie je kurował przynajmniej tydzień. Gdyby nie on, posiedzenie Rady tego popołudnia wcale by się nie odbyło.

„Dziękuję ci, Stefen. Cała przyjemność po mojej stronie, Wasza Wysokość. Z tego proszę sobie nic nie robić. Jeden dzień. . .”

Jakiś ruch dostrzeżony kątem oka kazał mu unieść wzrok. W jego stronę szedł herold Vanyel.

Stef spuścił oczy na swą cytrę, a potem na skórzany futerał podróżny. Ręce mu drżały, co nie ułatwiało pakowania instrumentu do ciasnej torby, i bynajmniej nie przydawało mu pewności siebie. Pośpiesznie zapiął sprzączki, serce waliło mu jak młotem, gdzieś w okolicach gardła. „Zbyt pochopnie wyciągam wnioski — pomyślał, zbierając nuty i chowając je do teczki. — On wcale nie idzie do mnie. Przecież mnie nie zna, są ważniejsi ludzie, o których musi się troszczyć. Tak naprawdę, teraz idzie porozmawiać z kimś, kto stoi za mną. On. . .”

— Proszę — powiedział łagodny, głęboki głos i teczka na nuty zniknęła z ręki Stefena. — Pozwól, że ci pomogę.

Stefen zajął w zamglone, srebrzyste oczy Vanyela i aż zapało mu dech w piersiach. Nie miał siły przerwać tego spotkania spojrzeń; Vanyel pierwszy odwrócił wzrok, spoglądając na pokaleczoną rękę Stefena. Usta herolda ściągnęły się i wydały odgłos podejrzenia przypominający reakcję na ból.

Stefen przypomniał sobie, że posiniały nie wygląda najlepiej, i skłonił swe płuca do wznowienia pracy. Ale po sekundzie jego oddech znów zamarł. Herold, wzięwszy Stefena pod ramię niczym starego przyjaciela, ponaglił go do wstania.

Vanyel obejrzał się przez ramię na tłum, skupiony teraz wokół odchodzącego króla, i jego usta zastygły w półuśmiechu.

— Za nami nikt nie będzie tęsknił — rzekł. — Masz coś przeciwko temu, żebym zajął się twoimi palcami?

— Och, nie. . . — wykrztusił Stefen. Zdawało mu się przynajmniej, że coś takiego zdołał wyjąkać. W każdym razie musiało to dobrze zabrzmieć, bo Vanyel skierował go zrećznie ku wyjściu prowadzącemu do Skrzydła Heroldów.

Stefen momentalnie postradał wszelką umiejętność rozumowania, nie był zdolny do sformułowania nawet pojedynczej, składnej myśli.

Vanyel wziął od młodego barda jego teczkę z nutami i cytrę, a potem trącił go delikatnie łokciem, aby ruszył do bocznych drzwi komnaty. Nie pozwolił Stefe-

nowi nieść czegokolwiek, ponieważ palce chłopca były w strasznym stanie. Sam łajał siebie za to, że nie zauważył tego wcześniej.

„Gdybym tylko zastanowił się, jak on długo grał bez żadnej przerwy, to mógłbym sobie uprzytomnić, że nikt, nawet mistrz bardów, nie jest w stanie grać całe popołudnie. — Zacisnął szczęki. — Chłopak musiał być w transie, inaczej czułby potworny ból.”

Poprowadził Stefena do swego apartamentu, dziękując bogom za to, że zdali się postarać o to, aby nikt nie spostrzegł ich wspólnego zniknięcia z Sali Audyencyjnej, i za puste korytarze, w których nie spotkali nikogo, kto mógłby zobaczyć, dokąd idą. „Ostatnią rzeczą, jakiej mi trzeba, to przyczynienie się do zrujnowania reputacji tego chłopca” — pomyślał z goryczą i popchnąwszy Stefena na kanapę nie opodal drzwi, położył jego instrument i teczkę z nutami na podłogę.

Chłopiec popatrzył na niego oszołomiony, utwierdzając Vanyela w przekonaniu, że istotnie musiał dość długo być pogrążony w transie. „To i tak bez znaczenia; gdy odzyska czucie w palcach. . .”

Właśnie dlatego Vanyel go tutaj przyprowadził; miał lekarstwo na podobne dolegliwości. A nawet dwa lekarstwa — jedno z nich spoczywało w jego apteczce podróźnej. Przez wszystkie te lata Vanyel stał się swego rodzaju zielarzem niejako z konieczności — często bywało, że on sam, bądź też ktoś z jego kompanów, odnosił różne obrażenia, a w pobliżu nie było uzdrowiciela. Miał w sobie iskierkę daru uzdrawiania, dość jednakże zawodną i zbyt słabą, by leczyć jakiegokolwiek poważne dolegliwości. Nauczył się jednak wielu sposobów utrzymywania przy życiu siebie oraz innych osób ze swego otoczenia. Zawsze miał przy sobie apteczkę, nawet teraz, mimo że tutaj, w pałacu, prawdopodobieństwo, iż będzie musiał jej użyć, było niewielkie.

Odnalazł ją, po chwili szperania, pod łóżkiem. Pamiętał kształt słoiczka, którego szukał, wyłowił go więc bez potrzeby wysypywania całej zawartości apteczki na łóżko. Do tego paczuska miękkiego bandaża i Vanyel wrócił do chłopca z obiema potrzebnymi rzeczami w dłoniach.

Gdy tylko otworzył słoiczek, uniósł się charakterystyczny zapach.

— To cynamon i nagietek — wyjaśnił i wziął obolałą dłoń chłopca, aby rozsmarować maść na pokrytych pręgami, opuchniętych opuszkach palców. Były rozpalone, poczuł to natychmiast, gdy zaczął swe zabiegi. — Znieczula i goi, to dobre na skurcze mięśni, których byś się pewnie nabawił, gdybyś nie zmaltretował swych palców aż do tego stopnia. Dziwię się, że w ogóle masz jeszcze skórę.

Chłopiec uśmiechnął się nieśmiało, ale nic nie odpowiedział. Vanyel tymczasem, roztarłszy maść tam, gdzie dłonie chłopca pozostały nietknięte, posmarował nią pokryte bąblami koniuszki palców. Ostrożnie otulił każdy palec poduszczyką z bandaża, a potem zamknąwszy oczy, przywołał tę drobnutką iskierkę daru uzdrawiania, jaką natura wzbogaciła jego dar empatii. Nie mógł działać wiele, ale potrafił przynajmniej ograniczyć stan zapalny i znieczulić miejsca, gdzie nie

dotarł balsam.

Gdy ponownie otworzył oczy, wyraz twarzy chłopca wprowadził go w zakłopotanie. Absolutne uwielbienie. Nie zafałszowana niczym cześć dla bohatera. Równie niepodważalna jak opłakany stan jego palców, i w równej mierze niepokojąca. Wystarczyło, że widywał ją w oczach paziów i kandydatów na heroldów, a nawet młodszych heroldów. Nie mógł tego uniknąć, więc nauczył się z tym żyć. Kiedy tylko przebywał się z kimś, kogo nie znał i nie musiał spędzać z nim zbyt dużo czasu, potrafił odnieść się do tej sprawy z dystansem.

„Nie mogę tego tak zostawić — zdecydowałem, czując wewnątrz skurcz. — Będę z nim stale współpracował, spotykał go na dworze. . . Nie mogę dopuścić do tego, żeby mnie brał za jakiegoś bożka.”

— A zatem — zagadnął swobodnie, wypuszczając z dłoni rękę chłopca. — Według mojego bratanka, jesteś najlepszym dzieckiem Bardicum w tym stuleciu. — Uniósł jedną brew i uśmiechnął się lekko. — Chociaż, jeśli nie będziesz odrobinę rozsądniejszy, następnym razem odpadną ci opuszki palców, i co wtedy zrobisz?

— Przypuszczam, że mógłbym. . . nauczyć się grać stopami — rzucił Stefen. — Dzięki temu zawsze znalazłbym zajęcie w porze festynów, w namiocie z okazami wybryków natury.

Van zaśmiał się zaskoczony, że chłopiec zdobył się na taką replikę, a także z samego dowcipu. „Nie doceniałem go!”

— No cóż, to prawda. . . ale wolałbym, żebyś się nauczył nieco mądrzej rozkładać siły. Założę się, że jeszcze nie jadłeś.

Stefen miał swą winę wypisaną na twarzy i Vanyel nie musiał czekać na dodatkowe, potwierdzające skinienie głowy.

Vanyel parsknął: — Na bogów. Skąd w młodych ludziach poniżej dwudziestki bierze się to przekonanie, że do życia wystarczy im powietrze i energia od słońca?

— Może dlatego, że każdy, kto nie skończył piętnastu lat myśli, że co dzień musi pochłonąć dwa razy tyle jedzenia, ile sam waży — ripostował Stefen z błyskiem w oku. — Więc, jak tylko człowiek skończy szesnaście lat, uświadamia sobie, że narobił już dość zapasów i na tym swoim tłuszczu może pociągnąć aż do trzydziestki.

— Tłuszczu? — Vanyel z udanym przerażeniem otworzył szeroko oczy. — Ty zakończyłbyś swój żywot w jednym dniu. No cóż, wyższa ranga ma swoje przywileje, a ja zamierzam odwołać się do jednego z nich. . . — Sięgnął po sznur od dzwonka, aby wezwać służącego i pozostał przez chwilę w takiej pozycji. — . . . chyba że natychmiast popędzisz do Bardicum i porządnie się najesz.

— Ja? — Na twarz Stefena powróciło to samo przerażenie. — O niebiosy, tylko nie to! Ale dlaczego miałbyś chcieć. . . to znaczy, ja tylko. . .

— Jesteś pierwszą osobą od wieków, z którą mogę porozmawiać o muzyce — odparł Vanyel, tylko ociupinkę naciągając fakty. — A poza tym, chciałbym się

dowiedzieć, gdzie się nauczyłeś tego osobliwego zredukowanego akordu d-moll.

Mówiąc te słowa, zadzwonił. Paż pojawił się tak błyskawicznie, że Vanyel był wręcz zaskoczony. Wysłał dziecko po jedzenie, tymczasem Stefen usiłował zademonstrować swój akord zabandażowaną ręką.

Kiedy za chwilę paż powrócił obładowany jedzeniem i winem, obaj byli bardzo pochłonięci roztrząsaniem kwestii, czy słusznie ogólnie przyjęta tradycja przypisuje *Cykl Tandere* temu samemu bardowi, który stworzył *Więzy krwi*. Gdy dyskusja rozgorzała w pełni (Vanyel był za, odwołując się do charakterystycznych cech łączących teksty — Stefen zaś równie namiętnie argumentował przeciwko, na podstawie pewnych regularnych motywów poszczególnych melodii), chłopiec nieco się uspokoił i zaczął odnosić się do Vanyela tak, jak odnosiłby się do każdego innego rozmówcy. Vanyel tymczasem odprężył się i wszystko to zaczynało mu nawet sprawiać przyjemność. Bez wątpienia Stefen był dobrym kompanem — pod pewnymi względami daleko dojrzalszym, niż mógłby wskazywać jego wiek, i niewątpliwie umiejącym podtrzymać własne argumenty w dyskusji. Była to dla Vanyela pierwsza od wielu tygodni okazja, kiedy mógł wygodnie usiąść i najzwyczajniej w świecie rozmawiać z kimś o rzeczach nie mających nic wspólnego z polityką, Randalem, czy ogólnym kryzysem.

Do posiłku paż przyniósł dwie butelki wina. Vanyel rozlewał właśnie resztkę trunku z drugiej butelki, kiedy uświadomił sobie, jak zrobiło się późno. . .

I jaką moc miało to wino.

Kiedy zamrugał powiekami, płomyki świec rozmyły się i zachwiały, bynajmniej nie od przeciągu.

„Chyba trochę przeholowałem.” Zmusił oczy do odzyskania ostrości widzenia i zwilżył wargi. Stefen siedział w rogu kanapy, skulony, z podkurczonymi nogami. Jego łagodny, zamglony wzrok dowodził, że i on się upił, wie o tym, i bardzo się stara, aby nikt tego nie zauważył.

Vanyel rzucił okiem na świecę wskazującą czas; było już dobrze po północy, a oni nadto sobie podchmielili, aby wstać, a tym bardziej chodzić. Można było to powiedzieć przynajmniej o Stefenie. Teraz na przykład, kiedy Vanyel znów na niego patrzył, chłopiec odstawiał swój kielich z przesadną ostrożnością, ale... w powietrzu, obok stolika.

„Nie ma mowy, żeby dał radę dojść do swego pokoju — pomyślał Vanyel, tłumiąc wybuch śmiechu, i po omacku jął szukać serwetek. Stefen zaklął soczyście i porwał kielich z podłogi. — Nawet gdyby doszedł do Kolegium, to na pewno spadłby ze schodów i skrecił kark.”

Wytarł wino, nim zdążyło wsiąknąć w deski podłogi; obok niego Stefen na klęczkach na przemian to przeklinał, to błagał o wybaczenie.

„Nie ma co, gdybym go odesłał do jego pokoju, po drodze pewnie by sobie zrobił krzywdę. Być może nabiłby sobie guza, ale naprawdę mógłby złamać kark.”

Stefen przysiadł na piętach z rękami pełnymi mokrych, brudnych serwetek

i rozejrzał się bezradnie za miejscem, gdzie mógłby je położyć, gdzie nie mogłyby już niczego zniszczyć.

Van rozwiązał problem, zabierając mu szmatki i wrzucając je do kosza koło szafy. I wcale nie pysznił się tym, że udało mu się trafić nasączonymi winem serwetkami do kosza, choć był równie pijany jak Stefen.

„Nie dość, że ten młodzik mi się spodobał, to na dodatek okazał się bardzo cenny. Po tym występie dzisiejszego popołudnia powiedziałbym nawet, że jest nazbyt cenny, aby mógł ryzykować.”

Van też usiadł na piętach i zamyślił się na moment. Pozwolił swym osłonom rozpierchnąć się i błyskawicznie „zlustrował” cały pałac. „Wszyscy służący śpią. Nie mam komu powierzyć odprowadzenia tego chłopaka do jego kwatery. Pozostają tylko ja sam, ale w tej chwili sobie raczej bym nie ufał! Mogę jeszcze myśleć, ale nie iść prosto.”

Naraz zaczął sobie uświadamiać, z bólem w sercu, że chłopiec wpatruje się w niego z intensywnym i niedwuznacznym pożądaniem w oczach.

Vanyel zarumienił się i próbował unikać tego wzroku. „Do diabła, do diabła, do diabła! Jeżeli pozwolę mu zostać... To nie w porządku, o rany! Jest za młody. Nie może nawet wiedzieć, czego chce. Myśli, że pragnie mnie, i może tak jest, akurat w tej chwili. Ale rano? To całkiem co innego.”

Czuł na sobie wzrok Stefena, jak czuje się gorące płomienie słońca na skórze. Czuł, że chłopiec chce, aby na niego spojrział.

Vanyel opierał się zawzięcie. Przecież ten chłopiec był za młody, tyle młodszy od niego!

I piekielnie pociągający...

„Do diabła, to niesprawiedliwe...”

Stefen nie mógł w to uwierzyć. Oto znajdował się w prywatnym apartamencie herolda Vanyela, drzwi były zamknięte, a oni zupełnie sami. W końcu udało mu się uratować honor, przynajmniej w swoich własnych oczach, wystawiony na szwank przez to idiotyczne gapienie się na Vanyela. Właściwie wydawało mu się, że w czasie rozmowy zdołał raz czy dwa zrobić niejaki wrażenie na Vanyelu — przynajmniej zanim rozlał wino.

Ale później także czuł jego zainteresowanie, wyczytywał je ze sposobu, w jaki herold patrzył to w jedną, to w drugą stronę, lecz nigdy wprost na niego, i po dokładności, z jaką unikał choćby przypadkowego dotyku.

I mimo wszystko Vanyel nic nie robi!

„Co się z nim dzieje? — zadawał sobie pytanie Stefen, a wszystko w nim wrzało z rozpaczy. — A może chodzi o mnie? Nie, tu nie może chodzić o mnie. A jednak? Może nie ma do mnie zaufania. Może nie ma zaufania do siebie...”

Wino szumiało w głowie Stefena nie na żarty i rozzuchwalało go ponad jego

zwykłą śmiałość. Toteż gdy Vanyel sięgnął po omacku po swój kielich, stojący na stole obok nich, to samo zrobił Stefen, tak że ich dłonie objęły nóżkę naczynia w tej samej chwili. Dłoń Stefena przykryła dłoń Vanyela, a gdy niespokojne spojrzenie herolda spotkało się ze spojrzeniem chłopca, Stefen zacisnął rękę.

Uszy Vanyela poczerwieniały, dłonie ostygły. Nie umiał oderwać wzroku od oczu Stefena, wstrząśnięty i zarazem wiedziony na pokuszenie śmiałą zachętą, jaką w nich wyczytywał.

„O, nie. Nie, chłopcze. Dziecko, nie wiesz, o co prosisz.”

Nigdy w całym swoim życiu Vanyel nie czuł tak silnej pokusy, aby odrzucić wszystko, co sobie poprzysiągł, i zwyczajnie zrobić to, czego tak mocno pragnął.

Nie żeby nigdy przedtem nikt nie próbował go uwieść; jego wrogowie wiedzieli, jakie ma upodobania i w czym najbardziej gustuje. Aż nazbyt często podsuwanym przez nich kusicielem zdarzał się właśnie ktoś taki — młody, z pozoru niewinny chłopiec. Czasami naprawdę niewinny. Lecz we wszystkich tych przypadkach Vanyelowi udało się wykryć tajną pułapkę i unikać złapania się na haczyk.

Zdarzały się też spotkania, które łudzaco przypominały próby uwodzenia. Niekiedy młode, zachwycające dzieci, zawstydzone jego reputacją, przychodziły do niego absolutnie zdecydowane dać mu wszystko, czego od nich zażąda.

„Dokładnie coś takiego ma miejsce tutaj — jał przekonywać siebie zawzięcie. Kark miał rozpalony, a dłoń, pod dłonią Stefena, lodowatą. — Oto właśnie, co się tu dzieje. Zaklinam się na wszystkie świętości, że nigdy nie chciałem czerpać korzyści z mojej pozycji i sławy w celu uwiedzenia kogokolwiek, a tym bardziej urodziwych dzieci, które nie mają bladego pojęcia o tym, w co się pakują. Nie. Coś takiego nigdy się nie wydarzyło i nie pozwolę, aby nastąpiło.”

Wstał, siłą rzeczy zmuszając Stefena do uczynienia tego samego. Podniósłszy się, korzystając z chwilowego zakłopotania Stefena, odstawił kielich. Dłoń chłopca niechętnie ześlizgnęła się z jego dłoni i w tej samej sekundzie poraził go oszałamiający zawrót głowy, który nie miał bynajmniej żadnego związku z wypitym winem.

— Daj spokój, chłopcze — zagadnął pogodnie Vanyel, jak gdyby nigdy nic. — Nie jesteś w formie, żeby wrócić do łóżka, a ja nie jestem w formie, żeby dopilnować, czy dojdiesz tam cały i zdrow. Dlatego dzisiejszej nocy będziesz musiał zadowolić się moim łóżkiem.

I zanim młody bard zorientował się, o co mu idzie, Vanyel chwycił go za ramię, obrócił, potem lekko go pchnął, a że Stefen był już tęgo podchmielony, zatoczył się wprost na ogromne łoże. Przed fatalnym upadkiem uratowało go tylko to, że w porę złapał się deski w nogach łoża.

— Wybacz — rzekł Vanyel szczerze. — Zdaje się, że mam w czubie troszkę

bardziej, niż myślałem; zwykle lepiej oceniam moje pchnięcia!

Stefen zaczął zdejmować tunikę. Odwrócił się, wbijając wzrok w Vanyela, który powoli i ze skupieniem wyciągnął swą pościel ze skrzyni.

— Co robisz? — spytał chłopiec, nieco dezorientowany.

— Jesteś moim gościem — odparł Vanyel cicho, rozplątując sznurki wiążące pościel. — Jedną noc mogę jakoś przebiedować bez mojego łóżka.

Młody bard opadł ciężko na posłanie, był kompletnie zbity z tropu.

— Ale... gdzie będziesz spał? — zdziwił się, jak gdyby nie bardzo wierzył własnym uszom.

— Na podłodze, rzecz jasna — odparł Vanyel i rozwijając pościel, posłał promienny uśmiech zakłopotanemu chłopcu.

— To nie będzie pierwszy raz. Szczerze mówiąc, spałem już w miejscach dużo mniej wygodnych niż ta podłoga.

— Ale...

— Dobranoc, Stefanie — przerwał mu Vanyel, używając swego daru do wygaszenia wszystkich świateł z wyjątkiem nocnej świecy przy wezgielciu łóżka; nie wierzył już, że udałoby mu się zrobić to rękoma bez żadnej szkody. Zdjął tylko tunikę, buty i skarpetki, i nic więcej. Jego cnotliwy opór mógłby nie przetrzymać następnego natarcia pokusy, zwłaszcza gdyby nie był ubrany.

— Rano nie wstawaj ze mną. Zaczynam dzień nieprzyzwoicie wcześnie, o porze nie do przyjęcia dla każdego przytomnego człowieka.

— Ale...

— Dobranoc, Stefanie — powtórzył Vanyel z naciskiem. Wsunął się pod kołdrę, po czym odwrócił się plecami do pokoju.

Mocno zacisnął powieki i uszczelnił swe osłony. Po chwili usłyszał głębokie westchnienie, a potem odgłos butów spadających na podłogę i ubrania idącego w ich ślady. W końcu doszły go szmery moszczenia się w łóżku, wreszcie zgasła i nocna lampka.

— Dobranoc, Vanyelu — odezwał się głos w ciemności. — Doceniam to.

„Jeszcze bardziej docenisz mnie rankiem — pomyślał Vanyel z ironią. — I mam nadzieję, że się wymkniesz, nim zrobi się ruch na korytarzach, bo inaczej ludzie zaczną sobie myśleć, że jesteś *shayn*” — Dobranoc, Stefanie — odpowiedział. — Miło mi będzie cię gościć, jak długo zechcesz. — Posłał uśmiech w ciemność. — W rzeczy samej, zawsze miło mi będzie cię gościć. Jeśli masz ochotę, możesz się uważać za mojego przybranego bratanka.

„I przemyśl to dobrze, mój chłopcze — pomyślał, wpatrując się w dogasający ogień. — Mam przecucie, że rano będziesz mi za to dziękował.”

ROZDZIAŁ CZWARTY

Pod nim twarda powierzchnia. Nazbyt równa, żeby była piaskiem, nazbyt ciepła, żeby była kamieniem. Gdzie to?

Van obudził się, jak zawsze, błyskawicznie, omijając stan pośredni pomiędzy snem a pełną jawą. I skoro nie znajdował się tam, gdzie spodziewał się być znaleźć, leżał nieruchomo, czekając, aż pamięć dogoni przebudzone już ciało.

Lekki ból pomiędzy brwiami dał mu znać, że trzeba ustalić swe położenie. „Oczywiście. Śpię. . . nobliwie. . . sam. Na podłodze. Z bólem głowy. Za to w moim łóżku śpi pewien niezmiernie piękny, małyetni bard. I założę się, że jego wcale nie będzie bolała głowa.”

Z jakiegoś zakamarka umysłu dobiegł go śmiech Yfandes.

Biedne, cierpiące maleństwo. Bezwzględnie pasuję cię na świętego.

Van otworzył oczy i poczuł, jak pierwsze promienie poranka przeszywają je na wylot, docierając wprost do mózgu.

Zamilknij, szkapo. — Stęknął i z powrotem zacisnął powieki.

Och, nie rób tego — zaprotestowała Yfandes słodkim głosem. — *Masz spotkanie. Z Lissandrą, Kilchaszem, Tantrasem i twoją ciotką. Pamiętasz?*

Vanyel stłumił następne stęknięcie i otworzył oczy. Słońce było tak samo ostre.

Teraz, kiedy mi o tym przypomniłaś, pamiętam. Robiłem już w swoim życiu rzeczy o wiele głupsze, niż upicie się w dzień przed poważną operacją magiczną tego jestem pewny, ale jakoś nie mogę sobie przypomnieć żadnej z nich.

A ja mogę — skwitowała to Yfandes, podejrzenie szybko.

Vanyel wolał się nie odzywać. W obecnym stanie było pewne, że Yfandes pokonałaby go bez trudu. „Pewnego dnia — ślubował sobie w duchu — znajdę sposób na upicie Towarzysza, a wtedy już ja będę czekał, kiedy się obudzi.”

Przyszło mu zatem wyczołgać się z pościeli. Po nocy spędzonej na twardej podłodze czuł łamanie w kościach. Patrzył z oburzeniem na wyrostka, który załuszczył jego łóżko. Stefen leżał w poprzek łoża z błogim uśmiechem na twarzy, głuchy i ślepy na cały świat. Jego ciemnorude włosy rozsypały się po całej poduszce, ani trochę nie splątane od niespokojnego rzucania się we śnie. Pod jego oczami nie było cieni, o nie. Młody bard spał niczym niewinne dzieciątko.

Vanyel mruknął z cicha, porwał swe ręczniki oraz czysty uniform i skierował się do łaźni. O tak wczesnej porze w całym pomieszczeniu panowała głęboka cisza i każdy dźwięk odbijał się echem od wyłożonych białymi płytkami ścian. Równie dobrze Vanyel mógłby okazać się jedyną żywą istotą w całym pałacu; nie docierały do niego żadne głosy, prócz tych, które sam wydawał. Po zmoczeniu głowy zimną wodą i następującej po niej torturze gorącej kąpieli, był już daleko bardziej skłonny pokazać twarz światu, nawet nie jedząc nic przedtem. Choć właściwie miał ochotę na śniadanie, dosyć szczególnie: odrobinę chleba i bardzo dużo ziołowej herbaty.

Stefen wciąż pogrążony był w błogim śnie, to nie ulegało wątpliwości, a więc powrót do pokoju nie wchodził w rachubę. Ale cóż, było jeszcze zbyt wcześnie, aby liczyć na to, że wstał już ktoś ze służby.

Vanyel prędko się ubrał, drżąc z lekka, kiedy chłód poranka owiał jego wilgotną skórę, i podążył wyludnionymi korytarzami do kuchni, gdzie znalazł dwóch kucharzy, mocno zaawansowanych w swej pracy. Wyciągali właśnie z pieców gorące bochny chleba, anonimowi w swych oproszonych mąką brązowych tunikach i spodniach, z włosami schowanymi pod czapkami. Obrzucili Vanyela zdziwionymi spojrzeniami — pewnie nieczęsto tutaj zabłąkał się herold — ale dzban gorącej herbaty i kawałek ciepłego jeszcze chleba podali mu zaraz, gdy o to poprosił. Zabrał wszystko i poszedł do biblioteki.

Biblioteka pałacowa była dobrym miejscem do zatrzymania się na jakiś czas. Ogień palił się jeszcze od poprzedniego wieczoru i wystarczyło odrobinę się koło niego zakrzętnąć, aby na nowo wystrzelił wesołym płomieniem pod świeżymi polanami, wypełniając pustkę ciszy. Vanyel wybrał sobie wygodny fotel nie opodal kominka, kubek z herbatą postawił obok na kamiennej podłodze i jął skubać swą kromkę chleba, wpatrując się w ogień i wygrzewając się w jego ciepłe. Ostatnie impulsy bólu głowy zniknęły pod kojącym wpływem gorącego napoju. Yfandes zaś, wyczuwając niechybnie, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu, rozumnie zachowała milczenie.

O to ci chodzi? — zapytała, gdy zły nastrój Vanyela obrócił się w ponurą kontemplację nad własną głupotą. — *Nic się nie stanie, jeśli odłoży się to o dzień lub dwa.*

Usadowiwszy się wygodnie, Vanyel sprawdził po kolei wszystkie swe kanały przepływu energii.

Och, chyba tak. Nic nie ucierpi, poza moimi nerwami. Wybacz, jestem trochę rozdrażniony.

Yfandes w odpowiedzi nie przesłała mu żadnej myśli, tylko swe ciepłe uczucie. Vanyel odsunął od siebie wszystko i zatopił się w rozmyślaniach nad planowaną sesją. Tym razem posłużą się magią najwyższego rzędu, tak skomplikowaną, że nikt przed nimi jej nie próbował.

Gdyby mógł wybrać, Vanyel wolałby nie przystępować do tego akurat teraz,

ale szeregi magów heroldów przerzedziły się ostatnimi czasy do tego stopnia, że nie było już nikogo, kto mógłby zastąpić któreś z czworga strażników, gdyby jednemu z nich coś się przytrafiło. Nie było już wolnych magów heroldów. Wielka Sieć, zakłęcie informujące heroldów o wszelkich niebezpieczeństwach, wymagała czterech doświadczonych i silnych magów podtrzymujących jej pracę; podczas pełnienia swej funkcji strażnik sieci był praktycznie uwięzany w Przystani — nie fizycznie, ale przez zaangażowanie psychiczne. Jedna czwarta energii i czasu strażników przeznaczona była na zasilanie i nadzorowanie sieci.

Vanyel zamierzał to wszystko zmienić.

Już od kilku lat stopniowo wzmacniał ognisko mocy pod Przystanią. Nie należał wprawdzie do biegłych z Tayledras, lecz Sokoli Bracia byli kiedyś jego nauczycielami. Stworzenie nowego ogniska przekraczałoby zapewne jego możliwości, ale sprowadzanie mocy do już istniejącego węzła było dla niego wykonalne. Otóż Vanyel planował właśnie umocnić nowe zakłęcie Wielkiej Sieci energią tegoż właśnie ogniska, by potem zastąpić strażników wszystkimi heroldami Valdemaru, zarówno tymi z darem magii, jak i bez.

I wreszcie planował zastawienie nowego zakłęcia sieci, które nie tylko strzegłoby Valdemaru — zamierzał uczynić je częścią systemu obronnego królestwa, choćby częścią niewielką. W tym celu chciał przywołać *vrondi*, drobniutki, napowietrzne cząstki używane przy zakłęciu Prawdy, i to przywołać ich znacznie więcej niż ktokolwiek wcześniej. A później zamierzał „wyznaczyć im zadanie”: wypatrywanie zakłóceń w polu energii magicznej okalającej Valdemar, zakłóceń, które mogłyby sygnalizować działanie magii.

Nikt poza magiem nie wyczuje ich obecności. To będzie tak, jak gdyby ktoś nieustannie, w różnych odstępach czasu, klepał maga po ramieniu i pytał go, kim jest. A jeśli okaże się, że dany mag nie jest heroldem, *vrondi* doniesie o jego obecności najbliższemu magowi heroldów.

To był zaledwie plan wstępny. Gdyby się powiódł, Vanyel zamierzał rozszerzyć swe osłony, używając do tego innych cząsteczek poza *vrondi*, tak aby stworzyć Valdemarowi jak najlepszą ochronę przed nieprzyjawnymi magami. Nie do końca jednak był pewny, jak wydobyc w zakłęciu rozgraniczenie między magami dobrymi a złymi. W tej chwili wystarczyłoby, gdyby każdy mag w Valdemarze wyczuwał, że znajduje się pod obserwacją; to prawdopodobnie odstraszyłoby każdego potencjalnego wroga.

Lecz cóż, bezczynne siedzenie i rozmyślanie o tym nic nie da. Vanyel uniósł się niechętnie ze swego fotela, wcisnął serwetkę do kubka na palenisku i opuścił podnoszące na duchu ciepło biblioteki dla chłodnej ciszy korytarzy o kamiennych posadzkach.

Skierował się wprost do Sali Ćwiczeń, starej, otoczonej osłonami komnaty w samym sercu pałacu, w której kiedyś pod okiem swoich nauczycieli doskonalili swe umiejętności kandydaci na magów heroldów. Teraz nie było w Przystani

takich uczniów, zaś każdy mag heroldów stacjonujący tutaj miał własną salę ćwiczeń, która z powodzeniem mogła w przyszłości posłużyć do nauki, gdyby tylko jakiś młody człowiek z darem magii został wybrany.

Obecnie to oto szczelnie osłonięte i wyizolowane pomieszczenie mogło być wykorzystane do innych celów — mogło stać się sercem nowej sieci.

Gdy Vanyel przybył na miejsce, już oczekiwał na niego Tantras, ustawiając sprzęty zamówione wcześniej przez przyjaciela. W samym środku sali z sufitu zwisała na łańcuchu nowa lampka oliwna. Bezpośrednio pod nią stał okrągły stół z wgłębieniem pośrodku. Wokół niego ustawiono cztery gięte krzesła z oparciami. W jednym z rogów Tran mocował się z jakimś ciężkim fotelem, próbując ustawić go jak najdalej od stolika.

Gdy Vanyel zamknął za sobą drzwi, drugi herold uniósł wzrok, jedną dłonią odgarnął włosy z oczu i uśmiechnął się.

— Gotowi? — spytał Vanyel i zajmąwszy przeznaczone dlań miejsce, położył we wgłębieniu w stole swe oko magii, dużą nieregularną bryłę polerowanego kamienia, zwanego tygrysim okiem. Nie udało mu się znaleźć wystarczająco dużej jednorodnej bryły czystego bursztynu, która mogłaby posłużyć jako oko sieci, a ogniste opale były na to zbyt kruche. Na szczęście, gdy zastąpił Jaysena w roli strażnika, dowiedział się, że tygrysie oko Jaysena współgra z nim równie dobrze jak opal czy bursztyn; i dużo łatwiej było taki kamień znaleźć.

Vanyel popatrzył na przyjaciela przez ramię.

— Najbardziej gotowy, jak tylko można — odparł Tantras, wzruszając ramionami. — Nigdy nie brałem udziału w ustanawianiu jednego z tych twoich zaklęć najwyższego stopnia. Nigdy nie pracowałem z biegłym, nie mówiąc już o dwóch na raz.

— Zdenerwowany? — Vanyel uniósł jedną brew. — Nie dziwiłbym się. Nigdy dotąd nie próbowaliśmy czegoś takiego.

— Ja? Zdenerwowany? Igrając z czymś, co mogłoby usmażyć mój mózg jak sadzone jajko? — Tran zaśmiał się. — Jasne, że jestem zdenerwowany. Ale ufam ci. Tak mi się wydaje.

— Dzięki za wotum zaufania. . . — zaczął, Van, gdy wtem otworzyły się drzwi i do sali weszła rozgadana gromadka pozostałych trzech magów heroldów.

Ich rozmowy cichły, gdy zajmowali swe miejsca wokół stołu: Savil na wprost Vanyela na zachodzie, Kilchas od strony południa, Lissandra od północy.

Savil nie zmieniła się w ciągu ostatnich dziesięciu lat; chuda niczym chart, poruszała się sztywno i rzadko opuszczała Przyszań. Jej włosy były całkiem srebrne, ale taki kolor miały już wtedy, gdy była zaledwie czterdziestolatką. Praca z magią z ognisk była tego przyczyną — potężna energia odbarwiła jej włosy i oczy do srebrnego błękitu, bowiem im więcej ktoś miał z nią do czynienia, tym szybciej okrywała go siwizna. Savil ułożyła swe oko magii — idealny, nieskazitelny, naturalny kryształ różowego kwarcu — naprzeciwko tygrysięgo oka. Ściągnęła usta,

zastanawiając się nad takim układem, po czym przesunęła swój kamień tak, aby jednym bokiem stykał się z kamieniem Vanyela, i dopiero wtedy usiadła. Posłała Vanyelowi krótki uśmiech i po chwili, gdy zaczęła otwierać swe kanały przepływu energii, jej oczy pociemniały, a twarz w trakcie koncentracji straciła wszelki wyraz. Wszystkie zmarszczki skupiły się wokół oczu i ust; nic nie zdradzało, ile naprawdę ma lat, a przecież właśnie zbliżała się do osiemdziesiątki.

Kilchas z kolei wyglądał na dużo starszego od Savil, choć w rzeczywistości był od niej o dwadzieścia lat młodszy. Był zasuszony i pomarszczony, miał więcej zmarszczek niż wysuszone jabłko, włosy niczym płatanina siwych drucików, za to jego uśmiechowi nikt nie potrafiłby się oprzeć. W tej chwili jednak nie było tego uśmiechu na jego twarzy. Kilchas położył swe oko magii tak, by dotykało kamieni Vanyela i Savil. Była to półprzeźroczysta bryłka zielonego jak jabłko jadeitu oszlifowanego w kształt piramidy. Przekładał ją przez chwilę, aż wreszcie znalazł dla niej satysfakcjonujące ustawienie. Potem zajął miejsce za stołem i opuściwszy powieki, w skupieniu zmarszczył brwi. Jego oczy zginęły w pooranej bruzdami, zwietrzałej twarzy.

Lissandra miała najdłuższy staż wśród strażników, choć była młodsza nawet od Vanyela. Pełniła tę funkcję dłużej niż Savil. Objęła pieczę nad północnym obszarem w chwili przywdziania Bieli i jakkolwiek nie miała jeszcze statusu biegłego, niewiele jej do niego brakowało. Poza wypełnianiem obowiązków maga heroldów zajmowała się alchemią, truciznami oraz preparowaniem antidotów na nie. Ta przewyższająca wzrostem wielu mężczyzn, brązowooka szatynka o śniadej cerze, poruszała się zdecydowanie, a jednak coś w jej ruchach przywodziło na myśl zachowanie ptaków. Vanyelowi zawsze kojarzyła się z kroczącą z wypiętą piersią czaplą. Jak czapla, żadnego ruchu nie wykonywała na próżno. Opuściła swój półkolisty obsydian w precyzyjnie wybrane miejsce, po czym usiadła na swym krześle, opierając łokcie na stole i splatając palce na wysokości twarzy.

Tantras sadowił się z zapalem w swym fotelu w kącie, a Vanyel sięgnąwszy do lampy, zmniejszył jej płomień, aż wszystko poza osobami przy stoliku zamieniło się w ledwie dostrzegalne cienie. Potem sięgnął do swej sakwy przy pasku i odszukał w niej ostatni z kamieni, które wybrał do tego zaklęcia: jeden, jedyny nieskazitelny kryształ kwarcu, idealnie ukształtowany, nie spękany i bezbarwny jak najczystsza woda.

„Musiałem przekopać się przez pięć cetnarów kwarcu, aby go znaleźć.”

Zamknął dłoń na bryle o ostrych krawędziach, dla dobrej izolacji starannie owiniętej w jedwabną ściereczkę, i pokazał kamień innym. Gdy układał go na czterech pozostałych, jedwabna ściereczka opadła, odsłaniając kryształ błyskający światłem odbitym we wszystkich jego ściankach.

Lissandra skinęła z aprobatą, Kilchas otworzył szeroko oczy, a Savil uśmiechnęła się.

— Rozumiem, że jesteśmy gotowi — rzekł Vanyel. Nie potrzebował ich po-

twierdzenia. Gdy opuścił wszystkie swe osłony i nawiązał z obecnymi głęboką więź, poczuł ich akceptację.

Teraz zamknął oczy, by jak najlepiej skoncentrować się na nawiązaniu jak najbliższego kontaktu pomiędzy sobą a nimi oraz między nimi wszystkimi. Ze swą ciotką, Savil, pracował tak wiele razy, że teraz splekli się razem niczym odwieczni partnerzy w tańcu.

Albo kochankowie — zażartowała Savil, uchwyciwszy treść przelotnej myśli Vanyela.

Ten uśmiechnął się.

Nie jesteś w moim typie, najdroższa ciotucho. Poza tym, wykończyłabyś mnie.

Następnie zwrócił się ku Kilchasowi, obawiając się trochę, że jako *shayn*, może napotkać opór — ale nie zdarzyło się nic takiego.

Jestem za stary, żeby zawracać sobie głowę takimi drobiazgami, chłopcze — doszła go cierpka odpowiedź, zdecydowana i wyraźna. — *Spędzając pół życia w cudzych głowach, człowiek wyzbywa się wszelkich uprzedzeń, jakie kiedykolwiek w nim zakiełkowały.*

Umysł Kilchasa splótł się z jego umysłem bez przeszkód — co nie było zresztą zaskakujące, gdy się pamiętało, że Kilchas posiada najsilniejszy z całego Kręgu dar myślomowy. A jednak Vanyelowi niełatwo było dostosować się do rytmu wibracji jego energii magicznej. Staruszek miał wielką moc, lecz panowanie nad nią już nie tak świetne, co zadecydowało o tym, że nigdy nie osiągnął statusu biegłego; przypominał rzeźbiarza przyzwyczajonego do pracy siekierą raczej aniżeli dłutem. Za każdym razem, gdy Vanyelowi zdawało się, że już zdołał dostroić ich osłony, starszy mężczyzna wybiegał ku niemu niecierpliwie, albo znów jego osłony reagowały na obecność obcych sił, tracąc swą moc ochronną i odpychając splot mocy Vanyela oraz jego ciotki.

Van otworzył oczy, z rozpaczy zaciskając zęby, po to tylko, by ujrzeć Kilchasa potrząsającego głową.

— Przepraszam cię, chłopcze — rzekł grubym głosem. — Lepiej mi idzie niszczenie niż składanie czegokolwiek do kupy. W dodatku obawiam się, że niektóre rzeczy robię już odruchowo.

— Miałbyś coś przeciwko temu, gdybyśmy my, ja albo Savil, zestroili wszystko za ciebie? — spytał Vanyel i otwierając zaciśnięte pięści, jął kręcić głową dla rozluźnienia napięcia w mięśniach ramion.

— To znaczy, gdybyś przejął to ode mnie? — Kilchas ściągnął brwi. — Myślałem, że heroldowie nie robią takich rzeczy. Czyż nie tak mówi protokół?

— Cóż, w zasadzie i tak, i nie — odezwała się Savil, koniuszkami palców masując sobie skronie. — Otóż, tak rzeczywiście mówi protokół, który jednak nigdy nie uwzględniał biegłych posługujących się myślomową, a szczególnie posiadających dary o takiej mocy jak moje i mojego bratanka. Van i ja możemy dostać się tam, pokazać ci, co robić, a potem zniknąć, nie pozostawiając po sobie nawet

śladu. Niekiedy ustanawiano zasady po to, by je łamać.

— Jesteś tego pewny? — powątpiewał Kilchas. — Nie chciałbym nagle znaleźć się w takiej sytuacji, że nie wiedziałbym, czy jakaś smuga myśli to ślad po was, pozostałość po zarzucaniu zaklęcia, czy oznaka, że ktoś usiłuje precyzyjnie się przez moje osłony.

— Jestem tego absolutnie pewny — uspokoił go Van. — Tak uczyli mnie biegli z Tayledras. Jeden z nich zwykł w takich wypadkach przejmować kontrolę, przeprowadzał mnie przez coś, a potem wychodził stamtąd i czekał, aż powtórzę jego czynności.

Kilchas westchnął i położył obydwie dłonie na blacie stołu.

— A więc zgoda. Van, wolałbym jednak, aby zrobiła to Savil. Ty dyrygujesz tym małym pokazem sztucznych ogni i wolałbym, abyś nie zaprzętała sobie uwagi staruszką, który nie potrafi zapanować nad swą magią.

— Świetnie. — Vanyel skinął głową, czując ulgę, że nie szło o jakieś osobiste preferencje; rozumowanie Kilchasa uznał za jak najbardziej sensowne. — Spróbujmy jeszcze raz.

Tym razem poczekał, obserwując, jak Savil przejmuje siły magiczne Kilchasa i zestraja je ze swoimi, narzucając im dużo bardziej rygorystyczną kontrolę aniżeli ta, której nauczył się Kilchas. W niczym mu to nie ujmowało, gdyż pomimo faktu, że w wolnych chwilach zajmował się spokojną astronomią, to jednak przede wszystkim był ofensywnym magiem wojennym. Nie miał czasu, by osiąść umiejętność panowania nad swą mocą w takim stopniu, w jakim udało się to Vanyelowi i Savil, ani też nie miał ku temu motywacji.

A więc idziemy na skróty — odezwała się łagodnie Yfandes. — Nie ma nic złego w chodzeniu na skróty. Mimo to jednak wolałabym, aby to wszystko szło odrobinę prędzej.

Ja też, kochana — odparł Van, obserwując osłony Kilchasa w oczekiwaniu na moment, kiedy wreszcie przestaną się chwiać. — Domyślam się, że inne Towarzystwo też się niecierpliwią?

Rochan Kilchasa truchleje — bez ogródek odparła Yfandes. — Boi się, że Kilchas temu nie podda. Shonseal Lissandry chce tylko, żeby to się jak najszybciej skończyło; nie jest tym wszystkim zachwycona, ale ma pewność, że Lissandra da radę wywiązać się ze swej roli.

Nie dziwię się, że nie jest zachwycona. Ja też chcę, żeby to się skończyło. Gdy się z tym uporamy, nie będę miał siły na nic. — Raptem osłony Kilchasa przestały pulsować, nabierając jednolitej złotożółtej barwy. — Powiedz jej, że to nie potrwa długo.

Ponownie zwrócił się ku swej ciotce, pozwalając jej wprowadzić się w ognisko ich zjednoczonych mocy i robiąc to tak, aby nie zakłócić chwiejnej kontroli Kilchasa nad jego mocą. Potem, uprzedzając zburzenie tej równowagi, jaką udało im się osiągnąć, obydwójce przerwali nitki energii do Lissandry.

Czwarta strażniczka była przyzwyczajona do pracy z Savil. Czekwała na nich i z idealnym wyczuciem zawodowego akrobata, uchwyciła podrzucone nitki, aby po nich wciągnąć się do węzła. W niedawnej przeszłości Vanyelowi nieraz przytrafiło się przemieszczenie kości w stawie i teraz trzask, z jakim Lissandra wstrzebiła się w swe miejsce, przyprawił go o fizyczne odczucie podobne do tego, gdy nastawiana kość wskakuje z powrotem do stawu. Kiedy Lissandra dołączyła do nich, węzeł złapał równowagę, tworząc pierścień zamiast łuku. Vanyel odetchnął z ulgą, co Yfandes przyjęła za sygnał do wprowadzenia Towarzyszy.

Miały one tworzyć ostoję, zakotwiczenie, dopilnować, aby nikomu nie groziło, że zagubi się porwany przez prąd energii magicznej, którym będzie manipulował Vanyel. Kilchas z Lissandra będą udzielać swej mocy i obecności, zaś Savil swej biegłości w pracy z *vrondi*, lecz głównie Vanyel będzie decydował o przebiegu operacji.

Vanyel wypracował tę procedurę wspólnie z biegłymi k'Treva z Tayledras, przez szereg lat testując swe obserwacje i pomysły. Nikt nie znał się na ogniskach magii tak dobrze jak mieszkańcy Tayledras. Ci spośród nich, którzy posiadali dar magii, umieli radzić sobie z nimi już z chwilą ujawnienia się tego daru, co zdarzało się nawet już w ósmym lub dziewiątym roku życia. Pomędzy członkami klanu k'Treva kilku było niezrównanymi mistrzami w tym fachu: Sokoli Bracia, Tańczący Księżyc i Gwiazdny Wichler oraz ich syn, Świetlista Gwiazda — i oni pomogli Vanyelowi najwięcej.

Przede wszystkim pomysł wprowadzenia tego rozwiązania podsunęło Vanyelowi zaklęcie pozostawione w Lineas dawno temu przez jakiegoś mistrza nie zidentyfikowanego klanu z Tayledras, skupiające całą rodzinę Tashira w służbie na rzecz ochrony znajdującego się tam kamienia-serca. W tamtym wypadku obowiązki narzucane przez zaklęcie były stosunkowo nieskomplikowane: odwozić ludzi od używania magii i strzec kamień oraz przepływającą przezeń moc przed niegodziwymi czarownikami. Jakkolwiek biegli z Tayledras zwykle odprowadzali magię z obszarów, które opuszczali, to jednak pozostawili ów kamień-serce w miejscu, gdzie w przyszłości miała stanąć stolica Lineasu. Kamień ten powiązany był z innym zaklęciem pomyślanym tak, aby scalało uskok pokładów skalnych, spowodowany przez siły magii. Miną wieki całe, nim zaklęcie to wypełni swe zadanie do końca, tymczasem stanowiło ono jedyną siłę utrzymującą równowagę w uskoku. Gdyby wyssano z tamtego miejsca energię magiczną, zniszczenia przyniesione przez trzęsienie ziemi, jakie by wówczas nastąpiło, osiągnęłyby ogromne rozmiary i dotknęłyby nawet królestwo Valdemaru. Z tego względu członkowie rodziny Tashira wyselekcjonowani byli z wielką dokładnością, ponieważ żaden z nich nie mógł posiadać daru magii, a jedynie nikły talent do magii zmysłowej. Aczkolwiek mogło to dawać gwarancję, że żadna z tych osób nie ulegnie pokusie igrania z magią, oznaczało to jednak, iż twórcy zaklęcia mieli do dyspozycji zaledwie garstkę ludzi.

Zadanie Vanyela polegało na połączeniu podobnym zaklęciem wszystkich heroldów oraz wszystkich ich darów. Było więc nieskończenie bardziej skomplikowane, choć rezultaty miały przynieść wielkie korzyści.

„Najpierw najważniejsze — mówił do siebie w duchu. — Trzeba naszą czwórkę otoczyć solidną osłoną. Nie chciałbym, aby Tantrasa dopadł podmuch powrotny, gdyby stało się coś niedobrego.”

Nowa osłona była najszczelniejsza, jaką kiedykolwiek zbudował. Gdy skończył, pozostali trzej heroldowie przetestowali ją, sprawdzając, czy nie ma żadnych słabych punktów lub miejsc, gdzie mogłoby dojść do przecieków. Z całej ich piątki właśnie Tantras, który siedział po zewnętrznej stronie osłony, byłby narażony na największe niebezpieczeństwo, gdyby coś wyrwało się spod kontroli. Sama Sala Ćwiczeń także otoczona była osłoną, i to tak szczelną, że dźwięki z zewnątrz, jeśli w ogóle tu docierały, przenikały przez ściany znacznie przytłumione. Ponadto każdy z obecnych miał własne osłony, co skądinąd było po części przyczyną trudności, jakie napotkał Van przy zjednoczeniu swej mocy z mocą Kilchasa. Osłony te nigdy się nie uchylały i niezwykle trudno było dopasować je do siebie tak, aby energia między dwoma magami przepływała bez żadnych zakłóceń i przeszkód z zewnątrz. Gdyby moc, którą planował przywołać Van, wymknęła się spod jego kontroli, wówczas pozostali chronieni będą osobistymi osłonami. Bariery okalające Salę Ćwiczeń zabezpieczą tych za drzwiami, lecz Tran utknie pomiędzy dwiema ścianami osłon. A ponieważ nie jest magiem, nie ma własnych barier. Van spędził wiele godzin na budowaniu osłon dla niego, nie zdążył jednak zbadać ich wytrzymałości i nie miał najmniejszego pojęcia, ile są w stanie znieść.

On wie o tym — przypomniała mu Yfandes. — I zgodził się. Życie to jedno wielkie ryzyko, a my ryzykujemy dziesięciokrotnie więcej niż inni.

Jej słowa rozbudziły w nim tylko poczucie winy. Nie miał jednak żadnego wyboru, na przeprowadzenie tej operacji zdecydował się jedynie ze względu na potrzeby Valdemaru. Problem tkwił w tym, że dar magii zawsze należał do rzadkości, a kłopoty, które nastąpiły po odejściu Elspeth, pociągnęły za sobą śmierć tak wielu magów heroldów, że nie sposób było nadrobić straty. Po śmierci Jaysena stało się jasne, że zabraknie kandydatów na strażników Wielkiej Sieci w przypadku następnej śmierci. Tymczasem sieć była jedynym zabezpieczeniem Valdemaru, pozwalającym wykryć zagrożenie, zanim wróg przekroczy granicę. Wypróbowano już nawet heroldów nie posiadających daru magii, obdarzonych za to bardzo silnymi darami myślowymi lub dalekowzroczności; zaklęcie sieci nie działało na nich, ponieważ musiało być zasilane z osobistych zasobów energii magów, a herold bez daru magii w żaden sposób nie był w stanie dostarczyć takiej energii.

Dlatego Vanyel zaproponował przekształcenie zaklęcia. Po raz pierwszy od chwili, gdy uaktywniły się jego dary, pozbył się wszystkich osłon, z wyjątkiem ostatniej. Każdy mag, jaki kiedykolwiek przyszedł na świat, potrafił nawiązać jakby „połączenie” z umysłem innego maga, który używa energii tego samego rodzaju.

ju — ale Vanyel miał kontakt z każdym żyjącym heroldem Valdemaru. Gdy opadały jego osłony, stawał się naraz częścią ogromnego układu wiążącego wszystkich heroldów. Delikatne niczym płatki śniegu, zawile na podobieństwo najmisterniejszej koronki, sploty pasm energetycznych łączących heroldów przebiegały bardzo głęboko, lecz cechowała je wielka siła. Pulsowały życiem, jak gdyby ktoś połączył każdą gwiazdę z każdą inną gwiazdą, wiążąc je leciutkimi nitkami światła, uprzedzonymi z kryształu. To było piękne. Vanyel domyślał się istnienia takiej sieci, chociażby po tym, co zobaczył w krótkim mgnieniu podążając kiedyś jedną z tych nitek do któregoś z heroldów, teraz jednak po raz pierwszy ujrzał całość. Przez jego umysł pozostali zobaczyli to samo.

To zdumiewające — powiedział po chwili Kilchas. — Dlaczego nikt wcześniej o tym nie mówił?

Prawdopodobnie dlatego, że jeśli twój dar nie jest dość silny, nie możesz tego wyczuć; naprawdę te połączenia przebiegają pomiędzy naszymi Towarzyszami. To zresztą kolejna przyczyna, dla której zależało mi na ich obecności w naszym splocie energii; widzę to wprawdzie i bez nich, ale z nimi mogę także tym układem manipulować.

To właśnie musiał zobaczyć król Valdemar, gdy stworzył Wielką Sieć. — Głos myślowy Savil był przytłumiony.

Tyle że za jego czasów wszystko było o wiele prostsze — oschłym tonem skwitował jej słowa Vanyel. — Zabierajmy się do pracy, bo inaczej stracimy nasz węzeł mocy.

Albo zanudzeni waszą paplaniną znajdziemy sobie coś innego do roboty — dorzuciła Yfandes, zwracając się tylko do Vanyela.

Jeszcze jedna taka uwaga, a zamienią cię w ptaka z Tayledras — odgryźł się Van. Nim Yfandes zdołała zareagować, Savil zaczęła wypowiadać zaklęcie sieci, a uwagę Vanyela całkowicie pochłonęło bieżące zadanie.

W miarę jak zgłaszał się po kolei każdy ze strażników, jego kamień, oko mocy, budził się do życia. Gdy tylko Lissandra zakończyła swą odpowiedź, wszystkie cztery kamienie jaśniały łagodnym światłem, jasnym jak płomień lampy nad ich głowami, a kryształ kwarcu wieńczący to skupisko kamieni odbijał ich światło, rozpryskując po całym pokoju drobniutkie plamki tęczy.

Vanyel zamknął oczy i ujrzał sieć nakładającą się na oplatający całe królestwo układ połączeń między heroldami. Z niej wysnuwały się pojedyncze niteczki jakiejś wtórnej energii, jak gdyby sama struktura zaklęcia próbowała nawiązać najpełniejszy kontakt ze wszystkimi heroldami, nie znajdując jednakże sił i właściwego kierunku, by tego dokonać.

Zaistnienie takiej właśnie sytuacji podejrzewał Tańczący Księżyc; struktura wytworzona przez zaklęcie spinała wszystkich heroldów, ale brakowało jej energii.

Nie sposób jednak było się dowiedzieć, czy król Valdemar tego właśnie so-

bie życzył. Myśl, że oto legendarny król Valdemar nie poddał takiemu zaklęciu, bynajmniej nie przynosiła Vanyelowi ulgi.

„Jeżeli on tego nie umiał, to, na niebiosa, jakże my mamy dać radę?”

Mniejsza z tym. Vanyel podjął się tego zadania i na wycofanie się było już za późno. Sięgnął więc swym myślodotykiem do stosiku kamieni pośrodku stolika i zespolił się z resztą obecnych. Poczuł nagłe buchnięcie ciepła, jasności i rosnącego ciśnienia, po którym, niczym sztylet, zatopił swą moc głęboko w ziemię, na której stała Przystań, wprost w prastare ognisko energii, które wraz z Savil uprzednio rozbudził. Ognisko znajdowało się bardzo głęboko i niezwykle trudno było je wyczuć, lecz teraz, znów aktywne, należało do najpotężniejszych, z jakich Van kiedykolwiek czerpał.

Odnalezienie go było niczym skok w żar, w samo serce słońca; wrażenie to nazbyt przytłaczające, by sprawić ból — bo żaden ból nie mógł się z nim równać — zagroziło Vanyelowi wypaleniem mózgu. Łatwo było zgubić się w takim ognisku i dlatego właśnie do zjednoczonych sił zostały włączone Towarzysze. Gdy minął pierwszy szok, pozbawiający tchu i paraliżujący umysł, Vanyel poczuł, że właśnie one go przytrzymują, jak kotwica, przypominając, gdzie jest i kim jest.

Minęło parę chwil, nim oparł się na ich sile i ochłonął na tyle, by złapać oddech. Wreszcie pochwycił sam rdzeń ogniska, zebrał się w sobie i zaczerpnął. . .

Czegoś takiego nie próbował jeszcze nikt spoza klanów Tayledras. Vanyel zamierzał stworzyć kamień-serce. Niewielki wprawdzie, lecz jednak kamień-serce.

Był ogniem, był rozprutą ziemią, był stopioną skałą. Był rozszalałą wodą i błyskawicą. Był odwieczny, a nigdy nie narodzony. Nie miał pamięci, nie miał żadnych korzeni. Żadnej tożsamości. Wtem coś go tknęło. To imię. Yfandes. Przypomniał sobie. . .

Wraz ze wspomnieniem wróciło czucie. Był w męczarniach.

Czerpał dalej, choć jego nerwy rwały się, a serce, przeciążone, waliło jak młotem. Czerpał, choć wydawało mu się, że sam siebie rozdziera na strzępy.

Powoli, opornie, moc wzbierała w nim, potem znów przyptyw ustał, na jego rozkaz.

I sięgnął znów, tym razem do sieci. Połączył ją z żywą energią ogniska. . .

Ale połączenie to nie wszystko.

Wszedł do samej sieci, z jej wnętrza wyciągnął dłonie swych zmysłów, poparzone i krwawe, po czym zjednoczoną wolą czterech strażników oraz ich Towarzyszy, zmusił ją do zestrojenia się z magią i żywą energią ogniska, aby w końcu wchłonąć je w siebie. . .

I resztką sił dokonał tego.

Sieć rozbłysła. Stojąc w jej sercu, ujrzał i poczuł przewalającą się przez nią potężną falę mocy, otwierającą nowe połączenia, przerzucającą nowe nitki aż do momentu, kiedy sieci nie sposób było już odróżnić od słabszego, lecz bardziej rozległego układu, który widział wcześniej.

Wydostał się z nowego kamienia-serca i świeżymi pasemkami energii rozesał delikatne niteczki myśli. I napotkawszy to, co napotkał, chciał krzyknąć z radości, bo zaklęcie działało pełną mocą.

Od tej chwili Valdemar i wszyscy jego heroldowie stanowili jedno, wszyscy wpleceni w Wielką Sieć tak, jak tylko pozwalały na to ich dary. Zanim nadejdzie zagrożenie, dalekowzroczni zobaczą, skąd, przewidujący będą wiedzieli, kiedy, i każdy herold potrzebny do zażegnania niebezpieczeństwa dowie się o nim i pozna jego źródło.

Równocześnie Vanyel poczuł, jak Towarzysze wycofują się ze splotu mocy. Na moment ogarnęła go panika, ale zaraz zobaczył, że sieć jest na swoim miejscu, nadal nietknięta.

„Do diabła. Miałem nadzieję... ale one same stanowią swe prawa — zasepił się. — Kiedyś nie miały z siecią nic wspólnego i teraz najwidoczniej postanowiły, że tak ma pozostać. To niedobrze, mogłyby nadrabiać za heroldów o słabszych darach. Poza tym magia, jaką posługują się ludzie, zawsze pozostawiała ich nietkniętymi; miałem nadzieję, że mogłyby przenieść tę swą odporność na nas. Prawda, że Towarzysze nigdy nie robiły nic poza wspomaganiami swych Wybranych; nie sposób na nie wpłynąć, ale byłoby miło z ich strony, gdyby tym razem zrobiły wyjątek.”

Przynajmniej jego własne pierwotne zamysły zostały zrealizowane, nową sieć zasilala magiczna moc ogniska, a heroldowie tylko ją wspomagali, i nie była już od nich całkowicie zależna. Gdy nadejdzie wezwanie, ci, którzy nie będą akurat pochłonięci innymi, pilniejszymi sprawami, porzucą wszystko, by stawić czoło zagrożeniom wiszącym nad Valdemarem.

Wreszcie, poza samą siecią, muszą powstać też zabezpieczenia...

Vanyel wyłączył się z węzła mocy, ponieważ z tym zadaniem poradzić musiał sobie sam. Wyciszył się, odizolował od wszelkich zewnętrznych bodźców, a potem przyciągnął do siebie Savil. Razem zwrócili się ku *vrondi* i zawołali...

Jedno przyleciało natychmiast, później tuzin, dalej sto. A oni wciąż wołali, aż napowietrzne stworzonka otoczyły ich zewsząd, tysiącami swych ciałek...

Całe szczęście, że *vrondi* nie wiodły swej egzystencji w tym samym wymiarze rzeczywistości co ludzie, bo inaczej zadusiłyby na śmierć Vanyela i wszystkich obecnych w sali.

Vanyel sięgnął ku *vrondi* ponownie, tym razem o wiele ostrożniej, i utworzył nowe połączenie między Wielką Siecią a mocą, z której czerpała swą siłę. Potem pokazał je zebranym *vrondi*, a Savil pouczyła je bez słów, że moc ta należy im być do nich...

... *vrondi* chciwie rzuciły się naprzód...

... *jeżeli* — mówiła Savil, przytrzymując połączenie wciąż z dala od ich zasięgu.

Jeżeli? — Słowo to zabrzmiało echem, przerzucane od *vrondi* do *vrondi*, niesione na fali łaknienia, zwątpienia i jeszcze raz łaknienia. — *Jeżeli? Jeżeli?*

Vrondi cofnęły się nieco, mierzając badawczymi spojrzeniami swych oczek oboje magów heroldów. Wreszcie odezwały się.

O co chodzi?

Gdy Vanyel demonstrował, co mają robić, Savil wciąż wstrzymywała połączenie. Aby zasłużyć sobie na energię, *vrondi* musiały tylko uważać na magów. Nieustannie uważać na magów. I dawać im odczuć, że znajdują się pod ciągłą obserwacją.

Vrondi zawirowały wokół Vanyela, potem wokół Savil — tysiące niebieskich oczek w malutkich chmurkach mgiełki.

To wszystko? — zapytał chór głosików myśłomowy.

To wszystko — odparł Vanyel, odczuwając, że jego własna energia zaczyna się wyczerpywać. — *Obserwować. I dawać im odczuć, że obserwujecie.*

Vrondi zatoczyły wokół niego krąg, rozważając propozycję. I w końcu, kiedy zaczął się już niepokoić...

Zgoda! — wykrzyknęły. Pochwyciły pasmo energii... i zniknęły.

Vanyel oderwał się od Savil, od splotu energii, i opadł z sił.

— Na bogów — jęknął Kilchas.

Vanyel uniósł głowę ze stolika, na który się osunął.

— O niczym innym nie marzyłem. — Kilchas na wpół leżał na stole z głową nakrytą rękami i palcami zaplątanymi w siwej czuprynie.

— Wydaje mi się — zagadnęła Lissandra, dokładnie wypowiadając każde słowo — że prześpię cały tydzień. Czy ten twój chwyt z *vrondi* odniósł jakiś skutek?

— Zgodziły się — odrzekł Vanyel ze wzrokiem utkwionym w kulę opalizującego kryształu, spoczywającą po środku stolika, gdzie wcześniej leżało pięć kamieni. — Każdy mag przebywający w granicach Valdemaru będzie wiedział, że jest obserwowany. Jeśli nie jest stąd, albo knuje coś złego, będzie się czuł nieswój. W miarę przemieszczania się w głąb Valdemaru, będzie przyciągał do siebie coraz więcej *vrondi* i coraz gorzej będzie się czuł.

— I dla uniknięcia wykrycia będzie musiał się dość szczelnie osłaniać — dodała Savil, osunąwszy się na oparcie krzesła całym ciężarem ciała. — *Vrondi* mają sporą wrażliwość na energię magiczną. A ciekawskie są jak wszyscy diabli. Podejrzewam, że w tym wypatrywaniu magów do naszych *vrondi* zaczną dołączać inne, dzikie, choćby tylko dla samej zabawy.

— To dobrze... o ile tak będzie. — Lissandra z błędnym wyrazem twarzy sięgnęła swym myśłodotykiem do samego środka kuli. — Ale to nam nie powie, że mamy na swym terytorium działających magów, chyba że uda ci się przekonać do tego *vrondi*.

— Istotnie mam jeszcze inne plany — przyznał Vanyel. — Chciałbym nakłonić *vrondi*, żeby na obcych magów natychmiast reagowały przerażeniem. . . skoro są już włączone w sieć, ich przerażenie odczują również heroldowie. Ale tego jeszcze nie dopracowałem. Po pierwsze, nie chcę, aby reagowały w ten sposób na magów heroldów, a po drugie, nie jestem pewny, czy *vrondi* potrafią odróżnić magów.

— Ani ja — odrzekła Savil z powątpiewaniem. — Mnie się wydaje, że wystarczy dać magom odczuć, że są obserwowani. Kiedy masz coś na sumieniu, już samo to sprawia, że robisz się przewrażliwiony.

Gdy rozmawiali, Kilchasowi udało się wreszcie wstać. Teraz wyciągnął rękę w stronę kuli i próbował ją podnieść. Na widok jego miny w momencie, gdy pojął, że nie może tego zrobić, Vanyel zachichotał cicho.

— Teraz to jest kamień-serce — usprawiedliwił się. — Jest wtopiony w stół, a stół z kolei w kamień pałacu i pokłady skał pod nim.

— Och — westchnął Kilchas, z głuchym odgłosem opadając na krzesło.

Vanyel opuścił osłony, po czym zwrócił się do jedynej osoby w pokoju, która nie odezwała się jeszcze ani słowem. Oparł się plecami o krzesło i skierował twarz ku Tantrasowi.

— I jak? — zapytał.

Tantras pokiwał głową.

— Jest we mnie, jak nic. Jest tam coś, co przedtem nie było częścią mnie. . .

— A co z ogniskami zapalnymi? — spytał Vanyel.

Herold zamknął oczy i w skupieniu ściągnął brwi.

— Próbuję myśleć o mapie — powiedział wreszcie. — Idę w kierunku granicy. To jest jak czytanie; kiedy zbliżam się do problematycznych miejsc, odczuwam coś podobnego do mdłości. Założę się, że gdybym miał przed oczami prawdziwą mapę, byłoby to jeszcze bardziej precyzyjne.

Vanyel westchnął i zwiesił ramiona, poddając się swemu wyczerpaniu.

— A więc, udało nam się.

— W to nigdy nie wątpiłam — rzuciła Savil.

Ani ja — dopowiedział znajomy głos w głowie Vanyela.

— W takim razie nadszedł czas, kiedy mogę paść na nos; chyba zasłużyłem sobie na to. — Vanyel wstając poczuł ból w każdym stawie. — Chyba wszyscy sobie na to zasłużyliśmy.

— Zgadza się. — Lissandra wstała, idąc w jego ślady.

Kilchas dźwignął się sam, ale Savil potrzebowała pomocy Tantrasa. Vanyel skierował się do drzwi i otworzył je, pozostawiając innych, by radzili sobie sami. W tym momencie był w stanie myśleć tylko o swym łóżku. . . i o tym, jak bardzo pragnie się w nim znaleźć.

Posuwał się ociężale korytarzem prowadzącym do wyjścia ze Starego Pałacu i dalej do jego pokoju, ze wszystkich sił starając się nie potykać. Był tak zmę-

czony, że ktoś mógłby wziąć go za pijanego, a coś takiego nie przysłużyłoby się reputacji heroldów...

Och, kto wie — zachichotała Yfandes. — *Mógłbyś dzięki temu zacząć dostawać więcej zaproszeń na przyjęcia.*

Mógłbym. Ale czy byłyby to przyjęcia, na które chciałbym chodzić?

Prawdopodobnie nie — przyznała Yfandes.

Dopiero gdy przebył większość drogi dzielącej go od Skrzydła Heroldów, przyszło mu do głowy, że jego łóżko może być jeszcze zajęte...

A jednak nie było. Otworzył drzwi, by przekonać się, że jego sypialnia jest pusta, łóżko zaścielone, a po gościu nie ma nawet śladu. Służba wysprzątała już wszystko; w pokoju nie było nic niezwykłego.

Vanyel przywarł do framugi, zaskoczony swym rozczarowaniem, że młody bard nie został choćby po to, aby umówić się na kolejne spotkanie.

„Tym razem przy nieco mniejszej ilości wina...”

To rozczarowanie było dla niego czymś niepojętym — przecież dopiero co poznał tego chłopca w nocy. Nie wolno mu pozwalać sobie na nawiązywanie bliskich przyjaźni — wszak w kółko sobie to powtarzał.

„Każdy, komu pozwolisz się do siebie zbliżyć, stanie się celem ataków albo zakładnikiem — mówił do siebie po raz tysięczny. — Nie możesz sobie pozwolić na przyjaciół, głupcze. Powinieneś być wdzięczny bogom, że chłopak poszedł po rozum do głowy. Możesz sobie z nim bezpiecznie porozmawiać na dworze. Dobrze wiesz, że po wczorajszym dniu będziesz go tam spotykał co dzień. To powinno ci w zupełności wystarczyć. Zeszłej nocy on nie miał nawet pojęcia, co ci proponuje; przemawiało przez niego wino i uwielbienie dla bohatera. Jesteś za stary, a on za młody.”

Ale jego łóżko, gdy rzucił się na nie, wydało mu się bardzo zimne, i bardzo puste.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Gdzieś blisko zamknęły się jakieś drzwi. Stefen, dopiero na wpół przebudzony, przeciągnął się, ale gdy jego prawa ręka nie napotkała ściany, szok niespodzianki otrzeźwił go do reszty. Uprzytomnił sobie naraz, że zamiast otynkowanego kamienia, przed oczami ma drewnianą boazerię. To była całkiem nieznaną ścianą.

Z tego wniosek, że znalazł się w nie swoim łóżku.

No cóż, to akurat nie było aż tak niezwykle. W ciągu ostatnich dwóch lat budził się w wielu łóżkach, i z najróżniejszymi partnerami. Do niezwykle natomiast można było zaliczyć fakt, że oto tego ranka obudził się zupełnie sam i wszystko wskazywało na to, że także sam położył się do łóżka. Przetarł oczy i przewróciwszy się na drugi bok, ze zdziwieniem potoczył wzrokiem po pokoju. Za kotarami zasłaniającymi łóżko, na podłodze, jak niemy wyrzut, rozłożona była wymiętoszona pościel.

„Wygląda na to, że jednak rzeczywiście położyłem się sam. O rany!”

Obok posłania leżał stosik porzuconych ubrań. Niezawodnie była to Biel heroldów.

„Więc to nie był sen.” Stefen usiadł i prawą dłonią przeczesał swe splątane włosy. „Wczorajszego wieczoru naprawdę znalazłem się w pokoju herolda Vanyela. Skoro on spał tam, a ja tutaj. . . — Stefen zmarszczył brwi. — Przecież on jest *shayn*. Wiem, że na pewno się do niego zalecałem. Podobałem mu się. Więc co się stało?”

Stef wyplątał się z pościeli i ześliznął z łóżka Vanyela. Na stoliku w drugim końcu pokoju, przy fotelach, widniały pozostałości po kolacji poprzedniego wieczoru i dwie puste butelki wina.

„Nie byłem aż tak pijany i wiem, co robiłem. Przecież powinno być się udać. Dlaczego się nie udało? To jasne; że on też był wystarczająco zawiany, żeby zapomnieć o tej swojej nieśmiałości. Powinienem być bardziej natarczywy?”

Schylił się po swą tunikę leżącą na podłodze i włożył ją przez głowę. Wyglądało na to, że jego buty zniknęły, przypomniał sobie jednak, że zdjął je już na początku wieczoru. Po krótkich poszukiwaniach odnalazł je pod jednym z foteli, gdzie powędrowały kopnięte, i usiadł na podłodze, aby je wciągnąć. Z powodu

zabandażowanej lewej dłoni szło mu to troszkę niezdarnie.

„O nie, natarczywość wzbudziłaby w nim tylko wstręt. Do diabła, na tyle potrafię go wyczuć!”

Naraz uderzony kolejną myślą, zastygł z jednym butem do połowy wciśniętym na nogę. „A jeśli on nie wyczuł mnie dobrze? A jeśli wziął mnie za jakiegoś zaślepionego dzieciaka? Och, bogowie, jak on mało wie...”

Stef zaczął uśmiechać się do tej myśli, kiedy następna przyniosła otrzeźwienie. „A jeśli wiedział... albo jeśli się dowie, co sobie wtedy pomyśli?”

To była naprawdę bardzo niepokojąca myśl. „Nie zachowywałem się zbyt dyskretnie, ani nie byłem zanadto wybredny.” Poczul na policzkach rumieniec — wstydu? Takie przynajmniej odniósł wrażenie. „Przecież ja się tylko dobrze bawiłem. Nigdy nikomu nie wyrządziłem krzywdy. Nie myślałem, że to może mieć jakieś znaczenie.”

Ale być może dla kogoś takiego jak Vanyel, który w ciągu całego swego życia miał zaledwie kilku kochanków, jak najbardziej mogło to mieć znaczenie. Co do Stefena zaś, przed ostatnim wieczorem taka reakcja, jaka spotkała go ze strony herolda, zwyczajnie spłynęłaby po nim i poszedłby po prostu do kogoś innego.

Przed ostatnim wieczorem to nie grałoby żadnej roli. A jednak poprzedniej nocy coś się wydarzyło, coś, co sprawiło, że opinia Vanyela o nim stała się dla Stefena ważna.

„Może właśnie w tym rzecz. Może słyszał już o mnie, o tym, jakie życie wiodę i...”

Ale to też nie miało sensu. Vanyel nie czuł wstrętu, a przynajmniej nie okazywał tego. Najzwyczajniej w świecie położył Stefena do łóżka — samego, jak dziecko, albo swego bratanka — i pozwolił odespać to, co wypił. A raniem odszedł do swych obowiązków bez jednego słowa.

Stefen wstał, podniósł swą cytrę i teczkę z nutami, które czekały oparte o ścianę obok drzwi, i wysliznął się na korytarz, nie mając pojęcia, co o tym wszystkim sądzić.

„Wiem tylko, że lepiej będzie, jak nikt się nie dowie, że ostatniej nocy spałem sam, bo inaczej moja reputacja rozsypie się w proch”.

Kiedy dotarł do pokoju, który dzielił z Medrenem, czekały na niego cztery listy. Jego przyjaciela na szczęście nie było. Stefen nie chciał go spotkać, zanim nie uda mu się wymyślić rozsądnego usprawiedliwienia tego, co się nie wydarzyło. Bywało bowiem, że Medren był bardziej okrutny niż wiejski swat.

Co do listów zaś, nie chciał nawet na nie patrzeć, dopóki się nie umyje i nie naje.

Umył się w uczniowskiej łaźni. Cała młodzież siedziała o tej porze w klasach, łaźnia więc była zupełnie wyludniona. Zaspokojenie apetytu okazało się jeszcze

łatwiejsze. Gdy sam był uczniakiem, zorientował się, że dzięki chuderlawej posturze i tęsknej minie zawsze potrafi wyłudzić jedzenie od kucharzy, bez względu na to, jak bardzo są zajęci. Posilony wrócił do swego pokoju, aby przekonać się, że podczas jego nieobecności do czekających na otwarcie listów dołączyły dwa następne.

Usiadł na łóżku, aby je przeczytać. Trzy przesyłki nadeszły od uzdrowicieli (jedna od dziekana Kolegium Uzdrowicieli, dwie od osobistych medyków Randal), a czwartą — to zadziwiające — przysłała sama lady Shavri.

Wszystkie rozpoczynały się mniej więcej podobnie; były to wariacje na ten sam temat: wylewne, lecz niezaprzeczalnie szczere wyrazy wdzięczności oraz zapewnienia, że więcej uczynił dla dobrego samopoczucia króla, niż może sobie wyobrazić. Dziekan pytał w swym liście, dość okrężną drogą, czy Stefen nie zechciałby pozwolić uzdrowicielom przebadać go, natomiast uzdrowiciele opiekujący się królem wspomnieli o bezpośrednim związaniu go z dworem. Shavri pisała bez ogródek:

Zamierzam dołożyć wszelkich starań, aby należycie cię wynagrodzono za wszystko, co zrobiłeś dla Randal. Jako osobisty króla skonsultuję się z dziekanem twojego Kolegium i przewodniczącym Kręgu Heroldów. Jeśli jesteś skłonny nadal służyć Randalowi, wędrowcu Stefanie, uczynię dla ciebie wszystko, co tylko w mojej mocy.

Stef trzymał list w obandażowanej dłoni, kontemplując go ze zdumieniem i zarazem uczuciem uniesienia.

„Wczoraj wieczorem myślałem, że zapomnieli o moim istnieniu. Vanyel był jedyną osobą, którą zdawało się obchodzić to, że dla nich zdarłem sobie palce do krwi. Tymczasem ten list...”

Jednak zaraz do głosu doszło jego wyostrzone poczucie rzeczywistości. Przecież Shavri nie obiecywała nic konkretnego. Innych interesowało tylko to, czy Stefen zechce z nimi współpracować, i choć ich wdzięczność była miła, nie przysporzyła jego kieszeni srebrników, a jemu samemu żadnej stałej posady. Pozostały jeszcze dwie notki, jedna od dziekana Kolegium Bardów. Nie było cienia wątpliwości, co zawierały.

„Zbyt dużo czasu spędziłeś z Vanyelem, Stef — pomyślał sobie. Ten cały altruizm jest zaraźliwy.”

Czwarty list był od Medrena, który informował swego współlokatora o tym, że wybiera się z kilkoma bardami w tygodniową podróż na obchody Święta Wiosny.

Chcę nauczyć się kilku nowych pieśni

Mówiła notka.

Przepraszam, że wybywam tak nagle, ale informacja o tym dotarła do mnie dość późno. Mam nadzieję, że wszystko się ułoży.

„Jakże dyskretnie ukryta aluzja; jeśli to aluzja — pomyślał cynicznie. — Oczywiście zauważył, że nie wróciłem na noc. Założę się, że zachodzi w głowę, czy nie byłem czasem z jego wujaszkiem. A może ktoś już mu powiedział. — Stefen westchnął. — O rany, mam nadzieję, że nie. Jeśli nikt nie wie, to do jego powrotu będę miał czas wymyślić coś, co zaspokoi jego ciekawość.”

Pozostał już tylko list od dziekana Kolegium. Stefen zważył go w dłoni rozmyślając o tym, jak bardzo chciałby umieć przewidzieć, czy to dobra, czy zła nowina. Ale przecież nie potrafił tego i nie było sensu odkładać przeczytania notki.

Złamał pieczęć, zawahał się jeszcze przez moment, wreszcie rozłożył gruby, welinowy arkusz.

„No, no. Z pieczęcią, na nowiutkim papierze, a nie na jakimś tam skrawku palimpsestu. Bardzo oficjalny list, a to może oznaczać wiadomości albo bardzo dobre, albo bardzo złe.”

Przebiegł wzrokiem po oficjalnym wstępie i zamarł na widok dalszych słów, których jego umysł nie chciał pojąć.

... gdy zabrzmie drugie uderzenie dzwonu w południe, zbierze się Krąg Bardów w celu rozpatrzenia Twego statusu oraz dyspozycji. Proszę, przygotuj się na przyjęcie naszego orzeczenia.

„Co ja takiego zrobiłem? — pomyślał bliski obłędu. — Dopiero co mianowali mnie wędrowcem... To niemożliwe, żeby chcieli mnie zaraz zrobić mistrzem! Ale dlaczego mieliby mnie zdegradować? Co złego uczyniłem? Chyba że właśnie dowiedzieli się czegoś o mojej przeszłości...”

Tak, to mogło być to. Nie szło o to, co zrobił, ale o to, kim był. Zaginiony spadkobierca jakiegoś tytułu? Nie, to nieprawdopodobne. Takie rzeczy zdarzają się tylko w balladach uczniaków. Ale istniały inne sprawy, które mogły skłonić Krąg do zdegradowania go, choćby tymczasowego. Jeśli na przykład członkowie jego rodziny zapadają na jakąś dziedziczną chorobę umysłową, wtedy przed przywróceniem mu jego statusu, chcieliby się upewnić, że nie grozi im oglądanie Stefena w napadzie obłędu biegającego z toporkiem w dłoni. Albo gdyby okazało się, że jeszcze w niemowlęctwie przyrzeczono go komuś na męża...

Nagle pojawiła się ta straszliwa myśl. W takim wypadku zbawić go mógł jedynie status czeladnika: czeladnikom nie wolno było się żenić. Chociaż myśl o degradacji tak bardzo go irytowała, jeszcze, gorzej czułby się przykuty do jakiejś krępej córki piekarza o twarzy jak nie wypieczony bochen chleba. Degradacja dałaby jednak Kolegium Bardów dość czasu, aby uwolnić go od umowy, albo po prostu przeczekać, opóźniając ślub, dopóki rodzice nie daliby za wygraną i wciśnęli córunię komuś innemu.

Albo dopóki nie dowiedzieliby się o jego preferencjach seksualnych. Nawet w Valdemarze większość ojców chętniej wydałoby swe córki za staruszkę albo pijaczynę, niż za takiego *shayn*.

„Przede wszystkim nigdy nie mieliby wnucząt — myślał Stef zasepiony. — Dokąd będę anonimowym czeladnikiem, przymuszając mnie do małżeństwa, nie zyskają ani statusu, ani pieniędzy.”

Taki wariant wydawał się najbardziej prawdopodobny — daleko bardziej aniżeli to, że Krąg mógłby się zebrać w celu wyniesienia osiemnastoletniego chłopca, od niespełna trzech miesięcy wędrowca, do rangi mistrza.

Cóż, istniał tylko jeden sposób, aby dowiedzieć się prawdy: trzeba pójść do Sali Obrad i tam poczekać na odpowiedź.

Ale lepiej będzie, jeśli przedtem zadba o swą prezencję. Rzucił się więc do skrzyni z ubraniami w poszukiwaniu jednego choćby kompletu Szkarłatów bardów, który byłby najmniej znoszony.

Czekanie było dla Stefena rzeczą najtrudniejszą na świecie, a wypaliło się już wiele miarek świecy, odkąd tkwił pod drzwiami Sali Obrad. W jego oczekiwaniu nie było gracji. Siedzenie na twardym krześle było wręcz torturą, zamiast niego wybrał więc jedną z ław (przeznaczonych dla kupców, którzy zazwyczaj wyczekują tam na załatwienie swych spraw). Udawało mu się nie zmieniać pozycji — i nie chodzić po przedpokoju tam i z powrotem — ale wcale nie siedział spokojnie. Wiercił się, trąc bandażę na dłoniach, i jedną stopą uderzał miarowo w podłogę. Całe szczęście, że w pokoju nie było nikogo poza nim, bo inaczej zdenerwowanie Stefena mogłoby współtowarzysza oczekiwania doprowadzić do ostateczności.

W końcu, gdy pozostało już ledwie pół miarki świecy do dzwonu powiadamiającego o kolacji, drzwi otworzyły się i bard Breda skinęła na niego, by wszedł do środka.

Stef skoczył na równe nogi i podporządkował się poleceniu. Prawą dłoń kurczowo zaciskał na zabandażowanej lewej dłoni. Skręcało go w żołądku.

Sala Obrad, serce Kolegium Bardów, nie była szczególnie obszerna. Kiedy zamknęły się za nim drzwi i stanął twarzą w twarz z członkami Rady Bardów, ledwie starczyło dla niego miejsca.

Rada składała się z siedmiu członków, włączając w to jego opiekunkę, Bredę. Ta usiadła teraz w końcu kwadratowego, marmurowego stołu, wokół którego zebraли się wszyscy. Przed przewodniczącym Rady, bardem Dellarem, leżała sterta rozrzuconych papierów.

Przewodniczący Rady ani trochę nie wyglądał na barda, co niekiedy prowadziło do pewnych niezręczności. Miał krzywy nos, jak zduszony ziemniak, a na jego twarzy trochę przypominał narośl na ziemniaku. Usta miał tak szerokie, że Dellar mógłby pewnie połknąć na raz cały bochenek chleba. Powyżej błyszczą-

ła para bystrych, czarnych oczu, które zapewne równie świetnie pasowałyby do kruka.

— Otóż — przemówił Dellar, rozciągając usta jeszcze szerzej w karykaturze uśmiechu. — Bez wątpienia dzisiejszego ranka byłeś powodem wielkiego zamieszania i przyczyną niemałych kłopotów, można by dodać.

Stefen zwilżył wargi i postanowił nic nie odpowiadać. Dellar odnosił się do niego przyjaźnie i uprzejmie, w takim razie kłopoty nie mogły być aż tak uciążliwe...

— Rozchmurz się, Stefenie — zaśmiała się Breda, przechyliwszy głowę na bok. — Nie ma w tym twojej winy. Powodem tych kłopotów było jedynie to, że staraliśmy się wszystkich usatysfakcjonować tak, by nie zranić niczyich uczuć. Pasowanie ciebie na mistrza i przydzielenie bezpośrednio Randalowi musi wytrącić niektóre osoby z równowagi, dlatego trzeba było podejść do tego z ostrożnością.

— Pasowanie mnie na kogo? — wyjąkał Stefen.

Na widok jego miny Dellar wybuchnął śmiechem.

— Mianujemy ciebie bardem, chłopcze. Shavri bardzo na to nalegała. — Przewodniczący Rady znów się uśmiechnął, a Stefen z trudem zdobył się na odwzajemnienie tego uśmiechu. Dellar pozbiierał leżące przed nim papiery i rzucił je na stos szpargałów. — Nie chce, żebyś się włóczył po kraju i zbierał guzy...

— To nonsens, Dell — Breda zamknęła mu usta władcym skinieniem dłoni i stanowczo wskazała palcem na Stefena. — To, czego chciała, czy nie chciała Shavri nie miałyby żadnego znaczenia, gdybyś nie był jednym z najzdolniejszych i najlepszych uczniów, jakich mieliśmy w Bardicum od... nie wiem... wieków w każdym razie. Nie robimy wyjątków, ponieważ naciska na nas ktoś na wysokim stanowisku, Stefenie. Robimy je wówczas, gdy ktoś jest tego wart. Ty jesteś. Nie ma potrzeby, abyś dowodził swej wartości w świecie, a twój wyjątkowy dar czyni cię dwakroć cenniejszym dla nas i dla korony.

Rzuciła Dellarowi wyzywające spojrzenie, na co ten tylko wzruszył ramionami i zakasłał.

— Breda wyraziła to bardzo zwięźle, chłopcze. Musimy ciebie zatrzymać dla dobra króla, a jedynym sposobem na to jest przydzielenie ciebie na stałe Randalowi. Jedynym sposobem, aby nadać ci stopień usprawiedliwiający tego rodzaju przydział jest pasowanie cię na mistrza. Lecz istnieje pewien problem...

— Rozumiem — rzekł Stef, odzyskując zimną krew. — Nie powinno się tego załatwiać w taki sposób. Może to wzbudzić złe nastroje.

— To mało powiedziane — odezwała się inna członkini Rady, zapatrzwszy się na moment w swą lewą dłoń. — Bardowie są tylko ludźmi. Niejeden będzie chciał wyciągać na wierzch twoje prywatne sprawy, żeby pozbawić ciebie tej posiadłości. Połowa z nich będzie przekonana, że zarobiłeś sobie na nią sypiając z kim trzeba. Jeśli nie uda nam się ukrócić tej zazdrości, plotkarze będą śledzić każdy

twój krok, okrutnie utrudniając tobie i pracę, i całe życie. Czyż muszę przypominać, że mamy tu do czynienia z bardami, którzy są ekspertami posługiwania się słowem? Nim skończysz mówić, twoja pikantna biografia stanie się tematem historyjek i piosenek wyśpiewywanych po tawernach, stąd aż po Hardorn.

Stefen poczuł, że gorączka zalewa mu twarz.

— Oto cały problem, chłopcze. — Dellar wzruszył ramionami. — I w tej kwestii trzeba było pójść na pewien kompromis. Toteż teraz jestem zmuszony przekazać tobie złe wieści. Będziesz wyznaczony na osobistego barda króla, ale twoim wynagrodzeniem pozostanie podstawowe stypendium. Tylko koszty, tak jak teraz. Żadnych przywilejów. Zamiast bardziej wytwornego gniazdka w pałacu, za kwatery musi ci wystarczyć twój obecny pokój. Medren się wyprowadzi, więc będziesz miał więcej swobody, ale to wszystko, co możemy dla ciebie zrobić.

Stef przytaknął skinieniem głowy, kryjąc swe rozczarowanie. Ale mimo wszystko, będzie najmłodszym mistrzem w historii Kolegium. Cieszy się łaską króla i w oczach innych będzie członkiem dworu, gdzie będzie miał sposobność zarobić sobie coś na boku.

— Rozumiem — powiedział, starając się, by jego słowa zabrzmiały, jak gdyby przyjmował to zupełnie gładko. — Jeżeli będzie widać, że się mnie nie wyróżnia. . . Jeżeli w gruncie rzeczy wiadomo, że pasowano mnie na mistrza wyłącznie po to, abym służył bezpośrednio królowi. . . Cóż, nikt, kto miałby aż takie ambicje nie będzie mi zazdrościł posady, z którą nie wiąże się żadne dodatkowe wynagrodzenie.

— Otóż to. — Dellar z zadowoleniem pokiwał głową i położył dłonie na swych papierach. — Miałem nadzieję, że to zrozumiesz. Rzecz jasna, będziesz współpracował z uzdrowicielami. Szaleją wprost z ciekawości, chcąc dowiedzieć się, jak to jest, że robisz to, co robisz, i sprawdzić, czy będą umieli to naśladować.

Stefen westchnął. Z tego wszystkiego wynikało, że zajmą mu większą część dnia, mniej czasu pozostawiając mu na zabieganie o względy tam, gdzie mógłby zyskać jakieś długotrwałe korzyści. Widział już Randala i wie, jak ciężko król jest chory. Nie przeżyje więcej niż — w najlepszym wypadku — kilka lat, a co wówczas stanie się ze Stefanem?

„Pewnie mnie odeślą. Nikomu nie będzie potrzebny mój dar uśmierzenia bólu. A ja nie będę miał dokąd pójść, chyba że wcześniej zgromadzę jakąś pokaźną sumkę.”

— Dobrze — odrzekł z rezygnacją, którą ze wszech miar starał się ukryć.

„Przecież uzdrowiciele nie zajmą mi aż tyle czasu. Skoro nie ma królowej, muszę się zaraz dowiedzieć, gdzie zbierają się damy dworu. Oczywiście mężatki. Te młode nie mają żadnych wpływów, o nie, potrzeba mi stadka znudzonych pań w średnim wieku, na tyle młodych, by im schlebiały miłe słówka, ale dość dojrzałych, żeby nie brać tych miłych słówek poważnie. Gdy będę wiedział, jak je rozerwać. . .”

Raptem dotarło do niego, że bard Dellar nie skończył mówić i że umknęło mu kilka ostatnich zdań przewodniczącego. Jego uwagę przykuło natomiast pewne imię.

— ...herold Vanyel — zakończył Dellar, a Stefen skłął się w duchu za swą nieuwagę. Przez to nie miał teraz nawet mglistego pojęcia, co Vanyel powiedział, czy też zrobił, albo miał zrobić, ani jaki właściwie miało to związek z jego osobą. — Cóż, sądzę, że omówiliśmy już wszystko, chłopcze. Jak myślisz, podołasz temu?

— Mam nadzieję — odrzekł Stefen z entuzjazmem.

— Doskonale. Zgłoś się na dworze jutro przed południem, tak jak wczoraj. Herold Vanyel wyda ci odpowiednie polecenia.

„A więc Vanyel ma być moim stróżem, tak? — Stefen ukłonił się Radzie Bardicum i uśmiechając się do siebie, opuścił salę. — No, no. To zaczyna wyglądać dość obiecująco.”

Pomimo wszelkich środków ostrożności, zazdrości nie dało się uniknąć. Stef uzmysłowił sobie nagle, że kilku bardów ignoruje go lub ostentacyjnie okazuje mu niechęć. Wprawdzie przeważnie czynili to bardowie będący w Przystani tylko przejazdem, ale jednak coś takiego dało się zauważyć.

Nie pierwszy raz spotykał się z takimi reakcjami, i prawdopodobnie nie ostatni. Bardowie zatrzymujący się w mieście na dłużej prędko zauważali, że Stef niczym nie wyróżnia się od zwykłych wędrowców, i ich stosunek do młodego barda trochę się ocieplał.

Ale tylko trochę. Nadal zachowywali dystans i nie zachęcali go do nawiązywania znajomości. Stefenowi takie postępowanie z ich strony bynajmniej nie sprawiało przyjemności. Nie pomagał mu też fakt, że błyskawiczny awans ciążył mu na sumieniu. Wszakże w takim przeskoku z wędrowca na mistrza nie tylko talent grał rolę, bez względu na to, co twierdziła Rada, liczyło się też doświadczenie. A doświadczenia Stefenowi brakowało. W tej materii niewiele różnił się od Medrena.

Niemniej jednak fakt pozostawał faktem. Przeskoczył swych kolegów z roku, a nawet starszych, i został rzucony w sam środek Wielkiego Dworu. . .

Gdyby był bardziej wyrachowany zacierałby teraz ręce z radości. Tymczasem jeły go nawiedzać przeróżne myśli i poważne obawy. Ich potwierdzeniem zdawał się być sposób, w jaki odnosili się doń inni bardowie.

Co się zaś tyczy uzdrowicieli, ci zaczęli mu autentycznie grać na nerwach. Wydawało im się, że mają monopol na każdą jego wolną chwilę. Badali go i obserwowali nieustannie. W związku z tym w pierwszym tygodniu nie miał najmniejszych szans na nawiązanie zaplanowanych kontaktów na dworze.

Po raz pierwszy w życiu wykorzystywał swój dar w każdej śpiewanej przez

siebie pieśni, więc nim dzień dobiegał końca, był zupełnie wyczerpany. Kiedy nie śpiewał dla Randala, demonstrował swój dar uzdrowicielom. Gdyby miał choć odrobinę czasu na przemyślenie czegokolwiek, powiedziałby im zapewne, żeby udławili się tytułem mistrza i rzuciłby to zajęcie. Jednak po każdym dniu pracy był tak zmęczony, że wręcz padał na łóżko i spał jak zabity. Nie umiałby powiedzieć radnym, aby się od niego odczepili. Ta myśl nawet nie przemknęła mu przez głowę.

Jak na złość, rzadko widywał Vanyela, a każda próba wzbudzenia zainteresowania herolda kończyła się fiaskiem. Za każdym razem, gdy puszczał się w zaloty, Vanyel wyraźnie stawał się... nerwowy. Stef nijak nie mógł pojąć, w czym tkwi problem. Vanyel w pierwszej chwili niby zaczynał reagować, ale zaraz zamykał się w sobie, a na jego twarz spadała maska. W takich chwilach Stef miał wielką chęć udusić kogoś i pewnie by to zrobił, gdyby miał w sobie choćby trochę sił.

Tak oto przedstawiały się sprawy, gdy ze swej krótkiej wycieczki powrócił Medren.

Stefen przyglądał się sobie w lustrze; w końcu zrobił grymas.

— Ej, ty — powiedział oskarżycielskim tonem, wskazując palcem swe chude, rozczochrane drugie JA. — Jesteś głupkiem.

— Zgadzam się — rzucił Medren, wyrastając za jego plecami. Wystraszył Stefena do tego stopnia, że ten wrzasnął i odskoczył w bok, wpadając na ścianę.

Gdy usiłował złapać oddech i uspokoić walące jak młotem serce, Medren grzmotnął go w plecy.

— Wielkie nieba, Stef — rzekł przeproszająco. — Co, u wszystkich diabłów, zrobiło z ciebie takiego nerwusa?

— Nie... nic — wykrztusił Stefen.

— Ha — rzucił Medren raczej sceptycznie. — Pewnie to samo „nic”, które kazało ci nazywać się głupkiem. Więc jak to jest, być mistrzem? — Gdy Stefen nie odpowiadał przez chwilę, Medren przytrzymał go na długość ramienia i dokładanie otaksował wzrokiem. — Jeśli tak, jak wyglądasz, to powiedziałbym, że czujesz się jak wędrowiec. Czy ty w ogóle nie sypiasz? — Na twarzy Medrena pojawił się nieśmiały uśmiezek. — Czy może ktoś nie daje ci spać po nocach?

Stefen jęknął, zasłaniając oczy.

— Na Kernosa, tylko mi o tym nie przypominaj. Moje łóżko jest, jak widzisz, cnotliwie puste.

— Od kiedy to, ty i cnota jesteście na ty? — zadrwił Medren.

— Odkąd wyjechałeś — rzucił Stef, pod wpływem impulsu postanawiając wyznać przyjacielowi całą prawdę.

— To ci dopiero. — Medren puścił jego ramiona i zrobił krok do tyłu. — Pomyślałbym, że załatwiliście to już z wujaszkiem Vanyelem...

Stef stłumił przekleństwo.

— Od kiedy... ty... Co ty sobie...

— Wprowadziłem cię — odrzekł Medren, jak gdyby nigdy nic. — Była okazja, więc ją wykorzystałem: wiedziałem, że Van wypróbuje każdy sposób, żeby tylko pomóc królowi, i wiem też, że w twoich oczach jest półbogiem. Myślałem, że żaden z was nie zdoła się oprzeć drugiemu. Już od roku starałem się was ze sobą spiknąć. Więc... — Zamilkł na chwilę i zmarszczył brwi. — Więc, co się stało?

— Nie wiem — jęknął Stef. Odwrócił się i opadł na krzesło. — Nie umiem myśleć. Chwytałem się już każdej sztuczki, jaka kiedykolwiek wcześniej się sprawdziła, i wprost nie pojmuję, dlaczego teraz nic z tego nie wychodzi. Uzdrowiciele mnie wykończą, a herold Vanyel obchodzi mnie z daleka, jak narowistego ogiera. Wyłbym z rozpacz, gdybym tylko miał dość sił.

— Powiedz tym uzdrowicielom, żeby zmiotali gonić własne cienie — burknął Medren. — O rany, Stefen, posługujesz się przecież swym darem, a to pochłania energię, fizyczną energię, którą zużywasz szybciej, niż możesz wyprodukować! Nic dziwnego, że jesteś zmęczony!

— A jestem? — To była dla Stefena nowina. Zawsze wychodził z założenia, że używanie daru to coś takiego jak oddychanie. Człowiek po prostu go używa. Powiedział to Medrenowi.

— Wielkie nieba — parsknął Medren. — Czy nikt w tej budzie nie myśli? Coś mi się zdaje, że nie. W przeciwnym razie uzdrowiciele nie nękaliby ciebie aż tak. A może nikt jeszcze nie poznał się na tym, że dar bardów to taki sam dar, jak wszystkie inne. Bo, uwierz mi, Stefenie, tak jest: posługując się swym darem spalasz dużo energii, a spalałeś ją ostatnio zbyt szybko. Jeśli ci przekłeci uzdrowiciele będą jeszcze kiedyś chcieli cię wziąć pod obserwację, powiedz im to. Dodaj jeszcze, że odtąd mogą wcisnąć się w kąt za tronem i obserwować cię stamtąd. Idioci. Szczerze, Stef, uzdrowiciele potrafią być piekielnie ograniczeni. Daj im tylko okazję, a zaraz cię zaszlachtują, żeby sprawdzić, co masz w środku.

Stefen wybuchnął śmiechem, jego poczucie humoru obudziło się błyskawicznie.

— Właśnie dlatego mówiłem sobie, że jestem głupkiem. Cały czas pozwalałem im wdeptywać mnie w ziemię i nie umiałem znaleźć żadnego sposobu, żeby ich powstrzymać. Wiesz co, oni potrafią być piekielnie przekonujący.

— Och tak, wiem. — Medren zajął drugie krzesło, rozsiadając się na nim niezgrabnie. — Dobrze wiem. Heroldowie są tacy sami: zdają się w ogóle nie myśleć o tym, że zwykli ludzie potrzebują czegoś więcej poza pracą, pracą i jeszcze raz pracą. Tyle razy miałem okazję oglądać, jak wujek Van sam się wykańcza. A skoro o nim mowa, przypomina mi to o pytaniu, od którego zacząłem: Co się stało? Jak dotąd, właściwie nic mi nie powiedziałaś. Najlepiej zacznij od początku.

Stefen poddał się i zrelacjonował całą historię, z każdym słowem coraz głę-

biej pograżając się w rozpacz. Medren słuchał z uwagą, oczy pociemniały mu w zadumie.

— Hm. Zdaje mi się. . .

Zamilkł, a Stef strzelił palcami, by znów przyciągnąć uwagę przyjaciela.

— Co ci się zdaje?

— Zdaje mi się, że zrobił się bardzo nieśmiały — odparł Medren, wzruszając ramionami. — Tylko takie wytłumaczenie przychodzi mi do głowy. A do tego jeszcze ta jego obsesja, że nie może dopuścić, aby ktoś się do niego zbliżył, bo osoba ta może stać się celem ataków.

Stefen poczuł nagle zimny dreszcz przebiegający mu po plecach.

— I nie myli się — rzekł do przyjaciela z powagą, starając się odsunąć myśli o tym, co widywał jako żebrak. Jak w czasie „wojen” między gangami ulicznymi i hersztami złodziei, nikt inny tylko właśnie kochanki albo dzieci stawały się celem napaści i bardzo często ich ofiarami. Prócz tego, z wieści napływających znad granicy jasno wynikało, że była to cecha niezaprzeczalnie łącząca wojny gangów z wojnami pomiędzy narodami. — Uderzenie w uczucia daje dużo lepsze rezultaty aniżeli atak fizyczny.

Medren potrząsnął głową.

— Och, daj spokój, Stef! Jesteś w samym sercu Valdemaru! Kto miałby cię tutaj dosięgnąć? Oczywiście zakładając, że Van ma rację, którą zresztą niechętnie mu przyznaję.

— Nie wiem — odparł Stefen, ciągle jeszcze drżąc od tamtego dreszczu. — Najzwyczajniej w świecie nie wiem.

— Więc daj spokój z tym ponuractwem — rozkazał Medren. — Zapomnij o tym. Zastanówmy się, czy można jakoś poskromić wujaszka Vanyela.

Stefen musiał się zaśmiać.

— Mówisz o nim, jakby był jakimś dzikim zwierzem.

Medren wyszczerzył zęby.

— A co to jest, jak nie polowanie? Będziesz musiał albo go zwabić, albo złapać w pułapkę.

W tej samej chwili w drzwiach stanął cały zastęp uzdrowicieli, którzy tak bardzo zatruwali mu życie ostatnimi czasami.

— Wybacz, bardzo Stefenie — zaczął smagły brodacz — ale. . .

— Nie — uciął Stefen.

Uzdrowiciel zdębiał.

— Co takiego?

— Powiedziałem, nie. I nie wybaczam wam. — Stefen podniósł się, stając twarzą do uzdrowiciela z rozłożonymi rękami. — Spójrz tylko na mnie, wyglądam jak cień. Zadręczacie mnie na śmierć. Mam tego dość. Dziś już nic nie będę robił.

Uzdrowiciel zdał się rozgniewany.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — warknął zjeżony. — Co to znaczy, że „zadreczamy cię na śmierć?” Nie zrobiliśmy. . .

— Chciałem powiedzieć dokładnie to, co powiedziałem — spokojnie oświadczył Stef. — Używałem swego daru, uzdrowicielu. To pochłania siły. I ich już nie mam.

Teraz dopiero uzdrowiciel naprawdę przyjrzał mu się. Dziwnie przeszywając go wzrokiem, zauważył ciemne plamy pod oczami. Raptem na jego czerstwej twarzy odbiło się przerażenie.

— Bogowie najświętsi — powiedział cicho. — Nigdy nie mieliśmy intencji. . .

— Prawdopodobnie nie, ale wykończyliście mnie. — Stefen znów usiadł, symulując większe zmęczenie, niż czuł w rzeczywistości. Poczucie winy, które odmalowało się teraz na twarzy uzdrowiciela, dostarczyło mu niebywałej radości.

— W rzeczy samej — ciągnął dalej, niby to z lekka omdlewając — jeżeli mnie nie zostawicie w spokoju, obawiam się, że na nic zdam się królowi. . .

Westchnąwszy osunął głowę na oparcie krzesła, jak gdyby stała się nagle zbyt ciężka, by mógł ją utrzymać. Potem spod na wpół przymkniętych powiek patrzył, jak uzdrowiciel blednie coraz bardziej wstrząśnięty.

— Niemożliwe. . . to znaczy, król Randal ma pierwszeństwo, rzecz jasna — wyjąkał mężczyzna. — Porozmawiam z. . . Dopilnuję, aby cię już dziś nie niepokojono, bardziej Stefenie. . .

— No, nie wiem — odparł Stef słabiutkim głosem. — Mam nadzieję, że to wystarczy, ale jestem taki zmęczony. . .

Kątem oka spostrzegł, jak Medren zagryza sobie rękę, usiłując stłumić wybuch śmiechu.

— Nie ma o czym mówić, bardziej — rzekł uzdrowiciel, dusząc się własnymi słowami. — Coś na to poradzimy. . . Ja. . .

Z tymi słowami na ustach odwrócił się i czym prędzej wziął nogi za pas. Niemy śmiech Medrena nasilił się jeszcze bardziej, a Stefen jął pysznić się, dumny ze swego zwycięstwa.

— Naprawdę jestem zmęczony — oznajmił, szczerząc zęby, kiedy Medren już charczał, z trudem łapiąc oddech. — Słowo daję.

— O Pani i Panie! — wydusił wędrowiec. — Wiem o tym, ale. . . na bogów, nadajesz się na scenę! — Uderzył się dłonią w czoło i z teatralną manierą osunął się na oparcie swego krzesła. — O tak, mój panie, zdaje się, że zaraz zem. . .

I na jego twarzy wyładowała poduszka.

„No dobrze — pomyślał Stefen, odkładając cytrę do futerału. — Ze zwykłej uprzejmości dałem ci spokój na trzy dni, heroldzie Vanyelu. Przekonajmy się, jak zareagujesz na obojętność. — Zaczął zapinać sprzączki zamykające futerał. — Nigdy nie spotkałem nikogo, kto zniósłby coś takiego.”

Powstrzymał uśmiech, spostrzegając Vanyela przeciskającego się przez tłum, najwyraźniej w jego kierunku. „Wygląda na to, że nie staniesz się pierwszym wyjątkiem od tej reguły.”

— Bardziej Stefenie? — W niskim głosie Vanyela pobrzmiwało wahanie.

Stefen spojrział na niego i uśmiechnął się. Cień onieśmienia, który zakradł się do tego uśmiechu nie był udawany. Vanyel wciąż działał na niego w ten sposób.

— Nie mogę się do tego przyzwyczaić — wyznał, sam zaskoczony swymi słowami. — Mam na myśli to, że ludzie nazywają mnie teraz bardem. Ciągłe się rozglądam, żeby sprawdzić, do kogo mówisz.

Vanyel uśmiechnął się, a Stef poczuł ucisk w gardle. .

— Znam to — powiedział. — Gdyby nie zima spędzona u Sokolich Braci, gdzie mogłem przywyknąć do noszenia Bieli, to pewnie sam przez pierwsze miesiące zastanawiałbym się co rano, czyje są białe szaty, które trafiły do mojej szafy.

„Czy ja. . . Nie, nie wydaje mi się. Za każdym razem, kiedy próbowałem go dotknąć, zaczynał reagować, a potem się wycofywał. Zachowujmy się swobodnie i sprawdźmy, jak to zadziała.”

— Czasami żałuję, że w ogóle dostałem Szkarłaty — zagadnął Stef, zamiast znów próbować dotknąć dłoni Vanyela. — Teraz w ogóle nie mam dla siebie czasu. Kiedy patrzę w lustro, sam siebie nie poznaję. Kiedyś wiedziałem, jak się zabawić. . .

Vanyel odrobinę się rozluźnił, a Stef poczuł wzbierającą w nim satysfakcję. „Nareszcie, nareszcie udało mi się go wyczuć.”

Tłum już się prawie rozszedł i Stefanowi przemknęło przez głowę, że ciekaw jest, jaką transakcję udało się przeprowadzić tym razem. Tego nigdy nie wiedział, chyba że ktoś go o tym poinformował.

— Spisałeś się dziś na medal, bardziej Stefenie — rzekł Vanyel, jak gdyby czytał w jego myślach. — Randi mógł rozstrzygnąć aż trzy spory rodowe, które jątrzyły się od ponad roku. Coś ci zaproponuję, Stefenie. . . jeśli tylko mi przyrzekniesz, iż nie spoisz się do tego stopnia, żeby nie móc przejść o własnych siłach przez ogród. — Vanyel uśmiechnął się kąśliwie. — Zjemy u mnie kolację, a ty pokażesz mi te akordy bardów, które obiecałeś mi zademonstrować tamtego wieczoru, kiedy poharatałeś sobie palce.

„Naprawdę? Nie przypominam sobie, żebym obiecywał mu coś takiego. — Stefan zdębiał na moment, wszak wydawało mu się, że pamięta wszystko z tamtego wieczoru. Po chwili stłumił zakradający się już na usta uśmiech. — Spryciarz z ciebie, heroldzie Vanyelu. Niewinny pretekścik. Może nawet sam w niego wierysz. No cóż, przyjmuję.”

— Nie mam w zwyczaju upijać się do nieprzytomności, heroldzie — odrzekł, uśmiechem osładzając jad w słowach. — Ponieważ w pałacu jest dużo lepsze jedzenie, przyjmuję tę propozycję.

— Chcesz powiedzieć, że interesuje cię tylko jedzenie? — zaśmiał się Vanyel.
— Domyślam się, że rozmowa ze mną niewielkie zrobiła na tobie wrażenie.

„Jest znacznie bardziej swobodny. Medren miał rację. Muszę albo się do niego przymilać, albo zastawić pułapkę. Ale cokolwiek zrobię, przede wszystkim muszę zachowywać się bez skrępowania, bo inaczej znów go spłoszę. A niech to.”

Stefen wstał i nim odpowiedział, zarzucił sobie futerał na ramię.

— W gruncie rzeczy bardziej zależy mi na kimś, kto będzie do mnie mówił — powiedział. — Nie jestem teraz zbyt popularny w Kolegium.

Vanyel skrzywił się.

— Z powodu tego szybkiego awansu?

Stefen skinął głową i wziął do ręki swą teczkę z nutami.

— Dopiero co zostałem wędrowcem i wielu bardów oburza się, że tak szybko skoczyłem w górę. To samo czuje spora część wędrowców i czeladników. Nie powiem, żebym ich za to winił, ale zaczynam mieć już dość traktowania mnie jak trędowatego.

Zrównał krok z Vanyelem i razem opuścili komnatę bocznymi drzwiami.

— Dobrze, że przynajmniej Rada rozpuściła pogłoskę, jakoby promocja odbyła się na życzenie Shavri — ciągnął. — Dzięki temu łatwiej im to przyjąć, przynajmniej niektórym, starszym. Również młodszy bardowie nie mogą twierdzić, że zarobiłem na awans w łóżku. . . To istne błogosławieństwo, choć niezbyt wielkie.

Vanyel uniósł brwi na to ostatnie stwierdzenie, ale nie skomentował go.

— Ja też czegoś takiego doświadczyłem, choć nie trwało to długo — rzekł herold. — Ponieważ to Savil przyznała mi Biel, pojawiło się wiele podejrzeń o nepotyzm czy współczucie z powodu Lendela. . .

Nagle herold jak gdyby odbiegł gdzieś myślami, na jego twarzy odbił się smutek, w końcu potrząsnął głową.

— Cóż, na szczęście heroldowie są tacy, jacy są, i nie trwało to długo. Szczególnie po tym, jak Savil zdarzył się wypadek, a ja zmiotłem całe gniazdo czarowników na Północy. Wtedy udało mi się całkiem niezłe dowieść, że naprawdę zapracowałem na swą Biel.

— Obawiam się, że ja nigdy nie zdołam zrobić nic aż tak efektownego — rzucił Stef od niechcienia. — Podejmowanie jakichkolwiek konstruktywnych działań nie leży w naturze mojego fachu.

Zamiast zareagować śmiechem, Vanyel obrzucił Stefena dziwnym spojrzeniem z ukosa.

— Moim zdaniem nie doceniasz ani siebie, ani potencjalnej wagi twojego urzędu, Stefienie — powiedział Vanyel.

Stefen zaśmiał się.

— Och, dajże spokój! Chyba nie przypuszczasz, że podpiszę się po tym wyświechtanym frazesem, że muzyka może zmienić świat, co?

— Takie powiedzenia zwykle stają się wyświechtanymi frazesami tylko dlatego, że jest w nich ziarno prawdy — zabrzmiała zaskakująca odpowiedź. — Ale... cóż. Przypuszczam, że masz rację.

Doszli już do Skrzydła Heroldów — słonecznej, wyłożonej drewnem przybudówki Starego Pałacu. Pokój Vanyela był zaraz za podwójnymi drzwiami oddzielającymi to skrzydło od reszty pałacu. Vanyel przepuścił Stefena w przejściu, a potem z wdziękiem go wyminął i otworzył przed nim swój pokój.

Stefen złożył swój bagaż tuż za drzwiami i przeciągnął się, wyginając plecy w łuk.

— Wielkie nieba — jęknął. — Zesztywniałem jak stary miech. Pewnie już trzeszczę.

— Jesteś za młody, żeby ci trzeszczały stawy — zachichotał Vanyel i pociągnął za sznur od dzwonka, aby wezwać służącego. — Przypuszczam, że nie grasz w polowanie?

Stefen otworzył szeroko oczy i przybrał niezaprzeczalnie udany wyraz twarzy naiwniaka.

— Nie gram, heroldzie Vanyelu... ale z przyjemnością bym się nauczył.

Vanyel wybuchnął śmiechem.

— O nie, nie ze mną takie sztuczki! Pewnie grasz już od lat.

— Odkąd nauczyłem się mówić — przyznał Stef. — Nie możesz mieć mi za złe, że próbowałem cię nabrać.

— Ponieważ ja mogłem zrobić to samo, zdaje mi się, że nie mogę. — Vanyel wskazał na planszę przygotowaną na stole. — Czerwone czy białe?

— Czerwone — błyskawicznie zdecydował Stef. — A skoro to ty jesteś tu strategiem, możesz sam wyznaczyć dla mnie kuriera.

Stefen przesunął swego ogara na pozycję, którą uznał za bezpieczną, i z oburzeniem patrzył, jak Vanyel zbija go skromnym gońcem, a potem, na dobitkę, tego samego gońca wyprowadza na premiowane pole, zamieniając go w końcu na rocznego ogiera.

— Do diabła! — wrzasnął Stef. Widząc, że jego sforze grozi wielkie niebezpieczeństwo rozpędzenia, spróbował obwarować jakoś swe siły. „Tyły” polowania, zawsze słabsze, zagarniał lepszy gracz. Grę uznawano zwykle za udaną, gdy kończyła się patem.

Vanyel zablokował Stefena w połowie czasu, jaki zazwyczaj zajmowała gra. Wdawało się nawet, że uda mu się pokonać Stefena. Już trzy ruchy później Stef ze zdumieniem lustrował sytuację na planszy — nie pozostała mu żadna droga ucieczki.

— Poddaję się — powiedział. — Nie wiem, jak ty to robisz. Zawsze zajmujesz tyły, a ja mogę policzyć na palcach jednej ręki, ile razy udało mi się wygrać.

Vanyel z wielką starannością odłożył rzeźbione pionki do pudełka.

— Mam pewną wyraźną przewagę — powiedział po długiej chwili milczenia. — Zanim stan Randiego nie zmusił Shavri do poświęcenia całego czasu na utrzymywanie króla przy życiu, pomagałem strzec granicę karsycką. Mam sporo doświadczenia w wychodzeniu z sytuacji o niekorzystnych rokowaniach.

— Ach — westchnął Stefen, nie znajdując innych słów. Przyglądał się rękom Vanyela, podziwiając ich siłę i wdzięk, i starał się odsunąć od siebie myśli o tym, jak bardzo pragnąłby, aby te dłonie dotykały czegoś zgoła innego niż pionki do gry.

Od kiedy przestał ganiać za Vanyelem i przeszedł na ton bardziej przyjacielski, okazało się, że z heroldem właśnie spędza większość wieczorów. Uczył się od niego mnóstwa rzeczy, i to nie tylko o polowaniu. O ekonomii, o polityce, o tym, czego Van doświadczył przez te wszystkie lata. Jakże to było fascynujące, i jak przynębiające. Być tak blisko Vanyela, a nie mieć śmiałości się doń zalecać, ani otwarcie, ani w żaden inny sposób! Stef nie śnił nigdy, że potrafi zachować taką cierpliwość.

To było całkiem nowe doświadczenie: pragnąć kogoś i nie mieć możliwości zaspokojenia tego pożądanego. Było to doświadczenie rozstrajające nerwy, a mimo to nie do końca nieprzyjemne. Stef powoli poznawał Vanyela, prawdziwego Vanyela, poznawał go znacznie lepiej, niż udało się to komukolwiek innemu, z wyjątkiem herolda Savil. To nie była jakaś tam czcza mrzonka: już nieraz potwierdziło się to, gdy od czasu do czasu w rozmowie z Medrenem napomykał o czymś niby to przypadkiem, udając, że jakiś skrawek informacji wymknął mu się przez nieuwagę. Wtedy Medren obrzucał go zdumionym spojrzeniem, które natychmiast mówiło Stefanowi, że Vanyel zwierzył się swemu bratankowi z czegoś, czego nigdy nie zdradził nikomu.

Stef znał go teraz lepiej niż któregokolwiek ze swych kochanków. A jednak herold wciąż pozostawał dla niego zagadką. Od momentu, gdy wszystko to się zaczęło, Stef nie zbliżył się nawet o krok do odkrycia, w rytm jakiej muzyki porusza się Vanyel.

W końcu skłoniło go to do zadania pytania.

— Van — zagadnął. — Wspominasz pobyt na pograniczu z odrazą... ale czasami mówisz tak, jakbyś chciał tam wrócić.

Vanyel zwrócił ku niemu swoje srebrzyste oczy i na dłuższą chwilę zatrzymał na nim wzrok.

— Chyba rzeczywiście z odrazą — odrzekł w końcu. — Przypuszczam, że w pewnym sensie chciałbym tam wrócić. Po części dlatego, że oznaczałoby to poprawę stanu zdrowia Randiego, która pozwoliłaby z kolei Shavri powrócić do jej obowiązków...

Stef potrząsnął głową.

— To nie wszystko. Mówiłeś tak, jakbyś chciał tam być. Vanyel odwrócił

wzrok i złożył ostatni z pionków w jego wyściełanej przegródce.

— Cóż, raczej trudno to wytłumaczyć. Tam, na froncie, jest naprawdę bezнадziejnie: ciągle jesteś głodny, przemoczony, zmarznięty, przestraszony, zagrożony. . . ale robiłem coś dobrego.

— Tutaj też robisz wiele dobrego — zauważył Stefen.

Vanyel potrząsnął głową.

— To nie to samo. Ze sprawami, którymi zajmuję się teraz, poradziłby sobie każdy biegły dyplomata. Zespół heroldów mógłby zastąpić moje talenty i dary. To, że jestem tutaj akurat ja, wynika tylko i wyłącznie z potrzeb Randiego i jego kaprysu. Wciąż mam uczucie, że będąc gdzie indziej mógłbym zdziałać dużo więcej.

Stefen rozparł się w swym fotelu i jął przyglądać się heroldowi z uwagą.

— Nie rozumiem — powiedział w końcu. — W ogóle nie rozumiem was, heroldów. Bez przerwy narażacie się na niebezpieczeństwo, ale w imię czego? Dla dobra ludzi, którzy nie mają pojęcia, że w ogóle coś robicie, a tym bardziej że robicie to dla nich; dla ludzi, którzy nie potrafiliby wskazać cię w tłumie, nawet gdyby od tego zależało ich życie. Dlaczego, Van?

Słowa Stefena ściągnęły na niego kolejne osobliwe spojrzenie herolda, przeciągające się tak długo, że młody bard jął się zastanawiać, czy tym razem naprawdę nie zrobił czegoś złego.

— Van. . . O co chodzi? Czy ja. . .

Vanyel wyrwał się z czegoś w rodzaju transu i popatrzył na niego zdziwiony.

— Nie, wszystko w porządku, Stef. Tylko. . . to jest jak echo z przeszłości. Pamiętam, jak dokładnie tę samą rozmowę prowadziliśmy z Lendelem. . . Tyle że wtedy to ja pytałem „dlaczego?”, a on usiłował mi wytłumaczyć przyczyny tego wszystkiego. — Vanyel przeniósł wzrok na jakiś nieokreślony punkt ponad głową Stefena. — Wtedy, ich nie rozumiałem, a ty prawdopodobnie nie zrozumiesz ich teraz, ale spróbuję ci je wytłumaczyć. Najściślej wiąże się to ze swego rodzaju obowiązkiem wobec siebie samego. Otóż mam określone zdolności. Większość ludzi ich nie posiada. Moim obowiązkiem jest zrobić z tych uzdolnień użytek, ponieważ wobec siebie z kolei jestem zobowiązany być człowiekiem takim, jakiego sam chciałbym mieć za. . . przyjaciela. Jeśli nie będę wykorzystywał swych umiejętności, nie tylko zawiodę ludzi, którzy na mnie polegają, ale zawiodę też siebie samego. Czy wyrażam się w miarę jasno?

— Niezupełnie — wyznał Stefen.

Vanyel westchnął.

— Powiedzmy, że jest to swoista potrzeba niesienia pomocy. Czy ty mógłbyś nie śpiewać i nie grać? Tak samo ja nie umiem nie pomagać. W każdym razie już nie potrafię. To natomiast, czy ktoś wie, co robię, czy nie wie, nie ma żadnego znaczenia. Ja wiem, i wiem, że robię, co w mojej mocy. A dzięki temu, co robię, innym ludziom jest łatwiej. Niekiedy bardzo wielu ludziom.

— To lojalność, tak? — zaryzykował Stefen.

— Tylko wtedy gdy jest to lojalność wobec ludzi w ogóle, a nie wobec jakiegoś pojedynczego kraju. Nie mógłbym dopuścić, aby niewolono tych biednych chłopów w Hardorn, tak samo jak nie mógłbym pozwolić, by niewolono moich ziomków. — Vanyel z przejściem pochylił się do przodu. — Nie rozumiesz, Stef? Nie idzie tylko o to, żeby służyć Valdemarowi, ale o to, że pomagam przetrwać ludziom, którzy odchodząc z tego świata, zostawiają go lepszym, niż go zastali, a powstrzymuję tych, którzy zamiast dawać, biorą.

— Mówisz, jak ci z Tayledras...

— Owszem. Tańczący Księżyc mówił mi to nieraz. Dla nich najważniejsza jest ziemia, a dla mnie ludzie... o czym przynajmniej po części decyduje fakt, że ziemia, na której żyją, jest tak zniszczona. — Na jego ustach pojawił się lekki uśmiech. — Szkoda, że nie możesz ich zobaczyć, Stef. Zaraz chciałbyś ułożyć o nich z tysiąc pieśni.

— Skoro są tacy wspaniali, to dlaczego ludzie tak się ich boją? — spytał Stefen. — I dlaczego nie boicie się ich ty i Savil?

Vanyel zaśmiał się, gdy to usłyszał.

— Pozwól, że ci opowiem, jak pierwszy raz pracowałem z Tańczącym Księżycem...

Ta historia niemal do końca rozproszyła przygnębienie Stefena.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Psiakość! — zaklął Medren, waląc pięścią w oparcie swego krzesła. — To idiotyczne! Przysięgam ci, że mój wuj zaraz mnie doprowadzi do szału.

Okna pokoju Stefena otwarte były na letni wieczór i Medren starał się nie podnosić głosu, aby nikt w pobliżu nie zorientował się w ich nieszczęśliwym położeniu. Stefena jednak najwyraźniej nic nie obchodziło to, że ktoś mógłby podsłuchać tę rozmowę.

— Doprowadzi do szału? — Głos Stefena załamał się, na co Medren zrobił współczującą minę. Stef szarpał się za włosy, nie zdając sobie z tego sprawy, i błędnym wzrokiem wodził dookoła, gotów wdrapywać się na ściany. Tak często zmieniał pozycję, że jego krzesło tańczyło po całym pokoju, przesuwał się o długość palca przy każdym ruchu.

— Wiem, wiem, tobie jest dużo ciężiej. Ja jestem tylko załamany. A ty... — Medren zamilkł, nie znajdując łagodnego sposobu na opisanie tego.

— Żyję w celibacie, ot co! — jęknął Stefan i skoczywszy na równe nogi, jął przechadzać się nerwowo. — To gorsze od celibatu. To obłąd. I nie tylko przez tę bierność Vanyela, ale przede wszystkim dlatego, że odkąd go znam, nie podoba mi się nikt inny. Im lepiej go poznaję, tym bardziej się to pogłębia! — Nagle znieruchomiał w pół kroku i przez moment wyglądał przez okno. — Nigdy nie czuję się szczęśliwszy, niż wtedy gdy jestem przy nim. Czasem zastanawiam się, jak długo zdołam to znieść. Są chwile, kiedy nie potrafię myśleć o niczym innym, tylko o nim.

Medren patrzył na niego z wytrzeszczonymi oczami ciekaw, czy jego przyjaciel naprawdę słuchał tego, co właśnie powiedział. Bo stan, który właśnie opisał to ni mniej, ni więcej tylko klasyczna reakcja wobec osoby przeznaczonej człowiekowi przez więź życia...

„Stef i wujaszek Van? Nie. To niemożliwe, przecież Van miał już partnera, z którym łączyła go więź życia... A może jednak? Czy gdzieś jest napisane, że więzy życia mogą łączyć człowieka z innym tylko jeden raz w życiu, nawet po stracie pierwszego partnera?”

Więź życia z pewnością wyjaśniłaby w dużym stopniu reakcję Stefena. Co do Vanyela zaś, Medren już dawno dał sobie spokój z próbami rozszyfrowania go.

Jego wuj nazbyt dobrze opanował sztukę skrywania swych uczuć, nawet przed samym sobą.

— No, to czego już próbowaliśmy? — zapytał Medren na głos.

Stef zatrzymał się na krótką chwilę, aby odgarnąć włosy z oczu i policzyć na palcach wszystkie intrygi, które uknuli dotąd wspólnie.

— Próbowaliśmy go upić. Nie poskutkowało. Próbowaliśmy z tą wyprawą do gorących źródeł. Prawie się udało, tyle że akurat w chwili kiedy zdawało się, że już, już pęknie i zacznie działać, dołączyło do nas towarzystwo. Wypróbowaliśmy wszystkie warianty scenki opartej na tym, że ja się kaleczę, a on musi mi pomóc, ale jedynym rezultatem tego wszystkiego było kilka siniaków w nader interesujących miejscach. — Stefen zazgrzytał zębami. — Próbowaliśmy już z prośbą, żeby mi zrobił masaż ramion. Odesłał mnie do uzdrowiciela. Jedynym sposobem, którego jeszcze nie wypróbowaliśmy, jest zaskoczenie go podczas snu i związanie.

— O tym nawet nie myśl! — zachnął się Medren. — Posłuchaj, po pierwsze, nie ma siły, żebyś go zaskoczył we śnie; a po drugie, nawet gdyby ci się to udało, zaręczam ci, że wolałbyś, żeby cię tam nie było, gdyby wziął cię za wroga.

„Jak ostatnim razem w domu, gdy ten idiota z petycją ubzdurał sobie przydybać go w kąpieli. — Medren wzdrygnął się. — Co prawda dziadek wspominał coś wcześniej o tym, że trzeba odnowić łaźnię, ale taka kasacja to nie najlepszy sposób na rozpoczęcie remontu.”

— On by mnie nie skrzywdził — zaperzył się Stefen, absolutnie pewny swego.

— Ale lepiej się o to nie zakładaj — odparł Medren, groźnie. — Zwłaszcza, że wcale nie będzie wiedział, że to ty. Widziałeś już, co potrafi i nie chciałbyś chyba, żeby ciebie coś takiego spotkało. Jeśli tylko Van życzy sobie coś, albo kogoś, zmieść z powierzchni ziemi, to możesz mieć pewność, że to robi, a wtedy wszystko, co znajdzie się pomiędzy nim a jego celem, też zostanie zmiażdżone.

— Nie — gwałtownie zaprzeczył Stef. — Nie... Przysięgam, ja to wiem. Cokolwiek by się działo, Van mnie nie skrzywdzi.

Medren tylko potrząsnął głową w nadziei, że wiara Stefena nigdy nie będzie musiała zostać wystawiona na próbę.

— W porządku — powiedział po chwili zastanowienia. — A co z tym...

Vanyel zamknął na chwilę zmęczone oczy i pomyślał z utęsknieniem, i troszkę samolubnie, o odpoczynku, spokoju, możliwości radowania się pogodnym letnim dniem.

Ale dla Valdemaru, a tym samym i dla Vanyela, nie istniało coś takiego jak spokój.

Zrób sobie wolny wieczór, Van — poradziła mu Yfandes. — Już od trzech dni nie miałeś u siebie młodego Stefena. Moim zdaniem możesz sobie pozwolić na to, żeby kasztelan z lordem marszałkiem obeszli się dziś w swych dysputach bez

ciebie.

Tego dnia przynajmniej nowiny z Karsu nie były zupełnie beznadziejne.

— Więc nie ma co do tego żadnych wątpliwości? — zapytał kurierkę. — Karsyci zapowiedzieli posłuzenie się magiczną anatamą?

Kurierka, przybrudzona jeszcze kurzem z drogi, skinęła potakująco. Trudno było coś o niej powiedzieć poza tym, że nie była heroldem. Brud z traktu pozostawił jej uniform szaro-brązowy od stóp do głów.

— Idzie tu jeszcze o coś więcej, heroldzie Vanyelu — powiedziała. — Wyjmują spod prawa każdego, kto byłby choćby podejrzany o praktykowanie sztuk magicznych. Krótco przed moim wyjazdem pierwsi ścigani przedarli się przez granicę. Nie zdążyłam usłyszeć zbyt wiele z ich historii, ale w drodze jest kolejny kurier, który będzie wiedział wszystko.

— Szczęściarze, co? — rzekł kasztelan nieco zbity z tropu. — Dobra nasza, ale odkąd to wpadanie w nasze ręce jest szczęściem dla magów wroga?

— No tak, mogłoby się wydawać, że to niemożliwe, ale naprawdę tak jest — odparła kurierka i wierzchem dłoni przetarła czoło pokryte potem zmieszonym z brudem, odsłaniając jaśniejszą plamę czystej skóry. — Ci, których złapaliśmy, to szczęśliwcy. Wymknęli się łowcom. Tam palą i wieszają każdego, kogo tylko uda im się złapać. Trochę to przypomina świętą krucjatę. Jak jakaś plaga ni stąd, ni zowąd cały Karsyt chce wymordować tych, co mają dary.

— Wielkie nieba. — Kasztelan przetarł dłonią zamknięte oczy, — To szaleństwo...

— Jak to się zaczęło? — zapytał wprost lord marszałek. — Wiesz?

Kurierka skinęła potakująco.

— Zaczęło się, gdy lord Vanyel dziesięć lat temu odesłał te demony na drugą stronę granicy, ale prawdziwym prowodyrem zdaje się być ktoś z duchowieństwa.

— Z duchowieństwa? — zawołał uzdrowiciel Laim i poderwawszy się, zaraz usiadł wyprostowany. — Jakiego duchowieństwa?

— Pana Słońca Vkanda — odparła kurierka. — Ale brak wystarczających informacji, które pozwoliłyby stwierdzić, czy to tylko jeden kapłan, czy cała zgraja.

W tej chwili pojawił się służący z winem. Kurierka wychyliła kielich z wdzięcznością. Gdy skończyła pić, lord marszałek Reven pochylił się nad stołem. Na jego szczupłej twarzy odbijało się całkowite skupienie, a jego chude ciało zdradzało, jak bardzo był spięty.

— Co jeszcze możesz nam powiedzieć? — zapytał. — Przyda się każda informacja.

Kurierka opadła na oparcie krzesła.

— Właściwie powiedzieć mogę dość sporo — odrzekła. — Moim nauczycielem był jeden z waszych heroldów. Zaczął tę krucjatę jakiś bezimienny młodzik — ma może ze dwadzieścia lat i nazywa siebie prorokiem. Nikt nie wie o nim nic ponad to, że powołuje się na ciężące rzekomo nad krajem przekleństwo za

to, iż korzystał z usług magów. To było niespełna miesiąc temu. Ledwo wszyscy się obejrzeni, a cały kraj ogarnęły płomienie. Karsytom zważyło się na głowę tyle pracy naraz, że muszą wycofywać wojska znad granicy. Tak to wyglądało tydzień temu, kiedy wyjeżdżałam. Bogowie tylko wiedzą, co się dzieje teraz.

— Otrzymaliśmy jakieś wiadomości od któregoś z naszych informatorów na terenie samego Karsu? — zwrócił się kasztelan do Vanyela.

Herold potrząsnął głową.

— Jeszcze nie.

Martwił się o tych informatorów — było ich najmniej trzech, między nimi jeden herold z darem myślowy — ale teraz przede wszystkim poczuł ulgę. „Nie do wiary, że ostatniego maga wycofaliśmy stamtąd niespełna rok temu. Nie został już nikt, komu groziłyby podejrzenia o praktykowanie magii...”

— Powiadasz więc, że cała ta heca pociąga za sobą niepokoje społeczne? — Arcykapłan Everet miał niezwykłą umiejętność umniejszania powagi faktów. Jego krótko przystrzyżone śnieżnobiałe włosy były o wiele za krótkie, żeby się nimi bawić, więc zamiast tego chwycił w palce płatek ucha i jął targać go nerwowo. Pod dobrotliwą powierzchownością Everta Vanyel wyczuwał głęboką troskę.

Nic dziwnego, bo chociaż z pozoru mogło się wydawać, że nowiny są całkiem pomyślne dla Valdemaru, jednak religijna krucjata tuż za granicą mogła oznaczać, iż walka rozprzestrzeni się poza granice Karsu. Na terytorium Valdemaru znajdowało się kilka ośrodków kultu Pana Słońca. Jeżeli tamtejsi kapłani przyłączą się do swych towarzyszy w tej świętej wojnie, to arcykapłan nie tylko będzie odpowiadał za ich działania, ale na niego spadnie obowiązek dopilnowania, aby ich powstrzymano.

„Tylko o tym teraz myśli. Tego, jaki zamęt wprowadziłoby to w całym kraju, w ogóle nie dostrzega. Jeśli wyznawcy Pana Światła ruszą przeciwko heroldom...”

Niektórzy spośród nas są magami, ale tamci mogą uznać nasze dary za „czary”. Mamy wprowadzić poparcie innych zgromadzeń religijnych. W razie ataku na heroldów mogą one wraz z arcykapłanem stanąć po stronie korony. Ale co będzie, jeśli nowicjusze Kernosa postanowią wziąć sprawy w swoje ręce i walczyć po stronie magów? Koniec końców to przede wszystkim zakon rycerski... zwalczający mnichów i im podobnych, a do tego przychylny heroldom.”

Zamieszki, gdyby przeniosły się przez granicę, mogły doprowadzić w Valdemarze do takich samych zniszczeń jak w Karsie.

— Kult Pana Słońca to oficjalna religia w Karsie — przypomniała im kurierka. — Prorok, ciesząc się poparciem duchowieństwa, zapewnił sobie poparcie korony. Tak przedstawiała się sytuacja w momencie mojego wyjazdu, ale przecież niemało ludzi ma w swej krwi jakąś kropelkę magii, jest też całe mnóstwo czarowników i zielarek posługujących się ludowymi metodami, którzy noszą w sobie tej magii dużo więcej. Nie każdy w potrzebie jest w stanie zaraz znaleźć uzdrowiciela. Kiedy wokół roi się od wielkich magów, lordowie mają skłonność do

zapominania o pomniejszych czarownikach, którzy sprowadzają deszcz i zabezpieczają plony. Nie wszyscy więc zabierają się do tej świętej krucjaty jak należy.

— Zaproponowałbym, Wasza Eminencjo, złożenie kilku osobistych wizyt w naszych enklawach Pana Słońca — łagodnie rzekł Vanyel. — Podejrzewam, iż wasza obecność ostudzi nieco głowy, szczególnie jeśli eminencja zwróci uwagę na fakt, że ten tak zwany prorok bazuje tylko i wyłącznie na swej charyzmie oraz własnych zapewnieniach, że przemawia w imieniu Pana Światła Vkanda.

Everet skinął potakująco, usta miał zaciśnięte.

— Swoje siedziby zawdzięczają tolerancji Jego Wysokości — odparł. — Z bólem, ale jednak muszę to przypomnieć.

— Zapewnię króla, że pracujesz nad problemem ich potencjału — powiedział Vanyel, prześlizgując się wzrokiem po pustym tronie. „Jedynie cud mógłby sprawić, by Randi jeszcze kiedyś zasiadł na tym tronie. Może powinniśmy go stąd wynieść. To dość przygnębiające wciąż na niego patrzeć.”

Kasztelan zwolnił kurierkę, która wstała sztywno, ukłoniła się i powłócząc nogami opuściła komnatę.

— Cóż — zaczął kasztelan Arved, gdy zamknęły się drzwi. — Moim zdaniem czekają nas zamieszki. Lord marszałek skinął głową.

— Jeżeli ograniczą się tylko do granic Karsu, będzie to dla nas z wielką korzyścią.

— Jeżeli. — Vanyel potrząsnął głową. — Nic tego nie gwarantuje.

A co będzie później? — zagadnęła Yfandes. — *Gdy krucjata dobiegnie końca?*

Słuszna uwaga. W Valdemarze posługujemy się magią otwarcie, to jest usankcjonowane i popierane przez koronę — dalej mówił Van. — Przypuśćmy, że ta krucjata nie wygaśnie sama, i że aprobeje ją karsycka korona. W jakiej sytuacji nas to postawi?

— W sytuacji śmiertelnych wrogów — posępnie odrzekł Everet. — Będzie gorzej niż do tej pory. To się przerodzi w świętą wojnę.

Arved jęknął i na moment zamknął oczy.

— Masz rację — rzekł wreszcie. — Masz absolutną rację. Gdy dojdzie do tego, nie będzie sposobu, by zahamować bieg wydarzeń.

— Najbardziej potrzebujemy teraz informacji — stwierdził Vanyel. — A to moja działka. Zajmę się tym. Cokolwiek się stanie, przez parę tygodni, dopóki Karsyci nie uporządkują własnego domu, będziemy mogli odetchnąć od ich najazdów. Ten czas powinniśmy dobrze wykorzystać.

— Otóż to — powiedział Arved; strząsając do tyłu swe brązowe włosy. — Przystąpmy do tego krok po kroku. Heroldzie Vanyelu, ty dostarczysz nam potrzebnych informacji i dowiesz się, co król chce zrobić z uchodźcami. My natomiast zorientujemy się, jak można wykorzystać ten niespodziewany moment wytechnienia. Jutro ułożymy plany uwzględniające wszelkie możliwe okoliczności. Everet...

— Ja dołożę wszelkich starań, ażeby dobrze mnie sobie obejrzeni ci w enklawach Vkanda — oświadczył arcykapłan, wstając z miejsca. — Będziecie musieli radzić sobie beze mnie. Chyba najlepiej, abym wyruszył, gdy tylko uda mi się spakować.

Za dwie miarki świecy już go tu nie będzie — stwierdziła Yfandes. — *On zawsze podróżuje za dnia.*

— Lordzie Everet, zanim wyruszysz, podam ci jeszcze dokument od króla upoważniający do podjęcia w stosunku do wyznawców Vkanda wszelkich działań, jakie uznasz za konieczne — oznajmił Vanyel. — Proszę, nie wyjeżdżaj bez tego listu.

Everet zatrzymał się w pół obrotu i uśmiechnął się nieznacznie.

— Dziękuję, heroldzie. Zaczęłbym pewnie wydawać polecenia, ufając w siłę swego urzędu i tę tak zwaną „świętość”, zapominając o tym, że żadna z tych rzeczy nie robi wrażenia na Gwardii.

— Ani też na niektórych arystokratkach — przypomniał mu lord marszałek. — O ile się nie mylę, pomiędzy wyznawcami Pana Słońca znajduje się jeden czy dwóch wysoko urodzonych.

— Panowie! Arcykapłan i ja oddalimy się teraz do swych obowiązków, pozostawiając was przy pracy nad tym wszystkim podczas naszej nieobecności — zakończył Vanyel, po czym on i Everet, odsunawszy swe krzesła, opuścili Salę Obrad. Za drzwiami rozeszli się w przeciwnych kierunkach.

„Najpierw pójde do Randiego, a potem trzeba skontaktować się z Kerą” — postanowił Vanyel, a po chwili, wiedząc, że Yfandes słucha z pewnością jego myśli, zwrócił się do niej:

Yfandes, dasz radę wesprzeć mnie w pokonaniu takiej odległości?

Gdyby nawet miało się to nie udać, możemy dotrzeć do kogoś stacjonującego w pobliżu granicy i powierzyć mu wiadomość do przekazania dalej. — W jej tonie czuć było pewność siebie, więc Van się nieco odprężył. — Wtedy w krótkim czasie otrzymamy szczegółowe informacje z pierwszej ręki. O Kerę się nie martw; dzięki tej nowej sieci wiedzielibyśmy, gdyby znalazła się w opałach. Wiedziałby przynajmniej jeden z nas.

Dzięki, kochana. — Dotarł właśnie do przejścia, za którym znajdowały się komnaty Randala. Jeden ze strażników, dobrze obznajomiony z widokiem Vanyela w tym miejscu, już otwierał przed nim drzwi. Vanyel podziękował mężczyźnie skinieniem głowy i wśliznął się do środka.

Randal bardzo często marzył, toteż w jego komnacie panował upał jak na pustyni, na kominku bowiem, pomimo lata, palił się ogień. Król leżał na kanapie przy palenisku, a Shavri siedziała na stołeczku obok niego. Widać było po nim wycieńczenie, a jednak zmarszczki, pojawiające się w czasie ataków bólu wokół ust i oczu Randala, dziś były nieliczne.

Miał zamknięte oczy, choć nie spał. Na moment, nim przemówił, jego powieki lekko drgnęły.

— No — rzekł z cicha. — Co tym razem skłoniło cię do wyniesienia się z Sali Obrad? Dobrze czy złe wieści?

— Sam chciałem to wiedzieć — odparł Vanyel, siadając przy kanapce i ręką oplatając ramiona Shavri. Przyjaciółka, nie puszczając dłoni Randal, musnęła leciutko policzkiem jego rękę. Van dotknął jej ciemnych, potarganych jak u Cyganki, włosów, i zaraz skupił całą swą uwagę na królu.

— Dopiero co dotarła do nas kurierka z granicy. Karsyci utwierdzają mnie w przekonaniu, że są kompletnie obłąkani.

W jak najkrótszych słowach zarysował całą sytuację, Randal zaś słuchał go wciąż z zamkniętymi oczami. Brodę król zgolił już dawno temu, doszedłszy do wniosku, że i tak zarost nic nie ukryje, a tylko upodabnia jego twarz do szczotki, tak był wychudzony. Stało się to tego samego dnia, kiedy ostatecznie pogodził się ze swą chorobą i faktem, że nigdy się z niej nie wyleczy. Był to dzień, w którym Vanyela na stałe przydzielono do pracy w pałacu.

Z całego ciała Randal, otulonego kocami, widać było jeszcze tylko jego głowę i ręce, bezbarwne i wymizerowane; nawet jego włosy nabrały nieokreślonego odcienia brązu. Herold Josh, trochę artysta, zauważył ze smutkiem, że król przypomina nie dokończony obraz: same kości i cienie.

Umysł Randal jednak nie poniósł żadnego uszczerbku i król umiał dowieść, że odziedziczył rozsądek swej babki.

— Rethwellan — powiedział, wysłuchawszy Vanyela. — Oni wśród członków swego rodu mają magów; jeżeli Kars rozpocznie kampanię przeciwko magom, znajdą się w takim samym bezpieczeństwie jak my. Niech Arved skreśli parę słów do królowej Lythiaren, ażeby troszkę ją wyczuć i zaproponować alians. — Zamilkł na moment — Powiedz mu tylko, żeby starannie dobrał słowa. Po tym zamieszaniu z Amaritami królowa nie jest wobec mnie zbyt ufna.

— To nie była twoja wina — zaprotestował Vanyel, a Shavri pogładziła czoło swego partnera. Randal otworzył oczy i uśmiechnął się leciutko.

— Wiem, ale ona jakoś nie może tego uznać — odparł.

— Mamy tu gdzieś pod ręką dokument o przyznaniu „ograniczonej władzy”? Będzie potrzebny dla Evereta.

— Zdaje się, że tak — odrzekł Vanyel wstając. Przez chwilę przeglądał szuflady i w końcu znalazł to, czego szukał: gotowy dokument zaświadczający przyznanie „ograniczonej władzy” króla, z lukami na wpisanie konkretnych okoliczności oraz nazwiska. Na biurku czekało zawsze pióro, atrament i bibułka, zatem Vanyel w mgnieniu oka wypełnił dokument.

— Świetnie, pozwól, że spojrzę. — Randal przeczytał tekst z uwagą, tak jak zwykł był to czynić zawsze. — Znów przechodzi ci wykonywać papierkową robotę, Van. — Podniósł na niego wzrok i uśmiechnął się. — Mam nadzieję, że

przyniosłeś ze sobą pióro.

— Przyniosłem. — Vanyel położył kartę na książce i podał pióro Randalowi, by ten mógł bez trudu umieścić parafkę w odpowiednim miejscu. Osuszywszy atrament dmuchnięciem, Vanyel położył dokument z powrotem na biurko i zapatrzył go pieczęcią króla,

— A co z magami przedostającymi się do nas przez granicę? — rzucił przez ramię.

— Zapewnić im spokojny przejazd strzeżoną drogą handlową do Rethwellan — zdecydował Randal. — Ale nie zamierzam udzielać im schronienia. To stworzyłoby Karsytom sposobność do wysłania agenta na terytorium Valdemaru. Nie sposób rozpoznać, którzy z nich są niewinni, którzy są najemnikami, a którzy szpiegami. Każcie im iść dalej, chyba że któryś zostanie wybrany.

— To mało prawdopodobne. — Vanyel zostawił dokument i wrócił, by znów usiąść przy Randalu. — Jak minął dzień?

— Shavri zaczyna rozgryzać zagadkę tego, co robi ten wasz młody bard — odparł Randal. — Może teraz troszkę więcej mi pomóc. Ale wczoraj było bardzo źle i dzisiaj wolałbym nie udzielać audiencji, bo w tej chwili nie wydaje mi się, żebym mógł dojść choćby do drzwi. Nie mam już sił.

Vanyel dotknął jego ramienia, a Randal westchnął i położył dłoń na jego ręce.

— Nie próbuj nawet — rzekł Van cicho. — Czy mogę jeszcze coś zrobić w sprawie Karsu?

— Postaraj się o rzetelne informacje, a potem wycofaj stamtąd naszych heraldów — odparł Randal. — Później pošlij tam kilku agentów bez darów, aby udzielili pomocy reszcie naszych współpracowników i wprowadzili ich w sytuację.

Nim skończył, kąciki jego ust były napięte i wykrzywione, cały zbladł. Vanyel poczuł, jak mu się ściska serce. Randal okazał się lepszym królem, niż ktokolwiek się spodziewał; im bardziej słabł, tym mężniej stawiał czoło wyzwaniu. Podczas gdy ciało narzucało mu coraz większe fizyczne ograniczenia, jego umysł wciąż wędrował, śledząc wszystkie zagmatwane sprawy w Valdemarze i poza nim.

Vanyel przezwyciężył wzruszenie, które czuł za każdym razem, gdy jego wzrok spoczął na Randalu.

— Coś jeszcze? — zapytał. — Czeka na nas mnóstwo spraw.

Randal zamknął oczy i opadł na poduszki.

— Pójdź na kompromis z Lendori, proponując im kontrakt na muły Gwardii, jeżeli scedują prawo do wody na Balderston. Ich zwierzęta są dość dobre, chociaż cena jest wygórowana. Ci z Evendim mają własną milicję; wybadaj ich i sprawdź, czy nie byliby skłonni oddać nam trochę ludzi. Powiedz jeszcze lordowi Pretorowi, że albo wyda tę mysz, którą nazywa swą córką, za męża i wyśle do domu, albo ja jej znajdę męża. Przez nią połowa moich oficerów Gwardii ostrzy na siebie noże. To wszystko.

— Wystarczy. — Vanyel przyłożył palec do rozpalonego czoła Randal, przywołując swe zdolności uzdrawiające. Shavri powiedziała mu kiedyś, że przydaje się każdy najdrobniejszy zastrzyk energii uzdrawiającej. — Odpoczywaj, Randi.

— Postaram się — wyszeptał król, a Vanyel czym prędzej wymknął się z jego komnaty, żeby tylko się nie rozplakać.

Paziowie i pomocnicy śmigali po pokojach Evereta jak liście w czasie burzy, sam Everet zaś stał pośrodku tego chaosu i dyrygował wszystkim ze spokojem. Vanyel usunął się przed rozpędzonym dzieckiem i wręczył Everetowi dokument.

Arcykapłan przeczytał go uważnie, tak jak zrobił to Randal.

— Wspaniale. Mam teraz dość władzy, aby zastraszyć kogo trzeba. — Zatrzymał jednego z pomocników i polecił mu spakować dokument razem z innymi papierami. — Dziękuję, heroldzie Vanyelu. Miejmy nadzieję, że nie będę musiał robić z niego użytku.

— Ufajmy w to z żarliwością — odparł Vanyel i prędko powrócił do Sali Obrad, aby przekazać kasztelanowi pozostałe rozkazy króla.

Lśnienie promieni słońca na wodzie oślepiło go na moment.

Czuję się jak Piękna Panna z Bredesmere, czekająca na swego kochanka — usłyszał nagle myśl Yfandes.

Vanyel przymrużył oczy, a potem pokiwał do niej. Stała przy mostku na drugim brzegu rzeki oddzielającej tereny pałacowe od Łąki Towarzyszy.

Cóż, cała jesteś w bieli — żartował, zbliżając się do mostku. — *Jest też rzeka, do której można cię wrzucić.*

Tylko spróbuj. — Odwróciła się i zatańczyła w miejscu, na trawie, tłumiącej odgłos jej kopyt. — *Zobaczmy, kto kogo wrzuci!*

Dziękuję, wolę nie. — Przebiegł ostatnich kilka kroków przez most i ujął jej jedwabistą głowę w swe dłonie.

— Jesteś dziś przepiękna, moja ukochana — powiedział na głos.

Ba. — Parsknęła i odrzuciła jego dłonie. — *Mówisz to co dzień.* — Ale widząc, jak wypręży grzbiet, poznał, że jest jej przyjemnie.

To dlatego, że co dzień jesteś piękna — powiedział.

Pochlebca — odparła, podrzucając grzywę opadającą srebrną kaskadą na jej szyję. Ponieważ nie brali już udziału w walkach, poprosiła go, by pozwolił jej zapuścić ogon i grzywę, które teraz rozrosły się bujnie niczym u Towarzysza na iluminowanej rycinie.

— Prawda to nie pochlebstwo — powiedział szczerze. — Chciałbym móc spędzać z tobą więcej czasu.

Jej błękitne oczy pociemniały od miłości.

Ja też. Niech to wszystko zaraza pochłonie! Chcę tylko być z tobą, a nie pracować!

Vanyel zaśmiał się.

— Jesteś teraz tak rozleniwiona, jak ja kiedyś! Chodź, kochanie, znajdziemy sobie miejsce, gdzie będziemy mogli spróbować porozumieć się z Kerą.

Niegdyś w pobliżu mostka rósł stary las sosnowy — zagajnik, który został zniszczony, gdy pewien kandydat na herolda, Tylendel, pod wpływem szoku po śmierci brata stracił panowanie nad swym darem. Teraz nie było tam nic poza trawą, paroma młodziutkimi drzewkami i kilkoma starymi drzewami ocalałymi z tamtej katastrofy. Obumarłe pnie dawno już powycinano i zużyto na opał.

Jako że tamta noc zapoczątkowała łańcuch wydarzeń, które w końcu doprowadziły do samobójstwa Tylendela, byłoby rzeczą logiczną, gdyby Vanyel omijał to miejsce. Logika jednakże nie grała w jego życiu nazbyt istotnej roli. Nadal miejsce to odbierał jako tchnące spokojem i bezpieczne, toteż razem z Yfandes chodzili tam często, zawsze gdy musieli wspólnie popracować.

W środku tego, co kiedyś było laskiem, znajdowało się zagłębienie w ziemi. Tam, w wysokiej trawie, podwinąwszy pod siebie nogi, usadowiła się Yfandes. Powietrze było tak nieruchome, że nie drgnęły nawet koniuszki źdźbeł trawy. Vanyel usiadł na trawie, plecami opierając się o jej bok. Ciepłe popołudniowe słońce spływało na nich oboje.

— Gotowa? — spytał.

Jak tylko ty będziesz gotów — odpowiedziała.

Zamknął oczy i nawiązał z Yfandes pełny kontakt. Z nią szło mu to nawet łatwiej niż z Savil. Odczekał chwilę, aż się do siebie dostroją, a potem wybiegł myślą na poszukiwanie Kery.

Nie mogła wiedzieć, że akurat w tym momencie ktoś będzie chciał się z nią skontaktować, ale z pewnością zorientowała się, że w końcu będą chcieli to zrobić. Na to właśnie liczył Vanyel, na jej gotowość do odbioru bodźców. Pracował z Kerą już wcześniej, znał ją więc na tyle, by ją natychmiast rozpoznać jeśli tylko uda mu się dotrzeć aż tak daleko.

Wyteżył zmysły, by ją usłyszeć, rozpoznać w szumie oddalonych szeptów na granicy Karsu. Większość tych głosów w myśli krzyczało wręcz z gniewu, kilka przepełniała paniką. Właśnie po braku obu tych cech rozpoznał głos Kery — rozpoznał ją po głosie jej myśli oraz starannie utkanych wokół niej osłonach. To dzieło Savil, osłony piękne niczym oszlifowany kryształ.

Nateżył zmysły — to było tak, jak gdyby usiłował dotknąć czegoś, co znajduje się na granicy jego zasięgu: koniuszki palców jego umysłu muskały zaledwie krawędzie tego czegoś.

Kero. — Jej osłony rozpoznały go, po czym szybko i bezgłośnie się rozsunęły.

Kto tam? — dobiegła go jej myśl, a potem niedowierzenie: — *Vanyel?*

Wiedziała, gdzie się znajdował i ile wysiłku kosztowała go próba porozumienia się z nią. Toteż zaraz za błyskiem niedowierzania spłynęły ku niemu wszystkie potrzebne informacje: dokładny opis wydarzeń w Karsie oraz wszystko, co tylko

Kara wiedziała o proroku; między innymi to, iż istotnie cieszył się on pełnym poparciem korony Karsu oraz kapłanów Pana Słońca.

Uciekaj stamtąd — ponaglał ją Vanyel. — *Przejdź przez Przetęcz Białego źrebaka, jeśli zajdzie taka konieczność, albo przez Rethwellan, tylko uciekaj. Jeżeli możesz, ostrzeż innych o swym wyjeździe. Mając przy sobie Towarzysza, jakkolwiek byś się przebierała, jesteś narażona na zdemaskowanie.*

Poczuł płynące od niej strach i całkowitą zgodę. Najwyraźniej już musiało ją spotkać coś niepokojącego.

Wracaj — powiedziała, a odwaga zajęła teraz miejsce strachu. — *Mam swoje plany, czekałam tylko na kontakt.*

Vanyel uwolnił ją od połączenia i poleciał w dół, w rozkrzyczaną ciemność.

Kiedy znów otworzył oczy, z chmur umykały już resztki wspaniałego, szkarłatnego blasku słońca. Tuż przy jego kolanie w trawie grały świerszcze. Trząśnięcie z zimna.

Nie był to jednak chłód odczuwalny fizycznie, ale chłód z wyczerpania. Yfandes trąciła go nosem.

Słyszałam wszystko i przekazałam Kimbry Josha, a Josh kasztelanowi.

— Świetnie, Yfandes — zakasłał, przywarłszy do jej ciepłego, silnego ciała. — Dziękuję ci.

Nie przypuszczałam nawet, że masz aż taki zasięg. Pobiteś mnie.

— Naprawdę? — Knykciami dłoni potarł oczy. — Cóż, nie wiem, co na to odpowiedzieć.

Ale ja wiem — odparła z humorem. — *Za parę chwil zaczniesz cię boleć głowa. Proponuję ci w drodze do pokoju zejść do uzdrowicieli Randala.*

— Tak zrobię. — Podniósł się na kolana, a potem skoczył na równe nogi. Obok niego Yfandes, lśniąc w błękitnym zmroku, zrobiła to samo.

Czyżbyś zapomniał, że na wieczór zaprosiłeś do siebie Stefena?

— Och, na bogów. Rzeczywiście. — Był rozdarty, naprawdę rozdarty. Czuł zmęczenie, ale... pragnął towarzystwa młodego barda.

On pragnie twojego równie mocno — rzekła Yfandes beznamiętnie.

— Och, Yfandes, on jest tylko zauroczony — zaprotestował Vanyel. — Przejdzie mu. Gdybym mu powiedział, żeby zostawił mnie w spokoju — zakładając, że chciałbym to zrobić, a nie chcę — to jeszcze bardziej podsyciłbym jego zawziętość we wchodzeniu mi w oczy.

Moim zdaniem to coś więcej niż zauroczenie — odparła. Vanyelowi zdawało się, że wyczuł w jej myśli ton aprobaty, gdy mówiła o młodym bardzie. — *Sądzę, że jemu naprawdę bardzo na tobie zależy.*

— Cóż, mnie zależy na nim i dlatego właśnie chcę utrzymać nasze stosunki w granicach przyjaźni. — Vanyel zbadął swe nogi i uznał, że są w stanie zanieść

go z powrotem do pałacu, chociaż w skroniach zaczynał mu pulsować ból głowy, przed którym ostrzegła go Yfandes.

— Nie ma potrzeby, żeby rujnował sobie życie, rzucając się na mnie. — Pogładził jej szyję. — Dobranoc, najśłodsza. Dziękuję ci.

Cała przyjemność po mojej stronie — odrzekła czule.

Vanyel ruszył w drogę powrotną do pałacu, wokół niego zagęszczał się mrok. Z każdym krokiem w głowie czuł pulsujący ból. „Przyjaźń. Och, już to widzę. Wielkie nieba, Van” — przyganiał sam sobie. — Sam doskonale wiesz, że szukasz pretekstów, żeby się z nim jak najczęściej spotykać.”

Wreszcie powiał wiatr, silny wiatr wyginający konary drzew. Vanyel rozgrzał się już trochę szybkim spacerem, lecz chociaż miło było czuć na czole chłodne powietrze, drżał od niego. „Cóż, nikomu to nie szkodzi, poza mną. Nie ulega wątpliwości, że zaprząłem w to całą moją zdolność panowania nad sobą. . .”

Niepokoiliła go głębia tego zainteresowania młodym bardem, i wcale nie dlatego, żeby był przekonany, iż chłopiec ugania się za nim z uwielbienia dla jego bohaterstwa. Kiedy zaczęła zapadać noc i w oknach pałacu jęły zapalać się światła, uprzytomnił sobie, że w ciągu ostatnich kilku tygodni jego związek ze Stefenem wprawiał go w coraz większe zakłopotanie. Gwiazdy pojawiły się na długo, zanim dotarł do furki pałacowych ogrodów, popatrzył więc na nie z żalem, że w ich konstelacjach nie może wyczytać odpowiedzi na swe pytania.

„Nic z tego nie rozumiem. Tak bardzo pragnę się o niego troszczyć. . . aż za bardzo. Odnoszę wrażenie jakbym zdradzał pamięć Lendela.”

Odrzucił wzrok od nocnego nieba i przyciągnąwszy do siebie drzwi, zmrużył oczy oślepione światłem latarni tuż przy wejściu.

Wszedł do hallu i zamknął za sobą drzwi. „Święci bogowie, ten chłopak powinien się cieszyć, że nie jestem Lendelem — pomyślał, odzyskując humor. — Lendel już dawno z radością zaciągnąłby go do łóżka. Bogowie, potrzebny mi ten ból głowy jak. . .”

Najwyraźniej jednak bogowie byli innego zdania, gdyż w tej akurat sekundzie spostrzegł go paź czekający w hallu i wybiegł mu na spotkanie.

— Heroldzie Vanyelu! — wydyszało dziecko. — Król ciebie wzywa! Jisa zrobiła coś okropnego!

Paź niewiele był w stanie mu powiedzieć, tyle tylko że Jisa przyszła do komnaty Randala z Trevenem i pewnym nieznanym. Potem dało się słyszeć jakieś wrzaski i wezwano pazia stojącego na korytarzu. Randal przewrócił się na kanapę, Shavri i Jisa zbladły jak śmierć, po czym Shavri wysłała pazia na poszukiwania Vanyela.

W komnacie Randala oczekiwało nań niezwykle zgromadzenie: król z Shavri, Jisa z Trevenem, kasztelan, Josh i jakiś obcy w szatach kapłana Astera. Do

tego istny rój służących i straży. W tym momencie Vanyel był już przygotowany na wysłuchanie niemalże wszystkiego — opowieści o kradzieży, morderstwie, pijaństwie — ale nie tego, co tak beznamiętnie, z buntowniczo zadartym nosem, oznajmiła mu Jisa.

— Za męża? — wybuchnął zduszonym śmiechem, spoglądając na Jisę, potem na Trevena i znów na nią. — Wyszłaś za męża? Jak to? Kto w imię bogów odważył się dać wam ślub?

— Ja, heroldzie Vanyelu. — Powiedział nieznajomy, wbrew oczekiwaniom Vanyela wcale nie przestraszony, a wręcz prowokujący. Gdy uniósł głowę, jego kaptur opadł w tył, wydobywając jego twarz z cienia. Vanyel nie znał go. Nie był to człowiek młody, raczej w średnim wieku lub nawet starszy — tak go ocenił herold. W każdym razie wyglądał na zbyt dojrzałego, aby dać się wciągnąć w tę hecę podstępem.

— Nikt mnie nie zbałamucił — kontynuował kapłan, jak gdyby czytał w myślach Vanyela. — Wiedziałem kim są; powiedzieli mi. Przecież nikt nie zabronił im się pobrać i nie znajdowałem żadnego powodu, dla którego miałbym odmówić im prawa do zrobienia tego.

— Nie znajdowałeś powodu... — Vanyel nie potrafił wykrztusić nic więcej.

— Śluby mają pełną moc wiążącą — usprawiedliwiająco rzekł Josh. — Mogą być zerwane tylko wtedy, gdyby jedno z nich zażądało rozwodu.

Treven objął Jisę ramieniem, a ona ujęła w dłonie jego rękę. Pełne buntu — ale i strachu — spojrzenia tych dwojga zawisły teraz na Vanyelu.

Randal nabrał troszkę kolorów i westchnął. Shavri w mgnieniu oka znalazła się przy nim i w następnej sekundzie zabrała go do ich prywatnych komnat.

— Nie znajdował powodu — powtórzył Vanyel wciąż nie mogąc w to wszystko uwierzyć. — A co z obowiązkami Trevena wobec Valdemaru? Co zrobimy, jeżeli jedynym wyjściem z sytuacji będzie przypieczerowanie jakiegoś pokoju jego małżeństwem?

Słowa te skierował do kapłana, ale odpowiedź nadeszła od Trevena.

— Myślałem o tym, heroldzie Vanyelu — zaczął chłopak. — Myślałem o tym bardzo długo. Później przeprowadziłem pewne szczegółowe badania i jeżeli nie chcesz, abym stał się *shayn*, to wiedz, że nie istnieje kandydatka do takiego małżeństwa, nawet w Karsie, chyba że gdzieś na Północy żyje sobie córka jakiegoś barbarzyńskiego wodza, o którym nic nie wiemy. Spośród niezamężnych żadna nie może już mieć dzieci, a pozostałe to jeszcze niemowlęta. Większość mężatek, które ewentualnie mogłyby stracić mężów w ciągu pięciu lat, związana jest kontraktami nierozzerwalnie łączącymi je z ziemią ojczystą ich małżonków, reszta natomiast spełnia tylko rolę regentek zastępujących swe nieletnie dzieci. — Pomimo stosunkowo spokojnego tonu, wyraz twarzy Trevena nie wróżył nic dobrego temu, kto zechciałby wejść mu w drogę. — Nie widziałem żadnego powodu, dla którego mielibyśmy odmawiać sobie szczęścia, skoro wiemy, że łączy nas więź

życia.

— Szczęścia? — Głos Shavri zabrzmiał nienaturalnie piskliwie. — Ty mówisz tutaj o szczęściu? — Stała w drzwiach, nerwowo ściskając kraj swej sukni. — Wciągnąłeś moją córkę w kolejkę do tronu, smarkaty głupcze! Czy ty masz pojęcie, jak długo i z jakim wysiłkiem walczyłam o utrzymanie jej z dala od tego? Widziałeś, co korona uczyniła z Randiego, oboje widzieliście. Trevenie, jak mogłeś ściągnąć to samo cierpienie na Jisę?

Shavri nie chce korony, więc myśli, że jej córka też nie powinna jej chcieć — zauważyła Yfandes. — Twój sprzeciw jest racjonalny, ale jej całkowicie emocjonalny.

Jisa, puściwszy mimo uszu żarliwą przemowę swej matki, zwróciła się do Vanyela i kasztelana.

— Jeżeli wiąże się z tym cierpienie, jestem gotowa je przyjąć — oznajmiła ze spokojem, kierując swe słowa do nich, zamiast do matki. — Nie winie mamy za to, że nie pragnie korony — nie chce brać na siebie odpowiedzialności, nie lubi roli przywódczyni i nie nadaje się do niej. Twierdzi, że tron to ból, i to prawda, dla niej to ból, lecz, moi panowie, ja nie jestem moją matką! Dlaczegoż by miała za mnie podejmować decyzje?

Kapłan skinął lekko, Shavri zbladła.

— Mamo... — Teraz Jisa zwróciła się do niej błagalnym tonem. — Mamo, przykro mi, ale ty i ja to dwie różne osoby. Ja mam naturę przywódcy, zawsze miałam, sama tak mówiłaś. Nie boję się władzy, ale czuję wobec niej respekt, a także wobec odpowiedzialności, którą władza nakłada na człowieka. Jest jeszcze jedno: Treven będzie królem, a ja jego partnerką. Będziemy się dzielili władzą, odpowiedzialnością oraz, cierpieniem. Będziemy w innej sytuacji. Nie potrafisz tego dostrzec?

Shavri potrząsnęła głową, niezdolna wypowiedzieć choćby słowa. W końcu odwróciła się i uciekła, aby schronić się w swym pokoju.

Arved poczerwieniał ze złości.

— Kto dał wam prawo decydowania, co jest właściwe? — ryknął na Trevena. Młodzieniec zbladł, lecz nie ustąpił.

— Dwie sprawy, panie — odrzekł pewnie. — Otóż fakt, że Jisę i mnie łączy więź życia oraz to, że jakiegokolwiek małżeństwo, poza związkiem z partnerką, z którą łączy mnie taka więź, byłoby małżeństwem jedynie z nazwy i parodią świętych ślubów.

— Moim zdaniem — wtrącił kapłan — byłoby to bluźnierstwo. Pogwałcenie obrzędu, który ma uświęcać. Wiąż życia to rzadkie i święte zjawisko i winniśmy odnosić się doń z czcią. Życie bez ślubu w celu stworzenia wrażenia, że jeden z partnerów gotów jest do małżeństwa, to całkiem inna rzecz, pod warunkiem, że czyni się to dla bezpieczeństwa królestwa. Wydaje mi się jednakże, iż zmuszanie młodej osoby do wstąpienia w absolutnie nie odpowiadający jej związek

małżeński, gdy więzy życia łączą ją zupełnie z kimś innym, to... no cóż, grzech śmiertelny.

Arved wbił wzrok w kapłana, potem popatrzył bezsilnie na Vanyela i wyrzucił w górę ramiona.

— Stało się — powiedział. — I nie może się już odstać, a ja nie będę tłukł zdechłego psa w nadziei, że ten wstanie i rzuci się do gonitwy.

Josh wzruszył tylko ramionami.

Shavri już wyszła, Randal się przewrócił, a kasztelan ze swym heroldem uchylali się od wszelkiej odpowiedzialności. Podjęcie decyzji miało spaść na Vanyela, który zagryzł zęby z rozpacz, lecz w istocie niewielki pozostał mu wybór. Jak zauważył kasztelan, rzecz się stała, a próby przewalczenia czegokolwiek nie miały żadnego sensu.

— Co się stało, to się nie odstanie — rzekł zrezygnowany, ignorując pisk radości Jisy. — Ale mam nadzieję, że zdajecie sobie sprawę, iż to mnie przypadła najcięższa rola.

— Najcięższa rola? — zdziwił się Treven.

— Tak — odparł Vanyel. — Jak mam przekonać resztę świata, że nie popełniliście błędu, kiedy sam nie jestem tego pewny?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

— Myślałam, że będziesz zadowolony — zagadnęła nagle Jisa. — Wiesz, co do siebie czujemy. Myślałam, że akurat ty zrozumiesz.

Vanyel w duchu policzył do dziesięciu, wzrokiem celując ponad głowę Jisy. Nie byli sami: kapłan usiłował właśnie namówić Shavri, by zmieniła zdanie, Treven stał tuż przy Jisie i w pokoju było co najmniej z tuzin służących. Uduszenie jej niczego by nie załatwiło.

Jedynym błogosławieństwem w całej tej sytuacji było to, że odeszli Arved i Josh, co znacznie zmniejszyło napięcie nerwowości w i tak wciąż napiętej atmosferze.

— Skąd przyszło ci do głowy, że będę zadowolony? — zapytał Vanyel. — I dlaczego miałbym rozumieć?

— Ponieważ to ty byłeś kiedyś skłonny stawić czoło wszystkiemu i wszystkim, żeby tylko mieć Tylendela — odpowiedziała irytująco. — Wiesz, jak to jest, kiedy człowieka łączy z drugim człowiekiem więź życia! *Ojcze* — ciągnęła, przeszedłszy na myśłomowę. — *Zawsze robiliśmy to, o co nas proszono. Dlaczego mielibyśmy rezygnować z siebie? Dlaczego nie potrafisz spojrzeć na to z naszego punktu widzenia?*

Chciał się spierać, że w jej przypadku jest zupełnie inaczej, że Tylendel był zaledwie zwyczajnym uczniem na maga heroldów, że ani Tylendel, ani on, nie byli spadkobiercami tronu...

Lecz nie umiał tego zrobić. Oni byli młodzi i kochali się, bezskuteczne więc byłoby odwoływanie się tutaj do logiki.

Nie pojmuję, dlaczego Trevena nie powstrzymał jego Towarzysz — odparł rozdrażniony jej opanowaniem.

Ojcze, Erena nie tylko go nie powstrzymała, ona nam pomogła. To ona znalazła dla nas ojca Owaina. — Nie umiała ukryć uczucia triumfu, który zakradł się do jej myśli.

— Co zrobiła? — wykrzyknął Vanyel na głos. Jeden ze sług uprzątających rozgardiasz podskoczył wystraszony, a potem łypnął w ich kierunku.

— Psiakrew, te heroldy — wymamrotał, wystarczająco głośno, by usłyszał to Van. — Sterczą tak i „myślą” jeden z drugim... Jakoś nie mogę do tego przywyk-

nać.

— Erena nam pomogła — upierała się Jisa. — Zapytaj Yfandes.

— Zapytam — odrzekł gniewnym głosem.

Yfandes, co ci wiadomo o całej tej sprawie?

Wszystko — odpowiedziała.

I nie powstrzymałaś ich? Nie powiedziałaś nic nawet mnie? — Nie dowierzał własnym zmysłom.

Naturalnie, że ich nie powstrzymaliśmy — rzuciła pośpiesznie. — *Pochwalamy to. Ty też byś pochwalał. Wystarczyłoby, żebyś poświęcił jedną minutkę, wysilił się troszkę i pomyślał swoim sercem a nie tylko rozumem. Czegóż innego się spodziewałeś? Jisa będzie świetną małżonką, lepszą od każdej innej kobiety, którą mogłaby wybrać dla Trevena twoja nadęta Rada. Chłopiec ma absolutną słuszność: wśród rodzin panujących w krajach neutralnych nie ma żeńskich potomków w odpowiednim wieku, a po cóż miałby żenić się dla przypieczętowania sojuszu już istniejącego? Jeżeli tobie się wydawało, że latami będziesz kazał mu czekać na poślubienie Jisy, to według mnie jesteś głupcem.*

Ale Randi... — zaczął.

Przypadek Randala to coś zupełnie innego. Przede wszystkim w Karsie jest, a raczej była, księżniczka starsza od niego tylko o rok, a królowa Rethwellan jest jego rówieśniczką. Nim pojawiła się przeszkoda w postaci jego choroby, zawsze istniała ewentualność małżeństwa dla zawarcia pokoju.

Przez moment Vanyel był zbyt zaskoczony, by cokolwiek odpowiedzieć, a gdy w końcu udało mu się nieco ochłonąć, tuż przy nim wyrósł jeden z paziów, sprawiający wrażenie bardzo zaniepokojonego.

— Wielmożny panie — odezwało się dziecko zdenerwowanym głosem. — Wielmożny panie, z królem jest bardzo kiepsko. Uzdrowiciele polecili mi przekazać ci, panie, że król bardzo cierpi i odmawia przyjęcia jakiegokolwiek pomocy. Powiedzieli, że ty, panie, będziesz wiedział, co robić.

— Przyrowadź barda Stefena — z miejsca zdecydował Van. — Nie zaprzątał sobie uwagi zdumieniem zebranych, kiedy Shavri, odwróciwszy się od kapłana, ruszyła na Jisę i Trevena.

— Widzicie, coście zrobili... — zaczęła Shavri. Jej twarz okalała czupryna splełanych włosów, oczy miała czerwone od płaczu. — Przez was mu się pogorszyło. Tak postąpić z własnym ojcem! Ja...

Vanyel położył jej rękę na ramieniu i uciszył ją.

— Shavri, serdeńko, z czystym sercem nie można tego powiedzieć. Choroba Randiego postępuje w pewnym cyklu, wiesz o tym, wiesz również, że to właśnie jest kolejny atak. Nie możesz mówić, że to wina Jisy...

— Ale to ona wywołała ten atak! — wrzasnęła Shavri. — Przez nią atak jest ostrzejszy!

— Tego nie wiesz — zaczął Vanyel, kiedy pojawił się paż, prowadzący za sobą Stefena.

Bard podszedł prosto do oczekującej w napięciu grupki, ignorując przy tym rozpaczliwe poszturchiwania pazia. Skłonił się z lekka Trevenowi, ujął omdlałą dłoń Jisy i złożył na niej pocałunek.

— Gratuluję — powiedział. Shavri osłupiała, a Vanyel wyrecytował pod nosem wszystkie znane mu przekleństwa. — Uważam, że postąpiliście słusznie. Wiem, że będziecie szczęśliwi.

Wreszcie zareagował na wysiłki pazia i zwrócił się ku drzwiom prowadzącym do prywatnych komnat króla. Zanim jednak zdążył zrobić krok, Shavri złapała go za ramię i zatrzymała.

— Poczekaj! — syknęła. — Gdzie o tym usłyszałeś? Stefen spuścił wzrok na dłoń Shavri ściskającą jego łokieć, a potem znów spojrzał jej w twarz.

— Cały pałac o tym wie, jaśnie pani — odparł ze spokojem, jeszcze raz spoglądając na jej rękę.

Shavri puściła go, odsunęła się i zacisnęła dłonie na fałdach swej sukni.

— Więc nie da się tego ukryć.

— Raczej nie, jaśnie pani — odrzekł Stefen. — Jutro o tej porze będzie o tym mówiło całe królestwo.

Gdy Shavri zwróciła się do kapłana, Stefen mrugnął porozumiewawczo do Trevena, na co ten odpowiedział podobnie, wzbudzając wściekłość i zdumienie Vanyela.

Chyba nie... — Herold w myśli zwrócił się do Jisy. Gniew w jego oczach napotkał taki sam gniew w jej wzroku.

Naturalnie, że nie. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiliśmy, było poinformowanie służby i dwóch największych plotkarzy na dworze, z których jednym jest Stef.

Dlaczego? — spytał, a wściekłość nadała taką moc jego myśli, że Jisa aż drgnęła. — *Dlaczego? Żeby wystawić matkę na pośmiewisko?*

Nie! — odpaliła dziewczyna. — *Po to, żeby uniemożliwić wam wynalezienie sposobu na anulowanie tego, co zrobiliśmy! Wydawało nam się, że im więcej ludzi będzie wiedziało, tym trudniej będzie wam to zatuszować.*

Towarzysze też już wszystko rozgłosiły — dorzuciła Yfandes, zadowolona z siebie. — *Orser Liama zawiadomił mnie dokładnie w tej samej chwili, kiedy ty się dowiedziałeś.*

— Dobrzy bogowie — jęknął. — To zmowa głupców!

Jisa wydała się zraniona, a Yfandes parsknęła zdegustowana i odcięła się od niego.

Stefen zrobił krok do tyłu i wyprostował plecy, przybierając wyraz twarzy nadzwyczaj poważny jak na swój wiek.

— Możesz mówić, co chcesz, heroldzie Vanyelu — oznajmił oschle — i możesz sobie myśleć, co chcesz. Ale bardzo wielu ludzi uważa, że tych dwoje zrobiło

rzecz jak najwłaściwszą, i ja się z nimi zgadzam.

Po tych słowach odwrócił się na pięcie i poszedł za bliskim obłędu paziem do drzwi na tyłach komnaty.

Podczas gdy kapłan, kiwając głową z satysfakcją, wziął Shavri pod rękę, Vanyel tylko uniósł ręce w górę w geście pokonanego i uprzedzając moment, kiedy postrada resztki zimnej krwi, a z nią godności, wyszedł.

Jak zauważył już kasztelan, co się stało, to się nie odstanie. Nie minął tydzień, a Shavri wybaczyła córce, Jisa zaś pogodziła się z Vanyelem. Rada jednakże nie była skora do zaakceptowania takiego stanu rzeczy w najbliższym czasie.

Pewnego razu, w jednej z nielicznych ostatnio wolnych chwil, nie spędzonych u boku Randala, Stefen stwierdził, bardzo mądrze zresztą:

— Radni przyzwyczaili się, że mają do czynienia z parką małych marionetek, które tańczą, kiedy oni pociągają za sznurki. Ale teraz marionetki ożyły i odcięły krępujące je sznureczki, więc tamci stracili kontrolę. Dzieciaki dorosłeją, Van, a to zwykle wszystkich drażni. Chcesz silnej królowej i króla, czy parki szmacianych lalek? Jeżeli chcesz króla i królową, to lepiej oswoj się z tym, że tych dwoje będzie myśleć samodzielnie, bo w końcu to mają robić.

Vanyel nie spodziewał się po Stefenie takiej rozwagi, chociaż z drugiej strony czy miałby być nią zaskoczony po tych wszystkich długich rozmowach, które zawsze wprawiały go w podziw dla umiejętności rozumowania tego chłopca. Młody bard w sytuacjach kryzysowych zdradzał dużą siłę charakteru, nie tylko uśmierzając cierpienie Randala na całe miarki świecy, ale także łagodząc rozpacz Shavri i doprowadzając do jej pojednania z Jisą i Trevenem. Dzięki temu wszystkim Vanyel miał czas zająć się Radą, dworem i sprawami królestwa. Teraz sam podejmował decyzje w imieniu Randala albo, chcąc uzyskać od niego jakieś rozporządzenia, czekał na chwilową poprawę jego stanu. Obaj współpracowali na podobieństwo dwóch połówek skomplikowanej maszyny cudownej konstrukcji i Vanyel dziwił się, jak król radził sobie przedtem, bez talentów i obecności Stefena. Wydawało się, że młody bard zawsze trwa na swym posterunku i zawsze w porę robi użytek ze swego daru, ale przecież nie tylko do tego ograniczały się jego zajęcia. Stał się niezastąpiony na wiele różnych sposobów: pilnował, by nikt nie zapomniał o jakichś ważnych papierach, aby pod ręką zawsze byli paziowie gotowi do wszelkich posług oraz by Shavri i Randal nigdy nie zostawali sami, chyba że we dwoje. Rozporządzał dostarczaniem jedzenia i napojów na posiedzenia Rady, a także troszczył się o to, by przybywający na dwór ambasadorowie zawsze czuli się najważniejszymi gośćmi, jakich gościł Valdemar.

Gdyby nie Stefen, Vanyel nie przetrwałby tego tygodnia. Nim minął kryzys, obydwaj wyglądali niczym strachy na wróble.

A od tego momentu wydarzenia potoczyły się dużo szybciej.

Vanyel otworzył drzwi swego pokoju i zatrzymał zdumiony wzrok na Stefenie. Oto bard siedział rozparty w „swoim” fotelu z głową odchyloną do tyłu; najwyraźniej spał. Kiedy Vanyel zaniknął drzwi, ciche stuknięcie zbudziło go, uniósł głowę i jedną ręką przetarł oczy.

— Van — wykrztusił zdławionym od zmęczenia głosem. — Przepraszam. Shavri mnie odesłała, mają teraz dwóch uzdrowicieli, którzy potrafią uśmierzać ból; wreszcie dziś rano rozszyfrowali na czym to polega. — Odwrócił się i skrzywił, usiłując przekręcić głowę. — Nie miałem siły wracać do siebie. Jestem piekielnie wykończony. Zamówiłem dla nas jedzenie i przyszedłem tutaj. Myślałem, że nie będziesz miał nic przeciwko temu. Nie masz, prawda?

Vanyel padł na drugi fotel i wyciągnawszy rękę po kawałek sera, ni stąd, ni zowąd poczuł wilczy apetyt.

— Jasne, że nie mam nic przeciwko temu — powiedział. — Ale skoro byłeś taki zmęczony, to dlaczego, u licha, nie położyłeś się na łóżku?

Stefen popatrzył na niego marszcząc brwi.

— Już raz pozbawiłem cię łóżka. Nie mam zamiaru więcej tego robić. Tam leży twoja poczta, — Wskazał na niewielki plik listów przyciśniętych nie używanym sztylecikiem. — Przyszły, kiedy drzemałem. Proszę, podaj mi kawałek tego sera.

Vanyel, nieobecny myślami, podsunął mu talerz. Przy otwieraniu listów skorzystał z przycisku do papieru. Przejrzał cały stosik, aż w końcu, dotarłszy do ostatniej przesyłki, zamarł na widok widniejącej na niej pieczęci.

— O, nie — jęknął. — O, nie. Tylko nie to.

— Co takiego? — spytał Stefen zaniepokojony. — O co...

Vanyel bez słowa podniósł list.

— To pieczęć Forst Reach — powiedział Stefen, zrazu zbity z tropu. Jednak po chwili jego twarz zdradzała zrozumienie i rozbawienie pomieszane ze współczuciem. — Ach tak. To jedno ze sławnych pism ojca. O co chodzi tym razem — o owce, twego brata czy twój dobór towarzystwa?

— Pewnie o wszystko naraz — odparł Vanyel z goryczą, po czym otworzył list — Właściwie mogę to załatwić od ręki.

Przebiegł wzrokiem po pierwszym akapicie, nie znajdując w nim nic niezwykłego.

— Cóż, Mekealowi świetnie idzie hodowla koni bojowych, a to oczywiście oznacza, że ojciec na niego psioczy, pomimo że nie ma się do czego przyczepić. Zdaje się, że nasz sławny ogier ma parę dobrych cech; dobrze ukrytych, dodajmy.

Drugi akapit był mniej więcej podobny.

— Wielkie nieba, najstarszy syn Mekeala właśnie się zaręczył. O co mu chodzi, chce założyć własne plemię? Czy ja...

— ...mu coś posłałem? A co z tym nadzwyczaj szkaradnym miłosnym pucharem ze srebra wysadzanego granatami, który tu gdzieś widziałem? — Stefen skulił się w fotelu z głową spoczywającą na ramionach i zamkniętymi oczami. — Savil mówiła mi, że zatrzymujesz takie rzeczy na prezenty i że im są brzydsze, tym bardziej podobają się twojej rodzinie.

— Z wyjątkiem Savil, mojej siostry i Medrena pojęcie dobrego smaku najwyraźniej zadomowiło się w mojej rodzinie — odparł Vanyel zmęczonym głosem. — Dziękuję. Hm! Ostatnia owca zdechła od ukąszenia czarnej muchy, a ojciec nie posiada się z radości. Melenna i... o rany!

— Co takiego? — Oczy Stefena otworzyły się w jednej sekundzie, a on sam uniósłszy głowę, wlepił nic nie widzący wzrok w Vanyela.

— Melenna i Jervis się pobrali! — Van aż otworzył usta ze zdziwienia. Sam fakt, że Jervis się ożenił...

— Och — skwitował to Stefen obojętnym tonem. — Dużo tego ostatnio unosi się w powietrzu. Może to zaraźliwe. — Oparł głowę z powrotem na ramionach. Vanyel tymczasem przeszedł do trzeciego, i ostatniego już, akapitu listu.

— I oto mamy zwyczajowe zaproszenie do złożenia wizyty w domu, które niewątpliwie jest tylko wstępem do czegoś, co mnie porządnie... — Van przerwał i jeszcze raz przeczytał ostatnie zdania. Potem przeczytał je po raz trzeci, ale jakoś nie chciały nabrać sensu.

Przypuszczam, że wiesz, iż dużo słyszeliśmy o tobie od Medrena. Otóż opowiadał nam także o twoim wyjątkowym przyjacielu, pewnym bardzo. Wspominał, że chłopiec ten ma na imię Stefen. Szczerze pragnęlibyśmy go poznać, synu. Przywieź go ze sobą, gdy będziesz się do nas wybierał.

— Van — Stefen pomachał mu ręką przed oczami, wyrywając go ze stanu istnego oszołomienia. — Van? Co się stało? Wyglądasz, jakby ci ktoś dał po głowie.

— Bo takie mam wrażenie — powiedział Vanyel i odłożywszy list, potarł dłonią kark. — Właśnie tak się czuję. To chyba jakiś żart...

— Żart?

— Chcą, żebym cię przywiózł ze sobą. Znam mojego ojca... Już wyrobił sobie jak najgorsze zdanie o naszej przyjaźni. — Ponownie wziął do ręki list, ale ostatni akapit wcale się nie zmienił.

Stefen ziewnął i zamknął oczy.

— A niech sobie wyrabia zdanie, jakie tylko chce. Sam się o to prosi, więc spełnijmy jego życzenie.

— Chcesz powiedzieć, że byłbyś skłonny pojechać? — Vanyel osłupiał. — Stefen, chyba zwariowałeś! Nikt nie chce odwiedzać mojej rodziny, to sami wariaci!

— I co z tego? Żeby zostawili cię w spokoju, potrzebujesz kogoś, kto będzie budził w nich grozę. — Stefen już zasypiał, jego słowa zaczęły się zlewać. — To brzmi, jakby... mnie... do mnie...

„Nie powinienem był — pomyślał Vanyel. — Ale on jest kompletnie wykończony. Ostatecznie dwóch uzdrowicieli może go zastąpić przy królu, a ci dwaj mogą przecież wyszkolić kolejnych. Randi nie poczuje się już lepiej, a sytuacja w Karsie jest w miarę stabilna. Więc... dlaczego nie?”

— Dlaczego nie? — wykrztusiła Savil, dusząc się ze śmiechu. — Rzeczywiście, sam się o to prosi.

Vanyel wreszcie ją przekonał, żeby kazała obić swój stary fotel w ciepły popiel; teraz ze swymi srebrzystymi włosami, w Bieli wyglądała na nim niczym Królowa Zima. Zwolnienie od obowiązków strażnika sieci zrobiło jej bardzo dobrze: jej głos brzmiał dużo silniej, chociaż nadal poruszała się tak samo sztywno jak zawsze.

— Ależ Savil — cicho zaprotestował Vanyel. — On myśli, że Stef jest moim kochankiem! Na pewno!

Savil zmierzyła go spojrzeniem, którym zwykle miażdżyła swych uczniów.

— I co z tego? Wysłał zaproszenie z własnej woli. Pokaż mu, że jest w błędzie. A potem wpraw go w zażenowanie. Coś ci powiem. Jadę z wami.

— Na Rogi Kernosa, Savil, do czego chcesz doprowadzić, do mojej śmierci? — Vanyel wybuchnął śmiechem. — Za każdym razem, kiedy jedziesz ze mną do domu, po uszy wpadam w jakieś tarapaty! Równie dobrze mógłbym paradować wzdłuż granicy karsyckiej w pełnym rynsztunku bojowym — to byłoby bezpieczniejsze.

— Bzdury — zachnęła się Savil. — Tak było tylko raz. A mówiąc poważnie, to nie odważyłabym się już podróżować samotnie. W końcu mogę sobie zrobić urlop. Nie stać ich już na zwalnianie magów heroldów na emeryturę; niewielu nas zostało.

— Prawda — przyznał Van. — Wiesz, to rzeczywiście nie najgorszy pomysł.

Stefen to sama skora i kości — wtrąciła Yfandes. — *Uzdrowiciele straszą, że może się to skończyć trwałymi zmianami, jeśli zaraz ktoś go stąd nie zabierze na odpoczynek Savil zresztą potrzebuje go tak samo, i ty też, ale nie odetchniecie, dopóki nie znajdziecie się poza dworem.*

— Yfandes uważa, że to świetny pomysł — zadumał się. — Szczerze mówiąc, podczas ostatnich kilku wizyt ojciec i matka zachowywali się wobec mnie nawet znośnie. Może nam się uda.

— Daj mi dwa dni — powiedziała Savil, coraz bardziej nabierając animuszu.
— Ale nie dłużej — odparł Vanyel, i podniósłszy się z miejsca, ruszył ku drzwiom.
— Dlaczego? — zdziwiła się. — Chyba nie uważasz, że to zbyt dużo czasu na spakowanie się!
— Nie, ale jeżeli to potrwa dłużej — rzucił przez ramię — to mój zapał wystygnie i będziesz musiała przywiązać mnie do Yfandes, żebym ponownie zechciał wybrać się w tę podróż.

Dwa dni później byli już na drodze z Przystani, ze Stefanem jadącym pomiędzy nimi na błyszczącej młodej kasztance z linii Gwiazdy. Ukochana Gwiazda Vanyela dożyła swych dni w Przystani, pozostając jego rozpieszczaną pupilką. Jej rozsądek i łagodną naturę odziedziczyły wszystkie źrebięta, jakim dała życie. Gwiazda była pierwszym wierzchowcem Jisy i chociaż Van, gdy został już Wybranym, nie potrzebował konia pod siodło, znaleźli się inni zaufani przyjaciele — a niekiedy i kochankowie — którym służyła. Można było więc niezaprzeczalnie powiedzieć, że Gwiazda i jej potomstwo zarabiali na swe utrzymanie. Jedną z jej córek, matka klaczy Stefena, była teraz wierzchowcem Jisy.

Wnuczkę Gwiazdy o imieniu Melodia, Vanyel sprezentował Stefanowi. Ten jednak przyjął podarek z radością nie do końca jednoznacznie. Cieszył się, ponieważ oznaczało to, iż będzie mógł towarzyszyć Vanyelowi podczas jego codziennych przejażdżek na Yfandes, z drugiej strony jednak poczuł się niepewnie, bo nie umiał jeździć konno.

Vanyel był z początku zaskoczony tym faktem, ale wkrótce uznał, że sam zachował się głupio, nie pytając go wcześniej. Wszak jako dziecko Stefan rzadko miał do czynienia z końmi: urodził się w biedzie i na dodatek w mieście, więc nigdy nie było potrzeby, aby nauczył się jazdy konnej. W przeciwieństwie do Vanyela, którego wsadzono na grzbiet kuca, zanim nauczył się dobrze chodzić. Należał do uprzywilejowanej mniejszości ziemiańskiej — co znaczyło — jeżdżącej konno arystokracji.

Nieczęsto myślał o sobie w taki sposób, lecz brak tej podstawowej — według niego — umiejętności u Stefena, skłonił go do przemyślenia na nowo wielu spraw i dopilnowania, aby chłopak nauczył się jeździć.

Cieszył się nawet, że ze Stefena jest taki nowicjusz, każdego dnia podróży miał bowiem pretekst do zatrzymywania się na nocleg o dość wczesnej porze. Savil też nie czuła się na siłach, by pokonywać długie odcinki w jednym dniu, tyle że ona nigdy by się do tego nie przyznała. Mając jednakże u swego boku biednego Stefena, cierpiącego męki od jazdy w siodle, dawała się przekonywać do postoju, zanim sama zdążyła napytać sobie biedy.

Nie minęły trzy dni podróży, a widać było, że Stefanowi siedzi się coraz wy-

godniej na końskim grzbiecie. W gruncie rzeczy sprawiał wrażenie, że zaczyna się dobrze bawić, czerpiąc radość z obcowania ze swą klaczą i jej łagodnością. Kasztanka świetnie harmonizowała z jego ciemnorudymi włosami i oboje tworzyli wcale okazałą parę.

Zdaje mi się, że gdyby nas tu nie było, oni przyciągaliby uwagę wszystkich — stwierdziła Yfandes, wtórując jego myślom.

Nie rozglądaj się teraz, kochana, oni i tak ściągają na siebie niemało spojrzeń niezależnie od naszej obecności. — Letnie słońce rozpalało właśnie wspaniałym szkarłatem sierść kasztanki i włosy Stefena, który jadąc pomiędzy dwoma odzianymi w Biel heroldami na śnieżnobiałych Towarzyszach, prezentował się niczym jakiś młody bohater w towarzystwie uczonych.

Całe szczęście, że nie jest takim strojnisiem jak ja w jego wieku — ciągnął Van. — W przeciwnym razie przyćmiłby wszystkich.

Robi uderzające wrażenie, prawda? — Myśli Yfandes zabarwione były nutką czułości, która naprawdę sprawiała Vanyelowi przyjemność. Jego przyjaciele nie zawsze przypadali Yfandes do gustu, więc za każdym razem, gdy tylko okazywała komuś sympatię, Vanyel przyjmował to z ulgą. Tutaj pomogła bardzo cecha, która łączyła Stefena z Jervisem, byłym fechmistrzem w Forst Reach. Otóż Stefan miał zwyczaj zawsze zwracać się wprost do Yfandes, nigdy nie mówił o niej w jej obecności i traktował ją jak uczestnika rozmowy, zupełnie jakby rozumiała, o czym mówią, co rzecz jasna było zgodne z prawdą.

Klacz Stefena parsknęła, spostrzegłszy motyla, i jeła skakać na boki, wesoło podrzucając grzywą i ogonem. Stefan zaśmiał się i delikatnie ściągnął cugle. Jeszcze kilka tygodni temu szarpnąłby je gwałtownie, prawdopodobnie budząc tym przerażenie zarówno u niej, jak i u siebie. Ale cierpliwość i pewność, z jaką teraz poradził sobie z klaczą, zdradzały coś więcej aniżeli doświadczenie jeźdźca.

„To dorosły człowiek — pomyślał Vanyel z zaskoczeniem. Bardzo dojrzał w ciągu ostatnich kilku tygodni. Widać to nawet po jego wyglądzie. Niedobrze, że mój ojciec uważa go za mojego kochanka — gdyby jeszcze wiedzieli, jaki on jest młody, to dopiero daliby mi popalić!”

Spod przymrużonych powiek spoglądał przed siebie, wypatrując w jasnym słońcu kamienia wyznaczającego odległość. „Najwyżej jeszcze tydzień i nawet przy tym wolnym tempie będziemy na miejscu. Chciałbym wiedzieć, ile będzie mnie to kosztowało. Zresztą mogło być jeszcze gorzej. Przynajmniej starają się okazać grzeczność.”

Kasztanka zatańczyła, ale Stef, upominając ją wesołym głosem, zaraz nad nią zapanował i sprowadził do szybkiego stępa. Savil ściągnęła wzrok Vanyela i posłała mu szeroki uśmiech, wskazując skinieniem głowy na młodego barda.

Miesiąc temu wylądowałby na ziemi Van, ten chłopak dobrze sobie radzi. Podobna mi się. — Jej uśmiech jeszcze się rozszerzył. — *Bije na głowę wielu twoich dawnych „przyjaciół”.*

Vanyel skrzywił się.

Tylko nie zaczynaj! Mówiłem ci już, że nie łączy nas nic ponad przyjaźń i tak ma pozostać.

Savil skwitowała to rzuconym spod oka spojrzeniem, które zdawało się mówić, że ona wie lepiej.

Vanyel zignorował to. Doszedł właśnie do wniosku, że nawet jeśli jego rodzice skłonni są przyznać, iż ich syn jest *shayn*, niekoniecznie musi to świadczyć o ich zamiarze wspierania jego skłonności i stawania się współnikami jego czynów.

„Chętnie poznaję moich przyjaciół, ale nie chciałiby się dowiedzieć, że któryś z nich jest kimś więcej niż tylko przyjacielem. Idę o zakład, że dadzą Stefenowi pokój w drugim końcu zamku — pomyślał z ironią. — Sami nie wiedzą, jak bardzo będę im za to wdzięczny. Ciężko utrzymać dystans w naszych stosunkach, więc jeśli mi w tym pomogą, nie będę miał nic przeciwko temu.”

Stefen wstrzymał nieco swą kasztanekę i zrównał się z Yfandes.

— Jeżeli podróżowanie zawsze tak wygląda, to żałuję, że tak krótko byłem wędrowcem — powiedział, gdy Vanyel się uśmiechnął. — Polubiłbym to błyskawicznie.

— Powinieneś więcej rozmawiać z Medrenem — odrzekł na to Van. — Jesteś szczęściarzem. To przyjemna wycieczka: drogi są dobre, ani razu nie padało i mamy koniec lata. Powiedziałbym, że generalnie złe dni zdarzają się dwa razy częściej niż dobre. Takie przynajmniej ma się wrażenie, kiedy człowiek jest w drodze.

Yfandes parsknęła i zarzuciła głową pokazując, że zgadza się z jego słowami. Stef spojrzął na nią.

— To niedobrze, prawda, milady?

Yfandes zarżała i znów parsknęła.

— Wierzę ci na słowo. To znaczy obojgu wam. Ale ta podróż była... absolutnie cudowna. Po raz pierwszy od wielu tygodni czuję się jak człowiek. — Przechylił głowę na bok i obrzucił Vanyela przeciągłym, taksującym spojrzeniem. — Ty sam wyglądasz o wiele lepiej, Van.

— I czuję się lepiej — przyznał Vanyel. — Mam tylko nadzieję, że Joshel da radę utrzymać wszystko w jako takim porządku przez tych parę tygodni.

— Ha — odezwała się Savil, przyłączając się do rozmowy. — Jeśli nie da rady, to nie jest wart swej Bieli.

— To niesprawiedliwe, Savil — sprzeciwił się Vanyel. — Tylko dlatego, że Josh nie jest magiem heroldów...

— Nie o to chodzi — odcięła się. — Przynajmniej nie tylko o to. Zostawię go z czystym kontem, jeśli nie będzie potrafił go utrzymać...

— Wówczas z pewnością ktoś da nam znać — stanowczym głosem przerwał jej Stefen. — Nie sądzę, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Wiedzą, gdzie

jesteśmy, i jeżeli rzeczywiście będą cię potrzebowali, to skontaktują się z tobą, Van. Dlaczego nie miałbyś się teraz odprężyć?

„Stefen ma rację”, pomyślał Vanyel rad nierad. Naprawdę powinien się odprężyć. Był kolejny absolutnie idealny letni dzień: powietrze było ciepłe i nieruchome, ani trochę nie wilgotne. Spotykali mnóstwo podróżnych; wszyscy byli przyjacielscy i zwyczajni: chłopci, kupcy, dzieci załatwiające sprawunki — nikt nie wzbudził podejrzeń ani jego, ani Savil. Ptaki ćwierkały sennie, a kiedy słońce stało się zbyt dokuczliwe, zawsze zaraz pojawiał się jakiś miły zagajnik albo malutka wiejska gospoda, gdzie można było znaleźć chwilkę wytchnienia.

„Może właśnie to tak mnie dręczy. Jest zbyt idealnie. Nie mam zaufania do takiej nieskazitelności. Ciągłe czekam, aż coś się popsuje.”

To popołudnie było takie samo jak poprzednie. Podróżowali przez teren całkowicie zagospodarowany. Na otwartych przestrzeniach ugory przeplatały się z zaranymi polami. Na tych pierwszych zwykle pasły się owce lub bydło, na tych drugich ciężko pracowali chłopci. Owce ignorowały ich obecność albo spłoszone umykały daleko od drogi, bydło zaś gromadziło się wzdłuż żywopłotów, z ciekawieniem przyglądając się przejeżdżającym. Owady bzyczały wszędzie: na polach i w żywopłotach.

„Tak właśnie powinno być — pomyślał Van ze smutkiem, wspominając wypalone pola i spustoszone wsie na Południu. Taki powinien być Valdemar, od granicy do granicy. Czy zobaczę go takim jeszcze za mojego życia? Bardzo w to wątpię. Dobrzy bogowie, oddałbym wszystko za pewność, że taki dzień kiedyś nadejdzie...”

Stefen poluzował cugle kasztance, a ta puściła się naprzód, kopytami wzbijając tumany kurzu.

Vanyel pokiwał głową. „Nie ma co się zastanawiać. Po prostu zrobię, co będę mógł i kiedy będę mógł. A Stefena będę trzymał na dystans, dopóki nie nabierze rozumu.”

Bard pozwolił swej klaczy rozpędzić się do krótkiego galopu, wyprzedzając oboje heroldów. Van zaśmiał się z cicha: uparte źrebię, które nie zna jeszcze własnych ograniczeń. Razem z Savil w końcu dogonią ich dwoje, odpoczywających pewnie gdzieś w cieniu drzewa.

„Przy odrobinie szczęścia cała ta podróż może właśnie na tym się skończyć — będzie okazją, by Stefen uświadomił sobie swe ograniczenia. Szczególnie gdy pozna moją matkę i ojca. Uganianie się za mną to jedno, ale robienie tego w ich pobliżu... prezentując przy tym grę uprzejmości... — Zachichotał pod nosem, a Yfandes zastrzygła uchem w jego stronę. — Aha, Stefenie, zdaje mi się, że trafiłeś na swego. Wiele małżeństw unieważniano z powodu krewnych. Być może właśnie tego mu trzeba, żeby uświadomił sobie wreszcie, że rzuca się na legendę, a nie zwykłego człowieka z krwi i kości. Kiedy w dodatku zobaczy, że tego człowieka otacza cała zgraja zwariowanych krewnych, to na pewno nie będę mu się

już wydawał ani trochę atrakcyjny.”

Do Forst Reach zajechali późnym popołudniem — nie był to zbyt dobry dzień. Rankiem zaczęły gromadzić się chmury, a po kilku godzinach niebo było już całkiem szare i od strony południa dobiegało ciche grzmienie. Chłopi przy pracy niespokojnie zerkali w niebo, a kasztanka Stefena wierzgała niespokojnie i za każdym razem, kiedy powietrzem wstrząsał pomruk grzmotu, na przemian kładła uszy po sobie, to podrywała je do góry.

Na drodze, jak zwykle się tu czynić, nadjeżdżających wypatrywało dziecko z zamku. Dlatego też, nim zdążyli dotrzeć na miejsce, przed budynkiem zebrała się spora gromadka oczekujących. Mniej więcej dziesięć lat temu Withen Ashkevron poddał się nieuchronności losu, zaczynając rozbudowywać zamek, i oto teraz z szarej bryły wyrastały dwa nowe skrzydła rozciągające się niezgrabnie na północ i wschód. Rusztowanie na południowej ścianie budynku wyraźnie sugerowało Vanyelowi, że wkrótce wyrosnie następne odgałęzienie.

Wszystkie te przybudówki gruntownie zmieniły wygląd budowli. Gdy Vanyel został heroldem, zamek wyglądał złowieszczo, niczym twierdza wojenna, niewiele różniąc się od warowni, którą był w swych początkach. Teraz, wśród pastwisk, z dziećmi wdrapującymi się nań ze wszystkich stron, przypominał raczej starego rumaka bojowego na emeryturze, całkiem w dodatku zbitego z tropu tą zmianą w jego położeniu.

Gdy podróżni zbliżali się coraz bardziej, wydawało się, że na ich spotkanie na otwarty plac przed budynkiem wyszli wszyscy mieszkańcy zamku. Ku rozbawieniu Vanyela, Stefen zdał się szczerze podniecony tym zbiegowiskiem.

— Van, to chyba nie może być twoja rodzina? — zawołał. — Przecież to są setki ludzi. . .

Vanyel zaśmiał się.

— No, może nie setki. Wliczając wszystkich kuzynów i wychowanków, będzie może z osiemdziesiąt albo dziewięćdziesiąt osób. Służących, rzecz jasna, troszkę więcej. Pożegnania mogą przeciągać się cały dzień, jeśli tylko nie jesteś ostrożny.

— Och — westchnął cicho Stefen. W tej samej chwili tłumek oczekujących rozbił się na grupy o różnej randze i ruszył w ich stronę.

Kasztanka szarpnęła się, spłoszona obcymi zapachami i dźwiękami, lecz ludzie ściśnięci wokół niej dobrze znali końskie zwyczaje. Dzieci rozpierchły się, uciekając przed jej tańczącymi kopytami, i nim zdążyła uskoczyć, brat Vanyela, Mekeal, złapał wodze tuż pod wędzidłem, zaskakująco wręcz delikatnym chwytem.

— To jedno z młodych po Gwieździe? — spytał, ręką znawcy gładząc jej zad. — Jest śliczna, Van. Mógłbyś rozważyć pożyczanie mi jej do sparzenia z jednym

z naszych ogierów? Wiesz, nadal utrzymujemy hodowlę wierzchowców i koni do polowań.

— Zapytaj barda Stefena, ona należy do niego — odparł Vanyel, po czym zeskoczył z konia, uważając przy tym, by nie nadepnąć któregoś z dzieci. A nie było to zadanie łatwe, gdyż beztraska brzdąców w otoczeniu dorosłych dorównywała ich ostrożności w obcowaniu z końmi. Aby uprzedzić moment, kiedy Savil sama będzie musiała zdradzić, że potrzebuje pomocy, skoczył szybko ku niej i pomógł przy zsiadaniu, czym zaskarbił sobie krótki, porozumiewawczy uśmiech pełen wdzięczności.

Stefen niezgrabnie zsiadł z konia. Otoczył go tłum szczebioczących dzieci i niewydarzonych, wytrzeszczających na niego pełne podziwu oczy wyrostków, którzy natychmiast poczęli wypytywać go, czy jest prawdziwym bardem, czy zna ich kuzyna, Medrena, czy zna jakieś pieśni o ich kuzynie, Vanyelu. Zarzucony tysiącem pytań Stefen był tym nieco przytłoczony. Na dworze niewiele było dzieci, a tych, które były, zwykle się nie widywało, poza wyjątkowymi sytuacjami, kiedy na przykład któreś z nich pełniło funkcję

pazia. Vanyel rozważał wybawienie przyjaciela z opresji, ale już chwilę później sam był zajęty czym innym.

W jego stronę sunął Withen z Tressa, torując sobie drogę wśród tłumu z taką łatwością, jak rumak kroczący pośród stada kucy. Zatrzymał się dopiero, zbliżywszy się na wyciągnięcie ramienia.

— Van. . . — zaczął niepewnie. — Synu. . .

I z tymi słowami na ustach zastygł, nie umiejąc ani brnąć dalej, ani wycofać się. Vanyelowi zrobiło się go żal i pierwszy przerwał niezręczną sytuację.

— Witaj, ojcie — powiedział, na moment tylko chwytając Withena za ramiona, by ten miał czas na odprężenie, ale nie na wycofanie się z uścisku. — Na bogów, jak się cieszę, że cię widzę. Wyglądasz nieprzyzwoicie świetnie. Słowo daję, pewnego dnia otworzę któreś drzwi i odkryję tego czarodzieja, co ci dostarczy eliksiru młodości!

Withen wybuchnął śmiechem, czerwieniąc się z lekka na to pochlebstwo. Rzeczywiście wyglądał dobrze. Przy Mekealu bardziej wyglądał na jego starszego brata niż na ojca. Obaj byli barczyści, mocnej budowy ciała, dużo wyżsi od Vanyela; mieli brązowe oczy, brązowe włosy, brązową cerę. Włosy i brodę Withena przyprószyła już siwizna, urósł mu też mały brzuszek, ale to były jedyne ustępstwa wobec zaawansowanego wieku.

Withen odprężył się jeszcze bardziej i w końcu odwzajemnił uścisk.

— A ty, synu, jak zwykle, wyglądasz okropnie. Randal znów cię wykorzystywał ponad miarę, to nie ulega wątpliwości. Twoja siostra już nas ostrzegwała. Na Rogi Kernosa, czy zawsze musimy oglądać ciebie przepracowanego?

— Tym razem nie jest tak źle, ojcie — zaprotestował Van z uśmiechem. — Mam spore zapasy energii, brakuje mi przede wszystkim snu i spokoju.

— Ale czy oni tam w ogóle ciebie nie karmią, chłopcze? — gderał Withen. — Ach, nie ma o czym mówić. Dopilnujemy, żeby te kości znów obrosły ciałem, co, Tressa?

Vanyel wyciągnął ręce do swej matki, która zaraz schwyciła je obie. Tressa pogodziła się wreszcie ze swym wiekiem, chociaż nie przyszło jej to łatwo. Powróciła do swego naturalnego srebrzystozłotego koloni włosów i porzuciła wszelkie próby krycia zmarszczek pod grubą warstwą kosmetyków. Van odniósł wrażenie, że tym razem odnajduje w jej twarzy troszkę mniej rozgoryczenia niż podczas poprzedniej wizyty w domu. Miał nadzieję, że się nie myli. Z pewnością nie miałą rolę odgrywał tu fakt, iż Roszia, żona Mekeala, przyjmowała swój wiek z wdziękiem, a nawet z wyraźną radością. Jakkolwiek w swoim czasie Mekeal zrobił wiele niemądrych rzeczy — łącznie z zakupem rzekomego rumaka bojowego z hodowli *Shin'a'in*, który niewiele więcej miał z *Shin'a'in* niż Vanyel — żeniąc się z Roszia, z naddatkiem wszystkie je zrekompensował. Takiego przynajmniej zdania był Vanyel. Roszia stała teraz tuż za Tressa z malutkim dzieckiem wczepionym w jej suknię brudnymi rączkami, i zachęcająco mrugała do Tressy.

— Biegnij, kochanie — powiedziała Roszia do dziecka, popychając je czule. Brzdąc zachichotał i puścił jej suknię.

Tressa uśmiechnęła się, zrazu niepewnie, potem z większym uczuciem.

— Twój ojciec ma rację, kochanie — powiedziała i przytrzymała go na odległość ramion, przypatrzyła mu się dokładnie. — Wyglądasz na bardzo zmęczonego. Ale o wiele lepiej niż poprzednim razem.

— Pewnie dlatego, że rzeczywiście jestem bardzo zmęczony — odparł Vanyel. — Matko, za to ty wyglądasz wspaniale. No cóż, jak widzicie, przywiozłem ze sobą ciocię Savil i... — zawahał się przez moment. — I przyjaciela, którego chcieliście poznać. Przyjaciela mojego i Medrena. Oto Stef...

Odwrócił się i kiwnął na Stefena, który wyrwał się z tłumu dzieciarni i młodzieży.

Van opanował emocje, przybrał starannie wyważoną maskę neutralności i w końcu odchrząknął zażenowany.

— Ojcie, matko — powiedział, wskazując na Stefena. — Oto bard Stefan. Moja matka, mój ojciec: lord Withen i lady Tressa.

Stef lekko skłonił się Withenowi, po czym ująwszy dłoń Tressy, złożył na niej pocałunek.

— Matka? Czyżbym się przesłyszał. Jesteś, pani, zapewne młodszą siostrą Vanyela — rzekł z łagodnym uśmiechem, a Tressa zarumieniona potrząsnęła głową i, nie śpiesząc się, cofnęła rękę. — Jego matka? Och, to niemożliwe!

Withen zdał się spięty i odrobinę zakłopotany, Tressa jednakże odniosła się do słów Stefena z delikatnością, bowiem na tak dworny komplement reagowała zawsze jak kwiat na słońce.

— A ty istotnie jesteś już bardem? — zapytała, nie posiadając się z podniecenia. — Prawdziwym mistrzem?

— Aczkolwiek niegodny takiego zaszczytu, jednak jestem nim, pani — odrzekł Stefen. — Ten stopień przyznał mi Krąg Bardów. Proszę was, abyście dali mi możliwość zakosztowania waszej gościnności i raczyli użyzyć swych uszu mojej muzyce.

— Och, zechciałbyś dla nas wystąpić? — zapytała Tressa oczarowana. Najwyraźniej całkiem zapomniała, jaką rolę rzekomo miał pełnić Stefen poza tym, że był bardem i przyjacielem Vanyela.

Withen w dalszym ciągu wyglądał na spiętego, lecz Vanyel zaczynał wierzyć, że wizyta może nie będzie taką katastrofą, jakiej się obawiał.

Blisko nich zagrzmiało i wszyscy drgnęli wystraszeni.

— Na bogów, zaraz będzie łało. Mekeal, Radevel, zajmijcie się końmi — rozporządził Withen. — Reszta, dajcie im odpocząć. Wszyscy będziecie mieli okazję porozmawiać z Vanyelem i jego p-przyjacielem później. Schowajmy się do domu, zanim burza rozpęta się na dobre.

Tressa już przywłaszczyła sobie Stefena i prowadziła go, szczebiocząc wesoło. Van na wszelki wypadek odwrócił się do Yfandes, pamiętając, iż jego ojciec nigdy nie mógł uwierzyć, że ona nie jest zwyczajnym koniem.

Ku swej wielkiej uldze zobaczył, że Mekeal prowadzi do stajni tylko kasztankę Stefena, a Radevel został przy obu Towarzyszach, zarzuciwszy im wodze na szyję.

— Nic się nie martw, Van — rzekł Radevel, puszczając do niego oko. — Jarvis mnie nauczył, pamiętasz? — A potem zwrócił się do Towarzyszy: — Jeżeli zechcecie pójść za mną, moje panie, to przekonacie się, że nowością w naszych stajniach są przyzwoite kwatery dla Towarzyszy. Sam dopilnowałem ich urządzania.

Vanyel uspokojony ruszył w ślady ojca i skierował się ku wejściu do zamku. W tej samej chwili błyskawica przecięła niebo dokładnie nad ich głowami i spadły pierwsze, wielkie krople deszczu. „Och, stary, poczciwy Rad. Wreszcie, po tylu latach, udało mi się przekonać jednego członka rodziny, że Yfandes to nie koń!”

ROZDZIAŁ ÓSMY

— Więc tak to wygląda — ciągnął Withen, przyglądając się burzy za grubą, pełną pęczeryków powietrza szybą, dość niezgrabnie oszklonego okna. — I nie sądzę, żeby w najbliższej przyszłości coś się zmieniło, Tashir wyrósł na młodzieńca co się zowie i dobrego władcę. Jego młodszy brat jest pod naszą opieką, wspominałem już o tym?

Kamienne ściany zadrżały od grzmotu, Vanyel potrząsnął głową.

— Nie, ojcze, nie wspominałeś. A co się dzieje dalej na północ, za Baires?

Withen westchnął.

— Nie wiem, synu. To wciąż Pelagirs. Pełno tam tajemniczych istot, dziwnych ludzi i o ile mi wiadomo, brak jakiegokolwiek przywództwa. To prawdziwy kłopot i tak już pewnie pozostanie. . .

Vanyel wstrzymał się od komentarza. Mieszkańcy Tayledras nie byli „przywódcami” w pojęciu jego ojca, chociaż rządili i chronili te ziemie z równym skutkiem jak pierwszy z brzegu lord lub baron.

Deszcz chłostał ściany budynku i syczał w kominie. Razem z ojcem skryli się w jego „gabinecie”, pokoju urządzonym specjalnie dla zaspokojenia męskich wygód, absolutnie niedostępnym dla żeńskiej części mieszkańców zamku. Withen odwrócił się od okna i rozsiadł w fotelu, starym i sfatygowanym, wyniesionym tutaj, by nie raził delikatności uczuć Tressy. Wciąż świetnie spełniał swe zadanie, mimo że czasy swej świetności miał dawno za sobą. Van usiadł, a raczej wyciągnął się na odrapanej, zdezelowanej, tapicerowanej ławie, której nogi służyły do ostrzenia zębów niezliczonym pokoleniom chartów Ashkevonów.

— Zatem powiedz mi prawdę, synu — odezwał się Withen po długim milczeniu. — Jestem już stary i mogę sobie pozwolić na nazywanie rzeczy po imieniu. Ile jeszcze życia zostało Randalowi?

Vanyel westchnął i zakłopotany potarł dłonią kark.

— Nie wiem, ojcze. Nawet uzdrowiciele zdają się nie mieć o tym pojęcia. — Zawahał się na moment, a potem mówił dalej: — Prawdę mówiąc, nie sądzę, żeby to trwało dłużej niż pięć lat. Chyba że dowiemy się, co mu dolega i znajdziemy sposób na wyleczenie go albo przynajmniej powstrzymanie nasilania się choroby. W tej chwili. . . w tej chwili Rada pokłada największą nadzieję w tym, że uda się

utrzymać go przy życiu przynajmniej do czasu, aż Treven nie skończy nauki i nie przywdzieje Bieli. Sądzimy, że tyle wytrzyma.

— Czy to prawda, że ten chłopak ożenił się z małą Jisą? — Withen zdał się to aprobować, więc Vanyel potwierdził jego słowa skinieniem głowy. — To dobrze. Im szybciej spłodzi spadkobierców, tym lepiej dla nas wszystkich. Widać, że ten młodzik ma więcej rozsądku niż jego staruszkowie. — Withen parsknął z obrzydzeniem na „staruszków”. — To ten brak zdecydowania w sprawie małżeństwa Randała wpakował nas w kabałę. Powinien kazać chłopakowi ożenić się z uzdrowicielką Shavri, a mielibyśmy już pół tuzina prawowitych spadkobierców zamiast tej jednej dziewczyny bez prawa do sukcesji.

Withen ciągnął wywód na tę nutę jeszcze przez jakiś czas, Vanyel zaś nie uważał, że byłoby roztropnie z jego strony zapoznawać ojca z realiami sytuacji.

— Co do Pelagirs, ojciec — powiedział — przy okazji moich ostatnich wizyt w domu słyszałem różne historie i widziałem dowody na ich prawdziwość — o stworach, które docierają aż do Valdemaru. Czy nadal to robią?

Withen namyślał się przez chwilę i Vanyel zaczął podejrzewać, że stało się coś poważnego.

— Ojciec, czy te... odwiedziny... stają się dokuczliwe? O czym mi nie powiedziałaś?

— Synu... — zaczął Withen.

— O nie, ojciec, nie myśl teraz o mnie jak o swoim synu. Jako herold Vanyel muszę znać całą prawdę. — Podniósł się z ławy i popatrzył ojcu prosto w oczy. Withen pierwszy odwrócił wzrok.

— No cóż... rzeczywiście. Przez jakiś czas stawały się coraz bardziej dokuczliwe. — Mówiąc to spoglądał w ogień, przez okno, wszędzie, byle tylko nie na Vanyela.

— I co?

— I zwróciliśmy się po pomoc do Przystani. Żeby przysłali jakiegoś maga heroldów. — Withen zakasłał.

— I co?

— I oni powiedzieli, że żaden nie jest wolny i przysłali zwykłego herolda. — Usta Withena poruszały się, jak gdyby poczuł w nich jakiś gorzki smak. — Nie powiem, żeby był bezużyteczny, ale zdecydowaliśmy, że skoro Przystań nie zamierza nam pomóc, to najlepiej będzie dowiedzieć się, jak możemy pomóc sobie sami. Odprawiliśmy ją z powrotem. Pozwoliliśmy jej myśleć, że uporała się z problemem po jednym czy dwóch polowaniach. Rozmawiałem z ludźmi Tashira, koniec końców dawali sobie radę bez magów przez szmat czasu. Dowiedziałem się o dwóch metodach uśmiercania tych stworów bez pomocy magii. Potem znalazłem jeszcze inne sposoby, aż w końcu przestały się tu zjawiać. One chyba umieją ze sobą gadać i rozpuściły wieść, że nie podoba nam się ich obecność na tej ziemi.

— I więcej już się nie pojawiły? — Van był zdumiony, nie brakiem tych stworów, lecz faktem, że tutejsi ludzie wzięli tę sprawę w swoje ręce i sami się z nią uporali.

— Nie, chociaż cały czas patrolowaliśmy teren. Ludzie Tashira też. Ale...

— Ale co, ojcze? — spytał Vanyel łagodnie. — Możesz powiedzieć, co chcesz. Nie będę się czuł urażony, słysząc prawdę.

— Chodzi tylko o to... całe życie powtarzano nam, jak bardzo możemy polegać na magach heroldów, którzy przyjdą nam z pomocą, gdy będziemy jej potrzebować... a potem, kiedy właśnie potrzebujemy ich pomocy, mówi się nam, że żaden nie jest wolny, że wszyscy są na granicy karsyckiej albo gdzie indziej... a przecież jeden z nas jest magiem heroldów... To bardzo trudne. — Withen był wyraźnie rozgoryczony, a Vanyel wcale nie miał mu tego za złe.

— Ależ ojcze... przysłano wam pomoc. Sam to powiedziałaś. Przysłano wam herolda — przypomniał.

— Herolda? — zadrwił Withen. — A na co nam był zwykły herold? Potrzebowaliśmy maga heroldów!

— A czy daliście jej szansę? — zapytał Vanyel z cicha. — Czy z góry założyliście, że ona na nic się nie zda i wodziliście ją za nos jak dziecko, dopóki sama nie doszła do wniosku, że nic tu po niej?

— Ale... ona była tylko zwykłym heroldem...

— Ojcze, nikt nie jest tylko „zwykłym” heroldem — powiedział Vanyel. — Uczą nas, zarówno heroldów, jak i magów heroldów, jak najlepiej wykorzystywać wszystkie umiejętności, które mamy w sobie. Różni nas tylko rodzaj przyrodzonych zdolności. Ona postąpiłaby dokładnie tak samo jak wy. Najprawdopodobniej mogłaby wam pomóc, gdybyście dali jej szansę. Nie umiałyby wprowadzić zniszczyć tych stworów żadnym zaklęciem, ale bardzo możliwe, że mag heroldów również nie potrafiłby tego zrobić. Nie wątpię, że zdołałaby odnaleźć zwierzaki, które ukrywają się w tych okolicach, a może nawet odkryć ich słabe punkty. Ale nie daliście jej żadnych szans na ustalenie, ile w ogóle jest w stanie zdziałać.

— Chyba nie — rzekł Withen, po chwili milczenia. — Mnie też się wydaje, że to nie było wobec niej w porządku.

Vanyel skinął głową.

— To prawda, ojcze, że brakuje magów heroldów. Aż się boję powiedzieć, jak niewielu zostało. Żałuję, że nie ma nas więcej, i mam nadzieję, że kiedy przyślą wam pomoc następnym razem, nie będziecie myśleli, że to tylko „zwykły” herold.

— Bo to jest wszystko, co Przystań może dla nas zrobić — podsumował za niego Withen.

Nie wyglądał na zadowolonego i Vanyel nawet go rozumiał. A przecież sam spotykał heroldów dwakroć przewyższających umiejętnościami niektórych magów heroldów.

To był bardzo niepokojący sposób myślenia i niestety, Vanyel nie miał pojęcia, jak go odmienić.

— Ojczy, kogo wolałbyś tu mieć w razie zagrożenia: herolda o bardzo silnym darze, najbardziej pożądanym w danej sytuacji, czy maga heroldów, który nie będzie umiał działać więcej niż ty sam? — Dla silniejszego wrażenia zamilkł na moment. — Niemało magów heroldów zginęło na granicy karsyckiej właśnie dlatego, że byli magami, a usiłowali brać na siebie więcej, niż byli w stanie unieść. Gdybym szedł na zwiady pomiędzy wroga, wolałbym raczej, by zrobił to za mnie herold z silnym darem myślowym niżeli mag heroldów, który nieraz musi puścić w niebo sygnał świetlny z ognia magicznych, gdy trzeba się z kimś porozumieć! Gdybym polował na magiczne stwory, wolałbym mieć przy sobie herolda o silnym darze dalekowzroczności niżeli słabego maga heroldów, który przy każdym użyciu swego daru magii płonąłby dla tych stworów niczym smokowita latarnia.

— Nigdy nie myślałem o tym w taki sposób — wymamrotał Withen. — Ale...

— Przemyśl to, ojczy — nalegał Van. — I proszę cię, porozmawiaj o tym z innymi. Dzisiaj Valdemar cierpi na niedostatek przyjaciół i sił. Musimy wykorzystywać wszystko to, co mamy, i jak tylko możemy. Masz ogromny wpływ na rozmówanie ludzi w tym rejonie...

— Żałuję, że twój brat jest innego zdania... — mruknął Withen, sam prawie przekonany.

— Jeśli dojdiesz do wniosku, że mam rację, będziesz mógł walczyć przyczynić się do tego, by następnym razem sprawa została załatwiona inaczej. To może wam wiele oszczędzić, nawet życie.

Withen westchnął i spojrzał wreszcie w oczy syna.

— Cóż, pomyślę o tym, synu. Więcej nie obiecuję.

„Innego przyznania się do winy tutaj nie usłyszysz” — przemknęło Vanyelowi przez głowę.

— Dziękuję, ojczy — powiedział w nadziei, że to wystarczy. — O więcej nie mogę prosić.

Kolacja przyniosła rozrywkę i zadziwiające odprężenie. W Wielkim Refektarzu zbierała się tylko najbliższa rodzina oraz najważniejsi z pozostałych domowników — dla innych nie starczało tu miejsca.

Vanyela posadzono w towarzystwie kapłana, który zastąpił zmarłego, acz bynajmniej nie opłakiwanego; ojca Lerena: młody, agresywny duchowny z tysiącem pomysłów i ferworem zneutralizowanym przez ironiczne poczucie humoru. Niestety, młodzieniec ów miał też wielką charyzmę i jeszcze przed końcem posiłku Van zorientował się, że dał się naciągnąć na zapewnienie o tym, że wspomni o pomysłach kapłana w rozmowie ze swym ojcem.

Tressa „porwała” Stefena i usadowiła go obok siebie, pomiędzy bardem a Vanyelem siedzieli ona i Withen. Ponieważ Van spodziewał się mniej więcej takiego rozwoju sytuacji, nie zwracał uwagi na nieme błagania o pomoc, wysyłane mu przez Stefena przez cały czas trwania posiłku. Zważywszy na wysiłek, jaki kosztowało go do tej pory unikanie mniej platonicznych zalotów Stefena, widok barda w roli „ściganego” wydał mu się nader zabawny.

Bezpośrednio po kolacji Withen wezwał Vanyela na kolejną konferencję. Tym razem brali w niej udział Withen, Radevel, Mekeal oraz dwaj kuzynowie, których Vanyel znał bardzo słabo. Po naradzie Van nie mógł wprost wyjść z podziwu, jak doskonale ludzie w tym „przygranicznym zakątku” orientują się w najważniejszych nowinach. Wiedzieli dość dobrze, jaki wpływ będzie miało małżeństwo Trevena na sytuację poza granicami królestwa, całkiem trafnie domyślali się, do jakich ustępstw będzie zmuszony Randal wobec Rethwellanu w celu zapewnienia sobie pomocy królowej; mieli też pewne pojęcie o rozmiarach wsparcia, jakie będzie mógł w razie czego zaoferować Valdemarowi Tashir.

Chcieli się natomiast dowiedzieć, jak przedstawia się rzeczywisty stan rzeczy w Karsie.

— Słyszeliśmy już, że wyjeśli spod prawa magów — powiedział Radevel, kładąc nogi na niskim stoliczku, służącym wszystkim do tego samego celu — i krążyły jakieś plotki o walkach w Karsie. Wszystko dobrze, jeśli to prawda; wygląda na to, że co złe dla Karsu, może być dobre dla nas. Ale tak naprawdę, co to wszystko może dla nas oznaczać? Myślisz, że to się przeniesie przez granicę na naszą stronę?

Vanyel postawił na stole swój kielich i zanurzył palec w kałuży rozlanego piwa.

— Tutaj jest granica Karsu — powiedział, rysując ją dla nich. — Tutaj jest Rethwellan, a tutaj my. Na razie wiemy tyle. . .

W kilku zdaniach nakreślił swą własną i Randalą analizę sytuacji oraz wytłumaczył powody, dla których niezbędne stało się przymierze z Rethwellanem.

— Zatem, jak będziemy tu mieli kłopoty, to mamy ściągnąć jakieś okruchy z głównego stołu, co? — zakpił cynicznie jeden z kuzynów, przeżuwając chleb z serem.

— Ujmując rzecz z dosadną szczerością — ponuro rzekł Vanyel — jeżeli to nie będzie większy najazd, to tak. Chciałbym móc odpowiedzieć na to inaczej.

Radevel obojętnie wzruszył ramionami.

— Ktoś musi zajmować drugie miejsce — zauważył. — Tego nie da się uniknąć. Mam wrażenie, że całkiem nieźle sobie sami radziliśmy; mamy trochę Gwardii, mamy własne patrole i Tashira z jego ludźmi. Dopóki nikt nie sprowadzi tu całej armii, nic nam się nie stanie.

Withen skinął potakująco, po czym napełnił wszystkie kielichy. Z całkowitą obojętnością na stan mebli pozwolił, by pianka przelewała się i spływała po

ściankach naczyń.

— Tyle mogę dla was zrobić — rzekł Vanyel po chwili namysłu. Pięć par oczu zawisło na nim. — Wiecie, że mam pewną, ograniczoną władzę korony. Mogę zarządzić ogólną obniżkę podatków dla posiadaczy ziemskich utrzymujących własne siły zbrojne. I mogę dostarczyć wam broni... oraz instruktorów. Mamy gwardzistów, którzy straciwszy rękę czy nogę, nie są w stanie walczyć, ale mogą się świetnie sprawdzić jako instruktorzy.

Słyszając to, wszyscy się rozchmurzyli. Mekeal wyglądał tak, jak gdyby coś obliczał w głowie.

To pewnie sami niedoszli młodzi bohaterowie — zagadnęła cynicznie Yfandes. — *A ojczulek kombinuje, ile może zaoszczędzić na podatkach, zachęcając młode, gorące głowy do wyżycia się w Gwardii.*

Pewnie tak — odparł Van, przypominając sobie wszystkich aspirujących do bohaterstwa młodzików, którzy znaleźli swe przeznaczenie na granicy Karsu. A ilu wysłał tam sam, jeśli nie bezpośrednio...

Ale wojownicy musieli skądś napływać. Lepiej więc, żeby napływali jako ochotnicy i byli dobrze wyszkoleni.

— Mógłbym prawdopodobnie podpisać rozporządzenie o udzielenie kredytu, gdybyście w porze płacenia podatków, zamiast gotówki czy towaru, wysłali wyszkolonych wojowników do Gwardii — ciągnął Vanyel. — Randal jest bardzo niechętny zaciągowi najemników, ale chce uniknąć ogólnej mobilizacji, tymczasem szeregi naszych wojsk na północy przerzedzają się o wiele szybciej, niż byśmy sobie tego życzyli.

— Przyszło mi do głowy jeszcze coś — wtrącił Mekeal. — Rozszerz tę ulgę na cały Valdemar i przyślij nam tych żółtodziobów na szkolenie i zaprawę. Zrobimy z nich rasowych wojaków, bez strat, które ponosicie w walkach.

Te słowa zdjęły z niego część ciężaru poczucia winy.

— Na bogów — odparł Vanyel. — Jestem otoczony samymi geniuszami! Dlaczego nie pomyśleliśmy o tym?

Mekeal wzruszył ramionami, zadowolony.

— Tylko staram się nam pomóc.

To doskonały sposób na to, żeby te młodziki oswajały się z walką przy stosunkowo niewielkim ryzyku — z aprobatą zauważyła Yfandes. — *Podoba mi się sposób rozumowania twojego brata.*

Mnie też, najdroższa. — Skinął potakująco w stronę Mekeala. — Jestem przekonany, że będzie to niezmiernie pomocne.

Przez chwilę omawiali jeszcze inne sprawy, ale było już jasne, że udało im się poruszyć wszystkie tematy, które inni uważali za najistotniejsze. Kiedy rozmowa zeszała na temat polowania, Vanyel podniósłszy się z miejsca, przeprosił wszystkich.

— Postaram się skontaktować z heroldem Joshalem, aby uzyskać aprobatę dla wszystkich spraw, które omówiliśmy — rzekł i uśmiechnął się, spostrzegłszy szansę na przeforsowanie swojej racji. — Na tym właśnie polega zaleta tego, że w momencie kiedy niezwłocznie trzeba uzyskać odpowiedź na jakieś pytanie, ma się pod ręką herolda o silnym darze myślowym. Joshel w istocie może się poszczycić silniejszym od mojego darem myślowym i podczas mojej nieobecności zastępuje mnie przy Randalu. Wiem, kiedy będzie wolny jutrzejszego ranka, i wtedy się z nim skontaktuję.

Kiedy Vanyel opuścił zebranie, zdziwił się, że jest już tak późno. W korytarzach panowała cisza: służba dawno położyła się do łóżek, wygasiwszy przedtem co drugą lampę, a pozostałe przyciemniając. Vanyel miał zamieszkać w pokoju gościnnym, który zajmował w czasie każdej wizyty w domu, zatem pomimo wszystkich przybudówek doklejonnych do zamku i ciemności zalewającej korytarze, wiedział dokładnie, jak do niego trafić.

Zbliżając się do drzwi sypialni, uświadomił sobie, że zaczyna ziewać. „Nawet nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo jestem zmęczony — pomyślał sennie. — Dobrze, że nie wypięłem drugiego kielicha piwa, który nalał mi ojciec. Ciekawe gdzie umieścili Stefena? Mam nadzieję, że nie w tym, którego okna wychodzą na ogród; te przedrzeźniacze wrzeszczące prosto w okno nie dałyby mu spać przez całą noc. Ja zawsze jestem gotów wziąć ten stary pokój, nawet jeśli w lecie nie jest zbyt chłodny. Bogowie, wspaniale będzie położyć się do łóżka...”

Kładąc dłoń na klamce uchylił drzwi na tyle, żeby wślizgnąć się do środka. Jakaś dobra dusza zostawiła dwie zapalone świece, jedną nad kominkiem, drugą obok łóżka. Delikatny blask napełniał pokój światłem stosunkowo jasnym w porównaniu z mrokiem korytarza; płomyki migoczące w przeciągu, powstałym po otwarciu drzwi, wprawiały w taniec cienie w pokoju. Odstąpiwszy od drzwi, Vanyel odruchowo rzucił okiem na prawo od kominka, tam gdzie służba zostawiała zawsze jego bagaż — przed pójściem do łóżka chciał się upewnić, czy jego cytra jest na swoim miejscu.

I w tej sekundzie zamarł, bo jego oczom ukazały się dwa komplety toreb podróżnych, i dwie cytry. Jego... oraz Stefena. Spojrzał więc dalej, za bagaże, by sprawdzić, czy zmieniono wyposażenie pokoju — ale nic się nie zmieniło.

Za jego plecami ktoś zatrzasnął zasuwę.

Vanyel zrobił błyskawiczny obrót; Stefen właśnie odwracał się od drzwi, stając twarzą do niego. Ciepłe światło świec złagodziło rysy jego twarzy, tak że wyglądał szczególnie młodo. Luźną koszulę rozsznurowaną miał do pępka, stopy pod skórzanymi bryczesami bose.

— Zanim zapytasz... — powiedział łagodnym, cichym głosem — to nie był mój pomysł. Tak zarządził twój ojciec. Ale Van... cieszę się, że on to zrobił...

Vanyel cofnął się o krok, w głowie poczuł kompletny zamęt.

— Och, Stefenie, wezmę swoje rzeczy i...

Stef potrzęsnał głową i odsunął za uszy swe długie włosy.

— Nie. Dopóki nie pozwolisz mi powiedzieć tego, co muszę powiedzieć. Uciekałeś przed tym od tygodni, a ja nie zamierzam zmarnować tej jedynej szansy na rozmowę z tobą.

Vanyel zmusił się do odprężenia, wszystkimi siłami przywołał do porządku ogarnięty chaosem umysł i podszedł do jednego z krzeseł przy kominku. Tam stanął z rękami spoczywającymi na oparciu, tak aby Stefen nie mógł dojrzeć, jak bardzo drżą. Ogarnął je krótkim spojrzeniem: wydały mu się bardzo zimne i białe. Zastanawiał się, czy Stefen to zauważył.

— Ach... o czym chcesz ze mną rozmawiać? O czym nie mogłeś mówić w czasie podróży? — zapytał z największą swobodą, na jaką potrafił się zdobyć.

— Do diabła, Van! — wybuchnął Stefen. — Wiesz piekielnie dobrze, o czym chcę rozmawiać! O tobie... i o mnie.

— Stefenie — powiedział Vanyel, aż do bólu panując nad swym głosem — jesteś jednym z najlepszych przyjaciół, jakich kiedykolwiek miałem. Naprawdę. I cenię sobie twoją przyjaźń.

Oczy Stefena patrzyły na niego błagalnie i z trudem przyszło mu odwrócenie od nich wzroku i przeniesienie go na rzeźbionego w drewnie konia na kominku.

— Stef, jesteś bardzo młody, prawie dwa razy młodszy ode mnie. Ja to dobrze znam. Budzę w tobie podziw i wydaje ci się...

Nie usłyszał żadnych kroków, które mogłyby go ostrzec; od razu poczuł na ramieniu rękę Stefena, usiłującą skłonić go do odwrócenia się i spojrzenia mu w twarz. Czuł jego dłonie na swych ramionach jak rozpalone żelazo, była w nich siła, której nie sposób było odnaleźć w szczupłym ciele barda.

— Vanyelu Ashkevron — powiedział Stefen szorstkim głosem — jestem *shayn*, tak samo jak ty. Wiem o tym już od lat. Nie jestem zauroczonym dzieckiem. Co więcej... — Teraz bard zarumienił się i odwrócił wzrok, spoglądając gdzieś na prawo od Vanyela. — W ciągu roku miałem więcej kochanków niż ty przez ostatnie dziesięć lat. Ale nigdy nie czułem do żadnego z nich tego, co czuję do ciebie. Chyba... chyba cię kocham, Van. Chyba nie umiałbym nigdy kochać kogokolwiek poza tobą.

Popatrzył ponownie na Vanyela. Herold potrafił tylko odpowiedzieć spojrzeniem w pociemniałe szmaragdowe oczy, które w nikłym świetle zdawały się niemal czarne. Był kompletnie oszołomiony. To... to przecież coś o wiele poważniejszego niż zauroczenie...

— Podobno bardowie mają łatwość dobierania słów — rzekł Stefen zasmuconym głosem, szukając odpowiedzi w oczach Vanyela. — Ale cóż, zdaje się, że cała moja elokwencja nagle mnie opuściła. Wszystko... wszystko, co umiem powiedzieć, to: że kochałbym cię nawet gdybyś był ode mnie o sto lat starszy, albo gdybyś był jakimś potworem, a nawet... kobietą.

Głos barda zatracił wyuczoną gładkość; był stłumiony, szorstki od napięcia

i zgryzoty. Vanyel tymczasem nie potrafił wydobyć z siebie ani słowa. Gardło miał sparaliżowane, każda próba wciągnięcia oddechu kończyła się bólem w piersi. Na przemian było mu zimno i gorąco, czuł, jak wali mu serce. Stefen widać nie zauważył braku reakcji z jego strony, bo mówił dalej, nie odrywając oczu od Vanyela.

— A ponieważ nie jesteś nikim takim — powiedział głosem drżącym z emocji — ponieważ jesteś... wspaniały, i mądry, i tak piękny, że aż serce mnie boli, i, psiakrew, wcale nie stary, to ja... ja nie mogę już tego znieść. — Po jego policzku spłynęła łza, lśniąca srebrzyście w blasku świateł, Stefen albo jej nie zauważył, albo nie miało to już dla niego znaczenia. — Tylko przy układaniu rymów wystawianie się przychodzi mi łatwo, Van. Kocham cię i nie jestem heroldem. Nie mogę ci pokazać, co czuję, najwyżej przez dotyk. Chcę być twoim kochankiem. Nie chcę nikogo innego, już nigdy więcej.

Gdy Vanyel nie zareagował, do pierwszej dołączyła druga łza, wymykająca się ukradkiem z kącika oka Stefena. Chłopiec przełknął ślinę i przeniósł spojrzenie na swe stopy. Rozluźnił uścisk na ramionach Vanyela, ale nie puścił ich.

— Przypuszczam... że wydaję ci się odpychający — powiedział z goryczą. — Wszyscy moi... kochankowie... nie mam ci tego za złe, tak mi się wydaje. Ja...

Te słowa wyrwały Vanyela z odrętwienia. Te słowa i dar empatii, który dał mu odczuć aż nadto wyraźnie ból równie silny jak ten w jego własnym sercu.

— Nie — wyszeptał. — Nie... Stef, po prostu nie wiedziałem, że twoje uczucie jest aż tak silne.

Ręka bolała go już od ściskania oparcia krzesła. Puścił je i naprężył ramiona, a potem uniółszy prawą dłoń, powoli, delikatnie otarł palcami łzę z twarzy Stefena.

— Nigdy bym nie pomyślał — powtórzył, nie siląc się już na skrywanie przed samym sobą własnych uczuć.

Stefen uwolnił ramiona Vanyela od uścisku, wziął go za rękę i szybko zajrzał mu w oczy. To, co w nich wyczytał, cokolwiek to było, przywołało na jego usta uśmiech podobny do słońca wyłaniającego się zza chmury; jasność tego uśmiechu poraziła Vanyela. Stef, trzymając wciąż jego dłoń, cofnął się o krok. Potem drugi. Przez ułamek sekundy Vanyel opierał się, wreszcie ruszył za nim, dając się prowadzić jak posłuszne dziecko. Czuł, jak uginają się pod nim kolana, potem, że w pokoju jest za gorąco... nie, za zimno...

„Przecież on jest za młody! — krzyczała część jego duszy. Nie wie nawet, co robi, i co to oznacza. Jest starszy od Jisy zaledwie o kilka lat...”

Głos sumienia nie przestawał go łajać, tymczasem Stefen zdążył już wygasic świecę. A kiedy wsunął mocne, pokryte zgrubieniami dłonie pod koszulę Vanyela i pociągnął go na łóżko...

Wtedy Stef uciszył głos sumienia, delikatnie dowodząc ponad wszelką wątpli-

wość, że w istocie może się pochwalić doświadczeniem, które sobie przypisywał. Jeśli ktoś właśnie został uwiedziony, to z pewnością nie Stefen. . .

Ostatnie obawy Vanyela rozwiały się, gdy młody Stefen pokazał mu rzeczy, o których ten nawet nie śnił. Na dodatek dowiódł, że pełna słodczy umiejętności obdarowywania i przyjmowania darów, którą właśnie podzielił się ze swym starszym kochankiem, to zaledwie początek. . .

Nad głową niebo — czarne, martwe, bezgwiazdne. Po obu stronach ściany lodu. . .

Odrzucił się do kogoś stojącego u jego boku.

— Lendel. . .

Ale to był Stefen: otulony wełnianym pledem i futrem, tak przerażony, że twarz miał lodowatoblada, jak klify wyrastające z obu jego stron.

— Musisz sprowadzić pomoc — powiedział do herolda, nie — do barda. . .

— Nie zostawię cię — odparł Stefen stanowczo. — Musisz iść ze mną. Bez ciebie nie odejdę.

Potrząsnął głową i odrzucił na boki poły swego płaszcza, aby uwolnić ramiona.

— Yfandes nie uniesie dwóch osób — powiedział. — Ale ja mogę ich zatrzymać przez czas potrzebny na sprowadzenie pomocy.

— Nie jesteś w stanie. . .

— Jestem — przerwał mu. — Posłuchaj, w tym miejscu może przejść tylko jedna osoba. Dopóki ja tu stoję, nigdy nie uda im się przedostać. . .

Mrugnięcie powiek i. . .

Nagle był sam, wyczerpany, przemarznięty do szpiku kości. Przejście przed nim wypełnione było wojskiem, na czele którego stał jeden jedyny człowiek. Mógłby być bratem bliźniakiem Vanyela, gdyby nie to, że jego oczy i włosy miały najgłębszy odcień czerni — jak odbicie srebrzystych włosów i oczu Vanyela w czarnym zwierciadle. Dla dopełnienia tej parodii, nosił ubranie skrojone identycznie jak Biel heroldów, tyle że w kolorze hebanowej czerni.

— Znam cię — usłyszał Vanyel własne słowa.

Mężczyzna uśmiechnął się.

— Owszem.

— Jesteś. . . jesteś. . .

— Leareth. — W języku Tayledras słowo to oznaczało „ciemność”. — Oryginalny pomysł, nie sądzisz?

I Vanyel zrozumiał. . .

Obudził się, drżąc jak liść targany wichurą, pierś falowała mu, gdy, ściskając koc, usiłował złapać oddech.

Był zmarznięty, skostniały z zimna, a zarazem zlany potem. „To ten stary sen, ten lodowy, w którym umieram. . . nie śniłem go od lat. . .”

Obok, częściowo zwisając poza łóżko, leżał Stefen, obojętny na męki Vanyela, nie mogącego złapać tchu. Chociaż świece były wygaszone, Van widział go w blasku księżyca wlewającym się przez okno. Burza ucichła, pozostawiając niebo bezchmurne i czyste; światło księżyca było tak jasne, że można było przy nim czytać, i przez szybę Vanyel widział jasne punkciki gwiazd migających na niebie.

Vanyel opanował oddech i położył się z powrotem, zmuszając do uspokojenia łomoczące serce. Spod przymkniętych powiek jął wpatrywać się w ciemny baldachim nad łóżkiem; ciągle tkwił w lodowatych szponach koszmaru.

„Od lat nie nawiedzał mnie ten sen — ale teraz był inny. Tym rażeni to nie Lendel był ze mną. Chociaż czułem to samo, co przy Lendelu. Myślałem, że to Lendel, dopóki się nie odwróciłem i nie zobaczyłem Stefena. . .”

Młody bard westchnął i przewrócił się na drugi bok, wystawiając twarz do księżyca. Leżąc u boku Stefena, przez moment Vanyel poczuł się, jak gdyby znów był z Tylendelem, swoim ukochanym, z którym łączyła go więź życia.

Więź życia.

Teraz dopiero uprzytomnił sobie, dlaczego przy Stefenie czuł to samo, co przy Tylendelu. Łączyło ich to samo: Vanyel nie tylko kochał barda, splótł go z nim więź życia. Tę więź nie sposób było pomylić z czym innym, szczególnie gdy odkrywał ją ktoś z darem empatii.

„Nie. . .”

Ale zaprzeczyć temu też nie było można. Vanyel zdusił w gardle jęk — skoro pragnienie bliskości Stefena było zdradą pamięci Lendela, to co to miało oznaczać? Nie był w stanie myśleć: czuł, jak skręca mu się żołądek i zaciska gardło. Wszak kochał Tylendela, nadal go kocha.

Wydawało mu się, że będzie tak leżał aż do świtu, lecz jakimś sposobem wyczerpanie wzięło górę nad zamętem w głowie i kłębiącymi się uczuciami. Zawładnął nim sen. . .

Już najwyższy czas, żebyś tu przyszedł — powiedziała Yfandes, obrzucając go wszystkowiedzącym spojrzeniem. — Doprawdy, Van, jak ty czasami potrafisz sobie komplikować życie. No cóż, podejdz tu.

Odwróciła się zgrabnie i machnęła do niego ogonem, spoglądając nań jednym okiem.

No co? Nie idziesz?

— A gdzie ja jestem? — zapytał, rozglądając się wokół siebie. Gdziekolwiek spojrzął, nie było nic poza bezkształtną, szarą mgłą. O ile się orientował, on i Yfandes byli zupełnie sami.

Gdzie jesteś? — powtórzyła ciepłym, rozbawionym głosem swej myśli. —

Śniesz, rzecz jasna. Albo raczej jesteś we śnie. To różnica. No, idziesz wreszcie, czy nie?

Nie namyślając się długo, poszedł za nią. Osobliwa mgła gęstniała i gęstniała, aż w końcu Vanyel z trudem mógł dojrzeć Yfandes. Próbował ją dogonić, ale jej zawsze udawało się zachować między nimi tę samą odległość. Wreszcie widział już tylko niewyraźny, jaskrawobiały kształt w kłębiącej się mgle.

Smuzka mgły otuliła jego głowę, zupełnie go oślepiając. Potknął się, spróbował ją rozproszyć...

I oto stanął w dokładnie takim samym lasku, jak ten na Łące Towarzyszy, gdzie wraz z Lendelem spędzali tak wiele czasu. Stanął w tym samym lasku, który Lendel zniszczył...

— No cóż, *ashke* — dobiegł go z tyłu znajomy głos. — Nie spieszyłeś się zbyt idąc tutaj.

Vanyel odwrócił się z wolna, obawiając się tego, co może ukazać się jego oczom, szczególnie po nocy ze Stefenem.

— Nie bądź idiotą — powiedział Tylendel, odrzucając do tyłu włosy złote jak letnie słońce sączące się pomiędzy konarami sosen nad jego głową. — Dlaczego miałbym mieć coś przeciwko temu?

Tylendel siedział oparty o sękaty pień drzewa, z rękami założonymi na piersi. Wyglądał nieco starszej aniżeli w chwili swej śmierci, ubrany był jednakże w Biel, której nie dosłużył się za życia. Uniósł kpiarsko jedną ze swych złotych brwi i posłał Vanyelowi promienny uśmiech.

— Coś nie tak, Vanyelu-*ashke*?

Vanyel stał jak zaczarowany, Tylendel zaś, odepchnąwszy się od drzewa, przeszedł parę metrów, które ich dzieliły, i wziął go w swe mocne, ciepłe ramiona. Spod ich stóp, z pokruszonych igieł sosnowych, uniósł się ostry zapach. Vanyel odwzajemnił uścisk, zrazu z wahaniem, a potem z łkaniem, po części z ulgi, po części z żalu. Tak mocno obejmował swego ukochanego, że w ramionach poczuł ból.

— Już dobrze — powiedział Lendel, przytulając go delikatnie. — O co chodzi? Miałbym się gniewać, bo znalazłeś kogoś, kto cię kocha i kogo ty kochasz?

— Bo... bo... ciebie kocham... — Teraz cały strach wydał się niemądry.

— Van-*ashke*, jaki to ma sens, żeby cierpieć przez całe życie za jeden błąd? — Lendel wypuścił go z ramion i zrobił krok do tyłu, aby zajrzeć Vanyelowi w oczy. — Nie odrzuca się szansy na szczęście tylko dlatego, że już raz w życiu było się szczęśliwym! Wielkie nieba, to tak jakbyś powiedział, że już nigdy nie będziesz jadł, bo byłeś już gościem na jednej wielkiej uczcie!

Lendel zaśmiał się serdecznie, a śmiech rozjaśnił jego brązowe oczy, i Van uświadomił sobie nagle, że sam też się uśmiecha.

— To chyba niemądre — odparł z cieniem smutku — ale nigdy nie umiałem jasno myśleć, gdy w grę wchodziły moje uczucia.

Uśmiech Lendela przygał.

— Żaden z nas tego nie umiał — powiedział trzeźwo. — Szczególnie ja. Van... wiesz, nie dość mocno cię kochałem i bardzo mi przykro z tego powodu.

Vanyel zaczął protestować, ale Lendel uciszył go, kładąc palec na jego ustach.

— Mówię szczerze: nie dość mocno cię kochałem. Gdyby było inaczej, bardziej zważałbym na to, co jest dobre dla ciebie, aniżeli na to, czego ja chciałem. Przykro mi, *ashke*, dlatego chyba, że czegoś się nauczyłem. Taką mam nadzieję. Bo... och, Van... tak bardzo, bardziej niż cokolwiek innego, chciałbym ci to wynagrodzić. Jeżeli potrafisz uwierzyć w cokolwiek, proszę, uwierz w to. I wierz w moją miłość.

Pochylił się i dotknął ustami ust Vanyela.

Vanyel obudził się gwałtownie, opleciony ramionami Stefena. Przez chwilę wydawało mu się, że wciąż czuje zapach igieł sosnowych, a jego policzki muska łagodny wiatr.

— Kocham cię — szepnął Stefan do jego ucha, po czym znów głęboko oddychał, co świadczyło o tym, że tak naprawdę wciąż śpi.

„Lendel. To był Lendel. Co to wszystko, u diabła, miało znaczyć? — zastanawiał się Van, w dalszym ciągu zdezorientowany. — Co to wszystko, u diabła, miało znaczyć?” Szeroko otwartymi oczami zapatrzył się w ciemność. Chętnie porozmawiałby z Yfandes, lecz delikatne muśnięcie myślodotyku powiedziało mu, że pogrążona jest w głębokim śnie.

Gdy Stefan odwrócił się, tym sposobem uwalniając go ze swych objęć, Vanyel ześlizgnął się z łóżka. Był zbyt rozbudzony, aby ponownie zasnąć. Panował chłód po burzy, więc narzucił szlafrok i jął powoli przechadzać się po pokoju, usiłując rozwikłać zagadkę swych snów i koszmarów, ale okrutnie się nad tym biedząc.

„To drugie nie było wcale podobne do snu — pomyślał, przechadzając się ze spuszczoną głową. — To było bardzo rzeczywiste, tak samo rzeczywiste jak kochanek z Krainy Cieni, a wiem przecież, że on był rzeczywisty. To naprawdę był Lendel, a nie jakiś wytwór mojego poczucia winy. A może jednak? Nigdy nie robiłem czegoś podobnego...”

„I zmienił się tamten stary lodowy sen. Myślałem, że już się go pozbyłem, że oczyściłem się z niego, gdy stawilem czoło Krebainowi. Dlaczego więc powrócił?”

Kwadrat księżycowej jasności przesunął się po podłodze przez cały pokój, w końcu zniknął wraz z zachodzącym księżycem. Vanyel wciąż był całkowicie rozbudzony i zanadto skupiony na swych myślach, aby poczuć otaczający go chłód. Ciągle chodził po pokoju, zatrzymując się raz po raz, aby popatrzeć na Stefena. Bard jednak spał nadal, rozciągnięty na całym łóżku, z ustami ułożonymi do uśmiechu.

Po jakimś czasie, w miarę jak wrażenie obu snów — jeśli były snami — zaczęło się zacierać, pozycja Stefena zaczynała go bawić. „Nigdy bym nie uwierzył, że ktoś w pojedynkę może zająć tyle miejsca — pomyślał, chichocząc z cicha. — On jest jak kot: zajmuje więcej miejsca, aniżeli przewidują wszelkie prawa natury”.

Zbliżał się świt: perłowe światło brzasku wypełniło pokój, nadając miękkości kształtom i konturom przedmiotów. Vanyel dalej stał ze wzrokiem utkwionym w Stefena, w istocie nie myśląc o niczym, chcąc tylko, by jego myśli poukładały się same, a potem zaprezentowały się jemu w uporządkowanej formie.

Stefen poruszył się i otworzył oczy. Przez moment, zmieszany, patrzył na Vanyela mrugając powiekami, ale wnet przypomniał sobie, gdzie jest.

— Van? — zagadnął, jeszcze zniekształconym przez sen głosem. — Coś nie tak, Vanyelu-*ashke*?

Vanyel zdreptał. Te słowa, ten ton przywołały wrażenie snu z siłą ciosu zadanego prosto w serce.

Tylendel oparty o sękaty pień drzewa z lekkim uśmiechem na ustach, z rękami skrzyżowanymi na piersi.

*Coś nie tak Vanyelu-*ashke*?*

Ashke — to słowo w języku Tayledras oznacza „ukochany” i tym specjalnym imieniem zwracał się do niego Tylendel — było grą słów z nazwiskiem Vanyela brzmiącym „Ashkevron”.

Tyle że Lendel mówił płynnie językiem Tayledras: Savil nalegała, aby zarówno on, jak i Vanyel, się go nauczyli, zamierzała bowiem zabrać ich na Wzgórza Pelagirs, do których prawo rościli sobie Sokoli Bracia, jak tylko Tylendel będzie gotów do pracy w terenie. Swym pozostałym podopiecznym, Donni i Markowi, nawet nie proponowała lekcji.

Stefen natomiast znał tylko jedno słowo z uproszczonej gwary języka Tayledras: *shayn*, skróconą wersję określenia *shay'a'chern*, które weszło do powszechnego użytku dla określenia tych, którzy preferują własną płęć. Niemożliwością było, aby w ogóle kiedykolwiek usłyszał słowo, którego właśnie użył, a tym bardziej, by wiedział, co ono oznacza.

Oszalałe wspomnienia o nawiedzających duchach i opętaniach jęły przebiegać Vanyelowi przez głowę. Jako herold widywał już wiele znacznie bardziej niezwykłych rzeczy...

— Stef — powiedział z wolna, ostrożnie. — Jak ty mnie nazwałeś?

— Vanyel-*ashke* — powtórzył Stefen, zdziwiony i najwyraźniej zbity z tropu maską opanowania na twarzy Vanyela. — Dlaczego? Czy powiedziałem coś złego?

— Czy za tym, że tak mnie nazwałeś, coś się kryje? — Vanyel nie drgnął, chociaż zaczęły mu się podnosić włoski na karku. Najpierw sny, teraz to... Wysłał badawczą wiązkę myśloczucia, przygotowany do natychmiastowej reakcji na wypadek, gdyby odkrył coś niezwykłego.

— Jasne — odparł Stefen, patrząc na niego ze zdumieniem i uniósłszy głowę, podparł się łokciem. — Nazywam. . . — spłonał. — Nazywam cię tak w myślach już od jakiegoś czasu. To od twojego nazwiska: Ashkevron. Wydaje się. . . pasować do ciebie. Sam wiesz, jak bard lubi bawić się słowami. Ładnie brzmi, prawda?

Sonda myśloczucia nie napotkała nic. Żadnego oporu, żadnej emanacji mogącej świadczyć o czyjejś obecności. Vanyel odprężył się i uśmiechnął. Przecież to po prostu niesamowity zbieg okoliczności. Ani nie nawiedza go duch dawno zmarłego kochanka, ani też obecnej miłości nie zagraża to, że tamta, dawna, za władnie nad nią w jakikolwiek sposób.

„Tylendel w ogóle nie byłby zdolny do czegoś takiego — zganiał sam siebie. — Nie, po prostu brakuje mi snu i nie umiem jasno myśleć, to wszystko. Tak się przyzwyczałem do wpadania na duchy, że nadpobudliwie reaguję nawet na najniewinniejsze pieszczotliwe zdrobnienie.”

— Czy powiedziałem coś złego? — ponownie zapytał Stefen, tym razem z naciskiem, i odgarnąwszy z oczu splątane włosy, zaczął się podnosić. — Jeżeli ci się to nie podoba. . . jeśli działa ci na nerwy. . .

— Nie, wszystko w porządku — uspokoił go Vanyel. — Trochę się zdziwiłem, to wszystko. *Ashke* w języku Tayledras znaczy „ukochany” i nie spodziewałem się usłyszeć tego od ciebie.

— Jeżeli wolisz. . . — Stefen usiłował coś powiedzieć, ale Vanyel mu przerwał.

— Naprawdę, podoba mi się. . . Tylko nawiedzają mnie pewne stare sny, więc słysząc jeszcze to, wystraszyłem się. To wszystko. — Vanyel położył rękę na ramieniu Stefena, a ten wzdrygnął się.

— Na bogów, zaraz zamarzniesz — wykrzyknął bard. — Od jak dawna nie śpisz? Niewątpliwie od zbyt dawna. Wskakuj, zanim złapiesz jakieś chorobsko; ja cię rozgrzeję. W końcu — dodał nieśmiałym głosem, gdy Vanyel zrzuciwszy szlafrok, wślizgnął się do łóżka — cokolwiek dopadnie ciebie, dopadnie też mnie, a nie chciałbyś chyba mieć na sumieniu barda pozbawionego głosu, prawda?

— Wszystko, tylko nie to — odparł Van wymijająco, a potem głośno wziął głęboki oddech, gdy rozgrzany Stef tulił jego przemarznięte ciało.

— Och! — westchnął figlarnie bard. — Wszystko?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Gdy Stefenowi udało się — między innymi — rozgrzać i odprężyć Vanyela, oboje ponownie zasnęli. W tej samej chwili pierwszy promień słońca przebiegł niebo, rozświetlając je różowozłotą poświatą. Tym razem Vanyel zapadł w sen prawdziwie głęboki, niezmacony żadnymi marzeniami, i okazało się, że spał dłużej od Stefena. Ocknął się, by znaleźć przyjaciela rozciągniętego leniwie u jego boku, przyglądającego mu się z uśmiechem posiadacza podziwiającego swą własność.

— No, co tak patrzysz? — spytał Vanyel, rozbawiony wyrazem twarzy barda. — Daję miedziaka za twoje myśli. Stefen wybuchnął śmiechem.

— Tyle dobra, a wszystko to moje — odparł, cytując puentę popularnego dowcipu. — Gdybyś tylko wiedział, ile razy marzyłem o tym, żeby się znaleźć tu, gdzie jestem teraz, to dopiero byś się uśmieł.

— Tak myślisz? — Van uśmiechnął się i potrząsnął głową. — Och, nie, daję słowo, że bym się nie śmiał.

— No tak, może byś się nie śmiał, — Stefen przyglądał się przez chwilę jego twarzy, jak gdyby chciał coś powiedzieć, ale nie mógł się zdecydować, jak to powiedzieć. Vanyel czekał cierpliwie, aż znajdzie odpowiednie słowa.

— Van — zagadnął w końcu — muszę to wiedzieć. Czy nie żałujesz? Wiesz, jestem tylko bardem, nie mam daru myślowy i nie mogę się z tobą w pełni połączyć w czasie... — Zarumienił się. — Nie przeszkadza ci to? Nie brakuje ci tego? Ja...

— Stefenie — delikatnie przerwał mu Vanyel. — Mylisz się. Nigdy nie miałem kochanka, z którym dzieliłbym swe myśli, więc nie wiem nawet, jak to jest.

— Naprawdę? — Stefen osłupiał. — A... a Tylendel?

— Za jego życia moje dary były uśpione — odparł Vanyel, nie mogąc wyjść z podziwu dla łatwości, z jaką przychodzi mu — pierwsza od lat — rozmowa o dawnej miłości. — Jediną więzią, w jakiej miałem swój udział, była więź życia.

— Czy w takim razie nie brak ci tej więzi? — spytał Stefen z nieśmiałością, jak gdyby obawiał się odpowiedzi, ale czuł, że musi zadać to pytanie.

— Nie — odrzekł Vanyel i uśmiechnął się szeroko. — Gdy tylko zajrzysz w głąb siebie, dowiesz się dlaczego.

— Gdy ja...

— Stefenie, jesteś wyszkolonym bardem, a dar barda jest wystarczająco spokrewniony z empatią, byś mógł się przekonać, co mam na myśli. — Van przesłał po nitce łączącej ich więzi króciutki impuls miłości i ujrzał, jak twarz Stefena zmienia się. Najpierw odbiło się na niej zdziwienie, potem coś w rodzaju szoku, wreszcie zachwyty rozprzestrzeniający się na całej długości tego połączenia.

— Nigdy nawet nie śniłem... — Głos Stefena był przyciszony. — Nigdy... Jak to? Dlaczego?

— Nie wiem, *ke'chara*, i nic mnie to nie obchodzi. — Vanyel potrząsnął głową. — Wiem tylko, że to się już stało, że to fakt. Ale wiem też, że jeśli zaraz nie wstaniemy i nie doprowadzimy się do porządku, to nie zdążymy z tym do południa, a wtedy, obawiam się, że mogą wyważyć drzwi i zastać nas w tej dość krępującej sytuacji.

Stefen wybuchnął śmiechem.

— Wiesz, masz rację. Powinniśmy im tego oszczędzić, przynajmniej tego. Chociaż tyle im się należy.

Vanyel uśmiechnął się szelmowsko.

— Poza tym, o ile znam moją matkę, umiera z niecierpliwości, aby cię porwać i nakłonić do występu. Chodźmy więc, mój bardzie. Twoja publiczność cię oczekuje.

Stefen przybrał dumną pozę i trwał w niej tak długo, aż Vanyel nie ześlizgnął się z łóżka i rzucił weń ubraniami.

— Ostrzegam cię, lepiej się pośpiesz — poradził mu herold — bo inaczej naśle ją, żeby sama tu po ciebie przyszła.

— Spiesz się — rzucił Stefen, wciągając bryczesy. — Słowo daję, że się spieszę... — Wtem znieruchomiał z koszulą nałożoną do połowy. — Van, a twoja matka... czy ona... tak na serio?

Vanyel doskonale wiedział, o co Stefen próbuje go zapytać, i zaśmiał się.

— Nie, tak naprawdę wcale na ciebie nie poluje. Prawdopodobnie byłaby przerażona, gdybyś brał jej zachowanie poważnie. Myślę, że na swój sposób ona naprawdę kocha ojca. Z tobą po prostu rozgrywa swoją gierkę.

Stefen głośno odetchnął z ulgą.

— Nie mogłem się połapać, robi to nie tak delikatnie jak damy na dworze.

— Trudno się dziwić — odparł Van, oceniając swe odbicie w lustrze. — Gra według zasad, które postarzały się trzydzieści lat temu. — Lekko poprawił włosy, a potem odwrócił się do Stefena, wbijającego się właśnie w swą tunikę. — Wiesz, mimo całej tej pozy ona ma naprawdę dobre serce. To ona zauważyła talent Medrena, chociaż nie mogła rozpoznać jego daru, i dopilnowała, aby otrzymał wykształcenie najlepsze, jakie można mu było zapewnić. To niby nic wielkiego, ale jednak coś na dobry początek. — Przemierzył pokój, żeby pomóc Stefanowi

przełożyć tunikę przez głowę. — Przecież mogła go zlekceważyć — był nieślubnym dzieckiem jednej z jej służek. Co z tego, że jego ojcem jest mój brat, Mekeal. Mogła odprawić Melennę, a nie odprawiła. Zgoda, zatrzymała ją przy sobie w ramach wysiłków „uleczenia” mnie. Ale zrobiła dla nich obojga, co tylko było w jej mocy, znacznie więcej, niż uczyniłby ktokolwiek inny.

Stef rozwiązał problem zmierzwionych włosów przez energiczne potrząśnięcie głową i kilkukrotne przeczesanie czupryny palcami.

— W takim razie moje stosunki z nią będą układały się pomyślnie. Chylę czoło przed każdym, kto zrobił cokolwiek dla Medrena.

Vanyel zaśmiał się z cicha.

— Tylko nie zrozum moich słów opacznie, Tressie daleko do ideału. Potrafi być samolubna, bezmyślna i trzpiotowata. Nie odprawiła Melenny, ale w dużej mierze zdecydował o tym fakt, że musiałaby przyuczyć nową służkę i dopóki ta nowa nie byłaby gotowa do pracy, zajmować się wszystkimi obowiązkami Melenny. Bogowie wiedzą, że to szczytna sztuka, jeśli idzie o własną wygodę. Wiedziała, że wdzięczna Melenna zapewni jej wieloletnią służbę pełną oddania. Ale pomimo wszystko Tressa ma dobre serce i szczerze ją kocham.

Odsuwając rygiel w drzwiach, Stef posłał Vanyelowi przez ramię szelmowski uśmiech.

— Wiesz co, okropnie trudno oswoić się z całym tym kramem życia rodzinnego. Muszę się przyznać, że troszkę wprawia mnie to w zakłopotanie.

Vanyel zaśmiał się i wyszedł za Stefanem na korytarz.

— Stef, przykro mi to mówić, ale przez te wszystkie przywileje, z których korzystałem w okresie dorastania, nieraz zdarzało się, że chętnie zamieniłbym się z pierwszym lepszym osieroconym żebrakiem z ulicy. Moje życie byłoby wtedy o wiele prostsze.

Stefen zrobił grymas.

— Będę miał to na uwadze.

Zgodnie z przewidywaniem Vanyela, ledwie znaleźli się w Wielkim Refektarzu, drogę zastąpiła im Tressa, która zażyczyła sobie, by zaraz po śniadaniu Stefan wystąpił dla niej oraz jej dam.

Vanyel został sam, czego akurat w tej chwili bardzo potrzebował. Wyszedł bocznymi drzwiami i poszedł spacerkiem w stronę stajni, skrętnie omijając korytarze używane przez wszystkich poza dziećmi i służącymi. Gdy znalazł się na dworze, unikał przechodzenia pod czymkolwiek oknem. Pragnął czasu na przemyślenie niektórych spraw, a konferencji rodzinnych miał na jakiś czas dość.

Był jednak ktoś, kto zasłużył sobie na jego uwagę.

Yfandes — posłał jej myśl. — *Dzień dobry, kochana.*

Dzień dobry, śpiochu — odpowiedziała Yfandes tak zadowolonym tonem, że Vanyel aż parsknął zduszonym śmiechem. — *Mniemam, że dobrze się bawiłeś ostatniej nocy.*

I się nie mylisz — odparł, tylko odrobinę zawstydzony.

Świetnie — powiedziała. — Najwyższy czas. Chcę, abys wiedział, że z całego serca to pochwalam i wyrażam uznanie dla cierpliwości tego chłopca. Pozostaje tylko pytanie: Co masz zamiar teraz zrobić?

Vanyel stanął na moment przy klatkach dla sokołów, mimochodem wyłapując gruchanie i ciche nawoływania zakapturzonych drapieżnych ptaków.

Tego właśnie muszę się dowiedzieć, kochaneczko. Czy byłoby ci bardzo przykro, gdybym wziął któregoś z tych rumaków łowczych i przejechał się troszkę bez ciebie? Chcę być sam, żeby dokładnie wszystko przemyśleć?

Wyczuł jej chwilowe wahanie i uśmiechnął się nieznacznie. Teraz już nie tak często udawało mu się przyłapać ją w momencie roztargnienia.

Wydaje się to sensowne — stwierdziła Yfandes po długiej pauzie. — W końcu daleko bardziej dotyczy to ciebie niż mnie. Nie, nie będzie mi przykro. Tylko niech ci nie przychodzą do głowy żadne głupie postanowienia, żeby na przykład pozbyć się chłopca, dobrze? Potrzebujesz go, a on potrzebuje ciebie i bardzo, bardzo dobrze do siebie pasujecie.

Vanyel zaśmiał się na głos, jedną troskę udało się rozproszyć. Obawiał się, że Yfandes może wprawdzie aprobować Stefena jako przyjaciela, ale nie pochwalać ich nowego związku.

Wątpię, by udało mi się usunąć go nawet siłą, kochana... dziękuję ci za zrozumienie.

W odpowiedzi, którą mu przesłała, nie było słów, lecz wyrażały ją uczucia: miłości, ufności i wspólnego szczęścia. Potem zerwała połączenie.

Vanyel doszedł do stajni, nie zatrzymywany przez nikogo. Parę razy uniknął niepożądanych spotkań tylko dlatego, że spostrzegł Mekeala i swego ojca wcześniej, niż oni zobaczyli jego. Gdy wchodził, jej drzwi otwarte na oścież zagarniały do wnętrza każdy podmuch łagodnego wiatru.

Oślawiony ogier Mekeala nadal zajmował najlepszą przegrodę. Upływ czasu ani odrobinę nie wpłynął na wygląd czy temperament zwierzęcia. Gdy Vanyel go mijał, koń położył po sobie uszy i kłapnął zębami, a w końcu ze złości, że nie może dosięgnąć Vanyela, kopnął swoją przegrodę. Jedynymi jeźdźcami, którym udało się go kiedykolwiek dosięść, byli Radevel oraz Jervis, a i oni musieli toczyć z nim walkę o każdy krok.

— Pilnuj się — burknął Vanyel pod nosem — bo inaczej znów napuszczę na ciebie Kellan z Yfandes.

Koń parsknął, jak gdyby zrozumiał słowa Vanyela, po czym wycofał się w kąt.

Klaczki bojowe Mekeala znajdowały się w tej samej stajni, razem ze źrebakami, które były jeszcze za młode na sprzedaż. Gdy Vanyel przechodził obok, obserwowały go spokojnie, czując jego zapach, niektóre rżały, uznając go za obcego. W ten sposób ściągnął na siebie uwagę jednego ze stajennych, umorusanego

chłopaka, który na odgłos rżenia ostatniej klaczy wyszedł właśnie z przestronnej przegrody i wyszczerzył zęby widząc, że to Vanyel.

— Wielmożny panie heroldzie? — powiedział. — Czym mogę służyć?

— Chcę wypożyczyć jednego z wierzchowców łowczych — odparł Vanyel. — Yfandes jest zmęczona, a ja chciałbym się wybrać na przejażdżkę do Lasu Wyrfen. Czy mój ojciec ma tu jakieś zwierzę, które potrzebowałoby ruchu?

— Och, tak, do licha i trochę. — Stajenny przez chwilę drapał się po swej słomianej głowie rozmyślając. — Może Czarna Stopa, o tamta? — Wskazał na mocną gniadą klacz o pięknych, inteligentnych oczach. — Niewielu daje sobie z nią radę, więc nigdy nie ma tyle ruchu, ile powinna. Ma wrażliwy pysk, więc najlepiej idzie z wodzami ściągniętymi przy szyi. Łatwo ją spłoszyć. Trzeba jej delikatnej ręki i żadnych wygłupów. Miarkuję, że pewnie nie ma takiego konia, co by wielmożny pan nie umiał na nim pojechać, he?

— Raczej nie ma — odparł Vanyel. — Układam wszystkie źrebięta z linii Gwiazdy, kiedy tylko mam czas. A skoro już o tym mowa, podobają mi się wasze psy łańcuchowe... — Kiwnął ręką na klacze łowcze, nie spuszczające z niego swych oczu. — Są bardzo skuteczne.

— O tak — zgodził się stajenny, z promiennym uśmiechem pokazując, że tak samo jak Tam, stary przyjaciel Vanyela, też stracił parę zębów za sprawą kopyt swych podopiecznych. — Najlepiej w nocy. Wystarczy, że kogoś nie znają, a już podnoszą raban. Zostawisz jednego czy dwa luzem, a już wszystkie wio ze swoich przegród! — Zilustrował to ruchem rąk i trzonka grabi. — Tak złapały nam jednego złodzieja i te trzy dziwne stwory. Ten stary ogier płodzi lepsze młode, niż kto by się mógł domyślić po jego wyglądzie.

— Mam nadzieję! — wybuchnął śmiechem Vanyel, po czym poszedł po siodło i uprzęż dla przydzielonego mu wierzchowca.

Czarna Stopa okazała się co do joty taka, jak przepowiedział stajenny: niezwykle wrażliwa w pysku, za to świetnie spisująca się pod presją ściągniętych na szyi wodzy i ściskających jej brzuch kolan. Vanyel zabrał ją z powrotem do stajni, żeby zmienić jej uzdę na kantar bez wędzidła. Był zdania, że przy zwierzęciu tak wrażliwym lepiej w ogóle nie używać wędzidła. Jeżeli będzie musiał ściągnąć jej cugle, starczy mu sił, żeby zmusić ją do opuszczenia głowy. W końcu żaden z łowczych koni Withena nie rzuci się do galopu, jeśli ona nie będzie tego widziała.

Zamiast pojechać przez wieś, Vanyel obrał jedną z bocznych dróg wiodących do lasu. Nie miał ochoty na kontakt z ludźmi, a wieśniacy zyczyliby sobie zapewne oglądać go jako „herolda Vanyela, Zmorę Demonów”, co byłoby szczególnie męczące. Pomknął więc ścieżką przez sad, w którym pojawiły się już owoce, ale nie były jeszcze dojrzałe i nikt tam teraz nie pracował. Najpierw minął jabłonie, potem orzechy, a w końcu żywopłot odgradzający sady od dzikiego lasu.

Jazda na koniu całkowicie różniła się od jazdy na Yfandes — ta klacz wy-

magala od niego umiejtnosci i uwagi. Na drodze do lasu wyprubowywala go, sprawdzajac, na co moze sobie przy nim pozwolic. Uspokoiła się dopiero, gdy mineli przesmyk w żywopłocie, a ściezka przeszła w leśną przecinkę. Cisza leśna zdawała się ją trochę temperować, wnet bowiem klacz zwolniła do stępa, pozwalając teraz Vanyelowi skupić się bardziej na swych myślach.

Las Wyrfen ciągle jeszcze omijali wszyscy z wyjątkiem myśliwych i drwali, a ci, których coś zmuszało do podróży przezeń, zawsze starali się trzymać środka drogi. Gdy Vanyel przejeżdżał tędy po raz pierwszy, był śmiertelnie przerażony. Nawet w uśpieniu jego dar magii działał na tyle silnie, aby pozwolić mu wyczuć stare pokłady magii, która kiedyś przesycala to miejsce. Teraz tamta energia była niemal całkowicie na wyczerpaniu, lecz wciąż pozostawało jej dość, by nawet mniej wrażliwego człowieka przyprawić o lekki niepokój. Jej obecność na pewno czuły zwierzęta: ptaków było tu niewiele, śpiewały rzadko, a uszy Czarnej Stopy kładzione to w tył, to w przód, zdradzały jej podenerwowanie.

Od wielu lat Vanyel odbywał wypadki rozpoznawcze do lasu i przywykł już do jego atmosfery — przynajmniej na tyle, na ile w ogóle można przywyknąć do znajdującej się tam magii. Miał świadomość jej drzemającej obecności, ale tylko jako swego rodzaju tła i ewentualnego źródła energii w razie nagłej potrzeby. Las Wyrfen był miejscem niesamowitym, choć stosunkowo niegroźnym.

Z tym, że przyciągał z zewnątrz różne stworzenia, które wcale nie były niegroźne, i zapewniał im doskonałą kryjówkę... To właśnie przypominało Vanyelowi o sprawie, którą musiał rozwiązać.

Jego klacz zwolniła do ostrożnego stępa, torując sobie drogę wzdłuż przecinki, nie zarośniętej niteczki biegnącej przez gęste podszycie leśne. Vanyel dał jej swobodę i usadowiwszy się wygodnie w siodle, wypowiedział swe myśli na głos, kierując je do milczących drzew.

— Brakuje magów heroldów. Jeszcze przez wiele lat będzie ich za mało, nawet gdyby Karsyt już jutro przestał nam zagrażać. To znaczy, że zastępować ich będą musieli heroldowie. Czyż nie tak?

Uszy Czarnej Stopy podniosły się, a ona sama parsknęła.

— Dokładnie tak. Większość ludzi, łącznie z samymi heroldami, uważa, że nie podołają temu. Ale to wynika z tego, że patrzą na heroldów, jak gdyby byli... byli... kim? Zamiennikami? Nie... środkiem zastępczym. A gdy się coś zastępuje, to zwykle zamienia się coś lepszego na coś gorszego, ale... daje się wtedy coś, co przypomina oryginał. Tyle że heroldowie niekoniecznie są podobni do magów heroldów.

Gdy się nad tym zastanawiał, Czarna Stopa podążała wyschniętym korytem strumienia.

— Problem w tym, że właśnie nie są magami heroldów. Wszystko polega na tym, aby nakłonić heroldów, by zamiast robić rzeczy, które nie leżą w ich mocy, wykorzystywali swe dary najlepiej, jak tylko umieją. Jestem taktikiem. Jaka więc

z tego płynnie taktyczna korzyść?

Ścieżka poszerzyła się nieco i wpadli na polanę, miejsce, gdzie poprzedniego roku piorun wypalił drzewostan sosen, tworząc pokaźne popielisko. Teraz rozpleliła się tutaj nowa roślinność: bujna trawa, spleciona z pnączami powoju i jasnymi złocistymi słonecznikami, sięgała kłaczy do brzucha. Para jelonków pasących się w odległym końcu polany podniosła głowy na uczyniony przez nich hałas i skoczyła w gęstwinię lasu.

— Taktyczna korzyść — powiedział Vanyel do ich znikających sylwetek — polega na tym, że większość magów nie posiada silnych darów poza tymi, które pozwalają im wykrywać energię magiczną i posługiwać się nią. Nic innego nie przychodzi im nawet do głowy. Nie są zabezpieczeni przeciwko szpiegowaniu ich poczynań za pomocą daru dalekowzroczności, ani przeciwko heroldowi o darze myśloczucia czytającym w myślach. Ani też przeciwko heroldowi z darem przenoszenia, przemieszczającym potrzebny mu przedmiot w mgnieniu oka, gdy nadejdzie krytyczny moment. O to chodzi, o to chodzi! Muszę zrobić coś, żeby skłonić heroldów, aby przestali uważać się za drugorzędnych magów, a zaczęli myśleć o sobie jako o osobach zajmujących pierwszoplanowe pozycje, jakie otwierają przed nimi ich dary. Ponadto musimy zacząć dopasowywać potrzeby dokładnie do określonego daru, a nie po prostu wyznaczać do wykonania zadania pierwszego lepszego, wolnego w danym momencie herolda.

Nie była to wprawdzie odpowiedź wyczerpująca, ale dawała dobry początek. To było więcej, niż udało się osiągnąć dotychczas.

Czarna Stopa zareagowała na bujną łąkę przed sobą dokładnie tak samo, jak zareagowałby każdy inny koń: pochyliła głowę i zaczęła łapczywie skubać trawę. Vanyela, tak bardzo przyzwyczajonego do Yfandes, taki ruch kompletnie zaskoczył. Zaczął ciągnąć łeb kłaczy do góry, ale po chwili wpadł na lepszy pomysł. Koń zajmie się trawą, tymczasem on będzie mógł skontaktować się z Joshelem. Resztki pola magicznego stanowią świetne źródło energii, zatem nie będzie musiał zużywać własnej mocy. O tej porze Josh powinien przebywać z Randalem, omawiając tematy, które herold ma poruszyć na zgromadzeniu Rady. Będzie to idealny moment na porozumienie się z nim.

Pozwoliwszy kłaczy paść się spokojnie, Vanyel zamknął oczy, oswajając się z otaczającymi go dźwiękami, tak aby w razie pojawienia się czegoś niezwyklego zaraz mógł zareagować. Niewiele było tych dźwięków: delikatny szum wiatru w gałęziach wysoko nad głową, podmuch powietrza nie docierający nawet do ziemi, kilka grających świerszczy, wreszcie odgłosy wydawane przez Czarną Stopę rwącą i żującą soczystą trawę. Gdy wszystkie dźwięki zostały już zidentyfikowane, Vanyel wyteżył swój dar magii i ostrożnie podłączył się do cieniutkiej strużki energii przebiegającej wprost pod nim.

— ??

Pełen zaciekawienia dotyk, jakiego się nie spodziewał. Nie nieprzyjazny — to

rozpoznał natychmiast.

— ??

Poczuł ten dotyk jeszcze raz i pochwycił go... Zaczął się śmiać z samego siebie.

— Złapałem się we własną pułapkę! — powiedział na głos i otworzył oczy. Nie było widać nic — dopóki nie otworzył swych magicznych oczu. Oto tuż przed nim unosiła się mała chmurka jaśniejąca radosnym błękitnym blaskiem. Chmurka z oczami: *vrondi*.

— Witaj — rzekł do niej. Chmurka mrugnęła oczkami i dotknęła go po raz drugi. Tym razem odpowiedział jej stosownym zapewnieniem o swym zaufaniu.

— !! — odpowiedziała chmurka i zachichotała. Było to najbliższe określenie rzeczywistości, jakie przyszło Vanyelowi do głowy. Potem zniknęła, pozwalając mu ponownie sięgnąć do strumienia energii magicznej.

O ile Vanyel się orientował, dotąd jedynie magowie heroldów z Valdemaru odkryli *vrondi*. Dotyk tych stworzonek był nierozpoznawalny dla magów spoza królestwa i nawet ich wygląd wskazywał na to, że są niczym więcej jak tylko cząsteczkami powietrza. Najczęściej jako szpiegów czy zwiadowców wykorzystywano właśnie cząsteczki powietrza, a to podsycalo tylko wrażenie, jakie Vanyel usiłował wytworzyć. W końcu nawet on, który sam ustanowił to zakłęcie, dał się zaalarmować tym niespodziewanym kontaktem z nimi. Obcy mag tym bardziej poczuje się obserwowany, niech tylko przywoła którykolwiek z aspektów swego daru magii albo uaktywni jakieś zakłęcie. Nie będzie umiał zidentyfikować *vrondi*, zresztą nie wiedziałby nawet, dlaczego miałyby go one obserwować. Do tego Vanyel szczerze wątpił, by taki mag w ogóle potrafił je złapać — *vrondi* były zbyt szybkie i niewiarygodnie uwrażliwione na wszelkie przejawy wrogości. Vanyel już niemal współczuł hipotetycznemu magowi, który spotka je na swej drodze. *Vrondi* doprowadzą go do szaleństwa. Tak, był bliski pożałowania dla kogoś postawionego w takiej sytuacji.

Bliski.

Jeszcze raz poprawił się na swym miejscu. Czarna Stopa przeżuwała dalej, szczęśliwie nieświadoma magicznych sztuczek wyprawianych tuż obok niej, skupiona tylko na opychaniu się słodką trawą. Nieświadoma... albo ignorująca je; u zwykłego konia trudno to odróżnić. „Najpierw robi się płochliwa, bo czuje magię, a potem nagle ma ją w nosie. Głupie zwierzę.” Za to Yfandes już by się z niego naśmiewała, bo zapomniał o zakłęciu ochronnym. Nie żałował więc zanadto, że nie ma jej z nim w tej chwili.

Zaczerpnąwszy sił z cieniutkiej strużki energii magicznej, która miała mu pomóc w pokonaniu całej odległości dzielącej go od Przystani, ostrożnie wyteżył myślodotyk, dosięgając samego Josha.

Vanyel? — posłyszał odpowiedź. Uchwycił się tego zaofiarowanego kontaktu i pociągnął Josha ku sobie, wzmacniając jego słabnący myślodotyk własnymi

siłami, podpartymi zaczerpniętą energią. Połączenie między nimi nabrało mocy i ustabilizowało się.

Vanyel poczuł troskę, wraz z cieniem rodzących się złych przeczuć.

Vanyelu,.. czy coś się stało?

Nie — rzucił pośpiesznie Joshowi. — *Nie, tylko wyniknęły tu pewne sprawy i potrzebuję ograniczonej władzy królewskiej, aby zagwarantować spełnienie moich obietnic. Czy Randi jest w stanie to zrobić?*

Odczucie ulgi i po chwili zgoda.

Roźnie z nim było, czasem lepiej, czasem gorzej. Treven przechodzi pełne szkolenie, biedny chłopiec. Nie sądzę, aby widywał Jisę przed udaniem się na spoczynek, a rano wstaje razem z nami. Jeszcze lekki szlif tu i tam, a zajmie miejsce Randala w Radzie. Czego ci potrzeba?

Vanyel objaśnił mu wszystko najzwięźlejš, jak potrafił. Wyczuł podekscytowanie Josha w związku z wnioskiem o zastąpienie podatków zwiększonym zaangażowaniem rekrutów, których dla zahartowania wysyłanoby na zachodnią granicę, zamiast rzucać ich zaraz po szkoleniu do walki.

To dobry pomysł. Poczekaj chwilkę. — Van poczuł, jak uwaga Josha odbiega dokądś na moment, a potem powraca, wzmacniając kontakt między nimi. — *Król Randal daje ci swoją zgodę. Oficjalne dokumenty zostaną przesłane jeszcze dziś lub jutro przez zwyczajnego kuriera. Prosił też o przekazanie ci, że twoja rodzina wymyka się jego pojęciu. Nie dość że degeneruje się do normalności, to jeszcze nabiera rozsądku. Król powiada, że nie bardzo wie, jak ma to rozumieć. W jego uszach to brzmi jak zapowiedź końca świata.*

A zatem Randi jest w formie na tyle dobrej, żeby sobie żartować. To poprawa w stosunku do stanu, w jaki popadł po buncie Jisy.

Powiedz mu, że to nie koniec świata, a bezpośredni wynik mojej wytrwałości w stosowaniu łopatologii przez ostatnich kilka lat. Nawet tacy jak oni w końcu musieli się potapać.

Odpowiedzią Josha był szczerý śmiech.

Mam też dla ciebie i Kręgu Heroldów kilka spraw do przemyślenia. Jeśli możesz, to chciałbym, abyś zwołał spotkanie i zapoznał ich z nimi. Wydaje mi się, że to naprawdę ważne, szczególnie teraz.

Wyłuszczył swe przemyślenia o odrębności heroldów i magów heroldów — postrzeganej i rzeczywistej — oraz własne, nieśmiałe pomysły na rozwiązanie owych problemów. Josh milczał przez cały czas trwania jego wyjaśnień i jeszcze chwilę po nich.

Jestem zaskoczony, że to zauważyłeś — odparł w końcu powoli, zatrzymując tuż pod progiem umysłu myśli, których Vanyel nie potrafił odczytać. — *Większość magów heroldów albo tego nie widzi... albo zgadza się z powszechnymi odczuciami, że heroldowie są czymś w rodzaju uboższej wersji magów heroldów.*

Gorycz jego odpowiedzi powiedziała Vanyelowi, że było to coś, z czym Josh sam się spotkał. Josh doskonale znał się na rzeczy i dorównywał Vanyelowi pod wieloma względami, toteż Vanyel nie miał mu za złe tej złości.

To jest problem, Josh — powiedział najłagodniej, jak tylko potrafił. — Dostrzeganie problemów leży w mojej osobliwej naturze. Moim zdaniem trzeba się tym zaraz zająć, zanim dojdzie do poważnych szkód. Niewiele możemy zdziałać, jeśli chodzi o odczucia społeczeństwa, dopóki nie zaczniemy porządkować własnego podwórka.

Po tym stwierdzeniu uczył coś w rodzaju mentalnego westchnienia ulgi, jak zawsze wtedy, gdy zrzuci się z siebie wielki ciężar. Van skinął głową i wykorzystał swą przewagę.

Nigdy nie będzie ku temu sposobniejszej pory. Król jest heroldem, następca tronu jest heroldem, mag heroldów odpowiedzialny za granicę karsycką może się pochwalić silniejszym darem przenoszenia niż magii i wie o tym, natomiast ty zastępujesz mnie. Savil to zrozumie. Możesz walczyć tę sprawę tak długo, jak tylko będzie trzeba, żeby inni uświadomili sobie ten problem. Możesz wezwać heroldów Kręgu do dostarczania przykładów.

Teraz rezolucję Josha nieco się zachwiała.

Sądzisz, że to aż tak ważne? Przy wszystkich innych sprawach ta wydaje się wręcz trywialna. Kłopoty z Karsem, zdrowie Randiego. . .

To jest ważne — rzekł Vanyel pośpiesznie. — I będzie coraz ważniejsze. Sądzę, że uda ci się sprawić, aby dostrzegli to też pozostali członkowie Kręgu. Wspomnij o tarcjach pomiędzy magami heroldów, a potem opowiedz o tym, co wydarzyło się tutaj. Ludzie mają nam ufać, a jak mają ufać, jeśli uważają niektórych z nas za lepszych od innych?

Słuszna uwaga. Możesz już uważać to za przedmiot dyskusji w czasie posiedzeń. — Vanyel wiedział, że gdy Josh raz się na coś zdecyduje, doprowadza to do samego końca. Poczul teraz, jak sam oddycha z ulgą. Problem nie jest jeszcze rozwiązany, ale będzie. Coś przynajmniej zaczęło się dziać.

Zostawiam więc wszystko w twych zręcznych rękach. Wiatru w twe skrzydła, bracie.

I w twoje. — Vanyel poczuł, jak Josh uciął połączenie, po czym sam z westchnieniem upuścił je ze swej strony.

Czarna Stopa nadal się opychała i nic nie wskazywało na to, by miała przestać. Vanyel pociągnął jej łeb do góry. Z początku walczyła z nim o każdy milimetr, ale wnet, markotna i niechętna, powróciła na ścieżkę.

„Szkoda, że odpowiedź na pytanie, co zrobić ze Stefenem nie jest taka prosta — zmartwił się. Bogowie, nie można zaprzeczyć moim uczuciom do niego. . . ani więzi życia pomiędzy nami. Ale jeśli pogodzę się z tym wszystkim, w dodatku publicznie, to będzie tak, jakbym podpisywał, że jestem *shay'a'chern* przed ludźmi, z którymi muszę się obchodzić bardzo ostrożnie. Czy mogę sobie na to pozwo-

lic? Czy Valdemar może sobie na to pozwolić? Czy moje słabostki nie postawią mnie w niekorzystnym świetle? Być może... Wiem, że dużo ludzi przychodzi do mnie wyobrażając sobie, że jestem potężnym i mądrym uczonym i że mogę zainteresować się ich problemami. Fakt, że będą wiedzieli, iż sam borykam się z trudnościami i słabostkami, może uczynić mnie w ich oczach bardziej przystępnym.”

„To z kolei stawiałoby Stefena w sytuacji, która mi się nie podoba. Nie chcę, żeby stał się łatwym celem dla kogoś, kto nie może przypuścić bezpośredniego ataku na mnie. Przecież on nie wie nawet, jak się przed czymś takim zabezpieczyć.”

„Może powinienem dać sobie z nim spokój. Nie wiem, czy mogę sobie pozwolić na takie ryzyko. Urządzimy sobie tutaj, gdzie jesteśmy bezpieczni, słodziutką idyllę, a jak tylko wrócimy do Przystani, odprawię go. Jakoś wymogę na nim zrozumienie. Może udalibyśmy, że się kłócimy...”

„Nie... Nie mogę go zostawić. Nie mogę. Musi być jakieś inne wyjście.”

Był tak skupiony na swych myślach, że ledwo spostrzegł, jak Czarna Stopa porzuciła leśną ścieżkę i ruszyła drogą, kierując się z powrotem do Forst Reach.

„Dlaczego potrafię rozwiązywać problemy królestwa, a nie mogę zaprowadzić porządku w swoim własnym życiu? Na bogów, nie umiem nawet zapanować nad głupim koniem.” Popuścił na moment cugle, potem ściągnął je znów, by sprowadzić klacz z powrotem na leśną ścieżkę. Nadal nie był w nastroju do spotkań z bliźnimi i zamierzał wrócić do domu tą samą drogą, którą z niego wyjechał.

Udało mu się zawrócić klacz, choć nie bez walki. Miała już dosyć przedzierania się przez leśny gąszcz i dała mu to do zrozumienia w niedwuznaczny sposób. Gdy dotarli do przesmyku w żywopłocie z jeżyn, porastającym oba pobocza drogi, naraz znarowiła się i Vanyel w końcu musiał z niej zejść i przeprowadzić ją między krzewami.

Wtedy właśnie ni stąd, ni zowąd dopadł go nagły paraliż, przykuwając jego i Czarną Stopę do miejsca, w którym stali.

W jednej chwili wszystko było jak zwykle, a już w następnej, bez żadnego ostrzeżenia, stał kompletnie unieruchomiony. Wszystkie jego mięśnie zablokowały się, zeszywniały na drewno; obok niego tkwiła Czarna Stopa, drżąca, bo z nią stało się to samo. Czuł na skórze swędzenie magicznego prądu i wewnętrznymi oczami swego daru zobaczył kokon linii pola energetycznego, które go uwięziło. To było absolutne zaskoczenie.

Ale tylko przez jedno mgnienie; wszak spędziwszy tyle lat na granicy karsyckiej nauczył się reagować błyskawicznie, nawet w sytuacji zupełnego zaskoczenia. Jego ciało znalazło się w potrzasku, lecz jego umysł nadal pozostawał na wolności i Vanyel zrobił z niego użytek.

Jął badać barierę, jednocześnie poszukując skupiska energii magicznej, które zdradziłoby położenie napastnika, trzymającego go teraz we władaniu swego

zaklęcia.

„Jest. . .”

Był to ktoś, kto reagował dokładnie tak, jak według założeń Vanyela reagować miał zwyczajny mag postawiony wobec herolda: uzbrojony po zęby magicznymi tarczami, jednocześnie całkowicie otwarty na wszystkie dary heroldów.

Van mógł się posłużyć swą magiczną mocą, ale nie magią umysłu, rzecz jasna. Nieznajomy nie umywał się ze swymi umiejętnościami do zdolności Vanyela, który wiedział, że jeśli zechce, mógłby najzwyczajniej w świecie zerwać zaklęcie, kierując nań strumień swej mocy. Tyle że jeśli to uczyni, mag mógłby uciec, a Vanyel nie miał najmniejszego zamiaru mu na to pozwolić. W przeszłości nazbyt wielu wrogów, daleko lepiej uzbrojonych, powracało, by ponownie się z nim spróbować. Magowie posiadali wyjątkową skłonność do postępowania w taki właśnie sposób, nawet gdy przeciwnik przewyższał ich, tak jak teraz.

Być może. . . szczególnie ten mag. Jego energia była bowiem energią skradzioną, wyssaną z innych bez ich wiedzy i zgody. Van pojął to na sekundę przed uderzeniem. Może taką motywacją kierowali się też inni: zaskoczyć Vanyela w chwili nieuwagi i skraść jego moc. Lecz nie sposób się tego dowiedzieć, dopóki Van go nie obezwładni i nie wypyta o wszystkie szczegóły.

Co zresztą — pomyślał Vanyel ze złością, szykując się na konfrontację dwóch umysłów — nastąpi niebawem. . .

„Żaden mag, kierujący się złymi intencjami, nie powinien być zdolny do przedłużonej koncentracji, jakiej potrzeba na zastawienie pułapki — pomyślał patrząc z góry na skrępowane ciało swego niedoszłego pogromcy, leżącego na boku na posłaniu z suchych liści. — Zwłaszcza na moim terytorium. *Vrondi* powinny były go zbić z tropu i przyprawić o taką paranoję, że strzelałby piorunami w byle co. Powinien przynajmniej powstać jakiś przeciek energii w jego osłonach, tak abym mógł go wykryć. Nie pojmuję, dlaczego czegoś takiego nie było. Albo dlaczego *vrondi* nie ujawniły jego obecności.”

Mężczyzna poruszył się i jęknął. Czekał go kilkudniowy ból głowy. Siła pioruna, którym powalił go Vanyel, osiągnęła próg śmiertelnej siły rażenia. Van wiedział, jak zabijać umysłem — zrobił to nawet kiedyś. To było coś, czego nigdy, przenigdy nie chciałby powtórzyć. Potem przez miesiąc był tak chory, że nie mógł utrzymać się na nogach, a splugawiony czuł się przez najbliższy rok. Choć mag, którego zniszczył, był egocentrycznym, żądnym władzy łotrem bez krzty współczucia dla innych, zainteresowanym wyłącznie własną fanfaronadą, bezpośrednio doświadczenie jego śmierci, umysł przy umyśle, było jednym z najgorszych przeżyć w życiu Vanyela. Nie chciałby już nigdy tego robić, chyba że nie miałby innego wyjścia.

„Może ma nadzwyczajne zdolności koncentracji. A może ma już taką para-

noję, że świadomość bycia obserwowanym przez *vrondi* wcale nie utrudniła mu sprawy.”

Mag leżący u stóp Vanyela nie odznaczał się niczym szczególnym. Właściwie nie różnił się od tych drobnych szlachciców, jakich Van spotykał w ciągu wielu lat — brodaty, rudawy blondyn o średniej budowie ciała, trochę matołkowaty i z pewnością niezbyt obyty z ćwiczeniami i pracą fizyczną. Jego zwyczajny, szaroniebieski przyodziewek . zdradzał jakość typową dla pomniejszej szlachty, choć krojem różnił się od fasonów popularnych akurat w Valdemarze, i uszyty był z grubszego sukna.

„Musiał tu przywędrować z za zachodniej granicy, na pewno nie jest stąd.” Van czekał z niecierpliwością, aż mag odzyska przytomność. Chciał zbadać jego umysł, a nie mógł tego zrobić, dopóki mag nie będzie choćby częściowo rozbudzony. Najciekawsze informacje uzyskuje się, kiedy ludzie reagują na zadawane pytania w określony, łatwy do rozszyfrowania sposób; szczególnie wtedy, gdy mają coś do ukrycia.

Mag otworzył swe brązowe oczy, w których momentalnie, w chwili uzmysłowienia sobie, że jest związany, odbiło się zmieszanie. Po chwili odkrył, że leży na kupie zeszlórocznych liści. Vanyel przysunął się bliżej, wprawiając w ruch szelszczące gałęzie. Mag momentalnie skoncentrował nań całą uwagę.

Nie zdradzał jednak żadnych oznak, że go rozpoznaje, choć jego umysł szalał z przerażenia. Myśli miotaly się jak opętane wewnątrz czaszki maga, żadna nie była spójna, żadna nie trwała dłużej niż mgnienie. Łączył je tylko strach. Po kilku próbach wyłowienia jakiegokolwiek sensu z tego, co tam się działo, Vanyel poddał się i wycofał.

Mag był kompletnie obłąkany. Jego działanie nie wynikało z żadnych przyczyn, bo znajdował się w całkowitym oderwaniu od rzeczywistości. Zastawił pułapkę na Vanyela, ponieważ tak samo jak *vrondi* wyczuł, że tamten posłużył się magią, i pomyślał sobie, że to jego ściga Vanyel. Ale zaraz przyszło mu do głowy, że wszyscy go ścigają. Jego życie od co najmniej miesiąca było ciągłą walką.

W jego osłonach nie było przecieków energii, bo być nie mogło; tak szczerze obwarował się magicznymi zabezpieczeniami, że nic nie zdołałoby się przez nie przedostać. Nieustanny nadzór *vrondi* był dla niego potwierdzeniem tego, co już wiedział: że wszyscy go ścigają. Jego szaleństwo z kolei najprawdopodobniej tak zbiło z tropu biedne *vrondi*, że ich małe mózdzki nie potrafiły zdecydować: ujawnić go, czy nie?

Vanyel westchnął. Naraz poczuł ukłucie winy i nawiedziło go nagłe podejrzenie, które kazało mu powrócić do umysłu maga, żeby w chaosie jego pamięci poszukać potwierdzenia, którego miał nadzieję nie znaleźć.

Ale znalazł. Kiedy wynurzał się z tego odmetu, był wciąż tak samo strapiony. Oto bowiem leżący przed nim mężczyzna był zaledwie pogranicznym czarownikiem, który wmówił sobie, że ktoś wstrzymuje jego awans do wyższej rangi.

W celu spełnienia swych nadziei zaczął podkradać moc innym magom, w szczególności tym, których dar był jeszcze słabszy od jego. Ponieważ jednak naprawdę nie mógł się poszczycić ani biegłością, ani zręcznością, nie zadbał o oczyszczenie przywłaszczanej sobie energii z innych osobowości, które razem z nią wchłaniał. . .

Od najmniej czterech lat posuwał się ku obłędowi. W końcu pewnie przekroczyłby granicę obłąkania, co do tego Vanyel nie miał żadnych wątpliwości, Mimo to jednak w chwili gdy opuścił ziemię Valdemaru i zrobił użytek ze swej mocy, aby znaleźć kolejną ofiarę, wciąż mocno się trzymał ostatnich strzępów racjonalnego rozumowania.

To właśnie uaktywniło zaklęcie opiekuńcze Vanyela i wtedy opadł go cały rój *vrondi*. Równocześnie stracił poczucie rzeczywistości.

— Innymi słowy — powiedział Vanyel do mężczyzny wytrzeszczającego nań oczy pozbawione wyrazu — równie dobrze to ja mogłem zrobić z ciebie wariata w taki pokrętny sposób. Do diabła.

Skrzyżował ramiona, oparł się o pień drzewa i jał rozmyślać, co ma zrobić dalej. Czarna Stopa parsknęła wyrażając swe oburzenie, że przez tak długi czas musi tkwić przywiązana do krzaka, kiedy w jej zasięgu nie ma nic, co miałaby ochotę zjeść. Gdy Van nie zareagował, niecierpliwie tupnęła. Vanyel w dalszym ciągu nie zwracał na nią uwagi, westchnęła więc głośno, po czym odwróciła się na tyle, na ile pozwalały jej cugle, i przyglądała się przelatującej ćmie.

— Chyba będę cię musiał zabrać ze sobą do Forst Reach — z niechęcią skonstatował Van. — Jeżeli zostaniesz z ojcem Tylerem, on znajdzie uzdrowiciela umysłów, który doprowadzi cię do porządku. Kradzież mocy to bardziej sprawa dla duchownych niż dla mnie, bo właściwie nie zrobiłeś nic złego na terenie Valdemaru. Naprawdę niechętnie cię zabieram, ale nie ma innego wyjścia.

Mówiąc to postawił maga na nogi, ignorując jego opór. Nauczył się na Pograniczu wielu rzeczy, a jedną z nich był najlepszy sposób unieruchomienia jeńca. Czarna Stopa parsknęła zaalarmowana, gdy się do niej zbliżali, Vanyel jednak zignorował i to, podobnie jak próby wyswobodzenia się maga.

Teraz dał pojmanemu posmakować jego własnego lekarstwa: odrobinę zaklęcia paraliżującego, którym uraczył Vanyela. Doprowadziwszy maga do zupełnej bezwładności, Van mógł wciągnąć go na Czarną Stopę i przewiesić przez siodło głową w dół, niczym wór zboża. Robiąc to poczuł ciekawskie muśnięcie *vrondi*, ale nie zaprzętał sobie tym głowy. Kiedy przez jakiś czas nie przywoływał magii, *vrondi* znudziły się i zniknęły.

Gdy wreszcie udało mu się ulokować jeńca na miejscu, był zlany potem i zły. Zastanawiał się, czy nie skorzystać z zaklęcia, które unieruchomiłoby maga w drodze powrotnej do domu, jednak nie zdecydował się na nie. To byłoby trwonienie energii, liny krępujące stopy i ręce jeńca pod brzuchem kłaczy powinny w zupełności wystarczyć.

Obrzuciwszy maga rozgniewanym spojrzeniem i wymierzywszy solidnego klapsa klaczy, która postanowiła zbuntować się przeciwko niespodziewanemu ładunkowi, Vanyel ujął wodze i poprowadził konia leśną ścieżką w kierunku zamku.

Mimo woli nie mógł przestać myśleć o tym, czy każdy półmag w królestwie ma zamiar uroić sobie w głowie obłąkanie?

Taka wizja nie była nazbyt zachęcająca.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

— Godny ubolewania — rzekł ojciec Tyler, przyglądając się spętanemu magowi, opartemu o niski mur opasujący kamienny domek kapłana. Wszystko wskazywało na to, że jeńcowi nie jest ani przyjemnie, ani wygodnie. Ale przecież Vanyel nie życzył mu żadnego z tych doznań.

Ojciec Tyler ponownie potrząsnął głową, a jego kręcone blond włosy poruszyły się z lekka.

— Godny ubolewania w najwyższym stopniu.

— Nie żałowałbym go tak bardzo, ojcze — powiedział Vanyel cierpkim tonem, pocierając przesilone ramię. Gdy nadszedł moment, że trzeba było zdjąć maga z grzbietu Czarnej Stopy, ten nagle zrobił się cięższy i Van nadwerżył sobie plecy, ściągając go na ziemię. — Co najmniej dwie trzecie swoich nieszczęść sprowadził na siebie sam. Może nawet więcej; każdy mag wkraczający na terytorium Valdemaru musi się zarejestrować, ale wątpię, ojcze, czy znalazłbyś gdzieś zapis o tym przybyśzu. Tak czy owak, jego problem zaczyna się od kradzieży mocy. To jest jego bezsprzeczne przewinienie, a poza tym, wyrządził sobie tyle samo krzywdy co swoim ofiarom.

— A jak poważnym przestępstwem jest kradzież mocy? — zapytał kapłan, pocierając podbródek z wyrazem pełnej koncentracji odbijającej się na jego pociągłej twarzy. — Przyznaję, że nauki w seminarium tego nie obejmowały.

— To coś pośredniego pomiędzy gwałtem a drobnym złodziejstwem — odparł Vanyel, oddalony myślami, zastanawiając się, czy uda mu się odstawić Czarną Stopę do stajni tak, aby uniknąć spotkania z kimś spośród krewnych. — Przywłaszczona moc staje się częścią maga; musi się stać jego częścią, skoro mag ma umieć skutecznie się nią posługiwać. Dlatego właśnie kradzież mocy to w pewnym sensie gwałt; następuje utrata JA, niezmiernie szkodliwa na poziomie czyisto mentalnym. W taki sposób ten dureń wpakował się w tarapaty. Zabrakło mu umiejętności, żeby oczyścić skradzioną moc ze wszystkich cząstek cudzych osobowości, które stały się częścią niego samego. Nim się obejrzał, nie potrafił już odróżnić, czy jego myśli pochodzą z jego własnego JA, czy z tego, co spłynęło nań z zewnątrz; nie umiał zapanować nad tym, co działo się w jego snach i podczas spontanicznych procesów myślowych. Chcąc rozprawić się ze swym problemem,

otaczał się coraz szczelniejszymi osłonami, ale to pogarszało tylko sytuację. Napięcie wewnątrz nich musiało być nie do zniesienia. Wtedy zaczęły go szpiegować *vrondi* i rozsypał się do reszty. Ale gdyby wcześniej nie skradł cudzej mocy, do niczego takiego by nie doszło.

— Cóż, osąd to twoje zadanie, Vanyelu — rzekł kapłan z uśmiechem rozwiewającym wszelkie wątpliwości co do tego, czy nie ma w jego słowach ukrytej obrazy. — Moim natomiast jest przebaczać i naprawiać. Zorientuję się, co można zrobić dla tego nieboraka.

Słowa te pogłębiły w Vanyelu poczucie winy, uśmiechnął się jednak i podziękował kapłanowi. Zastanawiał się, czy może nie powinien go przestrzec, że mag jest silny i nieprzewidywalny.

Ale ojciec Tyler był młodszy od Vanyela i tężyzną mógł się równać z każdym stajennym, poza tym był przecież następcą ojca Lerena. Miał swój udział w wysiłkach zjednoczonych świątyni nakierowanych na oczyszczenie szeregów duchowieństwa i prawdopodobnie poznał na wylot wszystkie możliwe oblicza oszustwa.

„Poradzi sobie” — pomyślał Vanyel i pożegnawszy się z kapłanem, wziął do ręki wodze Czarnej Stopy. Klacz nie stawiała oporu, wręcz przeciwnie, robiła, co mogła, żeby zaciągnąć go do stajni. Gdyby nie miał głowy zaprzątniętej czym innym, pewnie bardzo by go to rozbawiło.

Siłą sprowadził Czarną Stopę do stępa i wnet pogrążył się w osobistych rozterkach. Rozwiązanie problemu ze Stefenem wcale nie wydawało się bliższe. Nadal nie znajdował sposobu na pogodzenie zupełnie sprzecznych elementów swego życia.

— Co ty byś zrobiła? — zwrócił się do klaczy, która w odpowiedzi naciągnęła cugle w uździenicy, próbując go zmusić do przyspieszenia kroku. — Och, wiem, co byś zrobiła — powiedział. — Coś byś zjadła.

Czarna Stopa nie zwróciła na niego uwagi, szarpnęła się za to niecierpliwie, kiedy przekraczali próg stajni, i pociągnęła go za sobą do przestronnej przegrrody. Vanyel zauważył, że kilka pozostałych, zazwyczaj zajętych przegród, stało pustych. A więc dopisywało mu szczęście — wyglądało na to, że mieszkańcy Forst Reach wybrali się dokądś, i to całą gromadą. Tressa zaś, uczyniwszy ze Stefena swego półjeńca i dostarczyciela rozrywek, nie będzie się rozglądać za swym synem.

Vanyel rozsiadł klacz i oporządził ją. Najwyraźniej należała do tych zwierząt, które bardzo lubią czyszczenie, bo przeżyła się pod szczotką, wzdychała radośnie i w ogóle zachowywała się tak czarująco, jak gdyby wcale nie sprzeciwiała mu się przez większą część ich wspólnej przejażdżki. Czesząc ją zgrzebłem, Van zastanawiał się dokąd pójść, by móc spokojnie pomyśleć. Chodziło mu o miejsce, w którym mógłby go znaleźć ten, kto naprawdę chciałby go znaleźć, ale do którego nie zajrzałby nikt, kto nie przetrząsnąłby najpierw całej okolicy w poszu-

kiwaniu jego osoby.

Raptem przypomniało mu się: z tamtej strony zamku, gdzie jeszcze nic nie dobudowano, znajdował się pewien niedostępny ganek. Ocieniały go drzewa i stanowił dość przyjemny zakątek, lecz ze względu na to, że dojść do niego można było tylko przez spiżarnię, rzadko kto tam chadzał. Ganek był nazbyt odkryty, by urządzać schadzki, i nadto niezręcznie położony, aby przydać się do czegokolwiek innego. Natomiast potrzebom Vanyela mógł służyć wręcz idealnie.

Czarna Stopa zarżała błagalnie i nosem trąciła swój kubeł na obrok.

— Ty łakoma bestio, dziwne że jeszcze nie obrośłaś tłuszczem jak jakiś kuc! — wykrzyknął ze śmiechem. — No, ale mnie nie przechytrzysz. Znam tutejsze zasady, moja mała, i wiem, że nigdy cię nie karmią przed wieczornym udojem.

Spojrzała na niego z wyrzutem i odwróciła się zadem.

— I nie pozwalają ci próżnować w twojej przegrodzie — dorzucił, otworzywszy na oścież drzwi na wybieg. — Jest piękny dzień, wychodź i rozruszaj trochę ten twój pulchny kuper.

Klepnął ją w zad, a ona pisnęła zaskoczona i wypaliła przez otwarte wyjście. Hamując na skraju wybiegu, wszystkimi czterema kopytami zaryła się w piasku, jeszcze parszając z oburzeniem. Ale było za późno — Vanyel zamknął już drzwi.

Rozbawiony groźnym spojrzeniem, które klacz posłała mu zanim wypadła na wybieg, odszedł, powracając do zamku i swoich rozmyślań.

Stefen zabrał swój instrument, spodziewając się, że Tressa zaprowadzi go wprost do swego buduaru. Pokój ten stanowił zazwyczaj sanktuarium dam. Tressa jednakże nie wiodła go wcale w tym kierunku; poprowadziła go na dwór, a potem ścieżką przez ogrody. Była to dość uczęszczana ścieżka wybiegająca poza ostatni żywopłot na granicy ogrodu, za którym jak okiem sięgnąć rosły już tylko drzewa.

— Lady Tresso? — zagadnął Stef grzecznie. — Dokąd, na bogów, idziemy?

— Czy Van ci nic nie powiedział? — zdziwiła się i zatrzymała na moment, aby popatrzeć na niego przez ramię.

Stefen potrząsnął głową i wzruszył ramionami,

— O niczym nie wiem. Spodziewałem się, że zabierzesz mnie, pani, do swego buduaru.

— Och, rzeczywiście, wybacz. — Zaśmiała się, a raczej zachichotała. — W lecie nie pracujemy w buduarze, chyba że znajdzie się akurat dużo tkania — przychodzimy tutaj, „do sadu gruszowego. O tej porze roku nikt tu nie pracuje, a miejsce jest prześliczne i chłodne nawet w najbardziej upalne dni. Niestety, w zaniku panuje lekka stęchlizna i bardziej niż lekka wilgoć — któż chciałby tam siedzieć w tak cudowną pogodę.

— Przypuszczam, że nikt — odparł Stefen. Mniej więcej w tej samej chwili między drzewami ukazały się pozostałe damy. Usadowione w półkolu w cieniu,

już zajęte były pracą. Siedząc na trawie pod drzewami, tworzyły bardzo piękny widok.

Kiedy zbliżyli się, powitał ich chór pozdrowień. Lady Tressa usiadła na krześle — tylko ona miała taki wymyślny, składany sprzęt; po krótkim namyśle Stefen uznał go za rzecz nie pozbawioną sensu, zważywszy na jej wiek.

Teraz młody bard znalazł się w centrum zainteresowania; Tressa odczekała, aż emocje jej dam podgrzeją się do odpowiedniej temperatury, chociaż z pewnością dworki domyślały się, kim jest Stef. Przytrzymawszy je odpowiednio długo w niepewności, przedstawiła go wreszcie jako „barda Stefena, przyjaciela Vanyela”. Usłyszawszy to, niektóre z obecnych pań znacząco spojrzały, a jedna czy dwie zawiedzione, wyduły tylko wargi.

Najwyraźniej skłonności Vanyela stały się tajemnicą poliszynela i snuto już podejrzenia co do tego, jakie treści mogą się kryć za określeniem „przyjaciel”. Stefen zignorował znaczące spojrzenia i uśmiechnął się z całym czarem, na jaki było go stać, następnie usiadłszy na podsuniętej mu poduszce u stóp Tressy, zaczął stroić cytrę. Dziękował bogom, że zrobił to dokładnie poprzedniego wieczoru i teraz wystarczyło lekkie dostrojenie. Jego dwunastostrunowa cytra była cudownym instrumentem, ale strojenie jej po podróży stanowiło istny sprawdzian cierpliwości.

— Jakie jest twoje życzenie, pani? — zapytał, gdy instrument osiągnął zadowalający dźwięk. — Spełnianie twych życzeń jest dla mnie przyjemnością.

Tressa wdzięcznie pokiwała do niego.

— Coś, co będzie pasowało do tego dnia — powiedziała. — Może o miłości.

Stef na moment oniemiał. „Niemożliwe, żeby powiedziała to celowo. To chyba nie była aluzja do mnie i Vanyela.”

Rzut oka na jej twarz uspokoił go, że Tressa nie robi nic innego tylko zabawia się grą w dworską miłość. Nie miała na myśli nic poza chęcią, spodziewanego zresztą, odsłonięcia się na jego pochlebstwa.

Cóż... Stefen, owszem, nie poskąpi jej pochlebstw.

— Czy odpowiednie będą *Oczy mojej pani*? — zapytał, wiedząc od Vanyela, że to ulubiona pieśń Tressy.

Tressa rozpromieniła się i skromnie skinęła głową. Stef pogratulował sobie wyczucia.

— Bardzo byłoby miło — odparła, poprawiając się w swym krzeselku. Nawet nie udawała zainteresowania przyniesioną ze sobą robótką.

Stefen uśmiechnął się do niej — tylko do niej, zgodnie z regułami gry — i zaczął śpiewać. Przy trzeciej piosence zdążył już polubić Tressę i to bynajmniej nie dlatego, że z taką namiętnością schlebiała jego ego ani też, że była matką Vanyela. Jak powiedział Van, Tressa miała po prostu bardzo dobre serce. Kiedy Stefen przerwał, aby dać odpocząć swym palcom, zapytała go o Medrena; i wcale nie przez grzeczność. Mając za nic krzywe spojrzenia obecnych, po pierwszej

odpowiedzi Stefena, brzmiącej: „miewa się dobrze”, zadała jeszcze kilka pytań dotyczących wnuka.

— Czy awansowali go już z wędrowca? — zapytała, po kilku szczegółowych pytaniach o stan zdrowia Medrena i jego postępy. Stefanowi zdało się, że wyczuł w jej głosie jakąś tęsknotę.

Przez chwilę zastanawiał się, milcząc; włosy falowały mu od lekkiego wiatryku muskającego jego szyję.

— Do chwili naszego wyjazdu, nie, pani — odparł. — Lecz szczerze myślę, że stanie się to niebawem. Jest bardzo zdolny, a nie mówię tak tylko dlatego, że to mój przyjaciel. Rada Kręgu Bardów czeka tylko, aby ucichła wrzawa związana z moją przyspieszoną nominacją, wtedy promują następną osobę. A jeśli chcesz, pani, znać prawdę, to według moich przypuszczeń prawdopodobnie mogli czekać na mój wyjazd, aby nikt nie oskarżył mnie o wykorzystanie moich wpływów dla zdobycia przez niego Szkarłatów.

— Bardziej Stefenie — zaczęła Tressa i zawahała się, spoglądając na niego trochę dziwnie. Tym razem Stef nie miał wątpliwości, że było to spojrzenie pełne nadziei. — Czy sądzisz, że otrzymawszy je, zechce przybyć tutaj i objąć stałą placówkę? — Uśmiechnęła się i spłoniła lekko. — Skłonna jestem bezwstydnie wykorzystać jego powiązania rodzinne, jeśli tylko myślisz, że byłby gotów to zrobić. W innym przypadku Forst Reach nigdy nie doceni mistrza sztuki bardów.

Stefen myślał przez chwilę nad odpowiedzią. Tressa miała całkowitą rację: Forst Reach było zbyt małe, aby domagać się uwagi barda mistrza. Nie ulega wątpliwości, że tutaj nie miałyby żadnych szans na rozwój, przynajmniej w normalnych okolicznościach. Jednakże Forst Reach położone było nad granicą, w bliskości dopiero co połączonych królestw, Baires i Lineasu, znajdujących się pod panowaniem herolda Tashira. Miały tutaj miejsce znaczące wydarzenia — rozwikłanie tajemnicy mordu na rodzinie Tashira miało być zresztą tematem planowanej przez samego Medrena pracy dyplomowej — a istniało też wszelkie prawdopodobieństwo, że w przyszłości może tutaj dojść do wydarzeń jeszcze bardziej doniosłych. Byłyby to sprawy tej rangi, że Krąg Bardów naprawdę wolałby chyba mieć na miejscu barda, który mógłby je zapisywać.

Co więcej, Medren nigdy nie przejawiał takiej ambicji, jaka cechowała Stefena — nigdy nie mówił o awansie w kręgach dworskich, ani o pozyskaniu dla siebie poważnego patrona. Równie dobrze mógłby być szczęśliwy tutaj.

— Sądzę, pani, że warto byłoby go o to zapytać — oznajmił Stefan z absolutną szczerością. — A wiem, że jeżeli tylko tego zechce, Krąg przyzna mu urlop na pobyt tutaj. Zwłaszcza gdybyście zechcieli podzielić się nim z Tashirem.

— Podzieliłabym się nim z kimkolwiek, jeżeli tylko dzięki temu moglibyśmy mieć tutaj barda — zawołała Tressa. — Tashir to dobry chłopiec, więc jestem pewna, iż uda nam się ustalić taki plan, żebyśmy nie potrzebowali Medrena w tym samym czasie. Nie powinno to przysporzyć nadmiernych trudności, nawet

w przypadku uroczystości związanych z porami roku — ja zaplanuję nasze odrobinę wcześniej, a on swoje odrobinę później. . . — Jej głos ucichł, zaczęła jednym palcem uderzać się w usta; było jasne, że pogrążyła się w rozmyślaniach. Stefen również zamilkł i czekał, dopóki Tressa nie odezwała się ponownie.

— A zatem złożę oficjalną prośbę — rzekła na głos i odwróciła się do Stefena, wyciągając w błagalnym geście dłoń. — Czy zechciałbyś. . .

— Porozmawiam z nim, pani — zapewnił ją Stefen.

Oszłamiający uśmiech, którym go obdarzyła, był niewątpliwie dowodem piękna, jakim musiała błyszczeć w najlepszych latach swej młodości. Zrobił lekki ukłon, uciekając się do jej gry, zanim zdołała przekonać go, by obiecał więcej, aniżeli mógł spełnić. Miał wyraźne przecucie, że przy odrobinie wysiłku, udałoby się jej uczynić nawet i to.

Wtem za plecami usłyszał tętent kopyt końskich na suchej ziemi. Właśnie miał się odwrócić, aby sprawdzić, któż to nadjeżdża, kiedy lady Tressa zajrzała mu w twarz przez ramię, rozpromieniona i oszłamiająco uśmiechnięta.

— A oto drugi powód, dla którego w pogodne dni, kiedy Vanyel jest w domu, spotykamy się pod gołym niebem — powiedziała rozradowana. — Zwłaszcza jeśli uda nam się namówić Vanyela na występ, albo mamy do dyspozycji innego muzyka. Witaj, lady Yfandes! Wszelkie próby wprowadzenia cię do buduaru musiałyby niezawodnie zakończyć się niepowodzeniem, nieprawdaż?

Stefen odwrócił się. No tak, to była Yfandes; dygnęła — bo niewątpliwie tak trzeba to nazwać — przed lady Tressa, dodając do tego rzenie, w którym dało się słyszeć rozbawienie. Potem przeszła na miejsce najwyraźniej przygotowane dla niej i ułożyła się wygodnie. Tak, to jedyne określenie, jakie przychodziło Stefanowi do głowy — w jej ruchach było dużo więcej gracji niż u zwykłego konia i zdecydowanie przywodziły na myśl sposób, w jaki siada prawdziwa dama, która czyni to zawsze pomału, z troską o fałdy swej sukni.

— Lady Yfandes przepada za muzyką, podobnie jak ja — z powagą oznajmiła Stefanowi Tressa. — Gdy Vanyel w końcu mi o tym powiedział — och, ten nierozważny chłopiec! — stwierdziłam, że nie ma powodu, dla którego nie miałyby się do nas przyłączać, kiedy tylko ma ochotę.

Stefen uzmysłowił sobie naraz, lekko wstrząśnięty, że Tressa mówi o Yfandes jak o składającej jej wizytę damie, w sposób zupełnie naturalny, nie mając trudności z uznaniem Yfandes za „osobę”, a nie konia.

„To dużo więcej, niż ja potrafię wykrzesać z siebie — zasmucił się. — Wciąż muszę sobie przypominać, że ona nie jest tym, na co wygląda. Jestem w końcu bardem, powinienem doskonale to rozumieć!”

— W takim razie, moje panie — powiedział, lekki ukłon kierując do Yfandes, a kolejny uśmiech do Tressy — pozwólcie, że powrócę do mej cytry, by umilić wam czas.

W zasadzie sam bardzo dobrze się bawił. Damy zdawały się oczarowane, ma-

jąc do swej dyspozycji talenty prawdziwego barda. Niektóre panie były dość ładne i choć Stefen nie miał żadnych intencji posuwania się zbyt daleko w swych flirtach, kiedy któraś nieśmiało okazywała mu swój zachwyt, odpowiadał jej równie czarująco. Wszystko mieściło się w regułach gry Tressy. A najlepsze było to, że występ Stefena nie miał nic wspólnego z pracą — dla pogłębienia siły wyrazu wykonywanych pieśni bard korzystał zaledwie z nikłej domieszki swego daru, niemal tego nie odczuwając. W niczym nie przypominało to głębokiego, wycieńczającego transu, na jaki musiał zdobywać się dla króla.

Szkoda, że Vanyel akurat postanowił gdzieś zniknąć. Ale Stef zaczął się do tego przyzwyczajać. „Van medytuje — pomyślał z ironią. — Muszę przyznać, że ostatnimi czasy ma o czym. O ile go znam, bez względu na to, co było między nami ostatniej nocy, będzie cierpiał katusze, zanim się z tym pogodzi. Dzięki bogom, że nie może się wyprzeć więzi życia, bo inaczej pewnie wszystkie noce, jakie tu spędzimy, musiałbym poświęcić na przekonywanie go, że nie ma szans się mnie pozbyć. To mogłoby być całkiem przyjemne, ale dość wyczerpujące.”

Zastanawiał się, co o tym wszystkim myśli Yfandes. Oczywiście pomogłaby, gdyby stanęła po jego stronie. Rzucił na nią okiem; jej biała sierść jaśniała na tle zieleni. Rzecz jasna, Yfandes patrzyła na niego, kiwając przy tym głową w rytm muzyki. Nie ulegało wątpliwości, że za łagodnymi, błękitnymi oczami kryła się potężna inteligencja.

„Może fakt, że przyszła tutaj, świadczy o tym, że mnie lubi — pomyślał, nie znajdując cienia wrogości w jej pozie czy sposobie bycia. — Mam nadzieję. O ilez łatwiejsze byłoby moje życie. . .”

Wkrótce po drugiej przerwie, Yfandes wstała. Uczyniła to tak cicho, że natychmiast stracił spokój — coś tak wielkiego nie ma prawa poruszać się bezgłośnie! — po czym oddaliła się, manewrując pomiędzy drzewami. Stefen uznał to za dobry znak. Jeżeli Van natknął się na jakieś trudności w swych rozważaniach, Yfandes najprawdopodobniej właśnie szła do niego. I bez względu na to, co złego się działo, Stefen był pewny, że Yfandes pomoże zaprowadzić porządek w głowie i w sercu swego Wybranego.

Zanim Stefen rozpoczął kolejną pieśń, spostrzegł, że ktoś nadchodzi drogą dla wozów, przecinającą sad. Człowiek ten poruszał się powoli i gdy się zbliżył, Stefen zobaczył, dlaczego: na drażu założonym na ramiona dźwigał dwa ciężkie kosze. Był to więc jakiś robotnik, a nie ktoś poszukujący Stefena lub Tressy; nie zaszło nic, co dotyczyłoby któregoś z nich.

Dalej więc dzielił się z Tressą nowinkami z dworu, a pozostałe damy słuchały, nachyliwszy się w ich stronę. Ciągłe jednak coś w tym zbliżającym się człowieku, w nieuchwytny zupełnie sposób, nie dawało Stefanowi spokoju. Kątem oka obserwował, jak nieznajomy podchodzi coraz bliżej, i wciąż nie mógł pojąć, czym ten człowiek wprawia go w tak nieprzyjemny stan.

Naturalnie, żadna z pozostałych osób zdawała się nie zauważać w owym męż-

czyżnie nic niezwykłego. Panie ignorowały jego obecność, jak gdyby w ogóle nie istniał.

Ale... „Wydawało mi się, że Tressa wspomniała, jakoby o tej porze roku nikt tu nie pracował. Więc co on tutaj robi?”

Popatrzył na nieznanego ponownie, tym razem nieco dłużej, i uzmysłowił sobie coś znacznie bardziej alarmującego.

Mężczyzna nosił bardzo dobre ubranie — lepsze od uniformu Stefena.

„Co chłop robi w takim ubraniu?”

Wrażenie niecodziennosci tej sytuacji nagle wzrosło i Stef zareagował instynktownie: rzucił się na Tressę i jej fotel, przewracając go na ziemię.

W samą porę, bo nagle coś małego, z morderczym zapędem, świsnęło ponad ich głowami, przecinając powietrze dokładnie w miejscu, gdzie jeszcze przed momentem siedziała Tressa...

Vanyel wychylił się przez balustradę. Granit pod jego rękami był ciepły i szorstki; mocny i dziwnie kojący. „Chcę mieć wokół siebie rzeczy mocne — pomyślał. — Moje życie rozplywa się, tyle spraw zależy od szczęścia i tego, co robią inni. Tak bardzo chciałbym znaleźć jakiś punkt zaczepienia, coś, na czym zawsze mógłbym polegać.”

„Albo kogoś...”

Z miejsca, gdzie stał, widok był żaden; tuż pod balustradą posadzono krzaki, a za nimi drzewa. Ale krzewy tak się rozrosły, że zasłaniały wszystko, co tylko można byłoby stąd zobaczyć. Z drzewami z trzech otwartych stron i ścianą od tyłu, ganek nie mógł przydać się na wiele, chyba że jakiemuś przypadkowemu próżniakowi.

Słońce padało wprost na głowę Vanyela ogrzewając go, mimo że jego białe szaty odbijały ciepło. Zachowywał się tak cicho, że malutkie żółtozielone ptaszki, gnieźdzące się przez cały rok w gałęziach krzewów, wznowiły swe szczebioty, które Van przerwał swym wejściem na ganek, i zaczęły nawet podfruwać, aby usiąść obok niego na balustradzie.

Znów jesteście zadumani, tak?

Vanyel zamrugał powiekami i wyrwał się ze swych rozmyślań. Poniżej stała Yfandes, ledwie widoczna pomiędzy grubymi gałęziami krzewów.

Przypuszczam, że można by to tak nazwać — przyznał. — Chodzi o...

Stefena, rzecz jasna — przerwała mu. — Pomyślałam, że już dość czasu spędziłeś na zamartwianiu się i pewnie zdążyłeś doprowadzić się do skrepu kiszek.

Ha! — Zdziwiony uniósł jedną brew. — Strzał w dziesiątkę. Aż tak łatwo przewidzieć moje reakcje?

W pewnych wypadkach, tak. Spodziewam się, że zdążyłeś zignorować fakt, iż łączy was więź życia, a on naprawdę cię kocha. A ty kochasz jego. W takim razie,

czym się martwisz?

Vanyel westchnął i popatrzył na chmury przesuwające się po modrym niebie.

Niebezpieczeństwem, moja kochana. Groźącym jemu i mnie. Mnie, ponieważ mogą go wykorzystać przeciwko mnie jako zakładnika. Jemu, ponieważ z chwilą kiedy stanie się jasne, co nas łączy, on znajdzie się w bardzo złym położeniu. Nie wiem, czy powinienem brać na siebie taką odpowiedzialność, nie mam pojęcia, czy powinienem podejmować takie ryzyko.

Yfandes oddaliła się na moment.

No cóż, co do pierwszej rzeczy... Stefen został przydzielony do pracy w Przystani i bardzo go sobie tam cenią; przynajmniej uzdrowiciele uczący się naśladować to, co on robi. Nie potrafią jeszcze osiągnąć podobnego efektu bez kontaktu fizycznego i w ich wypadku obiekt reaguje najlepiej, kiedy obydwie strony znajdują się w transie. Spróbuj dalej poprowadzić negocjacje w tym kierunku i przekonaj się, co potrafisz wskórać!

Vanyel zachichotał, wyobraziwszy sobie taką sytuację.

Dotychczas tylko Stef był w stanie utrzymać Randiego na nogach na tyle, żeby mógł funkcjonować, kiedy ma bóle — ciągnęła — Jako tak ważna osoba, będzie miał najlepszą ochronę w Przystani. Co się zaś tyczy twojego drugiego pytania — Stefen to dorosły mężczyzna. Zapytaj go, czy jest skłonny wziąć na siebie ryzyko związane z byciem twoim kochankiem. Stawiam na to, że sam już o tym myślał, i uznał, że tę cenę musi zapłacić, jeśli chce mieć ciebie.

Vanyel odepchnął się od balustrady i założył ręce na piersi.

Naprawdę tak uważasz? — spytał z powątpiewaniem.

Z dołu dobiegło go rozdrażnione parsknięcie.

Naturalnie, że tak uważam. Czy inaczej mówiłabym coś podobnego? Wiesz, że nie umiem kłamać w żywy umysł!

Vanyel poczuł się podniesiony na duchu jej stałą obecnością i trzeźwym stosunkiem do całej sprawy. Bez względu na to, co się działo, bez względu na to, co się gmatwało w jego życiu, Yfandes zawsze była przy nim, gotowa spieszyć mu z pomocą. Dzięki temu wszystko stawało się o wiele prostsze...

Raptem, w jednej sekundzie, dobre samopoczucie Vanyela prysło, a jego miejsce zajęło wrażenie bezpośredniego zagrożenia. Naraz rozdzwoniły się wszystkie alarmy w jego głowie. Nie myśląc wiele przesadził balustradę, jednym susem rzucał się przez krzaki i wylądował przy Yfandes.

Ona czuła to samo co on — byli ze sobą tak ściśle związani, że nie mogła tego zlekceważyć. Vanyel skoczył na jej grzbiet...

Najwyraźniej Yfandes sama odebrała jakieś sygnały, bo natychmiast, gdy znalazł się na niej w bezpiecznej pozycji, skoczyła przed siebie ponad krzakami, kierując się do sadu. Dzięki temu wiedział już, dokąd powinien zmierzać: ścisnął nogami jej brzuch, wczepił palce w grzywę, jednocześnie przywołując swój dar magii i dalekowzroczności.

„Magia...”

Silna, kontrolowana, gdzieś w pobliżu.

„Dobrzy bogowie... — Jego umysł szalał. — Sad gruszowy!”

Yfandes przesadziła żywopłot otaczający ogrody — lecieli naprzód, jej kopyta wrywały z trawników wielkie kępy darni — przeskoczyła żywopłot po drugiej stronie i wpadła do sadu.

Kobiety krzychały przerażone, rozpierzchając się we wszystkich kierunkach bez ładu i składu. Ciężkie suknie utrudniały szlachciankom poruszanie — przewracały się częściej, niż biegły. Służki zadarły suknie ponad kolana i uciekły, by skorzystać z wątpliwego schronienia za pniami drzew. Poduszki latały we wszystkich kierunkach, a że jedna czy dwie z nich się rozerwały, powietrze było pełne pierza.

Powód paniki stał się jasny, kiedy odziany na brązowo nieznajomy, stojący tyłem do Vanyela i Yfandes, uniósł w górę ramiona.

To był mag — a jego cel był oczywisty. Tuż przed nim leżeli Tressa i Stef. Kiedy mag gotował się do porażenia ich na miejscu, Vanyel poczuł gromadzącą się energię.

„Ależ... to ten człowiek, którego złapałem...”

Na moment przed tym, jak obcy wystrzelił magicznym ogniem, Yfandes wydała z siebie okrzyk wzywający do walki. Zaskoczony hałasem mag wykonał półobrót i piorun wypalił trawę tuż obok Stefena i matki Vanyela.

Był szybszy od wszystkich magów, jakich Van dotąd spotkał, przynajmniej w walce. Zanim zdołał przygotować swój strzał, mag w mgnieniu oka znów wypalił — dokładnie w chwili, kiedy Van uzmysłowił sobie, że on i Yfandes wcale nie są osłonięci.

Vanyel zwiększył strumień energii, rzucając ją wprost na osłony mające ochronić ich oboje. Ale spóźnił się o ułamek sekundy. Yfandes zrobiła unik, usiłując uchylić się przed strzałem, ale skutek był tylko częściowy — krawędź piorunu poraziła ich oboje.

Van był bezpieczny; dla niego wystarczyło osłony — ale Yfandes wrzasnęła porażona. Upadła w pół kroku i przewróciła się na bok. Błyskawiczne pojawienie się pustego punktu w jego umyśle powiedziało Vanyelowi, że straciła przytomność.

Yfandes!

Chciał, musiał jej pomóc. Ale nie było czasu — nie było czasu.

Gdy upadła, odsunął się od niej, padł na ziemię, przeturlał się i sam wystrzelił piorunami miotając je obiema dłońmi. Poczuł pieczenie, jak gdyby wsadził ręce do ognia, ale nie zważał na ból.

Nieznajomy uchylił się przed jednym strzałem, drugi wchłonęły jego osłony. Odpowiedział ogniem.

Vanyel odskoczył w bok przed strzałem i posłał zygzak błyskawicy pod stopy przybysza. Jak miał nadzieję, osłony wroga nie sięgały aż tak daleko i piorun dotarł do celu. Mężczyzna wrzasnął i jął skakać jak oszalały, ale nie ustępował; wciąż był zbyt blisko Stefena i matki Vanyela. . .

Vanyel wystrzelił *sandar*, ognisty żywioł, celując nim prosto w twarz przeciwnika. Ten zachwiał się, ale wytrzymał na swym miejscu i odbił pocisk druzgoczącym strumieniem mocy. To zapewniło Vanyelowi dość wytchnienia przed ofensywą. Nie dając magowi szans na przygotowanie kontrataku, Van wypuścił trzy błyskawice, jedna po drugiej, zmuszając wroga do wycofania się, o krok po każdym strzale.

Wiedząc, że sztuczka działa, że udało mu się odepchnąć maga od Stefena i Tressy, Van w dzikim szale zaczerpnął energii i jął bombardować osłony przeciwnika piorunami. Choć żaden z nich nie przeniknął bariery, ich napór wystarczył, aby dalej spychać mężczyznę w głąb sadu.

Vanyel tak długo miotał pociskami z błyskawic, że od wysiłku krzesania ich z żywej magii całe jego ciało opanowało drzenie, a zmysły płonęły mocą tych wystrzałów. Cały jego świat zawęził się teraz do tego jednego strumienia energii, celu i nie sprecyzowanego pojęcia o tym, gdzie są Stefan i Tressa.

W końcu mag stanął dokładnie naprzeciw tych dwojga, leżących na ziemi. Najwyraźniej nie wiedział, że tam są; zapewne dlatego, że Van wciąż zmuszał go do skupienia się na obronie. Jeszcze tylko kilka kroków, a Van będzie mógł wziąć ich pod własne osłony. . .

Ale akurat ten moment — pomimo wysiłków Stefena, aby ją powstrzymać i zasłonić własnym ciałem — Tressa wybrała na podniesienie się z ziemi. Jej ruch przyciągnął uwagę maga. . .

Popatrzył Vanyelowi prosto w oczy i uśmiechnął się. Następnie sięgnął do kieszonki w swym bucie, rzucił czymś. Nie była to żadna nowa broń napędzana siłami magii, ale materialny, stalowy przedmiot, za którym mag posłał piorun. Ale to nie Vanyel był celem. Była nim Tressa.

— NIE! — wrzasnął Vanyel, rzucając się pomiędzy matkę a prujące wprost na nią ostrze. . .

Gdy zderzył się z Tressa i razem z nią padał na ziemię, poczuł uderzenie na ramieniu. . .

Zaraz potem nastąpił szok, który w mgnieniu oka zniekształcił cały świat nie do poznania, chwycił Vanyela za kark, potrząsnął jak pies ścierką i rzucił go w ciemność.

Stef robił wszystko, żeby ściągnąć Tressę z powrotem na ziemię, gdy kolejny z oślepiających błysków rozprysł się na jego twarzy. Krzyknął z bólu, kiedy żar wypalał mu oczy, i jeszcze raz, kiedy runęły na niego dwa ciała.

„Nic nie widzę... Nie mogę złapać tchu. Muszę się stąd wydostać...”

Szamotał się, usiłując się spod nich wydostać. Z oczu płynęły mu łzy, zamazując obraz wszystkiego wokół.

Próbował zmusić oczy do patrzenia. Jediną osobą stojącą jeszcze na nogach była brązowa postać maga, który ich zaatakował. Postać podniosła coś w górę, a Stef szamotał się jeszcze bardziej, chcąc się uwolnić, bo wiedział, że tym razem nic nie może maga powstrzymać... że mag jakimś sposobem pozbył się Vanyela...

Hej! — Zabrzmiał szorstki okrzyk.

Mag podskoczył i odwrócił się akurat w momencie, gdy oczy Stefena odzyskały ostrość widzenia. Mag w szoku rozdziawił gębę i starał się nadać nowy kierunek strumieniowi energii, którym miał właśnie porazić swe trzy ofiary.

Ale było za późno.

Radevel już się na niego zamierzał; spuścił swój ciężki miecz ćwiczebny na głowę maga, który albo próbował uchylić się przed ciosem, albo pchnąć na Radevela magiczny piorun przeznaczony dla kogo innego. To nie miało znaczenia. Tępe, metalowe ostrze oderżnęło mu obydwie ręce jak suche patyki, prując dalej w niepohamowanym rozpędzie. Uderzający miecz wydawał dźwięk, jakiego Stef dotąd nie słyszał: głuchy łomot z dziwnym poszumem, jakby pękało coś wilgotnego, jak wtedy gdy Rad niszczył nie wypalone gliniane naczynie.

Mag upadł, a Stef przełknął ślinę i czując, że mu się robi mdło, stłumił gwałtowną potrzebę wymiotowania. Widział już mnóstwo trupów — ludzi, którzy umierali z zimna, głodu, choroby, rozpusty — ale nigdy nie widział nikogo zabijanego. W pieśniach wyglądało to zupełnie inaczej. Trudno mu było myśleć; miał nie sprecyzowane przekonanie, że powinien poszukać Vanyela, ale jakoś nie mógł się pozbierać. W końcu zauważył, że Van był jedną z osób, które się na niego przewróciły.

„Van... Nie rusza się...”

Yfandes stanęła na równe nogi, gwałtownie potrząsnęła głową, wreszcie rozejrzała się za Vanyelem. Spozrzęła go obok powalonego maga. Ciężkim krokiem podeszła tam, odepchnęła Radevela i jęła deptać ciało maga wszystkimi czterema kopytami.

„Jeżeli nie był martwy, padając na ziemię, to na pewno teraz jest.”

Radevel włożył tępy miecz za pasek i odwrócił się. Zza drzew wyszło, posuwając się ku niemu z wolna, kilku młodych mężczyzn i chłopców — odgłosy torsji powiedziały

Stefenowi, że najprawdopodobniej jest ich więcej, ale nie są jeszcze w stanie chodzić.

— Mam nadzieję, że uważaliście — powiedział Radevel trzeźwo. — Jeśli pojmujecie, ile warte jest zaskoczenie maga w chwili, kiedy ma zamiar rzucić zaklęcie, to znacie najlepszy sposób, żeby go dostać. Trzeba przyciągnąć jego uwagę i przeszkodzić w czarach, a potem walić, zanim zdąży zmienić kierunek zaklę-

cia. Najpierw brać się za jego ręce — większość z nich macha ramionami przy rzucaniu zaklęcia. Jeśli to możliwe, starajcie się utrzymać go przy życiu, żeby go potem przesłuchać.

Obejrzał się przez ramię na Yfandes skowyczącą z wściekłości i ze wszystkich sił starającą się wdeptać w ziemię to, co zostało z maga.

— Rzecz jasna — ciągnął dalej — kiedy w sprawę zamieszana jest rodzina albo heroldowie, takie rozwiązanie nie jest zbyt dobre.

Wyraz jego twarzy i ton głosu nie zmieniły się ani na jotę, lecz Stef zauważył (dziwnym zakamarkiem umysłu, który zdawał się rejestrować wszystko), że oczy Radevela rozszerzyły się, kiedy ponownie spojrzął na Yfandes, i teraz cofał się przed nią, powoli, spokojnie krok po kroku.

Służący zmaterializowali się, ledwo mag padł na ziemię, i zaraz wyciągnęli Stefena spod herolda i jego matki. Potem nie zaprzęтали sobie już nim głowy, koncentrując się na próbach ocucenia lady Tressy oraz Vanyela. Radevel zwołał grupkę swych uczniów i przeciskał się pomiędzy nimi, chcąc dotrzeć do ciotki i swego kuzyna.

— Co się stało? — Jedna z dam złapała Radevela za ramię, gdy przechodził obok niej. — Skąd się tu wziął ten człowiek?

— Van go przywiózł — rzucił Radevel, odrywając jej rękę od swego ramienia. — Łobuz napadł na niego, a Van myślał, że to wariat. Zostawił go z ojcem Tylerem. Chyba to nie taki wariat, jak Van sądził. Ledwo Tyler odszedł, ten skorzystał z okazji, uwolnił się i pchnął go nożem. A ja szedłem właśnie na ćwiczenia z tą bandą, kiedy go znalazłem — całe szczęście, bo wykrwawiłby się na śmierć, gdybym się na niego nie natknął. W każdym razie mniej więcej wtedy zobaczyłem, jak Van pędzi tu na złamanie karku, więc poszedłem jego śladem.

Zanim kobieta zdążyła zapytać o cokolwiek, Radevel odszedł od niej i klęknął obok Stefena.

Ten nie miał pojęcia, co robić; Van był biały jak papier, z Tressa nie było lepiej. Obserwował służących, którzy starali się ich ocucić, czuł się bezradny i bezużyteczny. Radevel spojrzął na trzonek malutkiego nożyka tkwiącego w ramieniu Vanyela, ale nie dotykał go; przyłożył dłoń do twarzy Tressy.

— Coś tu nie gra — powiedział do Stefena. — To nie jest normalne. Przydałby się nam ekspert. Ty... — chwycił jedną ze starszych służek. — Uważaj, żeby nikt się przy nich nie kręcił. I niech mi żaden nie dotyka tego noża. Sprowadzę uzdrowiciela.

— Zawołam Savil... — zaoferował się Stef, usiłując stanąć na miękkich nogach, rad, że znalazło się dla niego jakieś zajęcie. Momentalnie, zanim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, puścił się dzikim pędem, nie zważając na to, że jego oczy na przemian to zachodzą mgłą, to klarują się; ani na zawroty głowy, przez co wciąż się potykał. Oddech palił mu gardło i nim przebiegł pół ogrodu, dostał kolki w obu bokach. Coś było nie tak — nie powinien być aż tak zdyszany. Miał wrażenie, że

coś wysysa z niego siły. . .

Savil była już w drodze — zderzywszy się z Kellan przy wejściu do ogrodu, Stefen został przez nią odepchnięty jak piłka. Gdy zatrzymała się, o mały włos nie nastąpiwszy na niego, on z ledwością usunął się z drogi, unikając spotkania z jej kopytami.

— Co się stało? — zapytała Savil, wyciągając ku niemu rękę i chcąc złapać go za ramię; nie trafiła i złapała go za kołnierz.

— Mag — wydyszał Stefen, trzymając się za bok. — Zaatakował mnie i lady Tressę. . . Nie, to nie tak, zaatakował Tressę, a ja po prostu byłem po drodze. Van go odciągnął, ale on dopadł Vana.” Bogowie, Van jest ranny i. . . ani jego, ani Tressy nie sposób docucić. . .

— Wystarczy, na razie nie muszę wiedzieć więcej. — Odwróciła się, odprawivszy jego i Kellan, a potem ruszyła przez ogród, pozostawiając go samego.

Przybył na miejsce tak zdyszany, że nie mógł mówić. Savil klęczała obok uzdrowiciela, badając ramię Vanyela.

— Odrułem ich — oznajmił uzdrowiciel matowym głosem. — Myślałem, że lady Tressę mógł zadrasnąć jeden z tych noży. Ale u żadnego z nich nie ma reakcji, a ja nie wiem dlaczego.

— Bo nie walczysz z trucizną, chłopcze, walczysz z magią — wymamrotała Savil, kiedy Stefen potknął się i z łkaniem upadł na ziemię obok niej. — Zanieśmy ich do łóżek. Przykro mi to wyznać, ale nie orientuję się w tych sprawach. Van umiałby sobie poradzić, ale cóż, w tej chwili nie ma o tym mowy.

Stef ścisnął swój bok, dusząc w gardle jęk. Savil obrzuciła go ostrym spojrzeniem.

— Nie poddawaj się, chłopcze — powiedziała cicho. — Nie orientuję się w tym, ale nie jestem jeszcze gotowa dać za wygraną.

Stef zacisnął zęby i pokiwał głową, starając się nadać swej twarzy taki wyraz, żeby Savil pomyślała, iż jej wierzy. Tymczasem Van leżał na ziemi blady jak trup.

Savil zakończyła badanie, bardziej szczegółowe aniżeli to, które mogła przeprowadzić w sadzie, i usiadła w swym fotelu, przyglądając się Vanyelowi i rozmyślając.

„Nie był przygotowany na magiczną broń, więc nie był przed nią osłonięty. Ale coś w znacznym stopniu opóźniło wszystko. Niech mnie licho, jeśli wiem co. Ha, to magiczny sztylecik, o czymś takim dotąd zdarzyło mi się tylko czytać. Nie wiedziałam, że żyje jeszcze ktoś na tyle biegły w magicznym rzemiośle, żeby umiał go zrobić.”

Rzuciła okiem na Stefena, który sam ostatecznie poradził sobie z szokiem wywołanym czarami maga i wracał już do siebie. Savil nie pomagała mu w tym, gdyż doszła do wniosku, że chłopiec da sobie radę, jeśli tylko nie zabraknie mu wytrzymałości. A jednak nie wychodził z szoku tak szybko, jak się tego spodziewała. Co i dlaczego się tu dzieje, nawet dla niej pozostawało zagadką.

Stef siedział po drugiej stronie łóżka Vanyela, trzymając go za rękę w pozie wzruszająco przypominającej Savil sposób, w jaki Van ujmował rękę Lendela, kiedy ten był w szoku po śmierci jego brata bliźniaka.

Ale było w nich jeszcze coś przejmująco podobnego do Vanyela i jej dawnego podopiecznego.

Kiedy wreszcie sobie to uzmysłowiła, myśl ta zdumiała ją do tego stopnia, że w obawie, czy nie daje się zwieść własnej wyobraźni, porozumiała się ze swym Towarzyszem.

Kellan! Możesz zapytać Yfandes, czy tego chłopca łączy z Vanyelem więź życia?

Jeśli jest... — Błysk zaskoczenia. — Ona mówi, że tak.

Do diaska. Czy to dlatego ten nożyk nie pozbawia Vanyela sił tak szybko, jak przewidywałam?

Zgadłaś. — Pauza. — Ona mówi, że prawdopodobnie tak; coś równie głębokiego jak więź życia trudno kontrolować. Yfandes twierdzi, że Vanyel dostaje siły jeszcze z jakiegoś innego źródła poza nią.

O, na chwałę Słonecznego Śpiewaka. — Przywołała swój magiczny wzrok i wbiła go w zły urok. — Wgryza się coraz głębiej, lecz na tyle wolno, że nie muszę się śpieszyć. Minie jeszcze parę dni, zanim magia poczyni trwałe szkody. Stef powiedział, że to było skierowane na Tressę; ciekawe, co miało jej zrobić? Może wziąć ją pod kontrolę; nigdy się tego nie dowiemy. Tak To prawda, że nie mam o tych sprawach pojęcia, a Vanyel jest w tej chwili nieosiągalny, mam jednak jeszcze co nieco w zanadrzu. Problem w tym, że tylko biegli z Tayledras umieją sobie radzić z tego rodzaju bronią. Ale przecież w tym stanie nie mogę przenieść do nich Vanyela przez Bramę; to by go zabiło.

„Cóż, z tego wynika, że to oni będą musieli przyjechać do niego, nawet jeśli musiałabym ich związać i zaciągnąć tu siłą.”

Dźwignęła się z fotela. Zobaczyła, jak wzrok Stefena błysnął w jej kierunku, by zaraz pobiec znów do Vanyela.

— Stefenie — zagadnęła. — Chcę, żebyś został przy nim. Nie pozwól nikomu go ruszyć, a przede wszystkim dotykać tego nożyka. Niedługo wrócę.

— Dokąd idziesz? — zapytał. Serce skoczyło mu do gardła, na twarzy pojawił się ślad paniki.

— Sprowadzić pomoc — odparła. — Pamiętaj tylko, co ci powiedziałam, i zastosuj się do tego.

Nim zdołał zebrać myśli na tyle, aby zdobyć się na zatrzymanie jej, wypadła z pokoju i popędziła na dół schodami, o których istnieniu wiedzieli tylko członkowie rodziny Ashkevron.

„Już ja ich sprowadzę, spokojna głowa — pomyślała ponuro, na wycucie zbiegając krętymi wąskimi schodami. — Czy będzie im się to podobać, czy nie”.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Savil wypadła z położonego na parterze schowka na bieliznę, który pozostał po legendarnych szaleństwach budowlanych jej ojca. W końcu korytarza znajdowała się dawna kaplica rodzinna, której drzwi Savil zamierzała użyć jako osnowy dla punktu docelowego Bramy. W przeszłości były one wykorzystywane do tego celu kilka razy i ich kamienie „pamiętały” układ zaklęcia. Wzniesienie Bramy na miejscu, gdzie już raz się ona znalazła, było dużo łatwiejsze i nie wymagało zużycia tak dużej energii. Bezpieczniej też zakotwiczyć Bramę na poświęconym podłożu; zmniejszało się prawdopodobieństwo, że coś pozbawi człowieka kontroli nad sytuacją.

„Osłoniliśmy tę kaplicę wprost perfekcyjnie — pomyślała Savil, przez moment lustrując drzwi. — Wcześniej były dobrze zabezpieczone, ale teraz to istna magiczna forteca. Zmniejsza to niebezpieczeństwo tego, że energia Bramy wydostanie się stąd i przenicuje biednego Vana na lewą stronę. Minęło już dwadzieścia lat, a jego kanały przepływu mocy wciąż są uwrażliwione na ten rodzaj energii. Wolałabym teraz nie ryzykować pogorszenia jego stanu.”

Jeszcze kilka miesięcy temu nie byłyby w stanie tego zrobić, bo nie miałyby na to sił. Lecz gdy Van przekształcił zaklęcie Wielkiej Sieci, uwolnił ją i pozostałych strażników, od stałego odpływu zasobów energii potrzebnych do podtrzymywania zaklęcia Wielkiej Sieci. Teraz, po raz pierwszy od lat, miała dość sił, aby pokonać każdą nieprzewidzianą okoliczność.

Odzyskania tej swobody nie mogłaby sobie zażyczyć w lepszym czasie. Zebrała się w sobie i przywołała cztery części Bramy: prawą i lewą, próg oraz nadproże. Mając już cały „szkielet”, zbudowany na prawdziwych ościeżach, oraz wszystkie boki, kiedy góra i dół drzwi jaśniały białym blaskiem, Savil wywołała drugą połowę zaklęcia. W ułamku sekundy przewyciężyła falę osłabienia, a potem wysłała w przestrzeń cieniutkie, penetrujące nitki energii Bramy, „poszukujące” miejsca, które im pokazała, gdzie miały wznieść drugie wyjście.

Tym razem poszło łatwiej niż przy poprzedniej Bramie do Pelagirs, ponieważ wiedziała już, gdzie k'Treva przenieśli swój wawóz przy ostatniej przeprowadzce i gdzie umieścili w nim swoje własne Bramy.

Choć teraz wszystko przebiegało szybciej, wnoszenie Bramy nigdy nie było

łatwe i cała potrzebna do tego energia musiała pochodzić od samego maga — nie można było użyć żadnych zewnętrznych źródeł. Jak zawsze, Savil czuła teraz, jakby to cząstki niej samej oddzielały się i wyruszały w przestrzeń, jak gdyby próbowała coś przenieść, choć przekraczało to jej siły. Trudno jej było myśleć, jakby ktoś hamował pracę jej umysłu. Mimo to od rozpoczęcia poszukiwań do momentu nawiązania kontaktu z drugim wylotem Bramy, nie minęło więcej niż parę chwil.

Błysnęło światło i drzwi kaplicy nie otwierały się już na prozaiczną rodzinną świątynkę, ale na gąszcz zielonych liści i skały z gorącym źródłem, bulgoczącym po prawej stronie.

Był to Wąwóz k'Trevów.

Savil potykając się przekroczyła próg Bramy i wyszła wprost na nieprzyjazne straże, stojące kręgiem bez najmniejszego drgnienia na twarzach.

Pół tuzina złotych wojowników o niebieskich oczach przeszywało ją wzrokiem ponad kryształowymi grotami swych włóczni i strzał. Choć sami nie byli magami, strażnicy znali najdrobniejsze oznaki aktywowania Bramy i gotowi byli rozprawić się z każdym, kto przez nią wkroczy na ich teren. Savil widziała strażników bramy na ich stanowiskach właściwie po raz pierwszy, chociaż spotkała kilku z nich podczas swych wizyt u Gwiezdnego Wichru i Tańczącego Księżyca — kiedy któryś mag z k'Treva musiał skorzystać z Bramy, straże zazwyczaj usuwały się z drogi.

Strażnicy wlepiali w nią oczy przez długą chwilę. Była rada, że nie przybyła ze złymi intencjami, wyglądali bowiem na zdolnych poradzić sobie ze wszystkim.

Zasadniczy i poważny był również wygląd strażników. Większość z nich nosiła włosy krótsze, niż to było w zwyczaju u ludzi z Tayledras, sięgające nieco poniżej ramion. Ponieważ było lato, zwykle srebrzystobiałe włosy ubarwione mieli na różne odcienie brązu oraz matowe zielenie i żółcie. Ich luźne ubrania były ufarbowane na te same kolory. Bardzo trudno byłoby dostrzec któregoś z tych ludzi ukrytego w koronie drzewa lub zaroślach.

Niektórzy z nich mieli dar magii, lecz wykorzystywanie tego daru dla żadnego nie było głównym zajęciem. Należeli do tych członków klanu Tayledras, którzy posiadając dar magii woleli raczej nie robić z niego użytku. Służyli klanowi na inne sposoby — jako uzdrowiciele i rzemieślnicy, zwiadowcy i strażnicy graniczni. Koniec końców nie potrzebowali wielkiej wrażliwości, żeby wiedzieć, kiedy Brama zostaje uaktywniona — objawy tego były oczywiste.

Większość z nich była raczej młoda — przeciętną długość życia zwiadowcy z Tayledras można było porównać do długości życia herolda polowego i w obu przypadkach uwarunkowania śmiertelności były podobne.

— Savil! — krzyknął jeden z nich, gdy ta uporała się z osłabieniem i podniosła wzrok. W jednej sekundzie na podejrzliwych i wrogich twarzach dokonana się przemiana. Ktoś ją znał i rozpoznał. Strażnicy opuścili broń i odstawili ją na bok,

a dwóch z nich przyszło jej z pomocą widząc, jak zatoczywszy się ze zmęczenia, upadła na kolana na nagi kamień przed Bramą.

— Skrzydlata Siostró! — zawołała ta sama, szczupła młoda kobieta o ostrych rysach, którą Savil poznała jako Ognistą Pieśń, a jej włócznia, odrzucona na bok, stuknęła o gładki kamień. Kobieta pomogła Savil wstać i zanim mag heroldów w ogóle zdążyła wyrazić swe potrzeby, wyrzuciła z siebie serię rozkazów.

— Ostrzu Wiatru, przynieś herbaty i miodu. Locie Jastrzębia, poszukaj Świetlistej Gwiazdy, powinien być ze swym nauczycielem fechtunku. Łowco Snów, porozum się z Gwiezdnym Wichrem i Tańczącym Księżycem. Słoneczna Chmuro, sprowadź mi tu jeszcze trzech strażników. Ruszać się!

Czworo z wyznaczonych strażników oddało broń swym towarzyszom i zniknęło. Ognista Pieśń, podtrzymując Savil, pomogła jej usiąść na wygładzonym siłami magii gładzie.

— Jak długo jesteś w stanie utrzymać Bramę? — zapytała, gdy Savil już siedziała.

— Tak długo jak będzie trzeba — odparła Savil oschłym tonem. — Nie przejmuj się, drugie wyjście jest zabezpieczone. Nie narażałabym k'Trevów na zagrożenie, którego mogę uniknąć.

— Świetnie. — Wyglądało na to, że Ognista Pieśń ma coś jeszcze do powiedzenia, ale przybiegł właśnie chłopiec wysłany po herbatę oraz ten, który miał przyprowadzić zmienników. Teraz uwagę strażniczki pochłonęli nowo przybyli.

Jak wszystkie Bramy wzniesione przez biegłych z Tayledras, które Savil widziała do tej pory, i ta opierała się na wyjściu z groty. W przeciwieństwie jednak do osnowy Bramy, przy kształtowaniu której ostatnio pomagała, ta grota była niezwykle płytka — wciniała się w ścianę klifu na głębokość nie większą aniżeli dwie długości konia. Wejście do niej oczyszczono z piasku aż do nagiej skały i otoczono gładzami. Niezbyt rozsądnie byłoby pozwalać roślinności krzewić się w pobliżu miejsca używanego często jako wyjście Bramy — czasem z roślinami działy się osobliwe rzeczy...

Savil, choć uparcie twierdziła, że uda jej się utrzymać Bramę, dobiegała już kresu sił. Skuliła się z rękami zaciśniętymi na gorącym kubku herbaty i drżała. „Lepiej żeby zjawili się tu jak najprędzej — myślała. Zaraz mi się to wymknie. Moglibyśmy przywołać zaklęcie jeszcze raz, ale zabrałoby to trochę czasu, przynajmniej jeden dzień, zanim byłabym w stanie znów spróbować. Mamy czas, ale chyba nie aż tyle.”

Lecz w tym samym momencie, jak gdyby usłyszeli jej myśli, przybyli wreszcie, jak zwykle z ptakami na ramionach, Gwiezdny Wicherek i Tańczący Księżyc. Bardziej wyczuwając, aniżeli słysząc ich zbliżanie się, Savil podniosła wzrok znad swej herbaty — i oto stali przed nią.

Byli magami-biegłymi, jeśli idzie o ścisłość — toteż włosy mieli normalne, srebrzystobiałe, splecione w niezliczone warkoczyki, ozdobione paciorkami

i spływające poniżej pasa. Poza tym, jako biegli, mieli skłonność do stylowej kwiecistości, co przejawiało się w fantastycznym kroju ich tunik.

Savil uśmiechnęła się do nich blado, a oni widząc, w jak oplakany jest stanie, nie tracili czasu na powitania. Jak jeden mąż rzucili się do wsparcia jej zanikających sił.

Westchnęła, kiedy każdy z nich chwycił ją za jedną rękę i poczuła, jak spływa na nią ich mocna i czysta energia. Siedząc między nimi, czując w sobie ich siły zastępujące to, co straciła, znów mogła mówić.

Minęło sporo czasu od jej ostatniej wizyty u k'Trevów, lecz lata nie pozostały żadnego piętna na jej przyjaciółach. Wprost nie sposób było uwierzyć, że Gwiazdny Wicher to rówieśnik Savil, a Tańczący Księżyc jest niewiele starszy od Vanyela. Zazwyczaj biegli w sztuce magicznej żyli długo — energia ognisk zachowywała ich w dobrej formie. Biegli z Tayledras zaś żyli jeszcze dłużej, gdyż przez cały czas znajdowali się jakby w strumieniu magii pochodzącej z ognisk. Magii, która opływała nawet pozbawionych daru, a urodzonych bądź wychowanych pomiędzy biegłymi, która w ciągu dwóch lat odbarwiała ich włosy i oczy do barw srebra i błękitu.

Efekt odbarwiania był jeszcze bardziej widoczny i przebiegał jeszcze szybciej u magów, co dowodzi, że manipulowanie energią magiczną powodowało u nich dużo głębsze zmiany. Ujemną stroną tego stanowił fakt, że kiedy przydzielony im czas zbliżał się do kresu — a nawet biegły nie wiedział, kiedy nastąpi kres — opadali z sił i umierali w kilka tygodni, w miarę jak magia wypalała ich od wewnątrz.

Savil wiedziała o tym wszystkim, ale burknęła:

— Wy chyba gdzieś na boku macie schowane swoje sobowtóry, które się za was starzeją.

— Nie, Skrzydlata Siostró — roześmiał się Gwiazdny Wicher. — Wiesz, że to nieprawda. Gdybyś przyjęła nasze zaproszenie i przeprowadziła się tutaj na stałe, też mogłabyś się cieszyć tymi samymi korzyściami, które są naszym udziałem.

— Nie mogę — ucięła. — Mam obowiązki, zresztą już o tym rozmawialiśmy. Słuchajcie, potrzebuję waszej pomocy. . .

Streściła pokrótce wszystko, co się wydarzyło, i czekała na ich odpowiedź.

Pierwsza reakcja była mniej więcej zgodna z tym, czego się spodziewała.

— Nie opuszczamy k'Treva — zaczął Tańczący Księżyc zakłopotany, gdy tylko skończyła. — Wiesz o tym. Nasze miejsce jest tutaj i tak było od wieków. . .

— To, *ash'ke'vriden*, nie jest wytłumaczeniem — odezwał się łagodny tenor zza drzew posadzonych na skraju granicy „bezpieczeństwa”. Wielka, biała sowa sfrunęła bezgłośnie na polanę, aby tu przysiąc na jednym z głazów, a za nią nadchodziła wypisz wymaluj młodsza wersja obydwóch biegłych z Tayledras.

Tyle że ten młody mężczyzna zamiast błękitnych miał oczy świetlicie srebrzyste, a w barwie jego mocnego, dźwięcznego głosu było coś, co każdemu, kto

go usłyszy, przywiodłoby na myśl Vanyela.

Trudno się temu dziwić, gdyż Vanyel był ojcem Świetlistej Gwiazdy — i najwyraźniej Świetlista Gwiazda okaże się niespodziewanym sprzymierzeńcem Savil.

— Sami mnie uczyliście, że lud Tayledras opuścił swą ziemię z potrzeby — powiedział Świetlista Gwiazda, stanąwszy przy swej sowie. — Jeśli świat pozostanie takim, jaki jest, przypuszczalnie lud ten będzie musiał zrobić to samo raz jeszcze. — Zadarł podbródek w sposób, jaki nieodparcie przypominał Savil jedną z bojowych min Vanyela. — Jeśli potrzeba jest poważna, cóż może zaszkodzić zaspokojenie jej?

Savil wyłożyła sprawę na nowo, a Świetlista Gwiazda wyprężył się w oburzeniu.

— Ależ musicie iść! Zawdzięczam życie Skrzydlatemu Bratu Vanyelowi. Poszedłbym sam, gdybym tylko wiedział, jak się obejść z tymi magicznymi nożykami... — Rozłożył ręce w geście bezradności. — Ale nie potrafię.

— Co ja słyszę, sokół, który nie chciał uznać, że istnieją wyżyny, których nigdy nie sięgnie, okazuje pokorę? — Gwiazdny Wicher z ironią uniósł jedną brew.

Jak dla Savil, podchodzili do tego zbyt lekko, ich adoptowany syn zaś najwyraźniej czuł to samo, co ona. Świetlista Gwiazda popatrzył na nich groźnie.

— Nie sądzę, żebyśmy mogli pozwolić sobie na tracenie czasu, kiedy Vanyel leży tam zagrożony przez to świństwo — powiedział. — Masz absolutną rację, że do pewnych rzeczy się nie nadaję.

— A więc przyznajesz przynajmniej, że twoje dary to dar zmieniania życia i uzdrawiania ziemi, a nie rzeczy zrobionych ludzkimi rękami. — Tańczący Księżyc teatralnie podniósł na niego wzrok. — Czy Słońce zamienia się w zielone? Czy ryby uczą się latać?

— Czy mój czcigodny ojciec powróci jeszcze jako główny temat tej dyskusji? — zapytał Świetlista Gwiazda. — Rzecz polega na tym, że Vanyel nas potrzebuje, ale nie może do nas przyjść. Jak zatem reagujemy na tę potrzebę? Moim zdaniem musicie do niego iść, zanim stanie mu się krzywda!

Gwiazdny Wicher niechętnie skinął głową.

— Vanyel nas potrzebuje, a trzeba pamiętać, że wiele mu zawdzięczamy... Ale czy opuszczając wawóz przysłużymy się naszemu klanowi? Czy może raczej przyniesie to szkody przewyższające dobro, które uda nam się zdziałać? Mój synu, istnieją poważne powody, dla których utrzymujemy naszą obecność w największej tajemnicy.

Przerwało im uprzejme chrząknięcie. Savil odwróciła się nieznacznie i zobaczyła stojącą z tyłu Ognistą Pieśń, wyraźnie oczekującą możliwości zabrania głosu.

Gwiazdny Wicher skinął na nią, a ona nieśmiało chrząknęła ponownie.

— Wybaczcie, że się wtrącam — powiedziała, stojąc na baczność z rękami splecionymi za plecami. — Wydaje mi się, że o wiele lepiej byłoby zapytać, czy wawóz i klan w ogóle ucierpią z powodu waszej nieobecności. Nie sądzę, żeby tak było. K'Treva zaciągnęli u Skrzydłatego Brata Vanyela ogromny dług i nasz honor stanąłby pod znakiem zapytania, gdybyśmy nie przyszli mu z pomocą, gdy się nas o to prosi. Moim zdaniem, a występuję jako dowódca zwiadowców, jest to rzecz ważniejsza nawet od naszej tradycji dochowywania tajemnicy.

— A więc dostałem podwójną naganę — powiedział Tańczący Księżyc z lekким uśmiechem. — Nawet od niemowlaków. Słyszę już śpiew żółwia.

— Jeśli nie chcemy, żeby sama ziemia się podniosła i udzieliła nam trzeciej nagany, *shay'kreh'ashke* — powiedział Gwiazdny Wicher, podając dłoń Savil — albo nasz syn dał nam po głowach i siłą przeciągnął przez próg Bramy, to lepiej już chodźmy.

— Bardzo mi miło to słyszeć, *ke'chara* — powiedziała Savil i razem podeszli do Bramy, przygotowując się do szoku, jaki wywoływało przekroczenie jej.

— Dlaczego? — zapytał Gwiazdny Wicher, zatrzymawszy się w progu samej Bramy.

— Dlatego — odparła — że jestem za stara na to, żeby walić po głowie atrakcyjnych mężczyzn i porywać ich ze sobą. Najsmutniejsze w tym jest jednak to, iż jestem tak stara, że tylko takim sposobem mogę ich zdobyć.

Mówiąc te słowa, wzięła go pod ramię i przekroczyła próg, zabierając go ze sobą.

Choć była tak wycieńczona, że miała wrażenie, iż od jej wyjścia przeszły już całe dni, minęło niewiele ponad jedną miarkę świecy. Albo zmęczenie sprawiło, że czas tak się dłużył, albo to sam czas płatał różne figle, kiedy przechodziło się przez Bramę.

„A może i to, i to — pomyślała Savil, zwracając twarz w stronę magicznego tworu. — Tak, w rzeczywistości nikt nie wie, jak to wszystko działa. Być może pewnego dnia jakiś sztukmistrz odkryje sposób, żeby nauczyć nas latania, ale poza tym umiemy przecież obywać się bez tych cudów. Gdybym mogła wybierać pomiędzy przyjemną podróżą w wygodnym siedzeniu i taką Bramą, która człowiekowi wywraca wnętrzności, zawsze wybrałabym podróż.”

Uniosła ręce i zaczęła rozsypywać Bramę, pasemko po pasemku, chłonąc jej energię z powrotem w siebie. Nudne zajęcie i niebezpieczne: nadmierny pośpiech mógłby wtłoczyć w nią moc z prędkością, jakiej by nie wytrzymała. A w jej wieku podobny wstrząs mógłby ją zabić.

„Z drugiej jednakże strony podróż taka oznaczałaby powierzenie mojej osoby kompetencjom obcych osób. Jest pełno ludzi, którym nie oddałabym pod opiekę nawet bagażu, a co dopiero samą siebie. Ach, no cóż, w każdym razie miło o tym

pomarzyć.”

Wzniesienie Bramy pochłaniało większość, jeśli nie całą, energię maga, ale przy zamykaniu jej odzyskiwał znaczną część tej energii. Odwróciwszy się więc do Gwiezdnego Wichru, Savil poczuła, jak odzywa się w niej swarliwa natura.

— I co — zapytała, wycierając dłonie o tunikę — jakie chcecie sobie zrobić wejście?

— Słucham? — zdziwił się Gwiezdny Wicher zbity z tropu zmianą jej tonu.

— Chcesz, żeby wszystko odbyło się przy minimum hałasu? — zapytała. — Wolisz, żeby wasza obecność w Forst Reach została utrzymana w tajemnicy? To byłoby trudne i szczerze mówiąc, stracilibyśmy dużo magii, robiąc coś takiego, ale możemy, jeśli chcesz.

Gwiezdny Wicher wymienił spojrzenia — i pewnie myśli — z Tańczącym Księżycem. Zagryzł dolną wargę i nim odpowiedział, popatrzył na nią badawczym wzrokiem.

— Waham się — rzekł. — Z jednej strony myślę, że warto uczynić wszystko, żeby ludzie nie wiedzieli o naszej obecności. Z kolei jeśli tak postąpimy, nie będziemy w stanie przeprowadzić tego, co bym chciał. Tańczący Księżyc na przykład życzy sobie mówić z ojcem Vanyela. Jeżeli mamy robić takie rzeczy, nasza obecność musi być jawna.

Savil starała się jak mogła ukryć swe zaskoczenie.

— Nie potrafię sobie wyobrazić, dlaczego miałbyś chcieć rozmawiać z Withenem, ale dobrze. Więc na co się decydujecie?

— Jawność — rzekł natychmiast dramatycznie Tańczący Księżyc. — Skoro mamy przełamać milczenie wokół Tayledras, to moim zdaniem powinniśmy zrobić na twoich ziomkach wrażenie, które nie opuści ich do końca życia.

— Dokonacie jeszcze więcej, mój chłopcze — mruknęła Savil, ale skinęła głową. — Jak sobie życzycie — powiedziała nieco głośniejszym głosem. — Jeśli to możliwe, chciałabym, abyście najpierw rzucili okiem na Tressę, Van może jeszcze troszkę poczekać, a wolałabym postawić ją na nogi, zanim wróci Withen i wpadnie w histerię.

Gwiezdny Wicher skinął głową.

— Prowadź, Skrzydlata Siostró. Pójdziemy za tobą.

Wątpię — pomyślała, ale nie powiedziała tego na głos.

Widok twarzy jej krewnych w momencie, gdy wkroczyła do pokoju Tressy, prowadząc za sobą dwóch biegłych z Tayledras, można było porównać tylko z sumą wszystkich oniemiałych spojrzeń, jakimi obdzielali ją krewni przez całe życie. Jej przyjaciele natomiast dobrze wiedzieli, jak zorganizować sobie dramatyczne wejście — musiała im to przyznać. Najpierw otworzyła drzwi, a potem obejrzała się w półobrocie, aby sprawdzić, czy wciąż są za nią. W końcu, na moment nim drzwi same się zatrzasnęły, wkroczyli ramieniem przy ramieniu i stanęli, wodząc wzrokiem dookoła siebie.

W pokoju było około pół tuzina ludzi. Savil rozpoznała jedynie uzdrowiciela i ojca Tylera, którzy stali powoli otwierając usta i wytrzeszczając oczy na egzotycznych gości.

Reszta cofnęła się najdalej, jak tylko było to możliwe. Lata wysłuchiwania gróźb w stylu: „Bądź grzeczny, bo inaczej porwą cię Sokoli Bracia”, przyniosły efekty. Wszak nikt ani przez moment nie wątpił, że ci tutaj to para legendarnych cudzoziemców — ich ptaki nadal siedziały spokojnie na ich ramionach, jak gdyby co dzień przekraczano z nimi Bramę i obnoszono je po dziwnych zamkach.

Obydwa ptaki były teraz całkowicie białe, a przecież kiedy Savil ostatnio widziała sokoła Gwiazdowego Wichru, młodszego z pary, w miejscach, gdzie ciemniejsze pióra nie zostały w pełni wybawione, miał jeszcze szare plamki. Znów nie mogła wyjść z podziwu dla spokoju tych zwierząt. Żaden sokół z hodowli Ashkevronów nie usiadłby bez pęt i kapturka na ramieniu człowieka ani nie pozwoliłby się obnosić po całym zamku. Tyle że te ptaki miały się tak do zwykłych ptaków drapieżnych, jak rumaki bojowe Shin'a'in mają się do zwyczajnych koni. Hodowane od setek lat przez tych, których łączyła z nimi głęboka więź, czasem potrafiły swą inteligencją odebrać człowiekowi odwagę. Teraz ptak Gwiazdowego Wichru obserwował Savil spokojnymi, wszystkowiedzącymi oczami, a sokół Tańczącego Księżyca z wyrazem złośliwego rozbawienia przyglądał się kapłanowi.

Sam Tańczący Księżyc podszedł do łóżka, na którym ułożono Tressę. Otaczający ją krewni bez słowa usunęli się na bok. Przez chwilę potrzymał rękę nad jej czołem, zmarszczył brwi, a w końcu nie odwracając się, oświadczył:

— Miałeś rację, Skrzydlata Siostró. To zwyczajny wstrząs spowodowany przebywaniem w zbyt bliskiej bliskości magicznego pioruna. Jeśli sobie życzyście, mogę ją sprowadzić z powrotem. To, czy obudzi się teraz, czy później, nie będzie miało wpływu na jej wyzdrowienie.

— Zrób to teraz — poradziła Savil — zanim Withen wpadnie tu jak byk z ogniem w płomieniach.

Tańczący Księżyc zamknął oczy, ujął obie dłonie Tressy i trzymał je przez chwilę. Tressa zaczęła się poruszać, mamrocząc coś niezrozumiałego pod nosem. Tańczący Księżyc odczekał chwilę, a potem otworzył oczy i jedyny raz wymówił jej imię.

— Tresso — powiedział szeptem. Tylko tyle, lecz w jakiś tajemniczy sposób imię to nabrało smaku wszystkiego, czym była, i czym Savil nie spodziewała się, że może być.

Powieki Tressy zamrugały i otworzyły się, a jej oczy od razu skupiły się na Tańczącym Księżycu.

— Och... — powiedziała słabym głosem. — Ojej. — Przełknęła ślinę i patrzyła nań zdumiona, jak gdyby nie umiała oderwać oczu od jego postaci, mimo że tak oszałamiał ją ten widok. — Czy... ja umarłam? Jesteś... jesteś aniołem?

Uprzejmość nie pozwalała Gwiazdnemu Wichrowi wybuchać śmiechem, ale

Savil rozpoznała po jego nienaturalnie opanowanym wyrazie twarzy i malutkich zmarszczkach wokół jego mrugających oczu, że robił, co tylko mógł, aby nie parsknąć śmiechem na myśl o Tańczącym Księżycu w roli anioła.

„Tego ostatniego Tańczący Księżyc na pewno już nigdy nie usłyszysz” — pomyślała Savil, pomimo powagi sytuacji wstrzymując uśmiech w kącikach warg.

— Nie, moja pani — odpowiedział z wahaniem Tańczący Księżyc w języku Valdemaru. Jestem tylko przyjacielem twojego syna. Przybyliśmy tutaj, aby mu pomóc, i tobie naturalnie też.

— Pomóc... — Twarz Tressy straciła kolory. — Van... Czy jest ciężko ranny? Dobrzy bogowie...

Szarpnęła się, żeby usiąść, lecz uzdrowiciel powstrzymał ją, chwytając jedną ręką jej ramię. Tańczący Księżyc położył dłoń na ręce uzdrowiciela, pozbawiając oboje oddechu.

— Idziemy teraz do niego, pani — powiedział Tańczący Księżyc i uśmiechnął się do niej uroczo. — Bądź spokojna, wszystko będzie dobrze.

Wypowiedziawszy te słowa, odwrócił się i wraz z Gwiazdny Wichrem, który do niego dołączył, wymaszerowali z pokoju tak, jak weszli, ramię w ramię. Savil posłała Tressie najbardziej uspokajający uśmiech, na jaki potrafiła się zdobyć, i ruszyła za nimi.

— Gdzie jest młody Vanyel? — zapytał Gwiazdny Wicher, gdy tylko znaleźli się w kamiennym korytarzu.

— Jeden ciąg schodów w górę i jeszcze trochę — odpowiedziała mu Savil, ponownie przejąwszy prowadzenie. Szła tak szybko, jak tylko pozwalało jej na to bolące biodro. — Powinnam was przed czymś przestrzec. Wygląda na to, że na nowo połączyła go z kimś więź życia, tym razem z pewnym bardem o połowę od niego młodszym...

Gwiazdny Wicher wymienił z Tańczącym Księżycem ironiczne spojrzenia.

— Rzeczywiście? Gdzie ja już słyszałem tę historię?

— Nie miałabym o tym pojęcia — odparła Savil tonem pełnym ironii — gdyby nie to, że ty przekroczyłeś już trzydziestkę a Tańczący Księżyc był zaledwie szesnastolatkiem... Koniec końców, chłopiec jest przy nim. Tylko go nie przestraszcie, ma za sobą kilka ciężkich godzin i częściowo dzięki niemu nie szalałam z niecierpliwości, żeby was tu sprowadzić.

Tańczący Księżyc zdał się zbity z tropu, ale Gwiazdny Wicher skinął głową ze zrozumieniem.

— Ach. Więc ten nożyk działa na nich obu. Dziwiłem się, że byłaś taka spokojna.

— Dopóki podjęcie decyzji nie zabrałoby wam tygodnia, nie musieliśmy się spieszyć. — Zatrzymała się przed drzwiami Vanyela. — Pamiętajcie, co wam powiedziałam.

Tym razem Gwiazdny Wicher otworzył przed nią drzwi i wszedł do środka bez cienia niedawnego dramatyzmu. Stefen, zupełnie biały na twarzy, był pochłonięty Vanyelem tak głęboko, że dopóki Gwiazdny Wicher nie położył mu delikatnie ręki na ramieniu, nie zauważył nawet ich obecności.

Stefen podskoczył, uniósł wzrok na bieglego z Tayledras i jego oczy nagle zrobiły się wielkie i bardzo okrągłe. Usta otworzyły się, ale zdawało się, że chłopiec nie umie wydobyć z nich żadnego głosu.

— Jesteśmy tutaj, mały, żeby pomóc twojemu Vanyelowi — życzliwie rzekł Gwiazdny Wicher. — Ale byśmy mogli to zrobić, musisz się od niego odsunąć.

Stefen, przewracając krzesło, na którym siedział, zerwał się na równe nogi. Przed upadkiem uratował go Tańczący Księżyc. Savil zmartwiła się, czy biedaczek nie zamierza zemdleć na miejscu. Ale on wnet przyszedł do siebie i przysunął się do niej. Stał nieco z tyłu, ani na sekundę nie odrywając oczu od gości.

Gwiazdny Wicher zbliżył jeden palec do nożyka, ale nie dotykał go.

— Paskudne dziełko — powiedział do Savil w swym własnym języku. — Nie zrobiono tego tylko ze zwykłej złośliwości. . .

— Umiesz się tego pozbyć? — zapytała zaniepokojona.

— O tak. Nie bez trudu, ale w żadnym razie nie jest to najcięższe zadanie, jakiego podejmowałem się w swoim życiu. *Ashke*. . .

Tańczący Księżyc odpowiedział skinieniem głowy i natychmiast stanął za nim z jedną ręką spoczywającą swobodnie na jego ramieniu. Gwiazdny Wicher oderwał skrawek wzorzystego jedwabiu ze swego rękawa — tkanina rozdarła się z odgłosem podobnym do warknięcia polującego kota. Owinął szmatkę wokół dłoni i dopiero wtedy złapał trzonek sztyleciku.

— Teraz podsunie my temu czemuś inny cel — zamruczał i zbliżył drugą dłoń na odległość kilku palców od nikczemnego nożyka. Przywołał swój magiczny wzrok, Savil ujrzała jego dłoń promieniującą siłą życiową — dużo większą niż ta, którą posiadał Van, nawet w samym jądrze swego jestestwa. Zobaczyła, jak ostrze noża poluźniło się, jak obróciło się w dłoni bieglego i wyskoczyło z rany niczym wygłodzona do szaleństwa łasica.

— Chyba jednak nie tym razem — powiedział Gwiazdny Wicher, odsuwając nie zabezpieczoną dłoń, zanim ugodzi ją wijący się sztylecik. — A teraz, *ashke*. . .

Tańczący Księżyc rozpiął między swymi dłońmi łuk czystej energii, a Gwiazdny Wicher wprowadził weń ostrze.

Nóż wydał z siebie przeraźliwy pisk.

Stefen wrzasnął i zatkał sobie rękami uszy. Savil o mało nie zrobiła tego samego. Powstrzymała ją od tego jedynie świadomość, że to i tak nic nie da. Złowieszczy wrzask rozlegał się w ich umysłach.

Wrzask nie cichł przez cztery czy pięć oddechów, po czym, równie nagle, jak wybuchł, zamilkł. Tańczący Księżyc wygasił łuk energii, a gdy mgła na oczach Savil rozproszyła się, herold zobaczyła, że Gwiazdny Wicher trzyma sam trzo-

nek noża. Jego ostrze zniknęło, a w powietrzu unosiła się przykra woń spalonego jedwabiu.

— To by było na tyle — powiedział biegły z satysfakcją, obracając w dłoni osmolony trzonek i przypatrując mu się uważnie. — Uniósł wzrok na Savil. — A teraz, najdroższa Skrzydlata Siostró, wszyscy czworo możemy połączyć nasze siły, aby sprowadzić naszego brata do nas.

Savil kładła już ręce na dłonie Tańczącego Księżycy, kiedy uzmysłowiła sobie, co powiedział przed chwilą Gwiazdny Wichur.

„Czworo? Ha! No cóż, dlaczego nie?”

— Podejdz tu, chłopcze — rzuciła przez ramię do Stefena, krążącego z tyłu z zatroskaną miną. — Nie ugryzą cię.

— Tylko troszkę — powiedział w jej języku Tańczący Księżyc, uśmiechając się szelmowsko do Stefena. Co dziwne, to zdało się uspokoić chłopca.

— Co mogę zrobić? — zapytał, stając obok Savil.

— Nie mam pojęcia — wyznała. — Ale on wie. Więc dowiedzmy się.

Gwiazdny Wichur z uśmiechem położył dłonie na ich dłoniach.

Savil wzięła długi, głęboki oddech i szybko spojrzała na Vanyela. Oddychał normalnie, spał jak kamień, na twarz powróciły mu kolory. „Obudzi się pewnie za jakąś miarkę świecy. Tyle też mniej więcej potrwa, zanim Yfandes nie odzyska przytomności.”

— Co się stało? — spytał Stef zamroczony. — Co zrobiliśmy?

— Usiądź, pieśniarzu — powiedział Tańczący Księżyc, popychając go na łóżko. — Wskazaliśmy twojemu Vanyelowi ścieżkę powrotną do samego siebie i dostarczyliśmy mu sił, aby mógł nią podążyć. Siły te pochodziły od nas, a w szczególności od ciebie, więc teraz powinieneś odpocząć. — Skinieniem głowy wskazał łóżko. — Jest tu mnóstwo miejsca, a twoja obecność podniosłaby Vanyela na duchu.

— Naprawdę? — Było widać, że chłopiec z ledwością trzyma się na nogach, chociaż z uporem zarzekał się, że nie jest zmęczony. — Cóż... skoro tak uważasz...

— Tak uważam. — Tańczący Księżyc podciągnął lekki koc na ramiona Stefena. — Odpoczywaj. Nie przyśpieszysz jego powrotu do zdrowia zamartwianiem się.

— Skoro... — Stef stłumił ziewanie — ... tak mówisz.

Tańczący Księżyc potrząsnął głową w stronę Gwiazdnego Wichru.

— Ach, te dzieci. Czy ja też byłem taki uparty? — zapytał w języku Tayledras.

— Och, byłeś jeszcze gorszy. — Gwiazdny Wichur rozpromienił się i wziął Savil pod ramię.

— Bądź tak łaskawa i pokaż nam, gdzie będziemy nocować, Skrzydlata Siostró. Myślę, że powinniśmy zostać tutaj przez parę dni, bo w przeciwnym razie Vanyel nierozważnie nadweręży swe siły i wszystko będzie na nic.

A co jeszcze kryjesz w rękawie? — zapytała Savil. — *Naturalnie masz rację, ale jest coś, czego nie powiedziałaś chłopcu.*

Spostrzegawcza jak zawsze — odrzekł. — *Wolę jednakże, abyś usłyszała to od Tańczącego Księżyca.*

Savil skinęła na Tańczącego Księżyca, który dołączył do nich przy drzwiach.

— Śpij, Stefenie — przykazał mu, zamykając je. Od strony łóżka dobiegło ich niewyraźne mamrotanie. Wydawało się, że zabrzmiało to jak zgoda.

— Z racji nieobecności wszystkich, przypuszczam, że sama będę musiała zdecydować, gdzie was umieścić — stwierdziła Savil. — A ponieważ nie znam innego miejsca, sądzę, że możecie z powodzeniem zająć pokój sąsiadujący z sypialnią Vanyela.

Otworzyła drzwi pokoju gościnnego, który w przytłumionym świetle wyglądał niemal tak samo jak komnata Vanyela — w Forst Reach, podejmującym w ciągu roku około setki gości, żaden pokój nie stał nigdy pusty na tyle długo, aby zagnieździła się w nim atmosfera pustki. Jedynym rzeczywistym sygnałem, że nikt tu nie mieszkał, były zamknięte okiennice; światła wpadało tylko tyle, ile przedstawiało się przez szparki między nimi.

— Więc, o czym chciałeś mi powiedzieć? — Zapytała Savil Gwiazdny Wichru, zamykając za nim drzwi. Drugi k'Treva podszedł prosto do okna i otworzył okiennice.

— Nie ja — odparł Gwiazdny Wichur — ale Tańczący Księżyc. Usiadłszy na parapecie, wychylił się, oglądając z zainteresowaniem — autentycznym czy udawanym, tego Savil nie udało się ustalić — tereny w dole.

— No? — zniecierpliwiona zwróciła się do Tańczącego Księżyca.

Biegły uzdrowiciel wyglądał na bardzo zakłopotanego.

— Nie wiem, czy bardzo poważnie traktujecie swe wierzenia — powiedział z wahaniem.

— Zależy które — odparła, przysiadając na brzegu łóżka. — Jeśli idzie o to, że ludzie żyją w drzewach, to moim zdaniem postradałeś rozum.

Tańczący Księżyc puścił mimo uszu ten docinek.

— Uważamy — i dowiedliśmy tego na tyle, na ile w ogóle można dowieść czegoś takiego — że dusze odradzają się, niekiedy przekraczając granice gatunków. Nowe narodzenie w ciele stworzenia o podobnej inteligencji, jak w przypadku *hertasi* rodzących się ponownie jako *kyree*, albo *kyree* jako ludzie. . .

— Może umilić czas przy obiedzie — oburzyła się Savil. Tańczący Księżyc łypnął na nią groźnie. Z miejsca odpowiedziała mu sardonycznym spojrzeniem. — To wielce fascynująca filozofia, ale nie rozumiem, co to ma wspólnego z Vanyelem — oznajmiła, przekrzywiając z lekka głowę.

Tańczący Księżyc potrząsnął głową. — Nie z Vanyelem — z Pieśniarzem.
— Stefenem? — zawołała niedowierzając. — Dlaczego, u licha, ze Stefenem?
I dlaczego to ma być ważne?

— Ponieważ mój *shay'kreth'ashke* jest przekonany, podobnie zresztą jak ja, iż wasz Stefen jest, lub był, tym, którego nazywano Tylendel — zawołał od okna Gwiazdny Wicher.

Savil początkowo opanowało zaskoczenie, potem sceptycyzm.

— Z jakiego powodu, czy tylko dlatego, że złączyła ich więź życia? Doprawdy, czyż nie jest to odrobinę zbyt zgrabne, zbyt akuradne? To się nadaje na całkiem przyjemną bajeczkę, ale... — Wzruszyła ramionami.

— Nie — powiedział Tańczący Księżyc, zbliżając się do okna, aby stanąć obok Gwiazdnego Wichru. — Nie, to nie ze względu na więź życia, nie przede wszystkim. Są inne sprawy: ścieżki pamięci Vanyela, związki inne niż więź życia. — Przerwał i wznosił oczy do sufitu, jak gdyby zbierał myśli. — Istnieją też przyczyny, groźne przyczyny, tego, co się stało. Więź łącząca Vanyela i Tylendela była silna, silniejsza od większości więzi życia, z którymi się spotykałem. Za to, co się stało, Vanyelowi należy się zadośćuczynienie. Sprawa jest nie dokończona, gdyż Tylendel zawiódł jako herold. — Przez chwilę patrzył na nią wyczekująco, a potem wzruszył ramionami. — Mógłbym omówić to szczegółowo, ale to by cię tylko znudziło.

— Wątpię — odparła Savil, zafascynowana pomimo swego sceptycyzmu. — Tylko nie widzę, co to ma wspólnego z obecną sytuacją.

Gwiazdny Wicher odszedł od okna.

— To, że przeszłość ma wpływ na teraźniejszość i będzie ukazywała w fałszywym świetle to, co będzie się działo w teraźniejszości.

— Mam im w takim razie powiedzieć o tych waszych spekulacjach? — spytała z zaciekawieniem.

— Ach! — Gwiazdny Wicher splótł dłonie za plecami i uśmiechnął się ironicznie do swego partnera. — Tutaj właśnie nie możemy się zgodzić. Sądzę, że być może trzeba to zrobić, ale nie jestem o tym przekonany tak mocno jak Tańczący Księżyc. Chętnie jednak dam się przekonać.

— Ja uważam, że pod żadnym pozorem nie powinieneś im o tym mówić — oświadczył nieugięcie Tańczący Księżyc, opierając się o ramę okna. — Niemniej nasze odczucia wpływają z tych samych przesłanek.

— Wydaje nam się — Gwiazdny Wicher przejął nić dyskusji — że ten związek powinien rozwijać się bez bagażu poprzedniego związku. Ich spotkanie i powstanie więzi nastąpiło w zgoła innych okolicznościach, różni ich także status i wiek. Z tego względu uważam, że powinno się im o wszystkim powiedzieć, aby potrafili uniknąć nieporozumień, które mogłyby być spowodowane echem przeszłości.

— A ja myślę, że mówienie im o tym przysporzy tylko problemów, że Vanyel przestanie reagować na Stefena tak, jak dopiero co zaczął reagować, że zacznie

się zachowywać w sposób, który odmieni ich związek nie do poznania i uczyni go chorym. — Tańczący Księżyc splótł ramiona na piersi i jął uparcie świdrować wzrokiem Savil.

— Z miejsca przychodzi mi na myśl jeden problem — powiedziała powoli. — Skoro Van zacznie myśleć, że Stef to jego dawny kochanek, może zrobić jedną z dwóch rzeczy: przykładać większą wagę do opinii i rad Stefena, albo mniejszą. Ani to, ani to nie byłoby zdrowe. Stef ma głowę na karku, ale musi jeszcze trochę dorosnąć. W tej chwili Van traktuje go z przymrużeniem oka tak, jak traktowałby każdego innego chłopca w tym wieku, a słucha go, kiedy tylko Stef mówi do rzeczy...

— I tak powinno zostać — skonkludował Tańczący Księżyc.

Savil potrząsnęła głową do Gwiazdowego Wichru.

— Wybacz, stary przyjacielu, ale głosuję za rozwiązaniem Tańczącego Księżyca.

Gwiazdny Wicher wzruszył ramionami.

— Mówiłem ci już, że nie mam wyrobionego zdania i cieszę się, że mnie przegłosowaliście.

— Zastanówmy się teraz, zmieniając temat: jak długo chcecie tu zostać? — spytała. — Kiedy wróci Withen, będę musiała mu coś powiedzieć.

— Trzy, może pięć dni. Z pewnością nie więcej. — Gwiazdny Wicher odrzucił włosy na plecy. — Dwa dni na powstrzymanie Vanyela od przemęczania się, a potem tyle, ile będzie trzeba, na ustalenie, kto to zrobił i dlaczego.

— Jeśli tylko będziemy umieli — z rezygnacją dorzucił Tańczący Księżyc. — A to w żadnym razie nie jest pewne. Jednak gdy do pracy zabierze się czterech biegłych, istnieją wszelkie dane na to, że wszystko, co jest do odkrycia, zostanie odkryte.

— W tym miejscu zmuszony jestem o coś cię prosić, Skrzydlata Siostró. — Gwiazdny Wicher uśmiechnął się szeroko. — Czy sądzisz, że będą tu mogli zapewnić nam odzież w odpowiednich dla nas rozmiarach? Zdaje się, że zapomnieliśmy się spakować...

— Och, nie zaspokoimy pewnie wybrednych gustów takich wymuskanych ptaszków jak wy — uśmiechnęła się zjadliwie Savil — ale być może uda nam się coś wyszperać.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

I znów jedna z dam Tressy wciągnęła Savil oraz starszego k'Trevę w pułapkę konwersacji; zrobiła to zresztą wyłącznie po to, żeby napawać oczy egzotyką gościa. Tym razem zdarzenie miało miejsce na dworze, tuż koło zamku. Gwiezdny Wicher dopiero co wypuścił swego sokoła na małą rozgrzewkę. Savil przymknęła na moment oczy, marząc o tym, aby to rozszczebiotane dziewczę przystąpiło wreszcie do rzeczy.

— To — zamruczał pod nosem w swym własnym języku Gwiezdny Wicher — nie jest rodzina, to mała armia. A połowa jej żołnierzy to wariaci. — Przytakiwał głową młodej rozmówczyni i uśmiechał się, usiłując wtrącić choć jedno słowo. — To...

Ale ona trajkotała jak najęta, nie robiąc przerwy nawet na zaczerpnięcie oddechu i nie odrywając oczu od twarzy Gwiezdnego Wichru.

— Ale kuzynka mojej matki przeprowadzała się dwa razy, wiesz pan, Kyliera z Lasku Brendewins, nie ta z majątku Anderlinów, tych co...

Czy jej się nigdy buzia nie. zamyka? — spytał Gwiezdny Wicher. — *Nawet we śnie?*

O ile wiem, to nie — tym samym tonem odparła Savil.

W takim razie będę musiał zrobić coś niegrzecznego, żeby uwolnić nas od jej gadaniny — stwierdził.

Nagle, bez jakiegokolwiek ostrzeżenia, biały sokół Gwiezdnego Wichru runął z nieba nad ich głowami, pikując wprost na dziewczynę i choć chybił sporo, przeraził ją tak, że momentalnie zaniemówiła. Krążył teraz nad głową Gwiezdnego Wichru, grożąc kolejnym nurem.

— Wybacz — oznajmił Gwiezdny Wicher z rozbrajającym uśmiechem — lecz odnoszę wrażenie, iż mojemu ptakowi musiały nie spodobać się twoje szaty. Nigdy dotąd nie widziałem, żeby się tak zachowywał. Widocznie jest przekonany, że stanowisz dla mnie zagrożenie.

Sokół dał jeszcze jednego nura i tym razem dziewczyna wrzasnęła i wzięła nogi za pas. Gwiezdny Wicher uniósł rękę, a ptak natychmiast usiadł na niej, potem skoczył mu na ramiona i zaczął gładzić sobie pióra, nie zdradzając nawet śladu rozdrażnienia.

Podeszła do nich Kellan i wystawiła nos do ptaka. Sokół wyciągnął swój groźny dziób i delikatnie pogładził ją po chrapach, a potem znów zajął się swymi piórami.

Rozumny ptak — powiedziała Kellan do swej Wybranej z łobuzerskim błyskiem w oku. — *Właśnie zastanawiałam się, czy nie ruszyć na was galopem, kiedy Gwiazdny Wicher poprosił Ashina o ten nalot.*

Problem w tym, że ta cała Lytherill nigdy nie wzięłaby poważnie pogroźek z twojej strony — odparła Savil. — *Ona wierzy w niepodważalną dobroć i czystość Towarzyszy.*

Kellan z jękiem zwiesiła głowę.

Czy to znaczy, że mogę spodziewać się, iż obwiesi mnie girlandami z róż, będzie chciała przytulać się do mojej szyi i pleść trzy po trzy jak do niemowlęcia?

Savil zaśmiała się.

Nie, kochana, nie jest aż tak młoda, chociaż jeszcze kilka lat temu, zanim odkryła istnienie chłopców, byłabyś w niebezpieczeństwie.

Czy potraficie ustalić, co kombinował ten mag? — zainteresowała się Kellan z właściwą sobie skłonnością do raptownej zmiany tematu, do której Savil zdążyła się przyzwyczaić na przestrzeni lat.

Prawdopodobnie jutro będziemy gotowi do rzucenia zaklęć.

W rzeczy samej, Skrzydlata Siostró. — Kiedy do rozmowy włączył się nowy głos myślowy, Savil i jej Towarzysz musiały ukryć zaskoczenie. Biegłych — czy też posiadaczy niezwykle silnych darów myślowy — było tak niewielu, że Savil rzadko przypominała sobie, iż mieszkańcy Tayledras dzielili z Vanyelem umiejętność „podśluchiwania” każdej rozmowy, która nie była przed nimi zabezpieczona. — *Wybaczcie* — rzekł głos przepraszająco. — *Tak, jutro powinniśmy być gotowi, a Vanyel dość silny, aby spróbować zrobić to razem z nami. Gdyby tylko ten, który go napadł, był teraz w stanie odpowiadać na pytania...*

Gwiazdny Wicher jeszcze raz wypuścił swego sokoła, tym razem na gołębia, który właśnie zerwał się do lotu spod okapu zamku. Dzikie ptaki drapieżne częściej chybiały aniżeli trafiały — Savil dobrze o tym wiedziała — ale sokołom z Tayledras rzadko zdarzało się nie dopaść zdobyczy, kiedy rzucały się na połów. Gwiazdny Wicher zamknął oczy i kiedy ptak pikował na ofiarę, całe jego ciało zeszywniało z napięcia. W momencie kiedy ptak rzucił się na zdobycz, wrzask triumfu Gwiazdnego Wichru rozdarł powietrze, biegły zadrżał lekko i na usta wypłynął mu nieznaczny uśmiech satysfakcji, gdy szpony ptaka wpiły się w ofiarę.

Sokół białożór poniósł swą zdobycz na dach, by tam się posilić, a Gwiazdny Wicher otworzył oczy i na widok porozumiewawczego uśmiechu Savil sam uśmiechnął się szerzej.

— *Fantazjujesz sobie troszkę o tym, co by było, gdyby kto inny znalazł się na miejscu tego gołębia, hm?* — zapytała Savil.

— Ja? — Gwiazdny Wicher zamienił się w chodzącą niewinność. Ale Savil nie wierzyła w autentyczność tej pozy ani przez moment.

— Ty. Gdybym ja w tym momencie miała tego drania w zasięgu ręki... Zresztą mniejsza z tym. Chodźmy, dokończymy spacer. — Savil skierowała się w stronę wybiegu; Gwiazdny Wicher szedł obok niej, a Kellan bezgłośnie podążała za nimi.

— Zaś co do wpadania w zasadzki dorastających dziewcząt, to połowę problemów, z którymi borykacie się ty i Tańczący Księżyc, ściągnęliście na siebie sami — oznajmiła bez ogródek. — Upieraliście się przy tej swojej widowiskowości, a teraz, cóż, sami już wiecie, co się dzieje z takimi widowiskami. Przykro mi, ale nie potrafię wykrzesać z siebie współczucia dla was.

— Nie upierałbym się przy tym, gdybym wiedział, ilu ludzi tu mieszka — odparł Gwiazdny Wicher ze skruchą. — Na bogów moich ojców... Pięć rodzin, każda najmniej z siódmką dzieci, setki wojaków, a potem jeszcze służba, wychowankowie... — Potrząsnął głową z niedowierzaniem. — K'Treva są niewiele liczniejsi, a przecież to cały klan! To przechodzi ludzkie pojęcie.

— A każda z tych osób umiera z chęci przypatrzenia się tobie z bliska — westchnęła Savil. — Próbowałam cię ostrzec.

— Ale za późno. — Gwiazdny Wicher wzruszył ramionami. — Jednocześnie... cieszę się, że spotkałem sokolnika Withena, chociaż jemu tak ślinka cieknie na widok naszych skrzydlatych braci. I podwójna jest moja radość z poznania matki i ojca Vanyela.

Savil podeszła z wolna do okalającego łączkę dla rocznych źrebiąt płotu i oparła się o niego, kładąc stopę na najniższej belce.

— W ostatnich pięciu latach Withen jakby się poprawił. Muszę przyznać, że jestem z niego dumna. Na ogół mężczyźni robią się z wiekiem zacofani i ograniczeni, a ten stary drań jakby odświeżył swoje poglądy. Do licha, już rzadko kiedy na mnie wrzeszczy.

— Tak ci się wydaje? — odparł Gwiazdny Wicher, patrząc na łąkę. — To dobrze. To bardzo dobrze.

Ale dlaczego dobrze, tego nie zechciał powiedzieć.

Withen i Tressa nabrali zwyczaju zapraszania każdego wieczoru po kolacji gości z Tayledras, Savil oraz Vanyela na górę, do swego prywatnego apartamentu lub — jeszcze częściej, gdyż pogoda była wspaniała — na ustronny ganek, który Vanyel sobie tak upodobał przed zejściem w sadzie. Po części kierowało nimi współczucie — chcieli uwolnić gości od mieszkańców Forst Reach. Po pierwszym takim wieczorze objęli swym zaproszeniem także Stefena, ten jednakże wymówił się, tłumacząc, że wcześniej przyrzekł zabawić trochę młodsze towarzystwo.

Ten wieczór nie należał pod tym względem do wyjątków, lecz dzisiaj również Vanyel wdzięcznie poprosił o pozwolenie na odejście. Nie podał wprawdzie żadnego powodu, Savil jednak powiedziała Withenowi, przyłączywszy się do towarzystwa na ganku, iż zjada go tęsknota za jakimś niezwykłym przeżyciem.

— Cóż to takiego? — zaciekał się Withen, wręczając Gwiezdnemu Wichrowi kubek wina. Kazał służbie ustawić latarnie świąteczne wzdłuż ganku, tak by miejsce to było oświetlone dobrze, ale niezbyt jasno.

— Komuś udało się sprowokować twego syna i jego przyjaciela do wzajemnego wyzwania, w sensie muzycznym — odparła. — Właśnie tym są teraz zajęci; na oczach większości młodzieży z całego zamku... och, nie, Tressa, uwierz mi, to nic, czym chciałabyś sobie zaprzętać głowę.

Tressa już zaczęła się podnosić, ale opadła z powrotem na swe miejsce.

— Wierzę ci, ale dlaczego? Ufam, że Van nie zrobi nic takiego, co zaniepokoiłoby rodziców tych dzieci, więc niemożliwe chyba, że chodzi o konkurs na sprośne piosenki, prawda?

— Ależ nie — uspokoila ją Savil z promiennym uśmiechem. — To pojedynek na najgorszą piosenkę, jaką każdy z nich zna. Banalną, kiepsko zrymowaną, ze złym rytmem — co tylko chcesz. W tej właśnie chwili Van męczy jakiś kawałek o siedzeniu w pułapce magicznego kręgu przez siedemnaście lat i robi wrażenie, jakby zaśpiewanie tego miało mu zająć siedemnaście lat.

Tressa wybuchnęła śmiechem.

— Pewnie może — powiedziała i napełniła kubek młodszego gościa.

Tańczący Księżyc wziął go do ręki, ale jego twarz przybrała bardzo trzeźwy wyraz.

— Lady Tressa, lordzie Withenie, bardzo pragnąłbym porozmawiać z wami, a ponieważ sprawa dotyczy waszego syna, jego chwilowa nieobecność daje mi ku temu sposobność. Za waszym pozwoleniem. — Przerwał i zajrzał najpierw w oczy Tressie, potem Withenowi. — To nie jest przyjemne.

Tressa spuściła oczy, ale skinęła głową. Withen odchrząknął.

— Nic, co dotyczy mojego syna, nie jest szczególnie przyjemne. Nie wydaje mi się, że stworzono go, aby przysparzał nam przyjemności. Chciałbym usłyszeć, co masz nam do powiedzenia. Wiem, że nie przypadnie mi to do gustu, ale chciałbym to usłyszeć.

Tańczący Księżyc westchnął i przysiadł na kamiennej balustradzie.

— A zatem pozwólcie, że opowiem wam coś o bardzo młodym chłopcu imieniem Tallo.

Savil była więcej niż zaskoczona — historia przeszłości Tańczącego Księżyca była dla niego czymś tak bolesnym, że rzadko komu ją wyjawiał. Ona ją знаła — wszak sama znalazła chłopca... i ledwie żywego przywiozła do Gwiezdnego Wichru.

Tańczący Księżyc opowiadał swą historię w jak najkrótszych słowach, głosem matowym, pozbawionym emocji.

— Mniej więcej trzydzieści lat temu, w pewnej wiosce daleko stąd, żył chłopiec imieniem Tallo. Był wyrzutkiem, samotnikiem, dziwakiem oddającym się bardziej myślom aniżeli czynom. Jego rodzice mieli nadzieję, że zostanie mnichem, toteż posłali go do kapłana na nauki. Ale tam, dzięki księgom zrozumiał, czym naprawdę został obdarowany. Odkrył magię. Jego rodzice byli ludźmi prostymi i nie rozumieli, ani nie byli temu przychylni, jako że ich życie niewiele miało wspólnego z magią czy magami — zaczęli więc zmuszać syna do powrotu na wieś. Ale na to było już za późno — zaczęły się kłótnie. Wzmogły się, kiedy rodzice próbowali nakłonić go do małżeństwa, a on odmówił. Nie mógł im powiedzieć, co czuł, gdyż jego pragnienia kierowały się do osób tej samej co on płci, a to było zabronione.

Cichy głos Tańczącego Księżycy nie zdradzał bólu, jaki ścisnął mu serce, Savil wiedziała — nikt nie wiedział więcej od niej — ale Withen z pewnością nie mógł się tego domyślić.

— Pewnego lata, po zimie pełnej kłótni i złości, do wioski zawitała trupa komediantów. Pomiędzy nimi był niezwykle przystojny mężczyzna, który wyróżniał się spośród towarzyszy. I tak oto Tallo dowiedział się, że nie jest jedynym chłopcem, który odczuwa pragnienia tego rodzaju. Zostali kochankami — i wtedy ich nakryto. Obu pobito i wyrzucono z wioski. W gniewie kochanek wyparł się Tallo, który zdjęty rozpaczą i złością, ściągnął na niego piorun.

Tańczący Księżyc westchnął i pokiwał głową.

— Nie chciał go ranić, chciał go tylko przestraszyć — ale brakowało mu wiedzy, która pozwoliłaby mu zapanować nad tym, co wywołał, więc młody komediant umarł w męczarniach, z imieniem Tallo na ustach. W napadzie wyrzutów sumienia Tallo usiłował odebrać sobie życie. Herold Savil go znalazła i zawiozła do swego nowego przyjaciela, Gwiezdnego Wichru k'Trevę. On także był *shay'a'chern* i wyleczył ciało i duszę chłopca. Mimo to chłopcem targał taki żal, takie wyrzuty sumienia, że w końcu pomyślał, iż za zło, które uczynił, musi złożyć jakąś ofiarę. Tak więc umarł Tallo, a jego miejsce zajął Tańczący Księżyc.

Withen poderwał się. Tańczący Księżyc spojrział na niego z ukosa i dopiero teraz na jego twarzy odbiły się emocje.

— Nie ma już Tallo — powiedział przyciszonym głosem. — I nikt w wiosce Tallo nie poznałby Tańczącego Księżycy. O ludziach z Tayledras opowiadają bajeczki do straszenia dzieci, nie mieliby nawet odwagi go rozpoznać. Ci, którzy kiedyś byli jego rodziną, bałiby się tego, kim jest teraz. Ten, który stał się Tańczącym Księżycem, nigdy już nie pojedna się ze swoimi bliskimi; nie zrobił tego, gdy był jeszcze Tallo, a teraz to jest już niemożliwe. I stąd bierze się, lordzie Withenie, lady Tresso, rozpaczliwy smutek.

Pociągnął łyk wina; wokół nich grały owady i migotały białe światła latarni.

— Lordzie Withenie — zagadnął w końcu Gwiazdny Wicher, kiedy zaczęło się zanosić na to, że wydłużająca się cisza stanie się nieznośna — sędzę, iż życie człowieka powinno być oceniane podług tego, co z nim uczynił. Twój syn jest bohaterem, nie tylko dla swego ludu, lecz także dla nas, mieszkańców Bares i Lineasu, nawet w oczach wielu ludzi poza granicami waszego królestwa. Spójrz tylko na dobro, które uczynił, a przecież wciąż towarzyszy mu głębokie, nieprzerwane cierpienie, ponieważ czuje, że nie widzieliście niczego z tych dobrych rzeczy, które sprawił, że postrzegacie go jako złego i nieczystego.

Withen jednym haustem wychylił swój kubek wina. Długą chwilę patrzył w gwiazdy, a potem przez ułamek sekundy w oczy Gwiazdnego Wichru. Spuścił wzrok i jał obracać w rękach swój kubek, aż do chwili kiedy cisza nawet dla niego stała się nie do zniesienia.

Odchrząknął i zmarszczył czoło, bardzo przygnębiony.

— Dziękuję. Dałeś mi sporo do myślenia — powiedział niezręcznie i odwrócił się, krzyżując spojrzenie z Tańczącym Księżycem. — Obaj daliście mi do myślenia. Przyrzekam wam, że zastanowię się nad tym. — Popatrzył na swój kubek, jakby dziwił się, że jest pusty. — Chyba jak na jeden wieczór dość już wypilem. — Nagle uśmiechnął się, wstał i wyciągnął dłoń do Tressy, która chwyciła ją z zaskoczeniem. — Zapewne ten mały konkurs zdążył się zakończyć, a ja chciałbym wiedzieć, kto — i jaką pieśnią — zwyciężył.

Mówiąc te słowa odstawił kubek, pomógł Tressie wstać i wyszedł ze swoistym wdziękiem.

Savil nie mogła się temu nadziwić.

— Do czego to miało zmierzać? — spytała. — Dlaczego, u licha, wywlekałeś teraz ten temat?

Tańczący Księżyc odstawił swój nietknięty kubek.

— Tę ranę trzeba było zaleczyć — odrzekł. — Wytężyłem wszystkie moje skromne siły, a teraz możemy tylko czekać, co przyniesie czas.

Gwiazdny Wicher bez słowa pokiwał głową.

Savil uniosła oczy na aksamit nocnego nieba. Tej nocy nie było księżyc, co sprawiało, że gwiazdy wydawały się jeszcze jaśniejsze.

— Wrażenie było dobre, jeśli moja opinia coś dla ciebie znaczy — powiedziała w końcu. — Właściwe słowa we właściwym czasie. Gdyby coś się miało stać...

— To jest w rękach Withena — westchnął Gwiazdny Wicher i przeciągnął się. — Na bogów moich ojców, jeśli jest coś trudniejszego od zajmowania się ludzkim sercem, nie mam pojęcia, co to może być. Idę spać.

— Ja też — powiedziała Savil, odstawiając kubek. — Jutro też jest dzień.

— Tak. I jutro dokończymy nasze zabiegi wstępne na tym diabelskim nożyku. Jutro zajrzemy w jego przeszłość, i przeszłość jego pana. — Tańczący Księżyc potrząsnął głową. — To nie będzie przyjemne.

— Nie — zgodziła się Savil, idąc z nimi do drzwi. — I nie sądzę też, żeby to, czego się dowiemy, było przyjemne. Cieszymy się więc spokojem, póki go mamy, hm?

— W rzeczy samej — rzekł Gwiazdny Wicher, zatrzymując się, by przepuścić ją przodem. — Albowiem spokój to rzecz nader ulotna i krucha.

Vanyel wiedział, że Savil czułaby się lepiej w obwarowanej osłonami sali ćwiczeń, jednak obecna sytuacja nie pozwalała na pracę w takich warunkach. Na dobrą sprawę w zamku nie było odpowiedniego ku temu miejsca. Ponadto goście z Tayledras dużo swobodniej czuli się pod gołym niebem, a że sad był miejscem śmierci nieznanego maga, tam w końcu się udali. Biegli z Tayledras, bez śladu skrzepowania zajęli miejsce na trawie. Savil natomiast przyniosła ze sobą poduszkę — siedzenie na ziemi byłoby zbyt uciążliwe dla jej kości. Vanyel pożałował poniewczasie, że nie pomyślał o przyniesieniu sobie także czegoś do siedzenia.

Usiedli w kręgu, zwracając się do siebie plecami. Wszyscy czworo ujrzą zaraz niedawną przeszłość odgrywającą się na nowo, wszyscy czworo usłyszą myśli, które były dość silne, by pozostawić piętno na tym miejscu. Patrzyli na zewnątrz, a nie w głąb siebie, stąd też taki układ wybrali do siedzenia.

Gdy wszyscy byli już na swych miejscach, Vanyel usiadł pomiędzy Savil a Gwiazdnym Wichrem.

Ten mały krąg nie obejmował Stefena, który zajmował właśnie Tressę oraz jej damy, by nie wchodziły w drogę magom. Gwiazdny Wicher był zdania, że takie zajęcie będzie dla niego właściwsze niż siedzenie i przyglądanie się ich pracy, w której i tak nie mógłby uczestniczyć.

Vanyel odwinął poczerniały trzonek sztyleciku i położył go bezpośrednio na gołej ziemi. Uniósł wzrok na Savil, której wyraz twarzy dowodził, że aż skręcają się jej wnętrzności.

— Wiesz, że nie musisz tego robić — przypomniał jej. — Nie musisz pomagać.

— Wiem o tym — odparła — ale zamartwiłabym się na śmierć, zanim dociągnęlibyście to małe ćwiczonko do końca. Wolę brać w tym udział.

Vanyel pokiwał głową.

— W porządku. Połączmy się więc.

Nawiązał połączenie z Savil, a tymczasem Gwiazdny Wicher przyciągnął do siebie Tańczącego Księżyca, według przebiegających między nimi wspólnych więzów. Następnie dwie połówki zespoliły się, tworząc splot mocy najbardziej idealny, jaki Van kiedykolwiek widział. Dużą pomoc stanowiło to, że łączyła ich bliska przyjaźń oraz że wszyscy czworo uczestniczyli już przedtem w zabiegach magicznych przeprowadzanych grupowo. Ale najbardziej do powodzenia przedsięwzięcia przyczyniał się fakt, iż w gruncie rzeczy wszyscy wspólnie przyspo-

sabiali się do takich operacji. Także podczas tej dzisiejszej każde z nich po kolei będzie obejmowało przewodnictwo i przechodziło na pozycję wspomagających, więc nie było miejsca na humory czy dumę.

Savil przejęła dowodzenie nad pierwszą częścią zadania: z przesiąkniętej krwią ziemi i rękojeści pozostałej po magicznym sztyleciku, wywoła ostatnie chwile życia maga.

Pograżony w spokoju sad oraz zgromadzeni w nim magowie zniknęli Vanyelowi z oczu. Teraz zbliżał się do grona dam, zasłuchanych w muzykę Stefena, zupełnie tak jak gdyby siedział na ramieniu obcego przybysza. Wiedział, że pozostali z obecnych widzą to samo, co on. Teraz odkryły się dla nich wszystkie świadome myśli maga. Savil zatrzymała obraz w momencie, kiedy mężczyzna zaatakował Tressę i Stefena, i wszyscy odczytali to, co znajdowało się wtedy na pierwszym planie w umyśle maga.

Vanyel był tak zaskoczony, że nieomal wypadł z połączenia z innymi. Okazało się bowiem, że człowiek, którego schwytał w lesie, i ten mag, mogli być dwiema różnymi osobami! Ten tutaj nie tylko nie był szaleńcem, jak tamten; jego nastawienie i to, co Van zdołał wyczytać z jego przeszłości i nabytej wiedzy, ukazywało go jako kogoś zupełnie innego.

Mag nie miał pojęcia, że Vanyel przebywa akurat w domu; dość szybko wydedukował, z kim ma do czynienia, ale złapał go przez czysty przypadek. Cały czas zakładał, że schwyta w pułapkę domowego maga Withena. Większość arystokratów poza granicami Valdemaru utrzymywała w swych rezydencjach magów, którzy strzegli swych panów oraz ich interesów. Skoro jednak nie wykrył żadnych tajemnych zabezpieczeń, które powiedziałyby mu, że Withen ma w swym zamku pracownię dla maga, doszedł do wniosku, że jego przeciwnik musi być kimś w rodzaju leśnej wiedźmy albo czarownika, który odprawia swe czary pod gołym niebem. Las, z całą mieszczącą się w nim magią, byłby idealnym miejscem do takich celów. Cekał w pełnej gotowości na pierwszą oznakę rzucania zaklęcia. Spodziewał się złapać kolejnego pogranicznego czarownika.

Ale dostał mu się Vanyel. To tak jakby zastawić sidła na wróbla i złapać ogniatego ptaka. Cios, jaki poraził jego umysł i pozbawił go przytomności, był dla niego kompletnym zaskoczeniem.

Toteż gdy doszedł do siebie, skrywał się już za solidną osłoną przygotowaną na kolejną taką okazję. Posługiwał się fałszywą powłoką stworzoną specjalnie dla niego przez innego maga, na wypadek, gdyby ten, którego miał unieszkodliwić, okazał się silniejszy. To właśnie była ta sztuczna persona, której myśli Vanyel pobieżnie przejrzał; ten szaleniec, który wszystko odbierał jako atak bądź zagrożenie dla jego osoby.

Wówczas nieznajomy nie wiedział jeszcze, że schwytał Vanyela. Pomyślał tylko, że domowy mag Withena jest daleko bardziej zręczny, niż sobie wyobrażał. Dopiero gdy Vanyel stanął mu przed oczami, uzmysłowił sobie, kto i jak go złapał.

Wtedy błysnęła mu iskierka rozpoznania, którą Vanyel dostrzegł. Potem mężczyzna zagłębił się jeszcze bardziej pod swą fałszywą osobowością, postanawiając odwołać się do swego drugiego planu, który obejmował przeniknięcie do samego Forst Reach. Zatem zabierając maga do ojca Tylera, Vanyel poszedł mu tylko na rękę.

Odczekał, aż Van wysąduje go nieco dokładniej, i z ulgą zobaczył, że herold jest zbyt zajęty, aby sprawdzić, czy za powłoką fałszywej osobowości nic się nie kryje. Wszystko to bardzo ułatwiło mu sprawę.

Pozbył się ojca Tylera i rozpoczął poszukiwania Tressy i Withena. Gdzie są, dowiedział się w prosty sposób — pytając służącego. Wreszcie wyruszył na polowanie.

Ostatnia myśl, jaką odczytał Vanyel, gdy mag przygotowywał się do rzucenia magicznego sztyletu, mówiła o tym, że jego pan będzie zachwycony.

To, niestety, było wszystko.

Savil próbowała sięgnąć w przeszłość odleglejszą aniżeli moment ataku, ale poza terenami Forst Reach maga strzegły osłony i nic nie dało się wyczytać z jego umysłu. Nie było w jego mózgu żadnego obrazu odnoszącego się do owego „pana”; zabity nigdy nie widział się osobiście z tamtym nieznanym magiem. „Pan” wydawał mu tylko rozkazy, a potem środki do wypełniania ich — to on stworzył fałszywą personę, osłaniał swego sługę przed penetracją jego umysłu ze strony innych, gdy znajdował się z dala od Forst Reach, i sam skonstruował dla niego oba sztyleciki.

Zgładzony mag był tylko narzędziem w rękach kogoś znacznie większego.

Vanyel otrząsnął się i zaczął delikatnie wyswobadzać się z zaklęcia. Zatrzymany obraz stopniowo zniknął sprzed jego wewnętrznych oczu zmysłu magii i oczu zewnętrznych. W końcu z gwałtownym, skręcającym wnętrzości szarpnięciem zniknął do reszty i Vanyel był z powrotem w teraźniejszości, z uczuciem odrętwienia za sobą i mnóstwem pytań bez odpowiedzi.

Wstał, przełamując krąg siedzących i przeciągnął się. Na moment wbił wzrok w drzewo tuż przed sobą, usiłując uporządkować w głowie wszystkie informacje, które zdobył i których mu brakowało. Kiedy się odwrócił, zobaczył Gwiazdowego Wichra wpatrującego się weń z lekko wykrzywionymi ustami.

— Zdajesz sobie sprawę, co oznaczał ten atak, prawda? — powiedział biegły do Vanyela. — To, że byłeś podatny na zranienie magicznym sztyletem, stało się przypadkiem; gdybyś był zabezpieczony przed magią, ostrze nie miałoby szans. Koniec końców to ty stanowiąc cel; mag cię rozpoznał. Miał cię unieszkodliwić pośrednią drogą, niszcząc tych, których kochasz. Ten, który go tu przysłał, nie chce konfrontacji z tobą — ale chce, byś został wyeliminowany. Tym razem obiektem ataku miała być lady Tressa, lord Withen, albo oboje — stąd dwa nożyki.

— Osłony, jakie na nich nałożę, nie wytrzymają bezpośredniego ataku — wy-

znała Savil ze smutkiem. — Nie potrafię powstrzymać zamachowca. Nie sądzę też, aby miało się skończyć na jednej napaści; nie po tym, co się dowiedziałam.

Vanyel westchnął i palcami przeczesał włosy.

— W końcu to nie jest coś, czego bym się nie spodziewał, Savil. Wiesz, że tego zawsze bałem się najbardziej. Ale skoro mam gdzieś jakiegoś potężnego wroga — to gdzie on się podziewał do tej pory? I o co naprawdę mu chodzi? Czy to tylko mój wróg, czy walczy przeciwko całemu Valdemarowi?

Tańczący Księżyc przeciągnął się, a Gwiezdny Wichur, nieobecny myślami, jął pocierać dłonie.

— Skrzydlaty Bracie, dla nas to także była niespodzianka. Żyjemy w odosobnieniu, ale wciąż znajdujemy znaki świadczące o istnieniu kogoś takiego jak ów „pan”, które już dawno powinniśmy wytropić.

Vanyel podał Savil rękę, aby pomóc jej wstać.

— Wszyscy jesteście szczególnie ślepi na jedno, moi mili przyjaciele — oznajmiła Savil, przyjąwszy pomoc. — Nigdy nie wyścibiacie nosa poza własne terytorium. Nawet klany *Shin'a'in* współpracują ze sobą, ale wy nie; każdy z waszych klanów działa na własną rękę. W tym leży wasza siła, ale też i słabość.

— Siła czy słabość, to nie gra roli — odciął się Gwiezdny Wichur. — Pytanie brzmi: Jak Vanyel ma zapewnić trwałe bezpieczeństwo swoim rodzicom? Sama wspomniałaś, Skrzydłata Siostrze, że to nie skończy się na jednym ataku.

— Mogę zrobić tylko jedno — rzekł Vanyel. — Skoro nie mogę być tam, gdzie oni...

— Nakłonisz ich do przeniesienia się tam, gdzie ty jesteś. — Savil potrząsnęła głową. — Sama nie wiem, Van. To może być trudniejsze niż twoja przeprowadzka do Forst Reach.

— Może — odparł ponuro Vanyel. — Ale trzeba to zrobić.

Kolacja leżała Vanyelowi na żołądku, a zmęczenie sprawiało, że światło lamp zdawało się ostrzejsze niż zazwyczaj.

— Nie mam wyjścia, muszę nalegać, ojczu — konkludował Vanyel, wpatrując się w blat stołu i zaciskając dłonie na swym kubku z piwem. — Zdaję sobie sprawę, że nie chcesz opuszczać Forst Reach, i bogowie wiedzą, że nie proszę ich o syna-maga heroldów. Nalegam, ponieważ muszę. Nie jestem w stanie was chronić, ani ja, ani Savil, a Randal nie może sobie pozwolić na stałe utrzymywanie tutaj herolda, który zapewniłby wam bezpieczeństwo; nie ma ich zbyt wielu, a nikt inny się do tego nie nadaje. Możecie nająć tylu strażników, ile tylko wam się podoba, ale żaden z nich nic nie zdziała przeciwko magowi. Wynajmiecie maga, a tamten, kimkolwiek jest, przyśle jeszcze lepszego. Mój przeciwnik bardzo dobrze mnie zna, ojczu. Gdybyście, ty, albo matka, mieli zginać tylko dlatego, że jestem tym, kim jestem, nigdy bym się z tym nie pogodził. — Uniósł wzrok na

zatrokaną twarz Withena i przerażoną Tressy. — Nie ma rady, ojczu. Będziesz musiał objąć stanowisko w Radzie jako delegat naszej dzielnicy królestwa i przeprowadzić się do Przystani. Wszyscy będą radzi widzieć cię w tej roli, a lord Enderby i tak nigdy nie chciał tego stanowiska. Wykonasz kawał dobrej roboty, a Rada będzie mogła skorzystać z twojego doświadczenia.

Tressa westchnęła radośnie i natychmiast pozbyła się strachu; o przeprowadzce do Przystani marzyła od lat, odkąd tylko założyło rodzinę najmłodsze z jej dzieci.

— Och, Withenie — powiedziała z błyszczącymi oczami. — Musisz! Od tak dawna żyłam nadzieją, że to się stanie. . .

Withen skrzywił się.

— Chyba chciałaś powiedzieć, że żyłaś nadzieją, iż nadarzy się przyczyna, która zmusi mnie do wyjazdu do stolicy, a nie że zagrozi nam niebezpieczeństwo!

Tressa wyduła wargi. Po tamtym zdarzeniu doszła do siebie nad wyraz szybko, wykazując się wytrzymałością, którą Tańczący Księżyc nazwał „niezwykłą”.

— Naturalnie, że to chciałam powiedzieć! Withenie, choć tak bardzo lubisz udawać zwykłego, prostego człowieka, zarządzałeś dotąd nie tylko Forst Reach, lecz także większą częśćią okręgu. Sam doskonale o tym wiesz. Do którego zamku przyjeżdżają w pierwszej kolejności, gdy stanie się coś złego? Tutaj, rzecz jasna. I to nie po to, aby zasięgnąć rady Medrena! Uważam, że Vanyel ma rację — będzie z ciebie znakomity radny.

Withen potrząsnął głową i pociągnął długi łyk piwa.

— Ach, Tresso, nienawidzę polityki, wiesz o tym, a ty chcesz, żebym tam jechał i zanurzył się w niej aż po szyję. . .

Vanyel odstawił swój kubek. „Albo będę musiał nim porządnie wstrząsnąć, żeby przyjął to stanowisko, albo pojedzie i uschnie z nudów.”

— Ojczu, albo to, albo przeprowadzisz się do Przystani nie mając tam nic do roboty poza wysiadaniem całymi dniami krzesel na dworze i raczeniem się historyjkami razem z innymi okulałymi, starymi końmi bojowymi — wyrecytował bez ogródek. — Proponowałem ci wyjście, które zapewniłoby ci pożyteczne zajęcie. Pojedziesz do Przystani, czy ci się to podoba, czy nie. Nie mogę sobie pozwolić na zostawienie ciebie tutaj.

Withen najeżył się.

— Więc jestem okulałym, starym koniem bojowym, tak?

Vanyel nie dał się złapać na ten haczyk. Withen oczekiwał, że będzie próbował się wycofać, ale nie mógł, nie teraz, kiedy posunął się tak daleko, usiłując przekonać ojca o swojej racji.

— W pewnym sensie, tak; jesteś za stary na powrót do Gwardii, nawet w roli nauczyciela. Nie masz już czego tam szukać. Ale fotel w Radzie aż się prosi, żeby zajął go ktoś kompetentny, a ty jesteś kompetentny, masz kwalifikacje i nie będziesz się bawił w politykowanie, kiedy na szali leży bezpieczeństwo Valdema-

ru. To daje ci przewagę nad połową pozostałych radnych, przynajmniej ja tak to widzę. Tymczasem ty, ojczu, próbujesz zmienić temat.

Nagle Withen odstawił kubek i podniósł ręce w geście kapitulacji.

— Dobrze, już dobrze. Przyjmę to przekłete stanowisko. Ale będą mnie mieli takim, jaki jestem. Żadnych dworskich kostiumów, żadnych klejnotów i falbanek. Tressa może się przebierać, jak jej się żywnie podoba, ale ja jestem prosty człowiek. Zawsze byłem i zawsze będę.

Vanyel odetchnął z ulgą.

— Ojczu, możesz być sobie, kim tylko zechcesz. Wniesiesz świeży powiew między te ptasie mózdzki, których mamy kilka w Wielkiej Radzie. Zaufaj mi, nie będziesz sam. Jest tam dwóch czy trzech koni bojowych, okulałych nie bardziej niż ty. Mógłbym dodać byłych ludzi z pogranicza, podobnych tobie i wyznających mniej więcej te same poglądy. Prawdę powiedziawszy, dziękuję bogom za was wszystkich.

Withen spojrział na niego groźnie.

— Jadę tylko dlatego, że masz dla mnie robotę — mruknął. — Mekeal może sobie myśleć, że rządzi Forst Reach, ale Tressa ma rację: Jak coś się dzieje, wszyscy przychodzą do mnie.

„Tym lepiej dla Mekeala — pomyślał Vanyel. — Niech popełnia błędy i na nich się uczy.”

Ale powiedział: — A zatem nadszedł czas, aby rozszerzyć obszar podlegający twemu zarządowi, ojczu. Więcej niż czas. Moim zdaniem przysłużysz się Valdemarowi lepiej, niż służyłeś Forst Reach.

Zaczął już wstawać, gdy zatrzymała go dłoń Withena.

— Synu — ze szczerością odezwał się ojciec. — Czy to prawda, co mówiłeś, że bolałoby cię, gdyby coś się stało twojej matce albo mnie?

— Ojczu... — Vanyel zamknął oczy i opadł z powrotem na swe miejsce, przetykając ślinę. — Ojczu byłbym zdruzgotany. Byłbym kompletnie do niczego. I ten mag o tym wie, dlatego tak ważne jest to, abyście przebywali w bezpiecznym miejscu. Valdemar mnie potrzebuje, potrzebuje mnie w dobrej formie. A ja potrzebuję was. Jesteście moimi rodzicami i kocham was. — Wziął głęboki oddech. To, co miał do powiedzenia, nie przychodziło łatwo i wymagało umiejętności zajrzenia w głąb własnej duszy. — Nie umiem odmienić przeszłości, ojczu, ale mogę lepiej poprowadzić pewne sprawy w przyszłości. Byliście bardzo... wyrozumiali... jeśli idzie o mój związek ze Stefenem. Jednakże jeśli tylko poprawi wam to samopoczucie, dopilnuję, abyśmy... nie widywali się często. W ten sposób nikt w Przystani nie będzie wam docinał z powodu tego, kim jestem.

Withen zarumienił się i spuścił oczy.

— To... to bardzo miło z twojej strony, synu. Ale nie chcę, abyś to robił.

Vanyel ze zdziwienia zagryzł usta.

— Nie chcesz? Ale...

— Jesteś moim synem. Starałem się dopilnować, abyś nauczył się wszystkiego, co ważne. Honoru. Uczciwości. Tego, że istnieją rzeczy ważniejsze od ciebie samego. Wydaje mi się, że żyłeś dotąd w zgodzie z tymi zasadami. — Swoim grubym palcem wskazującym Withen obrysowywał słoje w blacie stołu. — Zawiodłeś mnie tylko w jednej dziedzinie i... sam nie wiem, Van, ale... to przestaje być aż tak ważne, kiedy rzucić to na szalę ze wszystkim, czego dokonałeś. Jakos nie widzę, dlaczego miałbym być szczęśliwszy, gdybyś wdał się w Mekeala. Być może czułbym się gorzej. Dwaj durnie w rodzinie chyba wystarczą.

Withen uniósł oczy na moment, po czym znów spuścił je.

— W każdym razie, chcę powiedzieć, że... że cię kocham, synu. Jestem z ciebie dumny. Ten młodziak, Stefen, to dobroduszny chłopak i chciałbym uważać go za członka rodziny. To znaczy, jeśli tylko z nami wytrzyma. Potrafię zrozumieć, dlaczego go lubisz. — Withen jeszcze raz uniósł wzrok, napotkał spojrzenie Vanyela i zdobył się na blady uśmiech. — Oczywiście przyznaję, że czułbym się o wiele bardziej szczęśliwy, gdyby był dziewczyną, ale niestety... W końcu jesteś do niego przywiązany i każdy dureń by zauważył, że on do ciebie też. Nigdy się nie popisywałeś... — Withen zarumienił się i znów odwrócił oczy. — I nie zauważyłem, żebyś teraz zaczął. Więc... ty i Stef zostańcie tak, jak jesteście. Po tych wszystkich latach, zdaje mi się, że w końcu zaczynam się godzić z tą myślą.

Vanyel poczuł pieczenie w oczach i przetarł je wierzchem dłoni.

— Ojcie... nie wiem, co powiedzieć...

— Jeśli tylko wybaczysz mi wszystkie krzywdy, jakie ci wyrządziłem, ja wybaczę tobie — odparł Withen, Odsunął się z krzesłem od stołu i wyciągnął ramiona. — Nie obejmowałem cię odkąd miałeś pięć lat. Chciałbym teraz nadrobić zaległości.

— Ojcie...

Vanyel wstając wywrócił ławkę i z mgłą w oczach, potykając się, obszedł stół do Withena.

— Ojcie... — szepnął, wpadając w jego niezgrabny uścisk. — Och, ojcie — powiedział z głową na jego muskularnym ramieniu. — Gdybyś tylko wiedział, ile to dla mnie znaczy... Tak bardzo cię kocham. Nigdy nie chciałem cię zranić.

Ramiona Withena zamknęły się wokół niego.

— Ja też cię kocham, synu — powiedział, jękając się. — Nie możesz zmienić tego, kim jesteś, tak jak ja nie mogę poradzić nic na to, że jestem tym, kim jestem. Ale nie możemy dłużej pozwalać, żeby ta sprawa stała między nami, prawda?

— Nie, ojcie — odrzekł Vanyel i rana w jego sercu wreszcie się zagoiła. — Nie, nie możemy.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Zwyczajnie Stefen byłby zafascynowany pracami polowymi — urodził się i wychował w mieście, więc chłopcy przy żniwach stanowili dla niego widok równie obcy i interesujący jak biegli z Tayledras. Ale niestety Vanyel znów pogrążył się w swych rozmyślaniach i Stef ostatecznie postanowił wy badać przyczynę tej zadumy.

Droga była raczej wolna od podróżujących. Żniwa dopiero się zaczynały i nikt nie woził jeszcze nic na handel. Ruch, jak powiedziała Stefenowi Savil, zacznie się dopiero za tydzień i wtedy trakt będzie zatłoczony wozami. Tymczasem teraz nastąpiła idealna pora na podróżowanie — jeśli tylko nie przeszkadza komuś letni upał i pył dróg.

Stefenowi nie przeszkadzało. Ale za to przeszkadzało mu to, że Van nieustannie zadreżca się jakąś skrywaną rozterką, przyprawiając obie ich głowy o spory ból.

Wyglądało na to, że tylko Stefen może powiedzieć lub zrobić coś, co przełamie kryzys.

— Coś cię gnębi? — zagadnął, gdy znajdowali się w odległości zaledwie jednej miarki świecy od Przystani. — To cię gnębi już od dwóch dni.

Spiął Melodię, by zrównała się z Yfandes, która celowo cały czas troszkę się ociągała. Vanyel zaciął usta i odwrócił oczy.

— Nie spodoba ci się to — odrzekł w końcu.

Stefen trzasnął nieznośną końską muchę.

— To, że się zadreżczas, też mi się nie podoba — oznajmił. — Wolę, żebyś to z siebie wyrzucił i dał sobie spokój. Przez ciebie pęka mi głowa.

Łypnął okiem na Savil jadącą po prawej stronie Vanyela, z nadzieją, że ta podchwyci jego uwagę. Savil popatrzyła na niego spod uniesionych brwi, po czym wstrzymała Kellan, pozostając coraz dalej i dalej w tyle, tak że w końcu nie mogła już ich słyszeć.

„Co to da, skoro ona i tak umie czytać w myślach... — pomyślał Stef i zaraz się skarcił. — Och, nie zapuszczałaby się w cudze myśli, gdyby coś jej do tego nie zmusiło. Heroldowie nie robią ludziom takich rzeczy, nawet Vanyel nie wnika w mój umysł, jeśli go najpierw o to nie poproszę. Muszę się przyzwyczaić do tego, że wprawdzie heroldowie mają pewne możliwości, ale nie zawsze je

wykorzystują. . .”

— Chodzi o ciebie — powiedział Van cicho, gdy Savil wycofała się dyskretnie o dwadzieścia kroków. — Boję się o ciebie, Stef. Z tego samego powodu bałem się o swoich rodziców. — Ośłonił oczy przed oślepiającym słońcem nad ich głowami i wybiegł wzrokiem na pola pełne ludzi koszących siano. Stef wyczuł, że widoki wcale go nie interesują. — Mam wroga, który nie chce bezpośredniej konfrontacji, dlatego będzie mnie atakował przez innych. Gdy się rozniesie, że ty i ja jesteśmy kochankami, nie będzie miał skrupułów, żeby uderzyć w ciebie.

„Bogowie. A ja się bałem, że go czymś obraziłem albo przestraszyłem. On jest taki. . . dziewiczy. Sam Kernos wie, że mnie do tego daleko.”

— Ach — westchnął Stefen z ulgą. — Miałem nadzieję, że to coś w tym rodzaju, a nie że. . . zdenerwowałem cię czy co innego.

Vanyel odwrócił się do niego z wyrazem kompletnego zaskoczenia.

— Stef, dopiero co posmakowałeś, jak to jest być czymś celem! Jak możesz, ot tak przechodzić nad tym do porządku dziennego?

— Nie przechodzę nad tym do porządku dziennego, ale w takim razie skoro Przystań nie jest bezpiecznym miejscem, dlaczego sprowadzasz tam swoich rodziców? — zauważył Stefen z bezlitosną logiką. — Myślałem, że cała idea tej przeprowadzki opiera się właśnie na tym, że tam jest bezpiecznie.

Vanyel odwrócił od niego wzrok, spoglądając w dal, na drogę.

„Nic z tego, kochaneczku. Nigdy się mnie nie pozbędziesz.” Stefen postanowił, że odeprze każdy argument, jaki podsunie mu Vanyel, wykorzystał więc jego milczenie jako pretekst do zachwycenia się jego profilem, sposobem, w jaki jego długie, mocne dłonie spoczywały na łąku siodła, i idealną równowagą, jaką zachowywał w siodle. . .

— Jest bezpieczniej — powiedział Van po przeciągającej się ciszy. — To nie znaczy, że jest bezpiecznie. Nie chcę, żeby ci się stała krzywda.

— Ja też nie chcę, żeby mi się stała krzywda — zachnął się Stefen i wybuchnął śmiechem. — Ciągłe ci się wydaje, że jestem jak herold, że sam będę szukał guza, tak jak ty. Słuchaj, Van, nie jestem bohaterem! Przysięgam, bardzo wysoko sobie cenię moją skórę! Bardowie mają śpiewać o bohaterach, a nie naśladować ich. Umrzeć młodo to żadna chwała dla barda, uwierz mi. Coś ci powiem: na pierwszy sygnał, najpierwszy sygnał o niebezpieczeństwie z całą pewnością poszukam sobie schronienia. Schowam się albo za najbliższego gwardzistę, albo za najbliższego herolda. Czy to ciebie satysfakcjonuje?

— Nie — odrzekł Vanyel ze smutkiem. — Ale nie mogę ciebie zmusić, żebyś ode mnie odszedł, a tylko wtedy mógłbyś być bezpieczny.

— Żebyś wiedział — prychnął Stefen. — Nie ma takiej rzeczy, która zmusiłaby mnie do opuszczenia ciebie.

— Mam nadzieję — odparł trzeźwo Van spoglądając na bramę w murach mia-

sta — że nic nie zmusi cię do cofnięcia tych stów.

„Mam nadzieję, że nic nie zmusi cię do cofnięcia tych stów.” Czy nie powiedziałem tego parę miesięcy temu? Wiedziałem, że może do tego dojść, ale czy on zrozumie?

— Przykro mi, Stef.

Vanyel mówił odwrócony plecami do barda. Wyglądał przez okno swego pokoju, oparty o ramę okna. Nie umiał spojrzeć Stefanowi w twarz. Nie wiedział, jak się czuje Stef, ale próbował sobie to wyobrazić. Szczelnie osłaniał się przed jakimikolwiek przeciekami emocji, że nie potrafił określić, czy Stefan był zły, niešťeśliwy, czy obojętny. Ale nie oczekiwał od niego zrozumienia — bard żadną miarą nie mógłby pojąć, że obowiązek herolda może mieć pierwszeństwo przed innymi sprawami.

„Być może nic nie zmusi ciebie do opuszczenia mnie, *ashke*, ale nie było mowy o tym, że ja nie miałbym opuścić ciebie, A nie mam wyboru.”

— Potrafię zrozumieć, dlaczego musisz jechać: jedynie ty masz prawo przemawiać w imieniu króla. Ale dlaczego ja nie mogę jechać z tobą? — Stefan mówił cicho, bez śladu złości, czego spodziewał się Vanyel — ale przecież Stefan był bardem i zwykł panować nad modulacją swego głosu.

— Ponieważ jadę do Rethwellan. Nie lubią tam *shay'a'chern*. To mało powiedziane. Gdybyś pojechał ze mną, prawdopodobnie odstawili by nas za swą granicę i wypowiedzieli Valdemarowi wojnę za obrazę, jak... jak tylko by się o nas dowiedzieli. — Vanyel zacisnął dłoń na ramie okna. Przepiękny późnojesienny dzień, wraz z ogrodem za oknem, zlały się w jego oczach w jedną rozmazaną plamę. — Potrzebujemy tego traktatu, i to teraz, a ambasador Rethwellan zażyczył sobie mnie w roli pełnomocnika Randiego. Chcę, żebyś był przy mnie, ale mój obowiązek wobec Valdemaru stoi na pierwszym miejscu. Przykro mi, Stef.

Obejmujące go ramiona sprawiły, że zeszywniał z zaskoczenia.

— Ja też — szepnął mu Stefan do ucha. — Ale sam to powiedziałeś: Valdemar ma pierwszeństwo. Jak długo ciebie nie będzie?

Vanyel potrząsnął głową, nie wierząc własnym uszom.

— Chcesz powiedzieć, że nie masz nic przeciwko temu?

— Jasne, że mam! — odparł Stefan, z nutą złości w głosie, której Van spodziewał się wcześniej. — Jakże mógłbym nie mieć nic przeciwko temu? Ale bardowie wiedzą jedno: jak myśli herold. Od początku wiedziałem, że jeśli tylko będziesz musiał wybierać między mną a swymi obowiązkami, ja przegram. Tacy już jesteście. — Jego ramiona zamknęły się wokół Vanyela. — Nie podoba mi się to — ciągnął z cicha — ale nie podoba mi się także to, że nie możesz mówić wprost do mojego umysłu, a ja do twojego, i z tym też ucę się żyć. Ale, ale, nie odpowiedziałeś mi, jak długo ciebie nie będzie.

— Około trzech miesięcy. Wróć zimą. — Cisza przeciągała się odrobinę za długo jak na gust Vanyela. Próbował zmusić się do odprężenia.

Stefen przesunął ręce na jego ramiona i zaczął mu delikatnie masować mięśnie szyi.

— Będę za tobą tęsknił — powiedział w końcu. — Wiesz o tym.

— Stef. . . przyrzeknij mi, że będziesz uważał. . . — Van opuścił głowę i zamknął oczy, zaczynając się odprężyć, pomimo swych myśli.

— Jestem najbezpieczniejszą osobą w królestwie, zaraz po Randalu — zachichotał Stefen. — Prawdę mówiąc, o wiele bardziej zależy mi, żebyś ty był bezpieczny. Jeszcze jedno leży mi na sercu. . .

— Co takiego?

— Czy mogę mieć pewność, że dzisiejsza noc będzie tak pamiętna, iż wrócisz tu na skrzydłach, gdy będziesz miał w kieszeni ten traktat? — wyszeptał mu do ucha.

„Gdyby Yfandes nie była taka wykończona — pomyślał Vanyel, zamroczony zmęczeniem i zimnem — poprosiłbym ją, żeby biegła. Ach, no cóż.”

Posępne, szare chmury wisiały tak nisko, że przyprawiały go o klaustrofobię. Nieliczni podróżni, którzy znajdowali się akurat na drodze, wydawali się równie przytłoczeni i wyczerpani jak on sam. Deszcz ze śniegiem padał z nieba od początku dnia. Droga zamieniła się w grząską breję z błota i stopniałego śniegu, i nawet najbardziej odporny na wilgoć płaszcz po jednym dniu takiej podróży prawie nie nadawał się do niczego. Około południa Van zatrzymał się w jakimś zajeździe, żeby się trochę osuszyć i ogrzać, ale pół miarki świecy po wyruszeniu w dalszą drogę oboje, on i Yfandes, byli w takim stanie, że równie dobrze mogli nie zawracać sobie głowy jakimkolwiek zatrzymywaniem się. Byli tak brudni, że ich wygląd wręcz uwłaczał Kręgowi Heroldów.

Nikommu nie udało się nie ubrudzić w takich warunkach — gderiała Yfandes. — *Jak daleko jeszcze? Straciłam poczucie odległości. Na bogów, zamarzam.*

Sądzę, że w tym tempie za dwie godziny będziemy w Przystani — powiedział Vanyel.

Yfandes zadarła głowę z buntowniczym błyskiem w oku.

Pal licha takie tempo — rzuciła krótko. — *Jadę do domu inną drogą.*

Oznajmiwszy to, obróciła się na tylnych kopytach i przesadziła zaspy na wpół stopionego śniegu ciągnące się po obu stronach drogi. Vanyel z jękiem zdumienia zacisnął stopy na jej brzuchu i mocno chwycił łąk siodła. Próbował porozumieć się z nią myślowo ale ona nie słuchała. Po trzeciej próbie poddał się. Kiedy była w takim humorze, nie było sensu się z nią targować.

Oddalwszy się od drogi dwadzieścia kroków, podrzuciła głowę, nozdrza jej się wydymały.

Tak myślałam. W tym miejscu droga robi tę długą pętlę na południe. Mogę polecieć na przelaj i w Przystani być za niecałe pół miarki świecy.

— Ale... — zaczął Vanyel.

Za późno. Yfandes rozpostarła swe zmęczone nogi do cwału i po chwili sadziła przed siebie długimi susami. Była zbyt zmęczona na pełny bieg, ale jej krok dorównywał prędkością galopowi większości koni,

— Uważaj! — krzyknął Vanyel. — Biegiesz przez...

Przeskoczyła żywopłot i wyminęła stado owiec, które zdały się nadto zaskoczone jej nagłym pojawieniem się, żeby uciekać. Przed nimi zza ściany gęstego deszczu ze śniegiem wyłaniał się jakiś ciemny, masywny kształt. Yfandes skoczyła jeszcze raz, pokonując żywopłot na drugim krańcu łąki, a potem przechyliła się i ześliznęła po stromym zboczu. Vanyel przywarł do jej grzbietu, gdy brnęła w dół. Z chlupotem przecięła lodowaty strumyk w dole i wspięła się na drugi brzeg.

Dał sobie spokój z powstrzymywaniem jej i wszelkimi dyskusjami i mocno uchwycił się cennego życia.

Mieszanka deszczu ze śniegiem zagaściła się, przechodząc w prawdziwą śnieżycę. Vanyel zdążył tak przemarznąć, że nie czuł palców u nóg, a te u rąk miał zupełnie skostniałe. Śnieg był wszędzie — kapryśne podmuchy wiatru rozdmuchiwały go we wszystkich kierunkach, także w górę. Smagał Vanyela po twarzy tak, że ten nie widział już nawet, dokąd pędzi Yfandes. Tylko skurcz mięśni dawał mu poznać, kiedy Towarzysz znów wykona jeden z tych skoków, od których człowiekowi zgrzytają wszystkie kości, kiedy skoczy na czyjeś pole, przez strumień albo podwórze jakiegoś gospodarstwa.

Wreszcie dała jeszcze jednego susa, spadając ze stukotem kopyt na coś twardego — przypuszczalnie był to chodnik. Stała gwałtownie, wpadając w lekki poślizg, aż Vanyela rzuciło na łęk siodła. Gdy podniósł oczy, ujrzał wznoszące się nad nimi mury miasta. Ich zacisze ujarzmiło rozszały wicher w nikły wietrzyk. Śnieg zaczął gromadzić się w malutkich szparkach pomiędzy kamiennymi blokami, obrysowując każdy z nich białą kreską.

Yfandes posuwała się w stronę bramy spokojnym stępem, pobrzękując wesoło dzwoneczkami na uździe, co tworzyło swoisty ironiczny kontrast dla jej powłóczyściwych od zmęczenia kroków. Gwardzista przy bramie zerwał się, by dać sygnał, że mogą przejść, lecz po chwili, przyjrząwszy im się raz jeszcze, złapał Yfandes za uzdę, zatrzymując ich w samym środku tunelu w murze. Tunel osłaniał przed wiatrem i śniegiem, a po srogiej pogodzie na zewnątrz wydawał się nawet ciepły.

Vanyel z trudem uniósł głowę.

— Co... — zaczął.

— Nie przepuszczę cię w takim stanie, heroldzie — warknęła strażniczka, krzepka kobieta przypominająca Vanyelowi jego siostrę, Lisę. — Taki stary człowiek jak ty powinien wiedzieć...

„Stary człowiek?” Potrząsnął głową, odrzucając kaptur. Strażniczka przerwała w pół zdania, rozdziawiając usta.

— Gdyby można tu było łapać muchy — powiedział wykrzesując z siebie resztki humoru — to nawet żaba pozazdrościłaby ci połowu.

Kobieta zamknęła usta szczękając zębami.

— Proszę o wybaczenie, wielmożny heroldzie Vanyelu — powiedziała sucho. — Zobaczyłam siwiznę w twoich włosach i . . .

— Postąpiłaś słusznie zatrzymując mnie, młoda damo — odrzekł nieco łagodniej. — Rzecz jasna nie pomyślałem o tym, ale to z zimna i wyczerpania. Dalecy jesteśmy od ideałów — lepiej, żeby ktoś na nas uważał. Ale co zamierzałaś ze mną zrobić — poza oświeceniem mnie, że jestem głupcem, wybierając się gdzieś w taką pluchę?

— Miałam zamiar dać ci koc do okrycia — powiedziała niepewnie. — Chciałam nakazać ci również zdjęcie przemoczonego ubrania. Na bogów, panie, pomyślałby kto, że wiesz na sobie połowę błota z całej drogi od granicy.

— Zdaje się, że to prawda, ale pałac już niedaleko, a tam właśnie zmierzamy — powiedział. — Sądzę, że tyle możemy jeszcze przejechać. — Zdobył się na autentyczny uśmiech, a ona odpowiedziała mu nieśmiało.

— Skoro tak mówisz, panie. — Puściła cugle Yfandes i odstąpiła na bok, a Vanyel wyjechał z powrotem na śnieg i mróz.

Mury miasta osłaniały ich przynajmniej od wiatru. Do pałacu zaś nie było aż tak daleko . . .

Musiał się chyba zdrzemnąć na chwilę. Vanyel miał w zwyczaju robić to dość często, kiedy znalazł się w stosunkowo bezpiecznym, ale nieprzyjemnym, otoczeniu, na przykład na patrolowanej drodze w środku zimy, bądź oczekując w zasadzce podczas ulewy. Gdy otworzył oczy, był już w suchej i ogrzanej szopie przy stajni, przy jego strzemieniu stał jeden z parobków, ponagłając go, by wreszcie zsiadł.

Yfandes? — zagadnął w myśli.

Yfandes z wolna odwróciła do niego głowę, spoglądając nań ze zdumieniem.

Och. Jesteśmy w domu. Musiałam. . .

Zrobiłaś to samo co ja. Ledwieśmy weszli do miasta, od razu usnęliśmy. Odpocznij sobie, kochana. Ja mam zamiar zrobić to samo, jak tylko złożę raport.

— Zaprowadźcie ją bliżej ciepła — polecił stajennemu, zsiadając ostrożnie z Yfandes, ze względu swe sińce. Szopa była ogrzewana kilkoma żelaznymi piecykami i w bardzo mroźne noce drzwi do stajni zostawały otwarte, aby ciepło docierało też do przylegającego budynku. — Wytrzyjcie ją, porządnie wyczyścić, a na kolację dajcie gorącej mieszanki.

Niech cię bogowie błogosławią.

— Okryjcie ją dwiema derkami i zabierzcie tę uprząż. Trzeba ją gruntownie odnowić. — Zdjął juki z tylnego łęku i z całym błotem przerzucił je sobie przez

ramię.

— Coś jeszcze, panie? — spytał parobek, wytrzeszczając oczy, zdumiony jego stanem.

— Nie — odparł Vanyel i jeszcze raz uśmiechnął się. — Dziękuję ci. Cierpię na niedostatek manier. Chyba zamarzyły gdzieś w drodze jakąś miarkę świecy temu.

Dokąd idziesz? — spytała Yfandes, wyprowadzana z szopy.

Do pokoju, żeby się przebrać, a potem złożyć raport — odpowiedział. — *Porozum się z innymi i powiedz mi, czy Randi udziela dziś audiencji, dobrze?*

Tak — odpowiedziała natychmiast. — *Stef jest razem z nim.*

To dobrze. Dziękuję ci. Trochę odpocznij, zasługujesz na to. — Znalazł jeszcze w sobie resztki energii i przyspieszył kroku w drodze do drzwi.

Ty też, ale i tak wcale nie odpoczniesz — odparła z rezygnacją. Van posłał jej myślą troszkę ospały, ale ciepły uścisk. Wyszedł na śnieg, który padał teraz tak gęsto, że z miejsca, gdzie stał Vanyel, wcale nie było widać pałacu.

Odpocznę, kochana. Później. Godziny dobrego samopoczucia Randiego są zbyt cenne, aby je marnować, a ja mam dużo do zameldowania.

Bał się; bał się tego, co zastanie, gdy ujrzy Randala. Bał się, że Treven nie poradził sobie ze wszystkimi obowiązkami, które spadły na niego w tak młodym wieku, że Shavri gotowa załamać się w każdej chwili. . .

„O tak, przyznaj się. Boisz się utraty zainteresowania Stefena. Właśnie to tak cię gryzie.” Zadrżał i zmusił się do przyspieszenia kroku. Śnieg okrywał go białym płaszczem, bielszym od jego uniformu, który nosił ślady podróży.

Właśnie się zbliżał do bocznych drzwi stajni, kiedy te otworzyły się i ktoś wciągnął go do środka, w ciepło złocistego światła lampki oliwnej zawieszanej u futryny drzwi.

Rozpoznanie, kto to, zajęło mu chwilę — nie żeby Tantras tak się zmienił, ale dlatego, że otępiła pamięć nie umiała nijak przypasować imienia do tej twarzy.

— Tran. . . — wycharczał. „Na bogów, w tym stanie wątpię, czy rozpoznałbym własną matkę.”

— Daj mi ten płaszcz — energicznie zarządził Tantras, odpinając mu skuwkę pod szyją. — Delian wypatrywał ciebie od dwóch dni, a skoro tylko zobaczył, jaki jesteś zamroczony, zaraz mnie zawołał. Proszę. — Płaszcz spadł z ramion Vanyela, lądując na podłodze. — Świetnie. Nie ma czasu do stracenia: audiencje Randiego rzadko trwają dłużej niż jedną lub dwie miarki świecy, nawet z pomocą Stefena. Chodź tutaj. . .

Wciągnął Vanyela do schowka. Na półce stała mała latarenka, obok niej leżał komplet Bieli.

— Rozbierz się i włóż to — rozkazał Tantras. — Co potrzebujesz ze swoich juków?

— Tylko tuby z przesyłkami — odparł Vanyel, rozwiązując sznurówki swej tuniki dłońmi, które wydały mu się dwa razy większe niż w rzeczywistości.

— Domyślam się, że wszystko dobrze poszło? — Tantras wyciągnął dwie zalakowane tuby i położył je na półce obok uniformu.

— Nie było łatwo, ale zdobyłem traktat, którego chciał Randi. — Jego bryczesy były tak przemoczone, że musiał je odklejać od ciała. Tran wręczył mu ręcznik. Vanyel wytarł się i owinał ociekające włosy, zanim zaczął nakładać nowe bryczesy. — Królowa Lythiaren — bogowie, to dopiero kąsek! — tylko z plotek wie o nas i o tym, co umiemy. To znaczy, heroldowie. Nie zna magii umysłu. Sam pomyśli, że ktoś mógłby podłapywać myśli i uczucia innych przeraża większość ludzi w Rethwellan. Dementowanie plotek zajmowało mi prawie tyle samo czasu, co posiedzenia przy stole negocjacyjnym. Ale wszystko to się skończyło i muszę powiedzieć, że Randi dobrze zrobił wysyłając akurat mnie. Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby ktokolwiek inny miał tę szczególną kombinację darów, które pozwoliłyby w końcu zdobyć tę umowę.

— Twoja reputacja też nie zaszkodziła — zaobserwował Tran z ironią.

Vanyel przeciągnął przez głowę należącą do Tantrasa, wyraźnie przydużą tunikę, ale to nie miało znaczenia. Ciągłe mówiąc, zaczął wycierać włosy.

— To prawda, chociaż mało brakowało, a przyniosłaby więcej szkód niż korzyści. Dlatego właśnie wyjechałem stamtąd, zanim przełęcz zasypał śnieg. Wprawiałem ich wszystkich w zakłopotanie i byli bardzo szczęśliwi oglądając moje plecy.

— Oto twoje przesyłki — powiedział Tran, wręczając Vanyelowi tuby. Ten tymczasem dla wprowadzenia względnej porządku na głowie przeczesywał dłońmi włosy. — Resztę rzeczy zabiorę do twojego pokoju. Randi wygląda okropnie, więc bądź przygotowany.

Vanyel odebrał od przyjaciela obie błękitne tuby i zawahał się przez moment. Chciał coś powiedzieć, ale nie wiedział co.

— Idź — ponaglił go Tantras, przytrzymując jedną ręką otwarte drzwi, a drugą trzymając lampkę. — Nie masz czasu do stracenia.

„Jak bardzo mogło się pogorszyć Randiemu w ciągu trzech miesięcy?” — zastanawiał się, przymuszając utrudzone nogi do szybkiego marszu. Korytarze były opustoszałe — w gruncie rzeczy cały pałac zdawał się pusty. Było to irytujące w najwyższym stopniu, szczególnie dla kogoś, kto pamiętał te same korytarze pełne dworzan i służby, jak to było za czasów Elspeth. Odnosiło się wrażenie, jak gdyby zły duch usunął wszystkich ludzi, pozostawiając pałac pusty, zamieszkały tylko przez wspomnienia.

Sala Tronowa była niemal pusta — żadnych pochlebców, żadnych ciekawskich próżniaków, tylko ci, którzy mieli jakąś sprawę do Randal. Było tam niewiele ponad dwudziestu ludzi, wszyscy obeznani z sytuacją, wszyscy tak milcząco, że Van wyraźnie usłyszał Stefena grającego z przodu sali. Początkowo nie

mógł dostrzec Randal; potem ktoś przesunął się w bok i wreszcie, po raz pierwszy od trzech miesięcy, Van ujrzał króla.

Z wielkim trudem powstrzymał się, żeby nie podbiec do Randal z krzykiem. Od lata Randal zmieniał się dramatycznie.

Zmiany, jakie w nim zaszły, były nie tyle natury fizycznej, ile stanowiły coś trudno uchwytneho. Randal zdał się wątki i kruchy niczym figurka z włókna szklanego. Miał w sobie jakąś przejrzystość — mógłby z powodzeniem udawać lodową rzeźbę z Tayledras, w rodzaju tych, które przygotowywano tam na festiwalach zimowych, przedstawiającą jednakże istotę inną od człowieka. Być może raczej jakiegoś *varrir*, jedno ze stworzeń ze Zwiewnej Równiny.

Prawdopodobnie to właśnie było najbardziej przerażające. Randal nie był już podobny do człowieka. Wszystko, co w jego ciele nie było niezbędne, przez ostatnie trzy miesiące zostało spalone lub wydalone. Trwał przy życiu jedynie siłą własnej woli. Było w nim coś wspaniałego — Vanyel nigdy nie uwierzyłby, iż ten biedny, wiecznie niezdecydowany Randal, który nigdy nie chciał być królem, mógł się przemienić w tę oto istotę o duchu z żelaza i diamentowej determinacji.

„Wstrzymuje się, dopóki Treven nie będzie gotów — pomyślał Van, przyglądając się, jak Randi z uwagą słucha posłańca z nad granicy karsyckiej. Nie popuści, dopóki Trev nie będzie umiał radzić sobie z tą pracą. Tylko to go podtrzymuje. Ciekawe, czy zdaje sobie z tego sprawę.”

Pochyliła się nad nim Shavri, dotykając jego ramienia. Randal uniósł swą bezbarwną dłoń, by położyć ją na jej dłoni, nie odrywając ani uwagi, ani oczu od posłańca. Vanyel poczuł siły spływające na niego od Shavri i uświadomił sobie coś jeszcze. Shawi była skazana tak samo jak Randi. Z miłości uczyniła rzecz, jakiej nie zrobił jeszcze żaden uzdrowiciel — otworzyła między nimi kanał nieograniczonego przepływu energii. Oddawała mu wszystko, co miała — będą teraz wypalać się razem, ponieważ nie było już żadnego sposobu, aby to zatrzymać.

Wiedziała, co zrobiła; musiała wiedzieć. A to oznaczało, że tego właśnie chciała.

„Żadne z nich nie wie, co skrywa drugie. Randi nie ma pojęcia, że kanał, który otworzyła Shavri, ma nieograniczony przepływ. Shavri zaś nie wie, jak mało czasu pozostało Randiemu. Powinienem im powiedzieć, ale nie potrafię. Nie potrafię. Niech zachowają swe sekrety. Tak niewiele mają poza miłością.”

Gdy posłaniec uklonił się w odpowiedzi na coś, co powiedział Randal, Joshel skinął na Vanyela. Vanyel zmusił się, by żwawym krokiem podejść do stóp tronu, zupełnie jak gdyby dopiero co wrócił z przejażdżki. Randal koncentrował się całkowicie na tym, co znajdowało się bezpośrednio przed nim, był zanadto skupiony, aby przejrzeć zewnętrzne pozory dobrego samopoczucia, gdyby Vanyel postanowił narzucić mu ten rodzaj iluzji. Właśnie coś takiego herold miał zamiar zrobić.

— Wasza Wysokość — powiedział cicho — sprawa z Rethwellanem zakoń-

czyła się sukcesem. — Wręczył tuby na przesyłki Joshelowi, który podał je kasztelanowi. — Oto twój traktat, królu; zgodny z tym, o co prosiłeś. Wynegocjowałem pakt o obustronnej obronie przed Karsem, o ekstradycji przestępców, klauzulę o pomocy w wypadku ataku — wszystko to się tu znajduje.

„Plus kilka spraw, które wypracowaliśmy wspólnie z królową.” Obserwował, jak kasztelan przebiegał wzrokiem każdą stronę, wręczając ją następnie Randalowi. Z satysfakcją zauważył ich pełne zaskoczenia uśmiechy, kiedy dochodzili do klauzul dodatkowo włączonych do dokumentu. Był to dobry traktat, uczciwy dla obu stron. Wieść o tej ugodzie byłaby z pewnością gorzkim rozczarowaniem dla władców Karsu.

Najwięcej dumy przysparzał Vanyelowi fakt, iż udało mu się wynegocjować porozumienie mimo braku jakiegokolwiek przygotowania do roli dyplomaty. Wszystko co umiał, podejrzwał u Joshela albo kasztelana.

Randal wiedział o tym, a jego uśmiech mówił, że zdawał sobie sprawę z wagi osiągnięć Vanyela.

— Dobra robota, stary przyjacielu — powiedział zadyszczonym głosem, który powiedział Vanyelowi, ile wysiłku kosztuje go każde słowo. — Niczego więcej nie mógłbym sobie życzyć. Nie przyszłoby mi do głowy prosić o niektóre z rzeczy, jakie dla nas uzyskałeś. Kusi mnie, żeby cię spytać, czy nie zechciałbyś porzucić magii na rzecz polityki.

— Och, nie sądzę, mój panie — rzucił lekko Vanyel. — Jestem nazbyt uczciwy. W tej sytuacji uczciwość była wartością cenną, lecz nie tak zazwyczaj bywa w polityce.

Randal zaśmiał się, bladym cieniem chichotu i opadł w wyścietane objęcia swego tronu.

— Dziękuję ci, Vanyelu. Z pewnością niebawem Rada zechce omówić z tobą ten traktat w szczegółach, a ja byłbym ci wdzięczny, gdybyś objaśnił Trevenowi, jak obchodzić się z królową.

Było to wyraźne pozwolenie na odejście, toteż Vanyel wycofał się, kłaniając się uniżenie. Opuścił Salę Tronową. Nie mógł znieść widoku tego, co stało się z Randałem. Za nim na korytarz wyszedł Joshel.

— Wiem, że jesteś wyczerpany, Van, ale musimy natychmiast zwołać Osobistą Radę i przedyskutować traktat oraz sytuację w Karsie... — Wymizerowany młody herold przerwał. Troska o Vanyela walczyła w nim z poczuciem potrzeby chwili, co odbiło się na jego twarzy.

— W porządku, Josh — powiedział Van. — W Sali Rady jest ciepło, a w tej chwili tego mi najbardziej potrzeba. Jestem przemarznięty do szpiku kości.

— Możesz pójść tam zaraz? Każę paziom przynieść wszystko w mgnieniu oka. — Ulga, jakiej doznał Josh, była tak oczywista, że Vanyel zaczął się zastanawiać, co jeszcze stało się podczas jego nieobecności.

— Naturalnie — odparł. — Byle tylko nikomu nie przeszkadzało to, że wyglądam jak kot topielec.

— Wątpię, żeby ktoś miał coś przeciwko temu — odrzekł Josh. — Ostatnimi czasy mamy na głowie inne zmartwienia. Przyjęliby cię, nawet gdybyś wyglądał jak parobek oblepiony błotem, taki jesteś ważny.

Frustracja i udręka zagotowały się w Vanyelu, eksplodując słowami.

— Ważny? Do diabła, Josh, po co to wszystko? Siłą, którą władam, mogę zmieść z powierzchni ziemi cały dom, a nie mogę zrobić nic dla przyjaciela, który umiera na moich oczach!

Joshel westchnął.

— Wiem. Muszę sobie wciąż powtarzać, że nie robimy tego wszystkiego, by chronić Randiego, ale dla Valdemaru. Zazwyczaj to wcale nie pomaga.

— Jaki pożytek z posiadanej mocy, jeśli nie można jej wykorzystać tak, jak powinna być wykorzystana? — spytał Vanyel, podniósłszy do twarzy zaciśniętą w pięść dłoń. — Jestem Vanyel, Zmora Demonów, i nie potrafię zapewnić bezpieczeństwa swoim rodzicom w ich własnym domu, a co tu dopiero mówić o utrzymaniu Randiego przy życiu.

Josh potrząsnął tylko głową. Vanyel wyczuł w nim tę samą udrękę i otworzył pięść.

— Przepraszam, Van. Żałuję, że nie znam żadnej odpowiedzi. Przed posiedzeniem Rady powinienem ci jednak powiedzieć o czymś jeszcze. Wczoraj zebrał się Krag Heroldów i promujemy Trevena do pełnej Bieli.

Dla Vanyela ta wiadomość była jak cios poniżej pasa. Promowanie Trevena w tak młodym wieku mogło oznaczać tylko jedno: król musiał być pełnoprawnym heroldem, a ci, którzy mają dar przewidywania, nie spodziewali się, że Randal przeżyje następne dwa lata, których w normalnym trybie Treven potrzebowałby na zdobycie Bieli.

Josh pokiwał głową na widok wyrazu twarzy Vanyela.

— Wiesz, co to oznacza, tak samo jak ja — powiedział i odwrócił się do drzwi Sali Tronowej.

Vanyel przeszedł kilka kroków dzielących go od Sali Rady. W przeciwieństwie do reszty pałacu widać było, i czuło się to, że komnata ta jest w ciągłym użytku — bardzo intensywnym, sądząc po widoku starannie poukładanych plików papierów i map oraz resztek jedzenia na tacy przy drzwiach. Tutaj ubijano transakcje korony, nie w Sali Tronowej. Audiencje najwyraźniej przeznaczone były dla tych spraw, którymi Randal musiał zająć się osobiście lub służyły do wydawania edyktów, które, aby odniosły zamierzony skutek, musiały wyjść bezpośrednio z ust suwerena.

Naturalnie ze względu na traktat Tantras tak popędził Vanyela do Sali Tronowej. Randal prawdopodobnie właśnie w tej chwili go podpisywał przy którymś

z członków dworu w roli świadka, co od tego momentu nadało dokumentowi moc wiążącą.

Van zajął swe zwykłe miejsce, osunął się w dół i położył stopy na sąsiednim krześle. „Jeśli Stefanowi nie odmieniło się serce podczas mojej nieobecności, mógłbym niezawodnie skorzystać z masażu” — pomyślał z tęsknotą. Ogień w kominku obok palił się równym płomieniem, a obfity zapas drewna ułożonego tuż przy nim, świadczył o tym, że utrzymywanie sali obrad w ciągłej gotowości stało się normalną praktyką. Zgadzało się to z innymi obserwacjami Vanyela, z czego wypływał wniosek, iż sprawy królestwa załatwiane były bez przerwy i o każdej porze.

Dowiedziawszy się o promocji Trevena, nie był wcale zaskoczony, kiedy drzwi uchyliły się i następca tronu wsunął się do sali w nowiutkim komplecie Bieli.

Młodzieniec usiadł w fotelu obok Vanyela z pewną nieporadnością, jak gdyby nie wiedział, jak zostanie przyjęty. Van przyglądał mu się przez chwilę spod na wpół przymkniętych powiek, po czym uśmiechnął się.

— Rozluźnij się, Trev. Wciąż jesteśmy przyjaciółmi. Doszedłem do wniosku, że ty i Jisa postąpiliście słusznie.

Chłopiec odprężył się.

— Udało nam się przekonać także Shavri i Randała — powiedział. — Chociaż Jisa i jej matka były bliskie prawdziwej wojny. Ciągle nie mogę pojąć, jak udało mi się powstrzymać je od skoczenia sobie do gardeł. To chyba ten wczesny trening dyplomatyczny. — Z zażenowaniem poprawił swój biały pas.

— Czujesz się troszkę nieswój? — spytał Van, wskazując na białą tunikę. Treven skinął głową.

— Nie spodziewałem się tego, tak od razu. Nie czuję, bym na to zasłużył. Czuję się jak oszust. Nie podoba mi się, że to dostałem... bo...

Młody herold zwiesił głowę.

— Rozumiem — powiedział Vanyel. — Gorzej bym o tobie myślał, gdybyś nie miał wątpliwości, Trev. Wyjawię ci moją szczerą opinię, jeśli chcesz.

Treven skrzywił się.

— O Pani, pobłogosław, zdaje się, że to będzie gorzka pigułka! Ale... Tak, chyba chcę. Przynajmniej będę wiedział, na co się przygotować.

Vanyel zabrał stopy z krzesła, wyprostował bolące plecy i dopiero teraz odwrócił się twarzą do Trevena. Błękitne oczy chłopca nieustraszenie spotkały jego wzrok i Vanyel przez moment poczuł satysfakcję. Niewielu ludzi potrafiło wytrzymać jego spojrzenie.

— Myślę, że oboje wiemy, skąd wziął się ten pośpiech. Moim zdaniem nie jesteś jeszcze do tego przygotowany. Uważam, że będziesz gotów wtedy, gdy nie dasz się zwieść złudzeniu, iż to uniform czyni herolda.

Treven zdał się rozczarowany, a Vanyel wiedział, że chłopiec miał nadzieję usłyszeć — pomimo ostrzeżenia, iż będzie to uczciwa opinia — że naprawdę jest gotów do przyjęcia miana herolda.

Pod pewnymi względami Treven jeszcze był chłopcem, co poniekąd wiązało się z tym, co Van mu powiedział. Miał w sobie chłopięcy optymizm i chłopięcą wiarę w sprawiedliwość wszechświata. U zwyczajnego herolda nie stanowiłoby to żadnej przeszkody — ale w rozumowaniu monarchy nie było miejsca na podobne przekonania. Król nigdy nie zakładał, że coś jest sprawiedliwe i dobre — władca zawsze musi spodziewać się najgorszego i z myślą o najgorszym układać swe plany.

Treven nauczył się tego, tak jak nauczył się Randal. Jak nauczyła się Jisa.

I jak gdyby przywołały ją jego myśli, Vanyel poczuł obecność dziewczyny na moment przed jej wejściem. Uczuł nagle, delikatne muśnięcie myśli, które w myśłomowie było odpowiednikiem pukania do drzwi.

Witaj, kochana — odpowiedział. — *Trzymasz się jakoś?*

Najlepiej jak tylko mogę — odparła. — *Sam widziałeś.*

Nie umknęło więc jej uwagi to, co uczyniła jej matka poddając się losowi swego partnera, z którym łączy ją więź życia. Miłość do Randala nie przysłoniła jej stanu zdrowia króla. Myśl dziewczyny pobrzmiwała rezygnacją i smutkiem tak głębokim, jak gdyby jej rodzice pożegnali się już z tym światem.

Izoluj się przede mną — pomyślała do niego w odpowiedzi na pytania, których nie miał odwagi zadać. — *Odizolowali się od wszystkich z wyjątkiem siebie nawzajem. Mogłabym być tysiąc mil stąd, bo i tak przeważnie w ogóle mnie nie zauważają.*

Hola! Ja cię zauważam. Chodź tutaj.

Drzwi za jego plecami uchyliły się ponownie. Treven podniósł oczy i uśmiechnął się. Vanyel zaczął wstawać, ale Jisa, położywszy mu ręce na ramionach, pchnęła go z powrotem na krzesło.

— Nie wstawaj, wujku Vanyelu. Mój dar uzdrawiania jest wystarczająco silny, aby mi powiedzieć, jak bardzo jesteś zmęczony. — Pocałowała go w czubek głowy i posłała mu myśl: — *Treven nic nie wie, ojczu. Nie widzą żadnego powodu, żeby miało być inaczej.*

— *Dziękuję, serdecznie.* Nie odmówię ci słuszności. Czy należysz już do Rady? Jisa usiadła obok Trevena.

— Oboje należymy; ja jako pełnomocnik mojej matki. Już od końca jesieni.

— Z tym też świetnie sobie radzisz. — Jisa zostawiła drzwi otwarte; zaczęli napływać członkowie Rady, zajmując swe zwyczajowe miejsca. Te ostatnie słowa wypowiedział kasztelan, zatrzymawszy się z dłońmi na oparciu krzesła Jisy u szczytu stołu w drodze na swe miejsce. Z jego głosu Vanyel wyczytał, że był to komplement — w jego tonie nie było nic patriarchalnego czy protekcyjnego. — Doprawdy nie wiem, co byśmy poczęli bez niej tej jesieni. Mieliśmy

kłopoty z kimś, kto utrzymywał, że jest wysoko postawionym uchodźcą z Karsu. Podejrzewaliśmy czym się kieruje, ale osłaniał się przeciwko zwyczajnemu myślozczuci, a my z kolei nie chcieliśmy maczać palców w sondowaniu go. Bardzo potrzebowaliśmy kogoś ze zmysłem empatii. . .

— Ale mama była wyczerpana, zresztą i tak nie zostawiłaby ojca — powiedziała stanowczo Jisa. — Więc poszłam ja. Był szpiegiem tego Proroka, przysłali go, żeby się zorientował, czy pomagamy ich magom. Fanatyczne poświęcenie trudno pomylić z czymkolwiek innym.

— Wtedy włączyliśmy ją do Rady — powiedział kasztelan, zajmując swe miejsce. — W ten sposób doszliśmy do kłopotów z Karsem.

Otóż sprawa Karsu, jak powiedział im kasztelan, utknęła w martwym punkcie. Zwolennicy Proroka wygrali i utrwalali swe zwycięstwo. Jak dotąd nie zdradzali żadnych zapędów do wznowienia wojny rozpoczętej przez poprzedni reżim, jednak cały czas wypuszczali zwiadowców, aby sprawdzić, czy Valdemar udziela pomocy magom bądź tym, którym wciąż udawało się unikać „łowców czarownic”.

— Szukają pretekstu, aby wszcząć wszystko na nowo, gdy tylko będą gotowi — z gorzkim grymasem stwierdził reprezentant Południa, lord Taving.

— Jestem skłonny się z tym zgodzić — odrzekł ojciec Vanyela. — Wiecie, co powiadają: „Z Karsu przychodzą tylko zbóje i brzydka pogoda”. Bez względu na to, czy mówią, że kieruje nimi bóg czy chciwość, Karsyci zawsze byli i będą rabusiami.

Lord Taving wyglądał na zadowolonego, że ktoś podziela jego zasadnicze poglądy na temat Karsu.

— Jedyny problem w tym, że wciąż nie jesteśmy gotowi stanąć do wojny — powiedział. — Przynajmniej ja tak to widzę.

— Nie mylisz się, mój panie — rzekł lord marszałek. — Dzięki sugestiom Vanyela nie musieliśmy uciekać się do mobilizacji, ale nasi nowi gwardziści są nadal zieloni jak młode listki i postawieni twarzą w twarz z armią zaprawionych w boju fanatyków nie będą mieli żadnych szans.

— A dlaczego nie są jeszcze gotowi? — zdziwił się mistrz gildii, Jumay. — Zado wie, że płacimy dość podatków!

— Przede wszystkim dlatego, że w wojnie z Karsem straciliśmy więcej ludzi niż przez całe panowanie Elspeth! — odpalił z pasją lord marszałek.

— To właśnie sprawia, że traktat z Rethwellanem ma takie znaczenie — powiedział kasztelan, błyskawicznie wykorzystując okazję do wprowadzenia tego tematu.

Reszta radnych — nieobecnych na audiencji — reagowała tak, jak dyktowała im ich natura. Lord Taving nie miał ochoty ufać niczemu, co znajdowało się na południe od granic Valdemaru. Withen chciał się koniecznie dowiedzieć, w którym miejscu umowy ukryty jest jakiś kruczek. Lord marszałek odetchnął z ulgą

dopiero wtedy, gdy zorientował się, że dokument obejmuje umowę o obustronnej pomocy.

Vanyel tak się zagłębił w objaśnianie szczegółów traktatu, wskazując punkty, których domagał się Randal, i te, które sam dołączył do umowy, aż rozboleła go głowa. W końcu jednak wszyscy się zgodzili, że traktat był znakomity — co i tak nie miało znaczenia, gdyż Randal zdążył go już podpisać.

Kiedy wreszcie pozwolili Vanyelowi odejść, było jasne, że przygotowują się do śmierci króla i chwili, kiedy przy podejmowaniu jakichkolwiek decyzji Treven będzie po prostu jednym z członków Rady. Sama idea była dobra. Wszyscy wiedzieli, iż dni Randiego są policzone i prawdopodobnie pozostało ich mniej niż liczy rok.

Vanyel wracał do swego pokoju bardzo przygnębiony. Zatrzymał się dopiero przed drzwiami i zastanawiał, gdzie może być Stefen.

Wtem drzwi otworzyły się same pod jednym dotknięciem jego ręki...

— Cieszę się, że wróciłeś — powiedział zwyczajnie Stefen i wciągnął go za rękę do środka.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Stefen czekał na Vanyela, odkąd zakończyła się audiencja. Gdy tylko króla położono z powrotem do łóżka, bard przyszedł prosto do pokoju Vanyela. Kazał paziowi przynieść jedzenie i wino, po czym wszystko urządził tak, jak było wówczas, gdy herold przyprowadził go do siebie pierwszy raz. Tyle że dziś spodziewał się nieco innego zakończenia wieczoru.

Wiedział, że Van powinien nadejść lada moment, ale nikt nie potrafił mu dokładnie powiedzieć kiedy, czekał więc tak podenerwowany i podekscytowany jak dziecko od tygodnia wyczekujące festynu.

Gdy Van zaprezentował się na audiencji, Stef wiedział o jego obecności, choć przez cały czas był w transie. Miał wrażenie, że z radości serce wyskoczy mu z piersi. Utrzymanie się w transie do momentu, kiedy Randal go już nie potrzebował, było najtrudniejszą rzeczą, jakiej przyszło mu dokonać w życiu.

— Cieszę się, że jesteś — powiedział z prostotą Stefen, pozwalając, by jego głos poświadczył Vanyelowi, jak bardzo się cieszy. — Tęskniłem za tobą. — Wyciągnął rękę i zamknął za nim drzwi.

— Tęskniłem za tobą — powiedział Vanyel, a potem niespodziewanym ruchem przyciągnął barda w swe ramiona, tuląc go bardziej z rozpaczą niż namiętnością. Stef objął go, niezupełnie pewny, co spowodowało takie zachowanie Vanyela, gotów jednak ofiarować mu wszystko, czegokolwiek ten będzie potrzebował.

Za nimi ogień w kominku buczał i strzelał, akcentując głęboką ciszę. W końcu Vanyel wypuścił Stefena ze swych ramion.

— Bałem się, że kiedy wyjadę, znajdziesz sobie kogoś, kto lepiej pasowałby do ciebie — wychrypiał.

— Łączy nas więź życia — przypomniał mu Stefen, ciągnąc go w głąb pokoju i sadzając w fotelu blisko ognia. — Jak miałbym znaleźć kogoś, kto lepiej pasowałby do mnie niż taki partner? To nie jest coś, co przemija, kiedy dzieli nas większa odległość.

Vanyel zaśmiał się słabo.

— Wiem, zachowałem się jak idiota. Tylko że w środku nocy, kiedy jesteśmy całe mile od siebie, trudno pojąć, dlaczego zdecydowałeś się ze mną zostać. — Stefen sięgnął po jedzenie, gdyż Van nie zwracał na nie uwagi, i nalał wina.

— Nadal zachowujesz się jak idiota — powiedział Stef i włożył mu do jednej ręki chleb z serem, a do drugiej kubek gorącego, zaprawionego korzeniami wina. — Zjedz. Zrelaksuj się. Kocham cię. Widzisz, jakie to proste? Wszystko jest w najlepszym porządku. — Usiadł w fotelu naprzeciwko Vanyela i tak długo spoglądał na niego groźnym wzrokiem, aż ten w końcu ugryzł pierwszy kęs.

— Chciałbym, żeby to było takie proste — westchnął Vanyel, ale zaraz uśmiechnął się. Zjadł wszystko, co mu podał, a potem drobnymi łykami jął popijać wino, przyglądając się Stefanowi swymi dziwnymi, srebrzystymi oczami, które teraz pociemniały i nabrały wyrazu zamyślenia.

— Mam dla ciebie niespodziankę — zagadnął Stef, nie mogąc dłużej znieść tej ciszy. Wstał, podszedł do biurka i wyjął z niego pudełko, które wcześniej tam schował. — Zostawiłem to tutaj na wypadek gdybyś wrócił do pokoju, zanim ja skończyłbym swoje zajęcia. Proszę...

Rzucił pudełko w ręce Vanyela i wstrzymując oddech czekał, aż herold je otworzy.

Vanyel przekreślił skuwkę na prostym, drewnianym pudełeczku, ze słowami:

— Nie musiałeś tego robić... Nie musisz mi nic dawać, Stef... — Wieczko otwarło się i ujrzał to, co leżało wtulone w aksamitną wyściółkę szkatułki. Jego usta otworzyły się w niemym „och”.

Wyjął prezent lekko drżącymi dłońmi. Wspominał Stefanowi raz czy dwa, że brak oka magii ogranicza jego zręczność w posługiwaniu się magią. Najlepiej jego dar współpracował z bursztynem, który nie był wprawdzie kamieniem rzadkim, stwarzał jednak problem podobny do tego, z jakim borykała się przez długi czas ciotka Vanyela, Savil. Otóż im bardziej przejrzysty i czysty był kamień, tym lepiej skupiał energię podczas wszelkich magicznych zabiegów. Absolutnie przejrzysty, pozbawiony zanieczyszczeń bursztyn występował niezwykle rzadko. A kiedy się taki znalazł — był okrutnie drogi. Odkąd Vanyel stracił swe poprzednie oko magii przed kilku laty, nigdy nie udało mu się znaleźć kamienia, choćby nie obrobionego, który byłby nieskazitelny i wystarczająco duży, aby się na coś przydać. Zanieczyszczenia mogły doprowadzić do dezintegracji, albo nawet eksplozji kamienia, pod ciśnieniem magicznych energii.

Wobec tego, podobnie jak Savil, przy zadaniach wymagających zogniskowania energii Vanyel skazany był na swój kamień zastępczy, tygrysie oko w kształcie jaja.

I oto Stefan darował mu oszlifowaną niczym brylant półkulę idealnie nieskazitelnego, ciemnego, złocistoczerwonego bursztynu osadzonego w cieniutkiej, srebrnej obwódce z oczkiem u góry, pozwalającym nosić go jako wisiorek. Stefan wyprosił nawet od Jisy srebrny łańcuszek, aby Vanyel mógł go od razu założyć. Jisa spełniła prośbę, nie pytając o nic, ale kiedy powiedział jej, co chce z nim zrobić, była tak zachwycona, jak gdyby chodziło o podarek dla niej.

— Stefienie — zagadnął Vanyel dziwnym, nienaturalnym głosem. — Musisz

mi powiedzieć. Skąd i, co ważniejsze, jak go zdobyłeś?

— Nie ukradłem go! — wykrzyknął Stefen, dotknięty.

— Wcale nie myślałem, że to zrobiłeś, ale zwyczajnie nie ma sposobu, żebyś mógł sobie pozwolić na coś takiego, i obaj o tym wiemy. — Vanyel schował wiorek do pudełka i zamknął je. — Dopóki się nie dowiem, nie będę mógł go nosić z czystym sumieniem.

„Myśli, że zarobiłem na to w nocy — zasmucił się Stefen. — Na bogów, muszę go wyprowadzić z błędu”.

— Spotkałem pewnego handlarza kamieni — rzucił krótko. — Urządził prywatny pokaz dla dam, dla których grywałem. Przyniósł bursztyny, perły i korale, naprawdę niezwykle rzeczy; mówił, że zwiedził cały świat. W każdym razie miał ten kamień i ja go zobaczyłem, a on zauważył, jak na niego patrzę. Stwierdził, że dla mnie byłby bezużyteczny, że stworzony jest do tego, aby być okiem magii... No i cóż, zaczęliśmy rozmawiać i powiedziałem mu, że chciałbym go dla ciebie, chociaż i tak wiedziałem, że mnie na niego nie stać.

Dobrze zapamiętał, co powiedział mu kupiec: — Co, taki bard jak ty? Wielkie nieba, przyjacielu, w moim kraju obsypaliby ciebie tysiącem takich drobiazgów. Twój podarunek jest cenniejszy od całej mojej kolekcji.

Ale po chwili po twarzy kupca znać było, że się zastanawia. — Z drugiej strony może moglibyśmy sobie nawzajem oddać przysługę...

— I zaproponował mi kamień za przysługę. Planował urządzić w domu, który wynajął, więcej prywatnych pokazów dla innych handlarzy kamieniami. Powiedział, że ich dużo trudniej przekonać niż damy i zażyczył sobie, abym dla nich zagrał...

Zająknął się, bo Vanyel patrzył na niego w taki sposób, jakby Stef się sprzedał.

— Nie prosił mnie, żebym robił cokolwiek dla skłonienia ich do kupna. Miałem tylko wprowadzić dobry nastrój, poprawić im samopoczucie i pozwolić mu popisać się przed nimi, wtrącając mimochodem, że jestem bardem samego króla. To wszystko! Nie zrobiłem nic złego!

Vanyel nadal patrzył na niego z powątpiewaniem.

— Zrobiłem? — zapytał Stef cichuteńkim głosem.

Herold ważył pudełko w dłoni. Stefen z każdą chwilą czuł się coraz gorzej. Zaplanował podarek jako zaproszenie do miłości, a tymczasem jego kamień zamienił się w żmiję, która ukąsiła ich obu.

W końcu Van otworzył pudełko i wyjął dar Stefena, a on odetchnął z ulgą. Vanyel patrzył na piękne cacko, potrząsając głową.

— Nie zrobiłeś nic złego, ale tylko dzięki przypadkowi i temu, że moim zdaniem ten twój znajomy nie chciał cię wpakować w tarapaty — powiedział przyciszonym głosem. — Byłeś tak blisko nadużycia swych umiejętności, że aż się wzdrygam na samą myśl o tym. Nigdy nie możesz używać swego daru do manipulowania ludźmi, chyba że na rozkaz korony, Stef. Jeśli się nie zastosujesz,

pozbawią cię go. To źle, Stef, bardzo źle. A co by było, gdyby okazało się, że to człowiek pozbawiony skrupułów, że chciał ludziom wcisnąć jakąś tandetę. Co by było, gdyby rzeczywiście poprosił cię, abys nakłaniał ludzi do kupowania? Co by było, gdyby drastycznie zawyżył ceny swych towarów, a ciebie poprosił o omamienie ludzi tak, aby byli przekonani, że robią świetny interes? Co by było, gdyby przyprowadził tych, którzy nie mogą sobie pozwolić na jego towary i kazał ci podsycać w nich chęć posiadania, aby kupowali bez względu na wszystko?

— Przestań! — wrzasnął Stefen. Okrutnie było mu wstyd. Teraz prawie żałował, że nie sprzedał swego ciała; to wydawało się bardziej uczciwe.

— Stef. . . — Vanyel złapał go za rękę i przyciągnął do siebie. — Nie chciałem robić ci przykrości. Nie uczyniłeś przecież żadnej z tych rzeczy i nie nadużyłeś swej władzy nad innymi. Ale niewiele brakowało. Możesz podziękować temu kupcowi za jego uczciwość i za to, że cię nie kusił.

Stefen przysiągł sobie w duchu, że zastanowi się najpierw, zanim spełni jakąkolwiek prośbę. I aż zadziwił się tą przemianą w nim samym. Jeszcze rok temu zrobiłby bez mrugnięcia każdą z tych rzeczy i nie przyszłoby mu do głowy, że to coś złego.

— Van — powiedział cicho — Przy tobie. . . Pokazałeś mi, że zabawianie się umysłami i emocjami innych jest tak samo złe jak kradzież. . . — Zawahał się przez moment, a potem dodał: — Bo w pewnym sensie okrada się ich z czegoś. Okrada się ich z prawa do dobrowolnego myślenia i odczuwania. Dopóki nie spotkałem ciebie, nie zrozumiałbym tego, ale teraz wiem.

Vanyel odprężył się i zamknął dłoń na bursztynowej półkuli.

— Wobec tego mogę go nosić z przyjemnością. I będę z niego korzystał wiedząc, że to podarunek ofiarowany z miłością i honorem. — Skłonił głowę i zaśmiał się cicho. — Zdaje się, że zabrzmiało to nieco pretensjonalnie i pompatycznie, jak linijka z jakiejś ballady, ale to właśnie czuję, Stef.

— Gdybyś myślał choćby odrobinę inaczej, nie byłbyś Vanyelem — odparł Stefen, oblewając się rumieńcem szczęścia, kiedy Vanyel, założywszy wisiorek na szyję, oparł rękę na jego ramieniu.

— Przecenisz mnie, skarbie — powiedział Van cicho. — Mam skłonności do głupoty, takie same jak każdy inny. W tej chwili na dodatek jestem bardzo obojętnym głupcem. Czy mógłbym cię jakoś namówić do użycia tych utalentowanych dłoni do rozmasowania moich ramion?

— Pozwolić ci skorzystać z dotyku moich dłoni? — Stef uśmiechnął się szeroko. — Naturalnie, że mógłbyś, a ja spełnię twe życzenie. Z przyjemnością.

Vanyel jednym haustem dopił wino, zdjął tunikę, zrzucił buty i siadł ociężale w swym fotelu. Stefen podniósł się, stanął za plecami Vanyela i z równomiernym, zdecydowanym naciskiem zaczął mu ugniatać mięśnie ramion.

— Co się dzieje, Van? — spytał. — Dopiero wróciłeś, spełniwszy wszystko, o co cię prosił król, a nawet więcej.

— Czasami mam wrażenie, jak gdyby wszystko, co dotąd zrobiłem, było niepotrzebne — rzekł Vanyel zniechęcony. — Randi umrze, nim upłynie rok, a wszyscy wrogowie Valdemaru, znając młody wiek Trevena, przyjmą to jako sygnał do natarcia, i połowa zawartych przez nas paktów straci ważność, bo negocjowano je z Randallem, a nie z Trevenem. Lada dzień Kars wypowie nam świętą wojnę. Na zachodzie roi się od na wpół oszalałych magów, z których każdy może okazać się drugim Kriebainem, tyle że z planami zakrojonymi na dużo większą skalę. Mam też swojego wroga; nie wiem, kto to jest i dlaczego mnie nie lubi, wiem tylko, że on, ona albo to jest magiem.

Stefen zagłębił kciuki w ramiona Vanyela troszkę mocniej, usiłując wymyślić coś, czym mógłby zaradzić; coś, co odmieniłoby ten nastrój.

— Randal jest umysłem korony, ale połowę roboty wykonują Trev i Rada — powiedział w końcu. — Trev jest bystry, szczególnie jeśli chodzi o plany krótkoterminowe. Randal przygotowuje plany długoterminowe, które powinny sprawdzić się w najbliższym pięcioleciu. Trev jest być może trochę zbyt wielkim idealistą, ale szybko mu to wybija z głowy. Jisa ma zmysł praktyczny za dwóch. Razem dadzą sobie radę.

— A skąd ty tyle o tym wiesz? — spytał nagle Van po długiej chwili ciszy.

— Jestem na miejscu zawsze, kiedy Randal pracuje, i zaczynam wyrabiać sobie zdolność słuchania, co się dzieje wokół mnie, gdy jestem w transie. — Stefen był z tego dość dumny. W porównaniu do rzeczy, które potrafił Vanyel, nie było to wiele, ale przynajmniej zrobił jakieś postępy od wyjazdu przyjaciela.

— To imponujące — stwierdził Vanyel bez cienia protekcyjnego tonu. — Bardowie nie posiadają zazwyczaj daru, który wymagałby od nich zapadania w trans i jestem zaskoczony, jak udało ci się osiągnąć coś takiego samodzielnie. A co z Jisą i Trevenem?

— Po twoim wyjeździe spędzałem z nimi dość dużo czasu — odparł Stef, masując kark Vanyela i głaszcząc skórę, jak gdyby grał na instrumencie. Mięśnie były bardzo mocno napięte i Stef nie wątpił, że muszą sprawiać Vanyelowi potężny ból. — Zwłaszcza z Jisą. Kasztelan to jedyna osoba, która ją docenia, i bardzo mu to odpowiada.

— To bardzo mądra dziewczyna — powiedział Vanyel trochę przytłumionym głosem. — Wiesz, że ona jest moją córką, a nie Randiego?

To powinien być dla Stefena szok. Ale dziwnym trafem nie był.

— Nie. Ale to by się zgadzało. Wiesz, ona pod wieloma względami jest do ciebie bardzo podobna. — Zamyślił się nad tym przez chwilę. — Naturalnie, Randal musi o tym wiedzieć; przecież taka uzdrowicielka jak Shavri potrafi zapobiec ciąży, kiedy tylko jej się podoba, więc to nie była wpadka, z czego płynie wniosek, że chciała Jisy. . .

— Shavri pragnęła mieć dziecko i była zrozpaczona. Wtedy oboje poprosili mnie o pomoc. Nigdy nikomu, poza tobą, o tym nie mówiłem, nawet moim rodzi-

com — powiedział Vanyel. — Mam jeszcze troje dzieci, ale jedynym, które widuję, jest Świetlista Gwiazda, chłopiec wychowywany przez Gwiezdnego Wichra i Tańczącego Księżyca. Pozostała dwójka to dziewczynki: jedna z darem magii w Tayledras, Ogniste Pióro; drugą, dwuletnią, wychowuje dwóch *shay'a'chern*, gwardzistów Lissy w stanie spoczynku; ona, o ile mi wiadomo, nie otrzymała żadnego z darów.

Stefen nie bardzo wiedział, jak powinien się czuć w obliczu takich rewelacji.

— Dlaczego? — zapytał w końcu. — To znaczy, dlaczego to zrobiłeś? Rozumiem, że Shavri zwróciła się z tym akurat do ciebie, a nie do kogoś innego, ale z jakich powodów zrobili to inni?

Vanyel westchnął i zwiesił ramiona.

— Mniej więcej z tych samych co Shavri. Ludzie, których znałem i na których mi zależało, pragnęli dziecka, lecz z tego czy innego powodu nie mogli go spłodzić bez pomocy z zewnątrz. Matka Ognistego Pióra nie jest *shayn*, ale nie było takiego mężczyzny w Tayledras, z którym chciałaby mieć dziecko. Urodziła bliźnięta — Świetlista Gwiazda to brat Ognistego Pióra.

Stef przypomniał sobie wszystkie fantazje, jakie snuł o własnych rodzicach, o tym, że sam nigdy nie wiedział, kto jest jego matką.

— Czy nie żałujesz czasem, że... sam nie wiem, no, że nie masz większego udziału w ich wychowaniu? — Stefen wcisnął kciuki w jego kark i jedwabiste włosy okryły mu ręce. — Wiem, że mają rodziców, którzy rzeczywiście bardzo ich kochają, ale...

— Otóż to. Mają rodziców, którzy rzeczywiście ich kochają — odparł Vanyel. — Ach, no właśnie, tutaj najbardziej boli. Teraz rozumiem, co Yfandes ma na myśli, mówiąc, że muzycy mają utalentowane dłonie. Doprawdy, kochanie, jedynym powodem, dla którego Jisa i Świetlista Gwiazda wiedzą, iż jestem ich ojcem, jest to, że bezwzględnie muszą o tym wiedzieć. Świetlista Gwiazda ewidentnie odziedziczył wszystkie moje dary, Jisa mogłaby ucierpieć wskutek sprzężenia zwrotnego po magicznym ataku na mnie, ponieważ ma w swym potencjale dar magii. Oni muszą być przygotowani. Ogniste Pióro jest tak podobna do matki, że obie mogłyby być bliźniaczkami, a Arven, o ile udało mi się ustalić, nie ma w sobie żadnego potencjału. Wszyscy wiedzą, kim są ich prawdziwi rodzice — ci, którzy ich kochają.

Zaśmiał się z cicha.

— Co cię tak bawi? — zdziwił się Stefen.

— Och, nic, tylko że cokolwiek decyduje o tym, że człowiek staje się *shayn*, z pewnością nie jest to cecha ani wyuczona, ani dziedziczna. Świetlista Gwiazda ma pół tuzina dam z Tayledras, z którymi regularnie wymienia pióra, i gdyby był bardziej krzepki, to miałby ich z pewnością jeszcze więcej.

— Wymienia pióra? — spytał Stefen zaintrygowany.

— To taki tamtejszy obyczaj. Jeśli chcesz się z kimś kochać, ofiarowujesz mu pióro. Jeśli życzysz sobie bardziej trwałego związku, jest to pióro twojego ptaka.

— Och. — To była świetna pożywka dla bujnej wyobraźni Stefena. I w środku zimy łatwiej było o pióra aniżeli o kwiaty. . .

Pod jego dłońmi Vanyel zaczął się odprężyć. Właściwie po tym, jak mu się kiwała głowa, sądzić można było, że śpi. A to oznaczało, że prawdopodobnie nie będzie większych problemów z położeniem go do łóżka.

„Oczywiście nie jest powiedziane, że się wyśpi”. Stefen westchnął z zadowoleniem i powoli przeczesał palcami włosy Vanyela, wdzięczny za samą obecność kochanka.

Van odprężył się po raz pierwszy od trzech miesięcy i całkowicie poddał delikatnej sile dłoni Stefena. Stef odczuwał chłód silniej niż większość ludzi — był tak chudy, że zimno przenikało go od razu do samych kości — rozpałił więc ogień, aby poczuć się bardziej swobodnie. Dzięki temu nawet bez tuniki Van mógł się rozkoszować usypiającym ciepłem.

Oko magii błyszczało tuż powyżej jego serca, muskając go jeszcze innym rodzajem ciepła. Ten kawałek bursztynu był naprawdę niezwykły, jakby stworzony specjalnie dla niego. Idealnie wpasowywał się w dłoń, splatając się z jego energią i nadając jej bieg przy znikomym wysiłku z jego strony. Zważywszy na to, jak ułożyły się sprawy, być może była to prawda — tak samo, jak z różowym kryształem, który Vanyel podarował Savil przed laty. Tamten kamień rzeczywiście sprawiał wrażenie stworzonego specjalnie dla niej, choć przecież to jemu ktoś go podarował.

Vanyel powiedział Stefanowi prawdę: gdyby nabył kamień haniebną drogą, on nie mógłby go nosić. Gdyby Stef nie rozumiał, dlaczego takie nadużycie daru jest czymś złym, Vanyela nawiedzałyby złe przeczucia za każdym razem, kiedy wkładałby wisiołek.

Stef się zmienił, chociaż Vanyel wcale nie próbował go zmieniać. Pomimo młodego wieku stał się partnerem, kimś, na kim Vanyel mógł polegać. „A ponieważ jest moim partnerem, musiał się dowiedzieć o Jisie i pozostałych dzieciach. Partnerzy nie powinni mieć przed sobą sekretów. Ta informacja pewnego dnia może okazać się ważna. Dobrze jest to komuś powiedzieć — zwłaszcza jemu. . .”

Niełatwo było się zrelaksować, pozwolić wszystkim troskom zniknąć na moment. Poczul, jak odpływa w półsen i wcale nie starał się przed tym powstrzymać.

BÓL!

Zerwał się na równe nogi i nie zdawał sobie nawet z tego sprawy, dopóki nie uświadomił sobie, że wytrzeszcza oczy na Stefena stojącego pośrodku pokoju. Zamrugał powiekami i w tym samym ułamku sekundy między jednym a drugim

oddechem, pojął. . .

„Kilchas! Ten ból płynie od maga heroldów, Kilchasa. On umiera. Albo ktoś go zabija.. Znienacka. Z okrucieństwem.”

Oto niespodziewany skutek uboczny zastosowania nowego zaklęcia sieci. Każdy herold, jeśli tylko nie był magicznie odcięty od sieci, natychmiast dowiadywał się o śmierci innego herolda, tak jak Towarzysze.

I podobnie jak Vanyel wiedział, że dzieje się coś złego.

Odezwał się Dzwon Śmierci. Vanyel porwał z oparcia fotela tunikę i spieszonym ruchem wciągnął ją przez głowę. Działo się coś złego, coś, co miało związek z Kilchaszem, i tylko on potrafi ustalić, co to. Ale najpierw musi się tam dostać.

Stef cofnął się o krok, przestraszony.

— Van, co ja. . .

Uderzenia Dzwonu Śmierci zagłuszyły jego słowa. Stefen spędził w Przystani dość czasu, aby wiedzieć, co to oznacza. Nigdy jednak nie widział herolda reagującego na bicie Dzwonu tak jak Vanyel — i nigdy nie słyszał o heroldzie, który wiedziałby o nieszczęściu, zanim odezwał się Dzwon.

— Van? — powiedział, a herold wbił w niego spojrzenie, jakiego Stef nie widział jeszcze nigdy w życiu.

— Van? — powtórzył, i to zdało się wytrącić Vanyela z transu, w jaki wpadł porażony szokiem. Chwycił uniform i jął przeciągać go przez głowę.

— Van — zaprotestował Stef — to Dzwon Śmierci. Nic już nie pomożesz, a nawet gdybyś mógł, to przecież dopiero wróciłeś! Jesteś zmęczony, zasłużyłeś na odpoczynek! Niech kto inny się tym zajmie.

Van zdecydowanie zaprzeczył i schylił się po buty.

— Muszę iść. . . Nie wiem dlaczego, ale muszę.

Stef westchnął i przyniósł płaszcze ich obu: swój, który wisiał na haczyku za drzwiami, i Vanyela nie używany, z szafy. Gdy tylko herold podniósł się znad swych butów, Stef podał mu jego biały płaszcz, a swój, szkarłatny, narzucił sobie na ramiona. Vanyel zastygł z rękami na skuwce pod szyją.

— A ty dokąd? — zapytał zaskoczony.

Stefen wzruszył ramionami.

— Z tobą. Skoro masz zamiar zwać już pierwszej nocy po powrocie do domu, to mogę przynajmniej ci towarzyszyć.

— Ależ Stef. . . — zaprotestował Vanyel. — Nie musisz. . .

— Wiem — przerwał mu Stef. — Między innymi dlatego to robię, kochanecku. — Otworzył drzwi przed heroldem i ręką wskazał wyjście. — A więc dalej.

W drogę.

Ktoś jednak już dotarł przed Vanyelem na miejsce zdarzenia. U stóp jednej z wież o płaskim zwieńczeniu, w końcu Skrzydła Heroldów, widać było jakieś światła i poruszające się cienie. Burza ucichła niedługo po przybyciu Vanyela do pałacu — niebo było idealnie czyste, noc bezwietrzna i znacznie bardziej mroźna niż wtedy. Plucha zamarzała w lodowe koleiny i obaj, Van i Stefen, ślizgali się i potykali, spiesząc na miejsce śmierci.

Kilchas leżał na zmrożonym śniegu, z jedną ręką wykręconą pod ciałem, z głową pod nienaturalnym kątem. Był ubrany w znoszoną, starą tunikę, miękkie bryczesy i futrzane domowe kapcie. Treven, szczelnie otulony płaszczem, kłękał przy nim. Obok, z latarnią trzęsącą się w jego rozdygotanej dłoni, stał bardzo młody gwardzista o blond włosach.

— ...usłyszałem ten krzyk — mówił, gdy do Vanyela dotarł jego głos. — Spojrzałem na wieżę, a on spadał bezwładnie, jakby ktoś zrzucił szmacianą lalkę. Podbiegłem... żeby go złapać, spróbować coś pomóc, ale on był... — Chłopak wzdrygnął się i przełknął ślinę. — Więc poszedłem po pomoc, panie.

— I wtedy przewróciłeś mnie na korytarzu — rzekł chłodno Treven, z troską dotykając ramienia zmarłego. — Możesz sprowadzić tu uzdrowiciela, ale sądzę, że on tylko potwierdzi zgon biednego staruszka na skutek złamania karku i roztrzaskania czaszki. — Choć młody następca tronu mówił z pełnym opanowaniem, Van czuł, jak dygocze wewnątrz, a cały jego spokój jest tylko pozorny. To był pierwszy bliski kontakt Trevena ze śmiercią człowieka podobnego jemu. Nie znaczy to wcale, aby na innych z czasem takie kontakty nie robiły wrażenia — łatwiej jest tylko zachować spokój.

— Trev — powiedział Vanyel, jednocześnie dotykając jego ramienia. Trev i gwardzista skoczyli na równe nogi, a latarnia zakołysała się jak opętana, wprawiając cienie w podskoki i tańce; nawet martwe ciało zdało się ruszać przez ułamek sekundy.

— Trev, zabiorę stąd ciało, jeśli chcesz, ale moim zdaniem, dobrze nad wszystkim panujesz. — Pierwszy impuls kazał mu przejąć kontrolę nad sytuacją. W końcu nie raz widział śmierć z bliska, nawet śmierć kogoś, kogo znał i na kim mu zależało. O tak, to zdarzyło się już tyle razy, że przestał nawet liczyć... Ale przejęcie od Trevena kontroli nad sytuacją oznaczałoby zepchnięcie go na pozycję zwykłego gapia w momencie, kiedy Trev powinien właśnie uświadamiać sobie swą władzę. Im wcześniej zacznie to robić, tym chętniej po śmierci Randal'a zaakceptują tę władzę inni.

A zatem, nawet jeśli młody następca tronu nie ma żadnego doświadczenia w radzeniu sobie z tego rodzaju sytuacjami, nikt inny, tylko on winien tutaj rządzić.

Treven wziął głęboki oddech. Sprawiał takie wrażenie, jakby chciał czym prędzej oddać tę władzę Vanyelowi. Ale zamiast to zrobić, powiedział tylko:

— W istocie nie jestem tu ekspertem, heroldzie Vanyelu. Może zechciałbyś się temu przyjrzeć?

Van skinął potakująco. Stef zadrżał i jeszcze szczelniej otulił się swym płaszczem. Vanyel przyklęknął obok pobladłego następcy tronu i zbadał ciało, nie okazując cienia emocji, chociaż naprawdę chciał zapłakać nad biednym staruszkiem.

— Szyja jest złamana, czaszka pęknięta — powiedział cicho. Spojrzał w górę i zobaczył ciemny kształt wieży na tle nieba. — Kilchas ma obserwatorium na jej szczycie — rzekł do Trevena. — Wspominał coś o tym, że wybiera się tam dzisiaj wieczoru?

Dołączyła do nich jeszcze para heroldów: Tantras i Lissandra. Lissandra skuliła się w sobie, jakby było tak zimno, że płaszcz nie był w stanie jej ogrzać.

— Och, na bogów — powiedziała załamującym się głosem. — Tak, mówił mi, że zamierza tam pójść, jeśli tylko się wypogodzi. Pryny miał koniugować z Okiem Aberdeen czy coś takiego. To występuje raz na sto lat i Kilchas chciał to zobaczyć. Był taki podniecony, kiedy o zachodzie słońca przejaśniło się... — Załkała i odwróciła się, chowając twarz w ramieniu Tantrasa. Ten owinał ją swym płaszczem i popatrzył na trójkę klęczących na śniegu.

— Biedny staruszek — wychrypiał. — Musiał być tak pochłonięty swoimi obserwacjami, że zapomniał spojrzeć, gdzie stawia stopy.

— Na szczycie wieży roi się pewnie od zamarzniętych kałuż — odpowiedział Trev. — A parapet sięga tylko do kolan. Może co najwyżej ostrzec, że stoisz na krawędzi, bo przed upadkiem nie uchroni. — Wstał, okrywając się swym dostojnym jak nowym płaszczem, ale przydużym, sztywnym i ciut niewygodnym. — Strażniku, czy mógłbyś z łaski swojej dopilnować, aby ciało Kilchasa zanieśiono do kaplicy? Poinformuję Joshela i powiem mu, żeby sprawdził, co trzeba stąd zabrać.

Gwardzista wstał, zaszalutował i zostawiwszy latarnię, poczłapał do kwater Gwardii. Minęło sporo czasu, zanim jego granatowy mundur wchłonęła noc.

Treven odwrócił się do Vanyela.

— Dziękuję ci, heroldzie Vanyelu. Jeśli Tantras i Lissandra nie mają nic przeciwko temu, poproszę ich, aby zostali ze mną i dopilnowali wszystkiego. Ty wróciłeś dopiero z długiej podróży i powinieneś trochę odpocząć. — Chrząknął z zaskopaniem, jak gdyby nie miał pewności, co powiedzieć lub zrobić dalej.

Vanyel zaczął się sprzeciwiać, lecz szybko zdał sobie sprawę, że nie ma żadnych podstaw do stawiania oporu. Wszak wyglądało to na wypadek. Wszyscy pozostali byli co do tego zgodni.

Ale Vanyel nie wierzył, nie potrafił uwierzyć, że to prawda. Jednakże wszystko, na czym mógł się oprzeć, to nie sprecyzowane, niejasne przeczucia. Nie wiedział nic konkretnego, nawet tyle, aby mógł to zaakceptować herold.

Zatem podziękował Trevenowi — ku nie skrywanej pociesze Stefena — i powrócił, stąpając po skrzypiącym śniegu, do ciepła i światła w Skrzydle Heroldów.

Był właśnie przy drzwiach, kiedy dosięgnęła go myśl Yfandes.

Van — przemówiła strapionym głosem. — *Znaleźliśmy Towarzysza Kilchasa, Rohana. Nie żyje. Był daleko na zachodnim krańcu Łąki.*

I co? — dopytywał się Van.

I mnie się to nie podoba. Nic nie wskazuje na to, że coś jest nie tak, ale mnie się to nie podoba. Przecież my nie... padamy, ot tak sobie. Jeśli nie ginimy w bitwie albo jakimś wypadku, to jesteśmy wzywane i mamy zwykle czas na pożegnanie się z przyjaciółmi przed naszym odejściem.

A czy szok wywołany śmiercią Wybranego mógł zabić Rohana? — spytał Van.

Może — odparła Yfandes niepewnie. — *Większość Towarzyszy myśli, że właśnie taki był powód.*

Ale ty nie jesteś o tym przekonana. — Świadomość, że Yfandes dzieliła jego wątpliwości, na swój sposób przynosiła mu pocieszenie.

Masz rację. Czuję, że coś jest nie w porządku. Nie potrafię wskazać dlaczego, ale coś tu nie gra.

— Van, masz zamiar sterczeć tutaj całą noc? — zniecierpliwił się Stefan, przytrzymując drzwi, cały rozdygotany z zimna.

— Przepraszam, *ashke* — powiedział Vanyel, dając sobie w myśli lekkiego kuksańca. — Rozmawiałem z Yfandes. Znalazły Towarzysza Kilchasa. Martwego. Yfandes powiada, że według niej coś tu nie gra.

Uderzenie ciepła z korytarza wzbudziło w nim nagle nieodpartą chęć położenia się, tak jak stał, na miejscu. Stłumił w sobie tę nagłą potrzebę i towarzyszący jej przyływ słabości. Stefan popatrzył na niego z zakłopotaniem.

— Myślałem, że Towarzysze nie żyją dłużej od swych Wybranych — powiedział. — I vice versa. Więc co ma tu nie grać?

— Yfandes po prostu nie podoba się sposób, w jaki wszystko przebiegło. Rohan był zupełnie sam w najdalszym zakątku Łąki i żaden z Towarzyszy nie wiedział o jego śmierci, dopóki go nie znalazły.

Stefen wyglądał na zaniepokojonego.

— Nie tak to się powinno odbyć — powiedział powoli. — Przynajmniej tak mi się wydaje na podstawie tego, co o nich słyszałem. Uważam, że oboje macie rację. Jest w tym coś dziwnego.

Vanyel pierwszy doszedł do drzwi swego pokoju i otworzył je przed bardem.

— Może to wpływ nowego zakłączenia sieci — stwierdził, zamknawszy za sobą drzwi, po czym zdjął płaszcz i rzucił go na fotel. — Ono ma nas wszystkich ze sobą wiązać, ale jakaś jego część może wyciekać gdzieś nieprzewidzianymi ścieżkami, na przykład na Towarzyszy.

Stefen ułożył swój płaszcz na okryciu Vanyela.

— Proszę — zaproponował. — Pozwól, że pomogę ci wydostać się z tej tuniki i położyć się. Możemy porozmawiać o tym, kiedy będę ci robił masaż, i to znacznie lepszy od tego, który nam przerwano. Będę udawał twojego przeciwnika i wynajdywał logiczne wyjaśnienia wszystkiego, co ty uznasz za nieprawidłowe.

— Stef, jestem kompletnie wyczerpany — ostrzegł go Vanyel, rozwiązując tunikę i pozwalając Stefanowi ją zdjąć. — Jeśli naprawdę uda ci się mnie rozluźnić, to najpewniej zaraz usnę w środku rozmowy. A jak usnę, nie dobudzisz mnie nawet trzęsieniem ziemi.

— Jeśli tego ci trzeba, to nic innego nie powinieneś teraz zrobić — odparł bard, lekkim pchnięciem sadzając go, a raczej przewracając na łóżko. — Tymczasem pozwól, że rozmasuję ci napięte mięśnie, a ty mów. Może byś włączył w to Yfandes? Skoro się tak zamartwia, to pewnie powinieneś to uwzględnić, a poza tym ona może dostrzec luki w moich argumentach.

Yfandes? — zawołał Van.

Jestem...

Masz ochotę się temu przysłuchiwać? Chcemy sprawdzić, czy moja ostra reakcja na śmierć Kilchasa nie jest wynikiem wyczerpania.

Ładnie to ująłeś, mnie też może to dotyczyć. Zaczynajcie. Będę się przysłuchiwała. — Sprawiała wrażenie, jakby odczuła ulgę.

Vanyel poddał się życzeniom Stefena i na brzuchu wyciągnął się na łóżku. Stefan usiadł na nim okrakiem i sięgnął do górnej szuflady małego nocnego stolika.

— Co... — zaczął Vanyel, odwróciwszy głowę, żeby zobaczyć, co robi Stef. Po chwili widząc, jak ten wyjmuje mały flakonik czegoś, co niezaprzeczalnie było pachnącym olejkim, zapytał zaskoczony: — Jak to się tu znalazło?

— Włożyłem to tutaj — odparł krótko Stef. — Połóż głowę i relaksuj się. — Po kilku chwilach dłonie Stefena wędrowały już wzdłuż jego pleców od krzyża w górę. Vanyel westchnął i poddał się odprężeniu.

— Co w takim razie nam się nie zgadza w śmierci Kilchasa? — spytał Stef. — Tylko się nie stresuj. Możesz myśleć i odprężyć się jednocześnie.

— Kilchas ma tam na górze mały, odgradzony kącik — powiedział Vanyel powoli, zastanawiając się. — Dach jest przeszkłony. Jeśli Kilchas nie ma ochoty, nie musi wychodzić na mróz. Nie rozumiem, dlaczego miałby wyjść na zewnątrz, zwłaszcza że nie był stosownie ubrany.

— A jeśli szyba była pokryta lodem albo śniegiem? — kontrował Stef. — Wiesz, że pewnie była.

Zgadzam się — wtrąciła, choć niechętnie, Yfandes. — *Wszystko było oblodzone.*

— Słuszna uwaga. Ale dlaczego miał na nogach kapcie, a nie buty z cholewami?

Stefen, zastanawiając się, przeciągnął knykciami dłoni wzdłuż kręgosłupa Vanyela.

— Bo nie wiedział, że szkło będzie oszronione, dopóki nie wdrapał się na dach, i za daleko było mu jeszcze raz schodzić i wchodzić na górę tylko z powodu butów. Koniec końców był starszym człowiekiem, a jego kwatery jest tutaj na parterze.

Van aż jęknął, kiedy Stef dotarł do szczególnie bolesnego miejsca.

— Zgoda, mogę to uznać. Ale przecież miał to obserwatorium od lat. Zawsze wie... wiedział... jak się tam poruszać. Dlaczego nagle miałby źle stąpnąć?

— Dlatego, że wcale tego nie zrobił — natychmiast odparł Stef. — Zabrał się do czegoś, czego nie robił nigdy dotąd. Czyścił szkło w dachu swojej malutkiej budki, usiłując zeszkrobać lód. Stracił równowagę albo się poślizgnął.

To by do niego pasowało. Stary uparciuch. Vanyel bronił się, jak mógł, przed bólem, kiedy Stef przystąpił do rozmasowywania następnego zbitego mięśnia.

— Dlaczego nie kazał tego zrobić komuś ze służby?

— Nie było czasu? — zaryzykował Stef. Ogień na kominku wystrzelił i buchnął. — To, co chciał oglądać, może właśnie się zbliżało i stwierdził, że gdyby miał szukać służącego, a potem jeszcze czekać, aż ten skończy robotę, to umknęłaby mu część obserwacji. Albo to, albo nie był pewny, czy służący zrobiłby wszystko, jak trzeba. A może i to, i to.

To też w jego stylu.

Powietrze nasyciła delikatna woń drzewa sandałowego. Vanyel poczuł ogarniającą go senność, ale przezwyciężył ją.

— Skoro tak po prostu spadł... — powiedział z wolna — to dlaczego czując, jak umiera, odebrałem tylko ból? Dlaczego nie czułem, że spada?

— Nie wiem — przyznał Stefen, zastygając z dłońmi na łopatkach Vanyela. — Nie mam pojęcia, jak te wasze dary powinny działać. Ale Kilchas był starym człowiekiem, Van. A jeśli w chwili upadku już nie żył? Jeśli jego serce nie wytrzymało? To chyba dość bolesna sprawa. I jeżeli jego serce nagle przestało pracować, to czy nie mogło w ten sposób sprawić, że z sercem jego Towarzysza stało się to samo? Może dlatego znaleziono go w takich, a nie innych okolicznościach.

Vanyel zamknął oczy, nagle poczuł się zbyt zmęczony, aby doszukiwać się niezgodności w czymś, co sprawiało wrażenie sytuacji absolutnie normalnej.

— Pewnie masz rację — powiedział. — *Yfandes, zgadzasz się?*

To dość rozsądne — odparła zmęczonym głosem myśli. — *Dość typowe przy niewydolności serca — szok uderza też prosto w nas. A Rohan Kilchasa był równie stary jak on. To o wiele bardziej logiczne wytłumaczenie niż podstęp — ale tak niewielu z nas dożywa czasu, kiedy zawodzi serce, że zapomniałam o takiej możliwości. Myślę, mój kochany, że rzeczywiście reagujemy zbyt gwałtownie przez nasze zmęczenie i przyzwyczajenie do zdrad i zasadzek, które tak się w nas zakorzeniły, że nie bierzemy pod uwagę innych rozwiązań.*

— Yfandes się z tobą zgadza. . . — zaczął. Ale Stef zrobił coś, co nie miało nic wspólnego z terapeutycznym masażem, i Van przyjął to z lekkim pomrukiem zaskoczenia.

— Czy wyczerpaliśmy już temat, *ashke*? — szepnął mu do ucha Stef, z torsem przyciśniętym do jego pleców.

Sądzę — rzekła taktownie Yfandes — *że już czas, abym się troszkę zdrzemnęła. Dobranoc, serdeńko.*

Dobranoc, skarbie — odpowiedział jej Vanyel i po chwili jego uwagę pochłonęło całkiem coś innego.

A potem upłynęło jeszcze sporo czasu, zanim Stef i Vanyel zapadli w sen.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W następnych tygodniach Vanyel zapomniał o złych przeczuciach. Czas pochłaniały mu posiedzenia Rady, sesje audiencyjne, na których wraz z Trevenem pełnili rolę pełnomocników Randała, oraz ustanawianie zaklęć na długie odległości. Desperacja spowodowana niemożnością znajdowania się w dwóch miejscach naraz doprowadziła go do odkrycia, że mógł odprawiać magię za pośrednictwem innego herolda pozbawionego daru, pod warunkiem, że herold ów dysponował darem myśloczucia i miał w swym potencjale dar magii. Vanyel tak często zanurzał się teraz w ogniskach energii, że zaczynał czuć się bliskim krewniakiem biegłych z Tayledras.

Często powracał do swego pokoju w porze, kiedy ludzie przy zdrowych zmysłach zazwyczaj już głęboko spali. Przy każdej takiej okazji znajdował Stefena w tej samej pozycji, skulonego przy kominku, z mieniącymi się czerwonym blaskiem ognia włosami. Chłopiec zawsze odmawiał sobie spoczynku, dopóki nie zjawił się Vanyel. Cierpliwa troska barda była jedyną stałą rzeczą w jego życiu, wyjąwszy Yfandes, i w miarę jak jesień bardziej stawała się zimą, coraz mocniej i mocniej Vanyel zdawał się na nich oboje, aby nie postradać zmysłów i resztek optymizmu w świecie, który jakże często pozbawiony jest obu tych rzeczy.

Karsyci ogłosili świętą wojnę przeciwko „złym magom z Valdemaru”, ale dotąd nic więcej w tej kwestii nie działo się. Agenci rozesłani na posterunki przez lorda marszałka oraz kasztelana donosili, iż Król-Prorok (jak sam siebie nazywał) miał pełne ręce roboty przy wyplenianiu „herezji” w swym własnym kraju. Nikt jednak nie ulegał złudzeniom; wszyscy byli zgodni, że gdy tylko wyznawcy Pana Słońca zechcą zjednoczyć swoje państwo, zrodzi się zapotrzebowanie na zewnętrzne wroga, a wtedy na południową granicę Valdemaru rzuci się cała armia fanatyków.

Do tego jeszcze dochodzili bandyci, którzy przejęli już panowanie nad strefą buforową pomiędzy oboma krajami, rozmaite szajki zbójców zbiegłych lub uwolnionych w czasie rewolucji — którzy, oskarżeni o czary, uciekli ze swych domów, lecz odmówili przekroczenia granicy — oraz oportuniści, żerujący na obu stronach zaangażowanych w konflikt.

— Przynajmniej Prorok nie będzie miał na swym żołdzie żadnego maga —

stwierdził kasztelan, gdy wszyscy razem pochylili się nad mapami, wypatrując słabych punktów w fortyfikacjach królestwa.

— Być może — odparł arcykapłan z powątpiewaniem. Jego objazd po południowej części kraju przyniósł różne wnioski. Generalnie był zadowolony z rezultatu, ponieważ jego obecność ukróciła wszelkie jawne działania wroga do minimum. Za czysty zysk tej wyprawy uznać można było całkowite zniknięcie z terenu Valdemaru enklaw Pana Słońca. Mniej więcej połowę jego wyznawców tak wzburzyły poczynania ich zwierzchników, że przeszli na inną wiarę. Reszta uciekła przez granicę do Karsu. Ich posiadłości zajęli ci, którzy pozostali; przeszły zatem w ręce właścicieli lojalnych wobec Valdemaru.

Rzekomo lojalnych, w każdym razie. Zarówno kasztelan, jak i arcykapłan bacznie im się przyglądali na wypadek, gdyby niektóre spośród owych „nawróceń” okazały się podstępem i przykrywką dla dalszej działalności wywrotowej. To, że wewnątrz enklaw Pana Słońca osadzono szpiegów, było rzeczą pewną.

— Co chcesz powiedzieć przez to „być może”? — spytał kasztelan, położywszy rękę powyżej oznaczenia reprezentującego oddział Gwardii.

— Czym się różni cud od magicznego zaklęcia? — zapytał arcykapłan, przenosząc wzrok z Arveda na Vanyela i z powrotem.

— Cud pochodzi od bogów, magia od maga — rzucił kasztelan zirytowany.

— To czysto subiektywne — zauważył arcykapłan. — Dla laika nie istnieje żadna zauważalna różnica. Ten Prorok może mieć w swych szeregach magów, utrzymując, że ich moc pochodzi od Pana Słońca, a tym samym nie przekraczając granic swej surowej doktryny.

— Do licha. Masz rację — powiedział cicho lord marszałek. — Ciekawe tylko, ilu ich ma.

— Tego nie sposób ustalić — stwierdził Vanyel, gdy wszystkie oczy zwróciły się na niego. — Nie sądzę jednakże, by miał u siebie kogoś, komu nie zdołałby stawić czoła herold. Moi agenci nie donoszą o żadnych „cudach” poza uzdrawianiem i dziwacznymi iluzjami, nawet podczas pościgów Dzieci Proroka za magami. Wszyscy potężni magowie w służbie korony Karsu byli powszechnie znani i albo zostali zabici, albo uciekli z kraju. To nie znaczy jednak, że dysponujący darami magii ludzie nie skończą w przyszłości jako duchowieństwo Pana Słońca; coś takiego właściwie mogę zagwarantować. Ale nie otrzymają skutecznego treningu, ponieważ nie będzie tam nikogo, kto miałby wystarczające doświadczenie, aby ich gruntownie przeszkolić. Prawdopodobnie też nie będą mieli pozwolenia na używanie darów w celach bojowych.

— Dlaczego? — zdziwił się arcykapłan.

Van uśmiechnął się nieznacznie i wskazał palcem punkt oznaczający agenta.

— Bo gdy odkryją, co potrafią, cóż ich powstrzyma od ogłoszenia się wybrańcami bogów i zrobienia dokładnie tego samego, co zrobił Prorok?

— Tyle że z większym powodzeniem, bo będą przecież dysponowali „cudami”

na dowód swej potęgi — rozmyślał na głos arcykapłan z na wpół przymkniętymi oczami. — Interesujące rozumowanie. To wielkie szczęście, że mamy ciebie po swojej stronie, Vanyelu.

Van uklonił się z rozmyślną ironią.

— Herold zazwyczaj jest aż nadto dobrze zaznajomiony z wszelkimi przejawami perfidii, i to dla dobra wszystkich, nie wyłączając jego własnego, panie — powiedział. — Można by nawet powiedzieć, że to należy do jego obowiązków.

— Znać się na tym i nie wykorzystywać tego? — Uśmiech arcykapłana był szczery, oczy mu się od niego ożywiły. — Jestem tego świadom, mój synu. Myślę, że większość z was dobrze by się czuła w szeregach duchowieństwa, gdyby nie Towarzysze, które was wybrały.

— Większość? — wybuchnął zduszonym śmiechem Vanyel, wiedząc, że arcykapłan pozostaje w błogiej nieświadomości, co do jego związku ze Stefanem. — Niektórzy może tak, lecz zapewniam cię, panie, nie wszyscy. Żadną miarą. Nadto jesteśmy przywiązani do ziemskich spraw, aby zechciało nas przyjąć którekolwiek ze zgromadzeń!

Powiedziałby jeszcze więcej, lecz nagle...

Żar zalał mu oczy. Wielka ręka zacisnęła się na jego piersi płuca zajęły się ogniem. Chciał oddychać, ale to tylko spotęgowało ból Sercem szarpnęły spazmy, raz, drugi... i naraz pękło.

Vanyel uświadomił sobie, że leży na stole, a reszta radnych, łącznie z jego ojcem, szaleją próbując go ocucić. Wbił wzrok w linie na mapie tuż pod jego nosem, nie umiając sobie przypomnieć, co to jest.

— Vanyelu!

Był przemarznięty, w piersi czuł ból.

— Obróćcie go, durnie, przecież nie może oddychać!

Zamrugął, patrząc na cienie tańczące dookoła, i usiłując przypomnieć sobie, gdzie... i kim... jest.

Van? — zapytała bezsilnie Yfandes, dołączając się do jazgotu głosów w jego głowie. — *Nic ci nie jest?*

— O co chodzi? Co się stało? Miał już kiedyś taki atak? Vanyel, zamroczony, poruszył się, papier mapy zaszeleścił pod nim.

„Posiedzenie Rady. Byłem na posiedzeniu Rady.”

Van? — Spytał ktoś z większym naciskiem.

Yfandes. Daj mi chwilę...

— Co... — wydyszał. Próbował odepchnąć się od stołu, ale miał zbyt słabe i rozdygotane ręce; był zbyt oszołomiony, żeby choć pomyśleć, co zrobić. Dwie osoby chwyciły go za ramiona i podniosły. To byli Trev i Joshel. Posadzili go na krześle...

Właśnie wtedy zaczął bić Dzwon Śmierci.

„Lissandra.” — Wiedział to w momencie, gdy tamci dwaj popatrzyli na siebie ponad jego głową i równocześnie wymówili to samo imię.

— Idź ty — powiedział Treven do Joshela. — Dowiedz się, co się stało. — Lekko potrząsnął Vanyela za ramię. — Czy to właśnie czułeś? Czy to właśnie czułeś przed chwilą?

Vanyel pokiwał głową i zmusił się do odpowiedzi.

— Ja... Tak. To było coś bardzo bolesnego, nagłego. Jak to, co przytrafiło się Kilchasowi, tylko jeszcze gorsze. — Wzdrygnął się. — Nie rozumiem... dlaczego czuję, jak umierają? Dlaczego zdarza się to tylko mnie?

— Może dlatego, że ty jesteś autorem tego zaklęcia — zaryzykował Treven. — My o zajściu dowiadujemy się po fakcie, a ty czujesz wszystko w czasie, gdy to się dzieje. A może dlatego, że oni obydwójce byli razem z tobą w tej pierwotnej sieci. Albo dlatego, że są fizycznie blisko. Poza Kilchaszem i Lissandrą tu, w Przystani, nie umarli inni heroldowie.

— Przypuszczam... — Vanyel nadal oszołomiony oparł głowę na kolanach. — Rzeczywiście, nieźle się to na mnie odbija, jeżeli będę tak padał przy okazji śmierci każdego herolda. — Ciągłe odczuwał niemal fizyczny ból, wciąż jeszcze znajdował się pod zbyt silnym wpływem szoku, żeby odebrać emocjonalny wstrząs śmierci maga heroldów.

Yfandes? Co z jej Towarzyszem?

Szukamy — usłyszał. — Shonsi zniknęła z naszego pola postrzegania w momencie, kiedy odczułeś śmierć Lissandry. Nic ci nie będzie?

Chyba... nie...

Znaleźliśmy ją — przerwała mu Yfandes. — Na północnym krańcu Łąki. Wygląda tak jak gdyby biegła, upadła i skręciła kark.

Vanyel westchnął i zamknął oczy.

Jeśli czuła to co ja, nie dziwi mnie, że taki szok zwałił ją z nóg. Wydarzyło się coś potwornego.

W głowie czuł pulsujący ból wywołany wstrząsem i myślenie przychodziło mu z coraz większym trudem. Właśnie z wysiłkiem uniósł głowę, kiedy do Sali Rady, pokaszując, wszedł Joshel.

— Wygląda na to, że miała wypadek ze swą alchemiczną aparaturą — powiedział Josh. — Gdy weszliśmy do jej komnaty, unosiły się tam jakieś wyziewy. Musieliśmy otworzyć okno, żeby wyleciały. Spójrzcie...

Uniósł w górę szklany słoik — był oszroniony na wierzchu.

— Właśnie tak zadziałały te wyziewy zaraz po wycieku — wgryzły się w przedmioty. Doszliśmy do wniosku, że na małym piecyku pękł jakiś pojemnik, z którego wydobywały się te opary. Możemy tylko przypuszczać, że to pękło i zawartość rozlała się na ogień, a Lissandrą zdążyła się tego nawdychać w śmiertelnej dawce, zanim otworzyła okno.

— Odniosłem wrażenie, jakbym miał ogień w płucach — powiedział Vanyel. — Nie mogłem oddychać i paliły mnie oczy.

— Może nawet nic nie widziała i dlatego nie otworzyła okna — kontynuował Josh. — Biorąc pod uwagę siłę, z jaką te opary wywołują korozję, musiała prawie oślepnąć. Znaleźliśmy ją w połowie drogi pomiędzy stołem roboczym a drzwiami.

„Lissandra powinna pomyśleć, że lepiej nie pracować z czymś tak niebezpiecznym w pokoju — stwierdził Vanyel. — Co u licha ją napadło, żeby robić takie rzeczy? Destylarnia w Kolegium Uzdrowicieli ma odpowiednią wentylację dla zapobieżenia podobnym wypadkom, a Lissandra nie miała przecież żadnych sekretów przed uzdrowicielami...”

W głowie czuł pulsujący ból i nie było nadziei, że zdoła dojść do czegoś więcej.

— Muszę wziąć coś na ból głowy — odezwał się stłumionym głosem, wstając. Treven popatrzył na niego z troską.

— Ale cię grzmotnęło — powiedział. — Wiem, że ostatnio się przepracowujesz. Może chcesz, żebyśmy dokończyli posiedzenie później?

Vanyel potrząsnął głową.

— Nie — odparł. — Nie możemy tracić czasu. Zaraz potem masz audiencję, a później Randi ma jeszcze prywatne spotkanie z ambasadorem Rethwellan. Nic mi nie będzie.

Treven uśmiechnął się lekko.

— Tobie nigdy nic nie jest — powiedział z wdzięcznością. — Nie wiem, co byśmy poczęli bez ciebie.

— Kiedyś będziecie musieli poradzić sobie beze mnie — pośepnie przypomniał mu Vanyel. — Nie jestem nieśmiertelny. Ale cóż, zabierajmy się do pracy. Moi agenci twierdzą, że w następnym posunięciu Karsyci wypowiedzą świętą wojnę także Rethwellanowi, sądząc, iż góry powstrzymają królową od natarcia na nich.

— Co za głupcy — odparł lord marszałek. — Oto, co przyrzekła nam królowa na wypadek takiego kroku Karsytów...

Ogień w pokoju Savil syczał i buchał, a przedwieczorne słońce oświetlało bladym blaskiem ogrody za oknem. Van usadowił się wygodnie w fotelu i starał się nie dać po sobie poznać, że męczy go wysłuchiwanie skarg ciotki.

— Nie podoba mi się to — powiedziała Savil wzburzona. — Najpierw Kilchas, potem Lissandra. Oboje byli magami heroldów. To nie jest przypadek.

— A co innego miałyby to być? — zapytał Vanyel racjonalnie, pocierając ramię. Ciągle jeszcze był zeszywniały i obolały. — Wszystko już omówiliśmy. Nikt nie doszukał się w tym niczego niezwykłego. Żadnego śladu podejrzanych manipulacji, magicznych czy jakichkolwiek innych. Prosty skutek błędu w obli-

czeniuach.

Na ruszt spadł węgielek, a za nim posypał się deszcz iskier.

— Mimo wszystko mnie się to nie podoba — odparła Savil, uparcie potrząsając głową. — A jeśli manipulacja dotyczyła nie instrumentów, a ich samych — ich ciał albo umysłów? Uzdrowiciel umysłów mógł tak omamić Lissandrę, że myślała, iż stawia na ogniu coś nieszkodliwego. Takiej manipulacji nikt nie jest w stanie wykryć.

„Starzeje się — zasmucił się Vanyel. — Starzeje się i zaczyna ją wszystko przerażać.” W swym przydużym, jak gdyby zbyt obficie wyściełanym fotelu, była jeszcze szczuplejsza i bardziej słabowita. Na jej twarzy dostrzec można było zmarszczki, przed zimą niewidoczne. Wydawało się, że — podobnie jak biegli z Tayledras — wygasła bardzo gwałtownie. „W ciągu ostatnich sześciu miesięcy zestarzała się bardziej aniżeli przez ostatnie sześć lat.”

— Savil, kochana, dlaczegożby uzdrowiciel miał robić coś podobnego? — spytał. — To nielogiczne.

— Nie trzeba być uzdrowicielem, żeby mieć uzdrawiające dary — odparowała ciotka. — Masz je ty, i ja też. Tańczący Księżyc jest biegłym uzdrowicielem. Z tym darem mogłabym być złym magiem włóczęgą. Kimś w rodzaju antyuzdrowiciela.

„Wielkie nieba. Ale sobie wymyśla wrogów. Kto słyszał o czymś takim?”

— Zgoda — rzekł zachowując cierpliwość. — Więc kto? Nie mamy żadnych sygnałów świadczących o tym, że ktoś w tej chwili używa magii przeciwko Valdemarowi.

Savil ściągnęła brwi.

— A ten, co cię prawie ukatrupił?

— W śmierci Kilchasa czy Lissandry nie ma śladu podobnej, magicznej napaści — przypomniał jej. — A zamach na mnie nie był skierowany przeciwko Valdemarowi. Moim zdaniem nie było to nic innego jak czysto osobista wendeta. W ostatnich latach narobiłem sobie mnóstwo wrogów i wydaje się aż nadto prawdopodobne, że to był jeden z nich.

— Van — rzekła Savil strapiionym głosem. — Martwię się. Uważam, że to podciąganie faktów pod zbieg okoliczności; najpierw incydent z tobą, potem ginie Kilchas, w końcu Lissandra. Proszę, wysłuchaj mnie...

Van westchnął.

— Coś ci powiem, ciociu Savil. Jeśli poczujesz się od tego pewniej, wzmocnię ci osłony. Ale nie uważam, by istniała taka potrzeba. Jesteś niesłychanie sprawnym magiem, i jak sama doskonale wiesz, przewyższasz mnie w magii rytualnej. Kilchas był już bardzo stary i w swym uporze miał skłonności do brania się za rzeczy, których nie powinien ruszać. Lissandra natomiast ciągle posługiwała się bardzo niebezpiecznymi substancjami. Dopadł ich po prostu zły traf.

Savil obrzuciła go gniewnym spojrzeniem, a ogień syknął, jak gdyby podsycony jej złością.

— Vanyelu Ashkevron, wykazujesz się tępotą większą niż zwykle. Gdybym była z dziesięć lat młodsza. . .

Gwałtownie wypuściła powietrze i wcisnęła się z powrotem w swój fotel.

— Ale nie jestem — dodała ze smutkiem. — Jestem starsza od Kilchasa i równie jak on narażona na atak. Trzymam cię za słowo, Van. Wzmocnij moje osłony. Przyjmę każdą pomoc, jaką tylko uda mi się zdobyć, bo jestem przekonana, że będę następną ofiarą, a nikogo nie potrafię nakłonić do przyznania mi racji, nawet ciebie.

Van wstał z poczuciem winy.

— Savil, nie mam ci za złe tego przewrażliwienia. Znałaś tych dwoje lepiej ode mnie. Z przyjemnością wzmocnię twoje osłony, jak tylko będę miał wolną chwilę, i jestem absolutnie pewien, że za kilka miesięcy będziemy się z tego śmiać.

— Mam nadzieję — rzekła ze smutkiem, gdy Vanyel szedł już do drzwi. — Naprawdę mam taką nadzieję.

Vanyel stłumił w sobie falę irytacji i życzył ciotce dobrej nocy z największą czułością, na jaką potrafił się zdobyć. Wzmocnienie jej osłon nie będzie go kosztowało więcej niż miarkę świecy i odrobinę energii, a jeśli tylko miało osłabić jej manię prześladowczą, warto było się tym zająć.

Zamknął za sobą drzwi i dosłownie wpadł na Stefena, stojącego na korytarzu.

— Mam nadzieję, że na dzisiaj już skończyłeś — powiedział bard zmęczonym głosem, złapawszy Vanyela za ramię. — Bo ja tak. Teraz z kolei mnie by się przydał masaż. Ambasador z Rethwellanu nie chciał rozmawiać, dopóki nie wyjdę, a Randal nie mógł usiedzieć, jeżeli mnie nie było w sali, więc uzgodnili, że wsadzą mnie do szafy.

Vanyel zachichotał z cicha i objął Stefena ramieniem.

— Nikt nie przewidział już dla mnie żadnych zajęć i nie mam ochoty ich informować, że jestem wolny. Chodźmy, zrobimy ci ten masaż.

— I coś więcej, mam nadzieję — dorzucił wstydliwie Stefan.

— Myślę, że da się coś zrobić — szepnął mu do ucha Vanyel.

— To dobrze. Trzymam cię za słowo. . .

Później, dużo później, gdy Vanyel zapadał już w sen, przypomniał sobie, co obiecał Savil.

„Och, no cóż — pomyślał sennie. — Mogę się tym zająć jutro. To nie jest aż takie pilne. Nie powiedziałem przecież, kiedy dokładnie to zrobię; mówiłem tylko, że zabiorę się do tego w wolnej chwili”.

Ogień przygasał na rozżarzonych węglach, raz po raz wysyłając w górę pojedyncze płomienie, Stef zapadł już w sen, z głową spoczywającą na ramieniu Vanyela. Była to ich pierwsza wspólna chwila spokoju od czasu powrotu z Forst Reach — pierwszy wieczór, jaki udało im się cały spędzić razem, kiedy żaden z nich nie był albo całkowicie wyczerpany, albo czymś strapiony.

I był to pierwszy wieczór, którego Van nie musiał spędzać w ogniskach, czerpiąc z nich energię do późniejszych potrzeb lub przesyłając ją w jakieś inne miejsce.

Głaskał gęste, jedwabiste włosy Stefena, który pomrukiwał cicho przez sen. „Nie będę teraz psuł wszystkiego. To może poczekać do rana.”

Spod na wpół przymkniętych powiek obserwował ogień, wsłuchując się w oddech Stefena i czekając na sen.

Wtem cały spokój wieczoru przysł.

— VANYEL!

Nim obudził się Stef, Van zdążył już wyskoczyć z łóżka i chwycić ubranie.

— VAN...

Krzyk Savil urwał się gwałtownie, Vanyel zgiął się wpół i padł na podłogę...
Ból...

... ogniste ostrza siekają go od karku po pachwiny...

... płuca wołają o powietrze...

... zęby zaciskają się na gardle...

I nagle nic...

Wreszcie dotarło do niego, że skulony na podłodze w pozycji embrionalnej usiłuje złapać powietrze, a Stefan z łóżka wpatruje się w niego przerażonymi oczyma. Wydawało się, że to wieczność, ale przecież minęło ledwie kilka sekund od momentu, kiedy zawołała go Savil.

„Savil!”

Porwał z podłogi szlafrok i, nakładając go na siebie, z wysiłkiem stanął na nogi. Wyskoczył z pokoju i pobiegł korytarzem, razem z innymi heroldami mieszkającymi w tym skrzydle. Wtedy zabrzmiał Dzwon Śmierci. Vanyel nie był jedyną osobą, która odczuła zmaganie ze śmiercią.

Ale tym razem nie było żadnych wątpliwości. To nie był wypadek.

Drzwi pokoju Savil były zaryglowane, Vanyel otworzył je kopniakiem. Jego ciotka leżała w środku rumowiska — poprzewracane meble, rozbite lampy, porzucane papiery. Wszędzie krew. Niektórzy z przybyłych, uczniowie heroldów, którzy prawdopodobnie nigdy nie widzieli okrutnej śmierci, łapali powietrze i zielenieli albo bledli i brali nogi za pas.

Ślady pazurów i kłów na gardle i torsie Savil dowodziły, że stoczyła walkę. Szlak zielonkawej posoki na podłodze i nóż ze złamanym ostrzem świadczyły o tym, że jej napastnik nie wyszedł bez szwanku. Lecz nie pozostał po nim żaden ślad, a szlak na podłodze kończył się przy zaryglowanych drzwiach.

Dla Vanyela i tak nie miało to żadnego znaczenia. Krzywda została wyrządzo-
na i tym razem z wysiłkiem zdobyta obojętność zawiodła go całkowicie. Gdy inni
lustrowali zamki w drzwiach, poszukując jakichkolwiek poszlak lub wskazówek
mogących pomóc w ustaleniu, co zaatakowało Savil, Vanyel osunął się na kolana
obok jej ciała, ujął w swoją jej bezwładną dłoń... i zapłakał.

„Och, na bogów... Savil, miałś rację, a ja ciebie nie posłuchałem. Teraz cie-
bie już nie ma, a wszystko przeze mnie...”

Niektórzy z obecnych przerwali swe zajęcia i jęli popatrywać na niego z żalem
i troską. Niewielu z nich widziało kiedykolwiek, by Vanyel wychylił się zza swo-
jej chłodnej maski pierwszego maga heroldów Valdemaru. Jeszcze mniej z nich
widziało, żeby tak się załamał, zwłaszcza na oczach innych. Vanyel słyszał, że
ma reputację człowieka tak opanowanego i wyizolowanego ze świata, że nawet
inni heroldowie byli przekonani, iż nic nie zdołaloby przełamać jego lodowatego
spokoju.

Teraz przekonywali się, że jest inaczej.

— Uważała... że ktoś... mierzył w magów heroldów — powiedział łamią-
cym się głosem. — Bała się, że będzie następna. Poprosiła mnie o pomoc, a ja
doszedłem do wniosku, że histeryzuje. Obiecałem wzmocnić jej osłony, ale nie
zrobiłem tego; zapomniałem. To wszystko moja wina...

„Już nigdy nie będzie siedziała w tym fotelu. Już nigdy nie będę mógł popro-
sić ją o radę i wyjaśnienia. Nigdy nie przeciwstawi się ojcu w mojej sprawie —
była mi matką we wszystkim oprócz krwi, a ja ją zawiodłem, chociaż obiecałem
pomóc.”

Zwiesił głowę i zamknął oczy, dławiąc się od szlochu.

„Savil, Savil, tak mi przykro... choć to nie wystarczy. To ciebie nie wskrzesi.”

Spod jego zamkniętych powiek wymknęły się łzy i pociekły po policzkach,
Z trudem je hamował, ledwie był w stanie oddychać.

Jakaś ręka dotknęła jego ramienia. Powoli podniósł piekące oczy, patrzące
przez mgłę łez.

— Van? — powiedział cicho Tantras. — Wiem, że to nie jest właściwy mo-
ment, żeby robić cokolwiek, ale jesteś ostatnim magiem heroldów, a my nie umie-
my sprawdzić wszystkich magicznych zabezpieczeń Savil, żeby dowiedzieć się,
czy ich nie naruszono.

Vanyel zamrugał powiekami, przywołując w pamięci wszystkie zgony z ostat-
nich paru lat.

„Na bogów, nie jestem ostatnim magiem heroldów, którego mają tutaj, jestem
ostatnim magiem heroldów w ogóle. Poza mną nie ma już ani jednego.”

Przetarł oczy wierzchem dłoni i wstał powoli.

— Niech wszyscy wyjdą — powiedział cichym, spokojnym głosem; chłód

i lodowaty gniew opanował jego serce. — Będę potrzebował miejsca do pracy.

„Osłony nie zostały naruszone.” Van stał pośrodku pokoju, lustrując magicznym wzrokiem każdy jego centymetr. Teraz, kiedy Savil nie żyła, osłony zanikały, ale były jeszcze dość mocne, aby można z nich coś wyczytać. Savil zabezpieczyła się ze wszystkich czterech stron, od góry i dołu, snując osłonę na osłonie. Wszystkie jarzyły się teraz jasnym błękitem, co oznaczało, że żadne włókno i żadne połączenie nie zostało przerwane, a jedyny wyłom znajdował się w miejscu, gdzie sam Vanyel wyważył drzwi.

„Osłony nie zostały naruszone. Blokady i zaklęcia zabezpieczające są nieknięte. Cokolwiek to było, dostało się tutaj, zanim zamknęła osłony.”

„Ale właściwie, co to mogło być?”

Pozostał jeszcze ślad zielonkawej posoki; to więcej niż trzeba, aby zidentyfikować stworzenie, gdyby tylko okazało się czymś, z czym Vanyel już się kiedyś zetknął. Ale tak nie było. Nie przypominało niczego, co Vanyel znał — był to magiczny znak rozpoznawczy, które to coś pozostawiło, przełamując zaklęcie udające przebranie, co było dla Vanyela czymś całkowicie nowym.

„To coś jest wcale inteligentne — stwierdził. — Musi być. I nie przyszło z Otchłani, inaczej poznałbym to po jego znaku rozpoznawczym. Pozostaje więc tylko taka możliwość: albo jest przez kogoś wykreowane, albo pochodzi z Pelagirs. Albo i to, i to...”

Powinien zatem spróbować w pojedynkę tego, co wraz z Savil i biegłymi z Tayledras niedawno zrobili wspólnymi siłami — postarać się zajrzeć w najbliższą przeszłość. Nie podejmowałby się czegoś takiego, gdyby nie widział, jak robi to ekspert; ale gdyby moment w czasie, który chciał ujrzeć, nie był tak odległy, Vanyel nie miałby żadnej możliwości przeprowadzenia tego w pojedynkę.

Im dłużej będzie czekał, tym niklejsze pozostaną ślady. Najwięcej szans na ustalenie czegokolwiek będzie miał rzucając zaklęcie teraz, natychmiast.

„Ty draniu, kimkolwiek, czymkolwiek jesteś, nie wymkniesz mi się! Dopadnę cię, nawet gdyby miało mi to zająć resztę życia...”

Usiadł na zimnej, nagiej podłodze obok miejsca, na którym znaleziono Savil i pośpiesznie włączył się w przepływ energii w ognisku daleko pod Przystanią. Jego potrzeba, wściekłość i smutek wciągnęły go w ognisko głębiej aniżeli odważył się zanurzyć kiedykolwiek wcześniej. Pochwycił żywą moc „rękami”, obracając ją w nich niczym miękkie, na wpół stopione żelazo. Na kowadło swej woli ukuł z niej zaklęcie, które skierował na siebie poprzez ognisko oka magii. Wtedy je uwolnił.

Kiedy otworzył oczy, pokój wyglądał tak, jak go zostawił, gdy po raz ostatni widział Savil przy życiu. Siedział obok jej wielkiego fotela. Sądząc po bladym świetle wpadającym przez okno, był wczesny wieczór. Zdawało się, że Savil nie

ma w pokoju. „To musi być zaraz po tym, jak spotkałem Stefena” — pomyślał, zgnębiony poczuciem winy, i gorycz zalewała mu rany zadane utratą. Osłony nie były zaciągnięte i w pokoju nie było nic, co nie miałoby tu swojego miejsca.

Vanyel zatrzymał ten moment i zlustrował pomieszczenie, zaglądając nawet pod i za meble. I nic. Wszystko było w zupełności tak, jak należy.

Zacisnął zęby i wznowił upływ czasu, czekając aż zmrok zgęstnieje i przejdzie w głęboką noc. Jakiś służący przyszedł, aby zapalić lampy i wstawić w lichtarze świeże świece. Inny wniósł sporą porcję drewna i dołożył do ognia. Nie działo się nic niezwykłego. . .

„Chwileczkę!”

Ponownie zatrzymał strumień czasu i magicznym wzrokiem skrupulatnie zlustrował świece.

Świece są w porządku. . . lecz kiedy obrócił swe magiczne spojrzenie na drewno, cały stos zajarzył się złowieszczym zielonym światłem, a kiedy Vanyel wniknął weń jeszcze głębiej, drewno pokazało ten sam znak rozpoznawczy co posoka.

Ale tego nie było dość, jeszcze nie. Vanyel musiał zobaczyć, jak napastnik wyglądał, gdy porzucił swe przebranie, i dokąd potem uciekł.

Zmusił się do uwolnienia strumienia czasu. Serce podskoczyło mu, gdy zobaczył Savil wchodzącą do pokoju. „Nie, nie teraz — powiedział do siebie, zmuszając się do zachowania spokoju i obojętności. — Nie pora na to, nie teraz, kiedy jestem w ognisku. Nie mogę sobie pozwolić na uleganie emocjom, rezygnując z koncentracji.”

Odzyskał panowanie nad sobą i w tej samej chwili ciotka odwróciła się od niego i zamknęła osłony. Choć wciąż obserwował stertę drewna, nie dostrzegł żadnej zmiany, taka szybka była ta bestia. Jeszcze raz zatrzymał czas, łapiąc stwora w półwyskoku, a Savil w półobrocie.

„Przynajmniej nie tracę refleksu — pomyślał wciąż zmrożony lodowatą obojętnością. — Jeszcze nigdy nie spotkałem się z podobnym stworzeniem”. Było to coś przypominającego kruka, ale z dziobem pełnym kłów, złymi czerwonymi ślepiami i mocnymi nogami, zakończonymi łapami o ostrych jak brzytwa szponach długości dłoni.

Nawet biegli z Tayledras nie znali wszystkich istot wędrujących po Pelagirs, jednak to ptakopodobne coś nie sprawiało wrażenia, że jest tworem natury — jeśli takie określenie w ogóle można zastosować do jakiegokolwiek zwierzęcia z krainy zamieszkałej przez magię. W każdym razie ptak wyglądał podejrzanie: jego kły były zbyt długie, żeby nimi jeść, a szpony nie nadawały się do niczego poza rozszarpywaniem. Z pewnością mając takie pazury, zwierzę to nie jest w stanie usiąść na gałęzi drzewa. I jak miałoby karmić młode?

Vanyel nie mógł opuścić swej pozycji, ale mógł pozwolić bestii dokończyć skok, kawałek po kawałku, aż Vanyel obejrzy go sobie w całości. Tak też zrobił, niewzruszenie ignorując przerażenie na twarzy ciotki, a potem wyraz paniki, kie-

dy zdała sobie sprawę, że stwór dopadnie jej, zanim zdąży przygotować piorun z energii magicznej. Bestia znajdowała się od niej na długość palca, kiedy Vanyel zatrzymał obraz raz jeszcze i po dokładnym zbadaniu tylnej część ciała ptaka potwierdził swe podejrzenia. Zwierzę nie miało genitaliów ani w ogóle żadnego otworu. Od tyłu było nijakie, niczym jajo pokryte piórami.

Był to twór jedyny w swoim rodzaju, wykreowany sztucznie z prawdziwego kruka, prawdopodobnie specjalnie na tę okazję. Pokarm mógł otrzymywać jedynie drogą magiczną i był bez reszty zależny od tego, kto go stworzył. Nie istniało zagrożenie, że pojawią się młode, mogące wymknąć się spod jego kontroli. Oznaczało to więc, że mag, który obrał sobie za cel Savil, był bardziej bezwzględny niż Vanyel, a wielce prawdopodobne, że również silniejszy od niego.

„Siła nie zastąpi wszystkiego — pomyślał Vanyel, zaciskając zęby w przypiływie wściekłości. — Są jeszcze umiejętności i cena, jaką jesteś gotów zapłacić za to, czego chcesz. A ja chcę dostać tego drania i nie zamierzam wypuścić go z rąk”.

Przyspieszył przepływ czasu, przeskakując do momentu, kiedy Savil była już martwa, a on sam zaczynał kopać w drzwi. Beznamiętnie przyglądał się, jak ptakokształtna bestia, okaleczona i krwawiąca, na powrót zamienia się w stertę drewna, tym razem przy drzwiach. Patrzył, jak w chwili gdy żal wziął nad nim górę, stworzenie, wykorzystując moment jego nieuwagi, wymknęło się przez drzwi.

Vanyel podążył za ptakiem, uciekającym z pałacu przez najbliższe wyjście. Stworzenie zatrzymało się na chwilę, by zaatakować samotnego Towarzysza, leżącego na ziemi w szoku po stracie swego Wybranego — inne Towarzysze przybiegły na pomoc Kellan, ale było za późno. Stwór triumfalnie wzbił się w powietrze i odleciał, ze szponami i dziobem czerwonymi od zmieszanej krwi herolda i Towarzysza, odprowadzany wrzaskiem bezsilnej wściekłości Towarzyszy.

A Vanyel wciąż podążał jego tropem. Na północ. Na północ, odległą o kilka dni jazdy konnej, na skrzydłach przyspieszanych jeszcze silniejszą magią. W końcu ptaszysko opadło na ziemię, wyczerpane i osłabione obrażeniami. Z prymitywnych myśli stwora Vanyel wywnioskował, że zwierzę zamierza pozostać na miejscu przez co najmniej tydzień, wylizując się z ran. Wiedziało, że jest bezpieczne. Nikt nie miał pojęcia, że tam jest, i nikt nie był w stanie puścić się za nim w pościg z taką samą prędkością.

Więcej Vanyel nie mógł znieść. Uwolnił zaklęcie spod swej kontroli, a ono rozpięchło się, pozostawiając go siedzącego samotnie pośrodku pustego, zdemolowanego pokoju. Za oknem brzask zaczął właśnie zabarwiać niebo, a Stefan czekał przy drzwiach opatulony płaszczem.

— K-kazali mi nie przeszkadzać — wyjąkał; w nikłym, szarym świetle wyglądał blado i mizernie. — Ale nikt nie powiedział, że nie mogę poczekać tutaj, aż s-skończysz. Van, przykro mi, ż-żałuję, że nie mogę nic zrobić. . .

— Możesz — odparł krótko Vanyel. — Możesz stać przy drzwiach i pilnować, żeby nikt tu nie wchodził. — Widział, że jego chłód odbił się bólem w oczach

Stefena, ale zignorował to.

Yfandes? — zawołał w myślomowie. Wściekłość w jej myśli zabarwiła wszystko krwistą czerwienią.

Bogowie ześlijcie ich do najniższych piekieł! Van, to bydlę dopadło jeszcze Kellan...

Wiem — przerwał jej. — *I zamierzam w tej chwili wziąć za to odwet Zechcesz złączyć się ze mną i osłaniać mi tyły, gdy wybiorą się na połów?*

Poluj — odwarknęła Yfandes. — *Oślaniam cię.*

Więcej zapewnień nie potrzebował. Ponownie zanurzył się w ognisku energii, wessał w siebie tyle mocy, ile tylko mógł przez buforowe działanie bursztynowego oka magii, i wypłynął, ze wszystkimi kanałami oparzonymi i podrażnionymi od ogromnej mocy, lecz wciąż doskonale spełniającymi swą funkcję.

Wiedział w przybliżeniu, gdzie wylądował stwór, i nadal miał ów ślad posoki, z którego mógł skorzystać przy ustaleniu jego dokładnego położenia. Dopóki Vanyel ma odrobinę jego krwi, ptaszysko nigdy nie zdoła mu uciec, bez względu na to, jaką przyjmie postać, bez względu na moc magii zaangażowanej w zamaskowanie jego obecności.

Mając przy sobie Yfandes, Vanyel wiedział, że nie musi zużywać połowy swej energii na wypatrywanie zasadzki; tropił stwora do jego kryjówki z nieskończoną wytrzymałością. Nadal miał do dyspozycji energię z ogniska, mógł więc pozwolić sobie na zużycie każdej ilości, jakiej będzie wymagało odnalezienie stwora.

Kiedy już go odszukał, odkrył, że ta istota miała osłony daleko silniejsze, niż się spodziewał. Najwyraźniej jej pan chciał ją odzyskać, co czyniło ją jeszcze cenniejszą dla Vanyela. Jego zasoby energii na skutek przebytego dystansu były na wyczerpaniu i z takiej odległości nie był w stanie przebić się przez zabezpieczenia stwora.

I nawet nie musiał...

Otóż bestia chroniona była przed „prawdziwą” magią, a nie magią umysłu. Natomiast jednym z darów Vanyela było przenoszenie — a za nim stała cała moc ogniska. Skoro dysponował magią rzeczywistą i mentalną, mógł zasilić swe zasoby energii mentalnej energią magiczną, czego nie potrafił zrobić żaden herold. I tutaj właśnie przeciwnik Vanyela popełnił fundamentalny błąd w ocenie jego sił.

Vanyel bowiem pochwycił stworzenie razem z jego osłonami. Zwierzę zerwało się do spóźnionej ucieczki, ale na tym etapie nie miało już żadnych szans, a jego pan nie dał mu umiejętności przywoływania pomocy. Na ucieczkę było za późno z chwilą, gdy Vanyel ustalił jego położenie. Ptaszysko szamotało się, a on obserwował z uśmiechem jego narastającą panikę.

I szarpnął.

O tak... — z zapalem syknęła Yfandes w jego głowie, bynajmniej nie rozpraszając mu uwagi. Po tylu latach przywykł do jej komentarzy i zachęt, odzywających się gdzieś w głębi jego umysłu. — *O tak! Ściągnij to tutaj, a pokażemy im,*

że nas się nie zarzyna z powodu czyjegoś widzimisie. . .

Stwór stawiał opór szarpnięciu i łapał się kurczowo, czego tylko mógł. Vanyel wszedł głębiej w ognisko, zignorował ból i potoki ognia rwące przez jego kanały przepływu mocy, a potem szarpnął mocniej. Porwał stwora wrzeszczącego z desperacji. Yfandes podtrzymywała go na duchu, gdy włókł zdobycz za sobą. Zamortyzowała ból głowy pojawiający się w reakcji na wysiłek — czego nigdy dotąd nie robiła — umożliwiając mu rzucenie stwora dokładnie na miejsce, gdzie zabił Savil. W końcu pomogła Vanyelowi przygwoździć bestię do podłogi żywą mocą wprost z ogniska energii.

Stefen na widok stwora wydał z siebie zduszony rechot, lecz opamiętał się, przypominając sobie, gdzie jest. Opamiętał się — a raczej struchlał ze strachu. Van czuł płynące od niego fale paniki, ale teraz nie miał czasu troskać się o przyjaciele. Kiedy bestia piszczała i kwiczała — na głos i mentalnie — Vanyel zdarł osłony z jej tępego umysłu, pragnąc wydrzeć z niego każdy szczegół dotyczący jej pana.

Stwór uciekał na północ, w kierunku, z którego nikt nie spodziewał się wroga. Północ i wrażenie potężnej dziczy, która mogła być tylko Przedzimowym Lasem i Górami Lodowej Ściany leżącymi za nim. Co zaś się tyczy owego pana, Vanyel nie znalazł nic — tylko ciemność. Po bezlitosnej penetracji, która obróciła mózg ptaszyska w krwawiący strzęp, doszedł do wniosku, że stwór nie oglądał swego pana.

Z zaciętymi ustami przypatrywał się spazmującemu stworzeniu u swych stóp. Doprowadził je do ośląkanego stanu, nie pozostawiając niczego, co mogłoby wskazać mu drogę do domu czy choćby możliwość obrony. Stwór nie mógł użyć zapożyczonej magii, której mu przydano, może nawet zapomniał latać. Gdyby Vanyel go wypuścił, powoli zagłodziłby się na śmierć, a jego pan nawet by nie wiedział, co się z nim stało. Nie miałby pojęcia, czy jego ptaszysko z powodzeniem wypełniło zadanie.

Wydawało się, że nawet Yfandes zaspokoila swą żądzę zemsty; w każdym razie nie odzywała się, a jej wściekłość nie kipiała już w głębi umysłu Vanyela.

Ale jego żądza zemsty nie była zaspokojona.

Zebrał w sobie, ile tylko umiał, energii z ogniska, wlewając ją w swe kanały, palące z równym żarem, jak jego potrzeba wymierzenia kary. Upewnił się, że między ptakiem a jego stwórcą nadal istnieje połączenie. Niedobrze, że było to połączenie tak słabe — zbyt słabe, aby dzięki niemu Vanyel mógł dotrzeć do źródła. Był zmuszony, poszukując winowajcy, obrać trudniejszą drogę.

Lecz połączenie okazało się wystarczająco mocne do ukarania pana. . . Vanyel zmiażdżył stwora jednym potężnym ciosem czystej, nieokiełznanej mocy.

Bestia wydała z siebie agonalny wrzask, umierając w lodowatych płomieniach magii. Energia uderzenia w powrotnym podmuchu buchnęła na stwórcę ptaka kanałem, który Van pozostawił otwarty.

Wrzask ucichł. Od stwora bił blask energii, którą Van wlał w niego, a potem jego ciało rozżarzyło się do takiej jasności, że nie sposób było na nie patrzeć. Ale Vanyel wciąż podsyczał ogień, który wreszcie strawił stwora do reszty, pozostawiając po nim zaledwie kilka kupek białego, lekkiego popiołu.

Vanyel odwrócił się do Stefena, świadomy, że za parę chwil odczuje skutek tego, co właśnie zrobił. Yfandes nie mogła go dłużej chronić przed bólem głowy, przychodzącym po nadwerężeniu zmysłów magii; i tak trudno było uwierzyć, że w ogóle coś takiego zrobiła. Jego kanały zamieniły się w żywe rany, które na samowyleczenie będą potrzebowały kilku godzin.

Stefen wpatrywał się w niego szeroko otwartymi, pełnymi zgrozy oczami, a jego twarz była biała jak mleko.

— Po c-co to z-zrobiłeś? — wyszeptał, spoglądając na Vanyela, jak gdyby spodziewał się, że ten swym biczem z magii smagnie lada moment i jego.

— Wysłałem wiadomość — powiedział Van cicho. — Taką, której nie można odczytać opacznie. Wyzwanie i ostrzeżenie. Ktokolwiek to zrobił, ktokolwiek zamordował Savil, zapłaci za to własnym życiem. Bo to nie była osobista wendeta; to jest ten sam drań, który odpowiada za śmierć Kilchasa, Lissandry i prawdopodobnie tamtą napaść na mnie. Stanowi zagrożenie dla Valdemaru, a skoro tak, to ja zamierzam wyeliminować źródło tego zagrożenia.

W tym momencie poraził go spodziewany ból głowy; powoli przyłożył jedną dłoń do czoła i zatoczył się z lekka. Stef momentalnie znalazł się przy nim i podtrzymał go.

Vanyel przypomniał sobie żal w oczach Stefena, gdy zbył go tak chłodno, i skrzywił się.

— Stef — powiedział niezręcznie. — Przepraszam. Kochałem Savil. Ona była... była... — Nie mógł dokończyć, przeszkodziły mu łzy.

— Była najbardziej niezwykłą i najmilszą starą wiedźmą, jaką bogowie kiedykolwiek stworzyli — dokończył Stefan ze łzami w oczach. — Nikt nigdy jej nie dorówna. Ktokolwiek to zrobił, chcę jego skóry. Nie tak bardzo jak ty, ale też tego chcę i zrobię wszystko, co tylko będę mógł, żeby pomóc ci ją dostać. — Objął Vanyela, podpierając go. — Wszystko w porządku, rozumiem.

Vanyel potrząsnął bolącą głową.

— Mam nadzieję, że nie przestaniesz rozumieć, Stef — powiedział — bo to jeszcze nie koniec. Do końca jeszcze daleko.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Van zwołał całą Radę, gdy tylko był w stanie składnie mówić. Całą Radę, łącznie z Randalem, co oznaczało, że spotkali się w sypialni króla w obecności Shavri.

Otaczały ich cztery kamienne ściany; podobnie jak Sala Ćwiczeń, Królewska Sypialnia była pokojem wewnątrz budynku, zupełnie pozbawionym okien. Przykre to było dla Randal, który rzadko widywał słońce, ale gwarantowało bezpieczeństwo. Napastnicy nie mogą wkraść się przez okno, jeśli nie ma żadnych okien.

W pokoju było ciepło, ale nie duszno. Dla pozorów Randal został przeniesiony z łóżka na kanapę, miękką i wygodną jak jego łóżko, lecz z wyściełanym oparciem, tak aby mógł siedzieć. Pozostali radni przynieśli ze sobą krzesła z innych komnat apartamentu i rozstawili je wokół kanapy, nie zważając na swe stopnie i stanowiska.

Przyjęli oświadczenie Vanyela — sformułowane jako życzenie — w grobowej ciszy.

Wszyscy, z wyjątkiem króla.

— Kategorycznie się sprzeciwiam — powiedział Randal, wręcz zaalarmowany. Jego głos zabrzmiał donośniej niż kiedykolwiek w ostatnich miesiącach. Shavri pobladła z lekka i kurczowo ścisnęła oparcie kanapy. — W żadnym wypadku nie możemy ciebie poświęcać.

— Nie jesteś w stanie mnie powstrzymać, Randalu — odparł Vanyel stanowczo, trzymając nerwy na wodzy. — Ktokolwiek to jest, jakimikolwiek kieruje się pobudkami, obrał sobie za cel heroldów, a to czyni z niego wroga Valdemaru. Jeżeli potrafi wyłuskać magów heroldów zza granicy, może wybrać sobie kogośkolwiek, włącznie z tobą, kiedy tylko będzie mu się podobało.

Miał nadzieję, że osobiste zagrożenie pohamuje rozpęd Randal, lecz ten nie zawahał się ani przez moment.

— To się nie liczy. Liczy się to, że jesteś ostatnim magiem wśród heroldów. Kto będzie szkolił młodzież z darem magii? Kto będzie wiedział, jak w ogóle wygląda dar magii? I kto stawi czoło atakom magów zza granicy, kiedy ciebie tutaj nie będzie?

— Odpowiem na pierwsze pytanie — odrzekł Van. — Będą to robić heroldowie. „Zwyczajni” heroldowie. Nie tylko są w stanie to zrobić, ale udało mi się przekonać ich, że umieją to, co było nie lada sztuką.

— Wyszkolił już w tym zakresie kilku heroldów — odezwał się Joshel z niechęcią. — Dowiedzieliśmy się ponadto od naszych agentów, że po drugiej stronie granicy karsyckiej nie ma już magów, przynajmniej takich, którzy dysponowali by jakąkolwiek mocą. Po wyklęciu magii u nich też nie będzie miał kto kształcić magów. . .

— A co do młodzieży. . . — kontynuował Van posępnie — na wypadek, gdyby ktoś nie zauważył, przypominam, że nikt nie miał żadnego ucznia z darem magii już od dwóch lat. Zaczniemy od tego, że dar magii nigdy nie występował tak często, a w tej chwili zdaje się pojawiać wyłącznie w formie utajonej.

— Tylko w formie utajonej? — Shavri wyglądała na zaskoczoną; przerzucała zdziwione spojrzenie z Vanyela na Joshela i z powrotem. — Ale. . . dlaczego? Co się stało?

Van wzruszył ramionami, kciukiem pocierając nerwowo oparcie krzesła.

— Nie mam pojęcia. . . ale zastanówcie się. . . O ile wiem, dotychczas napastnik obierał na swe ofiary magów heroldów. A jeśli ułatwiał sobie zadanie, zabijając dzieci urodzone z darem, zanim w ogóle mogły zostać Wybrane? To nie byłoby aż takie trudne. Trzeba tylko poczekać, aż dar da o sobie znać, i postarać się o jakiś „wypadek”. Nikomu nie przysłoby do głowy, że te zgony są jakoś ze sobą powiązane.

— Tym bardziej konieczne jest, abyś został tutaj. . .

— Tym bardziej konieczne jest, abym pojechał — sprzeciwił się Vanyel, uderzając pięścią w oparcie krzesła. — Co ja mam zrobić, podłączyć się do jakiegoś ogniska i wyteżać zmysły na cały kraj w oczekiwaniu, aż jakieś nie znane mi dziecko padnie ofiarą zaklęcia albo jakiejś bestii? Nawet nie wiem, czy o to właśnie chodzi. A jeśli tak, jak mam to powstrzymać? — Smutek i poczucie winy ścisnęły mu krtań, ale przemógł się i kontynuował. — Ten stwór, który dopadł Savil, wkradł się tutaj do pałacu, w Przystani, i zabił pod naszym nosem doświadczonego maga heroldów! Wielcy bogowie, wołała mnie na pomoc, mieszkam w tym samym korytarzu, ale nie zdążyłem jej uratować! Jak, u diabła, mam złapać tego łajdaka, skoro nie tylko nie wiem, gdzie i na kogo uderzy, ale nie mam pojęcia kim jest? Muszę doprowadzić do bezpośredniego starcia, to jedyny sposób na unieszkodliwienie go. Jeśli tego nie zrobimy, na pewno ma szersze plany — niemożliwe, żeby to robił dla zabawy. Więc czekamy, aż się przygotowuje do wykonania pierwszego ruchu, czy bierzemy go, zanim będzie gotów? Która taktyka jest lepsza?

— Nie mogę się spierać z tobą co do taktyki, Vanyelu — niechętnie stwierdziła Shavri, gdy Randal opadł z powrotem na poduszki. — Nie, wiem jednak, co przyjdzie tobie, nam, albo Valdemarowi, z tego uganiań się w nieznanym za jakimś nieokreślonym wrogiem, który może po prostu być. . .

Vanyel już miał jej przerwać, kiedy powstrzymał go głos Yfandes:

Panuj nad sobą, Van — powiedziała stanowczym tonem. — *Jesteśmy z tobą. I zajmiemy się tym.*

„Jesteśmy?” — pomyślał zaskoczony. Ale nim zdążył zapytać Yfandes, co miała na myśli, twarze wszystkich heroldów w pokoju straciły wszelki wyraz, a Shavri zamilkła w środku zdania.

Nastała długa chwila ciszy, maćona tylko odgłosami nie-heroldów, wierzących się niespokojnie na swych miejscach. Świece w lichtarzach, rozstawionych po całym pokoju mrugały tylko, gdy ktoś się poruszył. Ktoś zakasłał z zakłopotaniem.

Yfandes? — zawołał Vanyel w myślomowie. — *Co się dzieje?*

Musisz jechać, Van — odparła stanowczo. — *Ten mag stanowi zbyt duże zagrożenie. My — to znaczy Towarzysze — omawialiśmy to, odkąd postanowiłeś go tropić i naszym zdaniem masz słuszność. Więc popieramy cię. A jeśli inni nie posłuchają swoich Towarzyszy, to już my im pokażemy.* — W tonie jej myśli porbrzmiewała złowieszcza satysfakcja. — *Zobaczmy, jak długo będą w stanie to znieść.*

W tym samym momencie Joshel potrząsnął głową.

— Zgoda — powiedział na głos, przerywając milczenie tak niespodzianie, że aż poderwali się wszyscy nie-heroldowie. Wreszcie omiółt Vanyela cierpliwym, długim, bolesnym spojrzeniem.

— Nie wiem, jak tobie się to udało — zwrócił się do zdezorientowanego maga heroldów. Na jego twarzy mieszały się podziw i rozdrażnienie. — Nigdy nie słyszałem, żeby Towarzysze jednoczyły siły, aby stanąć po stronie herolda przeciwko królowi i Radzie. Mam nadzieję, że wybrałeś słusznie, Vanyelu Ashkevron... i mam nadzieję, że nie będzie to zadanie przerastające twoje siły.

Po kolei ustąpili wszyscy pozostali, Shavri — ostatnia, być może dlatego, że z jej Towarzyszem łączyła ją najślabza więź.

W końcu jednak i ona przychyliła się do pomysłu Vanyela, aczkolwiek nie bez oporów.

— Mam nadzieję, że jesteś usatysfakcjonowany, heroldzie Vanyelu — powiedziała na skraju płaczu. — Uważałam cię za przyjaciela... .

Pozostali uczestnicy spotkania wyraźnie byli zmieszani lub skrępowani taką manifestacją babskiego biadolenia. Vanyel, który wiedział, że to coś więcej, nie ważył się zachwiać w swym postanowieniu. Wiedział, dlaczego Shavri ucieka się do szantażu emocjonalnego — obawiała się o Randalą i Jisę — ale stawka była nazbyt wysoka, aby pozwolić jej manipulować jego uczuciami dla niej, Randiego oraz ich córki.

— Jestem przyjacielem, Shavri. Ale Valdemar jest na pierwszym miejscu, wiesz o tym równie dobrze jak ja — odparł chłodno, dając jej tę samą naukę, jakiej przed laty udzielił Randalowi,

— W takim razie, jak możesz mieć czelność odjeżdżać i zostawiać Valdemar bezbronny? — wykrzyknęła z pasją, zaciskając dłonie w pięści.

— Ponieważ w ten sposób bronię go — odciął się Van z równą pasją. — Ten mag, kimkolwiek jest, nie odważy się pozostawić mnie przy życiu; nie po tym, jak zgładziłem tego potwora. Koncentrując się na mnie, nie będzie sobie zawracał głowy Valdemarem ani nikim innym. Dopóki skupia wszystkie swoje siły na mnie, wy jesteście bezpieczni.

— A jeśli on ciebie z-z-zabije? — spytała Shavri zniekanym głosem. — Kto nas wtedy obroni?

— Shavri — powiedział, i pochyliwszy się ku niej, zatrzymał jej wzrok na sobie — jeśli umrę, to albo pociągnę go za sobą, albo zostawię takim kaleką, że nie będzie stanowił żadnego zagrożenia. Więc pomóżcie mi, bo będę bronił Valdemaru aż do śmierci, a jeżeli istnieje sposób bronięcia go także potem, to ja ten sposób znajdę!

Patrzył w jej oczy przez długą chwilę, w ciągu której zdawało się, że nikt nawet nie oddycha. Wreszcie usiadł i sam przerwał tę ciszę.

— Ale ja nie mam zamiaru umierać — powiedział z ponurym uśmiechem. — Zamierzam odnaleźć tego łajdaka i zmusić go do zapłacenia za to, co zrobił z Savil i innymi. Gdybym miał na to wasze pozwolenie. . .

Randał skinął głową ze zmęczeniem.

— Zdaje się, że nie mamy wielkiego wyboru — powiedział. — W każdym razie masz pozwolenie Korony oraz Rady.

Vanyel wstał i uklonił się wszystkim obecnym z zamierzonym wdziękiem.

— Przykro mi, jeżeli macie wrażenie, iż narzucono wam tę decyzję — powiedział. — Ale nie mogę żałować, że podjęliście ją. Valdemar jest ważniejszy od jakiegokolwiek pojedynczego człowieka, choćby ten człowiek dysponował największą mocą. Dziękuję wam, wyjeżdżam z rana. Treven jest gotowy do przejęcia wszystkich obowiązków pełnomocnika Randała oraz następcy tronu. Joshel wie, jak nawiązać kontakt z moimi agentami w Karsie, a Tantras może się zająć wszystkimi innymi sprawami prowadzonymi dotychczas przeze mnie, tak jak robił to już w przeszłości. — Vanyel powiódł wzrokiem po wyrażających najróżniejsze nastroje twarzach radnych, włącznie z jego ojcem. — Nie jestem niezastąpiony — dokończył cicho. — Nikt nie jest. Wszyscy jesteście najsprawniejszymi ludźmi, jakich znam, i jeśli ktoś w ogóle może być bezpieczny w tym królestwie, to ostatecznie jego bezpieczeństwo jest w waszych rękach, nie w moich. *Zhai'helleva*, przyjaciele.

I wypowiedziawszy te słowa, czym prędzej opuścił komnatę, uciekając przed momentem, kiedy ktoś, łącznie z nim samym, wybuchnie płaczem.

Stefen wślizgnął się do pokoju Vanyela i zaniknął za sobą drzwi. Van stał właśnie przy łóżku, starannie składając ubrania i układając je w torbach podróżnych. Choć nie podniósł wzroku, Stefen czuł, że Van doskonale wie o jego pojawieniu

się w pokoju.

Zagryzł wargi. Nie miał pojęcia, jak zacząć rozmowę, co powiedzieć. Vanyel w dalszym ciągu nie zwracał uwagi na jego obecność, w nadziei, że może Stef zniechęci się i wyjdzie. Cisza wydłużała się, Stefanowi zaczęły się pocić dłonie, gardło zaciskało się coraz bardziej. W końcu palnął, co mu ślina przyniosła na język:

— Nie wyjedziesz beze mnie. — Chciał, aby zabrzmiało to prowokująco, ale w rezultacie wypadło dość płaczliwie. Przyłgął plecami do drzwi, jak gdyby w ten sposób mógł fizycznie zagrodzić Vanyelowi drogę, i czekał na jego reakcję.

— Stef — powiedział Vanyel, nie odwracając się — nie mogę cię z sobą zabrać i dobrze o tym wiesz. — Jego słowa zabrzmiały tak chłodno i obco, jak gdyby mówił z Księżyca.

— Dlaczego nie? — spytał Stefan przez zaciśnięte zęby. Miał pełną świadomość, że jego słowa mogłyby przywieść na myśl rozkapryszonego wyrostka i brzmią zanadto trwożliwie, aby zwracać sobie nimi głowę. — Tym razem nie jedziesz do Rethwellanu. Tam nikogo nie będzie obchodzić, że jesteśmy kochankami! Co to za różnica, czy będę z tobą czy nie?

Wreszcie Vanyel odwrócił się; twarz miał kamienną, oczy zwrócone do wewnątrz, jak gdyby nie chciał zobaczyć Stefena, tylko jego cień.

— Różnica polega na tym, że nie jesteś heroldem, nie przeszedłeś szkolenia bojowego, nie obroniłbyś się nawet przed jednym człowiekiem z mieczem. Jesteś kulą u nogi, Stef. Powiedziałem ci, kiedy po raz pierwszy...

— A tutaj mam być bezpieczniejszy? — przerwał mu rozpaczliwie Stef, bezwstydnie grając na poczuciu winy za śmierć Savil, którą, jak wiedział, dręczy się Van. — Savil nie była bezpieczna! Jeśli ktoś zechce wykorzystać mnie przeciwko tobie, będzie musiał poczekać, aż odjedziesz, i wtedy mnie złowić. Ktoś, kto potrafi to wszystko, co działo się do tej pory, na pewno umie zrobić taką Bramę, złapać mnie, kiedy wszyscy będą spali, i zniknąć, zanim zdążę wrzasnąć: Ratunku! Sam powiedziałeś, że nie obroniłbym się przed jednym facetem z mieczem. Jak w takim razie miałbym się obronić przed czymś takim?

Zacisnął dłonie w pięści, powstrzymując się od dłubania paznokciami w drewnianych drzwiach. W pokoju panował istny upał i trudno było oddychać. Vanyel wahał się przez moment, kamienna maska zaczęła pękać, ale nagle jego usta znów się zacięły. Ogień na kominku buchnął nowym płomieniem, oświetlając twarz herolda tak, że zdawała się jeszcze bardziej surowa i beznamietna.

— Nie mam czasu na takie rzeczy, Stef. Mam do wykonania pracę, a ty będziesz mi tylko zawadzał. — Jego słowa były obliczone na zranienie, a jeśli Stef nie odczuł przez łączącą ich więź przeciwnych emocji, mógł natychmiast uciec.

„Jest taki zawzięty, ale mogę się przebić przez tę skorupę. Muszę. Żeby tylko pozwolił mi z sobą jechać... Popeliłem błąd znów przywołując śmierć Savil. To go tak boli”.

— Jadę z tobą — upierał się; odszedł od drzwi i ruszył w stronę Vanyela. — Jeśli mnie nie zabierzesz, pojedę za tobą. Jeśli każesz komuś mnie pilnować, jakoś się wymknę. Jeśli nie pozwolisz mi zostać przy tobie, będę jechał miarkę świecy za tobą. — Zamilkł na moment, po czym gorączkowo przemierzył ostatnie dwa kroki, biorąc Vanyela w ramiona, zanim ten zdążył zrobić jakikolwiek unik. Vanyel odsunął go jak najdalej od siebie, tak samo sztywno jak tamtej nocy, gdy spotkali się po raz pierwszy, ale Stefen i tak wtulił twarz w jego kaftan. — Nic mnie nie obchodzi, co zrobisz — powiedział z ustami przy ramieniu Vanyela, z policzkiem przyciśniętym do gładkiej skóry jego kamizelki. — Kocham cię i jadę za tobą. Dopóki jestem z tobą, nie dbam o to, co się ze mną stanie.

— A Randal? — zapytał Vanyel dziwnym, tubalnym głosem.

— Nie kocham Randal — odparł Stefen, broniąc się trochę. — Nie jestem heroldem, sam to powiedziałaś. Nie wydaje mi się, bym był mu coś winien. Teraz mnóstwo heroldów potrafi uśmierzać ból; trzech może to robić, gdy Randal czuwa i rozmawia, a ja jestem po prostu wygodny. On mnie już nie potrzebuje, a gdy Treven przejmie obowiązki następcy tronu, Randal nie będzie musiał robić nic, do czego nie czułby dość sił.

— Shavri pewnie by z tym polemizowała — rzucił Vanyel oschle, ale jego sztywna sylwetka zaczynała nabierać łagodności.

— Polemizowała — wyznał Stef, zachęcony tym drobnym sygnałem. — A ja odpowiedziałem jej, że może mnie zatrzymać siłą, ale z kolei nie może mnie zmusić do grania. Zrobiła minę, jakby chciała czymś we mnie rzucić, ale nie rzuciła. Powiedziała mi tylko, co o mnie myśli. Zaczęło się od „zdrajcy” i w ten deseń szło w dół.

— Wyobrażam sobie — odparł Vanyel, pokaszując z lekka.

— Powiedziała, że dopilnuje, aby mnie zdegradowali i wykluczyli z Kręgu Bardów — ciągnął Stef, czując, że Vanyel ożywia się coraz bardziej. — Odpaliłem jej, że mam to w nosie. Bo mam. — Rozluźnił troszkę swój uścisk i, uniósłszy buntowniczo podbródek, zajął w twarz herolda. — To nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Gdyby mi zależało na wysokiej pozycji i tym podobnych sprawach, odjechałbym z tamtym handlarzem kamieni. Kiedyś marzyłem o czymś takim, ale nie teraz.

— Czego ty chcesz, Stef? — zapytał Van z cicha. Jego dziwne, srebrzyste oczy przepełniał ból, dręczyły go myśli, których treści Stef mógł się tylko domyślać.

— Poza tobą? Nie wiem — przyznał się Stef. Miał zamiar powiedzieć „tylko ciebie”, ale coś w tonie pytania Vanyela kazało mu powiedzieć całą prawdę. — Wiem tylko tyle, że bez ciebie nie miałyby wartości ani wysokie stanowiska, ani sława.

— A co byś zrobił, gdyby Randal nadal cię potrzebował? — kontynuował Vanyel, przytrzymując spojrzeniem oczy Stefena.

Stefen przełknął ślinę. W gardle uczuł lekki uścisk, w żołądku jakby urosła

mu bryła lodu.

— N-nie wiem — odparł żałośnie. — To trudny wybór, ale nie musiałem go podejmować, więc jakie to ma znaczenie? Randal mnie już nie potrzebuje i powiedział to Shavri.

— Powiedział? — Po raz pierwszy od śmierci Savil Vanyel uśmiechnął się, bardzo blado, lecz szczerze. — O tym mi nie wspomniałeś.

— Nie pozwoliłeś mi do tego dojść — przypomniał mu Stef z niepewnym uśmiechem. — Randal powiedział Shavri, że mnie już nie potrzebuje i że uschnę tutaj, jeśli zostanę. Powiedział, że powinienem iść za głosem serca i że potrzebujemy siebie nawzajem.

Vanyel objął Stefena.

— Mimo wszystko to chyba prawda — powiedział szeptem i przycisnął przyjaciela tak mocno, że ten z ledwością mógł oddychać.

— Czy teraz pozwolisz mi jechać z tobą? — spytał bard, gdy był już pewny, że Vanyel nieprędko wypuści go z ramion.

— Czy ty się nigdy nie poddajesz? — spytał Vanyel, a w jego głosie rozbranie zmagало się z irytacją, która wnet ustąpiła.

— Nie — odrzekł bard, pewny swej wygranej. — Już ci to mówiłem. — Poczuli na włosach gładzącą je dłoń Vanyela i westchnął; odprężył się — lodowa bryła w żołądku topniała.

— Dobrze, ale tylko dlatego, że uważam, iż masz rację. — Vanyel odsunął go od siebie na tyle, by mógł mu zajrzeć w oczy. — Prawdopodobnie ze mną będziesz o wiele bezpieczniejszy niż tutaj. Mogę nałożyć na ciebie najmocniejsze osłony, jakimi kiedykolwiek kogokolwiek chroniłem, łącznie ze mną. Staniesz się niewidoczny dla magicznego wzroku, bo to będą bierne osłony, które nie dają o sobie znać, dopóki nikt cię nie zaatakuje, a ruchomy cel trudniej jest wytropić. Ale Stef. . . Proszę cię, obiecaj mi, że gdy dojdzie do rzeczywistego starcia, uciekniesz. Znasz się tylko na bójkach ulicznych, a ja nie zdążę nauczyć cię niczego, co mogłoby ci pomóc w takim wypadku. Straciłem Savil. . . Gdybym stracił ciebie. . .

Wyraz oczu Vanyela nie był zbyt przytomny i przypomniał Stefanowi to, co widział kiedyś w oczach ptaka ze złamanym skrzydłem. Stefan wdrygnął się i przyciągnął herolda z powrotem do siebie.

— Obiecuję — powiedział. — Mówiłem ci już, że wysoko sobie cenię swoją skórę. Nie będę ryzykował, robiąc jakąś głupotę.

— To dobrze — odetchnął Vanyel. — No cóż, chyba powinienem pozwolić ci iść się spakować. . .

Chcąc nie chcąc, wypuścił chłopca z ramion. Stefan zrobił krok w tył i uśmiechnął się od ucha do ucha. Wrócił do drzwi, otworzył je i wciągnął z korytarza swe tłumoki.

— Już się spakowałem — powiedział jak gdyby nigdy nic.

Vanyel obudził się o świcie, Stefenowi zaś z wielkim trudem udało się ocknąć i pobudzić do jakiejś takiej żwawości. Jego ciało protestowało przeciwko zrywaniu się o tak nieludzkiej porze, a umysł odmawiał przyjęcia do wiadomości, że członki naprawdę wykonują już jakieś ruchy.

Van uporał się ze swymi pakunkami już poprzedniego wieczoru. Na szczęście Medren pomógł Stefenowi skompletować jego rynsztunek i teraz nie było już nic, czego Stef by nie miał, a co Vanyel uważałby za niezbędne; pozostało też bardzo niewiele rzeczy, które trzeba było odrzucić. Zanim Vanyel skończył się pakować, Stef dawno był w łóżku, lecz gdy chciał, potrafił spać bardzo czujnie, a zatem noc ta nie minęła jako całkowicie stracona.

Chociaż gdy ziewał podczas całego, dość wprawdzie skromnego śniadania, zastanawiał się, czy jednak nie byłoby lepiej przeznaczyć tej nocy na sen.

Było tak ciemno, że stajenni krzżeli się przy świetle latarenek. Vanyel własnymi rękoma osiodłał Yfandes, Stefenowi jednakże zasugerował, aby odsunął się i pozwolił doświadczonym parobkom osiodłać jego klacz.

Położyli na nią siodło różniące się od tego, do którego przywykł Stef — identyczne z siodłem Vanyela, z przednim i tylnym łękiem, nieco bardziej uniesionym aniżeli w jego siodle do jazdy konnej, ozdobione mnóstwem kółeczek i oczek. Stef nie potrafił sobie wyobrazić, do czego mogą służyć wszystkie te sprzączki, zwłaszcza że nie było widać żadnych pasków, które można by do nich przyczepić.

A przecież niewiele wiedział o koniach. Jeśli Vanyel chciał, aby tego akurat siodła użył Stef, to on i Melodia będą mu posłuszni. Stef miał przynajmniej nadzieję, że Melodia będzie posłuszna; wyglądała bowiem na obrażoną obecnością jakiegoś pasa na jej zadzie.

Wtedy parobcy wyprowadzili dwa najdziwniejsze zwierzęta, jakie Stefen kiedykolwiek oglądał. Wysokością dorównywały koniom, a ich sierść usiana była brązowymi i białymi łatami. Te osobliwe stworzenia, owłosione jak najbardziej kosmate psy, miały długie szyje i mordy jak u królików z wielkimi, okrągłymi oczami w kolorze głębokiego brązu. Jeden z nich nachylił szyję w kierunku Stefena, rozszerzając nozdrza i unosząc górną, pękniętą wargę.

Stefen usiłował się przed nim cofnąć, ale za jego plecami stała Melodia, a z obu stron ograniczały go przegrody stajni. Parobcy byli tak zajęci obładowywaniem zwierzaków tobołkami, że nie zauważyli nawet, co usiłowało zrobić stworzenie stojące bliżej Stefena.

Stefen zebrał się w sobie, wyczekując, aż zwierzę spróbuje go ugryźć. Miał nadzieję, że zdoła w porę uskoczyć mu z drogi. Ale dziwaczna istota dmuchnęła tylko na niego, mierzwiąc mu włosy swym ciepłym, słodkim oddechem. Skóra na szyi Melodii drgnęła, a ona sama obejrzała się, aby sprawdzić, co zakłóca jej

spokój.

Stefen spodziewał się z jej strony ataku szału na widok dziwacznej bestii, ale ona nawet nie otworzyła szerzej oczu. Parsknęła tylko jakieś końskie powitanie, a stwór wyciągnął szyję jeszcze bardziej, aby zetknąć się z nią nosem, po czym wrócił do obwąchiwania i rozdmuchiwania włosów Stefena, jak gdyby był nim zafascynowany.

W końcu jeden z parobków uniósł oczy znad ostatniego pakunku, który akurat przymocowywał, i zobaczył, czym zajmuje się zwierzę.

— No, no — powiedział, wymierzając stworzeniu lekkiego klapsa w grzbiet. Zwierzak cofnął głowę i zwrócił na pogromcę zawiedzione spojrzenie.

— No, nie patrz tak na mnie, moja panno — powiedział. — To nie różyczki sobie wachałaś, to były włosy młodego chłopca.

Westchnęła tak głęboko i szczerze jak strapiona, zakłopotana dziewczica, i zamknęła oczy. Parobek zaciągnął mocno ostatni pasek i odwrócił się do Stefena.

— To chirra — powiedział, potrząsając głową. — Ciekawskie jak koty. Miej ją na oku; lubi kwiatki i wszystko, co barwne. Zaraz idzie obwąchiwać, żeby sprawdzić, czy to aby nie coś, czego jeszcze nie zna. — Wyszczrzył zęby w uśmiechu. — Jakiś durny herold, Vanyel, dał jej kiedyś śnieżną różę i od tej pory szuka kwiatków nawet tam, gdzie ich nie ma.

— Po prostu przeniosła moje pakunki przez zadymkę, Berd — odrzekł Vanyel, nie odwracając się nawet. — Pomyślałem, że należy jej się nagroda, a nie miałem przy sobie żadnych słodyczy. Słuchaj, planujemy zostawić te dwa zwierzaki na granicy, na ostatnim posterunku Gwardii. W porządku?

— A skąd weźmiecie prowiant? — sceptycznie zapytał parobek.

— Tak jak zazwyczaj; będziemy żyć z owoców ziemi. — Teraz Vanyel odwrócił do nich twarz. — Nie prosiłbym cię o nie, ale Stef nie przywykł do takich wypraw i nie chciałbym utrudniać mu tego, przynajmniej na początku.

— Jak sobie życzysz — odparł parobek. — Niech będzie posterunek Gwardii. Najbliższa powracająca zmiana może je ze sobą przyprowadzić.

— Tak mniej więcej sobie pomyślałem. — Vanyel przejął od młodego chłopca linkę do prowadzenia drugiego chirra i przymocował ją do tylnego łąku swego siodła, gdy tymczasem Berd uczynił to samo z drugim chirra, miłośnikiem kwiatów, i siodłem Melodii. Gdy jego chirra był już umocowany, Vanyel dosiadł Yfandes, a Stef poszedł za jego przykładem, wskakując na Melodię.

— Uważaj na siebie, wielmożny Vanyelu... — zawołał za nim Berd, gdy wyjechali w zimną ciemność. Vanyel obrócił się lekko w siodle, aby pomachać, ale żaden z parobków ani mu nie odkiwnął, ani się nie uśmiechnął.

Poza murami miasta nie było na co popatrzeć, wyjąwszy przykryte śniegiem wzgórza i kilka gospodarstw. Do momentu gdy oddalili się od Przystani o jedną miarękę świecy, niebo zrobiło się tak jasne, jak tylko można było się tego spodziewać na resztę dnia. Chmury wisiały nisko, ciężkie i ołowiane; w powietrzu

czuło się lekką wilgoć. Jedyńm miejscem, gdzie Stefen nie odczuwał chłodu, było miejsce, w którym jego nogi ogrzewały się, dotykając konia.

Vanyel uniósł głowę i wciągnął woń delikatnego wietrzyku. Kilka srebrnych włosów wymknęło się spod kaptura jego płaszcza.

— Pachnie śniegiem — powiedział, odzywając się po raz pierwszy od opuszczenia pałacu. Stef sam posmakował powietrza, ale jego zapach nie wydał mu się bynajmniej niezwykły.

— Po czym to poznajesz? — zapytał, a jego głos zabrzmiał nad wyraz głośno ponad przytłumionymi śniegiem krokami zwierząt na drodze.

— Po prostu tak pachnie — odpadł Van. — Jak deszcz, tyle że słabiej i zimniej. — Obejrzał się na Stefena i wstrzymał Yfandes, tak że teraz jechali obok siebie. — Nie będę robił postojów i nie będę zwalniał ze względu na ciebie, Stef — ostrzegł. — Nic mnie to nie obchodzi. I tak już wstrzymuję tempo, biorąc chirra na pierwszy odcinek drogi. Jedyńy powód, dla którego dostosowuję się do twojego braku doświadczenia na pierwszym etapie, jest taki, że mój przeciwnik przyjmie zapewne, iż pędzę na niego w tempie, jakie osiąga Towarzysz. Mam nadzieję, że to go trochę zmyli.

— Rozumiem — pośpiesznie odparł Stef. — Nie będę cię opóźniał. Dotrzymam ci kroku.

— Ty może tak, ale twoja kasztanka to nie Towarzysz — zaczął Van. Po chwili przybrał „zasłuchany” wyraz twarzy, który oznaczał, że właśnie mówi do niego jego Towarzysz. — Yfandes obiecuje pomoc — oznajmił, najwyraźniej tym zaskoczony. — Nie mam pojęcia, co ona kombinuje; może chce zrobić coś takiego, że Melodia będzie mogła dotrzymać jej kroku. Mam nadzieję, bo jeśli idzie o wytrzymałość i szybkość, Towarzysze spisują się o wiele lepiej. Wzmocniłem potomków Gwiazdy o obie te cechy, ale niestety nadal potrafią tylko tyle, ile może koń.

— Będę dotrzymywał ci kroku — powtórzył Stef, przysięgając sobie w duchu, że prędzej umrze, niż poskarży się na ból lub zmęczenie.

„On jest taki dziwny — pomyślał — taki oziębły. Jakby nie liczyło się nic na świecie, tylko to, żeby dopaść wroga. Nigdy go takim nie widziałem. Ciekawe, czy zawsze taki jest, gdy pracuje?”

— Muszę powstrzymać tego maga — powiedział Van z cicha, zupełnie jak gdyby usłyszał myśli Stefena. — Muszę, Stef, to najważniejsze zadanie, jakie kiedykolwiek przede mną stało. Potrafisz to zrozumieć? Przykro mi, jeśli wydaje ci się, że jestem dla ciebie oziębły. . .

Stefen potrzęsnał głową.

— Nie, wszystko w porządku — powiedział pośpiesznie, choć wcale nie czuł, aby wszystko było „w porządku”. — Powiedziałem ci, że nie będę zostawał w tyle i nie będę. Nie masz żadnego powodu myśleć, że zabranie mnie było błędem.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz — odparł Van smętnie. — Chociaż muszę

przyznać, że na to, jak będziemy posuwać się naprzód, większy wpływ niż ty będzie miała pogoda.

Jeszcze nie dokończył tego zdania, a już ze schodzących coraz niżej chmur zaczęły sypać się pierwsze ogromne, puszyste płatki śniegu. Stef zadarł głowę zaintrygowany.

— Nie jest aż tak źle — zaprotestował, zmieniając nieco pozycję w siodle dla rozluźnienia napiętych mięśni po wewnętrznej stronie ud.

Oczy Vanyela były zamknięte, brwi ściągnięte w skupieniu.

— Teraz nie jest źle — powiedział z wolna herold. — Ale pogorszyć się może bardzo szybko i bardzo łatwo. Front burzowy rozciąga się aż do granicy i równowaga w nim wisi na włosku. Teraz wydaje się, że będzie padało równomiernie, ale różne czynniki mogą się dać we znaki z wielką łatwością.

— Och — zdziwił się Stef. — Nie wiedziałem, że umiesz przewidywać pogodę.

Vanyel otworzył oczy i popatrzył na niego spod uniesionych brwi.

— Nie umiem — powiedział. — Potrafię tylko odczytywać pogodę, nie umiem przewidzieć, co będzie się z nią działo. Jest to jedna z pierwszych rzeczy, jakich się nauczyłem, gdy zapanowałem nad moją magiczną mocą. Magia, jaką się posługuję, często zakłóca porządek w pogodzie, więc muszę wiedzieć, czy nie grozi mi rozpętanie burzy, jeśli wzniosę Bramę albo zrobię coś w tym rodzaju.

— Och, tak jak wtedy, gdy umarł Lendel... — odrzekł Stef, jakby nieobecny, zatopiony w swych własnych zgrzyotach.

Vanyel zeszywniał i odwrócił się do Stefena.

— Skąd wiesz?

Stefen otarł śnieg z twarzy i poczuł dziwny dreszcz przebiegający mu po kręgosłupie na dźwięk głosu Vanyela i widoku jego twarzy. Van wyglądał na przestraszonego. Przede wszystkim zaskoczonego, ale jednak przestraszonego.

— Savil musiała mi o tym powiedzieć, a może Jisa — odparł Stef, próbując wyłowić jakiś sens ze swych mglistych wspomnień i reakcji Vanyela. — Pamiętam, że ktoś musiał mi opowiadać o tym, że rozpętała się wielka burza spowodowana w dużej mierze przez wzniesienie Bramy. Prawdopodobnie to Savil, bo w wyjaśnieniu było dużo o tym, jak działa magia. Wiem, Savil opowiedziała mi o tym, gdy ją zapytałem...

— Dlaczego? — zdziwił się Van. — Dlaczego ją pytałeś?

— Bo to ważna część twojego życia — odrzekł Stef cichym głosem, przyjmując pozycję obronną. — Ciebie nigdy o to nie pytałem, bo wydawało mi się, że unikasz tego tematu... Nie chciałem cię zranić. Więc zapytałem Savil, czy nie miałaby nic przeciwko opowiedzeniu mi o tym, a ona odparła, że nie, bo to działo się tak dawno temu, iż nie ma nic przeciwko rozmowie na ten temat. To było wtedy, gdy ty dochodziłeś do siebie po napadzie tego maga.

Vanyel uspokoił się i z jego twarzy zniknęło przerażenie.

— Dużo też rozmawiałem z twoimi rodzicami — powiedział Stef. — Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe. — Postarał się wpleść w swe słowa Szelmowską nutkę. — Dużo nas łączy z Tressa; według niej, jako kompan, jestem o wiele zabawniejszy niż którakolwiek z jej dam. Wiesz, pomagałem jej urządzić się tutaj po ich przyjeździe.

— Nie wiedziałem — odparł Vanyel ze swoistym, roztargnionym smutkiem. — Miałem tylko sposobność zobaczyć, jak ojciec rzucił się do pracy w Radzie, niczym hart do pościgu, i chyba założyłem sobie z góry, że matka też da sobie radę.

„Wcale nie dawała sobie rady. Przyjechała i zobaczyła, że jest w takiej samej sytuacji, w jakiej, według słów Savil, ty się znalazłeś, pozostając tutaj — prowincjonalna arystokratka z jakiejś dziury, dwadzieścia lat spóźniona w znajomości mody, nie mająca pojęcia o najnowszych plotkach i etykietce. — Stef zamyslił się. — Widywała cię rzadziej niż kiedyś. Czuła się bardzo samotna i gdyby otworzyła się wówczas przed nią droga powrotu do domu, skorzystałaby z niej.”

— Myślałem, że sobie radzi. Po kilku tygodniach robiła wrażenie równie zadowolonej jak ojciec — ciągnął Van, spoglądając przez kurtynę śniegu na drogę przed nimi. — Za każdym razem, gdy ją spotykałem, była w centrum zainteresowania, otoczona przez inne damy. — Przerwał na moment, a potem zapytał: — Czy to dzięki tobie?

— Poniekąd — przyznał Stef. — Nauczyłem ją paru rzeczy i przedstawiłem księżnej Bryerly i lady Gellwin. — Pewnie nie zauważyłaś nawet, jak nieliczna jest dziś świta dworska, kiedy Randi tak bardzo choruje, a Shavri cały czas zajmuje się nim. Dworzanie w większości wyprowadzili się z pałacu królewskiego do apartamentów dla arystokratów. Nad życiem towarzyskim dworu w rzeczywistości czuwają teraz te dwie damy, o których wspomniałem. Księżna Bryerly jest daleką krewną Brendewinów, tak więc wszystko ułożyło się pomyślnie. Lady Gellwin wzięła Tressę pod swoje skrzydła jako swego rodzaju protegowaną i, dowiedziawszy się, że twoja matka miała w przeszłości liczne wychowanki, powierzyła jej opiekę nad wieloma młodszymi dziewczętami.

Jeszcze miesiąc temu Vanyel byłby głęboko zasmucony, że nie zatroszczył się o to, by matka dobrze się zainstalowała w stolicy. Teraz jednak powiedział tylko: — Dziękuję ci, Stef. Doceniam twą pomoc dla niej. — I znów wybiegł wzrokiem na drogę przed nimi.

„To do niego niepodobne — zmartwił się Stef. — Nigdy dotąd nie widziałem go tak opętanego żadną myślą. Jeśli przyszłoby mu do głowy, że nasza podróż mogłaby nabrać szybszego tempa, gdyby zsiadł z Yfandes i zaczął ją pchać, to pewnie by to zrobił. Nie mam pojęcia, co w niego wstąpiło.”

Śnieg padał coraz mocniej, co do tego nie było wątpliwości. Nadal nie mogło ich to zatrzymać, ani nawet spowolnić ich podróży, ale Vanyel oczywiście był nie-

spokojny. Na każde pytanie Stefena odpowiadał takim tonem, jak gdyby myślni błędził zupełnie gdzie indziej, a poza tym milczał, skoncentrowany na swym wnętrzu. Poranek przeszedł w popołudnie, lecz choć minęli już trzy wsie z karczmami, za którymi Stef wodził tęsknym okiem, bard nie miał śmiałości poprosić Vanyela, aby się zatrzymali na posiłek i trochę ogrzali. Był głodny, ale jeszcze bardziej przemarznięty. Śnieg wpadał mu pod kaptur i tam topniał, spływając po karku lodowatymi strumyczkami. Ledwo czuł dłonie i stopy. Nie było wiatru, ale posuwając się, sami wprawiali powietrze w ruch, tworząc lekką bryzę, która nieustannie wdzierwała się przez otwory na ręce w jego płaszczu. Melodia też cierpiała. Sunęła równo, śladem Yfandes, ze spuszczoną głową i na wpeł przymkniętymi oczami. Była zmęczona i najpewniej tęskniła do ciepłej stajni, jak Stefan do swego pokoju i kominka.

W końcu Yfandes zaryła kopytami na środku drogi i uparła się nie iść ani kroku dalej. Melodia wpadła na nią, nim zdążyła się zorientować, że tamta stoi.

Vanyel otrząsnął się z zamyślenia.

— Zgoda — powiedział zagniewany. — Jeśli tego właśnie chcesz, to chyba nie mam wyboru.

— Co? — spytał Stef zaskoczony.

— Nie ty, *ashke*, Yfandes. Mówi, że jest zmarznięta, i że robi postój, czy mi się to podoba czy nie. — Vanyel zsiadł z Yfandes i sprowadził ją razem z chirra na pobocze drogi, grzęznąc w śniegu i kopniakami torując sobie drogę. Stef dwa razy próbował zeskoczyć na ziemię, zanim udało mu się to zrobić. Nigdy w całym swoim życiu nie był tak zeszywniały i obolały, a miał niemiłe przeczucie, że będzie jeszcze gorzej.

Ale gdy stanął pod drzewem, poczuł lekki opór powietrza... Gdy minął tę barierę, powiew ciepła stopił śnieg w jego włosach. To było coś więcej niż powiew — cały wycinek przestrzeni pod konarami drzewa wypełniało ciepłe powietrze, niemal tak ciepłe jak w letni dzień. Śnieg, którego nie odgarnął Vanyel, topniał, a Yfandes sprawiała wrażenie wielce z siebie zadowolonej.

— Van... — zagadnął Stef z wahaniem. — Czy to dobry pomysł? Domyślam się, że użyłeś przy tym magii. Nikt tego nie zauważy?

Vanyel potrząsnął przecząco głową.

— Użyłem triku biegłych z Tayledras, którzy w ten sposób rozpinają osłony nad swymi dolinami. Z zewnątrz, nawet dla magicznego wzroku, miejsce to wygląda absolutnie tak samo, jak wyglądało, zanim się tu zatrzymaliśmy: drzewa obsypane śniegiem, ani śladu człowieka. Tak zostanie jeszcze długo po naszym odejściu. — Strzepnął śnieg ze swego płaszcza i skrzywił się. — Ale ślad użycia magii pozostanie w tym miejscu i jeśli mój wróg wie, że uczyłem się magii w Tayledras, to mu wystarczy, żeby nas wysledzić, nawet jeśli pozostaje dwa dni drogi za nami. Wolałbym tego nie robić, ale Yfandes powiedziała, że sztywnieją jej stawy i musi się rozgrzać, więc nie miałem wielkiego wyboru.

Stef miał jednak niejasne podejrzenie, że Yfandes nalegała w równej mierze dla jego, jak i dla swojego dobra, posłał jej więc pełne wdzięczności spojrzenie, które, miał nadzieję, umiała odczytać. Ku jego zdumieniu, odwróciła się do niego i, gdy Vanyel stojąc tyłem szperał w jukach swego chirra, puściła do niego oko.

— A czy nie moglibyśmy raz po raz dla zmyłki zmieniać kierunku? — zapytał Stef, w nadziei, że Van zechce ogrzewać każde miejsce ich postoju.

— To nic nie da. On wie, że jedziemy z południa, a istnieje ledwie kilka dróg, którymi możemy podróżować. — Vanyel westchnął i spojrzał na Stefena przez ramię, jak gdyby wołał, żeby czym prędzej ruszyli w drogę.

Stefen zjadł posiłek w milczeniu. Yfandes usadowiła się koło niego bokiem, a on oparł się o nią, wdzięczny za jej pomoc i ciepło. „Chyba mogę liczyć tylko na to, że poczeka, aż się ogrzeję przed dalszą podróżą.”

— W każdym razie tak będziemy obozować nocami — kontynuował Vanyel, wręczając Stefanowi zimne mięso, chleb z serem i dwa jabłka. — Wolę nie zatrzymywać się w gospodach; tam mogliby siedzieć szpiedzy, a nie chcę, żeby ten mag znał nasze dokładne położenie.

Stef przedzielił drugie jabłko i jedną połowę dał Yfandes, a drugą Melodii.

— Jak sobie życzysz, Van — odparł z nadzieją, że będzie w stanie wsiąść z powrotem na konia, gdy Vanyel zechce ruszyć w dalszą drogę. — Bylebym tylko mógł być przy tobie.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Śnieg padał równo, tak samo jak przez poprzednie trzy tygodnie, i zdawało się, że będzie padał przez kolejne trzy. Nie było zadymki — wiatr, kiedy w ogóle wiał, był łagodny, a temperatura stosunkowo wysoka. Ale śnieg był mokry i ciężki — dobry do zabaw, czego dowodziły dzieci lepiące na podwórkach śniegowe stwory — tyle że poczwórnie wydłużał czas ich podróży. Uwzględniając wagę, jaką Vanyel przykładał do swego postanowienia, że zostawi Stefena, jeśli będzie do tego zmuszony, na ironię zakrawał fakt, iż to chirra torowały drogę obojgu jadącym wierzchem, a zatem tempo podróży uzależnione było tylko od ich możliwości.

— Ile dni może trwać śnieżycy? — spytał Stef, skulony na grzbiecie Melodii, drżąc pomimo wełnianej bielizny, swetra i koszuli pod tuniką oraz dwóch swetrów i płaszcza na niej.

— To nie jest ta sama śnieżycy, *ashke* — odparł Vanyel. Zerknąwszy na mapę, rozejrzał się za kamieniami przydrożnymi wyznaczającymi odległości. Tego dnia mieli dotrzeć do ostatniego posterunku Gwardii — na to przynajmniej wskazywały obliczenia Vanyela. Ta wysunięta placówka wyznaczała kres terytorium, do którego rościł sobie prawo Valdemar, i początek ziem władanych przez dwu- i czworonożne wilki oraz inne stwory. Ten obszar przylegał do Wzgórz Pelagirs, ale gdzie przebiegała granica, można było tylko zgadywać. Prawdopodobnie wiedzieli to tylko biegli z Tayledras. Owa placówka Gwardii wyznaczała też kres łatwiejszego odcinka podróży Vanyela i Stefena. Tutaj zostawią chirra i resztę prowiantu, posuwając się dalej z tym tylko, co mogły unieść Yfandes i Melodia, iż tym, co Vanyelowi uda się wyczarować.

Teraz Stef z rana nie bywał już tak obolały, że wolałby umrzeć, niż wstać i z powrotem dosiąść konia. Ale mróz nie zelżał i gdy tylko wychodzili spod osłony swego magicznie stworzonego schronienia, w ciągu miarki świecy bard był znów przemarznięty i nieszczęśliwy.

— Jak to, nie ta sama śnieżycy? — zdziwił się. — Nie przestaje padać, odkąd wyruszyliśmy z Przystani.

— To seria burz śnieżnych nadciągających z północy — odparł Vanyel, składając mapę i chowając ją starannie do kieszeni w siodle. — Każda z nich ustaje zwykle w nocy, a tuż przed świtem jej miejsce zajmuje następna. Posterunek

Gwardii leży nie dalej niż kilkaset metrów stąd. Powinniśmy dotrzeć tam przed zmrokiem. — Zmierzył krytycznym okiem Stefena. — Jeśli będą mieli coś na zbyciu, to postaramy się o cieplejsze ubranie dla ciebie. I lepszy płaszcz. Gdybym wiedział, że będziesz aż tak marzył, to przed wyjazdem dałbym ci coś cieplejszego.

Stefen wstrzymał się od komentarza.

— Przyda ci się — ciągnął Vanyel, poganiając chirra, za którym szła Yfandes. — Teraz, kiedy zostawimy tu sprzęt i nadwyżkę prowiantu, podróż stanie się dla ciebie znacznie uciążliwsza.

„A dla ciebie nie? Z czego ty jesteś zrobiony, Van? Z kamienia i stali?”

— Nie przypuszczam, żeby to było możliwe — odparł Stef, gdyż wydawało mu się, że Vanyel po raz pierwszy oczekuje odpowiedzi. — Przecież i tak prawie cały czas jestem zmarznięty.

— Niedługo cały czas możemy być zmarznięci i głodni — odrzekł Van, spoglądając nań przez ramię. — Będziemy jeść to, co uda mi się upolować. Nie uciekam się do magii po to, aby sprowadzać do siebie bezbronne istoty, chyba że zajrzy mi w oczy śmierć głodowa.

— Pewnie ja jestem bardziej przyzwyczajony do głodu niż ty, lordzie Vanyelu Ashkevron — rzucił Stef. — Przez większą część mego życia byłem głodny! Może nie znam się na tym, jak przetrwać w lesie, ale nie jestem aż takim nieudacznikiem, jakiego próbujesz ze mnie zrobić!

Vanyel drgnął lekko, zacisnął usta i odwrócił się.

— Ze względu na twoje dobro mam nadzieję, że to prawda, Stefenie — powiedział pokazując mu swe plecy.

Stef zagryzł wargi i poczuł słono-słodki smak krwi. „Bystre posunięcie, Stef. Bardzo bystre. Co ty masz zamiast mózgu, suchy groszek?” Odgarnął z twarzy śnieg i włosy ruchem, który wszedł mu już w nawyk, i jął spoglądać na prawo i lewo, obserwując przykryty śniegiem las. „Ale do diabła, wolałbym, żeby ceził mnie trochę więcej niż bezużyteczny bagaż. Zgoda, nie jestem heroldem, nie wiem, jak przetrwać samotnie w lesie, ale umiem pomagać i pomagałem, kiedy tylko mój pan raczył udzielić mi instrukcji.”

Przygnębienie, gorzkie i bardziej lodowate od mrozu, ścisnęło mu gardło. Może on ma rację. Może nie powinienem był jechać. Może ta wyprawa uświadomiła mu, jak mało mnie pragnie i potrzebuje. Może powinienem zostać na tym posterunku Gwardii?

Nagle Yfandes stanęła; Melodia, nie zatrzymując się, już ją miała minąć, gdy Vanyel wychylił się i wyrwał wodze z rąk Stefena, Potem chwycił dłonie przyjaciela.

— Przykro mi, Stef — powiedział, patrząc wzrokiem zranionego ptaka. — Za mało w ciebie wierzę. Yfandes dała mi przed chwilą niezłą burę za moje zachowanie w stosunku do ciebie.

Stefen próbował się uśmiechnąć.

— Nic się nie stało, naprawdę. . .

— Stało się, ale nie mogę się powstrzymać, Stef — powiedział herold przez zaciśnięte zęby. — Pewnie dalej taki będę. Będę sprawiał ci ból, doprowadzając do tego, że pożałujesz, że nie zostałeś. Ufam tylko, że umiesz mi wybaczyć, bo to się nie skończy. Wszystko schodzi na dalszy plan przy tym, co muszę załatwić z moim wrogiem. Czy potrafisz to zrozumieć?

— Nie — odparł szczerze Stefen. — Ale postaram się.

Vanyel spuścił oczy.

— Cieszę się, że jesteś ze mną, Stef — powiedział szeptem. — Cieszę się, że znosisz to wszystko razem ze mną. Bez ciebie byłoby mi znacznie ciężiej. Swoją obecnością przypominasz mi, że jestem człowiekiem. Przypominasz mi, że jest jeszcze coś oprócz zadania, które przede mną stało. Coś wartego więcej niż zemsta. . . Mówię czasem rzeczy, których nie powinienem mówić, bo nie chcę, aby mi o tym wszystkim przypomiano.

Stefenowi nie przychodziło do głowy nic, co mógłby powiedzieć w tej chwili, ale skurcz w krtani i żołądka zniknął, i po raz pierwszy od tygodni zrobiło mu się cieplej. Uwolnił rękę z uścisku Vanyela i dotknął rękawicą jego policzka.

— Kocham cię — powiedział zwyczajnie, gdy srebrzyste oczy Vanyela spotkały się znów z jego spojrzeniem. — Przecież tylko to się liczy, prawda?

Vanyel uśmiechnął się, przez krótką chwilę znów będąc takim jak dawniej i poklepał Stefena po ręce.

— Chodźmy — powiedział i wypuścił dłoń Stefena. — Im szybciej znajdziemy się pod dachem, tym będziesz szczęśliwszy.

Wyraz koncentracji znów przemknął po jego twarzy; zakasłał.

— Yfandes mówi: „Niech was piekło pochłonie, wy, ludziska, macie płaszcze. Im szybciej znajdziemy się pod dachem, tym ja będę szczęśliwsza”.

Stefen uśmiechnął się i gdy Vanyel skierował swą uwagę na trakt przed nimi, wymienił z Towarzyszem porozumiewawcze mrugnięcia.

„Pani — przesłał jej myśl — nie możemy wprawdzie porozumiewać się myślową, ale mam wrażenie, że ostatnio komunikacja między nami układa się świetnie.”

Posterunek Gwardii oznaczał prawdziwy ogień, prawdziwe łóżko i gorące jedzenie. A co najważniejsze, ludzkie głosy; głosy nie należące ani do niego, ani do Vanyela.

Z zimowych zapasów Gwardii mogli wziąć cieplejsze ubrania, wełnianą bieliznę, a od jednej z gwardzistek dostali swetry z mieszanki wełny owczej i chirra, oraz nowy, podszyty futrem płaszcz, należący (Stef starał się nie myśleć o tym złym znaku) do pewnego gwardzisty, któremu przyszło umrzeć na gorączkę śnieżną, zanim zdążył go włożyć.

Czekały też na nich wieści z Północy, wieści istotne dla ich misji.

Usiedli przy ogniu, w kociołku grzał się gorący jabłecznik. Vanyel z komendantką posterunku pochylali się nad małym stolikiem w kącie, gdy tymczasem Stef grzał sobie kości na samym piecu.

— O Pani, pobłogosław, nic tylko czasem jakiś bandyta albo atak gorączki śnieżnej — powiedziała komendantka, przystojna kobieta o stalowosiwych włosach i mocnej szczęce. — Od lata nawet nie pojawił się tu żaden z tych dziwacznych stworów z Pelagirs.

— I żadnych plotek? — spytał Vanyel, gdy Stef, grzejący sobie stopy przy ogniu, pogrywał na czyjejs starej lutni znalezionej w składziku. Jej dźwięku nie można było nazwać czystym, ale gwardzistom bez wątpienia przynosił radość, więc Stef starał się powstrzymać grymas przy każdej głuchej nucie. — Ani śladu jakiegokolwiek aktywności w tamtym rejonie?

— Ani śladu — z przekonaniem odparła komendantka. — Jedyna niezwykła rzecz to ten śnieg. Nigdy nie widziałam, żeby tak padało jak w ciągu ostatnich kilku tygodni. No ale cóż, sam to wiesz; o tej porze pokrywa śnieżna nie powinna przekraczać jednej czy dwóch długości palca, a tymczasem śniegu mamy po pas i nie widać końca tej śnieżycy.

— Chcesz przez to powiedzieć, że to nie jest normalna zimowa pogoda? — zapytał Vanyel prostując się. — Myślałem... Mój bratanek był w tych okolicach i twierdził, że w połowie zimy śnieg sięgał powyżej dachów!

— Do stu diabłów, nie, to nie jest normalne — wybuchnęła śmiechem kobieta. — Jeśli twój bratanek to ten młody bard wędrowiec, którego tu mieliśmy... Biedne chłopaczysko, raz spadł śnieg, a on myślał, że z lodem idzie koniec świata! Ale to było po tym, jak jeden z moich ludzi napędził mu śmiertelnego stracha swoimi opowieściami. Zwykle zimą pada raz na kilka tygodni, a nie dzień po dniu. Ale nie mogę powiedzieć, że mam coś przeciwko takiej pogodzie. Ten śnieg bardziej dokucza zbójom niż nam. My mamy ekipy zajmujące się wyrębem, oni nie, a poruszanie się po lesie w tak głębokim śniegu jest piekielnie trudne.

Stef znał tę minę, którą teraz miał na twarzy Vanyel. Skończył śpiewać piosenkę mniej więcej w tej samej chwili, gdy Van grzecznie zakończył rozmowę z komendantką i skierował się do ich pokoju.

Stefen oddał lutnię temu, który ją znalazł, tłumacząc, że jest bardzo zmęczony, i ignorując znaczące spojrzenia obecnych, pośpieszył za heroldem.

Pokój gościnny znajdował się w części koszarów odległej od centralnego pieca i nie miał nawet kominka. Gdyby Stef mógł wybierać, z pewnością tutaj by nie przyszedł. Korytarz oświetlało kilka wydających blade światło, kopających latarenek i Stef byłby gotów przysiąc, że widzi, jak dym zamarza unosząc się w powietrzu. Vanyel był niewyraźnym białym kształtem niedaleko w przodzie, ale zanim herold doszedł do drzwi ich pokoju, Stefanowi udało się go dogonić.

— Co to było? — spytał, łapiąc Vanyela pod rękę. — Co ona powiedziała?

Obawiał się trochę, że Van wyrwie mu się, ale ten potrząsnął tylko głową i zaklął pod nosem.

— Nie mogę uwierzyć, jaki byłem głupi — powiedział cicho, otworzywszy drzwi do pokoju i gestem wskazał Stefanowi, by wszedł do środka. Na ich wejście świeca przy drzwiach i ta przy łóżku poderwały się do życia — ten rodzaj wykorzystania magii w życiu codziennym imponował Stefanowi o wiele bardziej aniżeli wyczarowywanie ich nocnych kryjówek. Użycie magii do zapalenia świecy świadczyło o tym, że dla Vanyela była to czynność równie zwyczajna jak posłużenie się węgielkiem z ognia. To dopiero było imponujące — Van mógł sobie pozwolić na „trwonienie” swej mocy w taki sposób. . .

— Jak to byłeś głupi? — dopytywał się Stef. — Co jeszcze ci powiedziała poza tym, że tej zimy mają dziwną pogodę?

— Dziwną pogodę? — Van zrobił grymas. — To tak, jakby powiedzieć, że Randi troszkę niedomaga. Słyszałeś ją, śnieg pada tu od tygodni, a nie od kilku dni, jak zwykle.

Zdjął płaszcz z haczyka przy drzwiach i owinął się nim.

— Czy nadal chcesz być pożyteczny? — spytał, siadając na brzegu łóżka i patrząc na Stefena; płomień świecy odbijał się w jego oczach.

— Jasne, że chcę być pożyteczny — powiedział Stef niepewnym głosem.

— To dobrze. Stań przy drzwiach i pilnuj, żeby nikt tu nie wszedł. — Vanyel oparł się plecami o ścianę i jeszcze ciaśniej otulił płaszczem. Popatrzył na Stefena ze zdziwieniem, gdy ten jął niezdecydowanie szurać nogami. — To nie jest taka sobie prośba. Wchodzę w trans. Popełniłem podstawowy błąd zakładając, że skoro nie wyczuwam w pogodzie dookoła żadnych śladów magii, to nie mam do czynienia z czarami. Oczywiście, pomyliłem się.

— Oczywiście — zamruczał Stef, nie widząc w tym nic oczywistego.

— Więc przeprowadzę teraz pewne bardzo trudne operacje na pogodzie, ale będę to musiał zrobić na pewną odległość, sięgając tam, gdzie te burze są wywoływane. W tym czasie będę zupełnie bezbronny. — Odczekał, aż Stefan zareaguje.

Po chwili Stefena wreszcie oświeciło.

— Och. . . więc, jeśli są tutaj jacyś szpiedzy. . .

— Otóż to. Będzie to dla nich okazja do działania. A ponieważ moje magiczne osłony są dość odstrasżające, najłatwiej będzie mnie dopaść fizycznie. — Vanyel rozsiadł się wygodnie i zamknął oczy.

— Van, a co mam zrobić, jeśli ktoś się tu wedrze? — spytał Stef, macając dłonią rękojeść swego noża.

Vanyel otworzył oczy.

— Masz ich zatrzymać, obojętnie jak — powiedział, zwracając oczy ku zupełnie innym przestrzeniom. — Teraz twoje umiejętności zdobyte w bójkach ulicznych mogą się przydać. Bierz ich żywych, jeśli będziesz mógł, ale nie pozwól

mnie tknąć. Wystarczy, żeby taki magiczny nożyk dotknął skóry, aby skutecznie zadziałał.

— W porządku — odparł Stefen, lekko przerażony. Ale czuł się lepiej niż kiedykolwiek od początku podróży. Teraz przynajmniej coś robił. W dodatku Van sam przyznał, że potrzebuje jego pomocy. — Możesz na mnie liczyć.

— Gdybym nie myślał, że mogę — odpowiedział mu Van, znów zamykając oczy — nie prosiłbym cię o to, kochasiu.

Stef drgnął, słysząc kolejny dźwięk. Świeca dawno się wypaliła, ale nie miał odwagi zapalić następnej. Kilka razy zdawało mu się, że słyszy jakiś hałas za zamkniętymi okiennicami jedyne okna w pokoju, ale nic się nie działo.

Odgłos powtórzył się, lecz tym razem Stef uświadomił sobie, że dochodzi od łóżka. Po omacku przemierzył pokój i usiadł. Kłębek, w jaki zwinął się Vanyel, drgnął i poły płaszcza rozchyliły się, wypuszczając spod siebie bladą poświatę złocistego światła. Stef otworzył usta ze zdumienia: jego podarek, bursztynowe oko magii na szyi Vanyela, jarzyło się lekko. Światło, które z niego emanowało, rozproszyło ciemność.

— Działo się coś? — spytał Van, odrzucając w tył długie, poprządkane srebrnymi pasmami włosy, które spadły mu na oczy. Wyglądał teraz jak dawny Vanyel, a z jego twarzy zniknął przykry wyraz oddalenia. I mówił jak dawny Van, w jego głosie brzmiała bowiem zarówno troska o Stefena, jak i chęć dowiedzenia się, czy nie wydarzyło się nic złego.

— Parę razy wydawało mi się, że coś słyszę, ale poza tym nic — powiedział Stef, wciąż wpatrując się w wisior. — Czy to zawsze tak świeci?

— Czy to... och, tak, musi, przynajmniej przez chwilę. To najlepszy prezent, jaki ktokolwiek mi zrobił, zwłaszcza teraz — rzekł Van, a jego głos i oczy były pełne ciepła. Przeciągnął się, odrzucając lekko płaszcz w tył i sięgając rękoma wysoko ponad głowę, a potem jedną dłoń opuszczając na kolano Stefena. — Mam oko magii, przez które mogę czerpać żywą moc wprost z ogniska, i jest mi dużo łatwiej. Nie zawsze mam czas, aby się nim posłużyć, lecz gdy to zrobię, ten kamień zwiększa mój zasięg i siłę. Rad jestem, że tobie zależało na mojej osobie na tyle, by wyszukać go dla mnie, *ashke*. — Uśmiechnął się, a Stefen poczuł ciepło rozlewające się po całym ciele. — Za godzinę śnieg powinien przestać padać.

Nagła zmiana tematu nie zbiła Stefena z tropu, jak można by się tego spodziewać.

— Więc to była wyczarowana pogoda. Dowiedziałeś się, skąd się to brało?

— Niedokładnie. Gdzieś zza tego lasu, być może z gór. — Vanyel masował sobie prawe ramię. — To jest właśnie takie dziwne, Stef, nigdy nie słyszałem o żadnym potężnym magu pochodzącym z tych okolic. Kilku szamanów plemiennych, to tak, ale nie mag klasy biegłego.

— A kto mówi, że on musi być akurat stąd? — odparł Stef i ujawnił rękę Vanyela, zaczął mu ją masować. „Traktuje mnie jak partnera, a nie jak ciężar.” — Mógł przecież przybyć tutaj skądkolwiek, z Pelagirs albo z Iftel, i zadomowił się w tych stronach, bo tutaj nikogo nie ma. Tak właśnie postąpiłbym, gdybym był magiem chcącym zebrać siły przed podbojem świata. Pojechałbym tam, gdzie nie ma żadnych magów. Żadnych rywali, żadnej konkurencji.

— To chyba dość sensowne — przyznał Van. — Posłuchaj, kochasiu, czy bardzo byś się zmartwił, gdybyśmy nie zostali tutaj parę dni, jak planowaliśmy, a wyruszyli o brzasku?

— Powiedziałem ci już, że nie mam zamiaru utrudniać ci podróży — odrzekł Stefan, w duchu wzdychając z żalem.

— Nie chcę zaczynać od łamania obietnicy. Skoro chcesz jechać, pojedziemy.

— Miałem nadzieję, że to powiesz — odparł Van, zrzucając buty. Stef zdjął z niego płaszcz i zaczął się rozbierać, sądząc, że jak zwykle, operacje magiczne pozostawiły Vanyela zbyt zmęczonego na cokolwiek poza snem.

Dopóki nie poczuł na ciele dłoni wślizgujących mu się pod koszulę.

— Chwileczkę — szepnął mu herold do ucha. — Pozwól, że ci pomogę. To może być nasza ostatnia noc w prawdziwym łóżku, na długi czas...

Rankiem, po owym krótkim epizodzie w stylu dawnego Vanyela, Van powrócił do swego nowego sposobu bycia: stał się zdystansowany, milczący, o nieczytelnej twarzy i zmęczonych oczach. Stef westchnął, choć w istocie nie spodziewał się niczego innego. „Wiem przynajmniej, że w głębi serca, pod tą obsesją, jest wciąż tym samym człowiekiem — pomyślał, ubierając się w pokoju tak zimnym, że jego oddech natychmiast zamarzał w powietrzu. — Więc gdy się to wszystko skończy, będę go miał takim, jaki był kiedyś. Już zaczynałem myśleć, że straciłem Vanyela, którego kocham...”

Osiadłali wierzchowce i odjechali po krótkim pożegnaniu. Od początku wyprawy Stef zdążył się nauczyć, jak samodzielnie dbać o Melodię, i nie musiał się już zastanawiać, jak ją wyszczotkować czy osiodłać; teraz robił wszystko sam, nie czekając na pomoc parobka.

Większość ich ładunku stanowił pokarm dla Yfandes i Melodii. W tych okolicach nawet w środku zimy można było znaleźć trochę obroku, a Vanyel umiał, gdy tylko zechciał, wymusić wzrost roślin nocą w ich kryjówkach. Mógłby nawet, dzięki swemu darowi, przenieść tutaj niewielką ilość obroku ze spiżarni w koszarach Gwardii, i to właśnie prawdopodobnie zamierzał robić. Fakt jednak pozostawał faktem, że w zimowym lesie łatwiej było nakarmić ludzi niż konia i Towarzysza, a zatem ich potrzeby miały teraz pierwszeństwo przed potrzebami Vanyela i Stefena.

Z chwilą gdy wyjechali zza osłony palisady otaczającej placówkę Gwardii,

Stef ucieszył się bardzo ze swego nowego ubrania, nawet jeśli było trochę pstrokate. Mimo iż niebo, zgodnie z obietnicą Vanyela, wypogodziło się i po raz pierwszy od wielu tygodni Stef ujrzał ponad wschodnim horyzontem Poranne Gwiazdy, Lythan i Leander — było zimniej aniżeli wówczas, gdy padał śnieg. Znacznie zimniej. Stefen nie czuł już nosa i bardzo był rad z wełnianego szalika, którym owinał sobie uszy pod kapturem płaszcza.

Vanyel sięgnął wzrokiem ku wschodowi, gdzie niebo zaczynało się różowić, i lekko zmarszczył brwi. Nie powiedział jednak nic, tylko pogonił Yfandes, kierując ją ku ledwie dostrzegalnej przecince między drzewami, na coś, co tutaj spełniało rolę drogi.

Słońce pięło się coraz wyżej i z chwilą gdy wisiało już ponad drzewami, Stef pojął, skąd te zmarszczone brwi Vanyela. Choć nieporównanie słabe w stosunku do letniego blasku, czyste światło słoneczne przelewało się pomiędzy konarami drzew, odbijając się od każdej powierzchni i podwajając, a nawet potrajając swe oślepiające działanie. Ziemia iskrzyła się falującą połacią bieli, krzewy i zarośla wyglądały jak kopczyki białości pobudzające oczy do łzawienia. Stef całkiem schował głowę pod kaptur i po paru chwilach jechał z przymrużonymi i niemal zupełnie zamkniętymi oczami. Ulgę odczuli dopiero mijając lasek z drzewami iglastymi, które ocieniały drogę, zasłaniając słońce. Lecz gdy wyszli z cienia, jaskrawe światło było dwukrotnie bardziej dokuczliwe niż wcześniej.

Vanyel jednak pędził naprzód, mimo że Melodia, a nawet Yfandes, potykały się i kuśtykały, nie widząc, gdzie stawiają kopyta, i nie przeczuwając, jakie przeskody kryją się w śniegu. Im bardziej oddalali się od granicy, tym cieńsza stawała się pokrywa śnieżna, ale i śnieg, i odbijające się odeń promienie wciąż były tak samo dokuczliwe, nawet po południu. Dlatego nie zrobili nawet zwykłego postoju na posiłek i odpoczynek. W końcu Stef ściągnął cugle Melodii, zatrzymując ją. Jej oddech zamieniał się w parę. Klacz zwiesiła głowę, spocona i, rzecz jasna, wdzięczna za sposobność do przerwania marszu. Yfandes przeszła jeszcze kilkanaście metrów, a potem stanęła. Minęło jeszcze parę chwil, zanim Vanyel zorientował się, że Stefena nie ma za nim.

Wreszcie odwrócił się i popatrzył przymrużonymi oczami przez oślepiający śnieżny blask — zakapturzonego, odzianego w Biel herolda nie sposób było rozpoznać, a na tle śniegu wyglądał jak lodowy posąg.

Jego głos zabrzmiał równie chłodno jak mroźne powietrze.

— Dlaczego się zatrzymałeś?

— Bo Melodia i Yfandes potrzebują odpoczynku, którego ty nie uwzględniłeś — rzucił Stef bez ogródek. — Spójrz tylko na Yfandes, zobacz, jak ciężko dyszy, jak się poci! Nie ma już chirra, które torowały nam drogę w śniegu.

Van, one obie potrzebują południowego odpoczynku bardziej niż kiedykolwiek...

— Nie mamy czasu — uciął Vanyel..

— Nie mamy wyboru — odpalił Stef. — Yfandes poniesie cię, dopóki nie upadnie. Ale co zrobisz, jak ją zabijesz? — spiął piętami klacz, a ona sztywno i niechętnie przemierzyła kilka dzielących ich kroków. Wskazał na Yfandes, która wyglądała tak samo jak Melodia: głowa zwieszona, oczy zamknięte, boki wydymające się od ciężkiego sapania. — Van, popatrz na nią, spójrz, co jej robisz. Do diabła, spójrz tylko, co robisz ze sobą! Nic nie widzisz, nie jadłeś i nie piłeś od świtu. I po co? Ten twój wróg nigdzie się nie wybiera, będzie cały czas tam, gdzie był!

— Ale wie, że się zbliżamy... — zaczął Vanyel.

— Więc co za różnica? — parsknął Stef, przewyciężając zdradziecką grudę w gardle, zagrządzając drogę słowom, które chciał wypowiedzieć, i wierzchem dłoni w rękawicze potarł nos. — Jak dotąd niewiele robił, poza tym, że obsypał nas troszkę śniegiem, który być może wcale nie dla nas był przeznaczony. Van, za każdym razem, kiedy zaczynasz się intensywnie skupiać na twoim wrogu, zapominasz o wszystkim, co czyni cię człowiekiem niezwykłym, co czyni cię heroldem. No właśnie, on nie jest już wrogiem całego Valdemaru, jest twoim osobistym wrogiem, kimś, z kim chcesz się sam zmierzyć... i żeby go dopaść, po drodze rozdeptujesz wszystko i wszystkich! Mnie, Randalu, nawet Yfandes; żadne z nas się nie liczy, dopóki osobiście nie zgładzisz tego maga! Czy ty tego nie widzisz? Nie widzisz, co się z tobą dzieje?

— Ty... — Twarz Vanyela stężała jeszcze bardziej, a on sam wyprostował się sztywno. — Nie masz pojęcia, co pleciesz. Nie jesteś heroldem, Stefenie, nie stanąłbyś nawet przy Randalu, gdyby zaszła potrzeba. Jak możesz sobie pozwalać na osądzanie...

Tyle tylko zdążył powiedzieć, gdy Yfandes zadarła głowę, uderzając na alarm, ale było za późno.

Zza ośnieżonych krzaków po obu stronach drogi wyskoczyli gwałtownie jacyś ludzie — zdawało się, że były ich setki. Melodia poderwała się, wystraszona wrzaskiem Yfandes, i spłoszona widokiem rozwrzeszczanych ludzi, pędzących wprost na nią. Stef, oszołomiony, przywarł do siodła.

„Zasadzka?” — przemknęło mu przez głowę, gdy usiłował utrzymać się na grzbiecie Melodii, która znów wierzgnęła i cofnęła się trwożliwie. Wtedy Van wykonał kilka ruchów rękami i nagle z nikąd pojawiły się kule ognia, wytryskujące wprost w twarze napastników. „Ale...”

Eksplodujące płomienie to już było za wiele dla Melodii. Rżąc przeraźliwie skoczyła do ucieczki, lecz potknęła się, zrzucając równocześnie jeźdźca, i popędziła z powrotem po swoich śladach.

Stefen poszybował głową w dół prosto w zaspę, wygramolił się z niej, strząsając śnieg z oczu w samą porę, żeby zobaczyć, jak Vanyel siecze przez pół swego napastnika uzbrojonego w siekiere, a Yfandes tylną nogą rozkwaszą drugiemu drabowi gębę.

W tym momencie Stef zapomniał wszystko, co kiedykolwiek wiedział, i kim był. Już nie myślał, tylko czuł — czuł tylko strach. I jedyną rzeczą na świecie, która jeszcze miała jakiś sens, była ucieczka.

Odwrócił się i zaczął biec. Biegł najszybciej, jak tylko umiał, pędzony strachem parzącym mu pięty. Pobiegł wzdłuż ich własnych śladów na drodze, a potem przez krzaki. Gałęzie chłostały go, ale nie zważał na żadne przeszkody, o które ciągle się potykał.

Biegł, ile sił, dopóki odległość nie zagłuszyła odgłosów walki, dopóki nie stracił tchu i nie padł w śnieg z ogniem w płucach, wyschniętymi ustami, rozdzierającym bólem w obu bokach, z nogami zbyt słabymi, aby go jeszcze niosły.

Leżał tak, jak upadł, czekając aż któryś ze zbójów przyjdzie i go zabije. Pojękiwał ze strachu, ale nie miał sił nawet, żeby się czołgać.

Nic jednak się nie działo.

Wciągał potężne, napełniające dreszczem, hausty powietrza, szlochając ze strachu. Jego ciało drżące z wyczerpania, teraz zaczęło trząść się z zimna. A wokół nadal nic się nie działo.

Dźwignął się ze śniegu. Nie było widać nic — żywej duszy, nawet ptaka. Tylko ośnieżone krzaki, w które wpadł, błękitne niebo, nagie konary drzew, rozpinające swoisty przeplatany deseń na jego tle, i zryty jego stopami śnieg, pomieszany z obumarłymi liśćmi — jego własne ślady ucieczki przez zarośla.

Wyteńczył słuch i strach jął ustępować, a jego miejsce z wolna zajął rozsądek. Nie słyszał nic, absolutnie nic.

Wreszcie powróciła mu też zdolność myślenia. „Van! Wielkie nieba. . . Zostałem go tam samego. . .”

Z trudem udało mu się wstać i zaczął przedzierać się przez krzaki, dzikim wzrokiem wodząc dookoła. Ciągle nic nie było ani widać, ani słyhać,

„Na bogów, jak mogłem to zrobić. . .”

I znów biegł; tym razem wiedziony poczuciem winy, wracał przetartym podczas ucieczki szlakiem przez podszycie lasu i śnieg. Wypadł spomiędzy kępy krzewów na drogę i dosłownie natknął się na miejsce zasadzki.

Wszędzie było pełno krwi, krwi i zrytego śniegu, pomieszanego z ziemią. I wszędzie leżały jakieś szczątki, na widok których Stef poczuł mdłości — szczątki wyglądające, jak gdyby pochodziły od ludzi.

Wtedy jego oczy skupiły się w centralnym punkcie całego zamętu, na czymś, co w pierwszej chwili wziął za hałdę śniegu.

Yfandes. Na ziemi leżał powykręcany kształt, jak zepsuta zabawka porzucona przez niedbałe dziecko, krew wylewała się z kikuta w miejscu, gdzie odrąbano jej ogon.

Ani śladu Vanyela.

„Nie. . .”

Chwiejnym krokiem podszedł do Yfandes, obawiając się widoku, jaki go czeka. Ale tam nie było nic, żadnego ciała, nic. Yfandes ogołocoło z uprzęży i siodła, a od jej ciała wiodły ślady stóp i krwawy szlak prowadzący gdzieś dalej.

„Nie. . .”

Nogi ugiwały się pod nim. Umysł nie umiał pojąć tego, co się stało. To wszystko przerastało jego najgorsze wyobrażenia. Przecież nikt nigdy nie pokonał Vanyela — nikt nie mógł go pokonać.

„O nie, nie, nie. . .”

Serce próbowało przeczyć temu, co mówiły oczy; umysł utknął pomiędzy jednym a drugim w kompletnym paraliżu. Drżącą ręką dotknął boku Yfandes, ale ona się nie poruszyła, a Vanyel nie pojawił się, by uspokoić go, że to był tylko podstęp.

Serce pękło mu na tysiąc kawałków.

„Nie!”

Odrzucił głowę w tył i wydał z siebie pełen bólu skowyt.

— Damen!

Chłopiec poderwał się, strach zawładnął nim tak bardzo, że nie spostrzegął go już. Podniósł oczy znad stojącego na palenisku kotła, którego pilnował, i spojrzał przez zadymioną sień ku drzwiom.

„Lord”. Ze strachu przycupnął w popiele na palenisku, spodziewając się, że lord Rendan podejdzie do niego dumnym krokiem i wymierzy kuksańca albo kopniaka. Od dwóch tygodni mężczyźni wychodzili co dzień na rozkaz Pana i wracali z pustymi rękami. Panował nerwowy nastrój, a Damen był zwykle tym, na którym skupiała się cała siła wybuchów ich złości.

Ale nic się nie stało i strach przygasł trochę. Damen zakasłał i spojrzał jeszcze raz, otłuszczoną ręką odgarniając włosy z czoła i mrużąc oczy, popatrzył przez gęsty tuman dymu i sadzy, który przez na wpół zatkany komin wdmuchnął zabłąkany powiew wiatru. Lord Rendan zasłaniał całe otwarte wejście, z zachmurzoną miną niósł na rękach coś sporego. Ale to nie była ta sama groźna mina, przed którą Damen nauczył się drzeć w ciągu ostatnich kilku tygodni — mina obwieszczająca porażkę Rendana i nadejście kary dla Damena. . .

Chłopiec stanął na swych bosych stopach, poślizgując się lekko na kałuży starego łoju, i przemknął przez gnijącą słomę i odpadki, które zaśmiecały podłogę, do swego pana.

— Masz — warknął Rendan, rzucając w niego tobołem. Damen wziął pakupek na ręce, zataczając się pod jego ciężarem, kiedy Rendan złapał go za ramię i odwrócił do paleniska. — Połóż to tutaj, na ławie — rzekł sucho, a jego palce wbijały się w ramię Damena, zostawiając po sobie następną porcję siniaków. Chłopiec, potykając się, podszedł posłusznie do ławy i zrzucił na nią ciężar, teraz dopiero widząc, że to siodło i uprzęż. Były pochłapane krwią, ale wykonane

z dobrej skóry i zdobione srebrem.

„Siodło? Przecież my nie mamy koni. . .”

Lord dorzucił jeszcze coś na tę stertę — coś białego, lśniąca kaskadę srebrnego włosia. . .

Koński ogon, biały koński ogon, który w miejscu odcięcia wciąż broczył krwią.

Zanim Damen zdążył ruszyć głową i zastanowić się, co to oznacza, przez drzwi wieży, wtoczyła się cała chmara mężczyzn, przeklinających i krzyczących, wnosząc z dworu chłód i śnieg. Damen wytarł nos w rękaw i uciekł z drogi wchodzącym. Stał najbliżej ognia, jak tylko mógł, bo w bryczesach z czwartej ręki i obdartej koszulinie zawsze było mu zimno. Policzył wchodzących, jak zwykł to robić, gdyż liczebność bandy zmieniała się w miarę jak jedni odchodzili, a inni zostawali do niej zwerbowani. Tylko bogowie mogliby mu pomóc, gdyby nie dopilnował, aby wszyscy mieli co jeść i pić.

Jedna ręka, dwie ręce, trzy i cztery ręce — i pięć bezwładnych ciał, wnieśli ostatni wchodzący. Jedno przerąbane prawie na pół — to Gerth Siekiera.

„Żadna strata — pomyślał Damen, maskując kaszlem szyderczy uśmiešek. — Jeden drań mniej do złożenia mi skóry po pijanemu, i dobierania się do moich portek po trzeźwemu.”

Mężczyźni zrzucili pokiereszowane ciało Gertha przy drzwiach. Dołączyły jeszcze dwa ciała, pocerniałe i spalone: Hevered i Jess. Damen zbył to wzruszeniem ramion — ci dwaj nie byli lepsi ani gorsi od innych, nietrudno będzie o nich zapomnieć.

Obok tamtych położono czwartego, ze zmiażdżoną twarzą. Damen musiał najpierw przebiec wzrokiem po innych twarzach, żeby dojść do wniosku, że to Relsley Kłamacz. Szkoda, na tego przynajmniej można było liczyć, że podzieli się jakimś kąskiem, kiedy resztek było mało, a chłopiec miał zachomikowane coś na przehandlowanie.

Pojawiło się jeszcze piąte ciało, ubrane na biało, zbroczone krwią, którego Damen nie rozpoznawał. Rzucono je obok sterty upręży, nie przy drzwiach. „Staruszek”, pomyślał sobie Damen, widząc długie, poprzetykane srebrzystymi kosmykami włosy. Ale tak myślał tylko do chwili, aż bezceremonialnie rzucili ciało obok ławy. Wtedy w migoczącym świetle płomieni ukazała się twarz, której Damen przyglądał się zdezorientowany, bo była to twarz młodego, a nie starego, mężczyzny, do tego bardzo przystojnego i urodziwego niczym dziewczyna. Człowiek ten najwyraźniej był nieprzytomny, miał związane ręce i nogi. Damenowi przyszło na myśl, że to musi być ten, na którego Pan Ciemności kazał im polować przez ostatnie dwa tygodnie.

Nie miał czasu myśleć teraz o więźniu, bo gdy kilku ludzi zabrało się do rozbierania martwych kompanów, kłócąc się przy tym o łupy, reszta zaczęła głośno domagać się jedzenia i picia.

Damen pozbiarał najróżniejsze miski i nadłuczzone kubki, które służyły za naczynia, i złożył je w dwa rozchybotane stosy. Gdy obchodził wszystkich mężczyzn, każdy z nich chwycił pierwsze naczynie z wierzchu i napełniał je do woli z beczki stojącej na pokierszowanym stole pośrodku izby. We dworze lorda Rendana napitek zawsze miał pierwszeństwo, i choć piwo było gorzkie i stęchłe, jednak go nie brakowało, a ludzie lorda wypijali tyle, ile tylko mogli pomieścić. Damen wrócił do paleniska, owinął dłonie przydługimi rękawami koszuli, odzyskanej ze śmietnika, i chwycił pierwszy z brzegu szpikulec różna, wyciągając z ognia na wpuł surową ćwiartkę sarny. Mięso wpadło do paleniska, ale ci ludzie i tak nie zauważą odrobiny popiołu na spalonej skórcie. Uginając się pod niesionym ciężarem podszedł do stołu i zrzucił mięso tryskające sokami na resztki kolacji z poprzedniego dnia. Ci, którzy nie byli nadto zajęci połykaniem trzeciej lub czwartej miski piwa, podeszli do stołu, aby własnymi nożami odrąbać sobie kawał sarniny.

Damena czekało jeszcze jedno zadanie. Chłopiec pozbiarał wszystkie nie wykorzystane naczynia, i napełnił każde po kolei grochową polewką z kociołka. Ociekające miski zaniósł na stół i postawił je obok sarniego udźca; jedną zostawił dla siebie. Mięsa nie wolno mu było ruszyć, dopóki nie najadł się do syta ostatni z mężczyzn, piwa zaś w ogóle nie pozwalano mu pić.

Przysiadł na piętach przy palenisku i zmęczonym wzrokiem przyglądał się innym. Połykał swój posiłek najprędzej, jak tylko potrafił, wycierając miskę palcami i oblizując je z ostatnich kropli zupy. Już zbyt wiele razy zdarzyło się, że któryś z mężczyzn upatrzył sobie kopniakiem wytrącić tę jedyną miskę polewki, jaką mu przydzielono, zanim zdążył zjeść niespełna połowę. Teraz zawsze starał się kończyć jedzenie przed wszystkimi.

Ale dzisiaj mężczyźni zajmowała zupełnie inna zdobycz. Ledwie Damen odrzucił na bok swą miskę i zaplótł ręce wokół swych wychudzonych nóg, lord Rendana wstał i jeszcze przeżuując, wolnym krokiem podszedł do więźnia. Związany człowiek zaczynał zdradzać oznaki życia: cicho jęczał i szarpał się. Lord wymierzył mu solidnego kopniaka w bok, a Damen wzdrygnął się lekko, wzięczny, że to nie on był odbiorcą tego ciosu.

Potem Rendana pochylił się i rozwiązał mężczyznę, który zdawał się nie rozumieć, że go uwolniono. Zachowywał się podobnie jak starszy brat Rendana, po tym jak rozbito mu czaszkę. Lord Gelmar nie umarł wówczas, nie od razu, ale nie mógł chodzić ani mówić i przez ponad tydzień zachowywał się jak pijany, aż w końcu Rendana się tym zmęczył i kazał brata „wziąć na zewnątrz”.

— Uważaj, Rendana, on może... — krzyknął jeden z mężczyzn.

— Nie kiedy działa to zaklęcie — wybuchnął śmiechem lord. — Ten proszek, przysłany z rozkazami Pana Ciemności, był zaczarowany. On nas widzi i słyszy, ale nie może nic zrobić. — Jeszcze raz kopnął mężczyznę, a ten wydał z siebie wrzask, rozdrapując słabymi palcami brud na podłodze.

— A właściwie, co to za gość? — zaciekał się Kef Włochata Warg. — Co w nim jest takiego ważnego, że Pan chce go żywego i gadającego? Że kazał nam i wszystkim innym bandom szukać go odtąd aż do gór?

Zanim lord Rendan zdążył mu odpowiedzieć, zrobił to Tan Dwunożnik, wstając z przeciekającym kubkiem w jednej ręce i nożem w drugiej.

— Na Kernosa, chłopcze, nigdy nie widziałeś herolda? — Odchrząknął i splunął flegmą, która spadła tuż pod nogami więźnia. — Te parszywe psy umieją narobić nam większego bigosu niż pięćdziesięciu żołnierzy królewskich po drugiej stronie granicy. Wścibiają te swoje nosy w interes innych, jakby nic innego nie mieli do roboty.

Wsunął swój nóż za pasek i wychylił resztę piwa, trzasnął kubkiem o stół i ruszył przed siebie, aby samemu szturchnąć więźnia.

Niektórzy z pozostałych zaczęli szemrać, a wszystkim z oczu patrzyła chciwość i zachłanność. Większość z nich nosiła w sobie zadawnione urazy do heroldów — Damen wiedział o tym z historii, które opowiadali — chociaż niewielu z nich kiedykolwiek widziało herolda. Przeważnie byli ofiarami zaplanowanych przez heroldów zasadzek bądź obław, albo dostawali kopniaka od ich magii, nie spotykając się z nimi twarzą w twarz. Heroldowie, wyobrażał sobie — przynajmniej do tej pory — Damen byli jak Sokoli Ludzie z lasów. Słyszało się o nich opowieści, a może nawet i widywało to, co zrobili innym, którzy weszli im w drogę, ale jeśli dopisało człowiekowi szczęście, nigdy sam nie spotkał żadnego z nich.

No cóż, teraz mieli tutaj kogoś takiego, i osobnik ten wcale nie wydawał się aż taki groźny...

— Więc co Pan kazał zrobić z tym psem, Rendan? — spytał Tan, znów butem szturchając więźnia, — Ma żyć i gadać, ale co jeszcze?

Rendan splótł ręce na piersi i popatrzył na leżącego, który ucichł i przestał się ruszać.

— Ma być żywy — powiedział Rendan po chwili. — Ale nic więcej Pan nie powiedział. Wesoły czy nie, zapłata będzie ta sama.

Tan uśmiechnął się chytrze, błyskając żółtymi zębami, i założył sobie kciuki za pasek.

— No, jeśli nic więcej nie, kazał... Co powiecie na to, żebyśmy wynagrodzili sobie nasze krzywdy?

Damen słysząc to, skulił się jak najdalej przy palenisku, w zawilgoconym kącie, który nazywał swoim własnym. Znał ten uśmieszek, znał ten ton głosu. To, co wydarzyło się po tym, jak usłyszał go po raz ostatni, wymazał ze świadomości. Nie chciał tego pamiętać.

— Moim zdaniem to bardzo dobry pomysł, Tan — odparł lord Rendan z takim samym uśmieszkiem. Podciągnął więźnia za przód jego tuniki i pchnął do Tana, który podniósł go do pozycji stojącej...

A potem z całej siły uderzył w brzuch.

Mężczyzna zgiął się wpół i zatoczył w tył do Rendana, który oparłszy się o stół, kopnął go w stronę innego mężczyzny.

Zabawiali się tak przez chwilę, ale po dwóch kolejkach pastwienie się nad ofiarą, która nie może się bronić, a nawet porządnie reagować na ból, zaczęło ich nudzić — zgodnie zresztą z tym, co przewidywał Damen. W gruncie rzeczy broniło się tylko to, co mężczyzna miał na szyi — parzyło każdego, kto próbował wziąć je do ręki, więc w końcu zostawili wisior w spokoju.

Tan był ostatnim, który by zrezygnował z uciechy; kopnął mężczyznę kolanem w pachwinę i pozwolił mu bezwładnie upaść na ziemię. Potem długo patrzył na herolda, zanim następny uśmiech z wolna jął zajmować miejsce srogiej miny, jaka wcześniej widniała na jego twarzy.

Podniósł część eleganckiej upręży — pasek z niebieskiej skóry, zdobiony srebrem — i jął obracać go w rękach. Więzień jęknął i usiłował odczołgać się w tył, zdołał jednak zaledwie obrócić się na plecy. Otworzył swe srebrzyste oczy o ślepym spojrzeniu i wbił je wprost w Damena, chociaż nic nie wskazywało na to, iż rzeczywiście go widział. Na jednym policzku rozlał mu się purpurowy siniak, a jego prawe oko zaczynało właśnie puchnąć — ale te stłuczenia w zasadzie nie miały znaczenia. Większość ciosów herold przyjął w bardziej wrażliwe partie ciała, a Damen słyszał już o ludziach, którzy umierali ucierpiawszy niniejsze szkody.

Herold znów zamknął oczy i z głębi gardła wydał płaczliwy dźwięk. To zdało się przeważać o decyzji Tana co do jego osoby.

Złapał jedną ręką włosy mężczyzny, w drugiej wciąż trzymając pasek od upręży.

— No... mój słodki koniku? Ha! — Tan wstał z kolan, dysząc ciężko i zapinając spodnie. — Kto następny? — zapytał, zanosząc się od śmiechu. — Który ogier dosiądzie teraz naszej małej, białej kłaczki? Ten mały szczeniak jest nie gorszy od baby!

Damen nie mógł na to patrzeć. Sam znalazł się kiedyś w takim położeniu, zaraz po tym, jak zwabili go tutaj ci z innej bandy obietnicami o złocie i ucztach. Był dokładnie w tej samej sytuacji, tyle że popchnęli go wtedy na ławę, a nie wtłoczyli pod siodło, smagali go batem i brutalnie skrępowali liną zamiast uprężą.

„Tym razem to nie ja — powtarzał sobie w kółko. — To nieważne. Tym razem to nie ja.” Pocierał dłońmi nadgarstki i sparaliżowany z przerażenia wbił oczy w podłogę, przypominając sobie, jak lina wrzynała się w jego skórę i jak mężczyźni wyśmiewali jego rozpaczliwe wrzaski w męczarniach.

Wreszcie udało mu się to sobie wmówić, choć z dygotem oczekiwał, aż ci, których kolejka jeszcze nie nadeszła, przypomną sobie, że w kącie za kominem jest jeszcze on i wolna ławka.

A jednak nie każdy gustował w zabawie Tana — albo nie wszyscy byli dość pijani, albo mężczyzna nie był dość młody, aby ich skusić; może mieli jeszcze inne powody, między innymi ten, że wciąż w skrytości serca bali się herolda, pomimo jego obecnej bezbronności.

Albo też nie byli przekonani, że Pan Ciemności będzie zadowolony rezultatami tych igraszek.

Wszyscy zapomnieli o obecności Damena — ci, którzy dołączyli do Tana, gwałcąc tego nieboraka, i ci, którzy tylko przyglądali się temu ze śmiechem, a potem odchodzili, by upoić się do nieprzytomności i paść na jedną z kup starych ubrań, słomy i szmat, które dla wielu z nich pełniły rolę łóżek. W końcu nawet Tan miał dość. Hałasy ucichły, z wyjątkiem głuchego dźwięku, który mógł być zawodzeniem herolda albo wiatru.

Damen zdrzemnął się, ale naraz poczuł jakiś czubek buta szturchający go w najbardziej bolesne miejsce klatki piersiowej — skutek ostatniego kopniaka, który niedawno zaliczył. Skoczył na równe nogi, przywierając plecami do ściany, mrugając powiekami i drżąc.

To znów lord Rendan.

— Idź posprzątać ten rozgardiasz, chłopcze — powiedział i chwyciwszy chłopca za podbródek, odwrócił jego twarz w stronę skulonego, na wpół nagiego kształtu widocznego na krawędzi blasku bijącego od ognia. — Umyj go, a potem zanieś do spiżarni.

Damen obszedł ostrożnie lorda i przestępując spojone i chrapiące ciała, podszedł do miejsca, w którym leżał więzień.

Związano go i zakneblowano mu usta uprzężą, kolana przypięto paskami po obu stronach siodła i, jako okrutny żart, srebrzystobiały koński ogon przytwierdzono mu do siedzenia. Mężczyzna był bardzo chudy, wręcz delikatny, a jego bladą skórę tak upstrzyły purpurowe siniaki, że wyglądał niczym ofiara jakiejś nieznannej zarazy,

Damen zmagał się przez chwilę z dziwnymi paskami i sprzączkami, aż wreszcie uwolnił biedaka. Ale nawet wtedy, gdy dał mu pełną swobodę ruchów, więzień nie chciał nic zrobić — a może nie mógł — zrobić nic, tylko rzucał się chaotycznie, wydając jęk z głębi piersi. Damen naciągnął mu ubranie mniej więcej na miejsce, ale herold nawet nie zauważył jego obecności.

„Zanieś go do spiżarni, też sobie powiedział. Niby jak mam to zrobić?” Damen splunął z obrzydzeniem, przykucnął na piętach, aby ocenić sytuację i w końcu chwycił mężczyznę za kołnierz i zaciągnął go po podłodze do spiżarni.

Lord odpalił kaganek od ognia i przyniósł go tam, przy jego świetle badając ciało jeńca. Herold skulił się na boku w pozycji embrionalnej i nawet dla Damena było jasne, że ledwo dyszy.

„Wykończyli go, to pewne — pomyślał sobie. — Ja jestem za twardy, żeby mnie tak urządzić. Zdaje mi się, że nie dożyje rana.”

Najwyraźniej lord Rendan doszedł do tego samego wniosku. Zaklął pod nosem i rzucił kaganek na podłogę, gdzie rozprysł się i zgaśł. Damen czekał na zwyczajnego przy takich okazjach kopniaka albo klapsa, lecz lord miał teraz na głowie ważniejsze sprawy.

Gdy Rendan chciał się odrobinę wysilić, umiał nawet najzacieklejsze bestie, takie jak Tan, nakłonić do skakania według swych rozkazów. Zanim Damen zdążył mrugnąć, lord miał przed sobą pół tuzina ludzi na nogach, drżących w swych połatanych, zdartych butach. Zanim chłopiec połapał się, co lord zamierza, wszyscy mężczyźni byli już za drzwiami, na mrozie, w ciemności nocy.

Wtedy Rendan wrócił do spiżarni z innym kagankiem i postawił go na brudnej podłodze. Ku absolutnemu zdziwieniu Damena owinął jeńca własnym płaszczem i wlał swój cenny winiak do jego gardła.

— Zostań przy nim, chłopcze — rozkazał, kładąc mężczyznę z powrotem na podłodze. — Pilnuj, żeby oddychał. Bo jeśli nie dotrzyma do przyjścia uzdrowiciela. . . Pan Ciemności będzie bardzo niezadowolony.

Damen zaczął się trząść, przykucnął u boku mężczyzny, układając na nim wszystko, co tylko mogło się nadawać na okrycie. Pamiętał, co się stało z młodszym bratem lorda Rendana, gdy poprzednim razem Pan Ciemności był niezadowolony.

Przy dobrym wietrze dało się czasem słyszeć jego krzyk. Pan Ciemności postanowił wskrzesić legendę o półbogiu, któremu wyłupiono oczy i którego ciało w dzień stawało się pokarmem dla ptaków, a w nocy odrastało. . .

Po czymś takim nawet Tan nie zjadł swego placka. Za to padlinożerne ptaki nabierały tuszy i powodziło im się lepiej niż kiedykolwiek wcześniej.

O nie, Damen nie chciałby, aby Pan Ciemności był niezadowolony. Za nic w świecie.

Starzec Brodie, pochyliwszy się, przebiegł dłonią po kiereszowanej przedniej nodze żrebaka. Pozwolił swym uzdrowicielskim zmysłom promieniować — ostrożnie — na okolicę złamania, tuż poniżej napiąstka.

I uwolnił przepływ energii.

Po kilku chwilach sprawdził, czy następuje poprawa. „Twardzizna na kości po zrośnięciu. A pod nią. . . hm. . . ładnie się wiąże. Koniec biegania po strumykach, mój mały. Założę się, że tym razem dostałeś dobrą nauczkę.”

Wycofał się najostrożniej, jak tylko pozwalała mu na to jego niezdarność. Koń otrząsnął się i zagryzł wędzidło, czując niewytłumaczalne klucie w nodze, potem odsunął się od staruszka i uspokoił. „Ach. . . nie spiesz się tak.” Odkąd zawiódł jako uzdrowiciel, każdego dnia żałował swojej niedokładności w pracy — tego, że tyle trudności przysparza mu doprowadzenie każdego zabiegu do końca, że nigdy nie robi tego w czystym stylu.

I nigdy nie umie uniknąć zadawania pacjentowi bólu równego temu, który miał wyleczyć — bólu, który stawał się wówczas także jego udziałem; bólu, któ-

regu po kilku latach nie mógł już znieść. Jego nauczyciele mawiali, że sam jest swoim najgorszym wrogiem, że jego własny strach przed bólem pogarszał wszystko, i to czyniło go niezdarnym. Był skłonny to przyznać; ale wiedzieć, w czym tkwi problem, i zaradzić temu — to były dwie różne sprawy.

I to też przynosiło ból.

Dlatego w końcu poddał się. Zwrócił swą Zielen, ruszył na północ, i szedł, aż do końca drogi. Tutaj, gdzie nikt nie wiedział o jego porażce i hańbie, zasłynął jako uzdrowiciel zwierząt, popisując się stosowaniem okładów oraz najróżniejszych lekarstw, środków przeczyszczających i nasennych, aby tylko zamaskować fakt, że w rzeczywistości używa swego daru. Najbardziej bał się tego, że pewnego dnia ktoś odkryje jego oszustwo i ujawni, kim był w przeszłości.

Podniósł się, przeklinając swe obolałe plecy. Żreback zaś, z właściwą dla zwierząt gotowością do przebaczenia, przysunął się do niego i jał skubać jego rękaw. Oddech Brodiego zamieniał się w parę, oświetlany nikłym blaskiem pękniętej lampki, zwisającej z belki nad jego głową. Był rad, że gospodarz przyniósł żrebaka do stodoły — praca nad złamaniem na klęczkach, na śniegu, byłaby piekielnie trudna.

— To mu wystarczy, Geofie — rzekł Brodie, przewieszając sobie przez ramię torbę z zapłatą — tłustą, wędzoną szynką. Chłop skinął zdawkowo, dokładając starań, by zamaskować ulgę, że nie będzie musiał zabić cennego zwierzęcia. — Do wyścigów się nie nada i na twoim miejscu przez zimę trzymałbym go w stodole, ale wiosną będzie ciągnął pług jak jego matka. Poza tym mniej sprawna przednia noga nie może zaszkodzić ogierowi.

Żreback głośno wachał słomę pod kopytami.

— Dzięki, Brodie — powiedział Geof Larimar, nie siląc się na zachowanie pozorów spokoju. — Jak go znalazłem z tą nogą, to pomyślałem sobie, że przecież jego matka ma już ponad dwudziestkę i co ja zrobię na wiosnę, jak ona mnie zawiedzie. Doceniam to, że przyszedłeś w środku nocy.

— A ja doceniam tę szynkę... — odparł Brodie, drapiąc żrebaka za uszami. — I wolę, żebyś mnie wzywał, gdy urazy są świeże. Wtedy łatwiej je leczyć.

— A jednak mógłbym przysiąc, że ta noga była złamana — nieubłaganie ciągnął Geof. Brodiemu zrobiło się zimno. — W ogóle nie mógł na niej stanąć...

— Jak człowieka wywloką z łóżka w środku nocy, a do tego jeszcze to słabe światło, nietrudno o pomyłkę — przerwał mu Brodie. — O, tutaj... Czujesz opuchliznę? — naprowadził rękę gospodarza na miejsce, w którym właśnie przeprowadził uzdrawiający zabieg — nadal opuchnięte i gorące od silnego przepływu krwi, wymuszonego przez uzdrowiciela. — Przemieszczenie, bez porównania łatwiejsze do ustawienia od razu, niż wtedy gdyby zeszywniało przez noc.

— Ach tak — rzekł chłop, mądrze kiwając głową. — To dlatego nie mógł się na niej oprzeć.

— Ano właśnie, — Brodie odetchnął, po raz kolejny udało mu się kogoś wy-

prowadzić w pole. Ziewnął potężnie. — Cóż, lepiej ruszę już w drogę. Przydałoby się jeszcze trochę snu.

Geof wskazał mu wyjście i odprowadził go do bramy. Stamtąd Brodie poszedł wąską ścieżynką przez koryto strumyka do swej samotnej chaty.

„Ale nie dość samotnej — myślał sobie. — Temu psu, Panu Ciemności, udało się mnie znaleźć. . .”

Nie był w stanie utrzymać swych sekretów w tajemnicy przed wszystkimi. Trzy lata temu pewien przystojny młody mężczyzna zapukał do jego drzwi i zaczął opowiadać mu z rozbawionym wyrazem twarzy o tym, co Brodie chciał ukryć przed innymi. Potem oznajmił, że wszystko to rozpowie — chyba że Brodie zgodzi się „raz na jakiś czas wyświadczyć mu przysługę”.

Owe „przysługi” okazały się polegać na uzdrawianiu nie kończącej się rzeki zbójów i bandytów, napływających do niego nocami i okazujących znak Pana Ciemności. Przychodzili z typowymi obrażeniami odniesionymi w walce. Brodie nie zadawał żadnych pytań, oni zaś nigdy nic nie mówili. Lecz po pierwszych dwóch wypadkach, kiedy stało się jasne, że pacjenci owi wcale nie są lepsi od zwykłych rabusiów, a często gorsi, Brodie zaczął czerpać jakąś niezdrową satysfakcję ze swych niedostatków umiejętności przy ich leczeniu. Wydawało mu się to jak najbardziej prawidłowe, żeby te rzezimieszki w trakcie uzdrawiania cierpiały dwakroć ciężiej aniżeli wtedy, gdyby powracali do zdrowia naturalnym trybem.

Brodie cieszył się nawet, że jest środek zimy. W najmroźniejszych miesiącach rzadko nawiedzało go więcej niż dwóch lub trzech. . .

Spojrzał w górę — pierwsza kwadra księżycy, a niebo czyste jak kryształ, O brzasku robi się znacznie zimniej.

Wspiął się po stromym, śliskim brzegu strumyka i wszedł na ścieżkę wiodącą do jego chaty.

Nagle struchlał na dźwięk głosu.

— W samą porę, ty stary psie — warknął cień, który oddzieliwszy się od pnia drzewa, nieubłaganie szedł ku niemu. — Czas na kolejną spłatę dzierzawy. Pan cię potrzebuje.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

— Na Kernosa, coście z nim zrobili? — wyjąkał Brodie, pobladły i roztrzęsiony z wściekłości. Składanie do kupy tych łotrów było okropne, ale zostać wezwanym do ratowania ich pół żywej ofiary, przypuszczalnie po to tylko, by znów mogli obejść się z nim tak samo — tego Brodie nie był skłonny znieść bez słowa.

Mężczyzna był w stanie śpiączki, ledwie żywy. Został zgwałcony i pobity do nieprzytomności. Krótkie badanie upewniło Brodiego, że krwawi wewnątrz w tuzinie miejsc i tylko stalowa wytrzymałość, której zaprzeczała jego delikatna powierzchowność, ocaliła go przed śmiercią.

Tak zwany „lord” Rendan wzruszył ramionami.

— To nie twoja sprawa, uzdrowicielu — odburknął. — Pan Ciemności chce tego człowieka, chce go żywego i zdolnego do gadania. Uzdrów go, nic więcej nie musisz wiedzieć. I lepiej się przyłóż do roboty, bo inaczej. . .

Rendan uśmiechnął się chytrze, ukazując rząd zębów zgniłych jak jego dusza, a jego daleka od delikatności pogróżka zmroziła serce Brodiego. Tu nie chodziło o ryzyko zdemaskowania przeszłości, teraz jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie.

Lecz gdyby okazał strach. . . Praca ze zwierzętami nauczyła go, że zdradzanie się ze swym strachem wzmaga prawdopodobieństwo, że napastnik zaatakuje.

— Wynoście się stąd i pozwólcie zabrać się do roboty w spokoju — huknął w nadziei, że migotliwe światło jedynej świecy, jaką przyniósł ze sobą do spiżarni Rendana, ukryje drżenie jego dłoni, — Wy, zwierzęta! Gorzej niż zwierzęta, nawet wściekła świnia nie zrobiłaby czegoś takiego! No, dalej, zabierajcie się stąd, zobaczę, czy da się coś zrobić. I zostawcie tu tę przeklętą świecę! Myślicie, że jestem sową? I przysłać mi tu chłopaka — mogę go potrzebować. On się do niczego nie nadaje, ale reszta waszej zgrai jest o wiele gorsza.

Rendan stracił swój chytry uśmieszek. Spotkał się z lekceważeniem tam, gdzie się go wcale nie spodziewał, z żadaniami tam, gdzie oczekiwał posłuszeństwa, więc odsunął się z niechęcią, pozostawiając Brodiego sam na sam z jego beznadziejnym zadaniem.

„O, bogowie światła” — Brodie nie potrzebował nawet dotykać chorego, by stwierdzić, że dla niego lepiej jest być nieprzytomnym. Każdy nerw jego ciała pa-

lił ból. Zachowując ostrożność, Brodie zdjął z mężczyzny stertę okrywających go szmat. Był aż nadto świadom tego, że każdy najdrobniejszy ruch może zamienić to, co dotąd było męczarnią, w istną torturę dla nich obu.

Mężczyzna zrobił na nim dziwne wrażenie: miał włosy mocno przyprószone srebrem, niczym staruszek, a przecież był dużo młodszy; pod sińcami zaś kryła się twarz, która niejedną dziewczycę przyprawiłaby o omdlenie. Skupiwszy się na ubraniu nieprzytomnego, Brodie ściągnął brwi, usiłując sobie przypomnieć, gdzie słyszał o białych szatach, takich jak te, które miał na sobie ten człowiek.

„Ktoś z Valdemaru, hm? Jakis żołnierz królewski? Harfiarz. . . Herold? Ale co żołnierz królewski z Valdemaru robi poza granicami swego kraju?”

Cóż, to nie miało większego znaczenia. Ciężki oddech tego człowieka powiedział Brodiemu, że jeśli czym prędzej czegoś nie zrobi, ten oto żołnierz królewski będzie musiał odbywać swą służbę wachając kwiatki od spodu.

„W porządku, nieboraku — pomyślał Brodie, zbierając odwagę jak przed skokiem na głęboką wodę. — Zobaczmy, jak to z tobą jest naprawdę. . .”

Stefen czuł pieczenie w gardle i miał zapuchnięte oczy. Kiedy wreszcie udało mu się odzyskać panowanie nad sobą, potarł powieki wierzchem dłoni i ostrożnie zwolnił oddech.

„Och, na bogów, panuj nad sobą. Przyjrzyj się faktom, Stef — Van zniknął. To nikomu nie wyjdzie na dobre. Nie umarł, bo inaczej zostałoby ciało. Poza tym wiedziałbym o tym, gdyby umarł. To znaczy, że go dokąś zabrali. Zostawili ślady, po których nawet ja będę mógł pójść, co oznacza, że dokądkolwiek go wzięli, mogę go znaleźć. A jeśli mogę go znaleźć, to może uda mi się też go uwolnić.”

Równomiernie wciągał głębokie hausty powietrza tak zimnego, że aż rozboleły go płuca. Patrzył w ciemne, rozgwieżdżone niebo. Gdy wyplakiwał się do nieprzytomności, zapadła noc; na niebie wisiał sierp księżycy, dzięki czemu Stef bez trudu mógł odnaleźć ślady pozostawione przez zbójów. Jak na pierwszą kwadrę, księżyc świecił zadziwiająco jasno, tak jasno, że Stef od razu spostrzegł jak z kikuta po odciętym ogonie Yfandes wypływają powoli krople krwi.

Na ten widok oddech zamarł mu w krtani. „Ona krwawi! Przecież zwłoki nigdy nie krwawią!”

„A skoro nie jest martwa, to dlaczego wygląda jak martwa?”

„Magia. . . Na pewno. Tylko dzięki magii dopadli Vanyela, tak jak Savil i innych. Przecież nie widziałem nic, co działałoby jak magia. . .”

„No cóż, to znaczy, że prawdopodobnie była to jakaś magiczna broń, coś, czym umiałyby się posłużyć każdy głupek. Pewnie nadal tu jest.”

Z tą myślą, zaczął skrupulatnie badać ciało Yfandes, centymetr po centymetrze, szukając czegoś... czegokolwiek, co mogłoby uchodzić za broń. Nie wiedział za bardzo, co by to mogło być. Towarzyszyło mu tylko niejasne przeczucie, że było to coś na podobieństwo tamtego magicznego sztyletu — raz sztuczka się sprawdziła, a ludzie mają tendencję do powtarzania się... Być może to taki sam nożyk albo jakaś strzała.

Niespełna miarkę świecy później znalazł wreszcie to, czego szukał: w szyi Yfandes, pod grzywą, tkwiła malutka strzałka, niewiele dłuższa od pierwszego członu jego palca wskazującego. Gdy jej dotknął, poczuł łaskotanie, takie jakie nauczył się kojarzyć z działaniem magii. A może to nie było wcale to, co myślał...

Uchwycił strzałkę z największą ostrożnością, na jaką tylko potrafił się zdobyć, i pociągnął, modląc się, aby udało mu się usunąć całą.

Yfandes wzięła potężny, przyprawiający o dreszcz, oddech. Potem kolejny.

Nagle Stefena odrzuciło w tył, na zaspę poplamionego krwią śniegu — Yfandes poderwała się, z wyszczerzonymi zębami zakręciła na tylnych nogach i jęła wywracać oczami w poszukiwaniu celu ataku.

Ich oczy spotkały się.

Brodie nie zważał ani na przenikający go ból, ani na głośny oddech dziecka u jego boku. Wiedziony wściekłością, narastającą w nim wraz z odkryciem każdej kolejnej rany na ciele jeńca, uzmysłowił sobie, iż oto robi rzeczy, których myślał, że robić nie potrafi.

Jego pacjent miał w sobie namiastkę daru uzdrawiania oraz nieograniczone zapasy energii, i to z pewnością trzymało go przy życiu przez cały ten czas.

Odczucie niebiesko-zielonej mocy uzdrawiającej było łatwe do rozpoznania i przemknąwszy przez najniższy poziom osłon nieprzytomnego mężczyzny, dotarłszy do jego ran, Brodie podchodził do nich z wielką ostrożnością. I całe szczęście, że tak właśnie postępował...

„Wielkie nieba.” Gdziekolwiek dotknął, tam odnajdywał magię uzdrawiającą — słabą, ale wszechstronną. Mocna sieć stworzona przez dar uzdrawiania utrzymywała każdą poważną ranę w stanie równowagi, tamując najcięższe krwotoki i łagodząc opuchliznę. Brodie musiał wpleść się w tę sieć, zachowując wielką ostrożność i zastąpić jej energię swoją. Skoro tylko udało mu się to zrobić, spostrzegł, że ma dostęp do zatrwającej mocy — tak olbrzymiej, że aż zdjęła go groza.

„On nie jest uzdrowicielem i nie przypuszczam, żeby był magiem poniżej klasy bieglego... Ale skąd, na bogów, wziął taki zapas mocy? Kim on jest? Dlaczego Pan Ciemności chce go mieć?

Coś nieznacznie zakłócało przepływ energii Brodiego i nie pozwalało jego pa-

cjentowi załagodzić obrażeń w skuteczny sposób. Brodie musiał zobaczyć, co tak działa — gdy w końcu złapał oddech, mógł bez pośpiechu przyjrzeć się wielkiemu zadaniu ratowania zdrowia, jakie miał przed sobą.

Kiedy zaczął sondować zdolności pacjenta, pod skorupą zewnętrznej blokady odkrył coś, co według jego podejrzeń mogło być darem magii. Ale blokada izolowała tak szczelnie, że aż do tego momentu, uzdrowiciel w ogóle nie brał pod uwagę możliwości, że ten człowiek może być magiem. Ów dar magii jednak wiązał się w integralną całość ze wszystkimi innymi darami w dość niezwykły sposób, tak że wszelka ingerencja w jego życie osłabiała lub udaremniała działanie pozostałych zdolności.

Brodie uśmiechnął się i jał kontemplować zewnętrzną formę blokady zakłącia. Od wewnątrz była idealnie gładka, perfekcyjnie zbudowana, bez najmniejszego pęknięcia czy szczeliny, którą usidlony mag mógłby wykorzystać do wyrwania się z pułapki.

Ale z zewnątrz — to zupełnie inna historia. Wierzch blokady był zryty, splekany i pełen słabych punktów. Brodie nie miał żadnych wątpliwości, że nawet prosty uzdrowiciel, jak on sam, może znaleźć jakiś sposób, by przełamać tę barierę. W końcu, skoro uzdrowiciel mógł przeniknąć przez osłony innego człowieka, aby go leczyć, to powinien też móc wdrzeć się za blokadę z zakłącia, pod warunkiem że znajdzie coś, na co będzie mógł podziałać własną mocą. Zobaczyć, co jest nie w porządku to połowa wygranej — tak przynajmniej zwykli mawiać nauczyciele Brodiego. „Jeśli coś widzisz, możesz na to podziałać...” — taka była zasada.

Brodie nigdy nie słyszał, aby jakiś uzdrowiciel unieszkodliwił zakłącie, lecz po tych wszystkich rzeczach, które zrobił dotąd — chociaż przysięgłby, że nie potrafi ich zrobić — nabrał chęci do zmierzenia się i z tym zadaniem.

Prawdopodobnie zakłącie było odpowiedzialne za katatoniczny stan jego pacjenta — i nikt nie zabronił Brodiemu ingerowania w jego działanie. W istocie Rendan kazał mu zrobić „wszystko, co będzie trzeba”. Pozwolono mu przecież — nawet jeśli nikt nie powiedział tego wprost — zrobić wszystko, co będzie chciał.

Znów się uśmiechnął, ujrzawszy naraz w zasięgu ręki idealny sposób odegrania się za wszystko, co spotkało go od Rendana i Pana Ciemności. Przecież gdy tylko ten człowiek przyjdzie do siebie i zobaczy, że nic go nie krępuje...

— Nie mogę go uzdrowić bez rozłupania tej bariery — powiedział do chłopca, na wypadek, gdyby dziecko miało okazać się szpiegiem swego pana. Delektował się wypowiedzianymi przez siebie słowami. — Na litość boską, doprawdy nie rozumiem, do czego miałyoby to służyć, ale jest pewne, że przeszkadza mi w pracy!

Chłopiec podrapał się po głowie i zabił muchę spacerującą mu po czole. Wreszcie wlepił obojętne spojrzenie w ścianę za plecami Brodiego. Brodie uśmiechnął się ponownie. „Ten dzieciak nie ma więcej oleju w głowie, niż sądziłem. Nikt mi nie przeszkodzi.”

Z tą myślą przystąpił do badania sieci zakłęcia, skrupulatnie przyglądając się każdemu uderzeniu pulsującej energii. Po chwili — znacznie wcześniej, niż się spodziewał — znalazł wrażliwy punkt.

Zakłęcie odpowiedzialne było za fizyczny stan mężczyzny, odbierając mu zmysł równowagi i wprowadzając zamęt w inne zmysły, tak że słuch i wzrok mieszały się z sobą, stając się niemożliwe do odróżnienia. Człowiek ten na przykład widział mowę poza tym, że ją słyszał, i słyszał kolor równocześnie widząc go.

Skoro zakłęcie działało na fizyczny stan pacjenta, uzdrowiciel mógł na nie podziałać własną mocą. Ponieważ zaś wszystkie aspekty zakłęcia tworzyły integralną całość, wystarczyło odkryć jeden słaby punkt, aby zdeintegrować i rozsadzić od środka całą blokadę.

Brodie zaśmiał się głośno, uformował swój strumień mocy w jasnozielone ostrze sztyletu i przystąpił do pracy, wcinając się w zakłęcie.

Stef struchlał. Oczy Yfandes zajarzyły się głęboką, wściekłą czerwienią, rzucającą bladą, czerwonawą poświatę na białą skórę wokół nich. Stef nigdy nie widział, ani nawet nie słyszał, o niczym podobnym. Domyślił się, że to odbicie wściekłości, i nie był do końca przekonany, czy Yfandes go rozpoznaje. Widział już, co potrafiły te kopyta...

Gdzie on jest? — huknął nagle kobiecy głos, zdający się dochodzić zewsząd i znikąd.

Stef nie mógł się powstrzymać. Głośno złapał oddech i dzikim wzrokiem powiódł dookoła siebie, zastanawiając się, jak ktoś mógł go podejść, niezauważony.

To ja, bardzo. — Yfandes zbliżyła się do niego sztywnym krokiem i szturchnąwszy nosem jego ramię, przewróciła go na bok. — *Co się stało z Vanyelem? Pamiętam tylko, że trafiła mnie jakaś strzałka.*

Stef, porażony, wytrzeszczył oczy na Yfandes. „Ona pewnie mówi do mnie myśłomowy ale jak? Nie mam daru...”

— Nie mam pojęcia — powiedział na głos. — Uciekłem...

To wiem, chłopcze — skwitowała to parsknięciem, w myśli i fizycznie. — *Tak właśnie kazał ci zrobić Van, bądź więc łaskaw wysilić nieco swoją przekłętą pamięć i pożegnaj się z tymi wyrzutami sumienia. Mogę mówić, do kogo mi się podoba, to taka umiejętność, z której Towarzysze starają się raczej nie robić użytku. Jak długo się grzebałeś? Czy te dranie były tu jeszcze, czy już sobie poszły, gdy wróciłeś?*

— Ja... uch... Nie było ich — wyjąkał, dźwigając się z ziemi. — Ale nie starali się wcale zatrzeć śladów...

Wskazał na udeptany śnieg tuż obok niej. Yfandes odwróciła głowę, po czym spojrzała z powrotem na niego.

Ile minęło czasu? — zapytała.

— Słońce jeszcze nie zaszło... — przełknął ślinę i ciągnął odważnie dalej.
— Było późne popołudnie, gdy ciebie znalazłem. Myślałem, że nie żyjesz. Jakos tak...

Na błogostawiony zadek Tireny, byłeś w szoku, bardzo. Nigdy przedtem nie widziałeś walki, nigdy nie straciłeś ukochanego, więc wpadłeś w piekielną histerię. Pozbierałeś się, a to już o wiele więcej, niż bym się po tobie spodziewała. Jesteś gotów pójść ze mną i go ocalić?

Stefen skinął potakująco, niezdolny do wypowiedzenia słowa.

Więc zawiąż mój kikut po ogonie, żeby nie zostawiła śladów dla wilków i zabierajmy się do pracy, zgoda? — Uniosła głowę, jej oczy nie przestawały jarzyć się przedziwnym, karmazynowym światłem. — Nie wyczuwam Vana, co znaczy pewnie, że mieli coś więcej niż te strzałki i odcięli go ode mnie zaklęciem. Ale nie umarł. Wiedziabym, gdyby go zabili.

Stefen zbadał wszystkie, nieliczne zresztą, ślady po napadzie i znalazł rzemień przywiązany do trzonka złamanej siekiery. Z drzeniem serca zbliżył się do boku Yfandes, sztywno trzymając rzemień przed sobą.

Yfandes obróciła głowę w jego kierunku i znów parsknęła.

O słodka Pelias, bardzo, nie jestem koniem, nie kopnę cię! Streszczaj się!

W pośpiechu potykał się o grudy zlodowaciałego śniegu, próbując nie obciążać Yfandes zbyt dużym ciężarem. Poczł, jak jej mięśnie twardnieją, gdy napięła się, aby utrzymać go w pozycji stojącej, dopóki nie odzyska równowagi. Podwiązał broczący krwią kikut najmocniej, jak tylko potrafił. Poczł jej drzenie, lecz nie przerywał zabiegu, aż do momentu kiedy krwawienie ustało.

Yfandes wyciągnęła szyję i skręciła zad, aby zbadać jakość jego pracy, iż aprobatą pokiwała głową.

Smętnie. Bogowie, ależ to boli. Jechałeś kiedyś na oklep?

— Nie... — odparł.

Więc zaraz się nauczysz.

Vanyel przetrząsnął mroczny, osłonięty zakamarek swego umysłu, jedyne miejsce wolne od bólu, jedyne, które jeszcze należało do niego, i wściekłość zarzwała w nim z całą, rozpaloną do czerwoności furią wulkanu na moment przed erupcją. Co jakiś czas badał pętające go więzy, ale te nie ustępowały, zmuszając go do wycofania się. Pragnął zemsty, pragnął czuć, jak umierają tamci pod batem jego gniewu, tak jak umarł wtedy ów wytwór magii. Pragnął słyszeć, jak krzyczą z bólu i przerażenia; pragnął zniszczyć ich tak, że nie pozostałaby nawet garstka prochu, którą po wszystkim mógłby rozwiać podmuch lekkiej bryzy.

Ale był bezsilny. Zaklęcie mieszające mu zmysły było nazbyt mocne, by je złamać. Nawet kiedy uwolnili mu ręce i stopy, nie umiał skorzystać z tej swobody.

Ktokolwiek przysłał ten zaklęty proszek, znał umiejętności Vanyela i zintegrował blokadę na posługiwanie się magią z blokadą na umysł; nie pozostało nic, dzięki czemu herold mógłby wydostać się z kapsuły czaru.

Ktokolwiek? O nie, to była sprawka jego wroga. Nikt inny nie znał go tak dobrze, nie znał jego słabostek i jego potęgi. Vanyel zdradził się, gdy używał daru przenoszenia chcąc dopaść tamtego stwora, i w rezultacie wyjawiał swemu wrogowi, z kim naprawdę ma do czynienia.

Skłął się za to, że był na tyle głupi, aby wpakować się prosto w ręce przeciwnika. Jego złość rosła, aż w końcu stała się rozpaloną do białości wściekłością i żądzą zabijania.

Nagle jedna ze ścian, dotychczas stawiająca opór, rozplynęła się, otwierając przed nim wyjście, którego potrzebował. Rozerwał magiczne więzy i niczym rozjuszona bestia wydał z siebie potężny, dziki ryk, gotując całą broń ze swego arsenału i wodząc wzrokiem za celem.

Nieważne jakim.

Stef doszedł do wniosku, że wbrew jego oczekiwaniom jazda na oklep — przynajmniej na Yfandes — nie była aż tak trudna. Z księżycem czy bez księżycą, nawet w świetle dnia Melodia potykała się i gubiła krok, więc Stef nie miał bladego pojęcia, jak Yfandes odnajduje drogę w niemal zupełnych ciemnościach. Płynęła po nierównym podłożu niczym tropiący chart, z nosem przy ziemi, jemu pozostawiając rozglądanie się za ewentualnym nieprzyjacielem. Co jednak miałby z nim zrobić, gdyby go zobaczył, o tym Stefen nie miał zielonego pojęcia. . .

Gdy wydostali się z osłoniętego parowu, gdzie zastawiono na nich pułapkę, zobaczyli, że śnieg zdążył przyprószyć ślady, którymi podążali. Yfandes nie była tym wcale zmartwiona. Tylko raz rozejrzała się wokół siebie za tropem, kiedy wypadli na dużą łąkę, srebrzystą i wygładzoną księżycowym blaskiem, na której przenikliwy wiatr pędził tumany śniegu wijące się na kształt węży.

Yfandes ogarnęła spojrzeniem białą połąć i okrążyła ją, przebiegając wzdłuż jej krawędzi pod drzewami, aż do miejsca, gdzie znów mogła podjąć trop.

Stef czuł się całkiem bezużyteczny, jak bagaż przytroczony do jej grzbietu.

Gdy ich znajdziemy, nie będziesz bezużyteczny — spontanicznie odezwał się oschły głos w jego głowie. — Może nawet zaangażujesz się we wszystko bardziej, niż byś sobie tego życzył. A teraz będziesz tak łaskaw i zajmiesz swe myśli śniegiem?

— Co? — zdumiał się.

Rozsiewasz niepokój u każdego, kto zdolny jest czytać w myślach, a ten niepokój w znacznym stopniu skupia się na Vanyelu. Nie przypuszczam, aby mieli ze sobą prawdziwego maga czy kogokolwiek z darem magii, ale nie możemy ryzykować. Bądź więc łaskaw myśleć o śniegu. Albo skup się na tym, jak bardzo jesteś

przemarznięty. To myśli na tyle zwyczajne, że nie powinny nas zdradzić.

Stefen wtulił się głębiej w swój płaszcz i uczynił to, co mu kazano, popatrując na rzadkie chmury przepływające po tarczy księżyca. Przy każdym podmuchu, wkradającym się pod płaszcz otworem na ramię albo wędrującym w dół jego pleców, wstrząsał nim dreszcz. Ze wszystkich sił starał się koncentrować myśli na tym, jak nędznie się czuje i jak bardzo marzy o tym, by usiąść z Vanyelem przy buchającym ogniu i winie grzejącym się na palenisku. . .

„Do stu diabłów.”

Mieć wino grzejące się na palenisku i nie musieć wychodzić z domu. Albo wtulić się w ciepłą pierzynę. . .

Przerwał tę myśl, nim zdążyła się rozwinąć.

Albo stać w sali balowej zatłoczonej rozplywającymi się w uwielbieniu słuchaczami, z żołądkiem napełnionym wspaniałą kolacją i wykwintnym winem, z uszami pełnymi pochwał. . .

Udało mu się zatrzymać na tym obrazku przez dłuższą chwilę, dopóki wyjątkowo ostry podmuch nie wdarł się pod jego płaszcz, przysparzając mu dodatkowej porcji myśli o chłodzie i nędzy, w których mógł się na nowo zatopić.

Znów udało mu się rozżalić nad marnością swego położenia. Rozmyślanie nad własnym nieszczęściem znacznie ułatwiało mu upomnienie o Vanyelu i o tym, co napastnicy mogli teraz z nim wyprawiać.

Mimo to podróż wydawała mu się okrutnie długa.

Wkrótce będzie świtać — powiedziała Yfandes. — Ale to żadna niespodzianka. Trudno uwierzyć, żeby zastawili na nas pułapkę blisko swej warowni. Choć ślady są coraz świeższe i. . .

Stała nagle i zadarła głowę, łapiąc powiew wiatru. Tyłem czaszki uderzyła go w twarz tak, że cudem ocalały mu przednie zęby.

Wybacz. Jesteśmy już blisko. Czuję dym palonego drewna, rozgrzane kamienie, spalony udziec i tamtych. Zsiądź, podejźmy ich po cichu. Na pewno będzie tam jakaś straż na murach, a ja nie mam pojęcia, jak się jej pozbyć.

Stef pozwolił Yfandes prowadzić, ostrożnie unosząc stopy, aby tylko nie potknąć się o nic i nie upaść. Wreszcie Yfandes zatrzymała się pod osłoną krzaków.

Nieostrożność, lenistwo, albo głupota — stwierdziła, i Stef przez moment zastanawiał się, czy ma na myśli jego. — Dopuścili do tego, żeby te krzewy obrośły ich polanę — ciągnęła dalej głosem myśli przesyconym pogardą. — Możemy podejść do samego muru i nikt nas nie zauważy. O, jest. Stef, spójrz tam, tuż powyżej drzewi. Widzisz go?

Stef zbliżył się do zarośli i popatrzył — rzeczywiście, ktoś przechadzał się tam i z powrotem. Cień pośród cieni na szczycie muru, w którym nawet blade światło księżyca odkrywało poważne zaniedbanie. Zbudowana na planie kwadratu warownia w razie oblężenia nie wytrzymałaby nawet jednej miarki świecy.

Oto straż, innej nie ma. — Umilkła na moment. — *Z tego wniossek, że to jest prawdopodobnie jedyne wejście do budynku, a dla nas to niedobrze.*

— Mógłbym tam podejść, ot tak, po prostu — zaproponował Stef, — Jestem bardem, udawałbym wędrownego minstrela. . .

W środku zimy, na tym pustkowiu? Minstrele nie podróżują w zimie. Jak niby, do stu diabłów, się tu przywlokłeś i po co? Może są głupi, ale to raczej podejrzliwe psy.

— Och. . . mógłbym powiedzieć, że wyrzucono mnie z posady. . .

Yfandes parsknęła.

A widziałeś jakieś wielkie domy od trzeciego dnia przed przekroczeniem granicy?

— Moja gospoda, potem. . . żona karczmarza i ja. . .

Dlaczego akurat tutaj? To niezbyt obiecujące miejsce. To ruina.

— Jestem przemarznięty i głodny i nic innego mnie nie obchodzi, bo to pierwszy dom z ludźmi, jedzeniem i ogniem na mojej drodze. . .

Czekaj. — Yfandes zadarła głowę, spoglądając w górę, — *Coś się dzieje.*

Bez dalszego ostrzeżenia, w środku budowli zagrzmiał ogłuszający ryk i wszystko stanęło w czerwono-zielonych płomieniach.

Stef wrzasnął, zakrył oczy ramieniem i dopiero wtedy wyjrzał spod łokcia. W momencie, gdy zasłaniał oczy, cały front budynku rozprysł się; drzwi były w drzazgach, a prawa strona warowni runęła na zewnątrz. Dało się słyszeć krzyki, ale nie było śladu ognia i wtedy Stef pojął, że to, co widział, było eksplozją magicznej mocy.

Wsiadaj! — rozkazała Yfandes, więc wdrapał się na jej grzbiet. Tym razem nie czekała aż się usadowi; przesadziła krzaki z bardem przyklejonym do jej grzywy i rozpaczliwie usiłującym ścisnąć nogami jej brzuch.

Przebiegła pędem niewielki, nie zarośnięty skrawek ziemi pomiędzy krzewami a warownią i wbiegła do środka przez to, co pozostało z drzwi, zatrzymując się gwałtownie tuż za nimi. Stef zamrugał oczami palącymi od cuchnącego dymu, buchającego wprost na niego, i próbował połapać się w sytuacji. Tutaj, wewnątrz budowli, dostrzegł niewielkie płomienie. Paliły się meble, tliły sterty szmat. . .

Ludzie.

Ze zgrozą i uczuciem mdłości Stefen zdał sobie sprawę, że połowa tego, co wziął za palące się kupy łachmanów, w rzeczywistości była palącymi się ciałami, ogarniętymi tym samym krwistoczerwonym ogniem, którego Van użył do zniszczenia tamtego stwora podobnego do kruka. I niektóre z tych ciał szarpały się i wrzeszczały.

Stef zeskoczył z grzbietu Yfandes, gdy ta wykonywała właśnie obrót, tupiąc i kłapiąc zębami na człowieka biegnącego obok niej. Stef próbował wyłowić jakiś sens z tego zamętu i wciąż nie rozumiejąc, rozglądał się za Vanyelem.

Ogień buchnął jeszcze wyżej, a w jego tafli pojawiło się odbicie jednej sylwetki; aż do tej chwili czerwony blask płomieni ukrywał kolor jej poszarpanych szat — Biel heroldów. Szkarłatne, magiczne ognie obróciły włosy z białymi pasemkami, poprzetykanymi krwią, w kaskadę fantastycznego widma. Tuż obok, grupa przerażonych mężczyzn kucnęła pod najdalszą ścianą, kuląc się bojaźliwie. Niektórzy błagali o litość, inni sparaliżowani strachem, robili wszystko, by wtopić się w kamienną ścianę za swymi plecami.

— Vanyel! — wrzasnął Stef.

Herold odwrócił się na moment, ale jakiś ruch wykonany przez jednego z przypartych do muru ludzi zmusił go do skierowania się z powrotem w tamtą stronę. To był Vanyel, lecz nie ten, którego znał Stefan. Jego oczy, jak oczy Yfandes, i oko magii na jego szyi jarzyły się identycznym, wściekłym, czerwonym światłem. To nie były oczy człowieka przy zdrowych zmysłach. Jego ubranie było postrzępione i poplamione krwią, a twarz zdeformowana przez sińce. Ale to nie obrażenia sprawiały, że nie można go było poznać — to te rozpalone furia, obłąkane oczy, które nie miały w sobie nic ludzkiego.

Vanyel wykonał jakiś gest ręką, a jeden z mężczyzn dygoczących pod ścianą nagle poderwał się i potykając podszedł do niego. W tym czasie zapadła straszliwa cisza i choć ogień palił się dalej, ucichły krzyki. W tej ciszy płaczliwe błaganie o miłosierdzie dobiegające od kilku mężczyzn brzmiały okrutnie wyraźnie.

Vanyel wybuchnął śmiechem.

— A jakie miłosierdzie ty mi okazałeś, śmieciu? — odparł spokojnym głosem. — Zdaje mi się, że sobie ciebie przypominam. To ty dogodziłeś sobie na mnie pierwszy i ostatni. „Malutka, biała klaczka”, tak chyba mnie nazwałeś. — Jeszcze raz wykonał ten sam gest, a zbój pochylił się niczym niezdarnie prowadzona marionetka i podniósł coś z podłogi.

Było to rozłupane drzewce włóczni, sfatygowane, ale ostre, jak gdyby było z metalu. Ręka zbira podskoczyła ponownie i spiczasty koniec drzewca już był przytknięty do jego brzucha.

Oczy rozszerzyły mu się, usta otworzyły, ale nie wydały żadnego głosu. Rozległ się dźwięk, jak gdyby coś zostało przebite, i gdy czubek drzewca przechodził przez jego ubranie, Stefan uzmysłowił sobie ze zgrozą, że to Vanyel magią płynącą z umysłu zmusza bandytę do rozplątania sobie brzucha.

— Nie! — wrzasnął. — Van, nie!

Rzucił się pomiędzy nich i unosząc ręce w błagalnym geście, stanął twarzą w twarz z przerażającą maską obłędu.

— Van, jesteś heroldem, obojętnie, co ci zrobili, nie możesz odpłacać im tym samym!

Czerwony żar w oczach Vanyela przygasł na moment, ale po chwili jego szczęki zacisnęły się i jakby niewidzialna ręka odsunęła Stefena na bok. Bard zachwiał się i upadł na brudną podłogę, ale w mgnieniu oka był z powrotem na nogach, tuż

przy heroldzie i jego ofierze. Zbój przewrócił się na plecy, wijąc się, aż w końcu zeszywniał, gdy Vanyel postąpił naprzód.

— Van. . . Van, nie! Jeśli to zrobisz, będziesz tak samo zły jako on. Nie pozwól mu! Nie pozwól mu uczynić ciebie jednym z nich!

Vanyel znieruchomiał z wciąż rozpostartymi rękami.

Wściekły, czerwony żar zniknął, najpierw z jego oczu, potem z wisiora na jego piersi. Zamrugął powiekami i wróciła mu przytomność.

Ogarnął wzrokiem owoce rozpetanej przez siebie rzezi i jego twarz wykrzywił skurcz — wyglądał, jak gdyby zbierało mu się na torsje. Wtem jego wzrok pobiegł ku dwóm ciałom leżącym pod drzwiami do spiżarni i tam zawisł. Jedno z nich należało do staruszka z sakiewką, jaką zwykli byli nosić zielarze-uzdrowiciele; jej zawartość rozsypała się na podłodze obok niego. Drugie ciało było zbyt małe, aby należało do osoby dorosłej — to musiało być dziecko.

Sylwetka Vanyela zdradziła go — stał wyprężony, na lekko ugiętych nogach.

„Zaraz da drapaką” — uzmysłowił sobie Stef, zastanawiając się, czy zdoła złapać herolda, nim ten zerwie się i ucieknie.

Nie, nie robi tego — odparła stanowczo Yfandes, po czym ustawiła się między Vanyelem a drzwiami.

Coś. . . pękło. I nagle Stef poczuł, co czuje Van — absolutną odrazę do morderstw, całej tej masakry, która była jego dziełem. Rozpacz na myśl, że zabił co najmniej jedną niewinną osobę; dwie, jeśli do tej kategorii zaliczyć chłopca. Czuł, że zasłużył na pogardę. Gorzej. . . nienawiść. Szalał. . .

A pod nienawiścią do samego siebie czaił się strach, że oboje, Yfandes i Stef, wyrzekną się go za to, co zrobił, i wymażą go ze swego życia i serc.

— Nie. . . Van. . . — Stef podszedł ostrożnie, powoli, obok niego Yfandes manewrowała tak, by odciąć Vanyelowi drogę ucieczki. — Posłuchaj, to nie twoja wina. Cierpiełeś, pomieszało ci się w głowie, nie umiałeś myśleć o niczym innym tylko o tym, jak im odpłacić za swoje krzywdy. Każdy z nas ma w sobie coś takiego. Nie jesteś bogiem wolnym od pomyłek! Zwyczajnie straciłeś panowanie nad sobą. Gdybym ja był na twoim miejscu, pewnie zrobiłbym coś o wiele gorszego niż ty. . .

Yfandes zmusiła herolda do przesunięcia się tak, aby Stef mógł wziąć go w ramiona. I tak Stef zrobił, nie zwlekając, aż Van zrobi unik przed tym uściskiem. Herold drżał na całym ciele, niczym przerażone zwierzątko.

Mamy kłopoty, bardzie — rzekła ponuro Yfandes. — *Szkody są o wiele większe, niż przypuszczaliśmy.* — I własnymi siłami dała Stefanowi króciutki wgląd w wycinek tego, co zrobiono z Vanyelem — to uczyniło jego słowa o „dogadaniu sobie” i „małej, białej klaczce” zrozumiałymi. Stefan stracił oddech. . . a potem musiał włożyć dużo wysiłku w odzyskanie go.

Bandydzi zdali się uznać, że Vanyel nie stanowi już żadnego zagrożenia i zaczęli przemykać się koło nich, by zniknąć w bladym, szarym świetle poza murami.

Stefen zignorował ich. Nie obchodzili go, liczył się tylko Van.

Podtrzymał Vanyela, tak by nie ograniczać jego ruchów, i postarał się przesłać swą miłość drogą łączącej ich więzi. Ostatni ze zbójów, ten który nieomal nadział się na włócznię na rozkaz Vanyela, przeczołgał się do wyjścia, pozostawiając za sobą smugę rozmazanej krwi. Dotarłszy do zdruzgotanych drzwi, dźwignął się na równe nogi i wytoczył, ginąc za zwałiskiem kamiennych bloków. „Nie sądzę, żeby przeżył — przyszło na myśl Stefanowi. — I nie mogę powiedzieć, żeby mnie to specjalnie martwiło.”

Szare światło wypełniło jamę zdemolowanej sali, magiczne ognie wygasły, pozostawiając smugi czarnego popiołu tam, gdzie wcześniej leżały palące się ciała. Vanyel stał drżący i spięty w ramionach Stefena, gdy tymczasem ponad mury twierdzy wzniosło się słońce. Wreszcie, kiedy promień słońca musnął jego zakrwawione, splątane włosy, osunął się w objęcia Stefena.

„Tak — pomyślał Stefan. — Wygraliśmy pierwszą rundę. . .”

Ale nie ostatnią — dorzuciła Yfandes z gniewem. - *Złamali go.*

„Więc naszą rzeczą jest poskładać go.”

— No, dalej, Vanyelu-*ashke* — powiedział łagodnie. — Chodźmy. Znajdziemy ci jakieś ciepłutkie i bezpieczne gniazdko.

Stef odnalazł uprzęż i widząc, jak ją splątano, stężał ze złości. Gdy udało mu się ją rozplatać, osiodłał i nałożył uzdę Yfandes, a ta przykleknęła i Vanyel praktycznie wpadł na siodło.

Poprosiłabym, żebyś go przywiązał — powiedziała podniósłszy się — *ale. . .*

— Mam niezły pomysł — odparł Stef, żałując że udało się umknąć zbójowi, którego Van niemal przebił drzewcem włóczni. — Daleko mi do niewiniątka, za jakie wciąż uważa mnie Van. Gdyby poczuł, że coś krępuje mu ruchy, przypominałaby mu się poprzednia noc.

Vanyel zapadł w półodrętwienie. To przez ten szok, przypuszczał Stef. W tej chwili ostatnią rzeczą, której sobie życzył, było zbudzenie go.

— Mogę iść obok i podtrzymywać go w siodle, jeśli nie będziesz się zbyt spieszyc — powiedział do Towarzysza.

Świetnie. Dziękuję ci. — Yfandes odsunęła się o kilka kroków. — *Co ty na to?*

— Wystarczy. — Jedną rękę trzymał na krzyżu Vanyela, uchwyciwszy jego pas od miecza, a drugą ścisnął przedni łęk siodła. Gdyby Stefan się potknął, nie upadnie i nie pociągnie za sobą Vanyela. — Dokąd idziemy? — zapytał, gdy Yfandes wyprowadziła go z rumowiska sieni na słońce. Stąd rozchodziło się kilka tropów odcisniętych na śniegu śladów stóp i Yfandes rozglądała się przez moment.

Dokądkolwiek, byle nie tam, gdzie prowadzą te ślady — odrzekła wreszcie. — *Poza tym, naprawdę nie mam pojęcia. . .*

A może, biała siostrzyczko — odezwał się nieznajomy, okrutnie oschły głos — powinnaś obrać kierunek przed wyruszeniem w drogę.

Krzaki rosnące wprost przed nimi zaszeleściły i wyłoniło się z nich coś wielkiego — bardzo wielkiego.

Może mógłbym w czymś pomóc — mówił dalej ten sam głos.

Stef po omacku, z oczami wbitymi w stworzenie, zaczął szukać noża. Serce skoczyło mu do gardła. Ta bestia — cokolwiek była — przypominała wilka, ale była o wiele większa od wilków, o których słyszał, czy które widział. Szyja wysokością dorównywała jego tułowi, ciało miał chude, smukłe, długonogie, poza tym wyjątkowo szerokie czoło, oczy osadzone z przodu czaszki, i szczęki. . .

„Na bogów, to coś mogłoby mi odgryźć pół ręki i nawet bym się nie połapał. . .”

Mógłbym, pieśniarzu, ale nie zrobię tego. — Stwór wywiesił jęzor, uśmiechając się po psiemu. — Widzę, że rozpoznajesz moich braci, biała siostro. Powiedz mu.

To kyree, Stef. Bezpłciowy, jak sądzę. — Yfandes ukloniła się stworzeniu, a Stef ochłonął troszkę. — Ma niezwykle silny dar myślowy, bo inaczej byś go nie słyszał. . .

Rzeczywiście, zgadza się co do joty. — Kyree podeszło do nich z wdziękiem. — Jestem zwiadowcą klanu z Gorących źródeł. Poczuję magię, więc przybyłem. Mamy podobną moc, biała siostro, a ty znasz takich jak ja. Mogę wskazać wam drogę?

Znasz Tayledras? — spytała Yfandes. Kyree skinął potakująco. — Mamy z nimi umowę, wszystkie klany bractwa.

Ten tutaj to Skrzydlaty Brat k'Trevów. — Podrzuciwszy głowę, wskazała na swego jeźdźca.

Kyree uniósł łeb, przenikając Vanyela wzrokiem.

A zatem honor nakazuje nam wskazać wam więcej aniżeli tylko drogę, musimy dać wam pomoc i schronienie. I chociaż na własną rękę — dorzucił przez ramię — i tak bym to zrobił. — Jego górna warga uniosła się, gdy głośno wypuścił powietrze. — Ci tutaj to byli źli, parszywi ludzie i świata lepiej bez nich. Z czasem mogli zagrozić mojemu klanowi.

Yfandes podążyła za kyree do linii drzew, gdzie stworzenie skręciło na północ.

Ja jestem Yfandes, to jest Stefen, a mój Wybrany to Vanyel — powiedziała oficjalnym tonem.

Kyree obejrzał się przez ramię.

Ja jestem Aroon — przedstawił się również oficjalnie. — Ten, którego nazywasz swym Wybranym, ma głęboką ranę w umyśle.

Stef poczuł, jak mięśnie na barkach Yfandes rozprężają się lekko.

Rzeczywiście. Macie w swoim klanie uzdrowiciela umysłów?

Obawiam się, że nie — z żalem odparł Aroon. — *Niemniej talenty twego śpiewaka i twoje, w połączeniu z bezpieczeństwem naszych jaskiń, mogą okazać się wystarczające. Nie spisuj na straty ptaka, który jeszcze nie odleciał.*

— Chyba powinieneś wiedzieć, panie — rzekł Stef nieśmiało — że ludzie, którzy tu mieszkali, służyli komuś, kto jest naszym wrogiem. On zabił mnóstwo ludzi, jest bardzo potężnym magiem.

Klasy biegłego — podchwyciła Yfandes.

— Bardzo wątpię, aby ucieszył go taki obrót spraw. Nie zawaha się was zgładzić, jeśli ofiarujecie nam schronienie i opiekę. — Stef wziął głęboki oddech, obawiając się, że to może skłonić stworzenie do zmiany decyzji, ale mimo to był zadowolony, że powiedział *kyree* o tym zagrożeniu.

Oschły głos znacznie się ocieplił.

Często posądzano nas o izolacjonizm — odparł Aroon. — *I jest w tym szczypta prawdy. Ale jeśli ten, o którym mówisz, miałby rzeczywiście zabić kogoś wiedząc, że nie przyniesie mu to żadnej korzyści, tylko po to, aby się na was zemścić, w takim razie jest także naszym wrogiem, a wy zasługujecie na naszą ochronę. I jak powiedzą ci biegli z Tayledras i biała siostra, to nie jest drobnostka, zwłaszcza dla klanu ze Skrzydlatym.*

Yfandes westchnęła ciężko.

Więc macie szamana?

Owszem — zachichotał *kyree*. — *Dorównuje waszym biegłym. A wątpię, żeby ten wasz wróg kiedykolwiek miał do czynienia z magią Bractwa. Gdyby udało mu się znaleźć was tutaj, byłbym bardzo zaskoczony. A zatem... opowiedzcie mi wszystko, co o nim wiecie. Ostrzeżony zawczasu to uzbrojony zawczasu.*

Yfandes, nim odpowiedziała, dotknęła nosem nogi Vanyela.

Nazywają go Panem Ciemności...

O zachodzie słońca przekraczali wąskie wejście na teren kompleksu jaskiń nazywanych przez *kyree* domem, a znajdujących się u stóp gór, ku którym Vanyel zmierzał przez cały czas podróży. Ku wielkiemu zdumieniu Stefena w grotach nie było mroczno; oświetlały je jarzące się kolorowe kule światła — każda z nich, jak powiedział im Aroon, reprezentowała resztki energii życiowej któregoś z szamanów *kyree* i stworzona została zanim on, ona lub ono odeszło z tego świata.

Niebieskie pozostały po magach — wyjaśnił, prowadząc ich przez powiększający się tłum zaciekawionych *kyree*, do których dotarła wieść o przybyciu gości. *Kyree* nie napierały na nich zanadto, ani nie zagradzały im drogi w żaden sposób, lecz Stef czuł na sobie ich oczy, błyszczące ożywioną ciekawością.

Te zielone — kontynuował Aroon — *to byli uzdrowiciele. Niebieskie* — *pomazańcy boży, a czerwone pozostały po tych, którzy przede wszystkim posługiwali się magią umysłu.*

Kule łagodnie jarzącego się światła jawiły się Stefenowi jako cuda, nad którymi chętnie zatrzymałby się i dokładnie je zbadał, gdyby nie martwił się tak bardzo o Vanyela. Obok kamiennych pni drzew wyrastały kamienne sopte; po obu stronach ku stropowi wznosiły się kamienne słupy. Kamienne zasłony, falujące i wiotkie, jak gdyby zrobiono je z prawdziwego sukna, przysłaniały dalsze komnaty — widać je było dzięki rozpalonym kulom za nimi, a przenikające przez nie światło swym pięknym zaparło zachwyconemu Stefenowi dech w piersi.

Było ciepło, coraz cieplej.

— Jak to się dzieje, że tutaj jest tak ciepło? — spytał Stefen, odchylając poły płaszcza i zdejmując szal.

To źródła — odrzekł Aroon. — Mamy ciepłe i zimne źródła. Proszę was, abyście podczas pobytu tutaj nie rozniecali żadnego ognia — dym w jaskiniach przysporzyłby nam kłopotów. Lecz nie obawiajcie się zimowych chłódów, ani tego, że będziecie musieli żywić się surowizną. Jest tutaj jedno źródło tak gorące, że można w nim ugotować mięso. A co do białej siostry, chyba możemy jej zapewnić. . .

Niepokoiło mnie to — przyznała Yfandes.

Korzenie i ziarna, które sprowadzimy tu przy pomocy daru przenoszenia od chciwych ludzi zasługujących na to, żeby ktoś wreszcie ich okradł; do tego grzyby, które sami uprawiamy. — Zaśmiał się z cicha. — Nie jesteśmy mięsożerni.

Słyszę to z ulgą — zaczęła Yfandes, gdy przeszli pod łagodnym, niemal okrągłym łukiem do olbrzymiej jaskini, której środek zajmowała niewiarygodna wprost formacja kamieni. Stef nie mógł objąć umysłem tego widoku. Kyree widać również ceniły ów twór, otaczały go bowiem rozpalone światła umieszczone tak, by ukazywać go w pełnej krasie. Wyglądało to trochę jak niesamowita świątynia, która raczej sama wyrosła, aniżeli została wybudowana. . .

U stóp tej olbrzymiej bryły leżał śnieżnobiały kyree o oczach równie błękitnych jak oczy Yfandes. Stef spostrzegł to, gdy podeszli bliżej.

Wybaczcie, że nie wstaję — wyszeptwała kyree w ich głowach. — Ale utrudziło mnie osłanianie waszego przybycia. — Zachichotała. — Z pewnością to zrozumiecie. Jestem Hyrryl, szaman klanu z Gorących źródeł. Witajcie.

Yfandes ukloniła się najgłębiej, jak tylko mogła, nie zrzucając przy tym Vanyela.

— Przyjmij nasze podziękowania, łaskawa pani — powiedział Stefen za nich obu.

Dzięki za waszą szczerość wobec Aroona. Sądzę, że najlepiej rozgrzejecie się i umyjecie po podróży w naszych źródłach. — Otaksowała spojrzeniem półprzytomnego herolda. — Macie tu głęboko poszkodowanego i leczenie nie będzie łatwe.

Stefen wreszcie wydusił z siebie to, o czym rozmyślał, odkąd spotkali Aroona.

— Łaskawa pani. . . ja nie potrafię! Jestem tylko bardem, nie wiem nic o. . . leczeniu czegoś takiego! Ja. . .

Kochasz i jesteś kochany — odrzekła poważnym tonem. — *To nie zatratwia wszystkiego, ale pomoże ci na dobry początek. Jesteś bardem i masz wprawę w posługiwaniu się słowem. Wykorzystaj to. Słowa potrafią leczyć. — Słowa w połączeniu z miłością mogą częstokroć uczynić to, czego nie może magia.*

Aroon uklonił się i odsunął. Yfandes zrobiła to samo, Stef zaś nie miał innego wyboru jak tylko pójść w ich ślady. Gdy opuścili grotę, przechodząc do innej, Stefen zauważył, że robi się coraz goręcej, a powietrze przesycone jest wilgocią. Chwilę później wiedział już dlaczego; weszli do jaskini z wytryskującymi na wielu poziomach gorącymi źródłami.

Yfandes zatrzymała się przy jednym z nich, parującym zachęcająco, oświetlonym od góry kulą żółtą jak słońce.

Zdejmij go, Stef. Rozbierz i zanurz w wodzie. Sam też się wykap. A potem... rób, jak uważasz.

— Dlaczego? — zdziwił się, ściągając Vanyela z jej grzbietu.

Idę z Aroonem. Hyrryl jest uzdrowicielką, a ja natychmiast potrzebuję jej daru. Nie martw się. Wróć... a jeśli coś się będzie działo z Vanyelem, zjawię się tu w mgnieniu oka.

Stefen zdjął buty, koszulę i tunikę — zawahał się przy kalesonach i postanowił w nich zostać. Yfandes odwróciła się i ociężałym krokiem skierowała do wyjścia z jaskini. Stef zobaczył, jak Utyka — od ran, których nie dostrzegł wcześniej, zaaferowany Vanyelem — jak jest umęczona i wyczerpana. Postanowił nie prosić jej, by została, chociaż bardzo potrzebował jej wsparcia.

— No dobrze, *ashke* — powiedział cicho, zanurzwszy Vanyela w gorącej wodzie. Herold w sposób widoczny zaczął wychodzić z odrętwienia, w którym trwał od dłuższego czasu. — Przekonajmy się, czy słowa i miłość rzeczywiście wystarczą.

Życie w jaskiniach *kyree* miało w sobie coś, co nadawało mu dziwny, senny charakter. Stef jadał, kiedy był głodny, sypiał, kiedy był zmęczony, i usilnie odsuwał od siebie myśli dotyczące czasu i pilności spraw. Wszelka słabość Vanyela przyniosłaby fatalne skutki, gdyby opuścili jaskinie — Pan Ciemności z pewnością chętnie dostałby ich w swoje ręce. Prędzej czy później musieli jednak zrezygnować z opieki i gościnności klanu *kyree*. Psychiczny i emocjonalny uraz Vanyela był w dużej części spowodowany brutalnym zbiorowym gwałtem, którego doświadczył. Dlatego, pomimo ogromnej pomocy Yfandes, nikt inny tylko jego kochanek mógł mu pomóc w odzyskiwaniu równowagi.

Stef odkrył u siebie pokłady cierpliwości, o jakie nigdy by siebie nie podejrzewał. Podchodził do wszystkiego z takim spokojem, że częstokroć Yfandes irytowała tempo, jakie przyjął. Czasami Van bardziej niż któregoś z nich potrzebował samotności. Wówczas Stef szedł do innej groty i namawiał Yfandes, aby poszła

razem z nim. Tam zazwyczaj gromadziły się wokół niego *kyree*, wszystkie tak złąknione muzyki, jak każda widownia, z jaką Stef zetknął się dotychczas. Nie miał przy sobie żadnego instrumentu, ale im wystarczał w zupełności jego głos. Akompaniowali mu, wybijając zaskakująco skomplikowane rytmy na skórzanych bębnach, przystosowanych do grania łapami i ogonami, oraz cichym, jednostajnym zawodzeniem, wyśpiewywanym z głębi piersi. Brzmienie ich głosów było czymś tak wyjątkowym, że Stef nigdy by się tego nie spodziewał; sprawiało, że chciał skomponować coś dla nich, coś, w czym mógłby wykorzystać ich specyficzne brzmienie.

Kąpał się z Vanyelem w gorących źródłach, a Yfandes leżała nie opodal. To było na wiele dni, zanim Van mógł znieść choćby dotyk Stefena. . .

I znacznie wcześniej, nim zaczął znosić cokolwiek więcej.

Od rozpacz, tęsknoty i emocji tak zagmatwanych, że sam nie potrafił ich uporządkować, Stef odczuwał czasem tak silne napięcie wewnętrzne, że krył się w jakimś ciemnym kącie i zanosił gorzkim płaczem. Tak znajdowała go Hyrryl, a kiedy wypłakał się już, rozmawiał z nią godzinami, jak niegdyś z Vanyelem, nie zważając na to, że mówiła innym głosem i chodziła na czterech, zamiast na dwóch nogach. Mówiła do niego stanowczo i z uczuciem, delikatnie zachęcając do dalszego „czytelowania pieśni” z *kyree*. Pochlebiało mu to i przyznawał nawet, że w gruncie rzeczy jemu zdawało się to pomagać bardziej niż klanowi. Hyrryl zamykała oczy i chichotała z cicha, zapewniając go bez słów, że nie powinien być tego taki pewny. W takie dni Stefen opowiadał jej wszystko o swym życiu, wyjawiając wiele rzeczy, z jakich nigdy nie zwierzał się Vanyelowi, i czasem takie, których dotąd nie uważał za ważne. Często zastanawiał się, czy Van rozmawia z nią tak samo, ale tego nigdy się nie dowiedział.

Aż pewnej „nocy” Van odnalazł jego samotne łożo. Nie poszukiwał w nim miłości cielesnej, lecz pociechy, której znacznie trudniej było mu znów pragnąć — pociechy obejmujących go ramion i ufności, by odważyć się zasnąć w jednym łożu z inną osobą.

I odtąd nie było już mowy o odwrocie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Gdy tylko Vanyel poczuł się gotów znów stawić czoło światu, zwołał spotkanie całej trójki. Aroon skierował ich do malutkiej, bocznej komnaty oświetlonej przez tylko jedną zieloną kulę.

— W porządku — powiedział Van z cicha, siadając w kucki pod kamiennym filarem i popijając zimną wodę z metalowego kubka (ocalałego z jego juków).

Powiódł wzrokiem od zatroskanych oczu Stefena do spokojnych Yfandes. „Przynajmniej byłem na tyle przytomny, żeby wyczyścić umysł Rendana, zanim go zabiłem — chociaż nie zrobiłem tego w sposób godny pochwały.”

— Dowiedziałem się wszystkiego, przetrząsając myśli tego bandyty. Ten mag, Pan Ciemności, działa od bardzo dawna. — Vanyel oparł się o filar i nerwowo ścisnął kostki swych skrzyżowanych nóg. — Służył mu ojciec Rendana. W zeszłym roku mag zaczął werbować bandy zbójcekie, ale już przedtem dysponował przynajmniej czterema lub pięcioma takimi grupami rozmieszczonymi wzdłuż granicy.

— Dlaczego — spytał Stef, zdezorientowany. — Po co, jeśli on jest w górach, a my tutaj w dole?

Bo nie planował tam pozostać — odpowiedziała mu Yfandes.

Van skinął potakująco i przeczesał dłonią włosy.

— No właśnie. Jak powiedziałem, działa już od dłuższego czasu. Zaczął to wszystko, zanim przyszła na świat Elspeth. Północ jest surowa, zimna i zamieszkała głównie przez koczowniczy lud myśliwych i hodowców karibu. Chciał załadować regionem bardziej ucywilizowanym.

Valdemarem. — Yfandes przekrzywiła głowę na bok. — *Dlaczego właśnie nami?*

— Ponieważ — zważcie, że to tylko przypuszczenie — Wzgórza Pelagirs są chronione przez lud Tayledras, a Iftel to zbyt twardy orzech do zgryzienia. — Van uśmiechnął się szelmowsko. — Ludzie w Iftel siedzą cicho, dopóki się ich nie podburzy, a ten ich bożek — cokolwiek by to było — wykazuje bardzo władcze i aktywne zainteresowanie dobrobytem swego narodu. Nawet grupa magów klasy biegłych nie chciałaby zadzierać z bogiem.

„Szkoda tylko, że nie można sprawić, aby rozszerzył swe działanie poza gra-

nice Iftel...”

— Więc zachciało mu się Valdemaru. — Stef usiadł w odległym kącie i staranym ścięciem zszywał tunikę Vanyela. Udało się odzyskać trochę rzeczy z juków Yfandes, ale większość zaginęła, a Vanyel nie chciał po nie wracać. — Co robił, żeby go dostać?

— Zabijał heroldów — bez ogródek rzekł Vanyel. — A robił to tak ostrożnie, że nikt nic nie podejrzewał. Rendan sporo wiedział, więcej, niż kiedykolwiek powiedział swym ludziom. Ale naprawdę dużo wiedział ojciec Rendana, ponieważ miał dość daru magii, aby być użytecznym dla Pana Ciemności.

Vanyel wiedział znacznie więcej; jako że nie bardzo zajmowała go wówczas etyka, wydarł Rendanowi umysł w okamgnieniu. „Nie mógł nas obalić, nie mógł zabić jawnie, więc niszczył nas pojedynczo. Magowie heroldów byli dla niego najłatwiejsi do zidentyfikowania na odległość — i ich uznał za najbardziej niebezpiecznych. Miałem rację: od dawna zabijał dzieci i uczniów, pozorując wypadki. Dopadał dziecko, skoro tylko objawił się jego dar. Tak jak Tylendela...”

„I mnie.”

— Robi to od lat i nikt go nie wykrył — ciągnął Vanyel. — Na mnie podniósł rękę, bo jestem inny, ale okazałem się silniejszy, niż się spodziewał. I ponieważ jestem ostatni, nie musiał się martwić, że inni go wykryją, a naprawdę bardzo chciał usunąć mnie z drogi. I...

— I? — dopytywał się Stefan.

Vanyel zamknął na chwilę oczy.

— I ponieważ jest już gotów. Ściąga tutaj swe siły, aby przeprowadzić inwazję. Rendan nie wiedział kiedy, ale najprawdopodobniej wiosną.

Kłamał i robił to świadomie. Wiedziała o tym także Yfandes, ale nie zapytała go, dlaczego to robi. „To te sny — te o śmierci na przełęczy. Wcale nie były alegorią, oddawały wszystko bardzo wiernie. Ale nadal nie wiem, kiedy on będzie przechodził — jeśli pojedę teraz po pomoc, mogę się spóźnić, żeby go zatrzymać. Jeśli to się rozegra na przełęczy, jeden mag będzie mógł zatrzymać i jego, i każdą ilość wojsk i pomniejszych magów. Ale jeśli uda mu się przejść na drugą stronę, do lasu, nie zatrzyma go nawet cała armia.”

— Więc co robimy, sprowadzamy pomoc? — spytał Stef z ulgą.

Vanyel potrząsnął głową.

— Nie, dopóki nie zdobędę dokładnych informacji. Będziemy wracać przez Garbatą Przełęcz, więc będę mógł zobaczyć, co tam szykuje. „Dlatego tak ze sobą walczyłem, kochanie. Wiedziałem równie dobrze jak ty, że każdy przejaw słabości z mojej strony odsłoni przed nim możliwość zniszczenia mnie. A taką słabością może być także chęć zemsty.”

Van poczuł dziwny spokój — cokolwiek się stanie, miał nadzieję, że będzie na to gotów. Próbował sam poradzić sobie ze swymi obawami, ale została mu tylko

rezygnacja i zadanie do wypełnienia. Miał nadzieję, że to pomoże mu przejść przez wszystko, co go czekało.

Trzeba powstrzymać Pana Ciemności. Gdyby w tym celu musiała zostać złożona ofiara, Vanyel chętnie oddałby siebie.

Yfandes rozumiała to, bo ona także przez całe życie walczyła za Valdemar i jego lud. Ale Van nie sądził, aby zrozumiał to Stef. Toteż on nie dowie się prawdy, dopóki nie nadejdzie decydująca chwila.

To nie była już ta sama chęć zemsty, która go tu przywiodła. Nienawiść do Pana Ciemności nie miała tamtej wszechogarniającej pasji, która pożerała również jego — teraz nienawidził chłodno; nienawidził tego, co zrobił mag, i tego, co chciał zrobić. Valdemar był w niebezpieczeństwie — a gdyby pozwolić temu magowi zapanować nad Valdemarem, będzie szedł dalej, na inne królestwa. Yfandes i Hyrryl zgodziły się. . .

„Będę się cieszył czasem, który mi pozostał — i powstrzymam Pana Ciemności za wszelką cenę, A jeśli ceną będzie moja śmierć, ściągnę na niego ostateczny cios. Tego nie wytrzymałby żaden biegtły”.

— Dobrze — zgodził się Stef rad nierad. — Jeśli tego chcesz, tak zrobimy.

Van uśmiechnął się trochę smutno.

— Dziękuję ci, *ashke*. Miałem nadzieję, że to powiesz.

Stef i Vanyel szli, mając Yfandes pośrodku, obaj trzymali się popręgu jej siodła, aby móc łatwiej pokonywać najtrudniejsze przeszkody. Ścieżka, zasypana śniegiem sięgającym kolan, wiła się skalistym podgórzem pokrytym dziewiczą puszczą. Połamane konary i luźne skały dostarczały widu niespodzianek, o które można było się potknąć.

Garbata Przełęcz była tak blisko jaskiń *kyree*, że Hyrryl i Aroon w poruszeniu czekali na informacje dotyczące planów Pana Ciemności. Przełęcz była najdalej na południe wysuniętym przyczółkiem jedynej pewnej drogi przez góry, jaką ktokolwiek znał — przynajmniej w Valdemarze.

Stef spojrział ponad grzbietem Yfandes na herolda stąpającego ciężko ze spuszczoną głową. Promienie słońca rozświetlały srebrzyste pasemka w jego włosach, układając się w aureolę. Van złapał jego wzrok i posłał mu jeden z tych szczególnych, smutnych uśmiechów, które ostatnimi czasy pojawiały się na jego twarzy za każdym razem, gdy patrzył na Stefena. Odkąd wyzdrowiał, Van zachowywał się bardzo dziwnie. Był kochający — och, tak. Wiecznie zajęty, skupiony na swym wnętrzu i trochę melancholijny, ale nieugięty w swej determinacji co do ekspedycji.

Jak dotąd wszystko szło dosyć gładko, pominawszy duże opady śniegu i osobliwe głązy eratyczne. *Kyree* trzymały śnieżne koty i wilki z dala od tej części lasu — a był on w rzeczy samej bardzo pięknym miejscem, jeśli miało się czas dobrze

się w nim porozglądać. A oni na to czasu nie mieli. Oboje, Van i Yfandes, zdawali się być zdeterminowani dotarciem do przełęczy najprędzej, jak tylko będzie to możliwe. Przy jednym wierzchołku (Melodia przepadła i Stef miał tylko nadzieję, że trafiła do jakiegoś gospodarstwa, a nie do gardła wilka) jedynym sposobem na utrzymanie tempa był ten, który wybrali: obaj szli pieszo, na najtrudniejszych odcinkach wspomagani siłami Yfandes.

Wzgórza, które pokonywali, stawały się stopniowo coraz bardziej strome i skaliste. Kiedy wczesnym popołudniem znaleźli się w górach tuż poniżej przełęczy, Vanyel ogłosił postój. Stef obawiał się, że Van po rozbiciu obozu zabroni niecenia ognia — ale tak nie było. Znaleźli małą grotę, a resztę czasu do zapadnięcia ciemności spędzili na poszukiwaniach suchego drewna. Z prowiantem, w który zaopatrzyły ich *kyree* — składającym się z większej ilości zabitych królików, niż Stefen kiedykolwiek widział za jednym razem — i przy ognisku, które rozpałił Van, mieli obóz niemal równie wygodny jak jaskinie *kyree*.

Stef wolałby prawdziwe łóżko zamiast pośłania z gałęzi sosen oraz ich własnych płaszczy, ale to było wszystko, czym dysponowali.

Van uśmiechał się do niego zza ogniska; szkody, jakie poniosły jego ubrania i on sam, w bladym świetle ognia nie rzucały się tak bardzo w oczy.

— Wybacz prymitywne warunki, *ashke*, ale wolałbym nie zdradzać się z tym, że się zbliżamy. Każdy przejaw użycia magii byłby dla niego znakiem. Będę się czuł znacznie lepiej, jeśli wyjdzie na jaw, że wciąż próbuje ustalić, gdzie jesteście.

Stef oderwał kęs mięsa z króliczej nogi, otarł tłuszcz z kącików ust i pokiwał głową.

— Nie ma sprawy, cieszę się, że nie polujesz na niego tak jak przedtem! Cieszę się, że wreszcie zakończymy to. Potem będziemy mogli wrócić do domu i po prostu być sobą.

Vanyel szybko zamrugał powiekami, a potem zdjął rękawicę i potarł oczy.

— Dym leci w moją stronę... — Zakasłał, a potem powiedział łagodnie: — Stef, znaczysz dla mnie więcej, niż jestem w stanie powiedzieć. Sprawiliś, że jestem tak szczęśliwy... bardziej szczęśliwy, niż myślałem, że kiedykolwiek będę. Nigdy nie zrobiłem dla ciebie tyle, ile bym chciał. I gdyby nie ty, to tam...

Stef przeskoczył na jego stronę ogniska.

— Coś ci powiem — rzekł radośnie. — Pozwolę, żebyś mi to wszystko wynagrodził. Odpowiada ci taki interes? Van uśmiechnął się i zamrugał.

— Da się zrobić...

Trzeciego dnia drogi, po południu znaleźli się w prawdziwych górach. Choć słońce wciąż rozświetlało pokryte śniegiem otaczające ich szczyty, w dole, na szlaku panował ponury chłód. Stef drżał i pokrzepiał się nadzieją, że wkrótce zrobią postój. Wtem wyszli z kolejnego zakrętu szlaku i oto przed nimi rozciągała

się Garbata Przełęcz.

Długa, wąziutka dolina stanowiła tak równe wcięcie pomiędzy dwoma łańcuchami gór, że sprawiała wrażenie, jak gdyby wykroiła ją nożem ręka jakiegoś olbrzyma.

Była zbyt równa. . .

Stef przyjrzał się dokładniej zboczom po obu stronach przełęczy. Skały wyglądały naturalnie aż do wysokości mniej więcej na dziesięciu ludzi powyżej dna przełęczy. Od tego miejsca w dół były tak gładkie i równe, jak gdyby ktoś je pościłał.

— To magia — wyszeptał Van. — Musiał tak wyciąć każdą trudną do przejścia przełęcz odtąd, aż do siebie na północy. Wielkie nieba. . . Pomyśl tylko, jakiej do tego trzeba mocy. . . Pomyśl, ile kosztowało zamaskowanie takiej mocy!

Popatrzył w górę, ponad wycięte skały.

— Jeśli pójdziemy dnem przełęczy, znajdziemy się na drodze tego, co będzie nadchodziło z przeciwnej strony. . .

Stef popatrzył tam, gdzie spoglądał Vanyel, i zobaczył coś na kształt cieniutkiej nitki ścieżki.

— Myślisz, że to pierwotne przejście przez przełęcz?

Van skinął potakująco.

— Spójrz, widzisz, gdzie się łączy ze szlakiem, którym my idziemy? Aż do tego miejsca ciągnie się pierwotna ścieżka. Dalej ona pnie się w górę, a nowa droga przebiega na tym samym poziomie.

Stef przyjrzał się dokładnie starej dróżce, a przynajmniej temu odcinkowi, który mógł dojrzeć.

— Tamtędy nie sposób przeprowadzić armię, w każdym razie nie szybko.

— Ale tutaj można. — Van badał sytuację jeszcze przez chwilę. — Pójdźmy starym szlakiem najdalej, jak tylko będzie to możliwe. Może będziemy musieli zawrócić, ale wolałbym najpierw wypróbować tamto przejście. Tutaj czułbym się za bardzo na widoku.

Stef westchnął, widząc, jak rozwiewają się jego nadzieje na bliski postój.

— Zgoda, ale jeśli przyjdzie mi spędzić noc na półce skalnej, to nie odpowiadam za mój nastrój jutrzejszego ranka.

Van obrócił się gwałtownie i uściśnął go z takim żarem, że Stefanowi wydało się, jakby usłyszał odgłos pękających żeber.

— Nie martwię się o twój humor, *ashke* — wyszeptał. — Chodzi o ciebie. Nie chcę, żeby ci się coś stało. Muszę wiedzieć, że jesteś bezpieczny. Jeśli będę to wiedział, wypełnię wszystko, do czego zmusi mnie los.

A potem, równie nagle, jak go uściśnął, wypuścił barda ze swych objęć.

— Ruszajmy w drogę póki jest jeszcze jasno — powiedział i zaczął iść po skałach do starej ścieżki. Yfandes trąciła nosem Stefena, a ten podążył za Vanyelem i za nią, zamykając ich mały pochód.

Od tego momentu Stef był nazbyt zajęty szukaniem dogodnych miejsc, gdzie mógł stawiać stopy, żeby martwić się o cokolwiek innego. Ścieżka była nierówna, oblodzona i zdradziecka, usiana odłamkami skał znaczącymi miejsca, gdzie spadły kamienne lawiny. Od momentu, kiedy natknęli się na stos kamieni, z którego wystawały kości ludzkiej ręki, Stef zaczął rozglądać się nerwowo na każdy podejrzaną dźwięk.

Dodatkową atrakcję tej wspinaczki stanowiło to, że prawa strona szlaku co pewien czas opadała w dół, prosto w nowy uskok skalny.

Tego doświadczenia Stef nie chciałby już nigdy powtórzyć. Chociaż po raz pierwszy od wielu dni — przynajmniej za dnia nie było mu zimno; wręcz przeciwnie. Koniec końców jednak było to coś, co można zapisać na korzyść wysiłku związanego ze wspinaczką.

Zapadła noc, księżyc w pełni był wysoko na niebie i Van postanowił posuwać się dalej przy jego świetle. Byli w połowie drogi przez przełęcz i według tego, co mówiły *kyree*, po drugiej stronie rozciągała się szeroka, płaska łąka oraz spory las. To oznaczało drewno na ognisko i miejsce, gdzie będzie można rozbić obóz bez obawy o zejście lawiny.

Stef bardzo tęsknił za jakąkolwiek równiną. Plecy i nogi bolały go tak jak nigdy przedtem, a do tego wraz z zachodem słońca, gwałtownie spadła temperatura. Wysilek nie rozgrzewał go już tak jak na początku, a ręce zaczynały mu drętwieć z zimna.

Jeszcze tylko jedno wzniesienie, bardzo — wyszeptała Yfandes w jego umysł. — *Potem będzie z górki...*

Nagle Vanyel padł jak długi; Stef poszedł w jego ślady, nie pytając, dlaczego i podczołgał się do herolda, ukrytego za rzadkimi zaroślami.

Vanyel odwrócił się i zobaczył, że Stef się do niego zbliża; przyłożył palec do ust i wskazał na dół. Stef podciągnął się jeszcze kawałek, tak aby móc spojrzeć w kierunku wskazanym przez Vanyela. Spodziewał się zobaczyć oddział zwiadowców albo coś w tym rodzaju.

Zamiast tego, jego oczom ukazała się armia.

Żołnierze zajmowali całą łąkę, aż śnieg się zaczernił, ale wcale nie rozbili obozu, by przenocować. Nie było biwaków, ani ognisk, tylko jeden za drugim szeregi mężczyzn ustawionych jak ołowiane żołnierzyki. Stef był ciekaw, na co czekają, po chwili jednak dostrzegł jakiś ruch w dalszym krańcu polany, gdzie zaczynał się następny odcinek ścieżki. Z każdą miarką świecy na łąkę napływało coraz więcej ludzi. Prawdopodobnie czekali, aż dołączą ostatni, aby dopiero wtedy dokonać ostatecznej przeprawy przez góry. Chcieli zrobić to w nocy, tak aby nie osiągnęły ich żadne ciekawskie oczy.

Pan Ciemności prowadzi swą armię na Valdemar i gdy przejdzie przełęcz na północnej granicy królestwa, nic już nie będzie w stanie go powstrzymać.

Vanyel wycofał się i Stef zrobił to samo.

— Co teraz... — wyszeptał w odruchu paniki. Vanyel uciszył go, delikatnie kładąc mu palec na ustach.

— Zaalarmujesz posterunek Gwardii. Yfandes cię zabierze, a mając na swym grzbiecie tylko ciebie, będzie niemalże fruwać. Zatrzymam ich tutaj, aż do przybycia Gwardii.

— Ale... — zaprotestował Stef.

— To nie jest takie głupie, jak ci się wydaje — powiedział Van, spoglądając na niego przez ramię. — Za nami, w miejscu gdzie spotykają się nowa i stara ścieżka, jeden mag może zatrzymać każdą ilość wojsk. A jeśli wnet pojawi się Gwardia, jeden jej oddział będzie mógł tę armię na drodze poniżej przełęczą zakorkować jak w butelce i blokować ją dopóty, dopóki nie przybędzie reszta wojsk. Ale jeśli teraz ich nie zatrzymam, nic z tego nie wyjdzie.

Stef chciał się sprzeciwić, ale nie potrafił, bo Vanyel miał rację. Nawet bard był w stanie to zrozumieć — nadarzała się idealna okazja i takie rozwiązanie strategiczne było idealne. Pan Ciemności za nic nie mógł się tego spodziewać.

— Lepiej... tylko... — zaczął Stef zawzięcie, ale łzy cisnące się do oczu nie pozwoliły mu dokończyć. — Do diabła, Van! Ja...

Vanyel ujął twarz Stefana w obie dłonie i pocałował go z żarliwą namiętnością, która przeniknęła barda aż do szpiku kości.

— Ja też cię kocham. Jesteś najwspanialszym przyjacielem, najdroższą moją miłością. Będę cię kochał tak długo, jak tylko będzie żyła choćby najmniejsza cząstka mnie. A teraz jedź, prędko. Nie będę się mógł skupić na tym, co mam do zrobienia, jeśli nie będziesz bezpieczny.

Stef wycofał się, a potem, nim przyszło mu do głowy zmienić zdanie, skoczył na Yfandes.

Trzymaj się — rozkazała mu i ledwie zdążył złapać się siodła, ruszyła z kopyta.

Vanyel patrzył za nimi, gdy odjeżdżali z prędkością bliską lotu, do jakiej tylko Towarzysz potrafi się rozpędzić. Stef ważył dużo mniej od niego, co pomagało Yfandes posuwać się jeszcze szybciej...

Potem zszedł w dół po wygładzonej skale na nową ścieżkę. Musiał jak najrychlej dostać się do przewężenia, w którym droga się zaczynała, a mógł to zrobić wyłącznie obierając najłatwiejszy szlak. Schodzenie było trudne, ale gdy stanął już na dole, znalazł podłoże tak równe, że mógł nawet biec.

Najpierw uciekł się do magii pogodowej, by sprowadzić chmury, których obecność wyczuwał w dali, poza zasięgiem wzroku. Potem zaczął biec. Gdy dotarł na miejsce, był zupełnie bez tchu, ale znalazłszy się tam, miał mnóstwo czasu na odpoczynek. W gruncie rzeczy najgorsze było czekanie. Ulokował się w miejscu, gdzie stary szlak ostro zakręcał, łącząc się z nowym, więc nadchodzące wojska nie będą go widziały, dopóki nie znajdą się tuż nad nim. Niestety on też nie będzie

ich widział, a to pogarszało jego sytuację.

Starał się za wiele nie rozglądać; to była dokładnie ta sama sceneria co w snach, a nie chciał sobie przypominać, jak wszystkie się kończyły.

Dar przewidywania daje tylko umiejętność zajrzenia w możliwą przyszłość, przypominał sobie, poszukując pod powierzchnią ziemi ognisk magicznej mocy. Zawczasu nastawiał kanały przepływu energii na zaczerpnięcie z nich, filtrując całą moc przez oko magii, tak by czerpana energia od razu była dostrojona do niego i by nie musiał używać jej w surowej postaci. „Tańczący Księżyc powiedział mi o tym wieki temu, a któż miałby się na tym lepiej znać niż biegli z Tayledras! Od tamtej pory musiało zajść wiele zmian. A jeśli przypomnę sobie, co się stało, może będę mógł zmienić wynik. W niektórych z tych snów obok mnie pojawiał się Lendel zamiast...”

Stefen. Dwadzieścia lat. Lendel zginął, gdy miał siedemnaście. Van spotkał Stefena, gdy ten miał siedemnaście lat. Pomiędzy śmiercią Lendela a dniem dzisiejszym minęło dość czasu — Stef był dokładnie w takim wieku, że mógł się urodzić mniej więcej w tamtym okresie.

Wiele innych rzeczy zaczęło przychodzić Vanyelowi do głowy. Spotkanie z Lendelem we śnie: to, co mówił, sposób, w jaki traktowali Stefena biegli z Tayledras, i jak Savil przygarnęła go pod swe skrzydła — wszystko zaczęło się układać w jedną, uporządkowaną całość.

„Jak nazwał mnie *ashke*, nie znając tego słowa. Nie. Tak. Jak inaczej można to wytłumaczyć? Wrócił do mnie, Lendel wrócił do mnie jako Stef — Savil i Sokoli Bracia wiedzieli o tym...”

Ale nie było szans zastanowić się nad tym dłużej, bo wojska Pana Ciemności zaczęły właśnie wyłaniać się zza zakrętu i nadszedł czas urzeczywistnienia planu Vanyela.

„Muszę uniknąć rozlewu krwi, szczególnie wśród wojowników. Mogą znajdować się w mocy jakiegoś zaklęcia, mogą być ignorantami...”

Chmury, które przywołał, wisiały nad górami, zakrywając szczyty. Niebo przecinało mnóstwo zygzaków błyskawic czekających na wyzwolenie. Vanyel z radością zrobił im tę grzeczność i przyzwał błyskawice, które schłostały ziemię tuż przed pierwszym szeregiem; równocześnie oświetlił swą postać oślepiającym, błękitnym blaskiem magicznego światła.

Piorun rozsadził szlak pod ich stopami; oblodzone skały jęknęły, gdy potężna siła natarła na nie z mocą, która w jednej chwili zamieniała lód w parę. Vanyel zasłonił sobie oczy ramieniem i tylko on nie został oślepiony rozbłyskiem. Błysk oślepił pierwsze szeregi wojsk; ludzie, odziani w czarne zbroje, potykali się, popychani, krzycząc ze strachu i wściekłości.

„W porządku, to pierwszy punkt, w którym rzeczywistość odbiega od snów. Zawalczyłem magią przeciwko im, nie zastraszyłem ich od razu.”

Zamęt ustał. Vanyel czekał w pogotowiu, a energia rozświetlała oko magii błę-

kitnym blaskiem takim samym jak światło za nim; w rękach czuł mrowienie od przepływającej przez nie mocy. W szeregach uzbrojonych mężczyzn i dziwacznych bestii panowało nerwowe poruszenie, wojownicy obserwowali go bacznie przez szpary w hełmach. W tym jego sny także nie odbiegały od rzeczywistości. Pod pancierzami kryła się zbieranina przypadkowych typów i tylko połowa z nich wyglądała na ludzi, lecz wszyscy byli uzbrojeni i odziani w pancerze zrobione z jakiegoś matowego, czarnego materiału i nieśli przed sobą identyczne, okrągłe i gładkie tarcze. Nad chaosem, spowodowanym przez Vanyela, wnet jednak zapanał porządek, co świadczyło o świetnym wyszkoleniu wojsk. To była armia, jakiej się spodziewał.

Pierwsze szeregi rozstały się, jak w snach, i przed nimi stanął czarownik. Nie było cienia wątpliwości, kim był, nie miał broni ani pancerza, miał za to Moc, osadzoną tak mocno, że w oczach zmysłu magii Vanyela jego postać rozjarzyła się nagle jej blaskiem. Ale to była moc krwawej magii. . .

Jak moc drugiego, trzeciego i czwartego czarownika.

„Czterech na jednego, a za nimi na dodatek Pan Ciemności,” Vanyel zgiął palce i z nadzieją pomyślał, że Yfandes zdążyła już zanieść Stefena w bezpieczne miejsce. „Przekonajmy się, czy ci chłopcy umieją działać wspólnie, a jeśli uda mi się ich podzielić. . .”

Stef trzymał się mocno i zamknął oczy, tłumiąc uczucie paniki. Nigdy nie siedział na czymś gnąjącym z taką prędkością. Ziemia uciekająca mu spod stóp i gwałtowne skoki Yfandes, pokonującej przeszkody, przyprawiały go o mdłości i przerażenie. To był strach, którego żadna racjonalna myśl nie była w stanie przewyciężyć.

Pokonali odległość, której przebycie w trójkę zabrało im cały dzień, i Stef był już trochę zagubiony.

Przenoszę nas, bardzo. To dlatego wydaje ci się, że robimy takie wielkie skoki, i to dlatego masz mdłości. Poza tym zbczyliście wtedy trochę z kursu. Mielicie przecież dotrzeć do przelęczny drogą okrężną. Ja lecę prosto do celu.

Przed nimi, na tle czerni drzew, ukazały się jakieś światła. Były to pochodnie umieszczone wzdłuż szczytu muru — światła posterunku Gwardii. Stef nie wierzył własnym oczom. Nie minęło wcale dużo czasu. . .

Ale to był posterunek Gwardii. Yfandes wpadła z łoskotem na rozświetlony teren przed bramą, a strażę na ten widok, zaczęły schodzić z murów. . .

Stała mocno na wszystkich czterech kopytach, wzbijając tuman śniegu.

Tego się Stefan nie spodziewał. Przeleciał nad jej głową i wylądował w zaspie. . .

Myślał, że uniknie urazu, ale odebrało mu dech w piersi, a jego głowa uderzyła o zakopaną w śniegu kłodę i zobaczył tylko gwiazdy. . .

...i usłyszał oddalający się tętent kopyt, a za nim cichnący pogwar ludzkich głosów.

Czyjeś ręce wyciągnęły go z zasy. Potrząsnął głową, aby odzyskać ostrość widzenia, i natychmiast tego pożałował. Poczuł, jak gdyby czaszka miała mu za chwilę eksplodować, a przed oczami zatańczyły mu kolorowe światła. Za to wzrok nabrał ostrości na tyle, że uniósłszy głowę Stef zobaczył, iż wśród ludzi wychodzących po niego za bramę jest komendantka.

Rozpoznała go natychmiast.

— Wielkie nieba! — zawołała. — Co, do stu diabłów, tutaj robisz? Gdzie jest herold?

W głowie mu się kręciło, w oczach pociemniało, ale jakoś zdołał wykrztusić wszystkie wiadomości...

Komendantka zrobiła się biała jak ściana i wyrzuciła z siebie całą serię rozkazów. Zabrział dzwon alarmowy. Stefanowi zadzwoniło w uszach. Pomocnik komendantki odsunął go na bok i z baraków zaczęli się wysypywać gwardziści: kobiety i mężczyźni, pośpiesznie nakładający ochraniacze i chwytający broń w biegu do swych szeregów. Kiedy Stef nie miał pewności, czy zdoła ustać choćby chwilę dłużej, bo ugiwały się pod nim kolana, z bramy wyłonił się uzdrowiciel. Obrzucił go jednym spojrzeniem i ruszył w jego stronę z wyciągniętymi ramionami.

Co było dalej, Stef nie wiedział. Zbliżyła się do niego ziemia, cicho, ale gwałtownie, i zabrała go ciemność.

Vanyel drżał z wyczerpania, ale energia z ognisk wciąż przelewała się przez niego — i dwóch czarowników legło zwęglonych na oblodzonej ziemi. Jeden z pozostałych dwóch próbował uciec i padł zabity przez swych własnych ludzi. Drugi był już pozbawioną rozumu, śliniącą się kreaturą, która podczołgawszy się do skraju drogi leżała tam skulona na boku.

„A oto i kolejna rozbieżność. We śnie nie pokonałem czarowników. Zatrzymałem ich.” Oceniał szkody, jakie sam poniósł, i wynik okazał się dość satysfakcjonujący. Na lewej nodze miał lekką ranę; krew ściekała, gromadząc się w bucie i zamarzała. Był też trochę poparzony, ale jak dotąd uniknął większego szwanku.

„Ale młody chłopak, który nigdy nie walczył — jak ja wówczas — byłby pewnie przekonany, że każda rana jest śmiertelna. Może stąd ta „rozbieżność” z tamtym snem; a może to nie żadna rozbieżność. No cóż. Czas, by pojawił się Pan Ciemności.”

Przednie szeregi rozstąpiły się ponownie i spokojnym krokiem wyłoniła się z nich elegancko ubrana postać, oświetlona czerwonym, magicznym światłem, tak jak Vanyela oświetlało niebieskie.

„W samą porę.”

Młody mężczyzna odziany był w czarną zbroję i szaty, będące niczym innym

jak tylko parodią Bieli heroldów. Był idealnie piękny, twarz i ciało miał perfekcyjne. Ta twarz wydała się Vanyelowi dziwnie znajoma. . .

Może dlatego, że była tak idealna i wyglądała jak podobizna jakiegoś boga.

„Oczywiście, gdybym nie oszczędzał energii, sam mógłbym się upodobnić do czegośkolwiek.”

Był w każdym szczególe odwróconą podobizną Vanyela, od sobolich włosów, przez hebanowe oczy, aż do czarnych jak noc butów.

— Dlaczego zajmujesz się tymi bzdurami? — zapytał słodkim głosem, układając usta do zmysłowego uśmiechu. — Jesteś sam, Vanyelu, magu heroldów. — Mówił łagodnym, jedwabistym tenorem; umiał panować nad nim równie perfekcyjnie jak nad swym ciałem.

Jego znajome rysy niepokoiły Vanyela. Zrazu wydawało mu się, że to z powodu podobieństwa do niego samego, ale za tym kryło się coś jeszcze. Coś w rodzaju pokrewieństwa rasy z kimś. . .

— Jesteś — powtórzył mężczyzna z wyostrzoną emfazą — zupełnie sam.

Tayledras. „Wygląda jak ludzie z Tayledras, tylko jakby odwrotnie. Czy zawsze tak wyglądał, czy może sam się tak ukształtował? W każdym razie chce przez to powiedzieć coś o sobie, Sokolich Braciach i heroldach. . .”

— To dla mnie nie nowina. Tak jak ty nie jesteś dla mnie nowiną — usłyszał swe słowa. — Ludzie z Tayledras nadali ci imię. Jesteś Lareth. To znaczy. . .

— Ciemność — zaśmiał się Lareth. — Och, świadomie wybrałem to słowo z ich języka na swe imię. Stąd „Pan Ciemności”. Zmyslna koncepcja, nieprawdaż? Jak. . . — ruchem ręki wskazał na ludzi za sobą, w ich złowieszczych zbrojach — . . . moje sługi.

— Bardzo sprytnie — odparł Vanyel. „To odbiega od treści snu — w snach magowie stali za nim i tym razem było ich czterech zamiast trzech. Wojownicy pozostali poza moim zasięgiem, pozwalając magom zająć się mną. Może, jeśli uda mi się odwlec ostateczną konfrontację, Stef zdąży dotrzeć do posterunku Gwardii, a Gwardia zdąży dotrzeć tutaj.”

— Nie musisz być sam, Vanyelu — ciągnął Lareth, zmysłowo oblizując wargi. — Musisz tylko dać sobie spokój z tym obłędem. Wyciągnij dłoń, przyłącz się do mnie, przyjmij w siebie moją ciemność. Wtedy nigdy nie będziesz sam. Pomyśl tylko, ile razem moglibyśmy osiągnąć! Jesteśmy do siebie tacy podobni. Mamy podobną moc. . . Podobnie odczuwamy przyjemność.

Postąpił naprzód; gdy zrobił jeden posuwisty krok, jego włosy i hebanowy płaszcz zafalowały.

— Jeśli wolisz. . . mógłbym nawet przywrócić ci twą dawno utraconą miłość. Zastanów się, Vanyelu, pomyśl o Tylandelu, znów żywym u twego boku. Mógłby dzielić z nami życie i moc, Vanyelu, i nic nie mogłoby nam się sprzeciwić.

Vanyel cofnął się i udał, że rozważa propozycję.

„Na bogów, czy on nas w ogóle nie rozumie? Nic nie jest warte zapłacenia takiej ceny. Czy on nie pojmuję, jak bardzo zdradziłbym Stefena-Lendela, gdybym zdradził Valdemar?”

Wokół niego zdał się gromadzić chłód, zmrażając go i sprowadzając odrętwienie na zranioną nogę.

„Pewnie myśli, że ja nie wiem, że to są kłamstwa — ta jego moc, albo nagroda za moją zdradę. Albo jedno i drugie...”

„Ciekawe, czy uda mi się go powstrzymać. Albo nawet... zgładzić.”

Poczuł w sobie rosnącą nadzieję i zapuścił delikatną sondę w okolice oston Laretha.

Musiał ukryć swoją konsternację. „Jest lepszy ode mnie. O wiele lepszy. Potrafi czerpać energię ognisk przez innych magów, tak aby nie wypalała jego samego. Ma pół tuzina takich dostarczycieli mocy zza tej góry, z ognisk! Zabije mnie, a potem przemaszeruje tędy i zawładnie Valdemarem. A w moich ogniskach nie pozostało już nawet tyle energii, aby ściągnąć na niego ostateczny cios i zgładzić go...”

— I co? — Lareth niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

„Jak go zatrzymać?”

„Och, bogowie... Umrę... Sam...”

„I to na darmo...”

Wtedy, jak dar z niebios, rozległ się za nim tętent kopyt.

Yfandes zatrzymała się przy nim i wrzaskiem rzuciła wyzwanie Magowi Ciemności. Ten mimowolnie zrobił krok w tył, oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia. Yfandes zadarła wysoko kikut po swym ogonie i wyszczerzyła zęby, gdy Vanyel położył dłoń na jej ciepłym boku.

Gdy ciebie wybierałam, obiecałam ci, że nigdy cię nie opuszczę — powiedziała spokojnie. — Wiedziałam już wtedy, jaki będzie koniec naszego wspólnego życia, i nie żałuję swego wyboru. Kocham cię i z dumą stoję u twego boku. Nie ma takiej chwili w naszym życiu, którą chciałabym zapomnieć.

Ani jednej? — zapytał Vanyel wzruszony do łez.

Ani jednej. Nie dopuszczę do tego, żebyś musiał samotnie stawić mu czoło, mój kochany. Mogę oddać ci moje siły, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Siły Yfandes w połączeniu z jego siłami w zupełności wystarczą do pokonania zabezpieczeń Laretha i zadania mu ostatecznego ciosu.

Vanyel uniósł oczy, aby spotkać wzrok Laretha i wykonawszy jeden szeroki, spokojny ruch, znalazł się w siodle na grzbiecie Yfandes. Na propozycję maga odpowiedział chłodnym uśmiechem i jednym jedynym słowem:

— Nie.

Vanyelu!

Potworny ból, a potem nic. Pustka tam, gdzie powinno być ciepło.

Stefen zeskoczył z pryczy, wykrzykując imię Vanyela. Uzdrowiciel próbował go przytrzymać, ale Stef wyrwał mu się i w szale strachu pomieszanego z rozpaczą odrzucił pościel.

„Poczułem, jak umierał... Och, bogowie. Nie, to niemożliwe, to coś innego, jakaś magia... On żyje, musi żyć...”

Wybiegł z baraków na śnieg, odpychając ludzi z drogi. Na oślep rzucił się do stajni i porwał pierwszego konia, potem narzucił na niego siodło, które wydało mu się dziwnie znajome...

Koń parsknął mu do ucha, gdy Stef sięgnął ręką, by nałożyć mu uzdę. Rozpoznał go. To była Melodia.

Ale to nie miało teraz żadnego znaczenia, liczył się tylko ból w jego sercu, pustka w jego duszy, która powtarzała: Vanyel...

Stef wskoczył na grzbiet Melodii i gdy tylko znalazł się w siodle, do bólu spiął ją ostrogami, Melodia zarżała zaskoczona i wyskoczyła przez drzwi stajni. Uzdrowiciele i strażnicy wołali za nimi, za późno jednak, aby go zatrzymać.

Kilka dni później dotarł na pole bitwy. Jego koń dobiegał kresu sił a sam był tak wyczerpany, że nie mógł nawet mówić. Bitwa dawno już się skończyła, mimo to obraz rzezi był nieprawdopodobny.

U skraju obozowiska jeden z gwardzistów zatrzymał Melodię, chwytając jej uzdę, a Stef nie miał sił pogonić jej dalej. Wbił tylko w mężczyźną swój mętny wzrok i trwał tak, dopóki nie pojawiła się następna osoba — uzdrowiciel, a potem ktoś w niebieskim uniformie, wskazującym na wysoką szarżę. Stef zignorował uzdrowiciela, ale temu drugiemu udało się go zmusić do zejścia z konia.

To była komendantka, z twarzą poszarzałą od zmęczenia i oczyma przepędnionymi bólem.

— Przykro mi, chłopcze — powiedziała, obejmując go ramieniem. — Przykro mi. Przyszliśmy za późno, żeby go uratować. Odszedł... zanim tu dotarliśmy. Ale... przypuszczam, że sam o tym wiesz. Przykro mi.

Tama utrzymująca dotąd w ryzach jego emocje pękła i Stef schował twarz w ramionach komendantki. Przytuliła go tak, jak nieraz pewnie przytuliła innych, i pozwoliła mu się wypłakać, aż nie zostało mu już łez i ledwie mógł ustać na nogach. Wtedy zabrała go do swego namiotu, położyła na swej pryczy i okryła.

— Spij, chłopcze — wyszeptała zachrypniętym głosem. — To nie jest lekarstwo, ale przyda ci się. On sam by to powiedział, gdyby...

Odwróciła się. Spał, chociaż myślał, że nie będzie mógł; jego myśli wypełniło żalobne zawrodozenie *kyree*... twarz Vanyela, jego dotyk...

Miarękę świecy później obudził się. Czuwał przy nim gwardzista, siedzący na stołeczku obok jego pryczy.

Stef zamrugał, zdezorientowany otoczeniem, w którym się znalazł — w końcu przypomniał sobie.

— Chcę go zobaczyć — powiedział siadając.

— Panie... — odrzekł gwardzista z wahaniem. — Nie ma co oglądać. Nie znaleźliśmy go. Tylko... tamtych. Mnóstwo tamtych.

— W takim razie chcę zobaczyć, gdzie stał — nalegał Stefan. — Muszę... Proszę...

Widać było, że gwardzista czuł się nieswojo, mimo to pomógł mu wstać, wyprowadził go na zewnątrz i podtrzymał, gdy wspinali się na przełęcz. Ciała zbierano w stosy i palono; fetor i dym przyprawiał Stefena o mdłości, do tego wszędzie była krew. W najważniejszym miejscu przełęcz, dokąd nie dotarły ekipy pogrzebowe, było jeszcze gorzej.

Towarzysz Stefena zacieśnił nagle swój uścisk i jęknął, gdy obok nich wyrósł naraz biały, futrzany kształt. Błękitne oczy Hyrryl przekazały Stefanowi współczucie.

— W porządku... To przyjaciele — usłyszał swe słowa, gdy kolejny *kyree* ukazał się z lewej strony. To był Aroon. Gwardzista nerwowo przełknął ślinę i ruszyli dalej.

Poczerniałe, spalone i poszarpane ciała układano na stosy w trzech lub czterech warstwach; wszystkie zwłoki oblekały czarne szaty i zbroje. Rzeź skoncentrowała się w jednym punkcie, miejscu wolnym od śniegu i piasku, wypalonym do gołej, czarnej skały, wygładzonej i lśniącej. Hyrryl i Aroon zajęli miejsca po obu stronach przełęcz. Przysiedli tam sztywno, z uwagą obserwując barda. Gwardzista uklonił się i odszedł bez słowa, potem nikt więcej się do nich nie zbliżał.

Stef szedł z zamglonymi od łez oczami i, potykając się o leżące wszędzie ciała, pośród tych czarnych szczątków szukał tylko jednego — jednego odzianego w Biel...

Nie znalazł nic, tak jak powiedział mu gwardzista. Bliski szaleństwa potrząsnął głową i zaczął rozglądać się za czymkolwiek, jakimś strzępem białego sukna.

Wreszcie, po wielu miarkach świecy poszukiwań, jego oko zatrzymał błysk czegoś srebrnego. Pochylił się i znalazł cieniutkie białe pasemko zbroczonego krwią włosia końskiego. A obok oko magii, które podarował Vanyelowi; łańcuszek zniknął, srebrna oprawa była nadtopiona i zmatowiała, kamień zaś poczerniał i pękł na dwoje.

Stef przycisnął do piersi swe znaleziska. Kolana ugięły się pod nim i upadł na skałę, wypełniony tak wszechogarniającym zalem, że nie był w stanie nawet zapłakać — wyszeptał tylko imię Vanyela, niczym magiczne zaklęcie zdolne sprowadzić go z powrotem.

Drzewa rozpościerały się szkarłatną aureolą w tle nieciekawej, brązowej bryły

posterunku Gwardii.

— Jesteś bardem, prawda? Jesteś Stefan? To ty byłeś z... — Oczy chłopca rozszerzyły się z podziwu, jego głos przycichł do szeptu. — Z heroldem Vanyelem.

Stefan bezskutecznie próbował uśmiechnąć się do młodego gwardzisty.

— Tak. Słyszałem o tym, co się tu dzieje, i przyszedłem się temu przyjrzeć.

To dopiero wyzwoliło reakcję; młodzieniec podskoczył, a jego oczy rozszerzyły się od strachu. Po chwili wyprężył się, usiłując zrobić wrażenie mniej przerażonego, niż był w rzeczywistości.

— To prawda, bardzo Stefanie. Ktokolwiek zapuści się w las mając złe zamiary, już stamtąd nie wraca. To się zaczęło tamtej nocy, kiedy zginął herold Vanyel. Widzieliśmy pełno tych typów w czarnych zbrojach, jak uciekali do lasu i zamieniali się w zimne mięso.

— Słyszałem o tym — odparł Stef, ostrożnie zsiadając z konia. — Ale słyszałem też różne fantastyczne opowieści. — Jesienny wiatr rozdmuchał jego włosy i grzywę Melodii, gdy oddawał gwardziście jej cugle.

— To nie są fantastyczne opowieści, wielmożny bardzo. Ludzie, których znaleźliśmy — ponadziewanych na gałęziach albo na soplach lodu, po pas wbitych w zamrznietą ziemię — byli upiorni. Ale, o Panie i Pani! Niektórych coś porozrywało na strzępy, a jeszcze więcej było po prostu... martwych. Bez żadnych śladów, po prostu martwi — z ohydny wyrazem twarzy... — Chłopiec zadrżał. — Tak jest od tamtej pory. Raz po raz idziemy tam, żeby się rozejrzeć, i znajdujemy jakiegoś bandziora albo kogo innego w takim stanie.

— Powiadają, że ta puszcza jest przeklęta — odrzekł Stef, nieobecny myślami, osłaniając dłonią oczy i przypatrując się cieniom pod drzewami za barakami Gwardii. — Dla mnie to brzmi raczej jak błogosławieństwo.

— Błogosławiony czy przeklęty, to dobre dla Valdemaru i my uważamy, że to dzieło herolda Vanyela.

Stefan zarzucił sobie na jedno ramię futerał z cytrą, na drugie prawie pusty tłumok i ruszył, ale nie w stronę posterunku Gwardii, lecz do lasu.

— Hej! — zaprotestował chłopiec. Stef puścił jego wołanie mimo uszu i wyruszył w swą samotną wyprawę do puszczy, którą teraz nazywają Puszczą Smutków.

Zatrzymał się tuż przed zachodem słońca. „Jestem już wystarczająco blisko — pomyślał, rozglądając się. — Do tego nie muszę stać na przełęczy. Tutaj przecież po raz ostatni byliśmy szczęśliwi. Tutaj albo w miejscu bardzo podobnym do tego.”

Stał u podnóża bardzo wysokiego pagórka — albo małej góry. Słońce zachodziło po jego lewej ręce, po prawej wschodził księżyc; nigdzie nie było śladu żywej duszy. Tylko wzgórze z płytką grotą pod nim, drzewa i ptaki.

Stef nabrał drewna na małe ognisko, rozpałił je i wyjął cytrę. Grał do chwili, gdy słońce dotknęło linii horyzontu; śpiewał wszystkie ulubione pieśni Vanyela,

wszystko co skomponował od tamtej pory — nawet melodię piosenki dla *kyree* i pieśń, którą zostawił w Kolegium Bardów, tę, której nigdy nie wykonywał publicznie — napisaną dla Vanyela, a zatytułowaną *Cena magii*.

Potem ostrożnie odłożył cytrę. Przyszło mu na myśl, żeby ją zniszczyć, ale była tak dobrym instrumentem, że nie zasługiwała na roztrzaskanie, w imię dramatycznej sceny bez świadków. Postanowił więc dokładnie ją opakować potem schować w głębi groty. Być może ktoś ją tam odnajdzie.

Przez te wszystkie miesiące ból w jego duszy ani trochę nie zelżał. Ludzie powtarzali mu, że czas uleczy żal, ale tak się nie stało. Po powrocie z przełęcz bacznie go pilnowano przez wiele miesięcy, ale ostatnio już nie.

Pojawiło się bowiem wiele innych spraw, ważniejszych od młodego barda ze złamanym sercem.

Stefen wykorzystał więc sposobność, jaką podsunęło mu zamieszanie związane ze śmiercią Randała i koronacją Trevena, i uciekł swym strażnikom, aby przyjechać tutaj.

Niełatwo było zdobyć tę buteleczkę argonelu, toteż w końcu musiał ją kupić od złodzieja. Wyjął ze swego tłumoka ciężki, porcelanowy pojemniczek i zważył go w dłoni.

„Powiedział, że to śmiertelna dawka dla dziesięciu. Powinno wystarczyć dla jednego chuderlawego barda.”

Postawił buteleczkę przed sobą, wpatrując się w nią w blednym, karmazynowym świetle. „Zasnę. Nie jest tak źle. Lżejsza śmierć niż jego. Lżejsza niż umieranie Randiego. Znacznie lżejsza niż agonია Shavri...”

Sięgnął po truciznę...

W tym samym momencie ze stropu groty jął sypać się deszcz kamieni, jeden z nich uderzył w buteleczkę z trucizną. Buteleczka przewróciła się i poturlała tak, że znalazła się poza zasięgiem Stefena, korek wyskoczył i zawartość wylała się na ziemię. Stef próbował chwycić buteleczkę z okrzykiem przerażenia, z obawą zerkając na strop groty...

No, zrób to, głuptasie — odezwał się rozbawiony głos w jego głowie — *a nigdy ci tego nie wybaczę.*

„Ten głos” — Stefen zamarł, a potem bardzo powoli odwrócił głowę.

Coś tam stało pomiędzy nim a lasem.

Van.

Dużo młodszy Vanyel. Bardzo przezroczysty Vanyel. Stef wyraźnie widział krzaki za jego plecami...

Zanim zdążył go oblecieć strach, Van uśmiechnął się tym słodkim, rzadko widywanym uśmiechem, który Stef nauczył się tak sobie cenić za ich wspólnie spędzonych dni — w tym uśmiechu wyrażała się czysta miłość i autentyczna, niczym nie zmacona, szczęśliwość.

— Van? — odezwał się Stef z wahaniem. „To niemożliwe, wariuję, na bogów, proszę, niech tak będzie...”

Łzy zaczęły napływać mu do oczu, ale strząsnął je, wyciągając przed siebie drżącą dłoń.

— Van? Czy to naprawdę...

W tej samej chwili Van wyciągnął do niego rękę; jego ręka — i tylko ręka — momentalnie się zmaterializowała. Była na tyle materialna, że Stef zdążył ją dotknąć, zanim znów stała się przezroczysta.

Była prawdziwa; prawdziwa, materialna i ciepła.

„To prawda. Och, na bogów, to prawda...”

— Jak to? — zapytał Stef przez łzy. — Co się stało?

Vanyel wzruszył ramionami w charakterystyczny dla siebie sposób.

Coś się stało po tym, jak zniszczyłem Laretha Ostatecznym Ciosem. Miałem wybór. Większość heroldów może wybierać między kilkoma możliwościami: mogą pójść do Niebios albo wrócić, tak jak według Tayledras wracają ludzie. Mnie dano jeszcze inną możliwość.

— Inną możliwość? Jaką?

Wiem, że nie wygląda to na wiele... — Vanyel uśmiechnął się, a potem spoważniał. — Problem w tym, że byłem ostatnim magiem heroldów. Valdemar potrzebuje kogoś, kto strzegłby tej granicy, kto strzegłby jej magią Pan Ciemności pozostawił uczniów. Więc... Takiego dokonałem wyboru, żeby zostać na straży. Yfandes też. Yfandes i ja jesteśmy teraz częścią tego lasu...

Zawahał się przez moment.

Stef... Zanim się na to zgodziłem, poprosiłem abyś i ty miał taki sam wybór. Możesz się do mnie przyłączyć... ale...

— Ale? — wykrzyknął Stafen, zrywając się na równe nogi i wzbijając tumany kurzu z zapomnianej już lawiny kamieni. — Ale co? Zrobię wszystko, ashke, wszystko, co będzie trzeba, żeby być z tobą...

Vanyel podszedł bliżej i wykonał gest, jak gdyby chciał dotknąć jego policzka.

Możesz do mnie dołączyć, ale najpierw powinieneś spełnić pewne warunki. Możesz przyjść dopiero wtedy, gdy nadejdzie czas. Są sprawy, o których nie mogę ci powiedzieć, ale musisz zasłużyć na swe miejsce. Jest coś, co powinno być załatwione, a ty wyjątkowo się do tego nadajesz. Nie będę cię okłamywał, kochanie... To potrwa lata.

— Co to za sprawa? — zapytał Stef, z bijącym sercem i ściśniętym gardłem. Powiedz mi...

Pamiętasz, jak bardzo się martwiłem tym, że ludzie uważają heroldów za mniej ważnych od magów heroldów? Stef skinął potakująco.

— To się jeszcze pogłębiło, odkąd ty... Chciałem powiedzieć, że byłeś ostatni. Nie został nikt, kto mógłby ciebie zastąpić, kto szkoliłby uczniów, i nie sposób

znaleźć następców. Teraz jesteś legendą, Van, a ludzie mają skłonność do idealizowania legend. . .

Tutaj zaczyna się twoja rola. Musisz użyć swojego daru do przekonania ludzi w Valdemarze, że wystarczą dary heroldów, aby zapewnić im bezpieczeństwo. To dotyczy ciebie i każdego barda Kręgu. To oznacza, że najpierw będziesz musiał przekonać wszystkich bardów, a potem Krąg musi przekonać całą resztę królestwa. — Vanyel wyciągnął przed siebie ręce w błagalnym geście. — *Tylko bardowie mają nadzieję, że to się uda przeprowadzić. A ty jesteś jedynym, który ma nadzieję na przekonanie bardów.*

— Ale to może zająć całe życie! — mimowolnie wrzasnął Stefen, przerażony ogromem spadającego nań zadania. A potem, widząc, jak Vanyel kiwa głową, uświadomił sobie, co to oznacza, gdy mowa o „zasłużeniu na swe miejsce”

Ano właśnie — powiedział Van, a jego oczy przeppełnił żal. — *Ano właśnie. Czy nadal kochasz mnie na tyle, żeby całe życie wypełniać zadanie, które ci zostawiłem? Życie w samotności? Nie miałbym ci za złe, gdybyś. . .*

— Van. . . — wyszeptał Stef, zaglądając w głąb ukochanych, srebrzystych oczu. — Van. . . Kocham cię tak, że mógłbym za ciebie umrzeć. . . Cały czas cię kocham. I zawsze będę. Chyba. . .

Wahał się jeszcze przez moment, potem przełknął łzy.

— Chyba — dokończył, z trudem przywołując na usta drżący uśmiech na granicy łez. — Skoro cię kocham na tyle, żeby dla ciebie umrzeć, to z tego wynika, że kocham cię na tyle, żeby dla ciebie żyć. Są gorsze sposoby oddania za kogoś życia niż śmierć w starości. . .

Ciekawe jakie. — Na krótką chwilę całe światło gwiazd, cały blask księżyca zdały się gromadzić w jednym miejscu, a potem spływać na Vanyela. Przez kilka sekund postać herolda jaśniała niczym księżyc w pełni i zmaterializowała się, by na moment wziąć Stefena w ramiona. . .

Och, ashke. . . — wyszeptał i uśmiechnął się z miłością.

A potem zniknął. Zupełnie. I gdyby nie dowód w postaci pustej buteleczki i kurzu we włosach, Stef nigdy by się nie dowiedział, czy Vanyel był tam nie tylko jako wytwór jego umysłu.

Bard rozejrzał się oszalały, ale po Vanyelu nie było śladu.

— Van, poczekaj! — krzyknął w pustkę. — Poczekaj! Skąd będę wiedział, że zasłużyłem już na swe miejsce?

Będziesz wiedział — rozległ się szept w jego umyśle. — *Wezwiemy cię.*

EPILOG

Herold Andros odchylił się w swym siodle i przeciągnął, rozkoszując się ciepłym, wiosennym słońcem ogrzewającym mu plecy. Spojrzał za siebie, aby sprawdzić, czy jego towarzysz dobrze się trzyma.

Starszy bard znów drzemał. Na szczęście ten wierzchowiec Ashkevronów szedł dość spokojnym krokiem, bo inaczej biedny staruszek wylądowałby na ziemi już wiele razy.

Jak ci się wydaje, dlaczego, u diabła, on chce jechać do Puszczy Smutków? — zapytał Toril. Towarzysz potrząsnął głową.

Niech mnie licho, jeśli wiem — odparła Toril z rozbawieniem. — *Starzy ludzie to dziwacy. Powinien się cieszyć, że od jakiegoś czasu jest na tyle spokojnie, że ktoś był wolny i może go tam odstawić.*

Ale i tak nie doszłoby do tego, gdybym nie jechał akurat do Świątyni — odparł Andros. — *Biedny staruszek. Nie żeby ktoś tam miał za nim tęsknić* — wszyscy jego starzy kompani już odeszli i rzadko kto w ogóle wie, że on wciąż jest na dworze.

Toril przez chwilę badała lekki wietrzyk.

Może on odbywa coś w rodzaju podróży za czyjąś pamięć. Wiesz, że to Stefen? Ten, którego łączyła więź życia z Vanyelem?

Nie! — Andros obrócił się w siodle, by przyjrzeć się wątlemu, drobniutkiemu staruszkowi, ucinającemu sobie drzemkę za jego plecami. — *Myślałem, że Stefen umarł dawno temu! No cóż, należy mu się chyba lekkie pobłażanie. Co jak co, ale na to na pewno sobie zasłużył.*

Toril potrząsnęła głową, przytakując niemo i zwolniła, by zrównać się z bardem.

— Bardzie Stefanie? — zagadnął Andros z cicha. Bard miał doskonały słuch, a herold nie chciał go przestraszyć. Bard powoli otworzył oczy.

— Znów się zdrzemnąłem, prawda? — zapytał z cieniem uśmiechu na ustach. — Dobrze, że taki starzec jak ja, ma kogoś takiego jak ty, synu, kto może na niego mieć oko.

— Wiesz w ogóle dokąd zmierzamy? — spytał Andros. — Przekroczyliśmy granicę Puszczy Smutków już kilka miarek świecy temu.

Bard rozejrzał się dookoła z rosnącym zainteresowaniem.

— Już? Cóż, może to dlatego tak mi było dobrze, że sobie pospałem. Szkoda, żeś mi nie powiedział, mógłbym ci oszczędzić trochę jazdy.

Zatrzymał swą starą klacz i powoli z niej zsiadł, a potem wskazał na mały lasek złotych dębów u podnóża skalistego zbocza.

— Dalej nie trzeba, chłopcze. Chcę tylko, żebyś mnie na chwilę zostawił samego, dobrze? Wiem, że to trochę zbikowane, ale staruszkowie niekiedy bardzo dziwaczejają.

Andros zarumienił się, słysząc echo własnych myśli, i posłusznie zawrócił Toril.

No cóż, moja pani — powiedział do niej w myślomowie. — *Dokąd chciałybyś pojechać?*

*Chciałabym się porządnie napić ze źródła — odparła stanowczo. — A docho-
dzi mnie zapach wody płynącej tuż za tym wzgórzem.*

Woda nie tylko miała dobry smak, ale też miły był jej dotyk. Andros uzmysłowił sobie, jak bardzo się zakurzył i spocił w czasie tej podróży, a Toril stwierdziła, że i ona nie pogardziłaby kąpielą. Zanim oboje zdążyli wyschnąć, zrobiło się późne popołudnie i Andros doszedł do wniosku, że stary bard będzie gotów ruszyć w dalszą drogę.

Gdy wrócił do lasu, okazało się, że staruszek zniknął.

Została cytra i klacz, więc Andros odetchnął i pomyślał, że bard poszedł na spacer. Zaczął go szukać, nie znajdując jednak nawet jego śladów, robił się coraz bardziej rozgorączkowany...

Toril podsunęła mu się, czekając, aż jej dosiędzie. Andros popatrzył na nią zdziwiony, zastanawiając się, co u licha robi Stefen włączając się po lesie w ten sposób.

Chyba dostałem udaru słonecznego — powiedział do Toril, z dezorientacją potrząsając głową. — Co ja... robiłem?

Zastanawiałam się — odparła z troską. — Chciałeś zobaczyć miejsce bitwy, a ja usiłowałam cię przekonać, że to nie tutaj, ale ty nalegałeś, że właśnie tutaj. Nie pamiętasz?

Nie — zasmucił się Andros. — Następnym razem wrzuc mnie do strumienia albo coś w tym rodzaju, dobrze?

Zauważył błysk w jej oku, ale jej odpowiedź i tak zabrzmiała przekornie:

Jeśli będzie to niezbędne. Tylko że teraz jesteśmy już spóźnieni, a oni tutaj naprawdę potrzebują herolda na zmianę. Każdy moment naszej nieobecności to kłopot dla uzdrowicieli. Dobrze, że dzisiaj mamy pełnię księżyca.

— Och, do diabła — jęknął Andros na głos. — Chyba nie spodziewasz się, że pojedę całą noc, co?

Dlaczegożby nie? To ja wykonuję całą robotę. Zabieraj klacz i ruszajmy w drogę.

— Dlaczego ta klacz jest osiodłana? — zdziwił się Andros, marszcząc brwi, gdy podchodziła do wierzchowca. — I dlaczego nie jest jeszcze przywiązana do twojego siodła?

Co do drugiego pytania, to ty ją odwiązałeś. Lepiej daj się obejrzyć uzdrowicielom, gdy dotrzemy na miejsce. — Głos jej myśli był przepełniony niepokojem. — Chyba rzeczywiście musiałeś dostać porządnego udaru. Ma siodło, bo to prezent od Joserlina Ashkevona dla jego siostry, a siodła nie rosną na drzewach, nawet w takiej bliskości Pelagirs.

— Masz rację — zreflektował się Andros, po czym potarł dłonią czoło i dosiadł swego Towarzysza. — Lepiej będzie, jeśli z nimi porozmawiam. No cóż, w drogę.

Odjechali, pozostawiając cytrę opartą o drzewo. Gdy oddalili się na tyle, że stracili ją z oczu — i nie mogli już jej usłyszeć — jej struny zadrgały na moment.

Wtajemniczony słuchacz mógłby rozpoznać pewną balladę, popularną sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt lat temu — pieśń miłosną zatytułowaną *Oczy mojej pani*.

A słuchacz o bardzo wrażliwym uchu mógłby usłyszeć śmiech rozbrzmiewający pośród drzew; śmiech młodych mężczyzn, tenora i barytona, układających ze swych głosów własną, radosną muzykę.

* * *

Po dziś dzień cytra tkwi wrośnięta w drzewo, o które była oparta; korzenie złotego dębu oplotły jej struny w delikatnym uścisku i przychodzą czasem takie jasne dni, kiedy wiatr szepcze pośród drzew, że Puszcza Smutków to najbardziej niewłaściwa nazwa dla tego miejsca.